

CO STANIE SIĘ, GDY ZMIENIMY PRZESZŁOŚĆ?
CZY MOŻNA NA NOWO NAPISAĆ HISTORIĘ?

FÉLIX J. PALMA



FÉLIX J. PALMA

MAPA CZASU

Z języka hiszpańskiego przełożyły
Patrycja Zarawska i Iwona Michałowska-Gabrych



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

*Dla Soni, ponieważ istnieją również powieści,
które się nigdy nie kończą.dedykacja*

„Rozróżnienie między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością jest tylko iluzją, jednakże mamy do czynienia z iluzją wyjątkowo trwałą”.

Albert Einstein

„Najdoskonalszym i najbardziej przerażającym dziełem ludzkości jest podział czasu”.

Elias Canetti

„Co mnie czeka w drodze, której nie wybieram?”

Jack Kerouac

Część pierwsza

Naprzód, drogi Czytelniku, zanurz się w ekscytującej historii naszego melodramatu, na którego stronicach znajdziesz przygody, jakich sam nie zdołałbyś wyśnić!

Jeżeli jak każdy człowiek przy zdrowych zmysłach sądzisz, że czas jest strumieniem, który porywa wszystko, co przyszło na ten świat, ku ciemniejszemu brzegowi, tutaj odkryjesz, że może on na nowo potoczyć się swoim torem, że można zawrócić, by stąpać po własnych śladach – a to dzięki maszynie przeznaczonej do podróżowania w czasie.

Emocje i zdumienie gwarantowane.

Andrew Harrington wolałby raczej umierać nie jeden, lecz kilka razy, byle nie być zmuszonym do wybierania broni spośród tej, jaką jego ojciec miał w swojej cennej kolekcji przechowywanej w przeszklonych szafkach w salonie. Podejmowanie decyzji nigdy nie było mocną stroną młodego Harringtona. Jeśli się dobrze zastanowić, jego życie jawiło się jako pasmo nietrafionych wyborów, z których ostatni kładł się długim, złowrogim cieniem na przyszłości. Jednak to życie, pełne niezbyt budujących, popełnionych przez niego samego głupstw, miało się właśnie skończyć. Tym razem obrał właściwą drogę, ponieważ postanowił więcej nie wybierać. W przyszłości nie będzie już błędów, ponieważ nie będzie przyszłości. Zamierzał opuścić ten świat bez wahania, przykładając sobie do skroni broń. Nie wydawało się, aby miał jakieś inne wyjście – unicestwienie przyszłości było jedynym dostępnym mu sposobem, jeśli chciał skończyć z przeszłością.

Uważnie przyglądał się witrynie z narzędziami śmierci, które jego ojciec kupował i pieczołowicie przechowywał od czasu, gdy wrócił z frontu. Starszy pan Harrington otaczał tę broń niemal czcią, lecz Andrew podejrzewał, że ojciec zbiera ją nie tyle z powodu nostalgii, ile z fascynacji, która skłania go do rozpatrywania różnych wypracowanych przez ludzkość możliwości pozbawiania się życia w zaciszu domowym.

Z obojętnością – jakże kontrastującą z uwielbieniem ojca – Andrew przebiegał wzrokiem owe na pozór nieszkodliwe, niemal domowe sprzęty, które pozwoliły człowiekowi miotać ręką pioruny i prowadzić wojny bez nieprzyjemnej bliskości, jaką pociąga za sobą walka wręcz. Próbował oszacować, jaki rodzaj śmierci – niczym przyczajony łotr – kryje się w każdej z tych broni. Którą z nich ojciec poleciłby do strzelenia sobie w łeb? Wyobraził sobie, że pistolety skałkowe, te nabijane przez lufę zabytki, przed każdym strzałem wymagające podsypywania prochem, użycia przybitki i ołowianej kuli, umożliwiłyby mu godną śmierć, ale kosztowałyby go ona wiele zachodu i uporu. Tymczasem on wolał śmierć gwałtowną, jaką oferują nowoczesne rewolwery, ułożone na aksamitnej wyściółce w gustownych drewnianych kasetach. Rozważał colta, model Single Action, z racji łatwości w użyciu i skuteczności, odrzucił jednak ten wybór, kiedy sobie przypomniał, że widział taki rewolwer w ręku Buffalo Billa w jego cyrku przedstawiającym udawane, żalosne pogonie rodem z Dzikiego Zachodu, z udziałem paru importowanych zza oceanu Indian i kilkunastu apatycznych bizonów, najwyraźniej otumanionych za pomocą opium. Nie chciał wychodzić naprzeciw śmierci niczym jakiejś przygodzie. Nie zdecydował się także na piękny rewolwer Smith & Wesson – broń, od której zginął Jesse James, ponieważ we własnym mniemaniu nie powinien się równać z tym bandytą, ani też na rewolwer Wbley, stworzony specjalnie w celu hamowania zapędów krzepkich tubylców podczas wojen kolonialnych, a dla młodego Harringtona stanowczo zbyt ciężki. Następnie dokładnie obejrzał pełen wdzięku rewolwer wiązkowy z obrotowymi lufami – tak bardzo lubiany przez ojca – miał jednak poważne wątpliwości, czy ta nedorzeczna, afektowana broń potrafi wyrzucić z siebie kulę z zadowalającą skutecznością. W końcu zdecydował się na eleganckiego colta z 1870 roku, z macicą perłową na rękojeści – pistolet, który pozbawi go życia delikatnie niczym pieszczota kobiety.

Wyjął go z przeszklonej szafki z beczelnym uśmiechem na ustach, przypominając sobie, ileż to razy ojciec zabraniał mu dotykać swych zbiorów. Teraz jednak znamienity William Harrington przebywał we Włoszech i przypuszczalnie swym taksującym spojrzeniem gromił fontannę di Trevi. To doprawdy sprzyjający zbieg okoliczności, że jego rodzice wybrali się w podróż po Europie w tym samym czasie, gdy on, Andrew, postanowił popełnić samobójstwo. Wątpił, by którekolwiek z nich dwojga zdołało odczytać zawarte w jego geście przesłanie – że woli umrzeć samotnie, podobnie jak

żył – wystarczy mu jednak grymas niesmaku, jaki zapewne pojawi się na twarzy ojca, gdy ten odkryje, że syn zabił się za jego plecami, nie pytając o pozwolenie.

Otworzył szafkę z amunicją i umieścił w bębunku rewolweru sześć naboí. Przypuszczalnie wystarczy mu jeden, ale nigdy nic nie wiadomo. Bądź co bądź to było jego pierwsze samobójstwo. Następnie owinał broń w kawałek materiału i włożył do kieszeni surduta, niczym owoc, który zamierzał zjeść podczas spaceru. Szafkę celowo zostawił otwartą, w ten sposób rzucając ojcu kolejne wyzwanie. „Gdybym wcześniej wykazał się taką śmiałością – rozmyślał – gdybym we właściwym momencie odważył się postawić ojcu, ona wciąż by żyła”. Lecz teraz było już na to zbyt późno. Za to opóźnienie płacił od ośmiu lat. Osiem długich lat, w ciągu których ból tylko się wzmacniał, rozrastając się w nim jak przeklęty bluszcz. Wilgotnymi mackami owijał się wokół narządów wewnętrznych, powodując zgniliznę duszy. Mimo wysiłków jego kuzyna Charlesa, mimo rozrywki, jakiej dostarczały mu inne ciała, ból po śmierci Marie nie dawał się stłumić. Tej nocy jednak wszystko się skończy. „Dwadzieścia sześć lat to piękny wiek, by umrzeć” – pomyślał i z satysfakcją pomacał zgrubienie w kieszeni. Już miał broń. Teraz potrzebował tylko miejsca, w którym przeprowadzi ceremonię. Jest takie jedno, jedyne.

Czując w kieszeni ciężar pistoletu, pokrzepiający niczym talizman, zszedł reprezentacyjnymi schodami posiadłości Harringtonów, usytuowanej w luksusowym klinie ulic zwanym Kensington Gore, bardzo blisko zachodniej bramy Hyde Parku. Nie przyszło mu nawet do głowy, by rzucić pożegnalne spojrzenie murom, które od niemal trzydziestu lat były jego domem, nie zdołał się jednak oprzeć niezdrowemu impulsowi i przystanął przed królującym w westybulu portretem. Ze złoconych ram ojciec spoglądał na niego z dezaprobatą. Dumny, pełen majestatu, ledwie się mieścił w swym starym mundurze piechoty, w którym jako młodzieniec walczył w wojnie krymskiej^[1] do momentu, kiedy rosyjski bagnet rozciął mu udo i skazał na kaleki, utykający chód. William Harrington rzucał światu spojrzenie pełne drwiny i krytycyzmu, jakby uważał ów świat za czyjeś niefortunne dzieło, dla którego szkoda marnować czasu. Kto kazał skryć za welonem nieszczęsnej mgły bitwę toczącą się pod oblężonym Sewastopolem, tak że nikt nie widział nawet czubka własnego bagnetu? Kto przesądził o tym, że o losach Anglii ma decydować kobieta? Czy naprawdę wschód jest najodpowiedniejszym miejscem na poranne ukazywanie się słońca? Andrew nie miał okazji poznać ojca bez tej zacieklej wrogości w oczach, nie wiedział więc, czy była ona wrodzona, czy też jego rodzic nabawił się jej, walcząc po stronie Turków na Krymie. Pewne było jednak, że nie zniknęła z jego twarzy jak wietrzna ospa, mimo że po powrocie z frontu bez perspektyw na przyszłość los okazał się dla niego szczególnie łaskawy. Jakie znaczenie miało, że się poruszał o lasce, skoro zaszedł aż tak daleko? Ten uwieczniony na płótnie człowiek o bujnym wąsie i schludnym wyglądzie zaliczał się do najbogatszych londyńczyków swych czasów, a osiągnął to bez konieczności paktowania z diabłem. Kiedy z bagnetem zatkniętym na broń tułał się po bezdrożach odległej wojny, nie śmiałby nawet marzyć o tym, co posiadał dziś. Jednakże to, jak do tego doszedł, pozostawało jednym z najściślej strzeżonych sekretów rodziny, a tym samym dla syna stanowiło niezgłębioną tajemnicę.

I oto nadszedł ten nuzący moment, w którym Andrew miał się zdecydować na kapelusz i okrycie, musiał wybrać jedno z wierzchnich ubrań wypełniających szafę w holu, jako że nawet w chwili śmierci trzeba się godnie prezentować. Znosi się więc na scenę, która – znając młodzieńca – może się irytująco ciągnąć przez kilka minut, zatem aby się nie wdawać w niepotrzebne szczegóły, skorzystam z okazji i powitam was w rozpoczynającej się historii, którą po dłuższym namyśle postanowiłem zacząć właśnie w tym, a nie innym momencie; jakbym ja też musiał wybierać spośród licznych początków cisnących się w szafie pełnej różnych możliwości. Prawdopodobnie kiedy zakończę opowieść, a wy wytrwacie do ostatnich słów, niektórzy z was stwierdzą, że się pomyliłem, w pierwszej

kolejności sięgając po wątek, który wymaga wyciągnięcia nitki ze środka kłęбка, podczas gdy znacznie trafniej byłoby zachować porządek chronologiczny i zacząć od panny Haggerty. Być może. Istnieją jednak historie, które nie mogą się zaczynać od początku, i niewykluczone, że ta jest właśnie jedną z nich.

Zapomnijmy więc na chwilę o pannie Haggerty, wymażmy nawet z pamięci, że o niej wspominałem, i powróćmy do młodego Andrew, który – odziany już odpowiednio w płaszcz i kapelusz, a także w grube rękawiczki chroniące przed srogim zimowym chłodem – właśnie wyszedł z rezydencji. Będąc już na zewnątrz, zatrzymał się u szczytu okazałych schodów, opadających do ogrodu niczym wezbrana marmurowa fala. Stąd spoglądał na świat, w którym się wychował, nagle uświadamiając sobie, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, nigdy go już nie zobaczy. Na posiadłości Harringtonów noc z wolna, niepostrzeżenie kładła swój ciemny welon. Na niebie wisiał księżyc w pełni – wyblakły, blade, zalewał mleczną poświatą otaczające dom ozdobne rośliny, z których większość karnie rosła na rabatach oraz w formie żywopłotów. Ponad nimi górowało kilka ogromnych wodotrysków w postaci spiętrzonych w sterty kamieni, zwieńczonych napuszonymi figurami syren, faunów i innych postaci z całą pewnością niespokrewnionych z rodziną. Stały ich tutaj dziesiątki, ponieważ jego ojciec, pozbawiony wyrafinowanego gustu, nie znał innego sposobu demonstrowania własnej zamożności jak tylko gromadzenie luksusowych, bezużytecznych rzeczy. Chociaż w przypadku źródełek wody w ogrodzie to nadmierne nagromadzenie dawało się wytłumaczyć. Po zapadnięciu nocy fontanny wspólnie sączyły płynną kołysankę i usypiały, zachęcając do zamknięcia oczu i zapomnienia o wszystkim prócz kojącego bulgotu wody. Dalej, za rozległą przestrzeń idealnie przystrzyżonego trawnika, z wdziękiem zrywającego się do lotu łabędzia pyszniła się olbrzymia szklarnia, w której jego matka spędzała większość czasu, napawając się istic baśniowymi kwiatami wyhodowanymi z nasion sprowadzonych z odległych kolonii.

Andrew przez kilka minut przyglądał się księżycowi, zastanawiając się, czy pewnego dnia człowiek rzeczywiście tam dotrze, jak pisali Juliusz Verne i Cyrano de Bergerac. Jakby to było, gdyby wylądował na tej perłowej powierzchni – doleciał statkiem powietrznym, został wystrzelony z wielkiego działa albo przyczepił sobie kilkanaście flakonów z rosą, która parując, uniosłaby go ku niebu, tak jak zdarzyło się bohaterowi dzieła gaskońskiego pisarza [\[2\]](#)? Poeta Ariosto przekształcił satelitę Ziemi w magazyn ampułek do przechowywania straconego rozsądku, jednak do młodego Harringtona bardziej przemawiała propozycja Plutarcha, gdyż w jego wizji księżyc to miejsce, do którego udają się szlachetne dusze po opuszczeniu świata żywych. Podobnie jak on, Andrew wolał myśleć, że właśnie gdzieś tam, w górze mieszkają zmarli. Lubił sobie wyobrażać, że żyją w zgodzie w pałacach z kości słoniowej zbudowanych przez zastępy anielskich robotników albo w jaskiniach wykutych w tej białej skale i mają nadzieję, że żywi otrzymają od śmierci przepustkę i przybędą do nich, aby kontynuować z nimi życie, zaczynając dokładnie w tym punkcie, gdzie je przerwali na Ziemi. Czasami myślał, że w jednej z tych jaskiń mieszka teraz Marie – pogrążona w zapomnieniu, nie pamięta, co jej się przydarzyło, i cieszy się, że śmierć ofiarowała jej lepszą egzystencję niż życie. Marie, piękna wśród otaczającej ją bieli, czeka cierpliwie, aż on podejmie wreszcie przeklętą decyzję, palnie sobie w łeb i przybędzie, by zająć wolne miejsce w łóżku u jej boku.

Oderwał się od kontemplowania księżycy i skierował wzrok w dół, gdzie u stóp schodów czekał już na niego Harold, stangret, z przygotowanym jednym z powozów, tak jak mu Andrew polecił. Widząc, że młodzienc schodzi ku niemu, służący pośpiesznie otworzył drzwi powozu. Energia, z jaką stary Harold wykonywał pełne galanterii gesty, zawsze bawiła młodego Harringtona, który uważał ją za wręcz nieodpowiednią u człowieka mającego zapewne około sześćdziesięciu lat, ale było oczywiste, że woźnica trzyma formę.

– Do Miller’s Court^{3} – rozkazał młodzieniec.

Polecenie wyraźnie zaskoczyło Harolda.

– Ale, panie, to przecież tam...

– Jakiś problem, Haroldzie? – przerwał mu Andrew.

Stangret przez kilka sekund gapił się niemądrze z otwartymi ustami, zanim odparł:

– Nie, panie, żadnego problemu.

Andrew skinął głową, kończąc w ten sposób rozmowę. Wszedł do powozu i usadowił się na czerwonym pluszowym siedzeniu. Napotkał wzrokiem własne odbicie w szybie drzwi i westchnął melancholijnie. Czy to wymizerowane oblicze na pewno należy do niego? Wyglądało jak twarz kogoś, z kogo niepostrzeżenie uchodzi życie, jakby wełna wydostawała się z rozprutej poduszki, co na swój sposób było prawdą. Zachował piękne proporcje i ładne rysy twarzy, którymi obdarzył go los, lecz teraz to wszystko wydawało się raczej pustą skorupą, niewyraźnie wyrzeźbioną w kupce popiołu. Najwidoczniej cierpienie, które zawładnęło jego duszą, poczyniło też spustoszenia na zewnątrz, ponieważ w tym postarzałym młodzieńcu o zapadniętych policzkach, przygnębionym spojrzeniu i zaniebany zaroście ledwie umiał rozpoznać siebie. Ból wkroczył w jego życie w kwiecie wieku i przeobraził go w cień człowieka. Na szczęście kołysanie powozu, który woźnica wprowadził w ruch, gdy wreszcie otrząsnął się ze zdziwienia, sprawiło, że Andrew oderwał wzrok od smutnego wizerunku niejako wymalowanego akwarelą na płótnie nocy. Właśnie rozpoczynał się ostatni akt jego nieszczęsnego życia i młodzieniec powinien zachować skupienie, aby nie uronić żadnego szczegółu. Nad głową słyszał strzelanie z bata. Gładząc chłodne wybrzuszenie kieszeni, poddał się łagodnemu kołysaniu powozu.

Powóz wytoczył się z terenu posiadłości i podążył ulicą Knightsbridge, biegnącą wzdłuż pełnego zarośli Hyde Parku. „Za niecałe pół godziny będziemy w East Endzie” – policzył sobie Andrew, wyglądając przez okienko na miasto. Przejazdźka w takim samym stopniu fascynowała go, co peszyła, ponieważ za jednym zamachem ukazywała mu wszystkie oblicza jego ukochanego Londynu, największego miasta na świecie, dobrze widoczną głowę wiecznie głodnego Krakena^{4}, którego macki pokrywały niemal jedną piątą powierzchni lądów planety, dusząc w swoich objęciach Kanadę, Indie, Australię i znaczną część Afryki. W miarę jak powóz mknął coraz dalej na zachód, zdrowy, nieomal leśny krajobraz dzielnicy Kensington ustępował zatłoczonej scenerii miejskiej, ciągnącej się aż po Piccadilly Circus – rondo, którego serce przebito posążkiem boga Anterosa, mściciela odrzuconej miłości. Następnie, po tym, jak pokonał Fleet Street, w polu widzenia zaczęły się ukazywać oblegające katedrę Świętego Pawła domki klasy średniej. Wreszcie, już za gmachem Bank of England i za Cornhill Street, dokoła rozlała się nędza – bieda, jaką mieszkańcy sąsiedniego West Endu znali tylko z satyrycznego czasopisma „Punch”. Zdawała się zarażać powietrze, przemieniać je w skażoną, nieprzyjemną, niezdatną do oddychania substancję przesiąkniętą ciągnącymi z Tamizy cuchnącymi wyziewami.

Andrew nie zaglądał w te strony od ośmiu lat, cały ten czas żył jednak w przekonaniu, że kiedyś tu wróci i wtedy zrobi to po raz ostatni. Nic zatem dziwnego, że gdy się zbliżał do Aldgate – bramy wiodącej do Whitechapel – zaczął go ogarniać lekki niepokój. Zapuszczając się w tę dzielnicę, ostrożnie zerkał w okienko i czuł to samo zawstydzenie, jakiego doświadczał w przeszłości. Nigdy nie potrafił wyzbyć się niewygodnego zakłopotania związanego z tym, że ciekawie zagląda do cudzego świata, a także chłodnego zainteresowania kogoś, kto bada owady. Trzeba jednak przyznać, że z czasem wstręt nieuniknioną kolejną rzeczy przekształcił się u niego w litość dla dusz zamieszkujących to miejskie wysypisko, gromadzące wyrzutków i odpadki ludzkie. I jak młodzieniec sam stwierdził,

nadal odczuwał tę litość, jako że najbiedniejsza dzielnica Londynu najwyraźniej nie zmieniła się zbyt w ciągu minionych ośmiu lat. „Nędza zawsze będzie odrzucać bogatych” – rozmyślał Andrew, przemierzając w powozie ponure, hałaśliwe ulice pełne straganów i wozów, wśród których mrowiły się żałosne postacie wiodące niewesoły żywot w złowieszczym cieniu Christ Church. Początkowo Andrew z zaskoczeniem odkrył, że za przepychem londyńskiego splendoru może się kryć ambasada piekieł, gdzie z błogosławieństwem królowej rodzaj ludzki degeneruje się, dopuszczając potworności, ale z upływem lat jego naiwność się rozwiła. Obecnie bez zdziwienia spostrzegał, że podczas gdy Londyn zmieniał się dzięki postępom nauki, mieszkańcy zamożniejszych dzielnic bawili się, nagrywając szczekanie swych psów na woskowany tekturowy cylinder fonografu i rozmawiali przez telefon oświetleni elektrycznymi lampami Robertsona, a ich małżonki wydawały dzieci na świat, znieczulone oparami chloroformu, dzielnica Whitechapel pozostawała zamknięta na owe nowinki, nieprzenikniona dzięki pancerzowi zgnilizny, zatopiona we własnej nędzy. I jedno spojrzenie rzucone dookoła utwierdzało go w przekonaniu, że zapuszczanie się w ten świat nadal przypomina wkładanie ręki do gniazda szerszeni. Tu bieda ukazywała się z najbardziej nikczemnej strony. Tu wciąż rozbrzmiewała ta sama bolesna, posępna melodia. Przyglądał się burdom wszczynanym w tawernach, słyszał wrzaski dobiegające z najciemniejszych zaułków, dostrzegał leżących na ziemi pijaków, którym bandy dzieci zdzierają z nóg buty, przesuwają wzrokiem po zawadiackich twarzach mężczyzn sterczących na rogach ulic w oczekiwaniu na okazję do jakiegoś przestępstwa czy choćby cwaniactwa.

Kilka prostytutek, zwabionych luksusowym wyglądem powozu, wykrzykiwało w jego stronę lubieżne propozycje, zadzierało spódnice i eksponowało dekolty. Andrew czuł, jak zamiera w nim serce na ten smutny widok. Kobiety w większości były koślawe i brudne, a ich zaniedbane ciała odzwierciedlały profesję klientów, których obsługiwały na co dzień. Nawet najmłodsze i najładniejsze nie umiały się uwolnić od piętna zgryzot, jakie odcisnęła na nich dzielnica. Znów zadreślał się myślą, że mógł wyzwolić jedną z tych potępionych istot, ofiarowując jej los lepszy od tego przydzielonego przez Stwórcę – ale tego nie zrobił. Jego żal wzmógł się jeszcze, gdy powóz minął Ten Bells i ze skrzypieniem kół potoczył się przez Crispin Street, po czym skręcił w Dorset Street, przejeżdżając obok pubu Britannia, gdzie Andrew po raz pierwszy rozmawiał z Marie. Ta uliczka to był koniec podróży. Harold zatrzymał powóz przed kamiennym lukiem służącym jako wejście do mieszkań w Miller's Court i zszedł z kozła, żeby otworzyć drzwiczki. Andrew, wysiadając, doznał zawrotu głowy. Rozejrzał się wokół siebie i poczuł, że drżą mu nogi. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętał, włączenie z lepiącymi się od brudu szybami sklepu mieszczącego się koło wejścia na podwórko, należącego do McCarthy'ego, właściciela mieszkań. Nie dostrzegł ani jednego szczegółu, który świadczyłby o tym, że czas płynie również w Whitechapel, że nie omija tej dzielnicy, jak to czynili odwiedzający miasto biskupi i dostojnicy świeccy.

– Możesz wracać, Haroldzie – Andrew zwrócił się do stangreta, który stał obok niego w milczeniu.

– Kiedy mam po pana wrócić, sir? – zapytał staruszek.

Młodzieniec spojrział na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Wrócić po niego? Miał ochotę wybuchnąć posępnym śmiechem. Jedyne powóz, jaki po niego przyjedzie, przybędzie z kostnicy przy Golden Lane, ten sam, który osiem lat temu zabrał stąd to, co zostało z jego ukochanej Marie.

– Zapomnij, że mnie tutaj przywiozłeś – rzekł.

Powaga i smutek, które odmalowały się na twarzy woźnicy, poruszyły młodego Harringtona. Czy Harold podejrzuje, po co Andrew tu przyjechał? Młodzieniec nie potrafił tego stwierdzić, ponieważ nigdy się nie potrudził o ocenę inteligencji stangreta ani też żadnego innego ze swoich służących,

przypisując im co najwyżej elementarny spryt ludzi od najmłodszych lat zmuszonych płynąć pod prąd i godzących się na to z ogromną pogodą ducha. Teraz jednak w zachowaniu starego Harolda zdawała się uwidaczniać troska, którą mogła spowodować jedynie jakaś zdumiewająca dedukcja co do zamiarów panicza. Jednak weryfikacja zdolności analitycznych stangreta nie była jedynym odkryciem, jakie Andrew poczynił podczas tych krótkich sekund, kiedy spotkały się ich spojrzenia. Młodzieniec uświadomił sobie ponadto coś, czego nigdy by nie podejrzewał: ciepłe uczucie, jakie służący może żywić względem swojego pana. Nie był w stanie postrzegać służby inaczej niż jako cienie, które pojawiają się w pokojach i znikają zgodnie z tajemniczymi zamysłami – dla niego zrozumiałymi tylko wtedy, gdy chciał odstawić kieliszek na tacę albo gdy ktoś miał rozpaść w kominku – a oto okazywało się, że owe duchy potrafią się martwić o los swoich panów i faktycznie to robią. Dla Andrew wszyscy ci ludzie bez twarzy – pokojówki, które jego matka odprawiała za najmniejsze uchybienie obowiązkowi, kucharki raz za razem zachodzące w ciężką z chłopakami stajennymi, jak gdyby były posłuszne jakiemuś pradawnemu rytuałowi, lokaje przenoszący się ze wspaniałymi rekomendacjami do identycznych rezydencji jak jego własna – tworzyli nieustannie zmieniający się krajobraz, którego on nigdy nawet nie próbował ogarnąć umysłem.

– Dobrze, proszę pana – szepnął Harold.

I Andrew zrozumiał, że tymi słowami stangret żegna się z nim na zawsze, że to jedyny sposób, w jaki ten staruszek może mu przekazać ostatnie pozdrowienie, ponieważ gdyby go chciał uściskać, ryzykowałby, że ten gest nie zostanie dobrze przyjęty. Z drżącym sercem Andrew przyglądał się temu korpulentnemu, zdeterminowanemu, trzykrotnie od siebie starszemu człowiekowi, który będzie musiał zostawić swego pana jak rozbitka na bezludnej wyspie, wspiąć się na kozioł powozu, zaciąć konie i zniknąć we mgle, jaka zaczynała się już snuć po londyńskich ulicach niczym brudna piana tłumiąca głąbiący w oddali odgłos końskich kopyt. Ciekawe, że to stangret będzie jedyną osobą, która żegna go przed samobójstwem – nie rodzice ani nie kuzyn Charles – ale widocznie życie ma swoje kaprysy.

Ta sama myśl przyszła do głowy Haroldowi Barkerowi, kiedy poganiał konie, śpiesząc przez Dorset Street, by jak najszybciej opuścić tę przekłętą okolicę, w której życie jest warte nie więcej niż trzy pensy. On sam mógłby być jeszcze jednym z rzeszy nieszczęśników trwających w tej przeżartej gangreną dzielnicy Londynu, gdyby nie wysiłek, na jaki zdobył się jego ojciec, by go wydźwignąć z nędzy i umieścić na koźle, gdy tylko Harold jako dzieciak potrafił się tam wspiąć. Tak, to właśnie ten stary pijak i ponurak pchnął go na karuzelę różnych posad, która zatrzymała się w powozowni znajomego Williama Harringtona, i w służbie tegoż pana Harold spędził połowę swego życia. Trzeba jednak przyznać, że były to spokojne lata, i faktycznie przyznawał to, sporządzając bilans swego życia o bladym świcie, gdy jego państwo jeszcze spali, a on był wolny od obowiązków. Spokojne lata, w ciągu których ożenił się i doczekał dwóch zdrowych, silnych synów, a jeden z nich pracował jako ogrodnik u tego samego pana Harringtona. Dane mu było zapewnić sobie inny byt niż ten, który, jak sądził, byłby go czekał – byt tych nieszczęsnych dusz, jakie los pozwolił mu teraz obserwować ze współczuciem z pewnej odległości. Harold musiał jeździć do Whitechapel częściej, niżby sobie tego życzył, kiedy zawoził tam panicza owej okropnej jesieni przed ośmioma laty, gdy nawet niebo czasami zdawało się krwawić. O tym, co się wydarzyło w tamtej plątaninie zapomnianych przez Boga uliczek, przeczytał w gazetach, ale przede wszystkim zobaczył odbicie tych zdarzeń w oczach swego pana. Teraz wiedział, że młody Harrington nigdy nie zdołał się z tego otrząsnąć, że tamte szalone wyprawy do tawern i burdeli, na które ciągał ich obu kuzyn Charles – choć oczywiście Harold musiał zostawać w powozie i marznąć do szpiku kości – nie zdały się na nic, nie przepłoszyły strachu czającego się w jego oczach. A tej nocy Andrew zdawał się gotów do złożenia broni, do poddania się

wrogowi, który okazał się niezwyciężony. Czy to nie broń niósł w wybrzuszonej kieszeni? Co jednak Harold mógłby zrobić? Czy służący powinien zmieniać los swego pana? Potrząsnął głową. Pomyślał, że może przesadza, może młodzieniec pragnie tylko spędzić noc w tamtym pełnym duchów pokoju, a uzbroił się, aby się czuć pewniej.

Porzucił swoje pełne niepokoju rozważania, gdy zauważył wynurzający się nagle z mgły znajomy powóz zmierzający w przeciwnym niż on kierunku. Był to pojazd Winslowów i jeśli go oczy nie myliły, postać, którą dostrzegł na koźle, musiała być Edwardem Rushem, jednym ze stangretów tej rodziny. Tamten też najwyraźniej go rozpoznał, sądząc po tym, jak powóz zwolnił. Harold pozdrowił kolegę milczącym skinieniem głowy, po czym zwrócił wzrok na pasażera. Przez chwilę on i miody Charles Winslow patrzyli na siebie z powagą. Żaden się nie odezwał, nie było takiej potrzeby.

– Szybciej, Edwardzie – rozkazał Charles Winslow swojemu woźnicy i ręką laski dwa razy zastukał nagłaco niczym dzieciół w dach powozu.

Harold z ulgą patrzył, jak pojazd znów znika we mgle, zdążając w kierunku mieszkań przy Miller's Court. Jego interwencja nie była już potrzebna. Miał tylko nadzieję, że młody Winslow dotrze tam na czas. Wolałby się zatrzymać i popatrzeć, jak to się skończy, ale musiał wykonać polecenie, choćby się wydawało wydane przez zmarłego, toteż znowu pogonił konie, aby opuścić tę przekłętą dzielnicę, w której życie – i tutaj się powtarzam, lecz Harold pomyślał to sobie ponownie – jest warte nie więcej niż trzy pensy. Trzeba przyznać, że fraza ta bardzo trafnie podsumowuje szczególne cechy dzielnicy, a od woźnicy chyba nie możemy wymagać bardziej skomplikowanej oceny. Jednakże stangret Barker – mimo że miał życie godne wyceny, jak zresztą żywoty wszystkich ludzi, jeśli się im uważniej przyjrzeć – nie odgrywa w tej historii istotnej roli. Inni być może postanowią opowiedzieć o jego losach i przypuszczalnie znajdą aż nadto materiału, by przedstawić emocje, jakich wymaga narracja – myślę, że w momencie gdy poznał Rebeccę, swoją małżonkę, albo w pełnej grozy scenie z fretką i grabiami – jednakże w tej chwili nie jest to naszym celem.

Zostawmy zatem Harolda, o którym nie śmiem nawet napomknąć, czy pojawi się na jakimś zakręcie naszej opowieści, ponieważ przewinie się przez nią wiele twarzy, a nie da się wytrwać przy wszystkich, i powróćmy do Andrew, który w tym momencie przez łukowate wejście wkracza w obręb mieszkań cisnących się przy Miller's Court i podąża błotnistą kamienną ścieżką z zamiarem zlokalizowania izdebki numer 13, a jednocześnie sięga do kieszeni surduta w poszukiwaniu klucza. Po kilku sekundach krążenia w ciemności nasz bohater znalazł pokój i zatrzymał się przed drzwiami w pozie, którą ktoś podpatrujący go z pobliskich okien uznałby za objaw nedorzecznego uszanowania. Dla młodego Harringtona izba ta jednak była czymś znacznie więcej niż nędzną norą, w której chowałby się ktoś, kto nie ma gdzie paść martwy. Andrew nie wrócił do niej od tamtej fatalnej nocy, choć dzięki swoim pieniądzom utrzymał ją w nietkniętym stanie – takim, jaki zachował w pamięci. Co miesiąc w ciągu minionych ośmiu lat wysyłał jednego ze swoich służących, aby zapłacił czynsz za tę izdebkę, tak żeby nie wynajął jej nikt inny, ponieważ gdyby młodzieniec pewnego dnia zapragnął tu wrócić, nie chciał zastać niczyich innych śladów, jak tylko te zostawione przez Marie. Liczony w pensach czynsz był dla niego drobnostką, a pan McCarthy nie krył zachwyty, że taki majątny kawaler, i najwyraźniej rozpustny, ma kaprys, by utrzymywać tę dziurę w nieskończoność, ponieważ po tym, co wydarzyło się w tych czterech ścianach, było bardzo wątpliwe, by ktoś się odważył tam sypiać. Andrew zrozumiał teraz, iż w głębi serca zawsze wiedział, że tu wróci, że wiodąca do końca ceremonia nie mogłaby się dokonać nigdzie indziej.

Otworzył drzwi i powiódł melancholijnym spojrzeniem po pokoju. Była to maleńka izdebka, nieco tylko bardziej wyszukana niż sterta śmieci: wśród odrapanych murów garstka żalosnych mebli, między innymi wysłużone łóżko, pociemniałe lusterko, skromna drewniana skrzynia, sparszywiały komi-

nek i kilka krzesel, które wyglądały, jakby się miały rozpaść, gdy usiądzie na nich bodaj mucha. Znowu go zaskoczyło, że można żyć w takim miejscu. Lecz czy przypadkiem nie był tu szczęśliwszy niż w luksusowej posiadłości Harringtonów? Jeśli raj każdego człowieka znajduje się gdzie indziej, jak gdzieś przeczytał, jego eden mieścił się bez wątpienia tutaj, w zakątku, do którego zaprowadziła go mapa składająca się nie z rzek i dolin, tylko z pocałunków i pieśczot.

I rzeczywiście pojawiła się pieśczota, ale odczuwalna jak lód przyłożony do nasady karku – dzięki niej spostrzegł, że nikt się nie potrudził, by naprawić zepsute okno mieszczące się na lewo od drzwi. Po co. McCarthy najwidoczniej należał do tego rodzaju ludzi, którzy starają się pracować jak najmniej i nie ciężiej, niż to konieczne, a gdyby został upomniany, że nie wstawił szyby, zawsze mógł szukać wymówki, że najemca życzył sobie pozostawić wszystko w takim stanie, jak było, i prośba ta, jego zdaniem, obejmuje również okno. Andrew westchnął. Nie miał pod ręką niczego, czym mógłby zasłonić dziurę, więc postanowił zabić się w płaszczu i kapeluszu. Usiadł na jednym z krzesel, wyjął zawartość kieszeni i zaczął powoli odwijać broń z gałganka, jakby odprawiał jakieś nabożeństwo. Colt lśnił w księżycowej poświacie, która z trudem przebijała się przez lepkie od brudu okienko.

Pogłodził broń, jak gdyby to był kot zwinięty na jego kolanach, a jednocześnie jeszcze raz zatracił się w uśmiechu Marie. Wciąż go zaskakiwało, że wspomnienia tamtych pierwszych dni zachowują powab świeżych róż. Przypominał sobie wszystko nadzwyczaj żywo, jakby od tamtych wydarzeń nie dzieliła go przepaść ośmiu lat, a czasami owe wspomnienia wydawały mu się piękniejsze od prawdziwych faktów. Jaka dziwna alchemia sprawiała, że kopie postrzegał jako bardziej niezwykle niż oryginały? Odpowiedź była oczywista: upływ czasu, który przemienia bulgot teraźniejszości w skończony, niezmienny obraz zwany przeszłością, płótno zawsze malowane na ślepo kilkoma chaotycznymi pociągnięciami pędzla, a dopiero wtedy nabierające sensu, kiedy malowidło zostanie odsunięte na tyle, by je podziwiać w całości.

Kiedy po raz pierwszy skrzyżowały się ich spojrzenia, ona była nieobecna. By się zakochać w Marie, Andrew nie musiał jej mieć przed sobą, co okazało się tyleż romantyczne, ile paradoksalne. Zdarzyło się to w rezydencji jego wuja przy Queen's Gate, naprzeciw Muzeum Historii Naturalnej, w miejscu, które młodzieniec uważał prawie za swój drugi dom. On i jego kuzyn byli w tym samym wieku, dzięki czemu wychowywali się niemal razem, do tego stopnia, że ich niańki czasem zapomniały, któremu z dwóch małych paniczów która służy. I jak się łatwo domyślić, dostatek oraz pozycja społeczna uchroniły ich od trudności i nieszczęść, pokazując im wyłącznie przyjemną stronę życia, w związku z czym mylnie uważali je za niekończące się pasmo uciech, w których wszystko wydaje się dozwolone. Wymienianie się dziecinnymi zabawkami niepostrzeżenie przeszło w wymienianie się podbojami typowymi dla wieku dorastania. Potem młodzieńcy – zaintrygowani tym, jak daleko może sięgać bezkarność, którą się ewidentnie cieszyli – zaczęli wspólnie planować strategie przesuwania granic tego, co dopuszczalne. Ich pełne fantazji pomysły i psoty, w większym lub mniejszym stopniu świadczące o zdeprawowaniu, okazywały się tak znakomicie skoordynowane, że po kilku latach trudno było nie postrzegać obu paniczów jako jednego bytu, po części dlatego, że współdziałali ze sobą jak bliźniacy, a ponadto z powodu takiego samego wyniosłego sposobu patrzenia na życie oraz podobieństwa fizycznego: obaj byli smukli i ruchliwi jak goniec na szachownicy i odznaczali się tym rodzajem delikatnej urody, jaki charakteryzuje kościelne archanioły i chroni przed przyganami, szczególnie ze strony kobiet, co zostało udowodnione podczas pobytu młodego Harringtona w Cambridge, gdzie ustanowił rekord podbojów, którego do tej pory nikomu nie udało się pobić. Niepokojące podobieństwo objawiało się również tym, że korzystali z usług tych samych krawców i kapeluszników. Zdawało się, że ich wzajemny mimetyzm będzie trwać wiecznie, aż do momentu, gdy – bez ostrzeżenia, jak gdyby Bóg chciał naprawić własny brak kreatywności – ów absurdalny dwugłowy twór rozpadł się nagle na dwie wyraźnie różne połówki: Andrew stał się młodzieńcem milczącym i ostrożnym, podczas gdy Charles wciąż doskonalił się w roli lekkoducha. Nie przerwało to jednak przyjaźni, której sprzyjały więzy krwi. Nieoczekiwany rozpad nie tyle ich od siebie oddalił, ile sprawił, że zaczęli się wzajemnie uzupełniać: beztraska nonszalancja Charlesa znajdowała przeciwagę w eleganckiej melancholii jego kuzyna, którego ów kapryśny sposób korzystania z uciech życia zdawał się nie satysfakcjonować. Charles z sarkazmem obserwował, jak Andrew trzodzi się, aby nadać swoim dniom inny sens, jak snuje się z kąta w kąt w skrytości ducha rozczarowany, czekając na oświecenie, które nie nadchodzi. Andrew zaś z rozbawieniem przyglądał się, jak jego kuzyn wyrusza w świat w wyzywającym kostiumie młodzieńczej powierzchowności, podczas gdy niektóre z jego gestów i opinii zdradzają duszę równie rozczarowaną jak jego własna, mimo że na pierwszy rzut oka w planach młodego Winslowa nie mieściło się, aby przestał korzystać z tego, co posiada. Nie, Charles żył intensywnie, jakby mu brakowało zmysłów do pełnego używania świata, tymczasem Andrew mógł całymi dniami przesiadywać w kącie i kontemplować usychającą mu w dłoniach różę.

Tego sierpnia, kiedy zdarzyło się to wszystko, obaj właśnie skończyli osiemnaście lat i choć żaden nie zdradzał przejawów ustatkowania się, przeczuwali, że owo próżniacze życie nie może się ciągnąć zbyt długo, że wcześniej czy później ich ojcowie znużą się tym bezproduktywnym nieróbstwem i znajdą dla synów jakieś mało istotne stanowiska w którymś z rodzinnych przedsiębiorstw, choć na razie zabawnie było sprawdzać, jak bardzo jeszcze można przeciągać strunę. Charles zaczął już w niektóre poranki odwiedzać biura, by się zajmować pomniejszych zamówieniami, Andrew jednak wolał czekać, aż jego nuda przepełni czarę na tyle, by zatrudnienie w rodzinnym biznesie okazało się

dla niego raczej ulgą niż wyrokiem. Bądź co bądź jego brat Anthony już usatysfakcjonował swego ojca pod tym względem, tak że znamienity William Harrington mógł sobie pozwolić na to, by jego drugi syn jeszcze przez kilka lat odgrywał rolę zbłąkanej owieczki pod warunkiem, że nie straci go z pola widzenia. Ale Andrew właśnie to zrobił. Zbyt oddalił się od ojca. I teraz zamierzał oddalić się jeszcze bardziej, zupełnie zniknąć, niwecząc zarazem jakiejkolwiek możliwości odratowania.

Nie przeciągajmy jednak dramatyzmu i kontynuujmy opowieść. Andrew przybył tamtego popołudnia do posiadłości Winslowów, aby wraz ze swoim kuzynem Charlesem zaplanować niedzielną wycieczkę z czarującymi siostrami Keller. Jak mieli w zwyczaju, wybierali się nad Serpentine, na niewielką, usianą kwiatami łączkę w Hyde Parku, gdzie na ogół zastawiali swoje sentymentalne pułapki. Charles jednak jeszcze spał i jego lokaj skierował gościa do biblioteki. Andrew nie miał nic przeciw temu, by tam poczekać, aż kuzyn odzyska postawę pionową, ponieważ dobrze się czuł w otoczeniu tych wszystkich książek, od których to jasne pomieszczenie nabrało szczególnego, gęstego zapachu. Jego ojciec chętnie się, że posiada w swym domu okazały księgozbiór, lecz w bibliotece kuzyna znajdowały się nie tylko mętne traktaty polityczne i rozprawy z innych, równie nudnych dziedzin. Tu można się było natknąć na dzieła klasyczne i powieści przygodowe, od Verne'a do Salgariego, a także – i to najbardziej interesowało młodego Harringtona – przykłady zdumiewającej, cokolwiek dziwacznej literatury, którą wielu oskarżyłoby o bzdurną błahość. Były to powieści, których autorzy bez żadnego ostrzeżenia puszczali wodze fantazji, przez co ocierali się o niedorzeczność lub otwarcie w nią popadali. Jak każdy wrażliwy czytelnik, Charles z upodobaniem czytał *Odyseję* czy *Iliadę* Homera, ale by się naprawdę dobrze bawić, zagłębiał się w lekturze absurdalnej *Batrachomachii*, dzieła, w którym ślepy poeta sparodiował własną epicką narrację, opisując walkę myszy z żabami. Andrew pamiętał kilka napisanych w takim duchu książek, które pożyczał mu kuzyn, jak *Historia prawdziwa Lukiana z Samosat*, zbiór baśniowych podróży na pokładzie latającego statku, włącznie z tą, w której główny bohater przybywa aż na samo Słońce, a nawet przeciska się przez brzuch olbrzymiego wieloryba, czy *Człowiek na Księżycu* Francisa Godwina, pierwsza opowieść traktująca o podróży międzyplanetarnej – tu tytułową rolę odgrywa Hiszpan, Domingo Gonzalez, lecący na Księżyc maszyną napędzaną przez stado dzikich gęsi. Owe popisy ludzkiej fantazji w pojęciu młodego Harringtona nie były niczym więcej niż strzelaniem ślepymi nabojami, które nie zostawiają w powietrzu żadnego śladu, rozumiał jednak – albo uważał, że rozumie – dlaczego tak bardzo podobają się jego kuzynowi. W jakiś sposób ta literatura, odrzucana przez większość ludzi, była pionem wyznaczającym w duszy Charlesa równowagę. Stanowiła przeciwwagę, która zapobiegała nadmiernemu przechyłowiu w stronę patosu lub melancholii – coś, co przydarzyło się jemu, Andrew, ponieważ nie umiał zarazić się tym niepoważnym sposobem postrzegania świata i wszystko odbierał boleśnie dogłębnie, postrzegał jako przesiąknięte tą absurdalną powagą, którą ulotność życia nieuniknioną koleją losu nadaje najbardziej błahym działaniom.

Tego popołudnia jednak Andrew nie miał czasu, by wziąć do ręki którąś z książek. Nie zdążył nawet przejść przez pokój, kierując się do biblioteczki, ponieważ w połowie drogi jego uwagę przykuła zachwycająca dziewczyna, której nigdy dotąd nie widział. Utknął w miejscu, patrząc na nią w oszołomieniu, a czas zdawał się gęstnieć, chwilowo nie płynąć, aż w końcu Andrew odważył się powoli podejść do portretu i przyjrzeć mu się z bliska. Młoda kobieta miała na głowie kapelusik z czarnego aksamitu, a na szyi – kwiecistą chusteczkę. Być może nie była piękna, jeśli się odwołamy do uniwersalnych kanonów urody, musiał to przyznać sam Andrew, ponieważ nos wydawał się za duży do jej twarzy, oczy osadzone nieco zbyt blisko siebie, a rudawe włosy cokolwiek zniszczone. Równie pewne było jednak, że owa nieznajoma odznacza się urokiem tyleż nieokreślonym, co bezsprzecznym. Nie wiedział, co go dokładnie w niej tak urzekło. Może to kontrast między jej kruchą sylwetką a

emanującą ze spojrzenia siłą, spojrzenia, jakiego do tej pory nie napotkał podczas żadnego ze swoich podbojów: twardego i stanowczego, a zarazem mającego w sobie odrobinę delikatnej prostoduszności, jak gdyby ta kobieta zmuszona była na co dzień stawiać twarzą w twarz z najbardziej zepsutą stroną świata, a mimo to nocami, w ciemności własnego łóżka wciąż wierzyła, że to tylko przychodzące nie w porę złudzenie, iluzja, która wkrótce zniknie, ustępując miejsca przyjemniejszej rzeczywistości. Było to spojrzenie kogoś, kto pragnie czemuś zaprzeczyć, przyjąc, że to nigdy się nie wydarzy, ponieważ pozostała tylko nadzieja.

– Urocze stworzenie, nieprawdaż? – odezwał się Charles za plecami kuzyna.

Andrew drgnął. Tak był pochłonięty portretem, że nie słyszał, jak tamten wszedł. Skinął mu głową, podczas gdy kuzyn ruszył w stronę barku. Nie znalazłby trafniejszego określenia na to, co go podekscytowało w tym portrecie, jak pragnienie, by chronić tę kobietę, przemieszane z zachwytem, który mógł jedynie porównać – nie bez pewnego zawstydzienia z powodu niewłaściwości tego podobieństwa – do uczucia, jakie wywoływały u niego koty.

– Podarowałem to ojcu na urodziny – wyjaśnił Charles, podając gościowi brandy. – Wisi tutaj dopiero od kilku dni.

– Kto to jest? – zapytał Andrew. – Nigdy jej nie widziałem na żadnym z przyjęć u lady Holland ani u lorda Broughtona.

– Na tych przyjęciach? – Charles roześmiał się. – Zaczynam wierzyć, że ten malarz ma możliwości. Ciebie też zwiódł.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał młody Harrington, biorąc kieliszek, który mu wręczył kuzyn.

– Sądzisz, że podarowałem ten obraz ojcu ze względu na jego artystyczne zalety? Czy uważasz, kuzynie, że ten portret jest godzien moich oczu? – Charles wziął go pod ramię i zmusił do zrobienia kilku kroków w stronę malowidła. – Przyjrzyj mu się lepiej. Zwróć uwagę na pociągnięcia pędzlem: nie kryje się za nimi szczególny talent. Autor nie jest nikim więcej jak tylko zabawnym uczniem Edgara Degasa. Tam, gdzie paryżanin traktuje temat łagodnie, ten jest natarczywie ponury.

Andrew nie znał się wystarczająco na malarstwie, żeby dyskutować z kuzynem na ten temat, a jedynie, co go naprawdę interesowało, to tożsamość modelki, zatem przytaknął posłusznie, dając do zrozumienia, że zgadza się z jego osądami: byłoby lepiej, gdyby ten malarz zajął się naprawą rowerów. Charles uśmiechnął się rozbawiony sposobem, w jaki jego kuzyn odmówił wdawania się w dyskusję nad obrazem, która jemu pozwoliłaby się popisać znajomością malarstwa, i wreszcie oznajmił:

– Wręczyłem mu go z innego powodu, drogi kuzynie.

Opróżnił swój kieliszek jednym haustem i jeszcze przez kilka sekund przyglądał się portretowi, z zadowoleniem potrząsając głową.

– I jaki to powód, kuzynie? – zagadnął w końcu niecierpliwie Andrew.

– Sekretna uciecha, jaką mi sprawia świadomość, że mój ojciec, nienawidzący pospólstwa, jakby to były istoty niższe od nas, powiesił sobie w bibliotece portret zwykłej prostytutki.

Jego słowa oszołomiły młodego Harringtona.

– Prostitutki? – zdołał wykrztusić.

– Tak, kuzynie – odpowiedział Charles z uśmiechem satysfakcji rozciągającym się na całą twarz. – Ale nie ladacznicy pracującej w jednym z tych wybranych domów publicznych mieszczących się przy Russell Square ani też żadnej z tych, które pojawiają się w parku przy Vincent Street, lecz brudnej, parszywej dziwki z Whitechapel, której zdeprawowany seks pozwala uciec od nędzy i nieszczęść tego świata, i to za trzy żałosne pensy.

Andrew pociągnął łyk brandy z zamiarem przetrawienia słów kuzyna. Ta rewelacja zaskoczyła go,

nie dało się zaprzeczyć, jak bez wątpienia zaskoczyłaby każdego, kto widział ten portret, ale zarazem wywołała wrażenie jakiegoś nedorzecznego oszustwa. Ponownie wbił wzrok w wizerunek, próbując zrozumieć powód swego zniesmaczenia. Ta słodka istota jest pospolitą dziwką. Teraz ujrzał w niej stop ognia i rozgoryczenia, które pały w jej oczach i tak dobrze zostały oddane przez artystę. Młodzienc jednak nie mógł zaprzeczyć, że jego rozczarowanie wynikało ze znacznie bardziej egoistycznego powodu: ta kobieta nie należała do jego świata, a to oznaczało, że nigdy nie będzie mógł jej poznać.

– Kupiłem ten obraz dzięki Bruce’owi Driscollowi – wyjaśnił Charles, znów nalewając brandy do dwóch kieliszków. – Pamiętasz Bruce’a?

Andrew skinął głową bez szczególnego entuzjazmu. Bruce był przyjacielem jego kuzyna, który z nudów i nadmiaru pieniędzy został kolekcjonerem sztuki. Zarozumiały i beczynny młodzieniec nie przepuścił żadnej okazji, aby przytłoczyć słuchaczy swoimi wywodami na temat malarstwa.

– Wiesz, jak bardzo Bruce lubi przeszukiwać zakamarki – powiedział Charles, podając kuzynowi nowy kieliszek trunku. – Ostatnio, kiedy się widzieliśmy, powiedział mi o malarzu, którego pracę odkrył podczas jednej ze swych przechadzek po targowiskach. Niejakim Walterze Sickercie, członku Nowego Angielskiego Stowarzyszenia Artystów. Miał pracownię przy Cleveland Street i chętnie przedstawiał prostytutki z East Endu, jakby były damami. Kiedy go odwiedziłem, nie mogłem się oprzeć i kupiłem jego najnowsze dzieło.

– Mówił ci coś o niej? – zapytał Andrew, starając się ukryć zainteresowanie.

– O dziwce? Powiedział mi tylko, jak się nazywa. Zdaje się, że Marie Jeannette.

– Marie Jeannette – mruknął Andrew. Imię i nazwisko sprawiały wrażenie równie pełnych wdzięku jak kapelusik. – Dziwka z Whitechapel... – szepnął, wciąż zdumiony.

– Dziwka z Whitechapel, tak. I mój ojciec mają wystawioną w swojej bibliotece! – wykrzyknął Charles, teatralnie rozkładając ramiona w geście rozbawienia i triumfu. – Czy to nie jest po prostu genialne?

Potem Charles objął kuzyna za ramię i poprowadził do salonu, zmieniając temat. Andrew dokładała starań, by zatuszować jakoś swoje poruszenie, ale gdy wspólnie planowali zasadzkę na czarujące siostry Keller, on nie potrafił przestać myśleć o dziewczynie z portretu.

Tej nocy w swojej sypialni Andrew nie był w stanie zasnąć. Gdzie jest teraz kobieta z obrazu? Co robi? Przy czwartym czy piątym pytaniu zwracał się już do niej w myślach po imieniu, jak gdyby rzeczywiście ją znalazł i jakby się cieszyli nieistniejącą zażyłością. Uświadomił sobie jednak, że jest naprawdę chory, kiedy zaczął odczuwać absurdalną zazdrość o tych żebraków, którzy za kilka pensów mogli mieć to, co dla niego – mimo jego majątku – było nieosiągalne. Lecz czy na pewno? W gruncie rzeczy, biorąc pod uwagę jego sytuację, mógł tę kobietę uczynić swoją, przynajmniej w fizyczny sposób, znacznie łatwiej niż jakąkolwiek inną, i to do końca życia. Problem stanowiło tylko znalezienie jej. Andrew nigdy dotąd nie był w Whitechapel, choć słyszał o tym miejscu wystarczająco dużo, by wiedzieć, że nie jest to dzielnica godna polecenia, tym bardziej dla osoby z jego klasy społecznej. Rzecz jasna nie byłoby rozważnie zapuszczać się tam w pojedynkę, ale na Charlesa nie mógł liczyć. Młody Winslow nie zrozumiałby, że jego kuzyn woli brudny seks z tą dziwką od słodkich konfitur, które czarujące siostry Keller ukrywały pod swymi halkami, albo od plastrów miodu oferowanych przez uperfumowane ladacznice z Chelsea, do których niczym do wodopoju przybywała połowa nadzwyczaj przyzwoitych kawalerów z West Endu. Być może wy byście go zrozumieli i nawet postanowili towarzyszyć mu dla rozrywki, gdyby przedstawił wam to jako zachciankę, on sam wiedział jednak, że to, co czuje, jest zbyt silne, by dało się zakwalifikować jako kaprys. A może nie? Póki nie weźmie jej w ramiona, nie będzie wiedział, czego od niej chce. Znów zadał sobie pytanie, czy na-

prawdę tak trudno byłoby ją odnaleźć. Trzy bezsenne noce wystarczyły, by wreszcie opracował strategię.

Tak więc podczas gdy Kryształowy Pałac – przeniesiony do Sydenham po tym, jak w swoim przepastnym brzuchu ze szkła i kutego żelaza mieścił to, co najlepsze w brytyjskim przemyśle – oferował recitale organowe, balet dziecięcy, występy armii brzuchomówców, a nawet możliwość zjedzenia podwieczorku we wspaniałym ogrodzie w towarzystwie stada dinozaurów, iguanodonów i innych przedpotopowych bestii zrekonstruowanych na podstawie znalezisk z wykopalisk prowadzonych na terenie Weald w Sussex, a Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud na zawsze zakłócało nocny spokój osobom odwiedzającym słynną Komnatę Okropności, gdzie obok gilotyny, na której ścięto Marię Antoninę, cisnęły się całe szeregi szaleńców, katów i trucicieli splamionych angielską krwią, Andrew Harrington, nieświadomy radosnego nastroju, jaki ogarnął miasto, przebrał się w zwyczajne, skromne ubranie pożyczone od jednego ze służących i przyglądał się sam sobie w lustrze. Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu rozbawienia, widząc się ubranego w znoszoną kurtę i na wpół zniszczone spodnie, ze złotymi włosami przesłoniętymi naciągniętym na oczy kaszkietem. Wyglądał jak zwykły zjadacz chleba, szewc czy fryzjer, nikt nie wziąłby go za kogoś lepiej sytuowanego. W takim przebraniu polecił zadziwionemu Haroldowi, aby go zawiózł do Whitechapel. Przed wyruszeniem zażądał dyskrecji. Nikt nie powinien się dowiedzieć o tej wycieczce do najgorszej dzielnicy Londynu, ani jego ojciec, ani matka, ani jego brat Anthony, ani nawet kuzyn Charles. Nikt.

III

Aby nie zwracać na siebie uwagi, Andrew kazał zatrzymać swój luksusowy powóz na ulicy Leadenhall i poszedł pieszo do Commercial Street. Potem, po pokonaniu sporego odcinka tej cuchnącej ulicy, postanowił zebrać się na odwagę i zapuścić w płataninę zaułków składających się na Whitechapel. Wystarczyło dziesięć minut, by minął co najmniej tuzin prostytutek, które wynurzały się z mgły i proponowały mu wycieczkę na wzgórek Wenery za kilka pensów, lecz żadna z nich nie była dziewczyną z obrazu. Po odwinięciu kilku warstw ich ubioru Andrew wziąłby je za nadgryzione zębem czasu, brudne figury dziobowe. Odmawiał im uprzejmiem, nie zatrzymując się, a jednocześnie było mu ogromnie żal tych skulonych z zimna straszdeł, niemających lepszego sposobu zarobienia na życie. Rozpustne uśmiechy, którymi próbowały wykrzywić szczerbate usta, wzbudzały bardziej odrazę niż pożądanie. Czy Marie poza obrazem wygląda podobnie, pozbawiona czaru pędzla, który przekształcił ją w istotę anielską?

Szybko uświadomił sobie, że trudno ją będzie znaleźć, szukając na chybił trafił. Może dopisałoby mu szczęście, gdyby zapytał o nią bezpośrednio. Kiedy się przekonał o skuteczności swojego przebrania, postanowił wejść do The Ten Bells, zatłoczonej tawerny usytuowanej na rogu ulic Fournier i Commercial, dokładnie naprzeciw widmowego Christ Church. Jak Andrew wywnioskował, zaglądając przez okna, oberża ta wyglądała na miejsce, do którego przybywają dziwki w poszukiwaniu klientów. Dwie z nich podeszły do niego, gdy tylko dotarł do baru. Siląc się na swobodę, młodzieniec zaprosił je na pintę portera, jak najgrzeczniej odmówił im, gdy złożyły mu propozycję, i oznajmił, że poszukuje kobiety imieniem Marie Jeannette. Jedna z dziwek natychmiast się oddaliła, udając obrazę (być może nie miała ochoty marnować wieczoru z kimś, kto nie zamierzał zapłacić za żadną usługę), ale druga, wyższa, zdecydowała, że zostanie i odwdzięczy mu się za zaproszenie.

– Przypuszczam, że chodzi ci o Marie Kelly. Ta przekłeta Irlandka ma wielkie wzięcie. Prawdopodobnie o tej porze obsłużyła już kilku facetów, a będzie w Britannii, gdzie wszystkie odpoczywamy, gdy mamy uzbierane pieniądze na łóżko i jeszcze na szybkie zapicie, żeby zapomnieć o tym nędznym życiu – powiedziała bardziej z ironią niż wstrętem.

– Gdzie jest ta tawerna? – zapytał Andrew.

– Tu obok. Na rogu Crispin i Dorset Street.

Harrington nie potrafił w podzięce za informację dać kobiecie mniej niż cztery szylingi.

– Poszukaj sobie pokoju – doradził z serdecznym uśmiechem. – Noc jest za zimna, żeby spacerować po ulicach.

– O, dziękuję panu. To bardzo miło z pana strony – odpowiedziała szczerze wdzięczna.

Andrew pożegnał się, uprzejmiem dotykając ręką daszka czapki.

– Proszę mnie poszukać, jeśli Marie Kelly nie da panu tego, czego pan chce! – zawołała za nim z resztką kokieterii, którą zepsuła szczerbatym uśmiechem. – Mam na imię Liz, Liz Stride, niech pan nie zapomni.

Znalezienie Britannii nie sprawiło młodzieńcowi trudności, skromna dziura mieściła się w przyległym budynku. Mimo że wewnątrz było zaopatrzone w lampki oliwne, tonęło w dymie tytoniowymi. W głębi lokalu znajdował się duży bar, po lewej stronie dostrzegł dwa ustronne stoliki, a obszerny środek, z podłogą wysypaną trocinami, zajmowały drewniane stoły, przy których zasiadła hałaśliwa klientela. Między stołami z wielkim trudem przeciskał się zastęp karczmarek w lepiących się od brudu fartuchach – niczym akrobatki balansowały z napełnionymi po brzegi mosiężnymi dzbanami piwa. W kącie rozpadające się pianino oferowało czarną z brudu klawiaturę palcom, które miałyby ochotę

ożywić wieczorne spotkanie. Andrew dotarł do baru, całego zastawionego dzbanami wina, lampami oliwnymi i talerzami sera pokrojonego w tak ogromne bloki, że bardziej przypominały kawałki gruzu odratowane z jakiegoś rumowiska. Zapalił papierosa od jednej z lampek, poprosił o pintę piwa i opierając się o kontuar, przyglądał się dyskretnie zgromadzonym gościom, a jednocześnie marszczył nos z powodu napływającej z kuchni silnej woni podgrzewanych kiełbasek. Tak jak go poinformowano, było tu znacznie spokojniej niż w The Ten Bells. Przy większości stołów siedzieli żeglarze na przepustce i miejscowi ludzie ubrani równie skromnie jak on, zauważył też jednak kilka grup prostytutek zajętych upijaniem się. Sączył swoje piwo, próbując rozpoznać Marie Kelly, ale żadna z nich nie pasowała do zapamiętanego obrazu. Przy trzecim kuflu zaczął wpadać w przygnębienie i zastanawiać się, co tutaj u diabła robi, ścigając jakieś złudzenie.

Postanowił już sobie pójść, gdy otworzyła drzwi lokalu. Rozpoznał ją od razu. To była dziewczyna z portretu, nie miał najmniejszej wątpliwości, jednak zdała mu się znacznie piękniejsza, dodatkowo obdarzona wdziękiem wynikającym z ruchu. Wyglądała na wyczerpaną, ale poruszała się z tą samą energią, którą Andrew przeczuwał, oglądając jej wizerunek na płótnie. Większość bywalców pozostała nieczuła na jej wdzięki. Młodzieniec zastanawiał się, jak to możliwe, że nikt nie zareagował na ten mały cud, który właśnie dokonał się w tawernie. Owa jednomyślna obojętność sprawiła, że poczuł się niczym uprzywilejowany świadek wspaniałego zjawiska. Mimowolnie przypomniał sobie chwilę z dzieciństwa, gdy obserwował, jak wiatr niewidzialnymi palcami porywa z drzewa liść i każe mu tańczyć na powierzchni kałuży; liść wiruje jak bąk do momentu, gdy jego występ przerywa koło przejeżdżającego wozu. Mały Andrew odniósł wówczas wrażenie, że siły natury sprzymierzyły się, aby wykonać tę prestidigitatorską sztuczkę dla jednego widza. Od tego czasu żywił przeświadczenie, że świat urządza eksplozje wulkaniczne ku czci ludzkości, jednak pewną szczególną czułość okazuje, gdy kontaktuje się z garstką wybrańców, jednostek, które podobnie jak on bacznie przypatrują się rzeczywistości, jak gdyby był to arkusz tapety zakrywającej coś innego. Zdumiony patrzył, jak Marie Kelly kieruje się w jego stronę, jakby go znała. To sprawiło, że serce mu przyśpieszyło, uspokoił się jednak trochę, kiedy kobieta oparła się łokciem o bar i poprosiła o pół pinty piwa, nawet na niego nie spojrzawszy.

– Jak ci mija noc, Marie? – zagadnęła ją karczmarka.

– Nie mogę narzekać, pani Ringer.

Andrew przełknął ślinę, o mało nie mdlejąc. Oto miał ją u swojego boku. Nie mógł w to uwierzyć, lecz tak było. Właśnie usłyszał jej głos. Zmęczony, nieco ochrypli, ale i tak piękny. A gdyby się skupił, odrzucił z wdychanego powietrza woń palonego tytoniu i kiełbasek, przypuszczalnie mógłby również wyczuć jej zapach. Zapach Marie Kelly. Oczarowany przypatrywał się jej z czcią, przy każdym z jej gestów stwierdzając, że go już zna. W taki sam sposób, jak muszla morska gromadzi w swoim wnętrzu furie oceanu, to kruche ciało zdawało się zawierać w sobie siły natury.

Kiedy karczmarka postawiła piwo na kontuarze, Andrew zrozumiał, że nadarza się okazja, której nie może zmarnować. Pośpiesznie sięgnął do kieszeni i wyprzedził dziewczynę z płaceniem.

– Pozwoli pani, że ją zaproszę? – rzekł.

Ten gest, równie dżentelmeński co nagły, sprawił, że Marie Kelly zmierzyła go otwarciem taksującym wzrokiem. Sparaliżowało go, gdy stał się celem jej oczu. Jak pozwalał przewidzieć obraz, spojrzenie dziewczyny było piękne, ale zdawało się pogrzebane pod warstwą goryczy. Bezwiednie porównał ją z łąką maków, którą ktoś postanowił wykorzystać jako wysypisko. Poczuł się jednak zalany światłem, i to nieodwracalnie. Chciał, aby to krótkie skrzyżowanie spojrzeń okazało się dla niej równie ważne jak dla niego, ale niektórych rzeczy – i tu proszę o wybaczenie, jeżeli są wśród was jakieś romantyczne dusze – nie da się wyrazić spojrzeniem. W jaki sposób Andrew mógł ją uczynić współ-

uczestniczką tego niemal mistycznego uczucia, które go w tym momencie ogarnęło, jak mógł jej wyjaśnić jedynie za pomocą oczu, że właśnie odkrył, iż szukał jej przez całe życie, nie wiedząc o tym? A jeśli dodamy do tego fakt, że żywot, jaki wiodła Marie Kelly do tej pory, nie przygotował jej specjalnie na dostrzeganie subtelności świata, nie można się dziwić, iż ta pierwsza próba – aby to jakoś nazwać – komunii duchowej była skazana na porażkę. Andrew oczywiście robił, co mógł, ale dziewczyna rozumiała jego żarliwe spojrzenie w taki sam sposób, w jaki interpretowała zachowanie pozostałych mężczyzn, którzy zbliżali się do niej co noc.

– Dziękuję panu – odparła, odruchowo uśmiechając się nieprzyzwoicie, czego prawdopodobnie trudno jej było uniknąć.

Andrew starał się ruchem głowy ująć nieco powagi gestowi, któremu przypisywał podstawowe znaczenie. Z przerażeniem odkrył, że mimo skrupulatnie obmyślonemu planu nie zastanowił się, jak powinien rozpocząć rozmowę, kiedy już będzie miał dziewczynę przed sobą. Co jej należy powiedzieć? Gorzej: co można powiedzieć dziwce? A dokładniej: dziwce z Whitechapel. W przypadku prostytutek z Chelsea nigdy się zbytnio nie wysilał na pogawędki, wystarczyło kilka słów, by ustalić pozycję czy oświecenie pokoju, a z czarującymi siostrami Keller i pozostałymi zaprzyjaźnionymi kobietami – damami, których nie należało zaprzętać sprawami rządu ani teoriami Darwina – rozmawiał o błahostkach: paryskiej modzie, botanice czy ostatecznie spirytyzmie, modnej ostatnio rozrywce, której oddawała się większość osób. Żaden z tych tematów jednak nie wydawał się odpowiedni dla kobiety w niewielkim stopniu zainteresowanej wywołaniem jakiegoś ducha swata, by jej wyjawiał, który z licznych adoratorów ostatecznie zostanie jej mężem. Młodzieniec ograniczył się zatem do patrzenia. I patrzył na nią oczarowany. Na szczęście Marie Kelly знаła skuteczniejszy sposób przełamania lodów.

– Wiem, czego pan chce, choć z nieśmiałości wzbrania się pan o to prosić – powiedziała z jeszcze wyraźniejszym uśmiechem i dodała do tego ulotną pieszczotę dłonią, od czego aż dostał gęsiej skórki. – Może pan spełnić swe marzenia za trzy pensy. Przynajmniej tej nocy.

Andrew patrzył na nią poruszony – sama nie wie, ile ma racji. Była jego marzeniem przez ostatnie noce, jego najgłębszym pragnieniem, najbardziej palącym pożądaniem, a teraz, choć nie potrafił w to uwierzyć, mogła wreszcie należeć do niego. Sama myśl, że będzie mógł jej dotknąć, pieścić to smukłe ciało rysujące się pod znoszonym ubraniem, wrywać głębokie jęki z tych ust, a jednocześnie sam eksplodować w płomieniach na oczach tej nieposkromionej istoty, tego sponiewieranego, niemożliwego do wytresowania zwierzęcia, sprawiła, że od stóp do głów przebiegł go dreszcz podniecenia. Jednak owo podekscytowanie natychmiast zaczęło się przekształcać w dogłębny smutek, gdy Andrew uświadomił sobie, jak niesprawiedliwie ten zagubiony anioł został potraktowany przez życie, z jaką łatwością może tę kobietę obmacywać ktokolwiek, zniesławiać w jakimś brudnym zaułku, i nikt w całym wszechświecie nie wypowie przy tym najmniejszej skargi. Czy właśnie po to zostało powołane do życia tak szczególne istnienie? Nie pozostało mu nic innego, jak przyjąć jej propozycję, i zrobił to ze ściśniętym gardłem, zawstydzony i przygnębiony, że musi podążyć tą samą ścieżką co wszyscy pozostali, jakby jego zamiary nie różniły się od tych, które ma cała reszta jej klientów. Po uzgodnieniu sprawy Marie Kelly uśmiechnęła się z entuzjazmem, który młodzieńcowi wydał się mechaniczny, i ruchem głowy wskazała, żeby wyszli z pubu.

Andrew dziwnie się czuł, idąc w ten sposób za dziwką – drobiać za jej plecami maleńkie kroczyki jak wróbel, jak gdyby Marie Kelly prowadziła go raczej na szafot zamiast do zagłębienia między swoimi udami. Lecz może to spotkanie mogłoby się rozwinąć inaczej? Odkąd natknął się na ten obraz u swego kuzyna, nie robi nic, tylko zapuszcza się w obcy sobie teren, gdzie nie potrafi się orientować, ponieważ żaden szczegół ścieżki nie wydaje mu się znajomy, wszystko jest nowe i sądząc po

opustoszałych uliczkach, które przemierzali, może też być niebezpieczne. Może prostytutka bezwiednie wciąga go w pułapkę, jakie czasami urządzają sutenerzy. Zastanawiał się, czy Harold usłyszałby stąd jego krzyki, a jeśli tak, czy pofatygowałby się i przybył mu na ratunek, czy raczej skorzystał z okazji i zemścił się za lekceważące traktowanie, jakiego zaznawał od swego pana przez te wszystkie lata. Przeszedłszy odcinek Hanbury Street, błotnistej ulicy oświetlonej jedynie wiszącą na rogu latarnią oliwną, Marie Kelly zachęciła młodzieńca, by ruszył z nią wąskim przejściem tonącym w gęstej ciemności. Andrew podążył za nią przekonany, że na pewno tu umrze albo przynajmniej zostanie starannie obity przez znacznie większych od siebie osiłków, którzy najpierw okradną go i zostawią w skarpetach, po czym spluną z pogardą na jego skrwawioną skórę. Skoro wędrują przez taką dzielnicę, jego nedorzeczna przygoda równie dobrze może się skończyć w ten sposób. Nie było jednak nawet czasu, by strach dojrzał w jego piersi, ponieważ dotarli na jakieś podwórko, cuchnące, brudne i zalane wodą, gdzie – ku zaskoczeniu młodzieńca – nikogo prócz nich nie było. Andrew rozejrzał się podejrzliwie. W rzeczy samej: choć wydawało się to dziwne, byli sami. Świat, z którego uciekli, dawał o sobie znać stłumionym pomrukiem, w którym można było rozróżnić bicie dzwonów z jakiegoś odległego kościoła. U stóp młodzieńca odbijał się w kałuży księżyc, a woda wyglądała niczym zmięty list, który jakaś rozzłoszczona kochanka rzuciła na ziemię.

– Tu nam nie będą przeszkadzać, proszę pana – uspokoiła go Marie Kelly. Oparła się o ścianę i przyciągnęła młodzieńca do siebie. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, dziwka pomanipulowała przy zapięciu jego spodni i wyjęła penisa. Zrobiła to zadziwiająco naturalnie, bez podniecającego ceremoniału, do którego przyzwyczyły go prostytutki z Chelsea. Obojętność, z jaką wzięła go i zaraz ukryła pod swoimi zadartymi spódnicami, wyraźnie świadczyła o tym, że to, co dla niego miało wymiar magicznego momentu, dla niej nie było niczym więcej niż czystą rutyną.

– Już jest w środku – zapewniła.

W środku? Andrew miał na tyle doświadczenia, by wiedzieć, że dziwka go okłamuje, że tylko wsunęła sobie penisa między uda. Przypuszczał, że chodzi o jakąś popularną wśród tych kobiet strategię, sztuczkę, dzięki której, jeśli dopisze im szczęście i klient niczego nie zauważy lub będzie wystarczająco pijany, udaje im się uniknąć penetracji i zmniejszyć liczbę pośpiesznych wtargnięć, które zmuszone są znosić codziennie, a także ustrzec się kłopotliwych ciąż, do których zapewne prowadziły tak obfite ilości spermy. Świadom tego, Andrew zaczął pchać z zapałem, gotów posłusznie uczestniczyć w przedstawieniu, ponieważ w gruncie rzeczy wystarczało mu, aby pocierać swoją wzwiedzioną męskość o jedwabistą skórę jej ud oraz czuć jej ciało przy swoim, przynajmniej póki trwa udawanie. Czy miało jakieś znaczenie, że wszystko to jest farsą, jeśli tak czy inaczej ta urojona penetracja pozwoliła mu pokonać odległość narzuconą przez przyzwoitość i wedrzeć się w intymną zażyłość znaną tylko kochankom? Czuć na swoim uchu jej gorący oddech, wdychać ulotny zapach bijący od jej szyi, móc ją obejmować i czuć, jak jej kształty dopasowują się do jego ciała – wszystko to miało nieukończenie większą wartość niż trzy pensy. I przyniosło ten sam efekt co inne, większe przedsięwzięcia, gdy tylko odkrył ze zmieszaniem, jak szybko wylał nasienie na jej halki. Cokolwiek zawstydzony swoją znikomą wytrzymałością, dokończył wytrysk, wycofał w milczeniu penisa i trwał przyciśnięty do niej niczym więzień wzniosłego transu, aż poczuł, że kobieta odsuwa się od niego niecierpliwie. Odstąpił od niej nieco zmieszany. Nieświadoma jego niepokojów dziwka poprawiła spódnicę i wyciągnęła rękę po zapłatę. Andrew pośpiesznie wręczył jej umówioną sumę, starając się odzyskać opanowanie. Pieniądze, które miał w kieszeniach, wystarczyłyby, żeby kupił sobie z nią całą noc, ale wolał napawać się tym, czego właśnie doświadczył, w zaciszu własnego łóżka, i wymóc na niej obietnicę spotkania na drugi dzień.

– Mam na imię Andrew – przedstawił się głosem piskliwym z emocji. Dziewczyna rozbawiona

wniosła brew. – I chciałbym jutro znowu się z tobą zobaczyć.

– Jasne. Wie pan, gdzie mnie szukać – odpowiedziała, prowadząc go z powrotem do ciemnego przejścia.

Podążając ku głównym ulicom, Andrew zastanawiał się, czy po tym, jak spuścił się między jej udami, ma prawo objąć ją ramieniem. Doszedł do wniosku, że tak, i nawet szykował się, by to zrobić, gdy wpadli na parę zmierną w przeciwnym kierunku, w ciemnym zaułku brnącą niemal po omacku. Andrew mruknął przeprosiny pod adresem jegomościa, z którym się zderzył i który, choć w mroku zaułka wydawał się ledwie cieniem, okazał się całkiem krzepki. Szedł, obejmując dziwkę, którą Marie Kelly pozdrowiła z rozbawieniem.

– Twoja kolej, Annie – powiedziała, mając na myśli podwórko, które właśnie zostawili za sobą.

Rzeczona Annie podziękowała nieharmonijnym śmiechem i pociągnęła swego towarzysza w głąb zaułka. Andrew patrzył, jak potykając się, znikają w gęstej ciemności. Czy temu osiłkowi wystarczy, że ona weźmie jego penis między uda? Snuł takie rozważania, zastanawiając się nad łapczywością, z jaką Annie naciskała na ciało tamtego.

– Powiedziałam jej, że w tamtym miejscu będzie miała spokój – wyjaśniła obojętnie Marie Kelly, gdy wyszli na Hanbury Street, po czym ruszyła prosto do wejścia Britannii. Andrew, cokolwiek przygnębiony chłodem, jaki wciąż okazywała po ich zbliżeniu, próbował złapać orientację wśród posepnych uliczek i znaleźć swój powóz. Zajęło mu to ponad pół godziny. Wsiadając, starał się nie patrzeć na Harolda.

– Do domu, proszę pana? – zapytał ironicznie stangret.

Następnego wieczoru stawiał się w Britannii gotów pokazać się jako człowiek pewny siebie, a nie niedoświadczony, zastraszonego fircyka z poprzedniego spotkania. Powinien zapomnieć o zdenerwowaniu i udowodnić, że umie się dostosować do środowiska, aby móc roztoczyć przed dziewczyną swe wdzięki, zaprezentować jej zestaw uśmiechów i komplementów, którymi miał zwyczaj czarować damy z własnej klasy.

Marie Kelly siedziała przy stole w ustronnym miejscu zgnębiona, z głową spuszczoną nad pintą piwa. Strapienie kobiety pokrzyżowało mu plany, ale wiedząc, że nie jest zdolny z marszu zaimprovizować nic nowego, postanowił postępować według wcześniej obmyślnego planu. Zamówił przy barze piwo, dosiadł się do dziewczyny i z całą swobodą, na jaką go było stać, powiedział jej, że zna niezawodny sposób na to, by się pozbyła przygnębionej miny. Spojrzenie, które mu posłała, potwierdziło to, czego się obawiał: wygłosił wyjątkowo niefortunna uwagę. Po tej reakcji Andrew uznał, że kobieta zaraz mu odpowie, żeby się zabierał, i robi to gestem ręki, nie marnując śliny, jak ktoś odpędzający uprzykrzoną muchę, lecz ostatecznie powstrzymała się i przez kilka sekund patrzyła na niego z zainteresowaniem, aż zapewne uznała, że może się przed nim wynurzyć równie dobrze jak przed kimkolwiek innym. Pociągnęła łyk ze swojego kufła, jakby chciała przetkać sobie gardło, i poinformowała młodzieńca, że jej przyjaciółka Anne, ta kobieta, którą poprzedniej nocy minęli na Hanbury Street, została rano znaleziona zamordowana na tym samym podwórku, gdzie wcześniej byli we dwoje. Biedaczce niemal odcięto głowę, rozpruto ją od szyi po miednicę, wywleczono wnętrzności i wyjęto łono. Andrew wymamrotał: „Przykro mi”, zaskoczony i przejęty zarówno skrupulatnością mordercy, jak i tym, że sam zderzył się z nim tuż przed zabójstwem. Najwidoczniej ten klient nie zadowolony normalną usługą. Ale znajomą młodzieńca bardziej martwiło co innego. Z tego, co powiedziała, wynikało, że Anne była trzecią prostytutką zamordowaną w Whitechapel w ciągu niespełna miesiąca. Trzydziestego pierwszego sierpnia znaleziono ciało Polly Nicholls, której poderżnięto gardło na Bucks Road, przed rampą kolejową Essex, a siódmego tego samego miesiąca niejaką Marthę Tabram porzucono martwą na schodach jakiegoś pensjonatu okrutnie zadżganą krótkim nożem. Według

Marie Kelly sprawcami byli bandyci z ulicy Old Nichol, szantażyści domagający się, żeby dziwki dzieliły się z nimi zarobkami.

– Te sukinsyny nie przestaną, dopóki nie zaczniemy dla nich pracować – wypluła przez zęby.

Młodzieniec był wstrząśnięty, że tak się tu sprawy mają. Nie powinien się jednak dziwić, znajdowali się przecież w Whitechapel, zaropiałym gnojowisku, do którego Londyn odwrócił się plecami, a które gromadziło ponad tysiąc prostytutek, w tym imigrantek: niemieckich, żydowskich i francuskich. To normalne, że dźgnięcia nożem były na porządku dziennym. Marie Kelly otarła łzy, które w końcu trysnęły jej z oczu, na kilka minut pograżyła się w pełnym skupienia milczeniu, jakby na modlitwie, aż ku zaskoczeniu rozmówcy nagle otrząsnęła się ze swojego odrętwienia, wzięła go za rękę i uśmiechnęła się lubieżnie. Życie toczy się dalej. Bez względu na to, co się wydarzyło, trzeba żyć. Czy to chciała mu przekazać tym gestem? Bądź co bądź Marie Kelly nie została zamordowana i musiała żyć dalej, pełzając po tej cuchnącej dzielnicy, aby zarobić sobie na łóżko. Andrew ze współczuciem patrzył na tę dłoń z zaniedbanymi paznokciami, która teraz – ubrana w wyświechtaną rękawiczkę – spoczywała pozostawiona na jego ręce. On też potrzebował dłuższej chwili skupienia, żeby zmienić maskę, jak aktor przed wyjściem na scenę w zaciszu swej garderoby koncentruje się przed odegraniem innej roli. Dla niego również mimo wszystko życie toczyło się dalej. Śmierć dziwki nie zatrzymuje biegu świata. Poglądził więc czule dłoń kobiety, gotów do zmiany planu. Jak ktoś, kto wyciera do sucha wilgotne szkło, uwolnił swój uśmiech amanta spod welonu smutku, którym go uprzednio okrył, i po raz pierwszy spoglądając jej prosto w oczy, rzekł:

– Mam na tyle pieniędzy, żeby cię kupić na całą noc, ale nie chcę żadnych sztuczek na zimnym podwórku.

To zaskoczyło dziewczynę. Stężała na krześle, lecz uśmiech, którym obdarzył ją Andrew, natychmiast ją uspokoił.

– Mam wynajęty pokój przy Miller's Court, ale nie wiem, czy będzie odpowiedni – odparła z pewną kokieterią.

– Na pewno sprawisz, że mi się tam spodoba – odważył się powiedzieć, zadowolony z rozwiązłego tonu, jaki w końcu przybrała rozmowa, ponieważ miał go opanowany do perfekcji.

– Najpierw muszę wyrzucić tego lenia, mojego męża – oznajmiła kobieta. – Nie podoba mu się, kiedy przynoszę robotę do domu.

Andrew przyjął tę uwagę jako kolejną niespodziankę owej dziwnej nocy, nad którą najwyraźniej nie dane mu było przejąć kontroli. Starał się nie okazać rozczarowania.

– Ale jestem pewna, że przekonają go twoje pieniądze – dodała na koniec, rozbawiona reakcją młodzieńca.

Takim sposobem Andrew odkrył, że w nędznej izdebce, w której się teraz znajdował, kryje się raj. Tej nocy wszystko się między nimi zmieniło: Andrew kochał ją z taką czcią, z taką czułością wodził oczyma po jej wreszcie nagim, ułożonym poziomo ciele, że Marie Kelly poczuła, jak słabnie i rozpada się mocna zbroja, którą stworzyła, by chronić swą duszę – zmrożona powłoka miała nie dopuszczać niczego do jej skóry, trzymać wszystko za drzwiami, na zewnątrz, tam, gdzie nie może wyrządzić jej żadnej krzywdy. Ku jej zaskoczeniu pocałunki, którymi Andrew znaczył jej ciało niczym miłą wysypką, sprawiały, że jej pieszczoty stawały się coraz mniej mechaniczne. I wkrótce odkryła, że tu, w łóżku, nie leży już dziwka, lecz spragniona czułości kobieta, jaką nigdy być nie przestała. Również młodzieniec zrozumiał, że jego miłosne gesty wyzwalały prawdziwą Marie Kelly, jak gdyby ratował ją z jednego z tych zbiorników wody, w których sceniczni sztukmistrze zanurzają swoje piękne asystentki ze związanymi rękami i stopami, albo jakby doskonale się orientował w labiryncie, w którym gubiły się jego kochanki, potrafił dotrzeć tam, dokąd nie mógł się dostać nikt inny, do tego rodzaju za-

mnkniętego zakątka, gdzie wciąż żyje prawdziwa esencja dziewczyny.

Płonęli tym samym ogniem, a kiedy wygasł i Marie Kelly, utkwivszy rozmarzone spojrzenie w suficie, zaczęła mówić o wiosnie w Paryżu, gdzie się zatrzymała kilka lat wcześniej i pracowała jako modelka dla artystów, o swoim dzieciństwie w Walii oraz przy Ratcliffe Highway, Andrew zrozumiał, że to, co mu przepęlnia piersi, a czego nie czuł nigdy dotąd, to musi być miłość, ponieważ bezwiednie doświadczał wszystkiego, o czym opowiadają poeci. Poruszył go sugestywny ton, jakiego nabrał głos dziewczyny, gdy mu opisywała, jak paryskie place są ozdobione petuniami i mieczykami i jak po swoim powrocie do Londynu zobowiązała wszystkich, żeby wymawiali jej imię z francuska, ponieważ był to jedyny sposób, aby zachować owe odległe zapachy łagodzące przykrości tego świata. Dotknęła go jednak także nuta smutku, z jaką mówiła o piratach, których wieszano na moście przy Ratcliffe Highway, tak by ich zalewały przypyływy Tamizy. I taka właśnie była Marie Kelly: kontrast słodkości i goryczy, udany wybryk natury, czyste odstępstwo Stwórcy od tematu. Kiedy go zapytała, czym się zajmuje, bo wygląda na to, że mógłby ją wynająć sobie na całe życie, gdyby mu przyszła ochota, Andrew postanowił zaryzykować i powiedzieć jej prawdę, ponieważ miłość, która się pojawiła, musiała się opierać na szczerości albo nie istnieć wcale, a także dlatego, że prawda – sposób, w jaki dziewczyna oczarowała go, spoglądając z obrazu, i poprowadziła na niedorzeczną krucjatę, by w swoich poszukiwaniach zapuścił się w dzielnicę tak różną od jego świata i w końcu ją znalazł – wydała mu się piękna i niezwykła jak owe nieprawdopodobne romanse opisywane w książkach. Kiedy ich ciała znów zaczęły się szukać, wiedział, że zakochanie się w tej kobiecie nie było żadnym szaleństwem, lecz może czymś najwspanialszym w jego życiu. Wychodząc z pokoju ze wspomnieniem jej skóry na ustach, starał się nie patrzeć na Joego, jej męża, który stał oparty o ścianę, skulony z zimna.

Świtało już, gdy Harold odwiózł młodzieńca do domu. Andrew, zbyt podekscytowany, by się położyć do łóżka, chociażby po to, by błogo wspominać żywe momenty spędzone z Marie Kelly, skierował się do stajni i osiodłał jednego z koni. Od jakiegoś czasu nie zrywał się o brzasku, żeby pojeździć sobie konno po Hyde Parku o świcie, swej ulubionej porze dnia, gdy łąki są mokre od rosy, a świat wygląda, jakby nikt po nim jeszcze nie chodził. Niedorzecznością byłoby więc nie skorzystać z okazji. Wkrótce Andrew kłusował przez zagajniki rozciągające się naprzeciw posiadłości Harringtonów, śmiejąc się sam do siebie i wydając euforyczne okrzyki jak żołnierz świętujący zwycięstwo, ponieważ tak się właśnie czuł, gdy sobie przypominał pełen miłości wzrok, jakim Marie Kelly odpowiedziała na jego spojrzenie, gdy się z nim żegnała do następnej nocy. Jakby przeczytała w jego oczach, że szukał jej od lat, nie wiedząc o tym – zapewne mi to powiecie, dlatego może przyszedł stosowny moment, żeby przeprosić za moją poprzednią sceptyczną uwagę i przyznać, że owszem, nie ma rzeczy, której nie dałoby się wyrazić spojrzeniem. Wygląda na to, że spojrzenie jest bezdenną otchłanią, w której może się zmieścić wszystko. Andrew pędził więc konno ogarnięty dziką pasją, po raz pierwszy w życiu przepęlniony drżącą, ciepłą emocją, którą może należałoby nazwać właściwym słowem: szczęście. I będąc ofiarą efektu tak silnego zakochania, każdy mijany skrawek świata postrzegał w migotliwej otocze, jakby wszystkie jego elementy: ścieżki usłane opadłymi liśćmi, kamienie, krzewy, drzewa, a nawet skaczące zwinnie wśród gałęzi wiewiórki promieniowały wewnętrznym światłem. Nie sądzicie jednak, że zamierzam się pławić w opisie hektarów rozjarzonego światłem parku, dlatego że ani nie byłoby to zgodne z moimi upodobaniami, ani też prawdziwe, ponieważ mimo że postrzeganie świata przez młodzieńca uległo zmianie, krajobraz, który przemierzał, oczywiście nie – nie wyłączając wiewiórek, zwierząt przyzwyczajonych, by chadzać własnymi ścieżkami.

Po ponad godzinie intensywnego, radosnego kłusa Andrew odkrył, że wciąż pozostaje mu do spę-

dzenia prawie cały dzień, zanim wróci do skromnego łóżka Marie Kelly, zatem powinien znaleźć sobie jakieś zajęcie, by się oderwać od dręczącego uczucia, które go bez wątpienia ogarnie, jeśli się weźmie pod uwagę, że – bez względu na okoliczności, a raczej właśnie z ich powodu – czas nie biegł ze swoją normalną prędkością, lecz raczej złośliwie zwalniał. Andrew postanowił odwiedzić swojego kuzyna Charlesa, kierowany bezwładnością, która zawsze kazała mu się dzielić z nim szczęściem, chociaż tym razem nie miał najmniejszego zamiaru wyjawiać mu, w czym rzecz. Może mimo wszystko kusiło go, by się przekonać, czy kuzyn w tej nowej rzeczywistości również wyda mu się rozpromieniony; czy ta wiewiórka również będzie błyszczeć.

IV

W jadalni Winslowów wszystko było gotowe do śniadania Charlesa, który niewątpliwie nadal wylegiwał się w łóżku. Na ogromnym stole w pobliżu dużych okien służący ułożyli kilkanaście talerzy z bułeczkami, ciasteczkami i konfiturami, a także postawili kilka dzbanków po brzegi wypełnionych sokiem grejpfrutowym i mlekiem. Andrew uznał, że większość podanych specjałów zapewne trzeba będzie wyrzucić, jako że na posiłku nie spodziewano się regimentu, tylko jego kuzyna, który na pewno – wzięwszy pod uwagę jego słynny poranny brak apetytu – ograniczy się do schrupania jakiegoś ciastka, nieświadom, z jakim pietyzmem przygotowano dla niego jedzenie. Młodego Harringtona zdziwiło, że takie marnotrawienie jedzenia nagle zaczęło go martwić, od lat przecież oglądał te stoły zastawione dla nikogo, podobnie zresztą jak we własnym domu. I zrozumiał, że ta jego niezwykła reakcja będzie pierwszą z wielu podobnych, jakie wywołają wyprawy do Whitechapel, tej sterty nieczystości zamieszkaną przez ludzi gotowych zabić za okruchy ciastek, które jego kuzyn pogryzał sobie od niechcienia. Czy wszystko to rozbudzało w nim nie tylko uczucia, lecz także świadomość społeczną? To pierwsze bez wątpienia mu pasowało, lecz do drugiego nie był wystarczająco przekonany, ponieważ Andrew należał do tego rodzaju ludzi, którzy tak pieczołowicie dbają o swój wewnętrzny ogródek, że nie wystarcza im czasu, by się zajmować tym, co się dzieje na ulicy. W jego szczególnym przypadku życie podsuwało mu rozwiązanie zagadki samego siebie, otrzymywał więc studium własnej wrażliwości i własnych reakcji, a dni upływały mu na próbach dostrojenia tego dziwnego instrumentu, jakim był jego duch, do odczuwania zadowolenia z wydawanego przezeń dźwięku. Zadanie to czasami, z powodu nieustannych i cokolwiek kapryśnych przeobrażeń jego wzorców myślenia, zdawało mu się tak niemożliwe jak uporządkowanie szyku, w jakim pływają ryby w stawie, przeczuwał jednak, że dopóki nie uda mu się tego osiągnąć, nie będzie mógł się zająć tym, co się dzieje w świecie – a to dla niego zaczynało się tam, gdzie kończył się jego przyjemny, codzienny, pilnie przestrzegany scenariusz. Tak czy inaczej, powiedział sobie, byłoby interesująco zobaczyć, jak do jego świadomości przenikają troski, o których istnieniu do tej pory nie wiedział. Kto wie, może w reakcji młodeńca na wspomniane niepokoje znajdziecie rozwikłanie owej zagadki, jaką był on sam.

Wziął sobie z patery jabłko i usiadł na jednym z foteli, aby ponownie zaczekać, aż jego kuzyn wróci do świata żywych. Ugryzł owoc z uśmiechem i położył na podnóżku stopy w zabłoconych butach, rozmyślając o pocałunkach Marie Kelly, podczas których oboje słodko i wyczerpująco rekompensowali sobie tyle lat uczuciowego głodu, gdy nagle spostrzegł leżącą na stole gazetę. Okazało się, że to poranne wydanie dziennika „Star”, w którym pod wielkimi nagłówkami donoszono o zabójstwie Anne Chapman, prostytutki z Whitechapel. Notatka wyszczególniała brutalne profanacje, jakich dopuszczono się na jej ciele: nie tylko wyjęto z niego macicę, jak poinformowała młodeńca Marie Kelly, lecz także pęcherz i pochwę. Wśród innych szczegółów, jakie podawała gazeta, wymieniono, że z jednego z palców denatki zniknęły dwa tanie pierścionki. Policja najwidoczniej nie dysponowała żadnym wyraźnym śladem co do tożsamości mordercy, chociaż w wyniku przesłuchań przeprowadzonych wśród dziwki z East Endu wyłoniło się nazwisko podejrzanego – żydowskiego szewca zwanego Skórzany Fartuchem, który miał zwyczaj ograbiać je z pieniędzy, grożąc nożem. Artykułowi towarzyszyła ponura ilustracja przedstawiająca policjanta latarką oświetlającego skrwawione, leżące na chodniku ciało jakiejś kobiety. Andrew pokręcił głową. Zdążył już zapomnieć, że jego raj mieści się w samym piekle i że kobieta, którą pokochał, jest aniołem tkwiącym w pułapce na ziemi demonów. Z uwagą przeczytał trzy strony, na których przypomniano o zbrodniach popełnionych do tej pory w Whitechapel. Czuł się przy tym obco w luksusowej jadalni, gdzie nikczemności i zwyrodnienie-

nia, do jakich jest zdolny człowiek, nie mają wstępu, podobnie jak kurz stale sprzątany przez służących. Wcześniej myślał o tym, żeby dać Marie Kelly tyle pieniędzy, by uspokoiła bandę szantażystów, których obwiniała o zbrodnie, ale doniesienia prasowe niekoniecznie potwierdzały jej przypuszczenia: precyzyjne cięcia na ciałach kazały się domyślać, że domniemany zabójca zna się na chirurgii, zatem krąg podejrzanych rozszerza się na tych, którzy wykonują profesję medyka, ale policja nie wyklucza także kuśnierzy, kucharzy, golibrodów, krótko mówiąc – wszystkich obeznanym z nożem. Donoszono ponadto, że twarz mordercy ukazała się w snach jasnowiedzowi królowej Wiktorii. Andrew westchnął. Ten jasnowiedz wiedział o zabójcy więcej niż on, który zderzył się z nim na krótko przed popełnionym morderstwem.

– Odkąd to zajmują cię sprawy imperium? – zapytał uśmiechnięty Charles za jego plecami. – A, widzę, że interesuje cię kronika sensacji.

– Dzień dobry, kuzynie – przywitał się Andrew, odkładając gazetę na stół, jakby przeglądał ją wyłącznie z nudów.

– Niewiarygodne, z jaką uwagą śledzi się morderstwa popełniane na tych biednych dziwkach – stwierdził Charles, biorąc sobie kiść lśniących winogron i siadając na krześle naprzeciw gościa. – Choć wyznam ci, że ja także jestem zaintrygowany znaczeniem, jakie się przywiązuje do tak odstręczającego tematu: do śledztwa skierowano Freda Abberline’a, najlepszego psa gończego Scotland Yardu. Stało się jasne, że dla policji to wielka sprawa.

Andrew udał, że potakuje z roztargnieniem. Spoglądał przy tym przez duże okno na niebo, gdzie wiatr rozwiewał chmurę w kształcie sterowca. Młodzieniec nie chciał okazywać nadmiernego zainteresowania tą sprawą, żeby nie przyciągnąć uwagi kuzyna, ale w głębi duszy pragnął dowiedzieć się o tych zbrodniach wszystkiego, zwłaszcza że najwyraźniej ograniczały się do dzielnicy, w której mieszka jego ukochana. Jaką minę zrobiłby Charles, gdyby mu Andrew powiedział, że poprzedniej nocy wpadł na tego okrutnego zabójcę w ciemnym zaułku Whitechapel? Smutne było to, że mimo tamtego zderzenia młodzieniec nie umiałby nic powiedzieć o tym osobniku z wyjątkiem tego, że był ogromnej postury i zalatywało od niego czartem.

– Tak czy inaczej mimo zaangażowania Scotland Yardu do tej pory wysnuto tylko podejrzenia, niektóre całkiem niedorzeczne – ciągnął dalej jego kuzyn, obrywając winogrona z kiści i obracając je w palcach.

– Czy wiesz, że podejrzewa się jednego z Indian z przedstawienia Buffalo Billa, które widzieliśmy w zeszłym tygodniu, a także aktora Richarda Mansfielda, który w teatrze Lyceum gra doktora Jekylla i pana Hyde’a? Polecam ci zresztą tę sztukę: transformacja, jaką odtwarza Mansfield na scenie, jest doprawdy przerażająca.

Andrew stwierdził, że już pójdzie, i rzucił na stół resztkę swojego jabłka.

– W końcu – Charles zdawał się zamykać ten temat z niejakim znużeniem – biedaczyska z Whitechapel utworzyły bandy patrolujące ulice. Londyn rozrasta się tak gwałtownie, że siły policji nie wystarczają do zaspokojenia potrzeb miasta. Cały świat chce mieszkać w tym przeklętym tyglu. Ludzie przybywają z najodleglejszych hrabstw w poszukiwaniu lepszego życia i kończą wyzyskiwani w jakiejś fabryce, zniszczeni tyfusem albo skazani na popełnianie przestępstw, żeby móc zapłacić wygórowany czynsz za wynajęcie piwnicznej izby czy innej niewietrzanej nory. Właściwie zastanawia mnie, że tych morderców i grabieżców jest tak niewielu, zważywszy na bezkarność, jaką się mogą cieszyć. Gdyby ci kryminaliści stworzyli sobie jakąś organizację, Londyn należałby do nich, Andrew, nie ulega wątpliwości. Nie dziwi mnie, że królowa obawia się ludowego powstania, rewolucji w stylu tej, jakiej dokonali nasi francuscy sąsiedzi, ponieważ ją i całą jej rodzinę zaprowadziłaby na szafot. To imperium jest tylko fasadą, która potrzebuje coraz więcej podpór, by nie runąć. Nasze

owce i woły pasą się w Argentynie, naszą herbatę uprawiają Chińczycy i Hindusi, nasze złoto wydobywa się w Afryce Południowej i Australii, wino, które pijemy, sprowadzamy z Hiszpanii i Francji. Powiedz, kuzynie: co tak naprawdę jest nasze oprócz zbrodni? Organizując przewrót, przestępcy mogliby zawładnąć krajem. Na szczęście zło i zdrowy rozsądek rzadko idą w parze.

Andrew lubił apatycznie przysłuchiwać się dywagacjom kuzyna, na pozór nie biorąc jego słów poważnie. Skrycie jednak podziwiał jego sprzecznego ducha, sprawiającego wrażenie domu podzielonego na niekończące się pomieszczenia pozbawione wzajemnej komunikacji, przez co to, co się działo w jednym, nie miało żadnego wpływu na pozostałe. Dlatego jego kuzyn miał prawo, żyjąc wśród otaczającego go luksusu, dostrzegać najbardziej zaropiałe rany tego świata, a w następnej sekundzie już o nich nie pamiętać, nie był w stanie utrzymać ekscytującego łącznika – by podać prosty przykład – po odwiedzeniu rzeźni czy szpitala dla inwalidów. Z kolei we wnętrzu młodego Harringtona, stworzonym na podobieństwo morskiej muszli, wszystko gubiło się i rozmywało. To właśnie gdzieś tam w głębi różniło ich i wzajemnie dopełniało: Charles rozumował, Andrew czuł.

– Faktem jest, że przez owe okrutne zbrodnie Whitechapel staje się miejscem niezbyt godnym polecenia na spędzanie tam nocy, kuzynie – orzekł na końcu Charles, porzucając beztroski ton. Oparł się przy tym o stół i spojrzał znacząco na swego gościa. – A tym bardziej z dziwką.

Andrew patrzył na niego, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.

– Wiesz o tym? – zapytał.

Kuzyn uśmiechnął się.

– Służący mówią, Andrew. Powinieneś wiedzieć, że nasze najintymniejsze sekrety krążą pod wystawną podłogą pod naszymi stopami niczym podziemne rzeki – rzekł, symbolicznie poklepując dywan.

Młody Harrington westchnął. Jego kuzyn nie zostawił tu gazety przez przypadek. W rzeczywistości przypuszczalnie nawet nie spał. Charlesa bawiły tego rodzaju gierki. Skoro był pewien odwiedzin kuzyna, nietrudno sobie wyobrazić, że schował się za którymś z licznych parawanów ustawionych w ogromnej jadalni i czekał cierpliwie, aż jego roztargniony kuzyn wpadnie w przygotowaną zasadzkę – jak się też zresztą stało.

– Charles, nie chciałbym, żeby dowiedział się o tym mój ociec – poprosił.

– Spokojnie, kuzynie. Wiem, że w rodzinie wywołałoby to wzburzenie. Powiedz mi jednak: zakochałeś się w tej dziewczynie czy traktujesz to tylko jako kaprys?

Andrew się nie odezwał. Co miał mu odrzec?

– Nie musisz odpowiadać – stwierdził Charles zrezygnowanym tonem. – Obawiam się, że nie rozumiałbym żadnej z tych dwóch możliwości. Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz.

Andrew rzecz jasna nie wiedział, co robi, ale nie mógł przestać. Co wieczór niczym ćma do światła ciągnął do nędznej izdebki przy Miller's Court i bezwolnie spalał się w płomieniu, jakim była Marie Kelly. Kochali się zwykle przez całą noc, obydwójce owładnięci nieodpartym pragnieniem, jakby zostali otruci przy posiłku i nie wiedzieli, ile jeszcze godzin życia im zostało, lub jak gdyby za drzwiami świat pustoszyła jakaś nagła plaga. Andrew szybko zrozumiał, że jeśli na stoliku nocnym rozsypie wystarczająco dużo monet, oboje mogą płonąć delikatnym ogniem dłużej niż do świtu, ponieważ jego pieniądze podtrzymywały owo złudne światło, a nawet trzymały na odległość Joego, męża Marie Kelly, o którym Andrew starał się nie myśleć, podczas gdy – pod osłoną swych skromnych ubrań – spacerował z nią w plątaninie błotnistych uliczek, z jakich zdawało się składać Whitechapel. Były to przechadzki spokojne i przyjemne, pełne spotkań z koleżankami i znajomymi dziewczynami – tą wytrwałą piechotą w wojnie bez okopów, watahą biedaczyn, które co rano wstają z łóżek, by stawić czoło nieprzyjaznemu światu napędzanemu wyłącznie zwierzęcą wolą przetrwania. Z cza-

sem Andrew odkrył, że podziwia te wszystkie istoty pełen fascynacji, jakby miał do czynienia z egzotycznymi kwiatami, niespotykanymi w jego świecie. Zaczął żywić pewność, że życie w tej dzielnicy jest bardziej realne, elementarne i lepiej zrozumiałe niż w luksusowym, usłanym przyjemnościami feudalnym zamknięciu, w którym egzystował do tej pory.

Czasami musiał naciągać czapkę aż na brwi, aby go nie rozpoznali snujący się grupkami zamożni młodzieńcy, w niektóre noce biorący w posiadanie dzielnicę. Przybywali w wygodnych powozach i przemierzali uliczki w hordach, wyniosli i butni jak wielcy zdobywcy w poszukiwaniu jakiegoś nędznego burdelu, w którego progach bezkarnie mogli dać upust swym najniższym instynktom. Według plotki, którą Andrew często słyszał w palarniach West Endu, tylko pieniądze i wyobrażenia stanowią ograniczenie tego, co można zrobić z biedną dziwką z Whitechapel. Mając oko na hałaśliwie przemierzające się watahy młodzieńców, Andrew czuł, jak go ogarnia nieoczekiwany impuls chronienia, któremu nieświadomie musiał być posłuszny, zwłaszcza że zaczął postrzegać Whitechapel jako teren, gdzie raczej trzeba zachować czujność. W związku z owymi najazdami barbarzyńców nie mógł jednak zrobić nic innego, jak tylko pozwolić, by ogarnęły go smutek i bezsilność oraz próbować zapomnieć o wszystkim w ramionach ukochanej, która z dnia na dzień wydawała mu się piękniejsza, jak gdyby pod wpływem jego miłosnej uwagi odzyskiwała blask, z jakim przyszła na świat, a życie ją z niego okradło.

Jak wiadomo, nie istnieje jednak raj bez węża, i im słodsze były chwile spędzane z kochanką, tym bardziej gorzki posmak pozostawał młodzieńcowi w ustach, kiedy sobie uświadamiał, że to, co posiada w tej dziewczynie, to jedyne, co może mieć. Choć i to okazywało się niewystarczające: z każdym dniem pożył jej bardziej, ponieważ ta miłość, której nie dało się przenieść z Whitechapel do zewnętrznego świata, wciąż była – mimo swej niezaprzeczalnej intensywności – czymś przypadkowym i iluzorycznym. I podczas gdy na ulicach rozszalała tłuszcza zamierzała zlinczować żydowskiego szewca zwanego Skórczany Fartuchem, Andrew spalał swój gniew i strach w ciele Marie Kelly, zastanawiając się, czy zachłanna żądza jego ukochanej wynika z tego, że ona również zrozumiała, iż zaangażowali się w namiętność niewłaściwie ułożoną, że jedyne, co mogą zrobić, to ścisnąć żarliwie różę tego nieoczekiwanego szczęścia, starając się ignorować ból, jaki zadają jej kolce, albo może przeciwnie – chciała mu w ten sposób przekazać, że pragnie uchronić tę miłość przed wygaszeniem, na które zdawała się skazana, choćby trzeba było dla niej wręcz odwrócić bieg świata. Lecz skoro tak, czy Andrew mógł polegać na tej samej sile, czy posiadał wiarę niezbędną do wszczęcia walki, która z góry zdawała się skazana na przegraną? Mimo że próbował, nie potrafił wyobrazić sobie Marie Kelly przenoszącej się do jego świata – świata wyrafinowanych dam, których jedynym celem życia było wykazywanie się siłą witalną brzuchów służących do napełniania domu dziećmi, a także zabawianie przyjaciół małżonka zręcznym brzdąkaniem na pianinie. Czy Marie Kelly udałoby się odgrywać tę rolę, a jednocześnie czy umiałaby się utrzymać na powierzchni mimo fali odrzucenia społecznego, która bez wątplenia zalewałaby ją i próbowała utopić, czy raczej dziewczyna skończyłaby niczym egzotyczny kwiat pozostawiony poza cieplarnią?

Od owych obaw, które dręczyły młodzieńca potajemnie, raczej nie mogły go oderwać gazety, wciąż zajmujące się popełnionymi na prostytutkach zbrodniami. Pewnego ranka podczas śniadania Andrew natknął się na reprodukcję listu, jaki zabójca miał czelność wysłać do Centralnej Agencji Prasowej z zapewnieniem, że nie pozwoli się łatwo schwytać i będzie kontynuował mordowanie, wypróbując swój piękny nóż na dziewczynkach z Whitechapel. List, napisany odpowiednio czerwonym atramentem, nosił podpis „Kuba Rozpruwacz”. Andrew musiał przyznać, że podpis ten ze wszelkich miar bardziej wzbudzał niepokój i przyciągał uwagę niż niezbyt chwytnie przezwisko „Morderca z Whitechapel”, pod jakim zbrodniarz znany był do tej pory. Ten nowy przydomek, natychmiast nagło-

śniony przez prasę, jednoznacznie kojarzył się z bohaterem tanich powieści, łotrem zwanym Spring Heeled Jack, oraz z tym, jak postępował on z kobietami. Pseudonim szybko się przyjął – gdziekolwiek Andrew poszedł, słyszał, jak ludzie mówią o Kubie Rozpruwaczu, zawsze wymawiając jego imię tonem niezdrowej ekscytacji, jak gdyby dla tych smutnych dusz z Whitechapel było coś emocjonującego i modnego w tym, że po ich dzielnicy ugania się bezlitosny morderca z dobrze naostrzonym nożem. Ponadto w rezultacie owej niepokojącej wiadomości biura Scotland Yardu zostały nagle zasypane lawiną podobnych listów, w których domniemany zabójca drwił sobie z policji, niczym dzieciak chełpił się dokonanymi zbrodniami i wypowiadał groźby na przyszłość, z czego Andrew wnioskował, że Anglia jest pełna żądnych sławy indywidualistów, które pragną dodać swojemu życiu emocji, czując się jak mordercy, zwykłych zjadaczy chleba o duszach zbrukanych sadystycznymi instynktami i chorymi impulsami, jakie na szczęście w inny sposób nigdy by się nie zbudziły. Oprócz spowalniania śledztwa cała ta otoczka sprawiała, że zwykły typ, z którym Andrew zderzył się w zaułku Hanbury Street, w jego oczach mimowolnie stawał się potworną kreaturą stworzoną po to, by ucieleśniała najbardziej pierwotne obawy człowieka. I być może właśnie niekontrolowane namnażanie się osób aspirujących do autorstwa owych makabrycznych dzieł pobudziło prawdziwego zabójcę, by przeszedł sam siebie nocą trzydziestego września, gdy na podwórku tartaku Dutfield zamordował Szwedkę Elizabeth Stride – tę prostytutkę, która naprowadziła młodego Harringtona na trop Marie podczas jego pierwszej wyprawy do Whitechapel. Zaledwie godzinę później Rozpruwacz zabił Catherine Eddowes przy Mitre Square i znalazł czas, by rozplątać jej ciało od miednicy po mostek, wyjąc lewą nerkę i garść innych wnętrzności oraz obrabować ją z nosa.

Tak nastał zimny październik i na nieszczęśliwych mieszkańców dzielnicy opadła krepą fatalistycznej rezygnacji. Mimo wysiłków Scotland Yardu ludzie czuli się bardziej niż kiedykolwiek zostawieni własnemu losowi. W oczach dziwek odbijała się ich bezradność, a także dziwne poddanie się własnemu przeznaczeniu. Życie zamieniło się w długie, napięte oczekiwanie, podczas którego Andrew mocno obejmował drżące ciało Marie Kelly i szeptał jej słodko, żeby się nie martwiła, że wystarczy, aby do czasu, gdy policja schwyta Rozpruwacza, trzymała się z daleka od jego rewiru łowieckiego, od podwórek i odludnych zaułków, które przemierzał ze swoim żądnym krwi nożem. Jednak jego słowa nie przynosiły najmniejszego efektu w kwestii zmiany obyczajów Marie Kelly. Zaczęła nawet w swojej maleńkiej izdebce przy Miller's Court udzielać schronienia koleżankom, by je odsunąć od niebezpiecznych uliczek, co ostatecznie doprowadziło ją do kłótni z Joem, która skończyła się tym, że jej mąż rozbił szybę w oknie. Następnej nocy Andrew dał dziewczynie pieniądze potrzebne na naprawę, jako że przez dziurę do izby wdzierał się ostry chłód, a ona położyła je na stoliku przy łóżku, sama zaś wyciągnęła się chętnie na posłaniu, by mógł ją posiąść. Teraz jednak oferowała mu tylko ciało, gasnący ogień oraz pełne bólu, udęczone spojrzenie, jakie jej oczy nieustannie rzucały przez ostatnie dni – młodzieniec widział w tym wzroku rozpaczliwe wołanie o pomoc, cichą prośbę, by ją stąd wy dostał, póki nie jest za późno.

Andrew bardzo niezdarnie udawał, że nie dostrzega tego aż nadto wyraźnego pragnienia, jak gdyby nagle zapomniał, że spojrzeniem można wyrazić wszystko, ponieważ nie czuł się na siłach, by zmieniać bieg świata, co dla niego przekładało się na jeszcze większe przedsięwzięcie: konfrontację z własnym ojcem. Może dlatego, jakby w niemym wyrzucie za jego tchórzostwo, Marie zaczęła wychodzić w poszukiwaniu klientów i spędzać noce w Britannii, gdzie upijała się w towarzystwie koleżanek i dołączyła do chóru wyklinającego na bezsilność policji i na moc tego piekielnego potwora, który wciąż się z nich śmiał, a ostatnio wysłał do George'a Łuska, awanturniczego socjalisty i samozwańczego przewodniczącego Komitetu Czujności Dzielnicy, kartonowe pudełko z ludzką nerką w środku. Zły sam na siebie za swój brak odwagi Andrew co noc widział, jak jego ukochana wraca do

swej izdebki pijana. Wówczas, gdy się waliła na podłogę albo jak pies zwijała w kłębek przy ciepłym kominku, brał ją w ramiona i przenosił na łóżko, wdzięczny losowi, że tej nocy nie spotkała na swojej drodze żadnego noża. Wiedział jednak, że kobieta nie może się wciąż w taki sposób wystawiać na niebezpieczeństwo, bez względu na to, że morderca od tygodni nikogo nie zabił, a dzielnicę patroluje ponad osiemdziesięciu policjantów, i że tylko on potrafi temu zapobiec. Właśnie dlatego, siedząc w ciemności, podczas gdy jego ukochana snuła swoje alkoholowe koszmary nawiedzone przez wypatroszone zwłoki, Andrew obiecywał sobie stanowczo, że następnego dnia rozmówi się z ojcem, ale następnego dnia ograniczał się jedynie do krążenia pod jego biurkiem i nie śmiał wejść do środka. A o zmierzchu, zgnębiony i zawstydzony, czasem w towarzystwie butelki, wracał do pokoiku Marie Kelly, aby otrzymać milczący wyrzut w jej spojrzeniu. Andrew przypominał sobie wtedy wszystko, co jej do tej pory mówił, owe egzaltowane słowa, którymi chciał przypieczętować ich związek: że czekał na nią od osiemnastu lat, stu, pięciuset – sam nie wiedział; że jest pewien, iż szukał jej w każdej ze swoich poprzednich inkarnacji, jeśli takie mieli, ponieważ byli dwoma duchami, którym pisane było spotkać się w labiryncie czasu. I inne podobne komentarze, których teraz, w nowych okolicznościach, Marie Kelly nie mogła inaczej postrzegać jak tylko jako żalosną próbę przedstawienia samego siebie w roli wyrafinowanego romantyka. Jednak to, co czuł, było niczym więcej jak zwierzęcą chucią lub – jeszcze gorzej – zasłoną skrywającą ekscytację czerpaną z turystycznych wycieczek do tego nędznego zakątka świata. „Gdzie jest teraz cała twoja miłość, Andrew?”

– zdawały się pytać jej oczy przestraszonej gazeli, kiedy zbierała się do Britannii, by kilka godzin później wrócić pijackim krokiem.

Aż do zimnej nocy siódmego listopada, gdy Andrew patrzył, jak Marie Kelly znów zmierza do tawerny, i coś w nim pękło. Może to sprawił alkohol, który – jeśli się go pije w odpowiedniej ilości – na niektóre osoby sprowadza chwilową jasność umysłu, a może wystarczająco dużo czasu minęło, by oświecenie nadeszło samo z siebie, pewne jest jednak, że Andrew zrozumiał w końcu, iż bez Marie Kelly jego egzystencja nie miałaby już żadnego sensu, zatem walcząc o swoją przyszłość u jej boku, niczego nie straci. Przepęlniony nagłą śmiałością, niespodziewanie uwolniony od suchych liści, które dotąd zapychały mu płuca, wyszedł z pokoju, zamknął za sobą drzwi z energicznym trzaśnięciem i wielkimi krokami podążył do miejsca, gdzie zwykle czekał na niego Harold, spędzający noce uciech swojego pana skulony na koźle powozu niczym sowa i przeganiający chłód butelką koniaku.

Tej nocy ojciec młodzieńca dowie się, że młodszy z jego synów zakochał się w dziwce.

Tak, wiem, że na początku tej opowieści zapowiedziałem pojawienie się niezwyklego wehikułu czasu i zapewniam, że pojawi się on, a wraz z nim odważni odkrywcy i dzikie tubylcze plemiona, bez których nie może się obejść żadna powieść przygodowa. Wszystko to jednak przyjdzie w swoim czasie – czyż nie jest konieczne, by przed rozpoczęciem jakiegokolwiek rozgrywki poustawiać pionki na właściwych polach? Zapewne. Zatem pozwólcie, że będę dalej przygotowywał planszę, bez pośpiechu, ale też bez ociągania, i wrócę do naszego młodzieńca, który mógł długą drogę do posiadłości Harringtonów wykorzystać na jak najlepsze oczyszczenie umysłu, lecz zamiast tego wolał zaciemnić go jeszcze bardziej, dokańczając spoczywającą w jego kieszeni butelkę. W gruncie rzeczy niewiele by mu to pomogło, gdyby się zwrócił do ojca ze spójną przemową i sprecyzowanymi zamiarami, ponieważ był pewny, że nie da się utrzymać żadnego cywilizowanego dialogu na ten temat. Potrzebował raczej znieczulenia na wszystko, co możliwe, przy zachowaniu jedynie resztki trzeźwości, by język mu się nie plątał podczas rozmowy. Nie było nawet warto zadawać sobie trud i wkładać eleganckie ubrania, które zawsze miał przygotowane na siedzeniu zawinięte w tobołek. Tej nocy nie zachodziła potrzeba zachowywania żadnej tajemnicy. Gdy przybyli do rezydencji, Andrew wysiadł z powozu, przykazał Haroldowi, żeby się nie ruszał z miejsca, i pobiegł do domu. Patrząc, jak panicz wspina się po schodach w tych łachach, stangret potrząsnął głową z konsternacją, zastanawiając się, czy krzyki pana Harringtona dotrą aż tu, na zewnątrz.

Andrew nie pamiętał, że tego dnia jego ojciec ma spotkanie biznesowe. Przypomnił sobie o tym dopiero wtedy, gdy poczuł na sobie zdumiony wzrok kilkunastu ludzi, po tym jak wpadł do biblioteki, potykając się w progu. Nie spodziewał się takiej sytuacji, ale w jego żyłach płynęło zbyt wiele alkoholu, by się teraz zniechęcił. Poszukał wzrokiem ojca w zbiorowisku wystrojonych mężczyzn i zlokalizował go przy kominku, stojącego wraz z bratem Andrew, Anthonym. Obaj trzymali w jednej ręce kieliszek, a w drugiej cygaro i obaj w krańcowym zaskoczeniu zmierzili przybyłego wzrokiem od stóp do głów. Lecz jego strój jest nieistotny, jak wkrótce odkryją – powiedział sobie Andrew, w głębi duszy nawet zadowolony z tego, że ma publiczność. Skoro trzeba się poświęcić, lepiej to zrobić w otoczeniu świadków niż wobec samego ojca w jego biurze. Andrew odchrząknął głośno, wciąż pod uważnym spojrzeniem tłumu, i rzekł:

– Ojcze, przyszedłem cię powiadomić, że jestem zakochany.

Jego obwieszczenie poprzedziła absolutna cisza, jeśli nie liczyć kasznięcia jednego z gości.

– Andrew, nie sądzę, aby to był najstosowniejszy moment na... – zaczął jego ojciec wyraźnie poryrowany, lecz syn przerwał mu nieoczekiwanie autorytarnym gestem.

– Zapewniam cię, ojcze, że moment ten jest równie zły jak każdy inny – powiedział, starając się utrzymać równowagę, żeby nie zakończyć swojego śmiałego działania stoczeniem się na podłogę. Starszy Harrington skrzywił się z niesmakiem, zmusił się jednak do powstrzymania od komentarza. Andrew nabrał powietrza. Oto nadeszła chwila, by zniszczyć swe życie na zawsze.

– A kobieta, która mi skradła serce... – obwieścił – jest prostytutką z Whitechapel i nazywa się Marie Kelly.

Wyrzuciwszy to z siebie, posłał zebrany wyzywający uśmiech. Ujrzał przerażone miny, ręce uniesione do głowy i pełne ekspresji gesty, lecz nikt nie odezwał się ani słowem – oczywiście to William Harrington powinien przemówić, jako że rozgrywała się dramatyczna scena konfrontacji dwóch niezwyklej osobowości. Wszyscy patrzyli na gospodarza. Ten potrząsnął głową ze wzrokiem utkwionym we wzorzysty dywan, odchrząknął chrapliwie i z trudem powstrzymując wybuch, posta-

wił kieliszek na kominku, jakby mu nagle zaczął przeszkadzać.

– Panowie, w przeciwieństwie do tego, co wiele razy o nich słyszałem – ciągnął swoją przemowę Andrew, nie zwracając uwagi na atak gniewu, który dojrzewał w jego ojcu – dziwki nie prowadzą takiego życia z nawyku. Zapewniam was, że każda z nich wolałaby znaleźć sobie uczciwą pracę, ale nie mają innej możliwości. Wierzcie mi, wiem, co mówię. – Koledzy jego ojca nadal udowadniali, że potrafią okazywać zaskoczenie bez słów. – W ciągu ostatnich kilku tygodni spędziłem z nimi dużo czasu. Widziałem, jak rano myją się w końskich korytach, jak śpią na siedząco, przywiązane do ściany sznurkiem, gdy nie mogą sobie pozwolić na łóżko...

W miarę jak Andrew rozprawiał tak o dziwkach, zrozumiał, że to, co czuje do Marie Kelly, jest głębsze, niż przypuszczał, i zauważył z bezbrzeżną litością dla wszystkich tych osób o uporządkowanym życiu, o mdłej, pozbawionej uniesień egzystencji, że nigdy nawet nie rozważą zatracenia się w dzikiej namiętności. Mógłby im wyjaśnić, jak to jest stracić głowę, płonąć szaleństwem. Mógłby im powiedzieć, jak wygląda miłość od środka, ponieważ stworzył ją niczym owoc, zajrzał do jej wnętrza jak do zegara, by zbadać jego mechanizm, poznać trybiki, które sprawiają, że wskazówki na cyferblacie odmierzają czas. Jednak Andrew nie zdołał wyłuszczyć im już nic więcej, gdyż w tym momencie jego ojciec, wydając gniewne pomruki i wbijając laskę w dywan jak harpun, przeszedł przez pokój ciężkimi krokami, a następnie wymierzył młodzieńcowi potężny policzek. Andrew cofnął się kilka kroków, zaskoczony tym nagłym ciosem. Gdy w końcu zrozumiał, co się stało, potarł sobie bolącą twarz, próbując z powrotem przywołać na nią prowokujący uśmiech. W ciągu kilku sekund, które zebranym wydały się wiecznością, ojciec i syn patrzyli sobie w oczy na środku pokoju, po czym pierwszy z nich rzekł:

– Począwszy od tego wieczoru, mam tylko jednego syna.

Andrew starał się zachować kamienną twarz.

– Jak sobie życzysz – odparł chłodno. Potem, udając poważanie, zwrócił się do obecnych: – Panowie wybaczą, muszę zniknąć z tego miejsca na zawsze.

Odwrócił się z większą dumą, niż było go stać, i wyszedł z pokoju. Chłód nocy ostudził nieco jego emocje. Schodząc po schodach i starając się nie potykać, mówił sobie w duchu, że to, co się wydarzyło – zostawiając na boku publiczny aspekt, ale nie wyłączając wymierzonego w gniewie policzka – nie było niczym więcej, niżby się spodziewał. Obrażony ojciec wydziedziczył go. Ponadto zrobił to na oczach połowy najbogatszych londyńskich przedsiębiorców, aby od razu na miejscu zademonstrować swój przesławny gniew, okazując go tym razem własnej latorośli, i to bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Teraz młodzieniec nie posiadał nic oprócz swojej miłości do Marie Kelly. Jeśli przed swoją katastrofalną rozmową żywił maleńką nadzieję, że ojciec, poruszony opowieścią syna, ustąpi, a nawet pozwoli mu przyprowadzić ukochaną do domu, aby możliwie jak najbardziej oddalić ją od potwora grasującego w Whitechapel, teraz stało się jasne, że będą musieli żyć z własnych środków. Wsiadł do powozu i kazał Haroldowi wrócić do Miller's Court. Stangret, który czekał na rozwiązanie dramatu, chodząc w kółko dookoła wozu, z powrotem wspiął się na kozioł i zaciął konie, próbując sobie wyobrazić, co też się wydarzyło w domu. I na jego korzyść trzeba powiedzieć, że opierając się na śladach, które wnikliwość woźnicy pozwoliła mu zauważyć, odtworzył sobie scenę zadziwiająco wiernie.

Gdy powóz zatrzymał się w tym samym miejscu co zwykle, Andrew wysiadł i pobiegł na Dorset Street, niecierpliwie wyczekując objęć Marie Kelly, której chciał powiedzieć, jak bardzo ją kocha. Dla niej zostawił wszystko. Nie czuł jednak żalu, tylko lekką niepewność co do własnego losu. Ruszał jednak do przodu. Był pewien, że może liczyć na Charlesa. Kuzyn pożyczycy im pieniądze, żeby mogli wynająć dom w Vauxhall albo przy Warwick Street, przynajmniej do tego czasu, aż oboje znajdą so-

bie uczciwą pracę, która pozwoli im utrzymać się z własnych środków. Marie Kelly mogłaby pracować w jakiejś szwalni, a on... Co mógłby robić? Nieważne, jest młody, silny i chętny, coś znajdzie. Najważniejsze, że postawił się ojcu, mniejsza o rezultaty. Marie Kelly bez słów prosiła go, aby ją zabrał z Whitechapel, i właśnie to zamierzał zrobić, z czyjąś pomocą lub bez niej. Zabierają się stąd, z tej przeklętej dzielnicy, tej ambasady piekieł.

Spojrzał na zegarek, żeby uspokoić oddech, zanim wejdzie pod lukiem na teren Miller's Court. Była piąta rano. Marie Kelly zapewne wróciła już do pokoju, prawdopodobnie równie pijana jak on. Zabawnie będzie porozumiewać się w oparach alkoholu, pomyślał Andrew, rozmawiać za pomocą gestów i chrząknięć jak człekokształtne małpy Darwina. Rozentuzjasmowany niczym mały chłopczyk wszedł w obręb mieszkań. Drzwi do pokoju numer 13 były zamknięte. Zapukał kilka razy, nie otrzymał jednak odpowiedzi. Dziewczyna zapewne spała, ale to nie problem. Ostrożnie, by się nie zranić tkwiącymi w ramie odłamkami rozbitej szyby, Andrew włożył rękę przez dziurę w oknie i zwolnił zasuwkę; podpatrzył, jak robiła to sama Marie Kelly, kiedy gdzieś zapodziała klucz.

– Marie, to ja – powiedział, otwierając drzwi. – Ja, Andrew.

Pozwólcie mi teraz przerwać narrację, aby was ostrzec, że trudno opisać to, co się następnie działo, ponieważ liczba doznań, jakich doświadczył młodzieniec, jest zbyt duża, aby się nimi zająć w ciągu tych kilku sekund, które trwała scena. Dlatego koniecznie muszę rozważyć elastyczność czasu, jego zdolność do rozciągania się lub kurczenia za plecami zegarów niczym akordeon. Jestem pewien, że jest to coś, czego sami często doświadczacie we własnym życiu, zależnie od tego, po której stronie drzwi łazienki się znajdziecie. W przypadku, którym się zajmujemy, czas rozciąga się w umyśle bohatera, z kilku sekund czyniąc wieczność. I właśnie pod tym kątem zamierzam opowiedzieć wam tę scenę, dlatego proszę, byście mnie nie obwiniali za moją prozatorską niezdarność i rozbieżności, które niewątpliwie docenicie w miarę rozwoju wydarzeń i ujawniania się ich korelacji w czasie.

Na początku po otwarciu drzwi, kiedy Andrew zrobił kilka kroków w głąb pokoju, nie zrozumiał tego, co zobaczył, czy może dokładniej: odmówił zaakceptowania tego, co widzi. W tym czasie, krótkim i wiecznym zarazem, jak już to sobie powiedzieliśmy, młodzieniec utrzymał się przy zdrowych zmysłach, choć w jakimś zakamarku umysłu, który wciąż funkcjonował, zaczynała kiełkować pewność, że wizja, jaką ma przed sobą, zabije go, ponieważ nikt nie zdołałby stanąć przed czymś takim i pozostać żywym, a przynajmniej nie w pełni żywym. A patrzył – powiem to bez ogródek – na Marie Kelly, która jednocześnie była sobą i nie była, ponieważ trudno się zgodzić z tym, że było nią to, co leżało na łóżku wśród licznych rozbryzgów krwi znaczących poduszkę i pościel. Tego, co Andrew zastał w pokoju, nie był w stanie porównać z niczym, co zdarzyło mu się widzieć do tej pory, jako że podobnie jak większość ludzi nigdy nie miał do czynienia ze skrupulatnie zaszlachtowanym człowiekiem. I kiedy w końcu jego umysł przyjął do wiadomości, że – chociaż w swoim przyjemnym życiu, wypełnionym wiejskimi przyjęciami i drogimi kapeluszami, nie znalazłby podpowiedzi, co właśnie ogląda – stoi oto przed zręcznie rozplatanym trupem, nie miał nawet czasu, aby poczuć odpowiednią w takiej chwili odrazę czy mdłości, ponieważ przyjąwszy do wiadomości, co widzi, nie mógł uniknąć łańcucha okropnych dedukcji, które doprowadziły go do nieuniknionego wniosku, że to zniszczone przez nóż ciało musi należeć do jego ukochanej. Rozpruwacz – ponieważ to mogło być tylko jego dzieło – pociął jej skórę na twarzy, czyniąc ją nie do rozpoznania, lecz Andrew, choć bardzo go kusiło, by odeprzeć tę myśl, nie mógł zaprzeczyć, że są to włoski Marie Kelly. Wypieranie tego ze świadomości byłoby zbyt dziecinne, nie mówiąc już o tym, że niepraktyczne: z powodu wielkości i wyglądu, a nade wszystko z powodu miejsca, w którym się znajdował – to ciało nie mogło być niczyje inne. Przepęłnił go wówczas ból, oczywiście ból straszny i okrutny, ale będący tylko bladym odbiciem tego, który miał się pojawić z czasem, ponieważ teraz był osłabiony zamroczeniem, w którym

wciąż tkwił, i zapewne to go chroniło. Upewniwszy się, że ma przed sobą zwłoki ukochanej, zmusił się, kierowany swego rodzaju lojalnością wobec zmarłej, by postać temu koszmarowi czułe spojrzenie, ale przekonał się, że nie potrafi na tę okaleczoną twarz patrzeć inaczej niż z odrazą, zwłaszcza że spomiędzy strzępów skóry wyzierał przesadzony, makabryczny uśmiech czaszki. Ale czyż ta czaszka nie była ostatecznym celem jego namiętnych pocałunków? Jak mógł ją teraz odpychać? To samo dotyczyło ciała, które czcił podczas tyłu nocy, a które teraz, ponieważ zostało rozplątane z góry na dół i na wół oskórowane, budziło w nim odrazę. Ta reakcja zwróciła jego uwagę na fakt, że w jakiś sposób owo ciało przestało być jego ukochaną, mimo że było stworzone z tych samych materiałów, ponieważ Rozpruwacz, pchany żądzą sprawdzenia, jak jest zbudowane od wewnątrz, zredukował je do zwykłego mięsnego opakowania, odzierając z człowieczeństwa. Po tej ostatniej refleksji młodzieniec, miotając się między fascynacją a przerażeniem, zaczął analizować konkretne szczegóły, takie jak ciemnobrązowa bryła, którą miał między stopami, przypuszczalnie wątroba, czy pierś spoczywająca na nocnym stoliku, która zagubiona daleko od swego normalnego miejsca mogłaby sprawiać wrażenie miękkiego pączka, gdyby nie wieńczył jej fioletowy sutek. Wszystko zdawało się poukładane z niezwykłą starannością zdradzającą przerażający, koszmarny spokój, z jakim zabójca kontynuował swe dzieło. Co gorsza panujące w pokoju ciepło, które Andrew właśnie zauważył, sugerowało, że ten sukinsyn pozwolił sobie nawet dobrze napalić w piecu, żeby pracować w nagrzanym pomieszczeniu. Młodzieniec zamknął oczy: dość się już napatrzył. Nie chciał wiedzieć nic więcej. Prócz tego, że morderca pokazał mu, jak wielkie okrucieństwo i obojętność wobec bliźnich może się kryć w człowieku, jakich okropieństw można się dopuścić, jeśli się dysponuje czasem, wyobraźnią i porządnym nożem, dał mu również lekcję anatomii – okropną i brutalną, ponieważ Andrew po raz pierwszy był oto świadom, że życie, prawdziwe życie, nie ma nic wspólnego ze sposobem, w jaki spędzamy swoje dni, z ustami, które całujemy, z medalami, które nam imponują, czy z butami, które naprawiamy. Życie, prawdziwe życie, płynie w naszym wnętrzu spokojnie, niczym podziemna rzeka, jak ukradkiem dokonujący się cud, którego jedynymi świadkami są chirurdzy i lekarze sądowi, a także ten bezlitosny zabójca, ponieważ tylko oni wiedzą, że ostatecznie królowa Wiktorja i najnędnniejszy londyński żebrak są tym samym: skomplikowanym mechanizmem złożonym z kości, narządów i tkanek, napędzanym bożym tchnieniem.

Oto szczegółowe rozpatrzenie tego, czego doświadczył Andrew w tych króciutkich chwilach, gdy tkwił przed ciałem Marie Kelly, chociaż z opisu mogłoby się wydawać, że na przyglądaniu się jej spędził godziny, a i tak nie był tego wszystkiego pewien. Wreszcie w mgłę bólu i obrzydzenia, która go w końcu ogarnęła, wdarło się poczucie winy, ponieważ Andrew z miejsca wziął na siebie odpowiedzialność za tę śmierć. Mógł przecież dziewczynę ocalić, lecz przybył za późno. Taka była cena tchórzostwa. Zawył z wściekłości i bezsilności, gdy sobie wyobraził swoją ukochaną poddaną temu okrutnemu ćwiartowaniu. Nagle uświadomił sobie, że jeśli nie chce zostać powiązany ze zbrodnią, powinien wyjść, zanim ktoś go tu zobaczy. Możliwe nawet, że zabójca wciąż krąży po okolicy, podziwiając swoje makabryczne dzieło z jakiegoś ukrycia, i nie będzie miał nic przeciwko temu, by dorzucić do puli jeszcze jednego trupa. Andrew posłał Marie Kelly pożegnalne spojrzenie, nie śmiejąc jej dotknąć, po czym z najwyższym wysiłkiem woli zmusił się do opuszczenia izby i pozostawienia zwłok ukochanej. Uchodząc, zamknął za sobą drzwi i zostawił wszystko tak, jak zastał. Zmierzał do wyjścia z kompleksu mieszkalnego, ale pod wpływem nagłych intensywnych mdłości ledwie zdołał dotrzeć do kamiennego luku. Tu ugięły się pod nim kolana i zwymiotował wśród potężnych torsji. Gdy zwrócił wszystko, co miał w środku – a z wyjątkiem alkoholu, który wypił tej nocy, nie było tego wiele – oparł się plecami o ścianę, czując, że ciało ma zwiotczałe, zziębnięte i pozbawione sił. Z tego miejsca widział pokoik numer 13, raj, w którym był tak szczęśliwy, a który teraz w nocy skry-

wał rozczłonkowane ciało jego ukochanej. Postąpił kilka kroków, aby sprawdzić, czy mdłości ustąpiły na tyle, by mu pozwolić na przemieszczanie się bez upadków, po czym potykając się, opuścił Dorset Street. Zbyt zdenerwowany, by się orientować wśród ulic, zaczął wędrować na oślep, wzdychając przy tym i szlochając. Nie trudził się nawet szukaniem powozu, ponieważ teraz, gdy wiedział, że nie jest mile widziany w swoim domu, nie miał żadnego celu, do którego mógłby się kazać zawieźć. Przemierzał zaułki i zakamarki niesiony wyłącznie wolą własnych nóg. Kiedy ocenił, że jest już poza obrębem Whitechapel, znalazł odludną uliczkę i wyczerpany, roztrzęsiony osunął się między skrzynie na jakimś śmietniku. Tam, skulony jak embrion, zamierzał spędzić resztę nocy. Jak zapowiedziałem wcześniej, w miarę jak przemijało zamroczenie, ból się wzmacniał. Rozpacz narastała, aż przełożyła się na cierpienie fizyczne. Nagle jego ciało zaczęło zadawać ból, jakby się przekształciło w jeden z tych sarkofagów najeżonych od środka kolcami. Chciał uciec sam od siebie, odłączyć się od bolącej materii, z której był utworzony, jednak okazał się uwięziony w tym poranionym kadłubie. Przerażony zastanawiał się, czy będzie musiał żyć z tym bólem już zawsze. Gdzieś czytał, że w oczach umierającego utrwała się ostatni widziany przez niego obraz. Czy w źrenicach Marie Kelly zachował się portret okrutnie uśmiechającego się Rozpruwacza? Tego Andrew nie wiedział, ale był pewien, że jeżeli ta reguła jest prawdziwa, on stanie się od niej wyjątkiem, ponieważ gdy umrze, nieważne, na co będzie w danej chwili patrzył – jego oczy i tak ukażą okaleczoną twarz Marie Kelly.

Pozbawiony woli i siły do tego, by uczynić cokolwiek innego niż poddanie się bólowi, Andrew spędził długie godziny, tkwiąc w bezruchu. Czasami podnosił opartą na rękach głowę i krzyczał gniewnie do świata, aby okazać, że nie zgadza się na to wszystko, co się wydarzyło i czego nie można już zmienić. Złorzeczył i wymyślał Rozpruwaczowi, który być może podążał za nim i czaił się teraz gdzieś w zaułku ze swym nożem, śmiejąc się z jego strachu. Na ogół jednak młodzieniec ograniczał się do żałośliwego pojękiwania, niepomny na nic rozbitek na morzu własnego przerażenia.

Z nadejściem świtu, który leniwie przeganiał ciemność, wróciła mu część zdrowego rozsądku. Z wylotu zaułka zaczął dobiegać pomruk życia. Andrew poniósł się z trudem i drżąc z zimna, jako że ubrany był tylko w nędzną kurtę swojego służącego, skierował się na ulicę, na której panował zaskakujący ruch.

Widok flag rozwieszonych na fasadach budynków uzmysłowił młodzieńcowi, że to dzień zaprzysiężenia nowego burmistrza. Andrew, zamierzając w miarę możliwości wyprostować krok, wmieszał się w tłum. Ubranie miał poplamione, ale nie rzucał się w oczy bardziej niż jakikolwiek żebrak. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, to jednak nie było istotne, skoro nie wiedział również, dokąd iść ani co robić. Pierwsza tawerna, na którą się natknął po drodze, wydała mu się równie dobrym celem jak każdy inny. Wolał nie dać się ponieść ludzkiej rzece zmierzającej do Pałacu Sprawiedliwości, gdzie gapie spodziewali się zobaczyć, jak nowy burmistrz, James Whitehead, wsiada do powozu. Alkohol pomagał młodzieńcowi przepłóścić zimno, które panoszyło się w jego wnętrznościach, a jednocześnie plątał mu myśli na tyle, że przestały być dla niego niebezpieczne. W sali było pustawo. Z kuchni docierał silny zapach kiełbasek i bekonu, stawiając żołądek młodzieńca na skraju wytrzymałości, toteż Andrew schronił się w miejscu najbardziej oddalonym od źródła aromatów i zamówił butelkę wina. Musiał położyć na stole garść funtów, żeby przełamać nieufność karczmarza. Czekał na swój trunek, przyglądał się klienteli zredukowanej obecnie do dwóch bywalców, którzy popijali w milczeniu, niepomni na panujący na ulicy tumult. Jeden z nich skrzyżował z młodym Harringtonem spojrzenie i Andrew poczuł napad czystego strachu. Czyżby to był Rozpruwacz? Przyszedł za nim aż tutaj? Uspokoił się, stwierdziwszy, że ma do czynienia z człowiekiem zbyt niskiej postury, by mógł dla kogoś stanowić zagrożenie, ale gdy sięgał po swoją butelkę, wciąż drżał w środku. Teraz już wiedział, do czego jest zdolny człowiek, jakikolwiek przypadkowy człowiek, nie wyłączając tego drobnego

typka, który w spokoju sączył piwo z kufła. Prawdopodobnie nie dysponował talentem niezbędnym do pomalowania Kaplicy Sykstyńskiej, ale rzecz jasna nie można być pewnym, że nie starczyłoby mu werwy potrzebnej do wypatroszenia bezbronnej osoby i rozmieszczenia jej narządów dookoła ciała. Andrew spojrział przez okno. Ludzie przychodzili i odchodzili, podążali przez swoje życie bez najmniejszego respektu. Dlaczego nie zatrzymywali się, aby zauważyć, że świat się zmienił, że nie jest już miejscem nadającym się do zamieszkania? Młodzieniec westchnął głęboko. Świat zmienił się tylko dla niego. Andrew rozparł się na siedzeniu i pił, żeby się upić, potem zobaczy, co dalej. Zerknął na pieniądze. Obliczył, że wystarczy ich, żeby wyczerpać alkoholowe rezerwy tej nory, zatem w tym momencie wszelkie inne plany mogły poczekać. Rozciągnięty na ławie, zajęty niweczeniem najmniejszej myśli, jaką jego umysł ośmieliłby się wysnuć, pozostawiał ten dzień innym ludziom, a sam z każdą minutą coraz bardziej pograżał się w znieczuleniu i zbliżał do krawędzi nieprzytomności. Nie był jednak na tyle zamroczony, żeby nie zareagować na nawoływanie gazeciarza.

– Kupujcie „Star”! Wydanie specjalne: Kuba Rozpruwacz pojmany!

Andrew podniósł się w mgnieniu oka. Rozpruwacz pojmany? Nie mógł w to uwierzyć. Wyjrzał przez okno i starając się o jak najlepszy widok, pilnie badał wzrokiem ulicę, aż wreszcie dostrzegł stojącego na rogu chłopca sprzedającego gazety. Przywołał go nagle i kupił gazetę przez otwarte okno. Drżącymi rękami przesunął kilka butelek i rozpostarł dziennik na stole. Nie przesłyszał się. Nagłówek głosił: „Kuba Rozpruwacz pojmany!”. Wziąwszy pod uwagę nietrzeźwy stan młodzieńca, odczytanie notki prasowej musiało być dla niego długą, frustrującą pracą, ale dzięki cierpliwości, zamykając i otwierając oczy, zdołał ją odcyfrować. Artykuł rozpoczynał się obwieszczeniem, że dzisiejszej nocy Kuba Rozpruwacz popełnił swoją ostatnią zbrodnię. Ofiarą była prostytutka walijskiego pochodzenia nazywająca się Marie Jeannette Kelly. Znalaziono ją w izbie, którą wynajmowała w Miller’s Court, przy Dorset Street pod numerem dwudziestym szóstym. Andrew pomiął następny akapit, w którym ze wszystkimi szczegółami wymieniano okropne okaleczenia, jakie zadał ofierze zabójca, i przeszedł do relacji z jego pojmania. Jak wyjaśniała gazeta, morderca, który od czterech miesięcy siał postrach w East Endzie, został ujęty przez George’a Łuska i jego ludzi zaledwie godzinę po popełnieniu przerażającej zbrodni. Wyglądało na to, że świadek, który woli pozostać anonimowy, usłyszał krzyki Marie Kelly i zaalarmował Komitet Czujności Dzielnicy, ten jednak niestety przybył do Miller’s Court za późno, niemniej zdołał osaczyć Rozpruwacza, kiedy uciekał on przez Middlesex Street. Początkowo zabójca próbował zaprzeczać faktom, ale szybko przestał, kiedy go przeszukano i w jednej z jego kieszeni znalaziono jeszcze ciepłe serce ofiary. Człowiek ten nazywa się Bryan Reese i pracuje jako kucharz na statku handlowym, który w lipcu zawinął do londyńskiego portu, przybywając z Barbadosu, a w przyszłym tygodniu odpływa na Karaiby. Po przesłuchaniu przez Fredericka Abberline’a, detektywa odpowiedzialnego za śledztwo, Reese przyznał się do popełnienia pięciu przypisywanych mu zbrodni, a nawet wyraził radość z faktu, że jego krwawe pożegnanie mogło się odbyć w zaciszu mieszkania przy dobrze rozpalonym kominku, ponieważ miał dość tego, że zawsze musiał zabijać zwyczajnie na ulicy. „Zrozumiałem, że powinienem pójść za tą pijaną dziwką, gdy się napatoczyła” – oznajmił z satysfakcją zbrodniarz. Ponadto stwierdził, że w młodości, gdy tylko miał na tyle siły, by posłużyć się nożem, zabił też swoją matkę, która również, jak inne jego ofiary, zajmowała się prostytutką. To oświadczenie jednak, choć mogłoby wyjaśnić jego zachowanie, nie zostało jeszcze potwierdzone. Wiadomości prasowej towarzyszyła fotografia sprawcy, tak więc Andrew mógł wreszcie zobaczyć twarz typa, z którym się zderzył w ciemnym przejściu przy Hanbury Street. Jego wygląd rozczarował go. Był to zwyczajny człowiek, nieco korpulentny, z kręconymi bokobrodami i wąsami wykrzywającymi mu górną wargę. Mimo cokolwiek ponurego grymasu, który przypuszczalnie wynikał raczej z warunków, w jakich go sfotografowano, niż z czego innego, Andrew

musiał przyznać, że ten typek równie dobrze mógłby być bezlitosnym mordercą, jak i uczciwym piekarzem. Rzecz jasna taki wygląd był bardzo daleki od potwornej powierzchowności, jaką mu przypisywała wyobraźnia londyńczyków. Kolejne strony gazety zawierały inne powiązane z tym tematem wiadomości, takie jak dymisja komisarza sir Charlesa Warrena, który przyznawał, że policja wykazała się w tej sprawie niekompetencją, czy zeznania oszołomionych towarzyszy Reese'a, pływających z nim na frachtowcu. Andrew jednak wiedział już, co chciał wiedzieć, zatem powrócił do pierwszej strony. Wywnioskował, że przybył do pokoiku Marie Kelly tuż po tym, jak wyszedł stamtąd zabójca, i na chwilę przed pojawieniem się tłumu dowodzonego przez Łuska, jak gdyby wszyscy wkraczali na tę maleńką scenę według jakiejś choreografii. Nie chciał nawet myśleć o tym, co by się wydarzyło, gdyby zwlekał ze swoją ucieczką jeszcze kilka minut i Komitet Czujności Dzielnicy zastałby go nad zwłokami Marie Kelly. Bądź co bądź, powiedział sobie, miał szczęście. Oderwał z gazety pierwszą stronę, złożył ją i schował do kieszeni kurtki, po czym zamówił jeszcze jedną butelkę, aby uczcić fakt, że wprawdzie miał nieodwracalnie zdruzgotane serce, ale przynajmniej nie został obity przez rozwścieczoną horde.

Osiem lat później Andrew ponownie wyjął z kieszeni ten skrawek papieru. Czas sprawił, że kartka pożółkła, tak samo jak on. Ile razy czytał ten tekst, odtwarzając w myślach straszliwe okaleczenia Marie Kelly, jakby odbywał nałożoną karę? Po tylu latach nie pamiętał już nic więcej, tylko to. Co się wydarzyło od tamtego czasu? Trudno powiedzieć. Mętnie przypominał sobie, że po obejściu okolicznych tawern i pubów Harold znalazł go nieprzytomnego w tej norze i zabrał do domu. Tam Andrew spędził kilka dni przykuty do łóżka przez gorączkę. Właściwie nic nie robił, majaczył tylko i miał koszmary, w których zazwyczaj pojawiał się trup Marie Kelly rozciągnięty na jej pościeli, z wnętrznościami rozwleczonymi po pokoju zgodnie z nieodgadnionym porządkiem, albo nawet on sam, Andrew, patroszył zwłoki ogromnym nożem pod aprobującym okiem Reese'a. W jednym z przejaśnień, które otwierały się pośród oparów gorączki, rozpoznał swojego ojca – William Harrington siedział wyprostowany na skraju jego łóżka i przeproszał za swe zachowanie. Łatwo było jednak tłumaczyć się teraz, kiedy ojciec nie miał już nic do zaakceptowania i pozostało mu jedynie dołączyć do przeprosin teatralne przygnębienie, w którym – przez wzgląd na syna – postanowił pograżyć swoją rodzinę, w tym Harolda. Andrew odprawił rodzica poirytowanym gestem ręki, który – ku jego jeszcze większemu rozdrażnieniu – dumny William Harrington bez wahania uznał za błogosławieństwo, sądząc po zadowolonym uśmiechu, jaki miał na twarzy, opuszczając pokój, jak gdyby właśnie udało mu się zawrzeć jakąś korzystną umowę. William Harrington pragnął oczyścić sobie sumienie i właśnie to osiągnął, czy Andrew tego chciał, czy nie. Teraz mógł już zapomnieć o sprawie i wrócić do swoich interesów. W gruncie rzeczy jego synowi było wszystko jedno: on i ojciec nigdy nie znajdą wzajemnego zrozumienia, a już na pewno nie na takim gruncie.

Wyszedł z gorączki za późno, aby pójść na pogrzeb Marie Kelly, ale nie na egzekucję jej zabójcy. Mimo protestów niektórych lekarzy twierdzących, że tak potworny umysł, jaki ma Reese, to cenny klejnot godzien naukowego przebadania, ponieważ wśród bruzd i guzowatości jego mózgu zapewne można znaleźć zarejestrowane zbrodnie, które mu były pisane od urodzenia, Rozpruwacz został powieszony w więzieniu Wandsworth. Andrew uczestniczył w tym z sobie znanych powodów i widział, jak kat pozbawia życia Reese'a, co jednak nie mogło przywrócić tegoż życia Marie Kelly ani żadnej z jej koleżanek. Nie funkcjonowało to w ten sposób, Stwórca nic nie wiedział o prawach wymiany, znał tylko zapłatę. Co najwyżej gdzieś urodzi się dziecko w tym momencie, w którym stryczek zaciśnie się na szyi Rozpruwacza, ale wskrzeszanie zmarłych to inna sprawa. Być może dlatego wielu zaczęło traktować jego moc nieufnie, kwestionując nawet to, czy rzeczywiście stworzył ten świat. Tego samego popołudnia portret Marie Kelly wiszący w bibliotece Winslowów zajął się ogniem od iskry,

która przeskoczyła z lampy, i spłonął. Tak przynajmniej młodemu Harringtonowi powiedział kuzyn, który przybył na czas, by ugasić pożar.

Andrew podziękował za to Charlesowi, ale historia nie mogła się zamknąć tak łatwo poprzez wyeliminowanie rzeczy, od której się wszystko zaczęło. Nie, tego się nie da tak wymazać. Dzięki szczodrości ojca Andrew odzyskał swoje dawne życie, niewielki był jednak pożytek z tego, że znów został dziedzicem ogromnej fortuny, którą jego ojciec i brat wciąż gromadzili. Nie mogło go to uleczyć od środka, ale wkrótce odkrył, że całe te pieniądze pomogą, jeśli będzie je trwonił w palarniach opium przy Poland Street. Tyle już wypił, że zdążył się uodpornić na działanie alkoholu, lecz opium znacznie skuteczniej zsyłało mu zbawienne zapomnienie. Nie na próżno już starożytni Grecy stosowali je na różne dolegliwości. Andrew przyzwyczał się spędzać dni w tych palarniach – ssał fajkę, spoczywając na jednym z setek materacy poddzielanych egzotycznymi zasłonami. W owych pokojach obwieszonych lustrami upstrzonymi przez muchy, gdzie granice zamazywały się w skąpym świetle rzucanym przez lampy gazowe, Andrew rozpraszał swój ból w labiryntach eterycznego, niekończącego się snu, podczas gdy wychudzony Malaj raz za razem napełniał mu główkę fajki, aż Harold albo Charles rozsuwał zasłony i zabierał stamtąd zamrozonego młodzieńca. Jeśli Coleridge wykorzystywał opium, by ulżyć sobie w niedorzecznej udręce, jaką sprawiała mu próchnica, czemu on nie miałby się posłużyć tym środkiem, by załagodzić okrutny ból panoszący się w rozdartym sercu – tak mówił kuzynowi, gdy ten ostrzegał go przed uzależnieniem. Charles jak zawsze miał rację i chociaż w miarę jak cierpienie słabło, Andrew przestał uczęszczać do palarni, przez jakiś czas był zmuszony poruszać się po świecie z kieszeniami potajemnie wypełnionymi ampułkami z laudanum.

Tamten okres trwał może dwa czy trzy lata, aż ból w końcu opuścił młodzieńca, ustępując miejsca czemuś jeszcze gorszemu: pustce, letargowi, obojętności. To, co się wydarzyło, zrujnowało go, unicestwiło jego chęć życia, zatkało kanały osobowości, poprzez które komunikował się z rzeczywistością, pozostawiając go ślepego i głuchego, porzuciło w zakątku wszechświata, w którym nic się nie dzieje. Przemienił się w automat, posępny cień stworzenia żyjącego bezwolnie, siłą bezwładności, po prostu dlatego, że życie, prawdziwe życie, nie miało nic wspólnego ze sposobem, w jaki spędzał swoje dni, ale płynęło w jego wnętrzu spokojnie, niczym ukradkiem dokonujący się cud, czy tego chciał, czy nie. Andrew stał się w końcu bolejącą duszą, która za dnia pozostawała zamknięta w swoim pokoju, a nocami przemierzała Hyde Park, jakby przestało ją interesować spektrum spraw istot żywych, do tego stopnia, że nawet naturalny rozwój kwiatu wydawał się aktem bezmyślnym, daremnym, bezcelowym. W tamtym okresie Charles poślubił jedną z sióstr Keller – nie pamiętam, czy Victorię, czy Madeleine – i kupił sobie elegancki dom przy Elystan Street, ale mimo wszystko odwiedzał kuzyna niemal codziennie i czasami wyciągał go do ich ulubionych burdeli w nadziei, że któraś z ostatnio przybyłych dziewczyn ma między nogami płomień potrzebny do ponownego tchnięcia ognia w odrętwiałego ducha Andrew. Na próżno się jednak starał, nic nie zdołało wydźwignąć młodzieńca ze studni, w której uparł się tkwić. W oczach swojego kuzyna Charles – którego punkt widzenia teraz przyjmę, jeśli pozwolicie na ten mały przeskok perspektywy w obrębie akapitu, dokonany dla lepszego dramatycznego efektu – dostrzegał rezygnację kogoś, kto przyjął rolę ofiary. Bądź co bądź świat potrzebuje również męczenników, którzy swoim życiem poświadczają okrucieństwo Stwórcy, jego pomysłowość na polu splatania brutalnych losów. Niewykluczone nawet, że jego kuzyn nauczył się postrzegać tamte wydarzenia jako sposobność do badawczego wglądu we własną duszę, by się zapuścić w jej najbardziej niegościnnie, najciemniejsze rejony. Ilu ludzi stąpa po tym świecie, nie eksperymentując z cierpieniem w jego czystej formie? Andrew przeżył najpełniejsze szczęście i najokropniejszą udrękę, a okupił to swoją duszą – by jakoś ująć tę sprawę – wyeksploatował ją w całości. I teraz, wygodnie kładąc się na łożu swojej boleści niczym fakir na kolczastym materacu, zdawał się

wyczekiwać nie wiadomo czego. Może oklasków wskazujących na to, że przedstawienie skończone, ponieważ Charles był pewien, że jeśli jego kuzyn wciąż trwa przy życiu, to dlatego, iż czuje się zobowiązany do eksperymentowania z całym tym cierpieniem. Czy żeby studiować empirycznie ból, czy odpokutować swoją winę – to nie miało znaczenia. Gdy uzna, że dobrze odegrał swą rolę, wykona ukłon i ostatecznie zejdzie ze sceny. Z tego powodu ilekroć Charles udawał się do posiadłości Harringtonów i zastawał tam kuzyna, po części przybitego, ale oddychającego jak żywi, sam wzdychał z ulgą. A wracając do domu z pustymi rękami i czując, że wszystko, co może zrobić, okazuje się daremne, rozmyślał zafascynowany o tajemnicy życia, którego bieg jest tak niestały i kapryśny, że można go zmienić, zwyczajnie kupując obraz. Czy można by wrócić i przestawić jego kurs? Czy mógł skierować życie kuzyna w inną stronę, zanim było za późno? Nie wiedział. Jedyne, czego był pewien, to to, że w obliczu ogólnej obojętności, jeżeli on by nie spróbował, nikt inny by się o to nie potrudził.

W pokoiku przy Dorset Street Andrew rozłożył wycinek prasowy i jakby to była modlitwa, po raz ostatni przeczytał listę okaleczeń Marie Kelly. Następnie z powrotem złożył papier i schował go do kieszeni surduta. Przyjrzał się łóżku, na którym nie widniał już ani jeden ślad tego, co się wydarzyło osiem lat temu. To jednak była jedyna rzecz, jaka uległa zmianie; cała reszta pozostała taka sama: szerniałe lustro, w którego głębinie została uwieczniona zbrodnia, słoiczki z perfumami Marie Kelly, skrzynia z jej ubraniami, a nawet popiół na kominku, pochodzący z tego samego ognia, który rozpalił Rozpruwacz, aby czuć ciepło podczas ćwiartowania. Andrew nie mógł wybrać bardziej odpowiedniego miejsca na odebranie sobie życia. Przystawił sobie lufę pod żuchwę i położył palec na spuście. Te ściany znowu spłyną krwią i na odległym księżycu jego dusza w końcu zajmie oczekujące na nią miejsce w łóżku Marie Kelly.

VI

Z lufą rewolweru przytkniętą do żuchwy i palcem w gotowości spoczywającym na krzywiźnie spustu, Andrew zamyślił się nad osobliwością, która przywiodła go aż do tego, że oto postanowił własnoręcznie zadać sobie śmierć, podczas gdy przez większą część życia ograniczał się do robienia tego samego co pozostali: bał się jej, widział ją w każdej chorobie, czuł, jak się czai w jego otoczeniu, podstępna cesarzowa świata przepaści i urwisk, oblodzonych ścieżek i zdradzieckich koni, szydząca ze śmiesznej kruchości tych, którzy obwołali się królami stworzenia. Tyle strapienia, aby ostatecznie przyjąć ją dobrowolnie, rzekł sobie. Ale tak ułożyły się sprawy, wystarczy pożyć życiem, które okazuje się daremnym, bezowocnym ćwiczeniem, aby zapragnąć z nim skończyć. A tego można dokonać tylko w jeden sposób. I należy zaznaczyć, że to niepokojące go, nieokreślone wrażenie nie miało natury metafizycznej. Samego umierania Andrew nie bał się w najmniejszym stopniu, ponieważ strach przed śmiercią – czy będzie ona mostem prowadzącym do jakiegoś biblijnego miejsca, czy tablicą złośliwie zawieszoną w pustce – zawsze wywodzi się z pewności i wiedzy, że wszechświat nie umrze z nami, lecz będzie nadal podążał swym torem, tak jak nie przestanie żyć pies, gdy mu się usunie kleszcza. Ogólnie rzecz biorąc, naciśnięcie spustu oznaczało wycofanie się z gry, odrzucenie wszelkiej możliwości, że w następnym rozdaniu dostałyby mu się lepsze karty. Andrew wątpił jednak, aby tak mogło się zdarzyć. Stracił nadzieję. Nie wierzył, by los miał dla niego jakąś rekompensatę, która wynagrodziłaby mu cierpienia – przede wszystkim dlatego, że był pewien, iż taka rekompensata nie istnieje. Jego strach miał znacznie bardziej przyziemny powód: chodziło o ból, który przypuszczalnie sprawi mu kula, druzgocąc szczękę. To zapewne nie będzie nic miłego, ale skoro już powziął taki plan, powinien go zaakceptować. Poczul ciężar palca spoczywającego na cynglu i zaciśnął zęby, gotów wreszcie położyć kres swojej nieszczęsnej egzystencji.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Andrew, zaskoczony, otworzył oczy. Kto to może być? Czyżby to pan McCarthy zobaczył, że młodzieniec przyszedł, i zgłosił się po pieniądze na naprawę okna? Stukanie przerodziło się w dudnienie. Przeklęty lichwiarz. Jeśli się odważy przystawić głowę do dziurawej szyby, Andrew nie zawaha się strzelić do niego. Jakie znaczenie w takich okolicznościach miało stosowanie się do niedorzecznej zasady zakazującej strzelania do bliźnich, zwłaszcza jeżeli tym bliźnim był pan McCarthy?

– Andrew, wiem, że tam jesteś. Otwórz mi.

Młody Harrington z poirytowaniem rozpoznał głos swego kuzyna. Charles, zawsze Charles, podążający za nim wszędzie, stroskany i czuwający. Andrew wolałby już pana McCarthy’ego. Do Charlesa nie mógł strzelić. Jak go tutaj znalazł? I czemu się jeszcze nie poddał, skoro on już to zrobił?

– Idź sobie, Charles. Mam coś do załatwienia! – zawołał.

– Nie rób tego, Andrew! Odkryłem sposób na ocalenie Marie!

Ocalenie jej? Andrew roześmiał się ponuro. Trzeba przyznać, że jego kuzynowi nie brakowało pomysłów, ale to było w złym guście.

– Przypomnij sobie, że Marie nie żyje – powiadomił go. – Została zabita w tym nędznym mieszkaniu osiem lat temu. Kiedy mogłem ją uratować, nie zrobiłem tego. Jak mielibyśmy ocalić ją teraz, Charles, podróżując w czasie?

– Właśnie tak – odpowiedział kuzyn i wsunął coś przez szparę pod drzwiami.

Andrew spojrział na to bez przekonania. Wyglądało na ulotkę.

– Przeczytaj, Andrew – poprosił kuzyn, mówiąc teraz przez dziurę w oknie. – Proszę, zrób to.

Młody Harrington poczuł się trochę zawstydzony tym, że jego kuzyn zobaczył go w takiej pozycji,

z rewolwerem niedorzecznie przyciśniętym do żuchwy, które to miejsce było bodaj najmniej odpowiednie, aby oddać strzał. Mając świadomość, że Charles nie odejdzie, opuścił broń i z westchnieniem niezadowolenia położył ją na łóżku, po czym wstał, by sięgnąć po kartkę.

– Zgoda, Charles: wygrałeś – burknął. – Zobaczmy, co to jest.

Wziął papier z podłogi i przyjrzał mu się. Trzymał w ręce niewielką ulotkę w kolorze bladego błękitu. Przeczytał, nie mogąc uwierzyć, że to prawda. Tekst reklamował przedsiębiorstwo o nazwie Podróże w Czasie Murraya, zajmujące się – co młodzieńcowi wydało się nie do wiary – przemieszczaniem się w czasie. Napis na ulotce głosił:

Macie dość podróżowania w przestrzeni?

Teraz możecie się przemieszczać w czwartym wymiarze, czyli przemierzać czas. Skorzystajcie z naszej promocyjnej oferty i przenieście się do roku 2000. Stańcie się świadkami przyszłości, epoki, którą zobaczą dopiero Wasze wnuki. Za zaledwie sto funtów będziecie mogli spędzić trzy godziny w roku 2000. Na własne oczy zobaczycie bitwę automatów i ludzi, która odmieni losy świata. Nie pozwólcie, żeby opowiadali Wam o tym inni!

Tekstowi towarzyszyła ilustracja, która bardziej życzeniowo niż szczęśliwie usiłowała przedstawiać zażartą walkę dwóch potężnych wojsk. Obrazek ukazywał krajobraz utworzony przypuszczalnie ze zrujnowanych budynków, pejzaż pełen gruzów, na którego tle widniały dwie armie. Jedna była wyraźnie ludzka, druga zdawała się złożona z dziwnych człekopodobnych istot wyglądających jak zrobione z metalu. Rysunek był zbyt szkicowy, by dało się wywnioskować coś więcej.

Ki czort? W takiej sytuacji młodzieńcowi nie pozostawało nic innego, jak otworzyć drzwi pokoju. Charles wszedł i zamknął je za sobą. Z zimna rozgrzewał sobie dłonie chuchaniem, ale uśmiechał się szeroko, najwidoczniej zadowolony, że zapobiegł samobójstwu kuzyna. A przynajmniej że udało mu się je odwlec. Pierwsze, co zrobił, to chwycił leżący na łóżku rewolwer.

– Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem? – zapytał Andrew, podczas gdy jego kuzyn robił przed lustrem groźną pozę, udając, że celuje do kogoś z broni.

– Rozczarowujesz mnie, kuzynie – odparł Charles, opróżniając w dłoni bębenek i chowając pociśki do kieszeni płaszcza. – Witryna twojego ojca została otwarta, nie było w niej jednego rewolweru, a dziś jest siódmy listopada. Gdzie miałbym cię szukać, jeżeli nie tutaj? Brakuje tylko okruchów chleba, którymi mógłbyś mi oznaczyć drogę.

– Jasne – przytaknął Andrew, przyznając, że kuzyn ma rację. Dokładniej: sam nie potrudził się o zatarcie śladów. Charles obrócił broń, chwycił ją za lufę i wyciągnął w stronę kuzyna.

– Gotowe. Teraz możesz strzelać do siebie, ile chcesz.

Andrew wziął rewolwer ze znużeniem i schował go do kieszeni. Pragnął, aby ten niewygodny przedmiot zniknął ze sceny możliwie jak najszybciej. Będzie się musiał zabić przy innej okazji, co za ulga. Charles przyglądał mu się z drwiącą miną, wyrażając nią przyganę i spodziewając się jakiegoś wyjaśnienia ze strony kuzyna, Andrew jednak nie czuł się na siłach, aby rozmawiać o tym, że samobójstwo jest jedynym rozwiązaniem, jakie znalazł dla swojego problemu. Postanowił uniknąć tej sprawy, okazując zainteresowanie ulotką, zanim kuzyn zacznie mu prawić kazanie.

– A to co takiego? Jakiś żart? – zapytał, machając kartką. – Gdzie to wydrukowano?

Charles pokręcił głową.

– To żaden żart, kuzynie. Przedsiębiorstwo Podróże w Czasie Murraya istnieje. Ma siedzibę przy Greek Street, w Soho. I zajmuje się, jak objaśnia ogłoszenie, podróżami w czasie.

– Ale czy można przemieszczać się w czasie...? – wymamrotał Andrew niedowierzająco.

– Zapewniam cię, że tak, kuzynie – odpowiedział Charles bez cienia kpiny. – Ja to zrobiłem.

Patrzyli na siebie w milczeniu przez kilka sekund.

– Nie wierzę – odparł w końcu Andrew, w poważnej twarzy kuzyna szukając jakiegoś małego grymasu, któryby go zdradził, ale ten ograniczył się do wzruszenia ramionami.

– Nie okłamuję cię – zapewnił. – Madeleine i ja w zeszłym tygodniu wybraliśmy się do roku dwutysięcznego.

Andrew wybuchnął śmiechem, ale powaga kuzyna sprawiła, że śmiech powoli zamarł mu na ustach.

– Nie żartujesz, prawda?

– Absolutnie nie – odrzekł Charles. – Chociaż właściwie wcale nie było warto. W roku dwutysięcznym panują brud i chłód, a ludzie są w stanie wojny z maszynami. Ale jeżeli tego nie zobaczysz, to jakbyś przegapił operę, o której wszyscy mówią.

Andrew słuchał go, nie mogąc wyjść ze zdziwienia.

– Niemniej jest to doświadczenie wyjątkowe – dodał jego kuzyn.

– Gdyby się nad tym trochę zastanowić, okazuje się ekscytujące pod każdym względem. Madeleine nawet poleciła je swoim przyjaciółkom. Urzekły ją buty żołnierzy ludzi. Nalegała, żebym kupił sobie takie w Paryżu, ale ich nie znalazłem. Jeszcze na to za wcześnie, obawiam się.

Andrew ponownie przeczytał ogłoszenie z ulotki i stwierdził, że obiecuje ono to samo.

– Wciąż jednak nie wierzę, że... – wymamrotał.

– Rozumiem cię, kuzynie, rozumiem. Ale podczas gdy ty szwendałeś się po Hyde Parku jak zjawa, świat szedł do przodu swoim torem, wiesz? Czas płynie również wtedy, gdy na niego nie patrzysz. I wierz mi, choć wyda ci się to dziwne, w ostatnim roku na salonach nie mówi się o niczym innym, jak tylko o podróżowaniu w czasie. Stało się to gorącym tematem rozmów, odkąd zeszłej wiosny ukazała się powieść, która to wszystko wywołała.

– Powieść? – zapytał Andrew coraz bardziej skonsternowany.

– Właśnie. *Wehikuł czasu* Herberta George'a Wellsa. To jedna z książek, które ode mnie pożyczyłeś. Nie przeczytałeś?

Odkąd Andrew odmówił dalszego uczestniczenia z kuzynem w owych pielgrzymkach do tawern i burdeli, którymi ten próbował przywrócić go do życia, i odizolował się od świata w swym domu, Charles przy okazji swych wizyt zazwyczaj przynosił mu książki: na ogół ostatnio opublikowane dzieła nieznanymi autorów, którzy – zainspirowani naukowym szaleństwem zmieniającym oblicze stulecia – pisali o machinach dokonujących nieprawdopodobnych cudów. Opowieści te nazywano „naukowymi romansami”, co było tłumaczeniem określenia, jakie angielscy wydawcy nadali „niezwykłym podróżom” Juliusza Verne'a. Termin ten przyjął się zadziwiająco szybko i używano go na określenie jakiegokolwiek fantastycznej historii, której autor próbował szukać poparcia w nauce. Zdaniem Charlesa naukowe romanse przejęły ducha, który ożywiał dzieła Bergeraca i Lukiana z Samosat, i wypierały stare powieści o zamkach zaludnionych zjawami. Andrew przypominał sobie niektóre z szalonych urządzeń, jakich były pełne owe powieścicidła, na przykład hełm chroniący przed koszmarami – rodzaj kaszki działającego w połączeniu z małą maszyną parową, która zasysała złe sny i zwracała je przetworzone w przyjemne. Ale przede wszystkim pamiętał maszynę, która sprawiała, że różne rzeczy rosły, i którą pewien żydowski uczonek zastosował na owadach: wizja Londynu nawiedzonego przez plagę much wielkości zeppelinów, które przechylały wieże i burzyły budynki, gdy tylko na nich przysiadły, była nedorzecznie przerażająca. W innych czasach Andrew chłonałby te opowieści, ale teraz uparcie odmawiał zainteresowania się wszechświatem i choć bardzo mu to ciążyło, nie robił wyjątków dla

świata fikcji: nie chciał żadnych balsamów dla duszy, pragnął patrzeć prosto w otchłań nicości, toteż Charles nie mógł się posłużyć tajemną mocą literatury. Młody Harrington przypuszczał, że książka niejakiego Wellsa, o której wspomniał mu kuzyn, spoczywała gdzieś na dnie jego skrzyni, przywalona stertą podobnych opowieści, które zaledwie przewertował.

Widząc jego zdezorientowaną minę, Charles pokręcił głową w teatralnym geście rozpaczony i zachęcił kuzyna, by zajął krzesło. Sam postawił drugie naprzeciwko i usiadł na nim. Nachylając się lekko do przodu, niczym proboszcz przygotowujący się do wypowiedzania jednego ze swoich parafian, zaczął streszczać fabułę powieści, która – jego zdaniem – zrewolucjonizowała Anglię. Andrew słuchał go ze sceptycyzmem. Jak można było wywnioskować z tytułu, jej bohater, naukowiec, wynalazł wehikuł czasu – maszynę umożliwiającą podróżowanie przez wieki. Prostym ruchem przestawiając dźwignię swego urządzenia, wynalazca szybko pomknął w przyszłość i z ogromnym zdumieniem obserwował, jak dokoła ślimaki pędzą jak zające, drzewa wynurzają się z ziemi niczym wodotryski, gwiazdy w widoczny sposób krążą po niebie, na którym dzień i noc przeplatają się w zawrotnym tempie, trwając tylko mgnienie... Podczas tej fascynującej, obłędnej wyprawy dotarł do roku 802 701, by odkryć, że społeczeństwo podzieliło się na antagonistyczne względem siebie rasy: pięknych i bezużytecznych Ełojów oraz Morloków, mieszkających pod ziemią potwornych stworzeń żywiących się swoimi nadziemnymi sąsiadami, hodowanymi jak bydło. Słyszając to, Andrew zrobił minę pełną obrzydzenia, co u kuzyna wywołało uśmiech. Charles pośpieszył z wyjaśnieniem, że ta część akcji nie ma większego znaczenia: nie jest niczym więcej jak pretekstem do nakreślenia uproszczonej karykatury społeczeństwa ich obecnej epoki. Umysłami Anglików wstrząsnęło natomiast to, że Wells potraktował czas jako czwarty wymiar, przekształcając go we wspaniały tunel, którym można podróżować.

– Wszyscy wiemy, że dowolny przedmiot ma trzy wymiary – wyjaśnił Charles, biorąc swój kapelusz i obracając go w dłoniach gestem iluzjonisty – wysokość, długość i szerokość. Ale aby dany przedmiot przestał istnieć oraz aby ten kapelusz tworzył część naszej obecnej rzeczywistości, musi mieć coś jeszcze: trwałość. Prócz tego, że się rozciąga w przestrzeni, musi też trwać w czasie. Widzimy ten kapelusz nie tylko dlatego, że zajmuje miejsce, ale także dlatego, że zajmuje czas, dzięki czemu nie ulatnia się przed naszymi oczami. Zatem żyjemy we wszechświecie czterowymiarowym. Jeśli więc dochodzimy do wniosku, że czas jest jeszcze jednym wymiarem, co miałoby nas powstrzymać przed przemierzaniem go? W rzeczywistości wciąż to robimy. Zarówno ty, jak i ja oraz nasze kapelusze poruszamy się w czasie do przodu, jednak dzieje się to monotonnie, liniowo, nie pomijamy ani jednej sekundy, zmierzając nieuchronnie do własnej śmierci. Wells w swojej książce pyta, dlaczego nie możemy przyspieszyć naszej podróży lub nawet zawrócić i podążyć w przeciwnym kierunku, w rejony zwane przeszłością, które w gruncie rzeczy nie są niczym innym jak nicią nawiniętą na nasz motek. Jeżeli czas jest wymiarem przestrzennym, czemu nie mielibyśmy przemieszczać się w nim swobodnie, tak jak to robimy w pozostałych trzech wymiarach?

Zadowolony ze swojego wyjaśnienia Charles odłożył kapelusz na łóżko. Potem przyjrzał się bawdawczo kuzynowi, dając mu chwilę na przyswojenie tego, co właśnie usłyszał.

– Wyznam ci, że kiedy przeczytałem tę powieść, wydała mi się na tyle genialna, by uwiarygodnić ideę, która wciąż była fantazją – ciągnął dalej, podczas gdy jego kuzyn milczał. – Nie spodziewałem się jednak, że nauka uzna tę myśl za dopuszczalną. Ta książka odniosła niesamowity sukces, Andrew, cały świat o niej mówi. W klubach, na salonach i uniwersytetach, podczas przerw w fabrykach nie rozprawia się o niczym innym. Nie rozmawia się już o kryzysie w Stanach Zjednoczonych i o tym, jak mógłby wpłynąć na Anglię, ani o obrazie Waterhouse'a czy o sztukach teatralnych Oscara Wilde'a. Teraz ludzie dyskutują o tym, czy podróże w czasie są możliwe, czy nie. Nawet kobiety, uwiedzione

tym tematem, robią sobie przerwy w swoich feministycznych mityngach. Snucie domysłów o tym, jaki będzie świat jutra, oraz rozprawianie o minionych zdarzeniach, które powinno się zmienić, stało się ulubioną rozrywką Anglii, nadzwyczaj skutecznie ożywiająca porę podwieczorku. To oczywiście jałowe dyskusje, jako że nigdy nie da się dojść do żadnej rozstrzygającej konkluzji, z wyjątkiem kręgów naukowych – w nich rozgorzała jeszcze gorętsza debata, o której gazety donosiły niemal codziennie. Jednemu wszak nie można zaprzeczyć: że powieść Wellsa rozpałała iskrę, która rozbudziła w społeczeństwie pragnienia przemieszczania się w czasie, posunięcia się dalej, niż pozwala nasze kruche, nietrwałe ciało. Wszystkim zachciało się przenieść w przyszłość, a rok dwutysięczny stał się najbardziej logicznym celem. Każdy chciałby go zobaczyć, ponieważ sto lat wydaje się okresem wystarczającym, by wynaleziono wszystko, co trzeba, i aby świat przekształcił się w cudowne miejsce nie do rozpoznania, wręcz magiczne lub nawet jeszcze lepsze. Wszystko to w gruncie rzeczy nie wydawało się niczym innym jak nieszkodliwą zabawą, naiwnym pragnieniem. Przestało nią być jednak, kiedy w zeszłym miesiącu rozpoczęły działalność Podróże w Czasie Murraya. Ogłoszono to z wielką pompą w gazetach i na ulicznych plakatach: Gilliam Murray może urzeczywistnić nasze marzenia, może nas przenieść do roku dwutysięcznego. Mimo wysokiej ceny biletu przed budynkiem ustawily się długie kolejki. Widziałem ludzi, którzy zawsze utrzymywali, że przemieszczanie się w czasie jest niemożliwe, jak stoją przed tamtymi drzwiami niczym podekscytowane dzieci. Nikt nie chciał tego stracić, nikt. Madeleine i ja nie dostaliśmy miejsc w pierwszej wyprawie, ale załapaliśmy się na drugą. I udaliśmy się w przyszłość, Andrew. Tak jak mnie tutaj widzisz, byłem sto pięć lat od tego momentu i wróciłem. Ten płaszcz wciąż ma na sobie plamy z popiołu, czuć go wojną przyszłości. Gdy nikt mnie nie widział, wziąłem sobie nawet bryłkę gruzu, kamyk, który musi mieć swój teraźniejszy odpowiednik ukryty w jakiejś z jeszcze nietkniętych budowli Londynu. Ułożyliśmy go w witrynie w salonie obok tac z Shefeers.

Andrew poczuł się jak łódź uwięziona w wirze wodnym. Wydawało mu się nie do wiary, że można podróżować w czasie, że człowiek nie jest skazany na oglądanie wyłącznie tej epoki, w której przyszedł na świat, tego ogrodzonego terenu przeznaczonego na życie jego serca i przebywanie ciała. Nie sądził, by się dało odwiedzić inne czasy, nie swoje chwile, przeskoczyć własną śmierć i niewyraźną linię potomków, sprofanować sanktuarium przyszłości, dotrzeć tam, gdzie do tej pory można było sięgnąć jedynie w snach albo w wyobraźni. I po raz pierwszy od lat zauważył, że w jego wnętrzu kiełkuje zaciekawienie, że coś w tym świecie istniejące poza palisadą indolencji, za którą się schronił, teraz budzi w nim zainteresowanie. Natychmiast jednak zmusił się do stłumienia tego nieśmiałego ogienka, zanim osiągnął on wielkość pożaru. Andrew chodził przecież w żałobie, nosił w piersi zdruzgotane serce i zgorzkniałą duszę, był istotą uwolnioną od emocji, wypalonym do cna przedstawicielem rodzaju ludzkiego, który odczuł już w życiu wszystko, co miał odczuć. Jak świat szeroki, nie istniał żaden powód, dla którego miałby żyć – nie mógł egzystować, nie bez niej.

– To zdumiewające, Charles – westchnął ze znużeniem, udając obojętność wobec odbywanych wbrew naturze wojaży. – Lecz co to ma wspólnego z Marie?

– Nie widzisz, kuzynie? – odpowiedział Charles niemal zgorzonym.

– Ten przedsiębiorca potrafi przemieszczać się w czasie. Jestem pewien, że jeśli zaoferujesz mu wystarczającą sumę pieniędzy, zorganizuje ci prywatną wycieczkę w przeszłość. Wtedy będziesz miał kogo zastrzelić.

Andrew niemądrze otworzył usta.

– Rozpruwacza? – spytał niemal szeptem.

– Właśnie – odrzekł Charles. – Jeśli się udasz w przeszłość, będziesz mógł ocalić Marie osobiście.

Andrew chwycił się mocno krzesła, żeby z niego nie spaść. „Czy to możliwe? Mógłbym się przenieść w przeszłość, do nocy siódmego listopada 1888 roku, i uratować Marie?” – pytał sam siebie, próbując przewyciężyć oszołomienie. Myśl o tym, że to prawdopodobne, wprawiała go w osłupienie nie tylko z powodu cudu, na jaki zakrawało cofanie się w czasie, lecz także ze względu na fakt powrotu do okresu, w którym Marie jeszcze żyła. A zatem będzie mógł znów wziąć w ramiona ciało, które widział rozczłonkowane. Nade wszystko jednak wstrząsnęło nim, że ktoś proponuje mu szansę na ocalenie jej, naprawienie własnego błędu, zmianę tego, co w ciągu minionych lat nauczył się przyjmować do wiadomości jako niemożliwe do odmienienia. Zawsze błagał Stwórcę, by dane mu było to zrobić. Najwyraźniej prosił niewłaściwą osobę. Żył przecież w stuleciu nauki.

– Nic nie tracimy, jeśli spróbujemy – usłyszał głos swego kuzyna.

– Co ty na to?

Andrew przez kilka minut wpatrywał się w podłogę, walcząc z natłokiem emocji. Nie mógł uwierzyć, że istnieje ta możliwość, ale skoro tak jest, jak miałyby się wzbraniać przed skorzystaniem z okazji, wszak właśnie tego zawsze pragnął – sposobności, na którą czekał od ośmiu lat. Podniósł głowę i z udręczoną miną spojrzął na swego kuzyna.

– Zgoda – wyszeptał ochryple.

– Wspaniale, Andrew – ucieszył się Charles i poklepał go po ramieniu. – Wspaniale.

Kuzyn uśmiechnął się do niego bez specjalnego przekonania, po czym z powrotem wbił wzrok we własne buty, starając się to wszystko przetrwać: zamierza odbyć podróż do miejsc znanych z przeszłości, do chwil, które już były, do własnych wspomnień.

– Dobrze – stwierdził Charles, spoglądając na swój zegarek kieszonkowy. – Najpierw zjemy kolację. Nie byłoby rozważnie udawać się w przeszłość o pustym żołądku.

Wyszli z izdebki i skierowali się do powozu Winslowów czekającego przy łukowatym wejściu. Tego wieczoru, jak gdyby się nie różnił od pozostałych, pojechali zwyczajową trasą. Zjedli kolację w Café Royal, Charles uwielbiał podawane tam paszteciki. Następnie udali się do domu publicznego madame Norrell, Charles lubił jako pierwszy korzystać z nowych nabytków, póki nie przeszły przez zbyt wiele rąk. Zakończyli noc w tawernie Colaridges – Charles cenił tamtejszą listę win musujących bardziej niż z jakiegokolwiek innego miejsca – gdzie pili aż do świtu. Zanim alkohol zamącił im w głowie, kuzyn wyjaśnił młodemu Harringtonowi, że udał się do roku dwutysięcznego ogromnym tramwajem zwanym Cronotilusem, który napęd do podróży przez wieki czerpał z imponującego kotła parowego, Andrew jednak nie był w stanie zainteresować się przyszłością: jego umysł zajmowało coś dokładnie odwrotnego, wyobrażał sobie mianowicie, jak to będzie: podążyć w przeciwnym kierunku, w przeszłość. Tam mógłby uratować Marie, jak zapewniał go kuzyn, i stawić czoło Rozpruwaczowi. Ostatnie lata upłynęły młodzieńcowi na gromadzeniu wściekłości na tego potwora – wściekłości, o której zawsze myślał, że jest bezużyteczna, teraz jednak będzie miał okazję dać jej upust. Przyszło mu jednak do głowy, że nie jest tym samym rzucanie wyzwania człowiekowi, który został stracony, co skonfrontowanie się z nim naprawdę, w bezpośrednim starciu, jakie może zaaranżować Murray. Przypomniawszy sobie krzepką sylwetkę mężczyzny, z którym się zderzył na Hanbury Street, zacisnął dłoń na rewolwerze w kieszeni i próbował podtrzymać się na duchu, mówiąc sobie, że choć nigdy dotąd nikogo nie zastrzelił, ćwiczył przecież celność na butelkach, gołębiach i królikach. Jeżeli zachowa spokój, wszystko pójdzie dobrze. Wyceluje z opanowaniem w serce albo głowę, wystrzeli bez pośpiechu i zabije Rozpruwacza po raz drugi. Tak właśnie będzie. A przy tym – jak gdyby ktoś skruszył orzech tkwiący w trybach maszynierii wszechświata i poprawił jej funkcjonowanie – śmierć mordercy przywróci życie Marie Kelly.

VII

Mimo wczesnej rannej godziny Soho tętniło życiem. Charles i Andrew musieli sobie torować drogę w wypełniającym ulicę tłumie złożonym z mężczyzn w melonikach i kobiet w kapelusikach ozdobionych piórami, wśród których zagnieździł się nawet jakiś sztuczny ptak. Pary trzymające się pod ramię przemierzały chodniki, wchodziły do sklepów i wychodziły z nich albo szukały okazji, by przejść na drugą stronę jezdni, po której wolno niczym płynąca lawa paradował zwarty sznur luksusowych powozów, małych dwukołowych kabrioletów, dwupiętrowych tramwajów oraz wozów wypełnionych towarami: beczkami, owocami albo ukrytymi pod brezentem tajemniczymi pakunkami, równie dobrze mogły nimi być wykradzione z cmentarza trupy. Na rogach ulic sterczeli brudni, obdarci podrzędni malarze, aktorzy i akrobaci popisujący się swym wątpliwym talentem z nadzieją, że przyciągną uwagę jakiegoś beczynnego przechodnia. Charles od śniadania nie przestawał perorować, ale Andrew ledwie go słyszał z powodu głośnego turkotu i zgrzytu kół pojazdów na bruku, do czego dochodziło nieprzyjemne nawoływanie ulicznych sprzedawców i ludzi aspirujących do rangi artystów. Młody Harrington ograniczył się do tego, by pozwolić kuzynowi poprowadzić się przez ten nijaki poranek, a sam pozostał pogrążony w swego rodzaju letargu, z którego zdołała go wyciągnąć jedynie słodka woń, jaką wyczuł, mijając jedną z kwiaciarek przechadzających się w ciżbie z pachnącymi koszyczkami.

Gdy tylko przedarli się na Greek Street, ujrzeli skromny budynek mieszczący przedsiębiorstwo Podróże w Czasie Murraya. Był to właściwie stary teatr, przekształcony przez nowego właściciela, który dopilnował, aby motywy na klasycystycznej fasadzie w taki czy inny sposób nawiązywały do czasu. Do wejścia prowadziło kilka stopni oflankowanych kolumnami, a wchodziło się przez eleganckie rzeźbione drzwi zwieńczone frontonem, na którym umieszczono grawerunek przedstawiający Kronosa obracającego zodiakalne koło. Bóg czasu, ukazany jako złowieszczy starzec z długą brodą, która rozlewała się kaskadą na piersi i sięgała prawie do pępka, był okolony fryzem rzeźbionym w klepsydry. Motyw ten powtarzał się też na lukach obramowujących wielkie okna na drugim piętrze. Między frontonem a nadprożem pompatyczne litery z różowego marmuru obwieszczały wszystkim, którzy potrafią czytać, że w tym jakże malowniczym miejscu mieści się siedziba firmy Podróże w Czasie Murraya.

Charles i Andrew patrzyli, jak ludzie omijają odcinek chodnika zajmowany przez ten budynek. Kiedy dotarli do wejścia, zrozumieli czemu. Przyprawiający o mdłości odór wywołał u nich torsje, zachęcając do zwrócenia śniadania, które zdążyli zjeść w jakimś zacisznym zakątku. Smród pochodził od lepkiej mazi, którą usiłowali usunąć z części fasady dwaj robotnicy o twarzach osłoniętych chustkami, wyposażeni w szczotki i miednice z mydlaną wodą. Potraktowana szczecina szczotek ta ciemna substancja, czymkolwiek była, spływała na chodnik w postaci odrażającej czarniawej flegmy.

– Przepraszamy za niedogodności, panowie – usprawiedliwił się jeden z pracowników, odsuwając chustkę z twarzy. – Jakiś drań wysmarował fasadę krowim łajnem, ale zaraz znów będzie czysta.

Andrew i Charles wymienili pytające spojrzenia, po czym wyjęli chusteczki i zasłonili sobie nimi twarze jak bandyci, a następnie pośpiesznie przeszli przez portyk. W holu armia strategicznie rozmieszczonych wazonów z różami i mieczykami nie dopuszczała fetoru w głąb wnętrza. Westybul, podobnie jak fasada budynku, przykuwał uwagę nadmiarem ikonografii związanej z czasem. Pośrodku widniała olbrzymia mechaniczna rzeźba – na ogromnym piedestale aż pod tonący w mroku sufit wznosiły się dwa pajęczne ramiona, na których kołysała się klepsydra wielkości cielęcia, zrobiona ze szkła osadzonego w żelaznych mocowaniach nabijanych nitami. Nie zawierała jednak piasku, lecz

niebieskawy pył, który z wdziękiem przesypywał się z jednej czaszy do drugiej, a nawet delikatnie, sugestywnie opalizował w blasku najbliższej świecących lamp. Dzięki jakiejś ukrytej gmatwaninie przekładni ramiona nakazywały klepsydrze odwrócić się, ilekroć cała zawartość przesypała się do dolnego pojemnika, tak że fałszywy piasek nigdy nie przestawał płynąć, jakby dla przypomnienia, że tak samo nie zatrzymuje się czas. Z dominującą w holu gigantyczną rzeźbą współlistniały inne warte wzmianki urządzenia, mniej widowiskowe, lecz bardziej szacowne, ponieważ zaprojektowane wieleset lat temu, takie jak sześcienne konstrukcje pełne łopatek i zębatych kółek, które drzemały sobie na dnie pomieszczenia, a według plakietki umieszczonej na ich podstawach były pierwszymi próbami mechanicznych zegarów. Oprócz owego sprzętu dookoła wisały setki zegarów ściennych, od tradycyjnych holenderskich typu *stoelklok*, ozdobionych syrenami i cherubinami, po austrowęgierskie, z wahadłem sekundnika, rozsiewające w powietrzu przytłaczające, niestrudzone cykanie, które dla pracowników tego budynku stało się nieustającą symfonią życia, przez co w niedziele bez jej krzepiącej obecności czuli się bezbronni.

Na widok przemierzających salę dwóch klientów od stołu znajdującego się w jednym z kątów wstała jakaś młoda kobieta i podeszła, by ich przywitać. Poruszała się z wdziękiem gryzonia, dostosowując rytm kroków do zgodnego odgłosu tykania. Po uprzejmym powitaniu poinformowała ich z entuzjazmem, że wciąż jeszcze są wolne miejsca na trzecią wyprawę do roku dwutysięcznego, zatem mogą dokonać rezerwacji. Przywołując na usta czarujący uśmiech, Charles odmówił młodej recepcjonistce i powiadomił ją, że przybyli tu, aby porozmawiać z Gilliamem Murrayem. Po krótkim wahaniu kobieta potwierdziła, że pan Murray jest teraz w budynku i że – mimo rozlicznych zajęć – mógłby ich chyba przyjąć, na co Charles wyraził radość jeszcze szerszym uśmiechem. Gdy młoda dama zdołała wreszcie oderwać wzrok od jego olśniewających zębów, odwróciła się na pięcie i wskazała, by podążyli za nią. W głębi pomieszczenia czekały na nich marmurowe schody wiodące na wyższą kondygnację. Charles i Andrew, prowadzeni przez dziewczynę, przemierzili długi korytarz obwieszony gobelinami przedstawiającymi rozmaite sceny z wojny przyszłości. Jak gdyby tego było mało, tutaj też zgromadzono nieodzowny zbiór zegarów. Umieszczone na ścianach, komodach i kredensach rozsnuwały w powietrzu natrętny szmer tykania. Kiedy przybyli pod okazałe drzwi gabinetu Murraya, kobieta poprosiła, by tu zaczekali, ale Charles zlekceważył jej słowa i ciągnąc z sobą kuzynę, wszedł za nią do pokoju.

Wielkie rozmiary biura zaskoczyły młodego Harringtona, podobnie jak chaotyczne rozmieszczenie mebli i przesłaniających ściany licznych map przywodzących na myśl wnętrze tych namiotów, w których marszałkowie polni opracowywali plany wojenne. Goście musieli się rozejrzeć kilka razy, zanim spostrzegli, że Gilliam Murray leży wyciągnięty na dywanie i bawi się z psem.

– Dzień dobry, panie Murray – przywitał się Charles, wyprzedzając sekretarkę. – Nazywam się Charles Winslow, a to jest mój kuzyn Andrew Harrington. Chcielibyśmy z panem porozmawiać, jeśli nie jest pan zbyt zajęty.

Gilliam Murray, potężny mężczyzna ubrany w krzykliwy jasnoróżowy garnitur, na ironiczne zaganienie Charlesa odpowiedział uśmiechem, przyjmując ów poważny cios w sportowym duchu, jednak był to ten rodzaj tajemniczego uśmiechu, jaki gości na ustach człowieka mającego rękawy wypchane asami, z których wykorzystaniem nie będzie zwlekał.

– Zawsze mogę znaleźć chwilę, aby przyjąć tak zacnych kawalerów – powiedział, podnosząc się z dywanu.

Gdy stanął wyprostowany przed nimi, Andrew i Charles stwierdzili, że wyogromniał jakby za sprawą magicznego zaklęcia. Wszystko w nim wyglądało na dwa razy większe niż normalnie, od rąk, które wydawały się zdolne do chwytania byków za rogi i poskramiania ich tym sposobem, po głowę

bardziej odpowiednią dla Minotaura niż dla człowieka. Jednak mimo tak nietypowej postury przedsiębiorca nie poruszał się ociężale, lecz z zaskakującą, a nawet zmysłową zwinnością. Miał włosy w kolorze pszenicy starannie zaczesane do tyłu oraz ogromne niebieskie oczy, w których buzował intensywny ogień, zdradzający ambitnego, zuchwałego ducha – ogień, który mężczyzna nauczył się powściągać szerokim wachlarzem ujmujących uśmiechów, do jakich zdolne były jego mięsiste wargi.

Gestem dłoni olbrzym zachęcił gości, aby podeszli wraz z nim do biurka znajdującego się na tyłach pokoju. Poprowadził ich ścieżką wytyczoną, przypuszczalnie po sumiennych poszukiwaniach, pośród porozstawianych chaotycznie po całej sali licznych globusów i stolików uginających się pod książkami i zeszytami. Andrew zauważył, że tutaj też nie brakowało zegarów. Oprócz tych, które wisiały na ścianach oraz tłoczyły się na półkach biblioteczki, w pokoju stała potężna witryna gromadząca przenośne zegary cieniowe, słoneczne, wymyślne klepsydry i inne urządzenia pokazujące postęp czasu. Andrew odniósł jednak wrażenie, że Gilliam wystawia te przedmioty ze złośliwym celem: aby ukazać ich absurdalność, próżny wysiłek ludzkości próbującej ująć coś, co schwytać się nie da, tę absolutną, tajemniczą i nieposkromioną siłę, jaką jest czas. Jedyne, czego człowiek zdołał dokonać – zdawał się mówić przedsiębiorca za pomocą swego zbioru różnorodnych zegarów – to odarcie czasu z jego metafizycznej natury i przekształcenie go w pospolity instrument, dzięki któremu można uniknąć spóźnienia się na umówione spotkanie.

Charles i Andrew zajęli dwa wygodne fotele w stylu jakobińskim ustawione przed majestatycznym biurkiem o pękatych nogach, za którym zasiadł Murray, sadowiąc się w obramieniu ogromnego okna, które miał za plecami. I patrząc na światło wpadające przez szyby z ołowiowego szkła, wypełniające gabinet wesołą wiejską atmosferą, Andrew zaczął myśleć, że przedsiębiorca dysponuje nawet własnym słońcem, podczas gdy reszta świata trwa pogrążona w porannym przygnębieniu.

– Mam nadzieję, że przeproszono panów za niefortunny fetor u wejścia – pośpiesznie usprawiedliwił się Gilliam z pełną niesmaku miną. – Już drugi raz ktoś wysmarował nam fasadę ekskrementami. Być może mamy do czynienia z jakąś zorganizowaną grupą, która tym odrażającym sposobem próbuje utrudnić działanie naszego przedsiębiorstwa – stwierdził, fatalistycznie wzruszając ramionami, jakby chciał zaakcentować zakłopotanie, w jakie go wprawia ta sprawa. – Jak widzicie, nie wszyscy uważają, że podróżowanie w czasie jest korzystne dla społeczeństwa. Niemniej to właśnie społeczeństwo domagało się takich podróży po opublikowaniu cudownej książki pana Wellsa. Ale z tych nieprzyjemnych aktów wandalizmu nie mogę wyciągnąć innego wniosku, ponieważ ich autorzy nie zostawili żadnych wiadomości z żądaniami ani nic podobnego. Ograniczyli się po prostu do wybrudzenia fasady.

To powiedziawszy, Gilliam Murray zapatrzył się w przestrzeń. Przez kilka sekund trwał tak zatopiony w swoich obawach, po czym najwyraźniej przypomniał sobie, gdzie jest, i prostując się na siedzeniu, skierował otwarte spojrzenie na swych gości.

– Ale powiedzcie mi, panowie, czym mogę wam służyć.

– Chciałbym, aby zorganizował pan dla mnie prywatną podróż do jesieni 1888 roku, panie Murray – odparł Andrew, który najwyraźniej niecierpliwie czekał, aż olbrzym pozwoli mu dojść do słowa.

– Do Jesieni Strachu? – zapytał zaskoczony Murray.

– Tak, dokładnie do nocy siódmego listopada.

Gilliam przez kilka minut patrzył na niego w milczeniu. W końcu, nie próbując nawet ukryć rozczarowania, otworzył jedną z szuflad biurka i wyjął z niej plik papierów przewiązanych wstążeczką. Położył je na blacie ze znużeniem, jakby im pokazywał jakiś dręczący go ciężar, który musi nosić bez skargi.

– Wie pan, co to jest, panie Harrington? – westchnął. – Listy i prośby od różnych ludzi, które

otrzymujemy codziennie. Są tacy, którzy chcą, żebyśmy im pomogli przespacerować się po wiszących ogrodach Babilonii, tacy, którzy pragną poznać Kleopatę, Galileusza czy Platona, którzy na własne oczy chcieliby zobaczyć bitwę pod Waterloo, budowę piramid albo ukrzyżowanie Chrystusa. Wszyscy mają ochotę przenieść się do swego ulubionego momentu historycznego, jakby podawali cel jazdy stangretowi. Myślą, że przeszłość leży w naszym zasięgu. Pan pragnie się dostać do roku 1888. Nie wątpię, że ma pan swoje powody, podobnie jak mają je autorzy tych wszystkich petycji, ale obawiam się, że nie mogę spełnić tych próśb.

– Chcę się tylko cofnąć o osiem lat, panie Murray – odpowiedział Andrew. – I jestem gotów zapłacić podaną przez pana cenę.

Murray roześmiał się gorzko.

– Nie jest to kwestia odległości w czasie. Ani też pieniędzy. Gdyby o to chodziło, panie Harrington, jestem absolutnie pewien, że doszlibyśmy do porozumienia. Problem jest, powiedzmy, natury technicznej: nie możemy podróżować do każdej dowolnej epoki, czy to w przeszłość, czy w przyszłość.

– Może nas pan zabrać tylko do roku dwutysięcznego? – wykrzyknął wyraźnie rozczarowany Charles.

– Właśnie tak, panie Winslow – odrzekł z ubolewaniem Murray, spoglądając na Charlesa ze smutkiem. – Choć mamy nadzieję rozszerzyć ofertę w przyszłości, teraz, jak podają nasze reklamy, jedynym celem, jaki proponujemy, jest dwudziesty dzień maja dwutysięcznego roku, dokładnie czas, w którym rozgrywa się ostateczna bitwa automatów, dowodzonych przez nikczemnego Salomona, z wojskiem ludzkim pod dowództwem dzielnego kapitana Shackletona. Czy nie wydaje się to wystarczająco ekscytującym celem, panie Winslow? – zapytał z niejakim sarkazmem, dając mu do zrozumienia, że niełatwo zapomina twarze tych, którzy uczestniczyli w jego wyprawach.

– Tak, panie Murray – odpowiedział Charles po chwili wahania. – To było naprawdę emocjonujące. Tylko że myślałem...

– Że możemy podróżować w każdym kierunku strumienia czasu – dokończył za niego przedsiębiorca. – Tak, tak, wiem. Tak jednak nie jest. Obawiam się, że przeszłość wykracza poza nasze kompetencje.

To powiedziawszy, Murray popatrzył na swoich rozmówców ze szczerym żalem, jakby rozumiał, że jego słowa sprawiają im przykrość.

– Problem, moi panowie – westchnął, opierając się wygodniej na krześle – polega na tym, że nie przemieszczamy się w czasie wraz z jego strumieniem, jak bohater Wellsa, tylko poza tym nurtem. Podróżujemy w czasie poza czasem, że tak powiem. Przesuwamy się po jego zewnętrznej otoczce. – Zamilkł i utkwiał w nich niewzruszone spojrzenie, nie mrugając, jak to potrafią robić koty.

– Nie rozumiem pana – oświadczył wreszcie Charles.

Gilliam Murray skinął głową, jakby się nie spodziewał innej odpowiedzi.

– Przedstawię panom proste porównanie: budynek można przemierzać wewnątrz, chodząc po pomieszczeniach. Można go też jednak obejść, idąc po gzymsie, nieprawdaż?

Charles i Andrew przytaknęli bez entuzjazmu, trochę rozdrażnieni, że się ich traktuje jak niedorośliwych idiotów, co najwyraźniej czynił Murray.

- Choć może się wydawać, że badałem możliwości podróżowania w czasie, jakie przedstawił w swej książce pan Wells – ciągnął gospodarz – postanowiłem tego nie robić. Jeśli czytaliście jego powieść, wiecie, że ograniczył się do rzucenia rękawicy społeczności naukowców, proponując im ścieżkę badawczą, ale w nawiązaniu do działania jego wynalazku. W przeciwieństwie do swego kolegi, Juliusza Verne'a, sprytnie uniknął jakichkolwiek realistycznych wyjaśnień, a zamiast nich wolał

opisać nam maszynę wysnutą z własnej niezwyklej wyobraźni, co z drugiej strony w dziele fikcyjnym jest jak najbardziej dozwolone. Jednak dopóki nauka nie wykaże, iż zbudowanie wehikułu czasu jest możliwe, nie będzie on niczym więcej jak zabawką. Czy kiedyś coś takiego będzie dla nas dostępne? Chciałbym wierzyć, że tak: osiągnięcia naszych naukowców w bieżącym stuleciu napawają mnie ogromnym optymizmem. Zgodzicie się ze mną, panowie, że żyjemy w wyjątkowych czasach. W epoce, w której człowiek codziennie kwestionuje istnienie Boga. Ileż cudów nauka przedstawiła nam w ostatnich latach? Wiele z tych wynalazków jedynie ułatwia nam zwyczajne życie, jak mechaniczny kalkulator, maszyna do pisania czy elektryczna winda, lecz inne sprawiają, że czujemy się potężni, ponieważ przełamują to, co niemożliwe. Dzięki lokomotywie możemy dzisiaj przemierzać duże odległości, nie robiąc ani kroku, wkrótce będziemy mogli przesyłać swój głos na drugi kraniec kraju bez żadnego wysiłku fizycznego, jak to już czynią Amerykanie za pomocą urządzenia zwanego telefonem. Mimo to zawsze znajdują się tacy, którzy sprzeciwiają się postępowi, którzy uważają, że świętokradztwem jest, kiedy wykraczamy poza ludzkie ograniczenia. Osobiście uważam, że nauka uszlachetnia człowieka, potwierdzając jego panowanie nad naturą, w taki sam sposób, w jaki wykształcenie czy moralność pomagają nam wziąć w karby naszą pierwotną dzikość. Przyjrzyjcie się na przykład temu chronometrowi – rzekł, biorąc drewnianą skrzynkę stojącą z boku stołu. – Dziś produkuje się je seryjnie, taki instrument ma każdy statek na całym świecie. Ale nie zawsze nawigacja odbywała się z pomocą chronometru, ponieważ choć obecnie wydaje się, że ten przedmiot istniał od wieków, brytyjska Admiralicja musiała wyznaczyć nagrodę w wysokości dwudziestu tysięcy funtów szterlingów dla tego, kto zdoła opracować metodę określania długości geograficznej na morzu, jako że żaden zegarmistrz nie był w stanie zbudować zegara, który działałby mimo zaburzeń wywoływanych kołysaniem statku. Konkurs wygrał niejaki John Harrison, który na rozwiązanie tego trudnego problemu poświęcił czterdzieści lat swego życia. Czy to nie fascynujące? Za każdym wynalazkiem pulsuje wysiłek jakiegoś człowieka, życie poświęcone rozwiązaniu problemu, wymyśleniu urządzenia, które przeżyje wynalazcę i będzie tworzyło część świata funkcjonującego dalej, już bez twórcy. Dopóki istnieją ludzie niezadowoleni ze spożywania wyłącznie owoców drzew albo z bicia w bębny w celu przywołania deszczu, którzy postanawiają wykorzystać swą inteligencję, aby wykroczyć poza rolę zwykłych pasożytów pasących się na dziele bożym, dopóty nauka się nie podda. Dlatego nie mam najmniejszej wątpliwości, że bardzo szybko nie tylko powstaną skrzydlate pojazdy pozwalające nam latać jak ptakom, ale też każdy będzie mógł sobie kupić wehikuł wymyślony przez Wellsa i podróżować do takiego momentu w czasie, jaki mu się spodoba. Ludzie przyszłości będą mogli prowadzić podwójne życie, w dni powszednie będą pracowali w banku, a w niedziele romansowali z piękną Nefretete lub pomagali Hannibalowi w podbijaniu Rzymu. Wyobrażacie sobie, jak taki wynalazek odmieni nasze społeczeństwo? – Gilliam rozbawiony przyglądał im się przez kilka sekund, po czym odłożył skrzyneczkę na stół, pozostawiając otwarte wieczko niczym ostrygę lub pudełeczko z pierścionkiem zaręczynowym. Potem dodał: – Ale w chwili obecnej, podczas gdy nauka szuka sposobu na urzeczywistnienie tych marzeń, mamy inną rzecz, która pozwala nam podróżować w czasie, chociaż niestety nie daje możliwości wyboru naszego celu.

– Co pan ma na myśli? – zainteresował się Andrew.

– Mam na myśli... magię – obwieścił donośnym głosem Gilliam.

– Magię? – zapytał niemądrze Andrew.

– Tak, magię – powtórzył gospodarz, tajemniczo poruszając palcami w powietrzu i jednocześnie naśladowując dźwięk wiatru świszczącego w przewodzie kominka. – Ale nie iluzję, którą można oglądać w teatrach, ani też ezoterykę, o której wieszczą kanciarze ze Złotego Brzasku. Mam na myśli prawdziwą magię. Wierzycie w magię, panowie?

Andrew i Charles zawahali się, nieco zakłopotani kierunkiem, jaki przybrała rozmowa, lecz Gilliam nie potrzebował żadnej odpowiedzi.

– Oczywiście, że nie – rzekł z ubolewaniem. – Dlatego staram się o niej nie wspominać. Wolę, gdy moi klienci myślą, że podróżujemy do przyszłości dzięki osiągnięciom nauki. Wszyscy wierzą w naukę. W dzisiejszych czasach stała się ona bardziej wiarygodna niż magia. Mamy przecież epokę nowoczesności. Zapewniam was jednak, że magia istnieje.

Wtem, ku zaskoczeniu swych gości, Murray podniósł się żwawo z siedzenia i przenikliwie zagwizdał. Pies, który cały czas leżał na dywanie, niepomny na sprawy, jakimi zajmowali się ludzie, natychmiast wstał i wesoło potruchtał do swego pana.

– Panowie, przedstawiam wam Wiecznego – powiedział Gilliam, podczas gdy podekscytowane zwierzę biegało wokół niego. – Lubicie psy? Możecie go głaskać bez obaw.

Jakby mieli do czynienia z jakimś rekwizytem, który należy powitać pochwałą, aby gospodarz mógł kontynuować swoją mowę, Charles i Andrew podnieśli się i pogłazdili grzbiet zwierzęcia, nerwowego golden retrievera o gładkiej zadbanej sierści.

– Panowie – ogłosił wówczas Murray – wieście, że głoszczecie cud. Ponieważ, jak już wam powiedziałem, magia istnieje. A nawet daje się dotknąć. Jak sądzicie, ile lat ma Wieczny?

Charles miał w swojej wiejskiej posiadłości kilka psów i był przyzwyczajony do ich obecności od dzieciństwa, toteż odpowiedź nie sprawiła mu trudności. Z miną znawcy obejrzał uzębienie psa i bez wahania odparł:

– Rok, najwyżej dwa lata.

– Rzeczywiście – poświadczył Gilliam, przyklękając, aby z czułością podrapać zwierzaka po szyi. – Twój widoczny wiek to jeden rok, prawda? Twój wiek w czasie rzeczywistym.

Andrew skorzystał ze sposobności, by poszukać spojrzenia kuzyna, pragnąc się dowiedzieć, co on sądzi o tym wszystkim. Charles załagodził jego obawy spokojnym uśmiechem.

– Jak już wam powiedziałem – ciągnął wywód Murray, prostując się – swoje przedsiębiorstwo zdecydowałem się stworzyć bynajmniej nie pod wpływem książki Wellsa. To był czysty przypadek, choć nie zaprzeczam, że dzieło ogromnie mi się przysłużyło, jako że Wells rozbudził w społeczeństwie ukryte pragnienie. Wiecie, co sprawia, że podróże w czasie są tak atrakcyjne? Chodzi o to, że wszyscy mamy marzenia, których spełnienia pragniemy. Przemieszczanie się w czasie to jedno z nich. Lecz czy myśleliście o nim, panowie, przed przeczytaniem książki Wellsa? Obawiam się, że nie. I zapewniam was, że ja też nie. Pan Wells w jakiś sposób zdołał skonkretyzować abstrakcyjne pragnienie, wyrazić słowami ukryte odwieczne marzenie człowieka.

Murray zrobił przerwę, aby jego poglądy zapadły w umysły gości niczym kurz osiadający na meblach po trzepnięciu dywanem.

– Zanim założyłem to przedsiębiorstwo, pracowałem u swojego ojca – kontynuował po chwili. – Zajmowaliśmy się finansowaniem ekspedycji naukowych. Byliśmy jedną z setek firm, które wysyłały swoich poszukiwaczy w najmniej znane zakątki planety w celu gromadzenia wiedzy etnograficznej i archeologicznej, którą następnie karmiliśmy przeglądy naukowe, albo w celu zbierania niezwykłych owadów i kwiatów dla jakiegoś muzeum nauki, chętnego do wystawienia w swych gablotach urojeń Stwórcy. Jednak na boku tej działalności wciąż kierowało nami pragnienie jak najdokładniejszego poznania świata, w którym żyjemy. Mieliśmy, że tak powiem, szerokie zainteresowania. Nikt jednak nie wie, jaki los jest mu pisany, nieprawdaż, panowie?

Nie czekając na odpowiedź, Gilliam Murray zachęcił ich gestem, aby za nim podążyli. Przemierzył archipelag stolików, z Wiecznym nieustannie drepczącym u swych stóp, i poprowadził gości do jednej z bocznych ścian. W przeciwieństwie do pozostałych, pełnych pólek, na których cisnęły się:

atlas, traktaty geograficzne, rozprawy astronomiczne i mnóstwo dzieł z innych, nieznanych dziedzin, ta ściana była osłonięta warstwą map uporządkowanych według daty narysowania. Kolekcja proponowała podróż zaczynającą się od reprodukcji map renesansowych inspirowanych pracami Ptolemeusza, na których świat niczym owad z podcinanymi odnóżkami ukazano nie do poznania malutki, zredukowany do bezkształtnej Europy, poprzez mapę niemieckiego geografę Martina Waldseemüllera, na której Ameryka odrywała się od kontynentu azjatyckiego, a kończącą się na dziełach Abrahama Orteliusa i Gerhardusa Mercatora, pokazujących świat w całości, w proporcjach podobnych do obecnych. Jeśli się szło od lewej do prawej, jak ich prowadził Murray, chronologiczne uporządkowanie tworzyło efekt podobny do otwierającego się kwiatu lub przeciągającego się kota, ponieważ świat wydawał się dosłownie rosnąć w oczach, rozwijać się z intrygującą powolnością, przekształcając w miejsce coraz przestronniejsze, w miarę jak żeglarze i odkrywcy poszerzali jego granice. Dla młodego Harringtona okazało się fascynujące, że kilkaset lat temu nikt nie podejrzewał, iż świat ciągnie się dalej po drugiej stronie Atlantyku, że jego prawdziwe wymiary w rzeczywistości zależą od wytrwałości i szczęścia odkrywców, którzy swymi niebezpiecznymi wyprawami zapełniali średniowieczną pustkę zamieszkaną przez potwory. Z drugiej strony jednak Andrew żałował, że wielkość świata przestała być tajemnicą, że nie ma już nic więcej niż lądy i oceany zebrane na ostatnich mapach, a świat jest oficjalny, znany, zamknięty w swoich rozmiarach, tak że pozostaje już tylko wyraźniej zaznaczyć jego kontury. Murray zatrzymał ich przed ogromną mapą zamykającą kolekcję.

– Panowie, w tym momencie stoicie prawdopodobnie przed najdokładniejszą mapą, jaką można znaleźć w całej Anglii – poinformował, nie ukrywając dumy – jako że ją stale aktualizuję. Ilekroć dowiaduję się, że odkryto jakiś nieznaną fragment świata, każę tę mapę rysować od nowa, a poprzedni egzemplarz palę. Uważam to za gest symboliczny, jakbym w ten sposób kasował moje stare, niedokładne pojęcie o naszej planecie. Wiele udanych ekspedycji doszło do skutku dzięki naszym funduszom.

Na mapie widok świata był zaburzony, ponieważ gęsto pokrywały ją nakreślone różnymi kolorami linie przedstawiające – jak wyjaśnił Gilliam – wszystkie zorganizowane do tej pory wyprawy, których różnorodny przebieg odnotowano na lewym marginesie rysunku, niewątpliwie z chorobliwą przyjemnością. Wystarczyło jednak rzucić okiem na mapę, by się przekonać, że wierność, z jaką zaznaczono na niej krzywizny toru każdej ekspedycji, okazywała się ostatecznie bezużyteczna, ponieważ trajektoria wypraw była prawie niemożliwa do prześledzenia z powodu nieustannego krzyżowania się i zlewania linii. Przez to wysiłek gospodarza, aby uwzględnić wszystkie te ekspedycje – od najstarszych, jak podróż Marca Polo, oznaczona złotą linią, która wiła się przez Indie, Chiny, Azję Środkową i Archipelag Malajski, aż do niedawnych, takich jak wyprawa sir Francisa Younghusbanda, który po przebyciu zwieńczonych ostrymi szczytami i lodowcami gór Karakorum dotarł do Pekinu i Kaszmiru – stawał się absurdalny. Jednak nie tylko kontynenty zostały pobazgrane. Niektóre linie uciekały ze stref lądowych, aby na morzach naśladować spieniony kilwater sławnych statków, takich jak karawele admirała Kolumba, które otworzyły dla Europejczyków Atlantyk, czy „Erebus” i „Terror”, które w poszukiwaniu krótszej drogi do Chin utknęły na Oceanie Arktycznym. W przypadku tych ostatnich oba narysowane kilwatery urywały się raptownie, podobnie jak stało się w rzeczywistości, po przekroczeniu Cieśniny Lancastera, domniemanej bramy do Przejścia Północno-Zachodniego. Nie będąc w stanie odcyfrować tej plątaniny kresek, Andrew wołał podążyć wzrokiem za niebieską linią, która przecinała wyspę Borneo, deszczowy raj zamieszkaną przez gibony i krokodyle, wtulony w zakątek Azji Południowo-Wschodniej; ta linia znaczyła krętą trasę sir Jamesa Brooke’a, przezwanego Lampartem Sarawaku, który to przydomek stał się znany, ponieważ odkrywca pojawił się w powieściach o Sandokanie, przedstawiony jako bezlitosny pogromca piratów. Ale Gilliam niezwłocznie

poprosił swych gości, aby skupili uwagę na najbardziej zagmatwanej części mapy, to jest na kontynencie afrykańskim, gdzie przetykały się linie znaczące wszystkie te ekspedycje, które próbowały odkryć mityczne źródła Nilu. A więc przeprawy Holenderki Alexandrine Tinné, trasy małżeństwa Bakerów, marszruty ukończone przez Burtona i Speke'a, najsłynniejsze wyprawy Livingstone'a i Stanleya, a także liczne inne tworzyły płataninę, która nie ujawniała zbyt wiele oprócz pokusy, jaką Czarny Ląd stanowił dla zapaleńców w hełmach korkowych.

– Historia odkrycia podróży w czasie zaczęła się dokładnie dwadzieścia dwa lata temu – oznajmił Gilliam sugestywnym tonem.

Wieczny, jakby słyszał to już wiele razy, ułożył się u stóp swego pana. Charles uśmiechnął się zachwycony tak obiecującym początkiem, a Andrew zrobił grymas wściekłej rozpaczki, świadom, że będzie się musiał uzbroić w cierpliwość, zanim się dowie, czy można ocalić Marie Kelly.

VIII

Pozwólcie mi teraz na małą narracyjną zonglerkę, abym zrelacjonował to, co Gilliam Murray opowiedział swoim gościom, w trzeciej osobie, a nie w pierwszej, jak zapewne byłoby to przedstawione w typowej powieści przygodowej, za którą przedsiębiorca w głębi duszy uważał swoją historię. W tamtych czasach, na początku drugiej połowy dziewiętnastego wieku, odkrycie mitycznych źródeł Nilu, które Ptolemeusz sytuował w imponujących Górach Księżycowych wznoszących się w sercu Afryki, stało się głównym celem większości towarzystw organizujących ekspedycje. Zdawało się jednak, że współcześni odkrywcy mieli niewiele więcej szczęścia niż Herodot, Neron i pozostałe osobistości, które bezowocnie poszukiwały źródeł wielkiej rzeki od czasów starożytnych. Wyprawa Richarda Burtona i Johna Speke'a przyniosła jedynie ten skutek, że poróżniła tych dwóch poszukiwaczy, a podróż Davida Livingstone'a również nie rzuciła żadnego światła na tę sprawę. Livingstone cierpiał na dyzenterię, gdy Henry Stanley odnalazł go w Ujiji, ale odmówił powrotu razem ze Stanleyem do metropolii i wyruszył na nową ekspedycję, tym razem nad jezioro Tanganika, skąd wrócił niesiony w lektyce, złożony gorączką, która pozbawiła go sił. Szkocki odkrywca zmarł w Chitambo i swoją ostatnią podróż odbył jako nieboszczyk, zabalsamowany i niczym w łonie złożony we wnętrzu cylindra zrobionego z kory drzewa myonga, który jego tragarze następnie przez dziewięć miesięcy transportowali na wyspę Zanzibar, skąd wyprawiono zwłoki do Wielkiej Brytanii. W 1878 roku z wszelkimi honorami spoczęły w opactwie westminsterskim, ale mimo niekwestionowanych osiągnięć Livingstone'a położenie źródeł Nilu wciąż pozostawało tajemnicą i każda instytucja, od Królewskiego Towarzystwa Geograficznego po najmniej znaczące muzeum nauki, chciała, by właśnie jej przypadała chwała związana z odkryciem tego wymykającego się podróżnikom miejsca. Murrayowie nie mogli pozostać w tyle. Dlatego w tym samym czasie, kiedy „New York Herald” i „London Daily Telegraph” wspierały finansowo nową ekspedycję Stanleya, oni również wysłali na niegościnnie kontynent afrykański jednego ze swych najlepszych poszukiwaczy.

Nazywał się Oliver Tremanquai i prócz tego, że miał za sobą kilka udanych wypraw w Himalaje, był znakomitym myśliwym. Bral na cel różnego rodzaju zwierzyńcę, od indyjskich tygrysów przez bałkańskie niedźwiedzie po cejlońskie słonie. Ponadto był człowiekiem głęboko religijnym i mimo że nigdy nie podjął się służby misjonarskiej, nie przepuszczał żadnej okazji do ewangelizacji tubylców, na których się natknął, wśród korzyści, jakie płyną z wiary w Boga, wymieniając możliwość kupna broni. Tremanquai, entuzjastycznie podchodząc do swej nowej misji, wyprawił się z Zanzibaru, gdzie zaopatrzył się w tragarzy i prowiant. Nie minęło jednakże wiele dni, odkąd zapuścił się w głąb Czarnego Łądu, gdy Murrayowie stracili z nim kontakt. Tygodnie włokły się, a on wciąż nie dawał znaku życia. Co się z nim stało? Z ogromnym bólem Murrayowie uznali go za zaginionego – na poszukiwanie go nie mogli wysłać żadnego Stanleya, ponieważ wszyscy ich ludzie byli zajęci czym innym.

Dziesięć miesięcy później, tuż po symbolicznym pogrzebie, jaki urządzono ku pamięci odkrywcy za zgodą jego żony – która do tego momentu nie chciała przywdziewać żałoby – Tremanquai wpadł do ich siedziby. Jak można się spodziewać, wywołał poruszenie godne zjawy. Był przerażająco wychudzony, toczył obłąkanym wzrokiem, a widok jego ciała, brudnego i cuchnącego, sugerował, że ostatnich miesięcy raczej nie spędził na różanych kąpielach. Patrząc na tego człowieka przypominającego stracha na wróble, odnosiło się wrażenie, że ekspedycja od samego początku była skazana na porażkę. Istotnie, gdy tylko zagłębiła się w leśne ostępy, wpadła w zasadzkę somalijskiego plemienia. Tremanquai nie miał nawet czasu wycelować z karabinu do tych kocich cieni, które wypłyły chaszczę, gdy w plecy wbiła mu się chmura strzał. W nieprzebytej puszczy, z dala od cywilizacji gru-

pa została brutalnie i skrupulatnie zmasakrowana. Atakujący uznali, że przywódca jest martwy podobnie jak jego ludzie, ale Tremanquai twardo trzymał się życia: aby go zabić, trzeba się było bardziej wysilić niż ci dzicy tubylcy. Przez wiele tygodni błąkał się po puszczy, ranny i trawiony gorączką, podpierając się karabinem niczym laską, z kilkoma strzałami wciąż tkwiącymi w ciele, aż w swej żalostnej pielgrzymce natknął się na małą osadę otoczoną palisadą. Wyczerpany osunął się przed wąskim wejściem jak jakiś odpadek wyrzucony przez morze.

Obudził się kilka dni później na niewygodnym słomianym pościeliu, zupełnie nagi i z licznymi ranami, które paliły go pod jakimiś odrażającymi okładami. Okazało się, że owe ciemnozielone katalplazmy przyłożyła mu dziewczyna, której rysów twarzy nie potrafił przypisać do żadnego ze znanych sobie plemion. Ciało miała długie, giętkie, biodra wąskie, a biust prawie niewidoczny; jej ciemna skóra lekko błyszcząca matowym blaskiem. Później odkrył, że tutejsi mężczyźni również odznaczają się tak lekką budową ciała, przy niemal niedostrzegalnej muskulaturze, pod którą rysował się delikatny kościec. Ponieważ Tremanquai nie wiedział, do którego plemienia należą, postanowił nazwać ich według własnego widzimisie – „Szuwarianie”, gdyż uznał, że są szczupli i giętki jak trzciny. Tremanquai był znakomitym strzelcem, ale brakowało mu wyobraźni. Zdziwiły go eteryczne fizjonomie Szuwarian, podobnie jak wielkie ciemne oczy, które rzucały cień na ich twarze niczym u kunsztownie wykonanych marionetek, ale w miarę jak postępowała jego rekonwalescencja, znajdował większe powody do zdumienia. Dziwił go język, którym się porozumiewali, a którego zduszonych dźwięków jego gardło, mimo że zahartowane w naśladowaniu najbardziej niezwykłych dialektów, nie potrafiło wydobyć, a także jednolitość wieku tych ludzi, i przede wszystkim brak w osadzie niezbędnych przedmiotów codziennego użytku, jak gdyby życie tych dzikich toczyło się w jakimś innym miejscu albo jakby udało się im ograniczyć je do jednej czynności – oddychania. Jedno pytanie Tremanquai zadawał sobie coraz częściej: jak Szuwarianie dają sobie radę z wciąż nękającymi ich sąsiednimi plemionami? W osadzie było ich przecież stosunkowo mało, nie odznaczali się ani siłą, ani zaciekłością i najwyraźniej jedyną bronią, jaka znajdowała się w wiosce, był jego karabin.

Pewnej nocy zrozumiał, jak to robią. Jeden ze strażników doniósł, że wioskę otoczyli wojowniczy Masajowie. Z chaty, w której przebywał, Tremanquai w towarzystwie swojej opiekunki patrzył, jak jego eteryczni dzicy gospodarze stają w szyku pośrodku dziedzińca, dokładnie naprzeciw wąskiego wejścia, które – co nadzwyczaj dziwne – nie miało żadnej bramy. Zorganizowani i wzięci, jakby się szykowali do złożenia samych siebie w ofierze, wzięli się za ręce i zaczęli śpiewać jakąś skomplikowaną pieśń. Kiedy Tremanquai przewyciężył zdumienie, chwycił karabin i powłókł się do wyjścia, gotów w miarę swoich możliwości bronić gospodarzy. W wiosce paliły się tylko pochodnie, ale blask księżycy wystarczał doświadczonemu myśliwemu. Wycelował w stronę wejścia do wioski, ufając, że zdoła położyć trupem kilku Masajów, a wtedy ich towarzysze pomyślą, że osady bronią biali, i wycofają się. Ku jego zaskoczeniu dziewczyna łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu, przekazując bez słów, że jego interwencja nie jest konieczna. Tremanquai chciał zaprotestować, ale spokojne spojrzenie szuwariańskiej kobiety sprawiło, że się zastanowił. Wystraszony i oszołomiony patrzył przez okno na dziką bandę Masajów, którzy bezładnie wkraczali do osady przez bramę, podczas gdy jego gospodarze zdawali się czekać na ich włócznie, nie przerywając niemiłej dla ucha pieśni. Odkrywca przygotował się na widok rzezi dokonywanej za zgodą drugiej strony. Wówczas zdarzyło się coś, co opisywał drżącym, pełnym niedowierzania głosem, jak gdyby własne słowa wydawały mu się niewiarygodne. Powietrze się rozdarło. Nie umiał tego lepiej wyjaśnić. Odnosił wrażenie, jakby ktoś odtargał kawałek tapety i odsłonił znajdującą się pod spodem ścianę. Z tą różnicą, że pod spodem nie było żadnej ściany, tylko inny świat. Świat, którego nasz odkrywca, z powodu swojej pozycji, początkowo nie mógł zobaczyć, ale który emanował słabym blaskiem, rozświetlając otaczającą

go ciemność. Zdumiony patrzył, jak pierwsi Masajowie osuwają się w dziurę, która nagle powstała pomiędzy nimi a ich ofiarami, i – jakby się rozplýwali w powietrzu – znikają z rzeczywistości, ze świata, w którym żył Tremenquai. Widząc, jak ich współplemieńców pożera sama noc, pozostali Masajowie uciekli w popłochu. Podróżnik wolno pokręcił głową wstrząśnięty tym, co przed chwilą widział. Teraz rozumiał, czemu ta osada zdołała przetrwać mimo nękających ją sąsiednich plemion.

Chwiejnie wyszedł ze swojej chaty i zbliżył się do dziury, którą śpiew gospodarzy wydrążył w tkance rzeczywistości. Kiedy się znalazł przed falującym niczym kurtyna otworem, zauważył, że jest znacznie większy, niż się wcześniej wydawał. Zaczynał się na poziomie ziemi i przewyższał go znacznie, a jego szerokość pozwoliłaby, by bez trudu przejechał przezeń wóz. Krawędzie dziury łagodnie kołysały się ponad krajobrazem, to przesłaniając go, to odsłaniając, jak to czynią fale z brzegiem morza. Tremenquai zafascynowany spoglądał przez ten otwór jak przez okno. Po drugiej stronie znajdował się świat inny od naszego – coś w rodzaju równiny z różowego kamienia, na której hulał ostry wiatr, porywający z powierzchni piasek; w oddali majaczyły złowieszcze góry, niewyraźne z powodu wiszącego w powietrzu pyłu. Masajowie, oszołomieni i oślepieni, błakali się po tym świecie, potykając się i nabijając nawzajem na włócznie, przez co liczba tych, którzy zostali na nogach, wciąż malała. Tremenquai jak urzeczony patrzył na ten groteskowy taniec śmierci, czując, że wiatr przeczesujący jego włosy nie należy do tego świata, podobnie jak dziwny pył, który wypełnia mu nozdrza.

Szuwarianie, wciąż zbici w gromadkę pośrodku dziedzińca, znowu podjęli swój przerażający śpiew i dziura zaczęła się zamykać, kurcząc się wolno przed oczyma osłupiałego Europejczyka, aż wreszcie zniknęła zupełnie. Odkrywca niemądrze przesunął dłonią w powietrzu w miejscu, gdzie przed chwilą ział otwór. Wyglądało na to, że pomiędzy nim a chórem Szuwarian nigdy nic się nie znajdowało. Oni sami zaś zaczęli się już rozpraszać – każdy zmierzał w swoją stronę, jakby nie wydarzyło się nic szczególnego. Jednak dla podróżnika świat, który znalazł, zmienił się. Tremenquai rozumiał, że teraz ma tylko dwie możliwości. Jedna to postrzegać swój świat, który zawsze uważał za jedyny, jako jeden z wielu istniejących, nakładających się jeden na drugi niczym kartki książki – wystarczyłoby zatopić sztylet w jej grzbiecie, aby zrobić przejście umożliwiające przeprawę przez wszystkie światy. Druga możliwość była prostsza: oszaleć.

Tej nocy odkrywca nie spał. Kto by zresztą zasnął na jego miejscu. Z szeroko otwartymi oczami leżał w napięciu na swoim posłaniu, nasłuchując dobiegających z ciemności hałasów. Świadomość, że znalazł się w wiosce czarowników, przeciwko którym nic nie zdziałałby ani jego karabin, ani jego bogowie, przepełniała go okropnym strachem. Gdy tylko był w stanie chodzić bez zawrotów głowy, uciekł z osady Szuwarian. Powrót do portu w Zanzibarze zajął mu kilka miesięcy. Tutaj biedował, aż udało mu się ukryć na statku udającym się do Londynu. Wrócił do ojczyzny dziesięć miesięcy po wyruszeniu, lecz jego przeżycia przemieniły go, co było aż nadto widoczne. Miał przecież za sobą straszną odyseję, w którą Sebastian Murray, oczywiście, nie uwierzył. Nie wiedział, co przydarzyło się jego najlepszemu poszukiwaczowi podczas przedłużającej się nieobecności, ale było jasne, że nie chciał dać wiary w historię o Szuwarianach i ich nedorzecznych dziurach w powietrzu. Dla niego nie było to niczym więcej jak majakami szaleńca. I sam Tremenquai dał mu powód do wyciągnięcia takich wniosków, kiedy pokazał, że nie jest w stanie prowadzić normalnego życia ze swoją byłą wdową i ich dwiema córkami. Niewykluczone, że jego żona wolałaby nadal zanosić kwiaty na cmentarz, niż dzielić życie z tym obcym, niezdolnym do normalnej egzystencji człowiekiem, który wrócił z Afryki i u którego stany apatii przeplatały się z nieprzewidzianymi napadami wyobcowania, wywracającymi do góry nogami spokojne do tej pory rodzinne domostwo. Jego nieustające ataki szaleństwa, czasami każące mu biegać nago po ulicach albo strzelać z okna do kapeluszy przechodniów, stanowi-

ły stałe zagrożenie dla spokoju dzielnicy, i skończyły się tym, że skazano go na leczenie dla umysłowo chorych w Guy's Hospital, gdzie ograniczono się do umieszczenia go w celi.

Nie został jednak zupełnie sam. Gilliam Murray bez wiedzy swego ojca, gdy tylko mógł, odwiedzał Tremanquaia w szpitalu, kierowany żalem, jakim napawało go oglądanie jednego z najlepszych jego ludzi w tak opłakanym stanie, a także emocjami, jakie wywoływało słuchanie tej fantastycznej historii. Zaledwie dwudziestoletni młodzieniec, jakim był wówczas, śpieszył na spotkanie z odkrywcą pełen dziecięcego entuzjazmu, niczym chłopiec na przedstawienie kukielkowe, i Tremanquai nigdy go nie rozczarował. Siedząc na pryczy ze wzrokiem zagubionym w plamach wilgoci na ścianach, opowiadał – jeśli go poproszono – historię Szuwarian, za każdym razem dodając do niej nowe, niezwykle szczegóły, zadowolony, że ma słuchacza i aż nadto czasu, aby wzbogacić swoją fantazję. Przez jakiś czas Gilliam myślał, że Tremanquai odzyska zdrowie psychiczne, lecz ten po czterech latach życia w odosobnieniu postanowił powiesić się w swojej celi. Zostawił wiadomość na brudnym kawałku papieru. W swoim ostatnim pożegnaniu zawarł styl, który równie dobrze mógł być jego zwykłym sposobem pisania, jak i deformacją wynikającą z wewnętrznego cierpienia, powiadał ironicznie, że odchodzi do innego świata, który nie jest niczym innym jak tylko jednym z wielu istniejących.

Tymczasem Gilliam zaczął już pracować w przedsiębiorstwie swojego ojca i choć mimo wizyt u Tremanquaia historia podróżnika nigdy nie przestała wydawać mu się szaleństwem – a może właśnie dlatego, bo przecież zarażenie się obłędem było najlepszym hołdem, jaki mógł mu złożyć – za plecami rodzica wysłał dwóch z jego odkrywców do Afryki w poszukiwaniu nieistniejących Szuwarian. Samuel Kaufman i Forrest Austin byli parą głupców, bufonami skłonny do fanfaronady i wypitki, których każda dotychczasowa ekspedycja kończyła się fiaskiem, ale tylko za nimi Sebastian Murray by nie tęsknił i tylko oni ze wzruszeniem ramion wybraliby się na Czarny Ląd w poszukiwaniu śpiwających czarowników potrafiących otwierać w powietrzu przejścia do innych światów. Również wyłącznie oni z powodu swej udowodnionej nieudolności mogli sobie pozwolić na luksus przyjęcia tak daremnej jak poszukiwanie Szuwarian misji, która nie miała być niczym innym jak skromną ofiarą ku czci nieszczęsnego Olivera Tremanquaia. Kaufman i Austin wyruszyli zatem z Anglii niemalże potajemnie. Ani oni, ani sam Gilliam nie mogli podejrzewać, że staną się największymi odkrywcami swojej epoki. Wierni procedurze, gdy tylko postawili stopę na afrykańskiej ziemi, zaczęli powiadać o swoich postępach w telegramach, które Gilliam czytał pobieżnie i z litościwym uśmiechem wkładał do szuflady swego stołu.

Wszystko się zmieniło, kiedy trzy miesiące później otrzymał depezę, której nadawcy powiadał, że w końcu natknęli się na Szuwarian. „Nie mogę w to uwierzyć! Czy stroją sobie żarty, próbując się zemścić za to, że ich odsunąłem od innych spraw i wysłałem na tę dziwaczną wyprawę?” – zadawał sobie pytanie Gilliam. Ale szczegóły zawarte w telegramach wykluczały możliwość oszustwa, ponieważ dokładnie zgadzały się z tym, co – jak sobie przypominał – opowiadał Oliver Tremanquai. A zatem Gilliam nie mógł dojść do innego wniosku jak ten, że zarówno szalony odkrywca, jak i dwaj nieudacznicy mówią prawdę: Szuwarianie istnieją. Od tej pory owe depeze stały się dla Gilliana Murraya głównym powodem, dla którego co rano wstawał z łóżka. Czekał na nie z prawdziwą ekscytacją i czytał je raz za razem przy zamkniętych drzwiach, nie chcąc dzielić się tym zdumiewającym odkryciem z nikim, nawet ze swym ojcem. Według telegraficznych doniesień Kaufman i Austin po zlokalizowaniu osady nie mieli szczególnych problemów z tym, by ich przyjęto jako gości. Szuwarianie właściwie godzili się na wszystko, niezdolni do opierania się czemukolwiek. Tak samo nie interesowali się zbytnio obecnością białych podróżników. Po prostu ich tolerowali. Kaufman i Austin również nie potrzebowali nic więcej i zamiast zniechęcić się trudnościami, jakich nastęrczyła im

główna część misji – a jej celem było sprawdzenie, czy ci dzicy naprawdę potrafią otwierać portale wiodące do innych światów – uzbroili się w cierpliwość i podeszli do sprawy jak do płatnego urlopu. Choć nie powiedzieli mu tego otwarcie, Gilliam bez trudu wyobraził sobie, jak spędzają dni wyciągnięci na słońcu, zajęci liczeniem skrzynek whisky, które włączyli do bagażu ekspedycji, podczas gdy on z konieczności odwracał wzrok w inną stronę. Co niewiarygodne, nie mogli znaleźć lepszej strategii, ponieważ letarg alkoholowy, w którym trwali, a także tańce i kłótnie, które stale urządzali nago na trawie, zachęciły tubylców do zbliżenia i zainteresowania się bursztynowym płynem powodującym takie radosne uniesienia. Dzieląc się z tubylcami trunkiem, Europejczycy nawiązali z nimi jako takie stosunki, z czego Gilliam bardzo się cieszył w swym biurze, ponieważ bez wątpienia stanowiło to pierwszy krok do przyszłego współlistnienia.

Nie mylił się. Jednak to on miał w niedalekiej przyszłości poszerzyć owe kontakty i przekształcić je w więzi wzajemnego zaufania i sympatii, za co zapłacił kilkoma dodatkowymi wysyłkami najlepszej szkockiej whisky. Do dziś się zastanawiał, czy takie ilości trunku były konieczne dla tak niewielkiego plemienia.

W końcu pewnego ranka otrzymał długo wyczekiwaną depezę, w której Kaufman i Austin opowiadali, jak Szuwarianie zaprowadzili ich na środek wioski, gdzie w geście wdzięczności i przyjaźni, jak mu się wydawało, otworzyli dla swoich gości dziurę wiodącą do innego świata. Aby opisać otwór i różowy krajobraz, który rozpościerał się przed ich oczyma, poszukiwacze użyli niemal tych samych słów, jakimi pięć lat wcześniej posłużył się Tremenquai, ale młody Gilliam nie słuchał ich już, jakby były częścią fantastycznej opowieści: teraz wiedział, że wszystko to wydarzyło się naprawdę. Wówczas poczuł się nagle stłamszony, przyduszony – i nie dlatego, że był zamknięty w małym biurze. Napierały na niego nie ściany budynku, lecz ograniczenia świata, o którym wiedział już, że nie jest jedyny. Powiedział sobie jednak, że to wrażenie ucisku szybko minie. Potem kilka minut poświęcił pamięci biednego Olivera Tremenquaia. Przypuszczał, że jego przekonania religijne przeszkodziły mu w przyswojeniu tego, co zobaczył, nie dając wyjścia innemu niż pełne udręki szaleństwo. Na szczęście dwaj nieudacznicy Kaufman i Austin posiadali znacznie prostsze umysły, co uchroniło ich przed takim samym losem. Młody Murray przeczytał ten telegram setki razy. Szuwarianie nie tylko istnieli, lecz także praktykowali coś, co Gilliam, w przeciwieństwie do Tremenquaia, wolał określać jako magię niż czarownictwo. Przed Kaufmanem i Austinem otworzyły się teraz drzwi do innego świata. A oni oczywiście nie mogli się oprzeć temu, by go nie spenetrować.

Gilliam czytał ich kolejne telegramy, żałując, że nie uczestniczy w wyprawie. Z błogosławieństwem Szuwarian, którzy im dali wolną rękę, Kaufman i Austin zaczęli robić sobie krótkie wypadki do świata po drugiej stronie, a o jego osobliwościach informowali szefa. Świat ten zasadniczo tworzyła rozległa równina zbudowana z różowej, jarzącej się lekko skały, która rozciągała się pod niebem zawsze przesłoniętym zwartą, gęstą mgłą. Jeżeli było za nią jakieś słońce, jego promienie nie przebijały się przez tę zasłonę. Jedyne światło pochodziło zatem z dziwnego materiału podłoża, tak że krajobraz spowijał smutny półcień, który zanurzał dzień i noc w wiecznym półmroku i na większą odległość ograniczał widoczność, choć własne buty było widać dość dobrze. Od czasu do czasu równinę smagał gwałtowny wiatr wywołujący burze piaskowe, które jeszcze bardziej wszystko zamazywały. Od razu zaobserwowali coś ciekawego: gdy przekraczali dziurę, ich zegarki przestawały działać. Jednakże po powrocie do własnej rzeczywistości uśpione mechanizmy znów zaczynały się poruszać. Tak jakby jednomyślnie postanowiły nie odmierzać czasu, gdy ich właściciele pozostają w innym świecie. Kaufman i Austin popatrzyli na siebie i nietrudno sobie wyobrazić, że głupio wzruszyli ramionami. Po spędzeniu nocy – według ich obliczeń – w obozie, który rozbili niedaleko dziury, żeby mieć na oku Szuwarian, poczynili kolejne odkrycie. Kiedy znajdowali się po tamtej stronie, nie mu-

sieli się golić: zarost się nie pojawiał. Zauważyli również, że rana, którą Austin zrobił sobie na skórze tuż przed przejściem przez dziurę, nagle przestała krwawić – do tego stopnia, że nawet zapomniał ją opatrzyć. Przypomniał sobie o niej dopiero po powrocie do wioski, gdy na nowo zaczęła broczyć krwią. Zafascynowany Gilliam zapisał w swym notatniku to niezwykle wydarzenie, a także zanotował, co się działo z zarostem i zegarkami. Wszystko wskazywało na jakieś niewiarygodne zaburzenia biegu czasu. Zaczął w swym biurze snuć domysły, a tymczasem Kaufman i Austin zaopatrzyli się w broń i prowiant i wyruszyli w stronę jedyne go obiektu, jaki przełamywał monotonię równiny – posępnych gór mających na horyzoncie jak duchy.

Jako że ich zegarki wciąż były bezużyteczne, odkrywcy postanowili mierzyć czas trwania wyprawy w odniesieniu do okresów snu, jednak metoda ta szybko okazała się nieskuteczna, ponieważ czasami budzili się z powodu wiatru, który zrywał się nagle, i to z taką siłą, że zmuszał ich do czuwania i przytrzymywania namiotu, innym zaś razem, wręcz przeciwnie, zwałało ich z nóg nagromadzone zmęczenie, gdy przystawali na chwilę, by coś zjeść lub odpocząć. Z tego powodu jedyne, co mogli powiedzieć na pewno, to to, że po mniej więcej rozsądnym czasie, ani długim, ani krótkim, dotarli do upragnionych gór.

Były one zbudowane z tej samej jarzącej się skały co równina, ale i tak wywoływały ponure wrażenie, przypominały bowiem zepsute, kruszące się zęby. Ich ostre szczyty bodły czapę mgły przesłaniającej niebo, a gdzieniegdzie dawały się dostrzec dziury – być może jaskinie. Nie mając lepszego planu, podróżnicy postanowili wspiąć się po najbliższym zboczach. Nie zajęło im to zbyt wiele czasu. Gdy osiągnęli wierzchołek pomniejszego wzniesienia, zyskali pełniejszy widok równiny. Odległość sprawiła, że swój portal widzieli jako błyszczący punkt na horyzoncie. Wyznaczał im drogę powrotną, czekał na nich, tymczasem służąc jako drogowskaz. Nie martwiła ich możliwość, że Szuwarianie zamkną przejście, ponieważ z ostrożności zabrali ze sobą całą whisky, jaka im pozostała. To wtedy zauważyli lśniące na horyzoncie inne jasne punkty. Mgiełka tłumiła ich światło, lecz wyglądało na to, że jest ich co najmniej pół tuzina. Czy były to kolejne dziury wiodące do innych światów?

Odpowiedź odkrywcy znaleźli w jaskini, którą właśnie mieli zbadać. Gdy tylko do niej weszli, zrozumieli, że ktoś mieszka w tym miejscu. Wszędzie dokoła dawały się zauważyć oznaki życia: pozostałości po ogniskach, miski, narzędzia i inne przedmioty, których Tremanquaiowi brakowało w osadzie Szuwarian. W głębi jaskini natknęli się na węższą, ciemniejszą alkowę o ścianach pokrytych rysunkami. Większość z nich przedstawiała sceny codziennego życia Szuwarian. Sądząc po patykowatych ludzikach widniejących na obrazkach, tylko oni mogli być ich autorami. Życie tego plemienia najwyraźniej toczyło się właśnie tu, w tym cieniście świecącym świecie. Afrykańska wioska nie była niczym więcej jak chwilowym przystankiem, sezonową osadą, być może jedną z wielu, jakie ci ludzie mieli rozsiane po innych światach. Dla Kaufmana i Austina owe rysunki z wiejskimi scenkami nie miały większego znaczenia. Tylko dwa z nich skutecznie przyciągnęły ich uwagę. Jeden zajmował całą ścianę i jak wywnioskowali, miał przedstawiać mapę tego świata albo przynajmniej tej jego części, którą plemię zdołało zbadać, a która rozciągała się w okolicy gór. Zafascynowało ich jednak, że na owej podstawowej mapie zaznaczono lokalizację kilku dziur i – jeżeli dobrze zinterpretowali znaki – narysowano też to, co się w nich znajduje. Oznakowanie było proste: żółta gwiazdka symbolizowała portal, a umieszczone obok niej figurki – jego zawartość. Do takiego wniosku doszli dwaj poszukiwacze na podstawie punktu otoczonego chatami, przypuszczalnie odwzorowującego dziurę, przez którą się tu dostali, oraz znajdującą się po drugiej stronie osadę, zatem świat, do którego sami należeli. Oprócz tego mapa ukazywała jeszcze cztery otwory, czyli mniej niż było świetlistych punktów widocznych na horyzoncie. Dokąd prowadziły te dziury?

Czy to z lenistwa, czy z głupoty, Kaufman i Austin przerysowali zawartość jedynie tych portali,

które znajdowały się najbliżej jaskini. Jeden z tych obrazków dawał do zrozumienia, że po drugiej stronie toczy się jakaś wojna między dwoma rodzajami postaci: jedne wyglądały na ludzi, drugie składały się z kwadratów i prostokątów. Pozostałe wizerunki były jeszcze bardziej enigmatyczne, z czego dwaj Europejczycy wywnioskowali tylko, że ten świat ma dziesiątki dziur podobnych do tej, z której skorzystali sami, ale nigdy się nie dowiedzą, dokąd prowadzą te przejścia, póki nie przeprawią się przez nie osobiście, ponieważ bazgroły Szuwarian wydają się tak tajemnicze jak sen ślepcy. Drugi obrazek, który przyciągnął ich uwagę, mieścił się na przeciwległej ścianie i przedstawiał grupę Szuwarian uciekających przed czymś, co wyglądało na wielkie zwierzę. Bestia była czworonożna, pękata i miała smoczy ogon oraz grzbiet pokryty kolcami. Podróżnicy patrzyli na nią zaskoczeni, że przyszło im dzielić ten świat z takimi zwierzami, których sam wizerunek napawał ich strachem. Co będzie, gdy natkną się na nie w rzeczywistości? Odkrycie to jednak nie skłoniło ich do powrotu tam, skąd przybyli. Każdy z nich miał przy sobie karabin i amunicję wystarczającą do położenia trupem armii takich potworów, w przypadku gdyby istniały naprawdę, a nie były jedynie wytworem wyobraźni Szuwarian. Ponadto mieli z sobą whisky, ten magiczny napój pobudzający odwagę, której im brakowało, albo przynajmniej przemieniający możliwość postradania życia w paszczy zwierzęcia wielkości słonia w przeciwność losu, z którą łatwo się pogodzić. Czego więcej było im trzeba?

Postanowili zatem kontynuować swoje badania i wyruszyć w stronę otworu ukazującego wojnę postaci, usytuowanego najbliżej gór. Była to męcząca podróż, urozmaicona burzami piaskowymi, które zmuszały ich do rozstawiania namiotu i chronienia się w jego wnętrzu, jeśli nie chcieli skończyć wypolerowani jak dwa srebrne świeczniki. Ale przynajmniej nie spotkali żadnej olbrzymiej bestii. Kiedy dotarli do portalu, rzecz jasna nie wiedzieli, ile upłynęło czasu, a jednak byli wyczerpani.

Dziura miała podobny rozmiar i wygląd jak ta, przez którą dostali się na tę cienistą ziemię. Różniło ją jedynie to, że po drugiej stronie nie widniały prymitywne wiejskie chaty, lecz zrujnowane miasto, żaden budynek nie ostał się w całości. Ten typ budownictwa nie był jednak naszym odkrywcem obcy. Trwali tak kilka minut, przyglądając się widocznemu przez dziurę krajobrazowi gruzów, jakby patrzyli na wystawę sklepową, ciekawi, czy wykryją jakiś sygnał życia lub jakąkolwiek inną rewelację, ale najwyraźniej nic nie mąciło spokoju, w którym było pograżone gruntownie zdewastowane miasto. Jakiego rodzaju wojna mogła wywołać tak okropne zniszczenia?

Wreszcie Kaufman i Austin kilkoma łykami whisky podbudowali w sobie odwagę nadwerężoną tym okropnym widokiem, głębiej wcisnęli na głowy korkowe hełmy i dzielnie wkroczyli przez dziurę do rzeczywistości po drugiej stronie. Natychmiast poczuli znajomy mocny zapach. Z ogłupiałym uśmiechem wywołanym emocjami zrozumieli, że nie mają do czynienia z żadnym konkretnym aromatem, tylko po prostu z wonią własnego świata, którą niepostrzeżenie przestali odczuwać podczas pobytu na różowej równinie.

Trzymając w pogotowiu wycelowane karabiny, przyłoczeni widokiem zniszczeń zapuścili się ostrożnie w ulice zatarasowane zwałami gruzu. Nagle coś kazało im się zatrzymać. Zdumieni podróżnicy przyglądali się nowej przeszkodzie, która zamykała im przejście, a nie była niczym innym jak dzwonnica Big Bena. Zwieńczenie wieży, podobne do odciętej rybiej głowy, leżało na wpół zrujnowane pośrodku ulicy, a ogromna tarcza zegara niczym wielkie oko spoglądała z rezygnacją i smutkiem. Odkrycie to sprawiło, że wstrząśnięci potoczyli wzrokiem dookoła, z sympatią patrząc na każdą zrujnowaną budowlę. Z sercem przepełnionym nostalgią spoglądali na ciągnące się po horyzont morze gruzów, z którego gdzieniegdzie wznosiły się ciemne pióropusze dymu i zasnuwały niebo wiszące nad zrównanym z ziemią Londynem. Nie mogli powstrzymać łez. I pewnie staliby tam dalej jak wryci do końca swych dni, płacząc nad szczątkami ukochanego miasta, gdyby nie dobiegający skądś dziwny odgłos – dudnienie wydawane przez coś metalowego.

Z karabinami znów gotowymi do strzału podążyli w kierunku hałasu, aż dotarli do sterty gruzów. Wspięli się na nią po cichu, skuleni i czujni. Z tego zaimprovizowanego punktu obserwacyjnego mogli zobaczyć, sami nie będąc widocznymi, co wywołuje ów metaliczny dźwięk.

Były to jakieś niezwykle żelazne byty o grubszą ludzką postać, poruszające się dzięki czemuś, co wyglądało na umieszczony na plecach mały parowy silnik, sądząc po parze od czasu do czasu wydobywającej się z ich złącz. Obłądny dudniący dźwięk, który zwrócił uwagę podróżników, wydawały żelazne stopy człekokształtnych postaci, ilekroć trafiły na któryś z licznych metalowych szczątków zaścielających ziemię.

Początkowo zdumieni odkrywcy nie wiedzieli, czym są te nieznane im twory, dopóki Austin nie wygrzebał z gruzowiska czegoś, co wyglądało na fragment gazety. Rozłożył ją drżącymi palcami. Na kartce widniało zdjęcie przedstawiające byty, które widzieli poniżej. Nagłówek mówił o niepowstrzymanym naporze armii automatów, a artykuł kończył się prośbą do czytelników, by nie tracili wiary w zwycięstwo wojska ludzi pod wodzą dzielnego kapitana Dereka Shackletona. Najbardziej jednak zaskoczyła ich data czasopisma. Wydanie, z którego pochodziła kartka, zostało wydrukowane trzeciego kwietnia dwutysięcznego roku. Kaufman i Austin równocześnie pokręcili głowami, bardzo wolno poruszając nimi z lewa na prawo, ale nie mieli wiele czasu na bardziej wyrafinowane wyrażenie zdziwienia, ponieważ od ich sterty gruzów odpadł kawałek belki i z wielkim hałasem ciężko osunął się na ulicę, co zaalarmowało automaty. Wymieniwszy przerażone spojrzenia, Kaufman i Austin wzięli nogi za pas. Nie oglądając się za siebie, biegli najszybciej, jak mogli, w stronę dziury, przez którą weszli. Przeprawili się przez nią bez problemów, ale nie przestali pędzić. Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy nie mogli się już utrzymać na nogach. Rozłożyli namiot i schowali się w nim, starając się uspokoić i przetrwać to, co widzieli, oczywiście za pomocą bezcennej whisky. Było jasne, że przyszedł czas, by powrócić do wioski i powiadomić Londyn o tym, co się wydarzyło. Należało też mieć ufność, że Gilliam Murray zdoła im wyjaśnić, co zobaczyli.

Niestety, ich nieszczęścia nie skończyły się na tym. Podczas powrotu do afrykańskiej wioski zaatakowała ich ogromna bestia z pokrytym kolcami grzbietem, o której istnieniu zdążyli zapomnieć. Ujrzawszy ją, zapragnęli się jej pozbyć. Zużyli niemal całą amunicję, próbując przepędzić zwierza, lecz kule tylko odbijały się od kolczastego pancerza, nie czyniąc potworowi najmniejszej krzywdy. W końcu dwaj podróżnicy postanowili wycelować w oczy – jedyny słaby punkt, jaki znaleźli – i to ostatecznie przepłoszyło bestię. Kiedy zniknęła, Kaufman i Austin dotarli do portalu bez dalszych przygód i natychmiast napisali do Londynu, zdając relację ze wszystkiego, co odkryli.

Po otrzymaniu od nich wiadomości Gilliam Murray niezwłocznie wyruszył do Afryki. Dołączył do odkrywców w wiosce Szuwanian i z takim samym zdumieniem, z jakim niewierny Tomasz wkładał palce w zadaną włócznią ranę zmartwychwstałego Chrystusa, wybrał się do zdewastowanego Londynu z dwutysięcznego roku. Pozostał z Szuwanianami przez kilka miesięcy, chociaż właściwie nie mógł dokładnie powiedzieć, jak długo tam przebywał, ponieważ sporo czasu spędził na badaniu różowej równiny i sprawdzaniu tego, czego się dowiedział od swoich odkrywców. Tak jak wspominali oni w swoich telegramach, w mrocznym świecie przestawały chodzić zegarki, nie były potrzebne brzytwy i ogólnie nic nie zdradzało upływu czasu. Doszedł zatem do wniosku, że choć wydawało się to nie do wiary, chwile spędzone po drugiej stronie były niejako pozaczasowe, stanowiły przerwę, która mogła odroczyć nieuchronny bieg minut, godzin i lat aż do śmierci. Przekonał się, że nie jest to żadne urojenie powstałe w jego głowie, gdy po powrocie do wioski szczeniak, którego zabrał z sobą do tamtego świata, pobiegł do swego rodzeństwa z tego samego miotu i spotkał się z grupą dorosłych psów.

Badając równinę, Gilliam ani razu nie musiał się golić, ale Wieczny, jak teraz nazywał się szcze-

niak, był znacznie bardziej spektakularnym ucieleśnieniem braku upływu czasu w tamtym świecie. Młody Murray wywnioskował ponadto, że dziury nie prowadzą do innych światów, jak początkowo sądził, lecz do odległych epok tego samego świata, niebędącego niczym innym jak jego światem. Różowa równina pozostawała poza czasem i jego strumieniem, poza sceną, na której toczyło się życie ludzi, roślin i zwierząt. Stworzenia ją zamieszkujące, owe istoty ochrzczone przez Tremanquaia Szuwarianami, wiedziały, jak wdrzeć się do strumienia czasu, otwierając w nim dziury, a człowiek mógł wykorzystać te otwory do podróży z jednej epoki do drugiej. Uświadomiwszy to sobie, Gilliam poczuł, jak zalewają go ekscytacja i strach. Dokonał najważniejszego odkrycia ludzkości: ujawnił, co jest poza światem, poza rzeczywistością. Odkrył czwarty wymiar.

Takie jest życie, powiedział sobie. Zaczął od szukania źródeł Nilu, a skończył na znalezieniu tajemnego przejścia do roku dwutysięcznego. Ale w ten sposób dokonują się największe odkrycia. Czy przypadkiem „Beagle” nie wyruszył na wyprawę dookoła świata z powodów ekonomicznych i strategicznych? Odkrycia jego załogi byłyby raczej skromne, gdyby na pokładzie nie znalazł się młody przyrodnik na tyle spostrzegawczy, by nie przeoczyć różnic w kształcie dziobów zięb. Jednak historia doboru naturalnego miała zrewolucjonizować świat. W ten sam przypadkowy sposób on, młody Murray, odkrył czwarty wymiar.

Ale co komu po odkryciu, którym nie można się podzielić ze światem? Gilliam pragnął przenieść ludzi ze swojej ojczystej metropolii do roku dwutysięcznego, aby na własne oczy zobaczyli, co im przyniesie przyszłość. Pojawiła się jednak następująca kwestia: nie mógł wysłać statków wyładowanych londyńczykami do wioski zagubionej w sercu Afryki, gdzie w tej chwili mieszkali Szuwarianie. Najlepiej byłoby przenieść dziurę do Londynu. Czy dałoby się to zrobić? Tego nie wiedział, ale próbując, nic by nie stracił.

Zostawił Kaufmana i Austina, by pilnowali i chronili Szuwarian, a sam powrócił do Londynu, gdzie z kutego żelaza zbudował skrzynię wielkości pokoju, po czym z nią oraz z ponad tysiącem litrów whisky wrócił do osady z zamiarem dokonania transakcji handlowej, która zmieniłaby dotychczasowe pojęcie ludzi o świecie. Pijani w sztok Szuwarianie przystali na jego prośbę, by zaśpiewać magiczną pieśń we wnętrzu złowieszczej skrzyni. Gdy dziura zakiełkowała w żelaznym pomieszczeniu, tubylców zmuszono do wyjścia i zamknięto ciężkie wrota. Następnie Europejczycy zaczęli, aż whisky zmoże ostatniego z Szuwarian, jaki się trzymał na nogach, i zabrali się do odwrotu.

Przeprawa była mozolna i dopiero gdy załadowali potężną skrzynię na statek w Zanzibarze, Gilliam odetchnął spokojniej. Podczas podróży morskiej do ojczyzny ledwie mógł zmrużyć oczy. Niemal cały czas spędził na pokładzie, czule spoglądając na posępną skrzynię, tak bardzo niepokojącą resztę pasażerów, i zastanawiał się, czy ostatecznie nie jest pusta. Czy można ukraść dziurę? Gryzła go w środku niecierpliwość, by poznać odpowiedź na to pytanie – sprawiała, że droga powrotna dłużyła mu się w nieskończoność. Kiedy wreszcie przybyli do portu w Liverpoolu, nie mógł w to uwierzyć. Otworzył skrzynię, gdy tylko znalazła się w jego biurze, a zrobił to w największym sekrecie. I dziura wciąż tam była! Udało się ją ukraść! Gilliam następnie pokazał swą zdobycz ojcu.

– Co to za diabeł?! – wykrzyknął Sebastian Murray, gdy ujrzał otwór trzeszczący we wnętrzu skrzyni.

– To właśnie spowodowało obłęd na Olivera Tremanquaia, ojciec – odparł syn, z sympatią wspominając zmarłego odkrywcę. – Więc lepiej uważaj.

Starszy Murray pobladał. Przeszedł jednak przez dziurę wraz z synem i wybrał się do przyszłości, do leżącego w gruzach Londynu, w którego ruinach ludzie kryli się niczym szczury. Kiedy otrząsnął się już ze zdumienia, obaj zgodzili się co do tego, że muszą pokazać to znalezisko światu, a najlepiej zrobić to, przekształcając dziurę w biznes; zabieranie ludzi do Londynu z roku dwutysięcznego do-

starczyłoby im pieniędzy niezbędnych do sfinansowania własnych podróży, a także do badań nad czwartym wymiarem. Pierwszą rzeczą, jaką zrobili, było wyznaczenie bezpiecznej trasy do otworu prowadzącego w przyszłość – oczyszczenie jej z zagrożeń, rozmieszczenie punktów strażniczych i wyrównanie drogi, aby mógł po niej bez problemu jeździć trzydziestomiejscowy tramwaj. Niestety, Sebastian Murray nie dożył dnia, w którym rozpoczęło działalność przedsiębiorstwo Podróże w Czasie Murraya, ale Gilliam pocieszał się myślą, że ojciec przynajmniej poznał przyszłość sięgającą znacznie dalej niż jego śmierć.

Gdy przedsiębiorca skończył opowiadać, zamilkł i z zainteresowaniem patrzył na swych gości. Andrew przypuszczał, że gospodarz czeka na jakąś reakcję z ich strony, ale nie wiedział, co powiedzieć. Był zdezorientowany. Trudno mu było uwierzyć, że wszystko, co zrelacjonował im Murray, nie jest po prostu akcją jakiejś nowej powieści przygodowej. Owa różowa równina wydawała się równie realna co kraina Liliputów – położona na południowym Pacyfiku wyspa, do której dotarł morzem Lemuel Gulliver, zamieszkała przez istoty o wzroście sześciu cali. Jednak z uśmiechu Charlesa i wyrażającego zaskoczenie wyrazu twarzy wynioskował, że jego kuzyn wierzy w prawdziwość usłyszaną historii. Bądź co bądź on odbył podróż do roku dwutysięcznego. Jakie znaczenie miało, że przejechał tramwajem różową równinę, na której nie płynie czas?

– A teraz, panowie, jeśli będziecie tak uprzejmi, by mi towarzyszyć, zademonstruję wam coś, co pokazuję tylko zaufanym osobom – oświadczył Gilliam, na nowo podejmując swego rodzaju oprowadzanie po obszernym gabinecie.

Z Wiecznym stale kręcącym się w pobliżu podszedł do innej ściany, gdzie czekał na nich niewielki zbiór zdjęć i coś, co prawdopodobnie było kolejną mapą, choć skrywało się za czerwoną jedwabną zasłonką. Andrew stwierdził z zaskoczeniem, że fotografie zrobiono w czwartym wymiarze, choć równie dobrze mogły być pstryknięte na jakiegokolwiek pustyni, jako że żaden aparat nie był w stanie oddać kolorów świata, ani tego, ani żadnego innego, jak się wydawało. Zatem aby nadać temu białawemu piaskowi różowy odcień, trzeba się było posłużyć wyobraźnią. Większość wystawionych zdjęć dokumentowała prozaiczne momenty wyprawy: Gilliam oraz przypuszczalnie Kaufman i Austin rozbijają namioty, piją kawę podczas popasu, rozpalają ognisko, pozują na tle odległych gór ledwie majaczących za gęstą mgłą. Wszystko aż nadto normalne. Tylko jedna z fotografii wywarła na młodym Harringtonie takie wrażenie, jakby rzeczywiście wykonano ją w nieznanym świecie. Widnieli na niej Kaufman i Austin – pierwszy brzuchaty i krzepki, drugi zaś chudy jak tyka – szeroko uśmiechnięci, z zawadiacko przekrzywionymi kapeluszami i uniesionymi karabinami oraz z jedną nogą opartą na ogromnej głowie smoka z opowieści, leżącej na piasku jako trofeum łowieckie. Andrew miał się właśnie pochylić nad obrazkiem, by mu się lepiej przyjrzeć, gdy nagle drgnął z powodu nieprzyjemnego jazgotu. Stojący obok niego Gilliam, ciągnąc za złoty sznur, odsuwał jedwabną zasłonę, aby ukazać, co się za nią kryje.

– Panowie, mogę was zapewnić, że w całej Anglii nie znajdzie się mapa, która równałaby się z tą – obwieścił z dumą. – Macie do czynienia z dokładną reprodukcją rysunku z jaskini Szuwarian, rzecz jasna rozszerzoną przez naszych kolejnych odkrywców.

To, co ukazało się zza kurtyny, bardziej przypominało dzieło obdarzonego wyobraźnią dziecka niż mapę. Oczywiście dominował kolor różowy, odwzorowujący równinę. Pośrodku wznosiły się góry, ale ich mroczny łańcuch nie był jedynym obiektem geograficznym uwzględnionym na mapie, w prawym rogu rysunku, na przykład, widniała przerywana linia rzeki, a koło niej zielona plama, być może oznaczająca las czy łąkę. Andrew nie mógł się oprzeć wrażeniu, że owe symbole, właściwe dla konwencjonalnej kartografii, przedstawiającej zamieszkały przez nich świat, okazują się nieodpowiednie na rysunku, który ma odwzorowywać czwarty wymiar. Ale najbardziej na mapie wyróżniały się rozrzucone na równinie złote kropki, najwidoczniej oznaczające dziury. Dwie z nich, jedna prowadząca do roku dwutysięcznego i jedna należąca już do Murraya, były połączone krętą czerwoną linią, którą zaznaczono trasę, jaką miał do przebycia tramwaj wiozący podróżników w czasie.

– Jak widzicie, istnieją liczne portale, ale jeszcze nie wiemy, dokąd wiodą. Czy któryś z nich pro-

wadzi do jesieni roku 1888? Może, kto wie – powiedział Gilliam, spoglądając znacząco na młodego Harringtona.

– Kaufman i Austin próbują w tej chwili dotrzeć do tej, która znajduje się najbliżej wejścia do roku dwutysięcznego, ale nie znaleźli jeszcze sposobu na ominięcie stada bestii pasących się w dolinie przegradzającej drogę.

Podczas gdy Andrew i Charles przyglądali się mapie, Gilliam przyklęknął i zaczął głaskać psa.

– Ach, czwarty wymiar. Jakież tajemnice skrywa ten teren? – mruknął w rozmarzeniu. – Wiem jedynie, że gdy się w nim znajdujemy, by ująć rzecz poetycko, nasza świeca się nie spala. Wieczny wygląda na rocznego psa, ale wedle daty urodzenia ma cztery lata. Przypuszczam, że taki jest jego wiek, lecz nie wiem tego na pewno, ponieważ w dużej mierze owe lata, chwile spędzone na równinie, nie dają się zliczyć. Wieczny towarzyszył mi podczas moich badań w Afryce, a kiedy przybyliśmy do Londynu, co noc spał u mego boku po drugiej stronie dziury. Nie na darmo tak go nazwałem, panowie, i dopóki jest w moich rękach, zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby przynosił zaszczyt temu imieniu.

Andrew mimowolnie poczuł dreszcz, gdy skrzyżował spojrzenie z psem.

– Co przedstawia ta budowla? – zapytał Charles, wskazując symbol zamku usytuowany blisko gór.

– A, to – odrzekł z zakłopotaniem Gilliam. – To pałac Jej Wysokości.

– Królowej? – zdziwił się Charles. – Ma pałac w czwartym wymiarze?

– W rzeczy samej, panie Winslow. To, że tak powiem, dar wdzięczności za jej hojne wsparcie dla naszych wypraw badawczych. – Gilliam rozmyślał przez chwilę, nie wiedząc, czy powinien wyjawic więcej informacji. W końcu dodał: – Odkąd zorganizowaliśmy dla niej i jej orszaku podróż do roku dwutysięcznego, Jej Wysokość zainteresowała się osobliwymi prawami rządzącymi czwartym wymiarem i... ee... przekazała nam swoje życzenie, że chciałaby posiadać na równinie rezydencję, w której mogłaby spędzać jakiś czas, kiedy obowiązki jej na to pozwolą, tak jak odpoczywa się w uzdrowisku. Przebywa tam już od kilku miesięcy, obawiam się więc, że jej panowanie będzie długie – rzekł, nie siląc się nawet na ukrycie rozdrażnienia, jakie wywoływał w nim ten układ, podczas gdy sam przypuszczalnie musiał się zadowalać pobytem wraz z Wiecznym w jakimś marnym namiocie. – Ale wszystko mi jedno. Jedyne, czego chcę, to żeby mi dali spokój. Imperium zamierza podbić Księżyc. Później, kiedy już... Jednak przyszłość należy do mnie!

Zasunął zasłonę i poprowadził ich z powrotem do swego stołu.

Zachęcił ich, by zasiedli w fotelach, a tymczasem Wieczny – pies, który przeżyje ludzi, jeśli nie liczyć samego Gilliana, królowej i szczęśliwców zatrudnionych w jej pozaczasowym pałacu – ułożył się u ich stóp.

– Dobrze, panowie, mam nadzieję, że odpowiedziałem na wasze pytanie, dlaczego możemy was przenieść tylko do dwudziestego maja dwutysięcznego roku, gdzie jedyne, co można zobaczyć, to bitwa decydująca o losach rodzaju ludzkiego – powiedział ironicznie, zajmując swoje miejsce.

Andrew fuknął. Akurat to nie interesowało go w najmniejszym stopniu, przynajmniej dopóki nie mógł odczuwać niczego innego jak ból. Wyglądało na to, że znów znalazł się w punkcie wyjścia. Będzie musiał ponownie spróbować popełnić samobójstwo, gdy tylko uspi czujność Charlesa. Kiedyś w końcu kuzyn będzie się musiał zdrzemnąć.

– Nie istnieje więc żaden inny sposób, żeby się dostać do roku 1888? – usłyszał, jak kuzyn wypowiada pytanie, najwyraźniej nie zamierzając się poddać.

– Wyobrażam sobie, że nie byłoby żadnego problemu, gdyby panowie dysponowali wehikułem czasu – odpowiedział Gilliam, wzruszając ramionami.

– Andrew, musimy ufać, że naukowcy wynajdą go wkrótce – podsumował z żalem Charles i klep-

nąwszy kuzyna w kolano, podniósł się z fotela.

– Może już został wynaleziony – odezwał się nagle Gilliam.

Młody Winslow zwrócił się do niego.

– Co pan przez to rozumie?

– Hm, to tylko przypuszczenie... – odparł przedsiębiorca – pewne jest jednak, że kiedy otwieraliśmy naszą działalność, jedna osoba sprzeciwiała się jej ze szczególnym uporem. Twierdziła, że podróże w czasie niosą z sobą zbyt wielkie ryzyko i wobec tego lepiej postępować powoli. Zawsze podejrzewałem, że to dlatego, iż człowiek ten sam posiada wehikuł czasu i chce z nim poeksperymentować, zanim przedstawi go do publicznej wiadomości. Albo może pragnie zatrzymać go tylko dla siebie i być jedynym panem czasu.

– O kim mowa? – zapytał Andrew.

Gilliam rozparł się na krześle i uśmiechnął z dufnością.

– Mówię o panu Wellsie, rzecz jasna – odrzekł.

– Ale co mogłoby go przywieść do takiej myśli? – zastanawiał się Charles. – W swej książce pisał tylko o podróży w przyszłość. Nawet nie wspomniał o możliwości przeniesienia się w przeszłość.

– Z tego samego powodu, panie Winslow. Wyobraźcie sobie, panowie, że konstruujecie wehikuł czasu, najważniejszy wynalazek ludzkości. Biorąc pod uwagę jego niewiarygodną moc, musicie go trzymać w sekrecie, aby nie dostał się w niepowołane ręce, ręce kogoś, kto użyłby waszej maszyny dla własnej korzyści. Lecz czy umielibyście się oprzeć pokusie i nie wyjawić światu swojego odkrycia? Powieść mogłaby być znakomitym pomysłem na przemycenie sekretu w taki sposób, aby nikt nie podejrzewał, że jest czymś więcej niż tylko fikcją, nie wydaje się wam? Albo jeśli nie przekonuje was motyw próżności, wyobraźcie sobie, że to, czego poszukuje, nie zaspokoilo jego ego. Że potrzebuje jakiejś pomocy. W takim wypadku *Wehikuł czasu* nie byłby niczym innym jak prośbą o wsparcie, butelką rzuconą w morze, wołaniem w potrzebie do kogoś, kto potrafi je zinterpretować. Kto wie. Tak czy inaczej, panowie, Wells rozważał możliwość podróżowania w przeszłość, i to z zamiarem jej zmiany, co, jak sobie wyobrażam, przemawia do pana, panie Harrington.

Andrew wzdrygnął się, jakby go przyłapano na popełnianiu jakiejś zbrodni. Gilliam posłał mu drwiące spojrzenie, po czym pogmerał w jednej z szuflad swojego biurka. Wreszcie rzucił na blat egzemplarz „Science Schools Journal” z 1888 roku. Na pierwszej stronie wymiętoszonego czasopisma widniał tytuł *The Chronic Argonauts*^[5] H.G. Wells. Wręczając gazetę młodemu Harringtonowi, przedsiębiorca poprosił go o ostrożność, ponieważ nakład tego numeru był już wyprzedany.

– Mija dokładnie osiem lat, odkąd Wells, który jako młodzieniec przybył do Londynu z zamiarem podbicia świata, opublikował opowiadanie zatytułowane *The Chronic Argonauts*. Bohaterem opowieści jest szalony naukowiec Moses Nebogipfel udający się w podróż do przeszłości, aby popełnić tam morderstwo. Może więc Wells uznał, że przesadził, więc gdy przyszło do ratowania tej idei w obszerniejszym dziele, postanowił pominąć przemieszczanie się w czasie do tyłu, aby nie podsuwać czytelnikom takich pomysłów, i skupił się wyłącznie na podróżach w przyszłość. Główny bohater powieści, jak wiemy, ma znacznie więcej zdrowego rozsądku niż Nebogipfel i nie jest wymieniony z imienia ani nazwiska. Tym razem Wells nie mógł się oprzeć i puścił do nas oko.

Andrew i Charles spojrzeli po sobie, a potem skierowali wzrok na przedsiębiorcę, który wziął notes i coś w nim zapisywał.

– Oto adres pana Wellsa – rzekł, podając kartkę młodemu Harringtonowi. – Nic panowie nie stracie, jeśli sprawdzicie moje podejrzenia.

Andrew i Charles wyszli z budynku Podróży w Czasie Murraya otoczeni zapachem róż unoszącym się w holu. Na ulicy wsiedli do pierwszego powozu, jaki udało im się wynająć, i kazali się wieźć do Woking w hrabstwie Surrey, gdzie mieszkał pisarz H.G. Wells. Po rozmowie z Gilliamem Murrayem Andrew pograżył się w milczeniu, zapewne snuł Bóg wie jakie mroczne refleksje, ale podróż miała trwać co najmniej trzy godziny, wobec czego Charles nie widział żadnej potrzeby, by się śpieszyć z przerywaniem ciszy. Wolał dać kuzynowi czas niezbędny do uporządkowania myśli. Na dziś mieli już dość emocji, a czekały ich jeszcze kolejne. Bądź co bądź relacje Charlesa z kuzynem były poznacone częstymi, nieprzewidzianymi okresami milczenia, więc nauczył się nimi nie przejmować, toteż teraz zamknął oczy i pozwolił kołysać się powozowi, w którym oddalali się od metropolii.

Może milczenie im nie przeszkadzało, ale wyobrażam sobie, że wam – którzy niejako również podróżujecie tym powozem, mimo że może się to wydawać cokolwiek niewygodne – tak. Dlatego zamiast rozwodzić się o istocie i jakości owej nienaruszalnej ciszy, zakłócanej jedynie turkotem i skrzypieniem pojazdu, lub opisywać cztery końskie zady, w które było utkwione spojrzenie pogrążonego w myślach Andrew, i ponieważ nie mogę wam nawet w sposób emocjonujący opowiedzieć o tym, co przemykało mu przez głowę – możliwość ocalenia Marie Kelly rozmywała się powoli, gdyż choć najwyraźniej znalazł sposób dosłownego przemieszczania się w czasie, to jednak nie mógł wrócić tam, gdzie pragnął – specjalnie dla was zamierzam spożytkować tę przerwę w biegu akcji i opowiedzieć o czymś, co pozostaje w zawieszeniu od samego początku tej historii i co tylko ja mogę zrelacjonować, jako że chodzi o epizod nieznany pasażerom powozu. Mam na myśli zawrotny awans społeczny ich ojców – Williama Harringtona i Sydneya Winslowa – sukces, który pierwszy z nich osiągnął dzięki charakterystycznej dla siebie mieszance szczęścia i przaśnej maestrii, a do którego drogę obaj postanowili trzymać w sekrecie, ale nie mogą go przecież ukrywać przede mną, bo widzę wszystko, chociaż tego nie chcę. Mógłbym wygłosić swoje zdanie o Williamie Harringtonie bez najmniejszych ogródek, ale moje opinie niewielkie tu mają znaczenie. Trzymajmy się lepiej pojęcia, jakie wyrobił sobie o swoim rodzicu Andrew, jako że jest wystarczająco bliskie obiektywnej prawdy. W oczach syna ojciec był walecznym wojownikiem przedsiębiorczości, zdolnym do najbardziej niezwykłych wyczynów na biznesowym polu bitwy – jak zobaczymy później – ale w codziennych utarczkach, do których sprowadzają się walki w rzeczywistości czyniące nas ludźmi i pozwalające nam okazać więzi z innymi czy hojność, William Harrington wydawał się niezdolny do niczego innego niż powstrzymanie się od większych podłości, jak już zresztą widzieliśmy. Pan Harrington należał do klasy ludzi niezwykle pewnych siebie, co jest zarazem laską i przekleństwem, tak stałych w tej pewności, że niepostrzeżenie przeradza się ona w nieskończoną, zaślepiającą arogancję. Był wreszcie jednym z tych, którzy uważają, że świat stoi na głowie, zwisa z gałęzi głową w dół albo, jeżeli wolicie, jednym z tych, którzy wierzą, że Bóg stworzył słońce wyłącznie w tym celu, by dojrzewały owoce z ich sadu, co powiedziawszy, nie sądzę, by trzeba było cokolwiek dodawać.

William Harrington wrócił z wojny krymskiej do świata zdominowanego przez maszyny. Natychmiast jednak dostrzegł, że wszystkie te unowocześnienia nie wyprą dawnych sposobów działania człowieka, wszystko bowiem, aż po szkło Kryształowego Pałacu, tego przejrzystego wieloryba wyrzuconego na brzeg w Hyde Parku, a gromadzącego w swym brzuchu plankton mechanicznych stworów, było zrobione ręcznie. Praca własnych rąk nie była, rzecz jasna, ścieżką, którą powinno się podążać, jeśli się chce wzbogacić, a taki cel wyznaczył sobie w naiwności typowej dla dwudziestokilkulatka podczas nocy przesypianej u boku świeżo poślubionej żony, świętoszkowatej córki wytwórcy

zapałek, u którego zaczął pracować. Czując się zaklinowany w egzystencji, której mdły bieg dawał się łatwo przewidzieć, Harrington wiercił się w łóżku i zastanawiał, czy przypadkiem nie powinien się zbuntować przeciw tak pospolitemu losowi. Po co matka zadała sobie trud wydania go na świat – czy po to, żeby jedyną emocją w jego życiu było okuleć z powodu czyjegoś bagnetu? Jakie przeznaczenie było mu pisane: być tylko pionkiem czy przejść do historii? Jego żalosne działania na Krymie zdawały się wskazywać na to pierwsze, ale William Harrington nosił w swej piersi zbyt wielkiego ducha, aby się zadowolić taką rolą. „Jak wiadomo, mamy tylko jedno życie – rzekł sobie. – Czego nie zdołamy zrobić w tym, nie zrobimy też w innym”.

Następnego ranka wezwał swojego szwagra Sydneya, bystrego i zdolnego młodzieńca, który wyraźnie marnował życie, prowadząc księgowość małej rodzinnej firmy, i zapewnił go, że u jego boku czeka go świetlana przyszłość. Ale aby awansować, co wieścił mu William, młody Winslow musiał zapomnieć o zapałkach i założyć własne przedsiębiorstwo, co nie powinno być trudne, jeśli wykorzystają oszczędności, jakie – tak się składało – miał Sydney. William namówił szwagra, by mu pozwolił poeksperymentować ze swoimi pieniędzmi, a zrobił to podczas długiej popijawy, zapewniając, że w jego nudnym życiu nie zaszkodzi pewna doza biznesowej przygody. Mało jest do stracenia, a dużo można zyskać. Najważniejsze to znaleźć taką branżę, która szybko przyniesie im wielkie zyski, zakończył. Ku jego zaskoczeniu Sydney przyznał mu rację i zaprzął do pracy swój obdarzony wyobraźnią umysł. Na następnym spotkaniu przedstawił zarysy czegoś, co – jak zapewniał – będzie rewolucyjnym wynalazkiem. Swój pomysł nazwał „pomocnikiem kawalera”. Był to fotel zaprojektowany z myślą o miłośnikach literatury erotycznej, z zamontowanym wygodnym mechanicznym pulpitem samoczynnie przewracającym kartki książki, ażeby czytelnik nie musiał robić tego rękami. Urządzenie, jak William mógł zobaczyć na szczegółowych rysunkach Sydneya, miało też inne udogodnienia, jak wiaderko, a nawet gąbka, tak aby klient nie przerywał lektury i nie musiał wstawać z fotela nawet w potrzebie. Sydney był przekonany, że wzbogacą się na tym produkcie, lecz William nie miał takiej pewności – ewidentnie jego szwagier pomylił własne potrzeby z potrzebami świata. Kiedy mu w końcu wytłumaczył, że ten wymyślny fotel nie jest tak nieodzowny dla imperium, jak sądził wynalazca – a to nie przyszło mu łatwo – wrócili do punktu wyjścia, bez żadnego porządnego pomysłu.

Zdesperowani zwrócili oczy na handel towarami pochodzącymi z kolonii. Jaki produkt nie był jeszcze sprowadzany, jaka potrzeba Anglików nie została do tej pory zaspokojona? Rozglądali się uważnie dokoła, ale nie wyglądało na to, by czegoś w ojczyźnie brakowało. Jej Wysokość zdążyła już opleść świat swymi niezliczonymi mackami i eksploatowała go, wyciągając wszystko, czego sobie zażyczył jej kraj. Rzecz jasna Anglicy czegoś byli pozbawieni, lecz tej potrzeby nikt się nie ośmielił wypowiedzieć na głos.

Odkryli ją, spacerując ulicami handlowymi Nowego Jorku, dokąd się udali w poszukiwaniu inspiracji. Mieli już wracać do hotelu, aby zamoczyć swe udrećzone stopy w miednicy z wodą i solami, kiedy zauważyli ten produkt na wystawie. Za szybą piętrzyły się dziwne pakiety liczące pięćset arkusików papieru pakowego nasączonego czymś wilgotnym. „Papier terapeutyczny Gayettego” – przeczytali na opakowaniach. Do czego u licha mógłby służyć? Przeznaczenie produktu odkryli, gdy się zapoznali z dołączoną do niego na wystawie instrukcją, na której widniał rysunek z ręką przykładającą kawałek papieru do najbardziej intymnej tylnej części ciała. Najwidoczniej ów Gayetti uważał, że pora dać odpocząć kolbom kukurydzy i gazetkom parafialnym. Po chwili zaskoczenia William i Sydney wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Już mieli! Nie musieli być szczególnie bystrzy, aby przewidzieć ciepłe powitanie, z jakim ten niebiański prezent przyjmą tysiące angielskich tyłków, udrećzonych używaniem gazet. Sprzedając po pięćdziesiąt centów za paczkę, wkrótce będą bogaci. Kupili na tyle, by zaopatrzyć mały sklepik, który nabyli przy jednej z głównych ulic Londynu. Na wy-

stawie ustawili górę pakietów i przykleili plakat szczegółowo pokazujący sposób używania papieru, po czym czekali za kontuarem na klientów, a cudowny, jakże w porę wynaleziony towar parzył ich w ręce. Nikt jednak nie wszedł do sklepu ani w dniu otwarcia, ani w kolejnych, które szybko przeciągnęły się w tygodnie.

Przyjęcie do wiadomości klęski zajęło Williamowi i Sydneyowi trzy miesiące. Ich marzenia o sukcesie runęły w gruzy już na samym początku, zostawiając ich, owszem, z zapasem papieru terapeutycznego, który do końca ich dni pozwoliłby im nie sięgać po katalogi magazynu Sears. Czasami jednak świat kieruje się swoją własną pokrętną logiką, i gdy tylko zamknęli swój nieszczęsny interes, ten zaczął funkcjonować. W najciemniejszych zakątkach tawern, u wylotu mrocznych zaułków, we własnych domach o świcie William i Sydney byli nagabywani przez najróżniejszych ludzi, którzy nieufnie rozglądając się dookoła, ściszym głosem wypowiadali prośbę, a zaopatrzwszy się w ich cudowny papier, pośpiesznie rozpływali się w cieniu. Młodzi przedsiębiorcy, mimo że zaskoczeni warunkami, w jakich przyszło im prowadzić biznes, przyzwyczaili się do tego, że przemierzają miasto pod osłoną nocy, jeden kulejący, drugi parszający gniewem, i sprzedają swój wstydlivy towar potajemnie, z daleka od wścibskich spojrzeń. Wkrótce zwyczajowo zostawiali go przed drzwiami domów i stukali laską w okno w umówiony sposób, upuszczali pakiety z mostu, gdy poniżej dyskretnie przepływały łodzie, zapuszczali się samotnie do parku, aby znaleźć zostawiony pod ławką plik funtów, lub też gwizdali jak szczygły czy dzwońce pod oknami rezydencji. Cały Londyn pragnął używać cudownego papieru Gayettego, tak by o tym nie wiedzieli sąsiedzi, co William potrafił wykorzystać, podnosząc cenę towaru. Z czasem osiągnęła nieprzyzwoitą wysokość, a mimo to klienci godzili się ją płacić.

Po dwóch latach młodzi przedsiębiorcy mogli sobie kupić dwa luksusowe domy w dzielnicy Brompton, ale dość szybko je opuścili, by osiąść w Kensington, ponieważ oprócz kolekcjonowania eleganckich lasek William demonstrował swój sukces życiowy przenosinami do coraz większych posiadłości. Sydney zdumiony, że śmiały akt powierzenia swoich oszczędności szwagrowi przyniósł mu uroczą rezydencję w Queen's Gate, z której balkonów mógł spoglądać na lepsze oblicze Londynu, planował czerpanie korzyści z tego, co posiada, oddając się przyjemnościom życia rodzinnego, tak wychwalanym przez pocziwych ludzi. Zappełnił swój dom dziećmi, książkami i obrazami obiecujących malarzy, zatrudnił służących, a nawet poszedł dalej – teraz, kiedy czuł się wolny od motłochu, przekształcił żywioną do pospółstwa awersję w pogardę. Ostatecznie niepostrzeżenie przyzwyczaił się do swego nowego życia zamożnego człowieka i nie miało dla niego znaczenia, że wszystko to zawdzięcza uwłaczającemu mu interesowi: sprzedaży papieru toaletowego. Jednak William był inny. Jego zachłanny, zarozumiały duch nie mógł się z tym pogodzić. Potrzebował publicznego poklasku i poszanowania ze strony świata. Innymi słowy chciał, aby londyńskie osobistości zapraszały go na swoje polowania na lisa, jakby był jedną z nich; to się jednak nie wydarzyło, bez względu na to, jak bardzo pysznił się w palarniach, gdzie rozdawał na prawo i lewo swoje karty wizytowe. Nie mógł nic na to poradzić, że wobec owej niedającej się zmienić sytuacji w jego duszy zagościła gorzka uraza żywiona względem zamożnej kamaryli, która zgodnie poddała go najżałośniejszemu ostracyzmowi, a jednocześnie podcierała swoje szlachetne tyłki dostarczanym przez niego miękkim papierem. Owa wrogość przepęliła czarę goryczy podczas jednej z małych uroczystości, na którą obaj przedsiębiorcy byli zaproszeni – jeden z gości, rozochocony alkoholem, chciał się wykazać geniuszem i nadał im tytuł oficjalnych czyścicieli królestwa. Nim zabrzmiał pierwszy wybuch śmiechu, William Harrington jak huragan rzucił się na bezczelnego fircyka, który to powiedział, i zdążył połamać mu nos rączką laski, zanim Sydney zdołał go stamtąd zabrać.

Tamta uroczystość wyznaczała przełom, dzieliła ich życie na przed i po, ponieważ William Har-

rington wyciągnął z niej gorzką, choć pożyteczną naukę: papier terapeutyczny, któremu wszystko zawdzięczali i który stał się źródłem ich pomyślności, był stygmatem i przyłgnie do niego na całe życie, o ile on od niego nie ucieknie. A więc kierowany tyleż intuicją, ile przepelniającą go nienawiścią zaczął lokować część swych zysków w mniej niesławnych przedsięwzięciach, takich jak kolej żelazna, aż w ciągu zaledwie paru miesięcy stał się głównym udziałowcem kilku zakładów naprawiających lokomotywy. Następnym jego krokiem był zakup podupadającej kompanii transportu morskiego zwanej Fellowship. Harrington tchnął w nią nowe życie i przekształcił ją w bardzo rentowne przedsiębiorstwo, którego statki pruły wody oceanu. W niespełna dwa lata jego własne małe imperium kwitujących interesów – którym Sydney zarządzał z pogodnym wdziękiem niczym dyrygent prowadzący orkiestrę – osiągnęło takie sukcesy, że jego nazwy nie kojarzono już z papierem terapeutycznym, na który ostatnie zamówienia wycofał, pogrążając cały Londyn w cichym smutku. Wiosną 1872 roku Annesley Hall zaprosił Harringtona na jego pierwsze polowanie na lisa. Do posiadłości wiejskiej Newstead zjechały wówczas wszystkie osobistości Londynu gotowe oklaskiwać nadzwyczajne dokonania Harringtona. Podczas gonitwy za lisem przykrym zbiegiem okoliczności zmarł ów młody wesolek, który swego czasu publicznie zażartował sobie ze sprzedawcy papieru terapeutycznego. Według zamieszczonej w prasie notatki nieszczęśnik przypadkowo strzelił sobie w stopę z własnej broni. Było to mniej więcej wtedy, gdy William Harrington oswobodził z kufra swój mundur żołnierski i kazał się w nim sportretować. Uśmiechał się i wypinał pozbawioną odznaczeń pierś, aby każdego, kto wchodzi do jego domu, powitać pańskim spojrzeniem właściciela tego skrawka świata usytuowanego na przeciw Hyde Parku.

Właśnie tak, a nie inaczej, przedstawia się sekret zazdrośnie strzeżony przez dwóch ojców, którego dziejami – biorąc pod uwagę ich lekką naturę – uznałem za stosowne uprzyjemnić wam męczącą drogę. Obawiam się jednak, że skończyliśmy zbyt szybko. W powozie nadal panuje milczenie i możliwe, że potrwa znacznie dłużej, ponieważ gdy Andrew tak postanowi, potrafi całymi godzinami nie wracać do rzeczywistości, chyba żeby go sparzyć rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem albo wylać na niego miskę wrzącej oliwy, czego Charles raczej nie miał zwyczaju czynić. Zatem nie pozostaje mi nic innego – jeżeli nie chcę opisywać mało interesujących końskich zadów – jak znów ich zostawić i pośpieszyć przodem do celu tej wycieczki, czyli do domu pana Wellsa. Nie tylko nie jestem podporządkowany pokrętnemu rytmowi powozu, jak mogliście wywnioskować na podstawie niektórych moich wtrąceń, lecz także mogę biec z prędkością światła, a więc – *voilà!* – w mgnieniu oka, a może nawet szybciej, docieramy na miejsce, do Woking, i unosimy się ponad dachem skromnego trzykondygnacyjnego budynku z ogródkiem, otoczonego wrzosowiskami i topolami, domu, którego wątpię fasada drży lekko od dudnienia pociągów mknących w stronę Lynton.

Spieszę wyjawić, że w życiu Herberta George’a Wellsa wkraczamy w niezbyt dobrym momencie. Aby was zbyt nie męczyć, mógłbym szybko skończyć opis jego wyglądu fizycznego, mówiąc, że sławny pisarz był szczupłym, bladym młodzieńcem, który miewał już lepsze dni. Jednak spośród licznych postaci cisnących się w szklanej bańce naszej historii Wells jest – przypuszczalnie ku jego ubolewaniu – tą, która da nam najwięcej zwrotów akcji, co mnie zobowiązuje do nieco dokładniejszego sportretowania jego osoby. Wells odznaczał się nie tylko zaskakującą szczupłością i śmiertelną bladeścią skóry, ale także modnymi wówczas wąsami: wąskimi, o podwiniętych końcach, które tak bardzo wybijały, że stały się zbyt duże, ciężkie i niepasujące do jego dziecięcej twarzy. Wspomniany zarost wisiał niczym groźba nad ustami o pięknej, cokolwiek kobiecej linii, te zaś wraz z przejrzystymi oczyma składały się na wygląd, który dałoby się określić jako anielski, gdyby nie błędzący na wargach psotny uśmieszek. Krótko mówiąc, Wells miał wejrzenie porcelanowej figurki i śmiejące się oczy, przez które przeziarała żywa, bystra inteligencja. Dla wielbicieli szczegółu i osób pozbawionych wyobraźni dodam, że ważył nieco ponad pięćdziesiąt kilogramów, nosił ubrania rozmiaru czterdzieści trzy, czesał się z przedziałkiem po lewej stronie, a zapach jego ciała, na ogół owocowy, dziś zdradzał lekką nutę sfermentowanego potu, ponieważ kilka godzin wcześniej wraz ze swą nowo poślubioną małżonką przemierzał okoliczne drogi hrabstwa Surrey na dwuosobowym rowerze – modnym wtedy wynalazku, który natychmiast podbił serce pary, gdyż nie wymagał paszy ani stajni i nigdy nie ruszał się z miejsca, gdzie go zostawiono. Niewiele mogę dorzucić o nim bez wiwisekcji ani wdawania się w intymne szczegóły, takie jak skromna rozpiętość i południowo-wschodnie nachylenie jego męskiego członka.

Dokładnie w tym momencie Wells siedział przy stole w kuchni, gdzie zwykle pisywał. Trzymał w dłoniach czasopismo, a jego napięte, zeszywniałe na krześle ciało świadczyło o wewnętrznej walce, jaka go pochłoneła, bo choć mogłoby się wydawać, że jedynie nieśpiesznie chłonie piękną koronkę ząbkowanych cieni, którą popołudniowe słońce wyczarowuje wśród drzew w ogrodzie, w rzeczywistości starał się zapanować nad przepełniającą go furją. Odetchnął głęboko jeden, dwa, trzy razy, rozpaczliwie przywołując spokój, który załagodziłby wściekłość. Nie udało się. Jakby na dowód chwycił przegląd prasowy, który właśnie czytał, i rzucił nim o drzwi kuchni. Gazeta poszybowała z niezdarnością rannego gołębia i opadła jakieś dwa metry od jego stóp. Wells popatrzył na nią ze swojego krzesła z niejakim żalem, fuknął, potrząsnął głową i wreszcie wstał, aby ją podnieść z podłogi, sam siebie strofując za ten przejaw złości niegodny cywilizowanej istoty. Położył papier z powrotem na stole i usiadł przed nim z rezygnacją kogoś, kto wie, że dobrowolne pogodzenie się z przeciwnościami losu to oznaka męstwa i jasności umysłu.

Wspomniany przegląd był egzemplarzem magazynu „The Speaker”, w którym ukazała się druzgocząca krytyka ostatniej książki Wellsa, zatytułowanej *Wyspa doktora Moreau*, innej jego powieści o tematyce naukowej, pod której płaszczem ukrył jedną ze swych ulubionych obsesji: marzyciela pokonanego przez własne marzenia. Bohaterem opowieści jest rozbitek nazwiskiem Prendick, który na swoje nieszczęście zostaje wyrzucony przez morze na nieznaną wyspę. Wyspa ta nie figuruje na żadnej mapie, a rządzi nią szalony naukowiec, którego wygnano z Anglii z powodu brutalnych eksperymentów, jakie przeprowadzał na zwierzętach. Na tym zagubionym skrawku ziemi wspomniany w tytule doktor stał się czymś w rodzaju prymitywnego bóstwa dla plemienia składającego się z dziwacznych owoców jego szaleństwa – potwornych rezultatów doświadczeń, za pomocą których usiłował przekształcić dzikie zwierzęta w ludzi. W dziele tym autor celowo posunął się dalej niż Darwin:

jego niezrównoważony doktor próbuje zmodyfikować życie, omijając powolny, naturalny bieg ewolucji. Ponadto złożył osobisty hołd Jonathanowi Swiftowi, swemu ulubionemu pisarzowi – scena, w której Prendick powraca do Anglii i informuje cały świat o fantasmagorycznym raj, z jakiego uciekł, jest niemal wiernym odbiciem epizodu z opowieścią Guliwera o kraju Houyhnhnmów. I chociaż po ukończeniu tej powieści Wells nie był zbyt zadowolony ze swej pracy – która rodziła się niemal wśród spazmów, jakby w jakimś oszołomieniu wywlekał z siebie mniej lub bardziej zdumiewające obrazy – a zatem przygotował się na ostrą krytykę, prawda przedstawiała się tak, że nie umniejszało to bólu po otrzymanych ciosach. Pierwsze zabójcze pchnięcie przyszło z zaskoczenia, ponieważ pochodziło od jego własnej małżonki – fakt, że naukowiec ginie w walce ze zniekształconą pumą, którą chciał przeobrazić w kobietę, żona uznała za krytykę ruchu feministycznego. Jak to możliwe, że Jane tak pomyślała? Tydzień temu przyszło kolejne bolesne smagnięcie, tym razem ze strony „Saturday Review”, tygodnika, który zawsze uważał za przyjazny. Jeszcze bardziej irytujące było to, że pod niemiłą krytyką podpisał się Peter Chalmers Mitchell, miody, dobrze zapowiadający się zoolog, z którym Wells zaprzyjaźnił się w South Kensington. Teraz, zdradzając ich sympatyczne koleżeństwo, przyrodnik bez żadnej delikatności stwierdził, że książkę Wellsa uważa po prostu za przerażającą. Krytyka w „The Speaker” szła jeszcze dalej: oskarżała autora o perwersję, sugerując, że oczywistym następnym krokiem, jaki robi ktoś, kto odnosi sukces w eksperymentach nadających zwierzętom zewnętrzny wygląd ludzi, będzie utrzymywanie stosunków seksualnych z rzeczonymi stworzeniami. „Pan Wells ma talent, ale wykorzystuje go w celu absolutnie uwłaczającym człowieczeństwu” – twierdził krytyk. Wells zastanawiał się, kto tak naprawdę ma głowę nabitą takimi nikczemnymi myślami: on czy autor recenzji.

Pisarz aż za dobrze wiedział, że te niepochlebne recenzje powodują tylko moralne szkody, jak uciążliwe, lecz słabe wiatry, które zaledwie zaburzają odbiór książki. Zdawał sobie sprawę, że etykieta zboczonej fantazji, którą z taką łatwością przyklejono jego powieści, pozytywnie wpłynie na sprzedaż i utoruje drogę jego kolejnej publikacji. A jednak rany, jakie odniosła jego pisarska samoocena, mogły mieć fatalne konsekwencje, ponieważ najlepszą bronią autora książki, tym, co daje mu moc, jest jego intuicja, i jeśli krytyka jednogłośnie zdyskredytuje jego zmysł, czy ma on talent, czy nie, zostanie zredukowany do bojaźliwego stworzenia, które porzuca pióro z bezsensownej ostrożności, nedorzecznej roztropności, co skończy się zduszeniem w zarodku potencjalnego geniuszu. Wyrobownicy czasopism i dodatków literackich, zanim w okrutny sposób oplują autora ze swoich wygodnych stołków, powinni sobie przypomnieć, że wszelkie dzieła są, ogólnie rzecz biorąc, stopem wysiłku i iluzji, ucieleśnieniem determinacji jednostki, a niekiedy długo dojrzewającego marzenia, jeśli nie rozpaczliwym, stawiającym wszystko na jedną kartę gestem, który ma nadać sens egzystencji. Ale w jego przypadku nie uda im się. Nie, oczywiście, że nie. Nie zbiją go z tropu, ponieważ on ma koszyk.

Przyjrzał się wiklinowemu przedmiotowi, który spoczywał na jednej z kuchennych półek, i od razu poczuł, że jego zgnębiony duch podnosi się na nowo – prowokacyjnie i wyzywająco. Kosz wywoływał natychmiastowy efekt. Dlatego nigdy się z nim nie rozstawał, ciągnął go z sobą tu i tam mimo podejrzeń, jakie wzbudzało to w tych, którzy go otaczali. Wells nigdy nie wierzył w talizmany ani magiczne przedmioty, ale nielogiczny sposób, w jaki kosz wtargnął w jego życie, a także sprzyjające wydarzenia, które zaczęła wywoływać jego obecność, zmusiły pisarza, by dla niego zrobił wyjątek. Zauważył, że Jane napełniła go warzywami, i to bardziej rozbawiło go niż zdenerwowało, ponieważ przez to głupie domowe wykorzystanie zakamufłowała magiczny charakter przedmiotu, zarazem dowcipnie podważając jego użyteczność. Oprócz tego więc, że przynosił mu szczęście i napawał go pewnością siebie, że stawał się wcieleniem zwycięskiego ducha, ilekroć Wells przywoływał we wspo-

mmieniu niezwykłą osobę, która go uplotła, koszyk ponadto służył też jako koszyk.

Wells, znacznie spokojniejszy, zamknął gazetę. Nie zamierzał pozwolić, by ktoś szargał jego dokonania, te, z których on sam powinien być zadowolony. Miał trzydzieści lat i po dręczącej, ciągnącej się w nieskończoność walce z żywiołami jego życie wreszcie przestało się chybotać. Miecz został zahartowany i przyjął – pod każdym możliwym względem – wygląd, jaki nadało mu życie. Pozostało go już tylko naostrzyć, nauczyć się nim posługiwać, a nawet, jeśli to będzie konieczne, utoczyć nim czyjejs krwi. Wziąwszy pod uwagę wszelkie możliwości, wydawało się jasne, że będzie w życiu pisarzem, i tak też się stało. Świadczyły o tym trzy wydane powieści. Pisarz. Brzmiało dobrze. Ponadto nie miał nic przeciwko tej profesji, bo już ją rozważał w dzieciństwie jako drugą opcję po fachu nauczyciela. Wstrząsanie sumieniami z wysokości katedry zawsze było jego pragnieniem, ale to samo można robić z wystawy księgarni, być może nawet wygodniej i ze znacznie większym zasięgiem.

Pisarz. Brzmiało dobrze, tak. Brzmiało bardzo dobrze.

Odzyskawszy spokój, Wells rozejrzał się z satysfakcją dokoła. Powiódł wzrokiem po majątku, który przyniosła mu literatura. Było to skromne domostwo, ale kilka lat temu nie mógł sobie pozwolić nawet na coś takiego, kiedy biedował, żyjąc z artykułów, które udawało mu się opublikować w lokalnej prasie, oraz z udzielania wykańczających lekcji, i tylko ufność, jaką napawał go koszyk, utrzymywała go na nogach wbrew zniechęceniu. Mimowolnie porównywał ten dom z tamtym w Bromley, w Kent, w którym się wychował, tą nędzną norą wiecznie cuchnącą olejem parafinowym, jakim jego ojciec nasyczał deski podłogi, aby zdziętkować armię karaluchów, z którą byli zmuszeni dzielić dach nad głową. Z obrzydzeniem przypominał sobie mieszczącą się w suterenie okropną kuchnię z okropnie usytuowanym piecem węglowym i ogródek na tyłach budynku, gdzie znajdował się śmierdzący wychodek – zwyczajna dziura w ziemi, do której szło się ubitą ścieżką. Jego matka nie lubiła tam chodzić, gdy ją ponaglał pęcherz, ponieważ podejrzewała, że za każdym razem podglądają ją pracownicy sąsiedniego warsztatu krawieckiego pana Coopera. Wells przywołał w pamięci pnące porastające mur w głębi ogródka – wspinał się po nim, by patrzeć na pana Covella, rzeźnika mającego zwyczaj przechadzać się po swym ogrodzie z rękami zakrwawionymi po łokcie i stale ociekającym krwią nożem, niczym apatyczny morderca. W oddali, pomiędzy dachami, dostrzegało się także kościół parafialny i cmentarz pełen spękanych, porośłych mchem nagrobków. Pod jednym z nich spoczywało malutkie ciało jego siostrzyczki Frances – jak utrzymywała jego matka, dziewczynka została otruta przez sąsiada, niesławnego pana Mundaya, podczas makabrycznego podwieczorku.

Nikt nie mógł podejrzewać, nawet on, że w tej brzydkiej kryjówce mogą zaistnieć okoliczności niezbędne do wykiełkowania pisarskiego talentu, lecz tak się właśnie stało, choć prowadziła do tego droga długa i wyboista. Spełnienie marzeń zajęło mu dokładnie dwadzieścia jeden lat i trzy miesiące. Oczywiście według jego własnych obliczeń, ponieważ Wells miał zwyczaj zaznaczać – jakby rozmawiał ze swymi przyszłymi biografami – że jego powołanie zostało mu objawione, w niepotrzebnie brutalny sposób, piątego stycznia 1874 roku. Tego dnia spotkał go dramatyczny wypadek i wydarzenie to – doniosłe, jak się okazało po latach – przekonało go również, że jeśli chodzi o rzeźbienie własnej przyszłości, nasza wola ma niewielkie znaczenie, ponieważ przyszłość tę tak naprawdę kształtują kapryśne, przypadkowe ruchy dłuta. Jak ktoś, kto rozkłada figurkę origami, by krok po kroku poznać zagięcia papieru niezbędne do jej zbudowania, Wells mógł rozłożyć na części tę chwilę swojego życia, w której się znajdował, i odkryć elementy, które przyczyniły się do jej stworzenia. W rzeczy samej często lubił rozpatrywać podtrzymujące go drzewo genealogiczne, ponieważ to ćwiczenie metafizyczne przynosiło mu takie samo pokrzepienie, jakie czuł, recytując tabliczkę mnożenia, kiedy chciał podeprzeć świat matematyką, ilekroć ten wydawał mu się zmienną magmą. W ten sposób ustalił punkt wyjścia, przypadkową iskrę, która wywołała łańcuch wypadków, jakie go uczyniły pisa-

rzem, a która początkowo mogła się okazać żenująca: długie, zabójcze podania piłki po łuku w wykonaniu jego ojca na boisku do krykieta. Lecz jeśli pociągnie się za tę nitkę, w końcu można spruć cały dywan: gdyby jego ojciec nie miał zręczności niezbędnej do wykonywania owych morderczych rzutów, nie przyjęto by go do oficjalnej reprezentacji hrabstwa, a gdyby nie znalazł się w składzie tej drużyny, nie spędzałby wieczorów, pijąc z kolegami w The Bell, tawernie znajdującej się niedaleko ich domu, i gdyby nie marnował tam czasu, zaniedbując sklepik z porcelaną, który prowadził wraz z matką na parterze tegoż domu, nie zaprzyjaźniłby się z synem właściciela, a gdyby nie zacieśnił tej więzi z postawnym młodzieńcem, ten, natknąwszy się na jego dzieci na boisku do krykieta, gdzie stały się któregoś wieczoru, nie czułby się na tyle swobodnie, by wziąć małego Bertiego na rękę i ciśnąć go w powietrze, a gdyby tego nie zrobił, chłopiec nie wymknąłby mu się z rąk, i gdyby się nie pośliznął, ośmioletni Wells nie złamałby sobie piszczeli, uderzywszy w jeden z kołków naprężających liny namiotów, w których sprzedawano piwo, a gdyby dzieciak nie złamał sobie nogi, przez co całe lato był przykuty do łóżka, nie miałby tak doskonałej wymówki, by się oddawać jedynej rozrywce, jaka była dostępna w takich okolicznościach – lekturze, niezdrowej pasji, która w każdej innej sytuacji wzbudziłaby podejrzenia rodziców – co uniemożliwiłoby mu odkrycie Dickensa, Swifta czy Washingtona Irvinga, którzy zasiali w jego wnętrzu ziarno, a ono z czasem, mimo skąpego nawadniania i braku stosownej pielęgnacji, w końcu wykiełkowało.

Czasami, gdy chciał bardziej docenić to, co posiada, aby ani odrobinę nie umniejszyć blasku swego szczęścia, Wells zastanawiał się, co by było, gdyby nie doszło do tego cudownego splotu wydarzeń, który go rzucił w ramiona literatury. Odpowiedź zawsze brzmiała tak samo. Był pewien, że gdyby nie doszło do tego niezwykłego łańcucha zdarzeń, teraz pracowałby w jakimś sklepiku lub czymś podobnym, zniesmaczony i znudzony, i nie mógłby uwierzyć, że jego wkład do kotła z życiem jest tak błahy. Jak by to było, żyć bez celu, bez wyraźnie określonego sensu? Jak by to było, żyć z wiedzą, że nie można się spełnić? Nie wyobrażał sobie gorszego nieszczęścia, niż dryfować przez życie na oślep i bez satysfakcji, kształtować swoją egzystencję na podstawie ciosów zadawanych przez los i wieczne złych decyzji, wieść życie nieistotne, banalne, takie, którym się można zamienić z sąsiadem, i dążyć wyłącznie do płaskiego, wąskiego szczęścia prostaczków. Ale dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności zabójcze rzuty, jakie jego ojciec potrafił wykonać na boisku do krykieta, uratowały syna przed miernością i wstrząsami oraz uczyniły zeń człowieka mającego cel – pisarza.

Dojść do tego miejsca nie było jednak łatwo. Gdy kroczył obraną przez siebie drogą, w tym samym momencie, w którym miał przebłyśki swego przeznaczenia, kiedy wiedział, dokąd powinien się skierować, jako nieodzowne dopełnienie zrywał się wiatr utrudniający mu postęp. Wiatr zaciekł, niestrudzony, przybierający postać jego matki, ponieważ Sarah Wells nie miała w swym życiu innego celu – oprócz bycia jednym z najniezwyklejszych stworzeń na tym świecie – niż ten, by mały Bertie i jego starsi bracia, Fred i Frank, wyrosli na ludzi użytecznych, co dla niej oznaczało, zależnie od okoliczności, że każdy z nich powinien zostać sprzedawcą tekstyliów lub jakimkolwiek innym poświęcającym się atlasem, którzy z dumą i dyskrecją dźwigają na swoich barkach ciężar świata. Bertie rozczarował ją swoim pragnieniem i determinacją, aby zostać kimś więcej, ale nie powinien był przywiązywać do tego zbyt dużej wagi – to tak jakby deszcz padał na i tak moką powierzchnię. Najmłodszy syn zawiódł matkę już w chwili swoich narodzin, mając czelność wynurzyć się z jej wnętrza wyposażony w sprzęt właściwy mężczyznom, podczas gdy ona dziewięć miesięcy wcześniej przestąpiła próg sypialni swego obrzydliwego małżonka tylko pod warunkiem, że ten spłodzi jej nową córkę, która zastąpi poprzednią, zmarłą.

Nic więc dziwnego, że po tak kiepskim początku dalsze relacje Wellsa z matką układały się równie niedobrze. Gdy skończyło się długie próżnowanie spowodowane złamaniem nogi, przeciągnięte

dodatkowo przez miejscowego lekarza, który – choć nikt go o to nie prosił – źle złożył kość i potem musiał ją na nowo złamać, by naprawić swój błąd, chłopiec zaczął naukę w szkole w Bromley, którą skończyli już jego dwaj bracia, tyle że nauczyciel, pan Morley, nie zdołał znaleźć w nich szczególnych talentów. Najmłodszy z Wellsów jednak natychmiast pokazał, że nie wszystkie kwiaty z tego samego bukietu pachną jednakowo. Zdziwił pana Morleya olśniewającą inteligencją, tak że nauczyciel przymknął nawet oko na to, że nie płacono mu czesnego. Ale nawet takie faworyzowanie nie powstrzymało Sarah Wells przed wyrwaniem syna ze środowiska kredy i ławek, w którym mu było tak wygodnie – zabrała go ze szkoły i wysłała na praktykę do sklepu tekstylnego Rodgersa i Denyera w Windsorze. Wells spędził tam dwa miesiące, pracując od siódmej trzydzieści rano do ósmej wieczorem, z krótką przerwą na posiłek zjadany w ciasnej piwnicy, do której nigdy nie wpadało światło. Obawiał się, że jego młody żywy duch zacznie powoli, nieuniknienie więdnąć, podobnie jak to się stało z jego starszymi braćmi, którzy ledwie już przypominali owych wesołych, stanowczych chłopców, jakimi kiedyś byli. Zrobił więc wszystko, co w jego mocy, by pokazać światu, że się nie nadaje na sprzedawcę tekstyliów, to znaczy częściej niż kiedykolwiek przedtem zapadał w swe sny na jawie, do tego stopnia, że właściciele sklepu nie mieli innego wyjścia jak odprawić młodzieńca, ponieważ mylił zamówienia i większą część dnia sterczał otępiały w kącie. Dzięki pośrednictwu drugiego kuzyna matki dwunastoletni wówczas chłopiec został wysłany do pomocy krewnemu prowadzącemu szkołę w Wookey, gdzie mógł również dokończyć swą edukację nauczycielską. Niestety, praca ta, znacznie bardziej zgodna z jego aspiracjami, skończyła się jeszcze szybciej, niż zaczęła, gdy wyszło na jaw, że dyrektor placówki to oszust, który sfałszował papier potwierdzający jego kwalifikacje akademickie. I znów Bertie – teraz już nie taki mały – został wystawiony na obsesyjne działania swej matki, która ponownie sprowadziła go ze ścieżki przeznaczenia i skierowała na niewłaściwą drogę. Wkrótce po ukończeniu czternastu lat Wells zaczął pracować jako czeladnik w sklepiku pana Cowapa, który formalnie nazywano apteką. Aptekarz szybko jednak zrozumiał, że ten chłopiec jest zbyt wyjątkowy, by się marnować na takiej posadzie, przekazał go więc w ręce Horace'a Byatta, dyrektora szkoły średniej w Midhurst, który polował na zdolnych uczniów, by z ich pomocą zdobyć dla swojej placówki akademicki szacunek, jakiego nie miała. Wellsowi nie było trudno wyróżniać się w tłumie składającym się głównie z miernot, natychmiast więc przyciągnął uwagę Byatta. Do tego stopnia, że nauczyciel potajemnie umówił się z aptekarzem, iż umożliwi temu uzdolnionemu chłopcu zdobycie możliwie jak najlepszego wykształcenia. Jednakże matka dość szybko wykryła spisek dwóch filantropów, daremnie usiłujących doprowadzić młodego Bertiego do zguby, i wysłała syna na naukę do kolejnego sklepu tekstylnego, tym razem w Southsea. Tam przeżył dwa lata w stanie głębokiego oszołomienia, próbując zrozumieć, dlaczego ten zaciekły wiatr zrzuca go z konia, ilekroć trafi na właściwą drogę. Życie w Tekstylnym Domu Towarowym Edwina Hyde'a podejrzanie przypominało piekło: dzień składający się z trzynastu godzin ciężkiej pracy kończył się w dusznym baraku służącym za wspólną sypialnię. Pracownicy spali w niej tak stłoczeni, że nawet ich sny się mieszały. Kilka lat wcześniej jego matka, przekonana, że poczynania jej męża doprowadzą ich sklep z porcelaną do bankructwa, przyjęła posadę ochmistrzyni w ukrytej za wzgórzem Karting Down posiadłości Uppark, gdzie w młodości pracowała jako pokojówka. To tam Wells posyłał ze swojej niewoli rozpaczliwe, pełne lamentów listy, których przez szacunek tutaj nie przytoczę; listy, w których najbardziej dziecięnie błagania przeplatał najbardziej pomysłowymi argumentami, na próżno próbując przekonać matkę, by go stamtąd zabrała. Przygnębiony, widząc, jak upragniona przyszłość wymyka mu się z rąk, rozpatrywał błędne założenia decyzji, jakie podjęła matka. Pytał ją, jak sobie wyobraża jego wsparcie dla niej na stare lata z mizerną płacą ekspedienta, podczas gdy studia, które chciał podjąć, mogłyby mu zapewnić wspaniałą pozycję. Wyrzucał jej nietolerancję i ograniczone poglądy, a nawet groził, że

popęłni samobójstwo lub dopuści się czegoś jeszcze gorszego, co na zawsze splami dobre imię rodziny. Jednakże ani prośby, ani groźby nie odniosły skutku – matka nie ustawała w wysiłkach, aby uczynić z syna uczciwego sprzedawcę tekstyliów. Uratował go dopiero jego były opiekun, Horace Byatt. Ponieważ miał nadmiar uczniów, zaproponował młodemu Wellsowi posadę nauczyciela z płacą na początek wynoszącą dwadzieścia funtów, a następnie czterdzieści. Tymi sumami syn pośpiesznie zaczął wymachiwać przed oczami matki, ona zaś niechętnie zgodziła się odstąpić od pomysłów tekstylnych, zmęczona daremnym wysiłkiem uchronienia swojej latorośli od zejścia na złą drogę. Młodzieniec z ulgą i wdzięcznością oddał się pod rozkazy swojego wybawcy: żarliwie spełniał jego oczekiwania, za dnia nauczając młodszych uczniów, a nocami kontynuując własne studia nauczycielskie i z prawdziwą zachłannością zgłębiając wszelkie wiadomości, jakie znalazł – czy to z biologii, czy fizyki, astronomii i innych nauk ścisłych. Ten tytaniczny wysiłek został nagrodzony, gdy przyznano mu stypendium na studiowanie w londyńskim Kolegium Nauczycielskim Nauk Ścisłych, gdzie wykładał nie kto inny, jak profesor Huxley, uznany fizjolog, orędownik poglądów Darwina w swoich słynnych dysputach dialektycznych z biskupem Wilberforce’em.

Mimo to nie da się powiedzieć, że Wells wyjeżdżał do Londynu w radosnym nastroju. Był raczej pogrążony w głębokim smutku, ponieważ nie mógł liczyć na wsparcie rodziców w tej ważnej przygodzie. Matka – był tego pewien – gorąco pragnęła, by poniósł klęskę na studiach i tym samym potwierdził jej przekonanie o tym, że Wellsowie poradzą sobie tylko w branży tekstylnej, ponieważ to niemożliwe, by z tak wątpliwego materiału jak nasienie jej męża mógł wyrosnąć geniusz. Ojciec ze swej strony był żywym przykładem tego, że z niepowodzenia można się cieszyć ta samo jak ze szczęścia. W lecie, które spędzili razem, Herbert przekonał się ze strachem, że jego rodzic, mimo że wiek nie pozwalał mu już szukać ucieczki w krykocie, nadal uparcie trwa przy jedynej rzeczy, która nadawała sens jego życiu – błąka się niczym uprzykrzone widmo po terenach gry, taszcząc ze sobą torbę wypchaną rękawicami pałkarza, poduszczkami, nagolennikami i piłkami, gdy tymczasem sklep z porcelaną, jakby do niego nie należał, upadał już ostatecznie niczym galeon tonący pod ostrzałem na środku oceanu. W tej sytuacji ojca nie interesowało zbytnio, że syn musi kwaterować na stacji, gdzie goście najwyraźniej konkurują ze sobą w wydawaniu najoryginalniejszych odgłosów.

Wells był tak przyzwyczajony do tego, że świat zawsze przedstawia mu się ze swojej najbardziej odpychającej strony, że kiedy jego ciotka Mary Wells zaproponowała, aby się przeniósł do jej domu przy Euston Road, bezwiednie zareagował z odruchową nieufnością, ale mieszkanie okazało się normalne, ciepłe i przytulne, skąpane w łagodnej harmonii, a więc jakże różne od tych obskurnych dekoracji, wśród których do tej pory toczyło się jego życie. Tak wdzięczny był swojej cioci za to, że w końcu zaoferowała mu rozejm w tej niekończącej się walce, jaką było jego życie, że uważał się za niemal zobowiązanego, by poprosić o rękę jej córki Isabel, tej słodkiej, łagodnej dziewczyny, która w milczeniu snuła się po domu. Wkrótce jednak zrozumiał, że zbyt się pośpieszył z tą decyzją, ponieważ po ślubie, którego dopełniono szybko, nie zważając na uciążliwe formalności, nie tylko stwierdził to, co już podejrzewał, że nic go nie łączy z kuzynką, lecz także odkrył, że Isabel wyuczono tak, by była modelową małżonką, to znaczy aby zaspokajała wszelkie potrzeby swojego męża oprócz, rzecz jasna, pragnień nachodzących go w łóżku – tam zachowywała się z chłodem maszyny znakomicie przystosowanej do prokreacji, ale niezdolnej do dawania przyjemności. Mimo wszystko drętwosc i brak apetytu seksualnego jego małżonki były pomniejszonym ziemi, któremu łatwo dałoby się zaradzić, odwiedzając inne łóżka. I Wells szybko odkrył, że świat jest wspaniale wyposażony w urocze wspólne posłania, do których wstęp może mu utorować jego hipnotyzująca elokwencja, tak że w końcu postanowił korzystać z życia, które teraz najwyraźniej toczyło się z górki. Zanurzony w tym epikureizmie na umiarkowaną skalę, na ile mu pozwalała gwinea co tydzień otrzymywana w ramach sty-

pendium, Wells zażywał przyjemności cielesnych, poznawał dyscypliny, w które się do tej pory nie zagłębiał, jak literatura i sztuka, i cieszył się też każdą sekundą swojego pobytu w South Kensington, który osiągnął z takim móżolem. W końcu stwierdził, że nadszedł dobry moment, aby wyjawić światu swoje najgłębiej skrywane marzenie, i w uczelnianym czasopiśmie „The Science Schools Journal” opublikował krótkie opowiadanie.

Nosiło tytuł *The Chronić Argonauts*, a jego bohater, szalony naukowiec, doktor Nebogipfel, wynalazł wehikuł czasu i wykorzystał go, by przenieść się w przeszłość i popełnić morderstwo. Pomysł podróży w czasie nie był oryginalny, już wcześniej posłużył się nim Dickens w swej *Opowieści wigilijnej*, a także Amerykanin Edgar Allan Poe w *Opowieści z Gór Skalistych*, jednak w obu wspomnianych utworach wędrówka zawsze odbywała się w stanie snu lub halucynacji bohatera. Naukowiec Wellsa zaś przemieszczał się w czasie z własnej woli i po raz pierwszy robił to za pomocą mechanicznego urządzenia. To, bądź co bądź, było w pełni oryginalne. Jednakże ta pierwsza, ostrożna próba sprawdzenia się w roli pisarza nie zmieniła biegu świata, nadal podążał on swoim normalnym, zwyczajnym torem, co rozczarowało Wellsa. Mimo to ów debiut zyskał mu szczególnego czytelnika, najdziwniejszego z tych, których miał kiedykolwiek i których prawdopodobnie miał będzie. Po kilku dniach od opublikowania opowiadania Wells otrzymał kartę wizytową od wielbiciela. Przeczytał on jego dzieło i pytał, czy przyjąłby od niego zaproszenie na herbatę. Nazwisko widniejące na wizytówce wstrząsnęło pisarzem: Joseph Merrick, bardziej znany jako Człowiek Słoń.

Wells usłyszał, że mówi się o Merricku, wkrótce po tym jak zaczął uczęszczać na zajęcia w salach biologicznych w South Kensington. Dla ludzi studiujących ludzkie ciało i mechanizmy jego działania Człowiek Słoń był niejako szczytowym dziełem Natury, jej najlepiej oszlifowanym diamentem, żywym dowodem na to, do czego może się ona posunąć w swej inwencji. Ów mężczyzna cierpiał na chorobę, która okropnie zdeformowała mu ciało, przeobrażając go w bezkształtne stworzenie, niemal potwora. Przedziwna choroba, którą był dotknięty, wywołała poruszenie wśród medyków. Spowodowała niekontrolowany przerost członków, kości i narządów w prawej części ciała, lewą pozostawiając w niemal nienaruszonym stanie. Na przykład prawa strona jego czaszki odznaczała się ogromną wypukłością, przez co obrys głowy stał się nieregularny, połowę twarzy pokrywało morze zmarszczek i kościstych wyrostków, a ucho przemieściło się. Z tego powodu Merrick nie był w stanie przybrać żadnego wyrazu twarzy, a ludzie widzieli w niej tylko dzikość apatycznego totemu. Tak wielka asymetria sprawiła, że kręgosłup przekrzywił się w prawo, przeciążony nadmiernie rozrośniętymi narządami, co każdemu jego ruchowi nadawało groteskowy wygląd. Na domiar złego jego skóra stała się grubą, szorstką skorupą z kraterami, guzami i brodawkami, jakby był pokryty wysuszonym na słońcu kartonem. Choć początkowo Wellsowi trudno było uwierzyć w istnienie takiego tworu natury, sprawdził prawdziwość tych pogłosek na fotografiach, które potajemnie krążyły po salach, skradzionych albo kupionych od personelu Szpitala Londyńskiego, gdzie obecnie przebywał Merrick, po tym jak pół życia spędził jako dziwadło wystawiane w nędznych cyrkach i budach jarmarcznych. Zdjęcia te – niewyraźne i pokryte ciemnymi plamami, tak że Merrick bardziej był na nich zamazany niż widoczny – przechodziły z rąk do rąk wraz z szeregiem fotografii roznegliżowanych kobiet i choć z innych powodów, wywoływały podobny dreszcz.

Fakt, że taka istota zaprosiła go na herbatę, zrobił na Wellsie dziwne wrażenie – zdumienie mieszało się w nim z niepokojem. Mimo to przybył punktualnie do Szpitala Londyńskiego, solidnego, skromnego budynku stojącego w Whitechapel. W korytarzu kłębił się rój pielęgniarek i lekarzy, którzy wchodzili i wychodzili, zajęci nie wiadomo czym. Wells poszukał sobie kąta, gdzie zbytnio nie zawadzał, oszołomiony tą harmonijną pilnością, której wszyscy zdawali się posłuszni, poruszając się niczym w balecie. Być może któraś z obładowanych bandażami pielęgniarek przesuwał się przed jego oczyma wraca z jakiejś sali operacyjnej, gdzie ktoś walczy ze śmiercią, ale nie z tego powodu idzie śpiesznym, długim krokiem, lecz raczej dlatego, że stosuje się do rytmu, który się rozwinął, aby można było sobie radzić z ekstremalnymi sytuacjami. Wells ze swej ustronnej pozycji przez dłuższą chwilę z zadziwieniem przyglądał się krążącemu tłumowi, kiedy pojawił się doktor Treves, chirurg, pod którego opieką pozostawał Merrick. Frederick Treves był mężczyzną około trzydziesto-pięcioletnim, niskim i popędliwym. Swoje dziecięce rysy twarzy ukrywał pod gęstym zarostem, strzyżonym z botaniczną skrupulatnością.

– Pan Wells? – zapytał, starając się ukryć wyraźne zmieszanie wywołane rażąco młodym wiekiem przybysza.

Wells skinął głową, nie mogąc się powstrzymać od wzruszenia ramion, którym przeproszał za to, że nie może się poszczycić czcigodną starością, jakiej najwyraźniej Treves wymagał od gościa swojego pacjenta. Natychmiast pożałował tego nedorzecznego gestu, jako że to nie on zabiegał o audiencję u znakomitego rezydenta szpitala, tylko odwrotnie.

– Jestem wdzięczny, że przyjął pan zaproszenie pana Merricka – powiedział Treves, podając mu rękę.

Otrząsnąwszy się z pierwszego oszołomienia, chirurg szybko z powrotem przyjął rolę pośrednika. Wells z ogromnym szacunkiem uściśnął tę energiczną, zręczną dłoń, nawykłą do przebywania w miejscach, do których większość śmiertelników nie miała dostępu.

– Jak mógłbym odmówić i nie poznać jedynej osoby, która przeczytała moje opowiadanie? – zażartował młodzieniec.

Treves w roztargnieniu kiwnął głową, jakby niewiele go obchodziła próżność pisarzy i żarty na ich temat. Miał większe zmartwienia. Na świecie codziennie pojawiały się nowe wymyślne choroby, które wymagały jego uwagi, nadzwyczajnej zręczności rąk oraz energii i determinacji na sali operacyjnej. Niemal żołnierskim ruchem głowy zachęcił gościa, by podążył za nim po schodach prowadzących na wyższą kondygnację szpitala. Wspinaczka okazała się mozolna z powodu pędzącego w przeciwną stronę strumienia pielęgniarek. Wells kilka razy obawiał się nawet, że zostanie przez niego porwany.

– Nie każdy zgodziłby się odwiedzić Josepha, z oczywistych powodów – niemal wykrzyknął Treves. – I choć wydaje się to dziwne, jego ta nieufność świata nie zasmuca. Czasami myślę, że Josephowi w zupełności wystarcza ta odrobina, którą może dostać od życia. W głębi duszy wie, że jego wyjątkowe deformacje pozwalają mu umówić się na spotkanie z dowolną osobistością tego miasta, coś nie do pomyślenia w przypadku zwykłego prostaczka z Leicester.

Wells z niejakim strachem przyjął refleksję Trevesa, ale powstrzymał się od komentarzy na ten temat, ponieważ natychmiast zrozumiał, że lekarz ma rację. Wygląd Merricka skazywał go na życie w ostracyzmie i nędzy, jednak to właśnie owe okaleczenia pozwalały mu teraz ocierać się o londyńską śmietankę towarzyską, choć należałoby sprawdzić, czyjemu samemu cena dokazywania z arystokracją nie wydaje się zbyt wysoka.

Na piętrze panował taki sam ruch jak na parterze. Treves kilka razy skręcił w ciemnych korytarzach i wyprowadził swego towarzysza ze zgiełkowej strefy. Idąc stanowczym krokiem, wiódł Wellsa kolejnymi niekończącymi się, coraz bardziej odludnymi przejściami. Było oczywiste, że korytarze stopniowo się wyludniają, ponieważ w miarę zagłębiania się w coraz dalsze zakamarki szpitala mijali coraz bardziej wyspecjalizowane sale i gabinety, do których zarówno pacjenci, jak i pielęgniarki mają ograniczony dostęp. Wells nie mógł się jednak oprzeć i gaśnięcie ruchu na korytarzach porównywał z niepokojącym spustoszeniem, jakie otaczało kryjówki potworów w baśniach. Brakowało tylko martwych ptaków na podłodze i ogryzionych kości.

Treves skorzystał z okazji, by poinformować gościa, w jaki sposób poznał tego niezwykłego pacjenta. Opowiadał monotonnym tonem, wolnym od emocji, co zdradzało znużenie wywołane tym, że powtarzał ten wywód zapewne nieraz. Natknął się na Merricka cztery lata temu, wkrótce po tym, jak został głównym chirurgiem tego szpitala. Na pobliskim polu rozbił namioty cyrk. Jego najważniejszą atrakcją był Człowiek Słoń, przedmiot plotek całego Londynu – jeśli im wierzyć, pokazywano tam najbardziej zniekształconego człowieka świata. Treves wiedział, że właściciele tego cyrku niegdyś lubowali się w fabrykowaniu domowej roboty potworów za pomocą makijażu i doklejanych części ciała, które w półmroku trudno było odróżnić od prawdziwych, przyznawał też jednak z goryczą, że tego rodzaju budy bywały ostatnim schronieniem, jakie pozostawało ludziom mającym nieszczęście urodzić się z deformacjami sprowadzającymi na nich pogardę społeczeństwa. Chirurg udał się na przedstawienie bez nadmiernych oczekiwań, wyłącznie pod wpływem zawodowej ciekawości. Człowiek Słoń, jak się okazało, nie miał żadnej trąby. Po cokolwiek przykrym występie pary trapezistów światła przygasły i bębny zagrały rytm naśladujący muzykę dzikich plemion, a ten wstęp pomimo przesadnego dramatyzmu zdołał wywołać u publiczności wspólny dreszcz. Wówczas Treves ze zdumieniem – jakby udzielił mu się duch sensacji przedstawienia – odkrył, że plotki, które zasłyszał

wcześniej, mówiły wręcz za mało. Deformacje szpecące istotę, która kulejąc, wyszła na biały piasek areny, były tak okropne, że przekształciły jej ciało w coś dziwnego, asymetrycznego, przez co przypominała gargulca. Po zakończeniu przedstawienia lekarz przekonał właściciela cyrku, by mu pozwolił spotkać się na osobności z tym człowiekiem. Wchodząc do skromnego wozu cyrkowego, chirurg sądził, że ma do czynienia z osobą zapóźnioną w rozwoju umysłowym; uważał, że guzowatości czaszki nieuniknioną koleją rzeczy musiały uszkodzić mózg, ale się mylił. Wystarczyło zamienić kilka słów z Merrickiem, aby zdać sobie sprawę z tego, że pod przerażającą powierzchownością kryje się kulturalna, wykształcona i wrażliwa osoba. Jego rozmówca wyjaśnił mu, że przezwano go Człowiekiem Słoniem z powodu mięsistego wyrostka wystającego z nosa i górnej wargi, a tworzącego niewielką, dwudziestocentymetrowej długości trąbę, która uniemożliwiała mu przyjmowanie pokarmów i którą kilka lat temu usunięto mu w niewłaściwy sposób. Trevesa dogłębnie poruszyła łagodność istoty, która mimo cierpień i upokorzeń, jakie musiała znosić, najwyraźniej nie żywiła żadnej urazy do ludzkości, tej ludzkości bez twarzy, do której on sam jakby odruchowo tak łatwo odczuwał nienawiść za każdym razem, gdy nie złapał dorożki albo nie dostał miejsca w łożu teatralnej.

Kiedy godzinę później chirurg opuszczał cyrk, był gotów zrobić wszystko, co w jego mocy, aby wydostać Merricka z tamtego miejsca i zaproponować mu godną egzystencję. Jego rozumowanie było oczywiste: w rejestrach żadnego innego szpitala na świecie nie widniała najmniejsza wzmianka o istocie dotkniętej tak poważnymi deformacjami jak ten człowiek. Bez względu na to, jak dziwna była ta choroba, wybrała go sobie spośród wszystkich mieszkańców planety i zagnieździła się w jego ciele. Przemieniła go w nieszczęśliwy, wyjątkowy byt, niespotykany okaz motyla, który należało chronić przed światem pod szkłem. Było oczywiste, że Merrick musi jak najszybciej opuścić cyrk, gdzie się wyniszczał, i oddać się w ręce nauki. Treves nie podejrzewał jednak, że aby osiągnąć rozgłos, na którym to celu skoncentrował się w swoim przyпыwie litości, musi podjąć mozolną krucjatę, a ona go wyczerpie. Zaczął od przedstawienia Merricka w Towarzystwie Patologów, lecz nie na wiele się to zdało – poszczególne członki pacjenta poddano różnorodnym badaniom i skończyło się to tym, że lekarz został wplątany w tyleż gorące, co bezpłodne dyskusje na temat natury tej tajemniczej choroby, debaty przechodzące w wymianę inwektyw, ponieważ zawsze znalazł się ktoś, kto korzystał z okazji, aby odkurzyć stare animozje. Jednak brak zgody wśród kolegów wcale nie zniechęcił Trevesa, a gdy dogłębniej zastanowił się nad życiem Merricka, ocalenie go z niepewnego świata widowisk stało się dla niego jeszcze pilniejsze. Kolejnym krokiem chirurga było staranie o umieszczenie młodzieńca w szpitalu, w którym sam pracował, gdzie mógłby go badać w wygodnych warunkach. Niestety, żaden szpital nie udzielał zakwaterowania przewlekle chorym. Dyrekcja ośrodka przyklasnęła propozycji chirurga, ale miała związane ręce. Sam Merrick, wobec patowej sytuacji, zasugerował nawet, że podjąłby się pracy latarnika albo jakiegokolwiek innej, którą mógłby wykonywać z daleka od świata. Treves jednak nie dawał za wygraną. Zdesperowany zwrócił się do prasy i w ciągu kilku tygodni udało mu się sprawić, że smutny los nieszczęśnika zwanego Człowiekiem Słoniem poruszył cały kraj. Napłynęły datki, ale Treves chciał nie tylko pieniędzy: potrzebował porządnego domu dla swego pacjenta. Postanowił wówczas włączyć w swe plany rodzinę królewską, jedyne osoby znajdujące się ponad absurdalnymi prawami ograniczającymi społeczeństwo, i osiągnął sporo: księżę Cambridge oraz księżna Walii zgodzili się poznać dziwną istotę. Reszty dokonały znakomita kultura osobista, obycie i niesłychana łagodność Merricka. Oto jak Człowiek Słoń został umieszczony w charakterze stałego gościa w skrzydle szpitalnym, w które się właśnie zagłębiali.

– Tu Joseph jest szczęśliwy – oznajmił Treves niespodziewanie rozmarzonym tonem. – Badania, które od czasu do czasu przeprowadzamy, przynoszą owoce, ale wydaje się, że dla niego to nic nie znaczy. Joseph jest przekonany, że tę chorobę spowodował słoń, który potrafił jego matkę, gdy była

w ciąży i przyglądała się paradzie. Najsmutniejsze w tym wszystkim, panie Wells, jest to, że toczymy pyrrusową wojnę. Zapewniłem Merrickowi mieszkanie, lecz nie wiem, jak powstrzymać postępy choroby. Jego czaszka rośnie z dnia na dzień i obawiam się, że wkrótce szyja nie będzie w stanie utrzymać niewiarygodnego ciężaru głowy.

Chłód, z jakim lekarz przewidywał śmierć pacjenta, w połączeniu z posępnym opuszczeniem, w jakim zdawało się pogrążone to skrzydło szpitala, wtrąciły Wellsa w stan ogromnego przygnębienia.

– Chciałbym, by swoje ostatnie dni spędził w możliwie jak największym spokoju – ciągnął dalej chirurg, nie zważając na bladość, która zaczęła dominować na twarzy jego towarzysza. – Ale wygląda na to, że proszę o zbyt wiele. Czasami w nocy sąsiedzi z okolicy gromadzą się pod jego oknem, by go obrażać lub naigrawać się z niego. Uważają go nawet za winnego tych wszystkich morderstw popełnionych na dziwkach w dzielnicy. Czy ten świat zupełnie postradał rozsądek? Merrick nie byłby zdolny nawet do zabicia muchy. I jak panu mówiłem, jest niewiarygodnie wrażliwy. Czy pan wie, że pochłania powieści Jane Austen? A pewnego dnia zaskoczyłem go, gdy pisał wiersze. Tak jak pan, panie Wells.

– Ja piszę opowiadania, nie wiersze – mruknął Wells bez szczególnego przekonania, jakby narażający w nim niepokój kazał mu wątpić we wszystko.

Treves rzucił mu wrogie spojrzenie, rozdrażniony tym, że jego rozmówca pragnie czynić rozróżnienia w materii tak niezmiernie błahej jak literatura.

– Dlatego toleruję te wizyty – rzekł, potrząsnawszy głową jak ktoś, kto wyraża współczucie, po czym podjął swoją wypowiedź w punkcie, w którym ją przerwał – bo działają na niego bardzo korzystnie. Przypuszczam, że ludzie przychodzą go zobaczyć, ponieważ przy jego wyglądzie nawet najwięksi nieszczęśnicy rozumieją, że mają za co dziękować Bogu. Joseph natomiast podchodzi do tej sprawy w inny sposób. Czasem odnoszę wrażenie, że dla niego te odwiedziny stanowią ponurą rozrywkę. Co sobotę po dokładnym przejrzeniu tygodniowej prasy przekazuje mi listę osób, które pragnie zaprosić na herbatę, a ja posłusznie wysyłam im jego karty wizytowe. Zazwyczaj są to arystokraci, zamożni przedsiębiorcy, postacie publiczne, malarze, aktorzy i inni mniej lub bardziej znani artyści... Tak czy inaczej, osobistości, które osiągnęły jakiś społeczny sukces i które według niego mają jeszcze do przejścia ostatni sprawdzian: skonfrontować się z jego wyglądem. Jak już panu wyjaśniłem, Joseph jest tak strasznie zdeformowany, że w tych, którzy na niego patrzą, często wzbudza dwie sprzeczne emocje: współczucie i żal oraz odrazę. Przypuszczam, że reakcja zaproszonych gości ostrzega Josepha, z jakiego rodzaju ludźmi ma do czynienia, czy mają dobre serce, czy przeciwnie: są obciążeni lękami i kompleksami.

Wreszcie zatrzymali się przed drzwiami na końcu korytarza.

– To tu – oznajmił Treves i na chwilę pogrążył się w wyrażającej szacunek ciszy. Potem poszukał wzroku Wellsa i dodał na poły podniosłym, na poły groźnym tonem: – Za tymi drzwiami kryje się najokropniejsza istota, jaką pan przypuszczalnie kiedykolwiek zobaczy. Ale to od pana zależy, czy uznają pan za potwora, czy za nieszczęśnika.

Wells poczuł lekki zawrót głowy.

– Jeszcze może się pan wycofać, być może nie spodoba się panu to, co odkryje pan w sobie.

– Proszę się o mnie nie martwić – bąknął pisarz.

– Jak pan sobie życzy – odrzekł Treves obojętnym tonem kogoś, kto umywa ręce.

Wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i gładkim, choć autorytarnym gestem pchnął drzwi, aby wpuścić gościa do środka.

Wells wkroczył do pokoju, wstrzymując oddech. Zaledwie zdążył zrobić kilka kroków, kiedy usłyszał, że chirurg zamknął za nim drzwi. Przełknawszy ślinę, przyjrzał się miejscu, w które lekarz wla-

ściwie go wrzucił, kiedy zakończył swoją rolę przewodnika w tej kłopotliwej sytuacji. Pisarz znalazł się w obszernym mieszkaniu złożonym z kilku połączonych pokoi, umeblowanych normalnymi sprzętami. Zwykłe meble wraz z wpadającym przez okno łagodnym popołudniowym światłem składały się na prozaiczny obraz i stwarzały nieoczekiwanie przytulne wrażenie, nie za bardzo pasujące do wyobrażenia, że to schronienie potwora. Wells przez jakiś czas nie ruszał się z miejsca, ufając, że gospodarz pojawi się w każdej chwili, lecz ponieważ to nie nastąpiło, zaczął nieśmiało spacerować po pokojach. Wówczas naszło go nieprzyjemne wrażenie, że Merrick podgląda go ukryty za jakimś parawanem. Mimo to nie przerwał wędrówki, wyczuwając, że to kolejny etap rytuału. Przyglądając się wyposażeniu pomieszczeń, mimo woli próbował zgłębić wyjątkowość zamieszkującej je istoty. Nigdzie nie wisały oskórowane szczury ani też części zbroi walecznych rycerzy. W jednym z pokoi natknął się na stolik z dwoma krzesłami przygotowany do herbaty. Ten niewinny obrazek speszył go jeszcze bardziej, ponieważ mimowolnie porównał go w myślach z szafotem, który ze słupami chwiejącymi się złowieszczo w wiosennym wietrze czeka na placu na przybycie skazańca. Następnie na stoliku ustawionym pod ścianą, bliżej jednego z okien, zauważył ciekawy przedmiot. Była to tekturowa makietka kościoła. Wells podszedł do niej i z podziwem zaczął się przyglądać efektowi znakomitej pracy. Zafascynowany kunsztownymi detalami nie od razu spostrzegł, że na ścianę padł pokrzywiony cień niespójnie zbudowanego ciała, wygiętego w prawo i zwieńczonego olbrzymią czaszką.

– To kościół stojący po drugiej stronie ulicy. Musiałem wymyślić części, których nie widzę stąd, z okna. – Głos brzmiał przeciągle, wręcz zawiesiście.

– Piękny – wykrztusił szeptem Wells, zwracając się do niekształtnej sylwetki, której zarys światło rzucało na ścianę.

Cień z wysiłkiem pokręcił ciężką głową, bezwiednie pokazując, z jaką trudnością Merrick wykonuje nawet prosty gest wyrażający skromność, którym negował wartość własnego dzieła. Po tym wyczerpującym ruchu zamilkł, wspierając się na lasce, i Wells zrozumiał, że już dłużej nie może stać odwrócony tyłem do gospodarza. Przyszedł moment, by się obrócić i spojrzeć mu w twarz. Treves uprzedził go, że Merrick przywiązuje szczególną wagę do pierwszej reakcji swych gości, reakcji niemal odruchowej, mimowolnej i z tego powodu uważanej przez Josepha za bardziej autentyczną i wiarygodną niż wyraz twarzy, jaki gość pośpiesznie przybierał w drugiej kolejności, kiedy się już otrząsnął z zaskoczenia. W ciągu tych kilku sekund Merrick miał rzadki przywilej wejrzeć w dusze zaproszonych osób i nieważne było dla niego to, kogo udawały później podczas rozmowy, skoro po ich pierwszej reakcji zostały potępione lub odkupione w jego oczach. Wells nie mógł przewidzieć, jak zareaguje na wygląd Merricka, czy ogarnie go smutek, czy wstręt, i bojąc się, że raczej to drugie, zacisnął szczękę z całą siłą, na jaką było go stać, napinając mięśnie twarzy na tyle, żeby nie wyrażała żadnej emocji. Nie chciał zostać oskarżony nawet o zaskoczenie, pragnął tylko zyskać nieco czasu, aby jego umysł zdążył przetrwać to, co zobaczył, i mógł racjonalnie określić uczucie, które w jego osobie budzi tak straszliwie zdeformowana istota, jaką wydaje się Merrick. Jeśli ostatecznie poczuje obrzydzenie, przyjmie je bez szemrania i zastanowi się nad nim później, gdy już stąd wyjdzie. Wells odetchnął zatem głęboko, opierając stopy na grząskim gruncie, w który przekształciła się podłoga, i wolno się odwrócił, aby spojrzeć wprost na swojego gospodarza.

Widok zaparł mu dech w piersi. Tak jak ostrzegwał go Treves, zniekształcenia, jakie dotknęły Merricka, nadały mu przerażający wygląd. Fotografie, które pisarz widział wcześniej na uczelni, a które tłumiły nieco okropność jego wyglądu litościwym płaszczem mgły, nie przygotowały go na coś takiego. Człowiek Słoń wspierał się na lasce i miał na sobie ciemnoszary garnitur, jednak paradoksalnie ubranie to, choć miało nadawać mu człowieczeństwo, czyniło go jeszcze bardziej potwornym. Wells, wciąż z mocno zaciśniętymi zębami, stał przed nim sztywny, walcząc z drżeniem, które już, już miało

wstrząsnąć jego ciałem. Serce groziło, że mu przebije pierś i wyskoczy, po plecach popłynęła strużka lodowatego potu, nie zdołał jednak stwierdzić, czy są to przejawy przerażenia, czy współczucia. Mimo wymuszonego napięcia twarzy poczuł, że usta mu drżą, być może w próbie opanowania grymasu strachu, lecz jednocześnie zauważył, że oczy mu zwilgotniały, chociaż nie wiedział, z jakiego powodu. Wzajemne badanie się wzrokiem trwało wieczność. Wells przez ten czas pragnął móc uronić łzę, kroplę, która zebrałaby w sobie jego ból, a Merrickowi i jemu samemu pokazałaby, jaką ma wrażliwą i współczującą duszę, ale wilgoć gromadząca się w jego oczach nie wezbrała na tyle, by się przelać.

– Wolałby pan, żebym założył kaptur, panie Wells? – zapytał delikatnie Merrick.

Jego szczególnie głośny, nadający słowom płynną konsystencję, jakby przelewały się błotnistym strumieniem, znów zaskoczył pisarza. Czy minął już czas, jaki Merrick daje swym gościom na pierwszą reakcję?

– Nie... to nie będzie konieczne – mruknął w odpowiedzi.

Jego gospodarz ponownie z mozołem pokręcił ogromną głową, co Wells bardzo chciał uznać za aprobatę.

– Napijmy się więc herbaty, zanim wystygnie – rzekł Jopseph, kierując się w stronę stołu, który czekał przygotowany pośrodku pokoju.

Wells nie od razu podążył za nim, zdziwiony sposobem, w jaki Merrick zmuszony był się poruszać. Patrząc, jak skomplikowane manewry wykonuje, by usiąść, pisarz uświadomił sobie, że dla tego człowieka wszystko stanowi wysiłek. Sam siłą woli stłumił w sobie impuls, by podbiec i mu pomóc, z obawy że Merrick mógłby być niezadowolony z gestu, jaki zwyczajowo okazuje się kalekom i starcom. Ufając, że postępuje właściwie, Wells ograniczył się do zajęcia miejsca naprzeciw gospodarza, i to w możliwie jak najbardziej naturalny sposób. Zmusił się też, aby zachować spokój, gdy ten nalewał herbatę. Wywiązując się ze swej roli, Merrick starał się wykonywać większość czynności lewą ręką, która nie była wstydliwie dotknięta chorobą, ale nie wykluczał prawej – miał dla niej zarezerwowane pomniejsze zadania w trakcie ceremonii. Pisarz zauważył, że ręka ta, wielka i szorstka jak gład, jest w stanie zdjąć pokrywkę z cukierniczki oraz podać gościowi talerz z ciastkami; nie mógł się też w duchu nachwalić niezwyklej zręczności, jaką zdołał osiągnąć Merrick.

– Cieszę się, że pan przyszedł, panie Wells – powiedział, gdy się uporał z męczącym wyzwaniem, jakim było podanie herbaty bez rozlania przy tym ani kropli.

– To bardzo miło z pana strony, panie Merrick – odparł Wells.

Po opublikowaniu swojego opowiadania, zaintrygowany jego słabym oddźwiękiem, pisarz przeczytał je ponownie kilkanaście razy, próbując znaleźć powody jednomyślnego braku zainteresowania ze strony czytelników. Przepelniony duchem uczciwego krytycyzmu, rozważył spójność akcji, ocenił dramatyzm i zanalizował pozycję, sposób użycia, a nawet liczbę słów w swoim dziele, by sprawdzić, czy przypadkiem nie była kabalistyczna albo związana z przesądem, aż w końcu posłał swojemu pierwszemu i niewykluczone, że też ostatniemu utworowi z gatunku fikcji niewzruszone, a nawet wzgardliwe spojrzenie, jakim ktoś wszechwładny skwitowałby irytujące uprzejmości jakiegoś kapucyńskiego mnicha. Opowiadanie było – teraz to widział jasno – nędzną wypluwką: stylem bezczelnie naśladowało pseudogermański sposób pisania Nathaniela Hawthorne’a, a główny bohater, doktor Nebogipfel, okazał się tanią, przejaskrawioną imitacją i tak wystarczająco przesadnie zarysowanych postaci szalonych naukowców zaludniających powieści gotyckie. Podziękował jednak Merrickowi za jego pochlebne słowa fałszywie skromnym uśmiechem, bojąc się, że będą to jedyne pochwały jego pisarstwa, na jakie zasłuży do końca życia.

– Wehikuł czasu... – rzekł Merrick, delektując się tymi dwoma słowami, które uważał za tak in-

spirujące. – Ma pan niesamowitą wyobraźnię, panie Wells.

Wells podziękował również za ten nowy komplement, teraz już nieco poirytowany. Ile jeszcze pochwał zdoła znieść, zanim go poprosi o porzucenie tego tematu?

– Gdybym ja miał taką maszynę jak doktor Nebogipfel – ciągnął marzycielsko Merrick – udałbym się w podróż do starożytnego Egiptu.

Dla pisarza zabrzmiało to ujmująco. Ten człowiek, jak każdy inny, miał swoją ulubioną epokę historyczną i zapewne także ulubiony owoc, porę roku czy piosenkę.

– Dlaczego? – zapytał z uprzejmym uśmiechem, umożliwiając Merrickowi porozmawianie o jego upodobaniach.

– Ponieważ Egipcjanie czcili bogów o zwierzęcych głowach – odparł Merrick bez najmniejszego zawstydzenia.

Wells zapatrzył się w niego niemądrze. Nie wiedział, co go bardziej zaskoczyło: czy zawarte w odpowiedzi Merricka prostoduszne pragnienie, czy towarzyszące jej powściągliwe wzruszenie ramion, jak gdyby Człowiek Słoń sam siebie potępiał za takie marzenie, że wolałby raczej być obiektem boskiej czci niż pogardzanym potworem, którym jest we własnej rzeczywistości. „Jeżeli ktoś ma prawo żywić do świata nienawiść i urazę – pomyślał Wells – to właśnie on”. A jednak Merrick uważał swoje niezadowolenie za złe, jakby w promieniu światła wpadającego przez okno i grzejącego go w plecy albo we flocie chmur sunących po niebie powinien znajdować wystarczające powody do szczęścia. Nie wiedząc, co powiedzieć, Wells wziął z talerza ciastko i gryzł je w takim nadmiernym skupieniu, jakby sprawdzał działanie swych zębów.

– Czemu uważa pan, że doktor Nebogipfel nie wykorzystał wehikułu również do podróży w przyszłość? – zapytał wówczas Merrick tym swoim lepkiem głosem, jakby posmarowanym serem. – Nie jest pan ciekaw? Ja czasami się zastanawiam, jaki będzie świat za sto lat.

– Taak... – mruknął Wells, nie wiedząc również, jak odpowiedzieć na to pytanie.

Merrick należał do tego rodzaju czytelników, którym z niesamowitą łatwością przychodzi zapomnienie, że jakaś ręka pociąga za sznurki kukiełek tańczących w teatrzykach zwanych powieściami. On, Wells, w dzieciństwie też był takim czytelnikiem. Jednak pewnego dnia postanowił zostać pisarzem i od tego momentu okazało się dlań niemożliwe zanurzanie się w książkowych historiach z taką niewinną nieświadomością – zrozumiał już, że ci aktorzy czy raczej wyobrażenia osób nie rządzą same sobą. Wszystkie ich działania i myśli w rzeczywistości podyktowane są wolą nadrzędnego bytu, kogoś, kto samotnie, w zaciszu pokoju manipuluje figurami, a sam kryje się za zasłoną, na ogół zniechęcony, bardzo źle nastawiony do świata, przepełniony zupełnie odmiennymi emocjami niż te, które zamierza wywołać u czytelników. Powieści nie są fragmentami życia, lecz lepiej lub gorzej wyregulowanymi urządzeniami mającymi za zadanie odtworzenie fragmentów życia, ale życia nierealnego, udoskonalonego, w którym okresy przestoju i beczynni aktorzy tworzący wszelką rzeczywistość egzystencję zostali zastąpieni emocjonującymi, ważnymi epizodami. Czasami Wells tęsknił za tym beztrojskim dziecięcym sposobem czytania, ale po tym, jak zajrzał za kulisy, już tego nie potrafił. Gdy się napisze swą pierwszą opowieść, nie ma odwrotu. Człowiek przemienia się w oszusta i nieuniknioną kolejną rzeczą okazuje nieufność pozostałym oszustom. Przez chwilę Wells myślał, by odpowiedzieć Merrickowi, że takie pytanie powinien zadać samemu Nebogipfelowi, lecz w końcu zarzucił ten pomysł: nie mógł być pewien, że jego gospodarz przyjmie takie słowa jako sympatyczny żart, jakim miały być w zamierzeniu. A jeśli to naiwność uniemożliwia Josephowi odróżnianie rzeczywistości od fikcji literackiej? Jeżeli to smutna niezdolność, a nie empatia pozwala mu tak intensywnie odczuwać czytane historie? W takim przypadku żartobliwa odpowiedź okazałaby się okrutną i krzywdzącą kpina wymierzoną w jego naiwność. Na szczęście Merrick zaraz mu zadał kolejne, łatwiejsze pyta-

nie:

– Wierzy pan, że pewnego dnia ktoś wynajdzie urządzenie pozwalające na podróże w czasie?

– Wątpię, czy coś takiego w ogóle jest możliwe – odrzekł Wells prosto z mostu.

– Ale pan o tym pisał, panie Wells! – przeraził się jego gospodarz.

– Właśnie dlatego, panie Merrick – odparł, szukając najprostszego sposobu na streszczenie licznych refleksji, na których opierała się jego koncepcja literatury. – Zapewniam pana, że gdyby wynalezienie wehikułu czasu było możliwe, nigdy bym o nim nie napisał. Interesuje mnie pisanie wyłącznie o sprawach, które nie mogą zaistnieć.

Powiedziawszy to, zacytował słowa Lukiana z Samosat wypowiedziane w jego *Historii prawdziwej*: „Piszę o tym, czego ani nie widziałem, ani nie sprawdziłem, ani nie dowiedziałem się od innych; co więcej, piszę o tym, co nie istnieje ani nie ma podstaw do istnienia”

– zdanie, którego mimowolnie nauczył się na pamięć, ponieważ idealnie podsumowywało jego ideę literatury. Owszem, tak jak powiedział swemu gospodarzowi, interesowało go pisanie wyłącznie o rzeczach niemogących się zdarzyć w rzeczywistości. Chciał dodać, że od innych tematów był już Dickens, ale zatrzymał to spostrzeżenie dla siebie. Treves mówił mu, że Merrick jest zapamiętany czytelnikiem. Nie chciał go obrazić, w razie gdyby Dickens należał do jego ulubionych autorów.

– Żałuję wobec tego, że z mojej winy nie może pan napisać o pół człowieka, pół słoniu – mruknął Merrick.

Ta uwaga gospodarza znów rozbroiła gościa. Merrick wypowiedział ją i skierował spojrzenie na okno. Wells nie wiedział, czy tym gestem chciał okazać smutek, czy zachęcić gościa, by go sobie swobodnie obejrzał. Tak czy inaczej nieświadomie utkwiał w nim wzrok bez żadnej oględności, prawie z fascynacją, by stwierdzić to, co i tak aż za dobrze wiedział: że Merrick ma rację – gdyby go nie miał przed sobą, nigdy by nie pomyślał, że taka postać może istnieć.

Może jedynie w fałszywej rzeczywistości opisywanej w powieściach.

– Będzie pan wielkim pisarzem, panie Wells – przepowiedział gospodarz, nie odrywając wzroku od okna.

– Chciałbym, ale w to nie wierzę – odparł Wells. Po fatalnej pierwszej próbie zaczynał poważnie wątpić w swoje możliwości.

Merrick znowu na niego spojrzał.

– Niech pan popatrzy na moje ręce – rzekł, pokazując je gościowi.

– Uwierzyłby pan, że są w stanie zbudować kościół z tektury?

Wells wyrozumiale przyjrzał się dwóm odmiennym dłoniom swego gospodarza. Prawa była ogromna i groteskowa, podczas gdy lewa zdawała się należeć do dziesięcioletniej dziewczynki.

– Przypuszczam, że nie – przyznał.

Merrick ociężale skinął głową na znak zgody.

– Liczy się nasza wola, panie Wells – rzekł, wysilając się, by nadać swemu gasnącemu głosowi stanowczy ton. – Tylko nasza wola.

To mogłoby wyjść z ust każdego innego człowieka, ale wypowiedziane przez tego, którego Wells miał przed sobą, stawało się bezsporną prawdą. Ta istota była nieodpartym dowodem na to, że wola człowieka może przenosić góry i otwierać na oścież morza. W tym skrzydle szpitalnym, w tej ostoi chroniącej przed światem, bardziej niż gdzie indziej od woli zależało to, czy coś jest możliwe, czy niewykonalne. Skoro Merrick swymi zdeformowanymi rękami zbudował ten tekturowy kościół, to do czego byłby zdolny on, któremu na przeszkodzie stoi wyłącznie brak wiary w siebie?

Nie miał wyboru, musiał przyznać Merrickowi rację, co najwyraźniej go usatysfakcjonowało, sądząc po tym, jak się poruszył na krześle. Następnie gospodarz zwierzył mu się z nieśmiałością, która

jego głosowi jeszcze bardziej przydała brzmienie jak u konającego dziecka, że tekturowy kościół jest prezentem dla pewnej aktorki teatralnej, z którą koresponduje od kilku miesięcy. Mówił o niej „pani Kendall” i z tego, co wywnioskował Wells, była to jedna z jego głównych wspomożycielek. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak dobrze sytuowana kobieta, wrażliwa na niedole tego świata pod warunkiem, że miały miejsce z dala od jej domu, zetknąwszy się z nieszczęściem tak zwanego Człowieka Słonia, uznała wspieranie go za bardziej oryginalny sposób wykorzystania pieniędzy niż zwyczajne kierowanie ich na cele dobroczynne. Gdy Merrick wyjaśnił swojemu gościowi, że wypatruje jej powrotu ze Stanów Zjednoczonych, dokąd wyjechała na zagraniczne tournée, Wells uśmiechnął się mimowolnie, poruszony miłosną nutą, która – świadomie czy też nie – wkradła się w jego słowa. Zarazem jednak poczuł ogromny żal i zapragnął, aby praca zatrzymała panią Kendall w Ameryce na dłużej, tak by Merrick nadal mógł żywić nadzieję wywołaną listami i nie musiał zbyt szybko odkrywać, że niemożliwe amory są możliwe jedynie w powieściach.

Kiedy skończyli herbatę, Merrick zaproponował Wellsowi cygaro, które ten przyjął z chęcią. Wstali i podeszli do okna, by patrzeć na zapadający zmierzch. Przez dłuższą chwilę obaj spoglądali na ulicę i wznoszący się po przeciwnej stronie kościół, którego fasadę Merrick zapewne znał na pamięć. Ludzie przychodzili i odchodzili, uliczny sprzedawca głośno zachwalał swój towar, a powozy podskakiwały na nierównościach brukowanej jezdni, usianej cuchnącym spadkiem po setkach koni, które ją codziennie przemierzały. Wells zauważył, że Merrick obserwuje tę niekontrolowaną erupcję życia z jakimś nabożnym strachem. Zdawał się coś rozważać.

– Wie pan, panie Wells? – odezwał się w końcu. – Czasami nie mogę się oprzeć i patrzę na życie jak na coś, w czym sam nie mam żadnego udziału. Żeby pan wiedział, jak zazdroścę tym wszystkim ludziom...

– Zapewniam, że nie zasługują na pańską zazdrość, panie Merrick – pośpiesznie wtrącił Wells. – Osoby, które pan widzi, są ledwie drobinami pyłu. Gdy umrą, nikt nie będzie pamiętał ani o nich, ani o ich czynach. Pan natomiast przejdzie do historii.

Merrick przez chwilę najwidoczniej rozmyślał nad tymi słowami, przyglądając się swemu zniekształconemu odbiciu, które spoglądało na niego z szyby okiennej niczym gorzkie przypomnienie jego sytuacji.

– Sądzi pan, że mnie to pociesza? – zapytał z melancholijnym smutkiem.

– Powinno – odparł Wells. – Ponieważ czasy starożytnych Egipcjan już minęły, panie Merrick.

Gospodarz nie odpowiedział. Wciąż patrzył na ulicę, a Wells nic nie potrafił wywnioskować z twarzy, na której choroba na zawsze skryztałizowała potworny grymas, nie wiedział więc, jaki efekt wywołały jego słowa, być może nieprzyjemny, ale niekoniecznie. Nie mógł przyklasnąć, gdy Merrick rozkoszował się swoją tragedią. Był przekonany, że jedyna pociecha, jaką ten człowiek mógł mieć, pochodziła z jego własnych deformacji, które przesuwały go na margines, a zarazem czyniły tak wyjątkowym, że zapewniały mu miejsce w historii.

– Być może ma pan rację, panie Wells – rzeki w końcu gospodarz, nie odrywając wzroku od swego zniekształconego odbicia. – Może najlepiej byłoby pogodzić się ze swym losem i nie oczekiwać wielkich rzeczy od takiego świata jak nasz, w którym ludzie boją się tego, co inne. Czasami myślę, że gdyby jakiemuś pastorowi ukazał się anioł, ten nie wahałby się go zastrzelić.

– Zapewne tak – odrzekł Wells, czując, jak jego pisarska intuicja ekscytuje opisany obraz. I jako że gospodarz wciąż był pochłonięty własnym odbiciem, postanowił się pożegnać: – Bardzo dziękuję za herbatę, panie Merrick.

– Niech pan zaczeka. – Merrick ocknął się z zadumy. – Chciałbym panu coś dać.

Podszedł do niewielkiej szafy i przez kilka minut w niej szperał, aż wreszcie wyjął to, czego szu-

kał. Wells ze zdziwieniem spostrzegł, że to wiklinowy koszyk.

– Gdy się zwierzyłem pani Kendall, że marzeniem mojego życia było zostać wikliniarzem, przysłała do mnie rzemieślnika, żeby mnie nauczył tego fachu – wyjaśnił Merrick, z czułością lekko kołysząc w rękach koszyk, jakby zawierał noworodka albo ptasie gniazdo. – Był to skromny, sympatyczny człowiek, który miał warsztat przy Pennington Street, niedaleko doków. Od pierwszej chwili traktował mnie tak, jakbym wcale się nie wyróżniał z powodu wyglądu. Jednak kiedy zobaczył moje dłonie, od razu powiedział, że niemożliwe jest, abym mógł się zająć czymś tak delikatnym jak koszykarstwo. Było mi bardzo przykro, lecz stało się jasne, że obaj marnowalibyśmy tylko czas. Czas jednak nigdy nie jest stracony, gdy się staramy spełnić marzenie, nie wydaje się panu? „Proszę mnie nauczyć – powiedziałem mu. – Dopiero wtedy się dowiemy, czy to prawda”.

Wells przyglądał się doskonale wyplecionemu koszykowi, który Merrick z taką czcią trzymał w swych zdeformowanych rękach.

– Od tamtej pory zrobiłem wiele koszyków, które wręczam w prezencie niektórym ze swych gości. Ale ten jest szczególny, ponieważ to pierwszy, jaki wykonałem. Chciałbym, by pan go przyjął, panie Wells – rzekł, podając gościowi wiklinowy przedmiot. – Aby pan nigdy nie zapomniał, że liczy się tylko nasza wola.

– Dziękuję – zająknął się Wells poruszony. – To dla mnie zaszczyt, panie Merrick, prawdziwy zaszczyt.

Pożegnał się i z serdecznym uśmiechem ruszył do drzwi.

– Jeszcze ostatnie pytanie, panie Wells – usłyszał, jak gospodarz mówi za jego plecami.

Wells odwrócił się i spojrzał na niego, mając nadzieję, że Merrick nie chce adresu przeklętego Nebogipfela, żeby mu również wysłać jakiś koszyk.

– Czy sądzi pan, że pana i mnie stworzyli ci sami bogowie? – zapytał Merrick, głosem zdradzając raczej zawód niż przygnębienie.

Wells musiał się powstrzymać od westchnienia wyrażającego zniechęcenie. Co mógł na to odrzec? Rozwagał różne odpowiedzi, gdy nagle Merrick wydał dziwny dźwięk, coś w rodzaju kaszlu czy chrząknięcia, od czego jego ciało zgięło się ku ziemi, grożąc rozczłonkowaniem. Wells, zaniepokojony, usłyszał, że chrypienie, w niekontrolowany sposób wydobywające się z gardła, powtarza się, aż w końcu zrozumiał, co się dzieje. Merrickowi nie stało się nic złego. Po prostu się śmiał.

– To był żart, panie Wells, tylko żart – wyjaśnił, zaprzestając ochrypłego chichotu wobec przestraszonego gościa. – Co by się ze mną stało, gdybym nie potrafił się śmiać z własnego wyglądu?

Nie spodziewając się odpowiedzi ze strony Wellsa, skierował się do stołu ze swoją pracą i usiadł przy niedokończonej makiecie kościoła.

– Kim bym był? – Dało się słyszeć, jak mruczał sam do siebie z gorzką melancholią. – Kim bym był?

Widząc, jak Merrick manipuluje przy kartonie, skupiony na niezręcznych ruchach swych dłoni, Wells poczuł, że nagle ogarnia go ogromna litość. Trudno mu było uwierzyć, że ta istota, tak nieskończenie prostoduszna i łagodna, zaprasza do siebie znane osobistości na herbatę, by je poddawać makabrycznej próbie, jak to zasugerował Treves. Wells był pewien, że Merrick jedynie pragnie z tych krótkich, kontrolowanych spotkań ze światem uszczknąć okruchy sympatii i współczucia. Znacznie bardziej prawdopodobne wydawało się, że owe ciemne cele wymyślił sobie sam lekarz, być może aby zastraszyć gości, którzy mu się nie spodobali, albo może chcąc odjąć Merrickowi nieco jego bezbrzeżnej prostoduszności, przypisywał mu psotną złośliwość, jakiej ten nie posiadał. „A przy okazji – pomyślał Wells, aż za dobrze wiedząc, że ludzkie postępowanie na ogół jest posłuszne nieszczerym intencjom – niewykluczone, że chirurgowi przyświeca cel bardziej egoistyczny i ambicjonalny: wy-

kazać się przed światem jako jedyna osoba potrafiąca w tej istocie dostrzec duszę; tak więc uczepił się tej istoty rozpaczliwie, świadom, że to gwarantuje mu miejsce obok niej na piedestale historii”. Wellsa irytowało, że Treves wykorzystuje fakt, iż twarz Merricka jest przerażającą maską, która nie daje się zdjąć ani nie odzwierciedla jego prawdziwych uczuć, i przez co lekarz może nieszczęśnikowi przypisywać dowolne emocje, ponieważ wie, że nikt nie zdoła tego zdementować z wyjątkiem samego Merricka. A teraz, po tym jak Wells słyszał Merricka śmiejącego się, zastanawiał się, czy mimo wszystko Człowiek Słoń nie uśmiechał się do niego szeroko, kiedy wszedł do pokoju, czy nie wita gości uśmiechem, który ma łagodzić niepokój wywołany jego wyglądem, uśmiechem miłym i miękkim, uśmiechem, na który świat nigdy nie zwróci uwagi.

Wyszedłszy z pokoju, Wells zauważył, że po jego policzku płynie łza.

W taki oto sposób w jego życiu pojawił się wiklinowy koszyk i od razu zaczął zaskakiwać zdziwionego Wellsa szczęśliwymi zbiegami okoliczności, zdmuchując kurz minionych nieszczęść, jaki nagromadził się na jego ubraniu. Wkrótce po wejściu w posiadanie kosza pisarz otrzymał licencjat naukowy z dziedziny zoologii, zaczął udzielać lekcji biologii w Uniwersyteckim Instytucie Korespondencyjnym, objął stanowisko redaktora naczelnego w „University Correspondent” oraz podjął się pisywania streszczeń i notatek prasowych publikowanych w „Educational Times”, dzięki czemu szybko zebrał zaskakującą sumę pieniędzy, co sprawiło, że się otrząsnął z rozczarowania, jakie mu sprawił nikły oddźwięk po debiucie, i odzyskał wiarę w siebie. Nabrał wówczas szczególnej czci do swego koszyka – co wieczór posyłał mu długie, czułe spojrzenie i gładził palcami trwale wiklinowe kształty. Ten prosty rytuał, wykonywany w tajemnicy przed Jane, wystarczał, aby rozpałcić w nim ducha na tyle, by poczuł się niezwyciężony, mocny, zdolny do przepłynięcia Atlantyku albo pokonania tygrysa gołymi rękami.

Nie dane mu jednak było cieszyć się swymi osiągnięciami długo, ponieważ gdy jego rozłaząca się w szwach rodzina uświadomiła sobie, że mały Bertie zaczyna się przeobrażać w dobrze sytuowanego obywatela, powierzyła mu utrzymanie swej nadwerężonej i zagrożonej spójności. Nie siląc się na protesty, Herbert z rezygnacją przyjął rolę strażnika rodu. Wiedział, że żaden z jego członków nie potrafiłby temu podołać: ojcu udało się w końcu pozbyć owego ogromnego balastu, jakim był porcelanowy interes, i przeniósł się do wiejskiego domu w Nyewood, maleńkiej osadzie na południe od Rogate, skąd mógł spoglądać na wzgórze Karting Down i na topole w Uppark. I w tej malutkiej chacie z czasem stłoczyła się reszta rodziny, niczym odpadki wyrzucone przez morze na brzeg. Jako pierwszy osiadł tam brat Wellsa Frank, który kilka lat wcześniej porzucił sklep tekstylny, aby stać się obwoźnym sprzedawcą zegarów, ale nie odniósł w tym zbyt wielkiego sukcesu, o czym świadczyły dwa ogromne kufry, które ze sobą przyniósł, a które jeszcze bardziej okroiły i tak niewielką przestrzeń maleńkiej chatki w Nyewood i napełniły ją nieustannym, męczącym tykaniem. Zegary, których nie zdołał sprzedać, rozpełzły się po całym wnętrzu niczym hałaśliwe mechaniczne pająki. Wkrótce potem pojawił się Fred – został bezceremonialnie odprawiony z firmy, gdzie pracował, gdy syn szefa osiągnął wiek niezbędny do objęcia stołka, który naiwny brat Wellsa grzał dla niego, sam o tym nie wiedząc. Spotkawszy się ponownie pod jednym dachem, bracia oddali się wspólnemu lizaniu ran i nieświadomie zarażeni postawą rodzica, wkrótce z humorem zaczęli przyjmować otrzymywane od życia cięgi. Na koniec przybyła ich matka, która z powodu nagłej głuchoty okazała się bezużyteczna jako ochmistrzyni i zbyt drażliwa jak na służącą, toteż została wygnana ze swego ukochanego rajku w Uppark. Frances była jedyną, która nie wróciła na łono rodziny, być może dlatego, że podejrzewała, iż nie znajdzie tam dla siebie tyle miejsca, ile miała w swojej dziecięcej trumience. Tak czy inaczej było ich zbyt wielu i Herbert – kontynuując swoje maratońskie lekcje, a jednocześnie będąc zmuszonym do ochrania robactwa z tego gniazda nieustannie brzęczącego zgiełkiem zegarów Franka, tego lazaretu wesołych nieudaczników, śmierdzącego drobno siekanym tytoniem i rozlanym piwem – żądał od siebie tak dużego wysiłku, że skończyło się to dla niego chorobą: przewrócił się na schodach stacji Charing Cross i zwymiotował krwią.

Diagnoza była jasna: gruźlica. I choć szybko wyzdrowiał, ten atak stał się dla niego ostrzeżeniem: powinien skończyć z życiem pełnym trosk i wysiłków, jeśli nie chce, aby nawrót choroby okazał się czymś więcej niż tylko przestrogą. Wells przyjął ją w duchu praktycyzmu. Udowodnił sobie już wcześniej, że w sprzyjających okolicznościach może dysponować aż nadto wystarczającymi środkami do

życia, nie było mu zatem trudno zaplanować sobie nową życiową strategię. Zaprzestał nauczania i postanowił zarabiać wyłącznie pisarstwem, co pozwalało pracować w domu bez nacisków i planów zajęć, jakie mu do tej pory narzucano, mógł więc wreszcie prowadzić spokojne życie, którego domagało się jego delikatne zdrowie. Zasypywał artykułami lokalne dzienniki, napisał jakiś esej dla „Fortnightly Review” i po długim naleganiu uzyskał dla siebie kolumnę na lamach „Pall Mall Gazette”.

Przepełniony euforią po tych osiągnięciach, w poszukiwaniu cennego powietrza, którego domagały się jego udręczone płuca, przeprowadził się do wiejskiego domu w pobliżu North Downs, w Sutton, jednej z nielicznych stref, do których jeszcze nie wtargnęły londyńskie przedmieścia. I przez jakiś czas wierzył, że na tej spokojnej, bezpiecznej egzystencji będzie polegało jego życie, lecz znów się mylił, bo był to tylko pozorowany spokój. Los najwyraźniej musiał uznać młodego pisarza za jedną ze swych najzabawniejszych marionetek, ponieważ po raz kolejny postanowił zmienić bieg jego życia, tyle że tym razem był to zwrot w postaci przyjemnej i często spotykanej nieuleczalnej miłości.

Amy Catherine Robbins, którą przezwiał Jane, przez dłuższy czas była jego studentką. Wells nawiązał z nią sympatyczny kontakt, spotykając ją nie tylko w salach wykładowych, lecz także w drodze na stację Charing Cross – nieraz wędrowali też na nią razem, by zdążyć na swoje pociągi. Wells mimo woli dal się oczarować pełnej wdzięku elokwencji panny i niechcący pozwolił sobie na próżną przyjemność, jaką wywoływała w nim możliwość fascynowania tak pięknej i uroczej dziewczyny za pomocą słów. Jednak te błahe, miłe pogawędki przyniosły nieoczekiwane owoce. To Isabel, jego własna małżonka, która zauważyła sprawę po powrocie z weekendu w Putney, dokąd zaprosiły ich Jane i jej matka, zapewniła go, że – czy sam to sprawił celowo, czy też przeciwnie, stało się tak przez przypadek – ta dziewczyna jest w nim ślepo zakochana. Wells mógł tylko unieść brew, kiedy żona kazała mu zaprzestać kontaktów z byłą studentką, jeśli naprawdę chce, aby ich małżeństwo przetrwało. Wybór między kobietą, która odpychała jego pieszczoty, a uśmiechniętą i wyraźnie swobodną Jane nie był szczególnie trudny, toteż spakował swe książki, sprzęty i wiklinowy kosz i wyprowadził się do nędznej nory w Mornington Place, usytuowanej w podupadłej dzielnicy w północno-wschodnim Londynie, na granicy pomiędzy Euston a Camden Town. Cieszyłby się, gdyby opuścił dom kierowany impulsywną namiętnością, ale ta radość przypadła w udziale Jane. On przeniósł się po prostu z powodu swawolnej ciekawości, jaką wzbudzało w nim jej drobne ciało rysujące się zaokrągleniami pod ubraniem, a nade wszystko skuszony możliwością odmiany utartego porządku, znalezienia innego życia teraz, kiedy już mógł przewidzieć, jakim się ono potoczy torem.

Jego pierwsze wrażenie było jednak takie, że miłość przywiodła go do popełnienia dużego błędu. Nie tylko wybrał możliwie najgorsze miejsce dla swych umęczonych płuc, dzielnicę o zatrutym powietrzu, w którym niesiona wiatrem sadza węglowa fatalnie mieszała się z dymem wypływającym przez zmierzające na północ lokomotywy, lecz także matka Jane, przekonana, że jej córka wpadła w szpony degenerata – jako że Wells wciąż był żonaty z Isabel – wprowadziła się do nich, zdeterminowana, by nadużywać ich cierpliwości nieustannymi złośliwymi wyrzutami. Owe nieprzewidziane okoliczności, do których trzeba dodać niepokojący wniosek, że z publikacji artykułów nie da się utrzymać aż trzech domostw, sprawiły, że Wells wziął swój koszyk i zamknął się w jednej z domowych szaf – jedynych miejsc wolnych od denerwującej obecności pani Robbins. W tym ukryciu, wśród płaszczy i kapeluszy, całymi godzinami gładził swój wiklinowy przedmiot, próbując ożywić jego utraconą magię, niczym Aladyn pocierający swą cudowną lampę.

Można by to uznać za strategię niedorzeczną czy desperacką, a nawet żalostną, ale następnego dnia po owych zabiegach Wellsa wezwał do siebie Lewis Hind, redaktor tygodniowego dodatku literackiego do dziennika „Gazette”. Potrzebował kogoś, kto umiałby pisać utwory fikcyjne z pewną aurą naukowości, małe opowiadania odzwierciedlające, a nawet przepowiadające, dokąd może zmierzać

owa niepowstrzymana erupcja wynalazków wciąż uparcie zmieniająca oblicze tego stulecia. Hind był przekonany, że Wells jest odpowiednią osobą. To, co mu zaproponowano, wreszcie odkurzyło jego dawne marzenie z dzieciństwa – pozwoliło mu podjąć nową próbę i sprawdzić, czy mógłby zostać pisarzem. Przyjął ofertę i w ciągu kilku dni zmajstrował opowiadanie zatytułowane *Skradziony bakcyl*, które w pełni usatysfakcjonowało Hinda, a autorowi przyniosło pięć gwinei. Utwór ponadto przyciągnął uwagę Williama Ernesta Henleya, dyrektora czasopisma „National Observer” – pośpiesznie zaproponował on Wellsowi swe strony, przekonany, że młodzieniec będzie w stanie tworzyć znacznie ambitniejsze dzieła, jeśli dostanie większą przestrzeń, by nabrać rozmachu. Wells wpadł w entuzjazm, lecz zarazem ogarnęło go onieśmienie, jako że dostał możliwość pisania dla prestiżowego magazynu, który swego czasu publikował w odcinkach *Murzyna z załogi Narcyza Conrada*. Już nie chodziło o streszczenia, cotygodniową kolumnę czy krótkie historie. Teraz jego wyobraźnia będzie mogła popłynąć swobodnie, tak jak powinna, ponieważ zaoferowana mu przestrzeń na łamach „National Observera” była przeznaczona dla pisarza.

Wells oczekiwał spotkania z Henleyem w stanie podenerwowania graniczącym z zapaścią. Odkąd został powołany przez mitycznego dyrektora prestiżowego magazynu, nie dawały mu spokoju kłębiące się w głowie pomysły – usiłował znaleźć wśród nich wystarczająco oryginalny i atrakcyjny, aby zaskoczyć doświadczonego wydawcę, ale żadna myśl nie wydawała mu się godna takiej oferty. Spotkanie zbliżało się, a Wells wciąż nie miał dobrej historii, którą mógłby zaproponować. To wówczas znów zwrócił się do koszyka i zauważył, że – choć na pozór pusty – jest pełen opowieści. Wiklinowy pojemnik okazał się rogiem obfitości i wystarczyło nim potrząsnąć, by się z niego wysypały. To oczywiście metafora, pod którą Wells po prostu w poetycki sposób ukrywał to, co się w rzeczywistości działo, gdy spoglądał na koszyk: przypominał sobie rozmowę, którą odbył z Merrickiem, i choć zdawało się to nie do wiary, za każdym razem, gdy ją przywoływał w pamięci, odkrywał pomysł na powieść – wartościowy niczym złoty samorodek w bagnistym korycie rzeki. Jak gdyby Merrick czy to celowo, czy przez czysty przypadek napełnił swój prezent conceptami i fabułami wystarczającymi na całe lata pisarstwa, udając zarazem, że tylko pije herbatę. Wells przypomniał sobie niezadowolenie, jakie jego gospodarz okazał z tego powodu, że doktor Nebogipfel nie zdecydował się wybrać w przyszłość, by zgłębić intrygujące tajemnice jutra. Uznał, że musi naprawić tę pomyłkę, tym bardziej że po opublikowaniu w prasie licznych artykułów miał większe doświadczenie niż kilka lat temu.

Tak więc bez specjalnych ceregieli porzucił męczącego Nebogipfela i zastąpił go szanowanym naukowcem, któremu nawet nie nadał imienia, pograżając go w anonimowości, dzięki czemu mógł on być jakimkolwiek wynalazcą, a także uosobieniem archetypowego pojęcia nauki w nowym, nadchodzącym stuleciu. I z zamiarem przekształcenia swojego pomysłu podróży w czasie w coś więcej niż prostą dzieciinną fantazję, dodał lekki naukowy sztafaż, w jaki ubierał opowiadania pisane dla Hinda, posługując się teorią, którą rozwinął wcześniej w esejach pisanych dla „Fortnightly Review”: potraktowanie czasu jako czwartego wymiaru we wszechświecie, który wydaje się trójwymiarowy. Pomysł ten mógłby znacznie zyskać, gdyby go wykorzystał jako pretekst do ukazania, jak działa sprzęt pozwalający bohaterowi powieści przemieszczać się wedle upodobania w strumieniu czasu.

Kilkanaście lat wcześniej w Londynie sądzony był za oszustwo Henry Slade, Amerykanin podający się za medium, który prócz tego, że chełpił się możliwością porozumiewania się z duchami zmarłych, wkładał do swego magicznego kapelusza węzły, ślimaki i muszle małżów, by później wyjąć z niego ich identyczne wersje, tylko zakręcone czy zawiązane odwrotnie, jak gdyby je zabierał z drugiej strony lustra. Slade zapewniał, że jego kapelusz zawiera tajne przejście do czwartego wymiaru, co miało wyjaśniać niewiarygodne odwrócenie, jakiego doznawały przedmioty. Ku zaskoczeniu wielu ludzi jego twierdzeń bronili uznani naukowcy, jak profesor fizyki i astronomii Johann Zöllner, któ-

ry argumentował, że to, co w trójwymiarowym świecie może się wydawać oszustwem, nie jest nim w świecie mającym czwarty wymiar. Proces sądowy trzymał w napięciu cały Londyn. Zarówno on, jak i badania matematyka Charlesa Hintona, twórcy pojęcia hipersześcianu: sześcianu, który przeminął w czasie i połączył się z każdą chwilą, w jakiej istniał, ale wszystko to wydarzyło się równocześnie, więc dominujące przestarzałe trójwymiarowe widzenie człowieka nie pozwala tej figury zobaczyć, uświadomiły Wellsowi, że idea istnienia czwartego wymiaru wisi w powietrzu. Nikt nie miał pewności, co to właściwie takiego, ale pojęcie było tak tajemnicze i sugestywne, że społeczeństwo chciało, a wręcz domagało się, żeby to coś istniało naprawdę.

Większość ludzi uważała, że znany im świat jest miejscem nudnym i wrogim, ale tylko dlatego, że nie potrafią go postrzegać w całej złożoności. Teraz pocieszająca była dla nich myśl, że tak samo jak mdła pieczeń zyskuje, gdy jest ładnie przybrana, wszechświat też będzie lepszy, jeśli wyobrażą sobie, że nie ogranicza się tylko do tego, co widzą, lecz także ma jakąś ukrytą, tajemniczą część, dzięki której staje się większy. Niczym dotknięcie magii w prozaicznej rzeczywistości czwarty wymiar mówił im o egzystencji w innym świecie, który mógł objąć marzenia odrzucane przez świat realny. Ideę tę wspierały konkretne działania, takie jak założenie Towarzystwa Badań nad Psychiką, które właśnie powstało w samym Londynie. Z drugiej strony Wells musiał znosić owo rozemocjonowanie tematem prawie codziennie podczas nużących dyskusji o naturze czasu, w jakie wdawali się jego koledzy ze Szkoły Nauk. Jak to mówią, jedna sprawa prowadzi do drugiej. Biorąc pod uwagę, że w każdym oświetleniu czwarty wymiar wyglądał inaczej, Wellsowi nie było trudno połączyć obie idee i własną teorię na temat czasu – postrzeganego jako czwarty wymiar przestrzeni, w którym można się przemieszczać jak w każdym z pozostałych trzech.

Toteż kiedy pisarz wszedł do gabinetu Henleya, miał w głowie zadziwiająco klarowny zarys powieści, co pozwoliło mu przedstawić ją przekonująco i z kaznodziejską pasją. Historia Podróżnika w Czasie miała się składać z dwóch części. Pierwsza zawierałaby wyjaśnienie działania maszyny, jakiego udziela on gościom, których wybrał i zaprosił, aby im zaprezentować swój wynalazek. Wszyscy oni – lekarz, burmistrz, psycholog i jakiś inny przedstawiciel klasy średniej – nie wierzą w istnienie wehikułu. W przeciwieństwie do wyjaśnień Verne'a, który potrzebował całych rozdziałów, by szczegółowo pokazać funkcjonowanie swoich gadżetów, jak gdyby sam wątpił w prawdziwość ich istnienia, objaśnienie Wellsa miało być nieskomplikowane i spójne, uzupełnione prostymi przykładami, aby czytelnik przyswoił sobie tę być może nazbyt abstrakcyjną ideę. Jak wiadomo, powie wynalazca, trzy przestrzenne wymiary: długość, szerokość i wysokość określa się poprzez odniesienie do trzech płaszczyzn ustawionych względem siebie pod kątem prostym. Jednak w naturalnych warunkach przemieszczanie się człowieka w trójwymiarowym świecie nie było kompletne. Bez problemów mógł się poruszać w zakresie długości i szerokości, ale nie mógł się swobodnie unieść ani obniżyć swojego położenia, chyba że się posłużył balonem na gorące powietrze. W ten sam sposób człowiek jest uwięziony w stałym upływie czasu, a przemieszczać się w nim może jedynie mentalnie – w przeszłość powraca wspomnieniami, w przyszłość zaś wybiega wyobraźnią. Mógłby się jednak wyzwolić z tej pułapki, gdyby dysponował maszyną, która niczym balon pozwoliłaby mu osiągnąć to, co niemożliwe, czyli przenieść się fizycznie do przyszłości, poprzez przyspieszenie biegu czasu, lub wrócić w przeszłość, poprzez jego cofnięcie. By pomóc gościom zrozumieć pojęcie czwartego wymiaru w odniesieniu do czegoś, co znają, wynalazca posłużył się przykładem barometru: jego słupek rtęci podnosi się i opada z dnia na dzień, ale linii odzwierciedlającej jego ruch nie da się narysować w żadnym z trzech wymiarów przestrzennych, jedynie w wymiarze czasu.

Druga część powieści będzie opowiadała o podróży, w którą bohater po pożegnaniu swych gości się wybierze, aby wypróbować swój wehikuł, i ku pamięci Merricka, skieruje się na tajemnicze oce-

any przyszłości, przyszłości, której rysy szybko, lecz sugestywnie pisarz naszkicował redaktorowi „National Observera”. Henley – ogromny człowiek, niemal olbrzym, który z powodu spartaczonych operacji chirurgicznej w młodości został skazany na przemierzanie świata o kuli, ten sam, który swego czasu stał się dla Stevensona inspiracją do opisanego postaci Długiego Johna Silvera – wyraził gestem powątpiewanie. Pisanie o przyszłości było ryzykowne. W kręgach literackich krążyły pogłoski, że sam Verne stworzył kiedyś powieść pod tytułem *Paryż w dwudziestym wieku*, w której ukazał świat jutra, ale Jules Hetzel, jego wydawca, odmówił opublikowania jej, ponieważ uznał, że pojęcie pisarza o roku 1960, w którym egzekucja wyroku śmierci odbywa się za pomocą ładunku elektrycznego i istnieje sieć „fotograficznych telegrafów”, umożliwiających przesyłanie faksymile, czyli identycznej kopii dokumentu, do dowolnego zakątka świata, jest tyleż naiwne, co pesymistyczne. Ponadto Verne najwyraźniej nie był wyjątkiem w przepowiadaniu przyszłości. Wielu innych też próbowało i poniosło taką samą klęskę. Wells jednak nie dał się onieśmielić Henleyowi. Pochylił się na swym krześle i kontratakował, zapewniając rozmówcę, że ludzie chcą czytać o przyszłości, i ktoś powinien się odważyć i wydać pierwszą powieść, która o niej mówi.

I tak oto w 1893 roku na łamach prestiżowego magazynu „National Observer” zaczęła wychodzić w odcinkach historia *Podróżnika w Czasie*. Jednak, ku zrozumiałej rozpaczce Wellsa, powieść nie zdołała ukazać się w całości, ponieważ właściciele magazynu sprzedali go, a nowa rada nadzorcza urządziła czystkę, której ofiarą padł zarówno Henley, jak i jego planowany powieściopisarz. Na szczęście Wells niezbyt długo pławił się w swoim pechu, ponieważ Henley, podobnie jak jego Stevensonowskie alter ego, nie dawał się łatwo pokonać, i wkrótce objął ster czasopisma „New Review”, po czym zaproponował, aby na jego łamach przywrócić projekt *Podróżnika w Czasie*. Co więcej, przekonał upartego wydawcę Williama Heinemanna do opublikowania powieści pod swoją redakcją.

Wells, na nowo zachęcony przez nieugiętego Henleya, z godnością zabrał się do ukończenia swego naznaczonego pechem dzieła. Ale jak zwykle okazało się to pracochłonnym przedsięwzięciem, którego dokończenie utrudniały normalne przeszkody, tyle że tym razem znacznie bardziej chwalebnej natury. Z polecenia lekarzy pisarz z powrotem przeniósł się z Jane na wieś, do skromnego pensjonatu w Sevenoaks. Jednak w karawanie pakunków i skrzyń, na której czele jechał wiklinowy koszyk jako rupec, którego nie można wyrzucić, podróżowała również pani Robbins. Matka Jane, perfekcyjnie odgrywająca swoją rolę pijawki, przynosiła uszczerbek nawet na zdrowiu własnej córki, która pod nieustannym naporem utyskiwań nie była już niczym więcej jak bladym, wysuszonym strzępkiem dawnej dziewczyny. Ta kobieta nie potrzebowała żadnej pomocy w niekończącej się walce, jaką toczyła z Wellsem, ale i tak znalazła nieoczekiwaną sojuszniczkę w osobie właścicielki pensjonatu, gdy ta odkryła, że co noc w wynajętych pokojach nie konsumuje się związku małżeńskiego, tylko bezbożny konkubinat pruderyjnej dziewczyny ze zdeprawowanym mężczyzną oskarżonym w procesie rozwodowym. Walcząc na dwóch frontach, Wells z trudem osiągał skupienie niezbędne do ukończenia powieści. Jediną pociechą było mu to, że ta część dzieła, której zamierzał nadać formę podróży w czasie, w jaką wybrał się bohater, interesowała go znacznie bardziej niż wcześniej napisane odcinki, ponieważ pozwolono mu skierować tok utworu na teren socjologicznej alegorii, w której mógł snuć refleksje na temat nurtujących go problemów politycznych.

Przekonany, że w dalekiej przyszłości ludzkość zdoła osiągnąć najwyższy poziom rozwoju zarówno naukowego, jak i duchowego, *Podróżnik w Czasie* nastawił swój wehikuł na pęd do przodu, aż do roku 802 701, datę wybraną przypadkowo, ale wystarczająco odległą, aby na miejscu potwierdziły się jego przewidywania. Przy drżącym świetle lampy parafinowej Wells, zastraszone groźbami właścicielki pensjonatu, które sierpniowy wiatr przynosił do jego okna, opowiadał o przebiegu wyciecz-

ki i perypetiach swego wynalazcy w świecie, który wydawał się ogrodem ze snów. Aby dopełnić uroku, eden ten był zamieszkały przez Elojów, ludzi nadzwyczaj pięknych i delikatnych, stanowiących doskonały efekt ewolucji człowieka, która prócz tego, że wyeliminowała słabości gatunku, przy okazji pozbawiła go też brzydoty, nieokrzesania i defektów estetycznych. Gdy Podróżnik zaczął się z nimi zadawać, dowiedział się, że delikatni Elojowie wiedli spokojne życie w harmonii z naturą, bez praw ani rządów, ponadto wolne od chorób, trudności ekonomicznych czy jakichkolwiek innych komplikacji, które sprawiają, że przetrwanie staje się wysiłkiem. Wydawało się, że nie znają również pojęcia własności prywatnej: wszystko mieli wspólne w tym społecznym raju będącym materializacją najlepszych przepowiedni dotyczących rozwoju cywilizacji. Niczym łaskawy i cokolwiek romantyczny demiurg, Wells sprawił nawet, że jego wynalazca nawiązał przyjazne stosunki z Elojką imieniem Weena – uratował ją od śmierci, kiedy tonęła w rzece, a ona potem wciąż za nim chodziła, jak dziewczynka zachwycona urokiem osobistym obcego przybysza. Krucha i maleńka niczym figurka z miśnieńskiej porcelany, wykorzystywała chwile nieuwagi wynalazcy, by przyozdabiać go girlandami lub napełniać mu kieszenie kwiatami, a gesty te wyrażały wdzięczność, której kobieta nie potrafiła wypowiedzieć w swoim języku, ponieważ ten – choć dźwięczny i słodki – dla Podróżnika brzmiał przygnębiająco mętnie.

Po nakreśleniu tak sielankowego obrazka Wells z okrutną, ironiczną jasnością przystąpił do jego zniszczenia. Kilka godzin współistnienia z Elojami wystarczyło, aby Podróżnik zrozumiał, że sprawy nie przedstawiają się tak, jak się wydaje na pierwszy rzut oka: znalazł się pośród stworzeń gnuśnych, pozbawionych potrzeb kulturalnych i duchowego rozwoju, niezdolnych nawet do okazania bardziej skomplikowanych uczuć, w stadzie próżniaków pławiących się w hedonizmie, który graniczył z głupotą prostaczków. Do tych emocjonalnych trutni, pogrążonych w dekadencji i niemal pozorowanej egzystencji, sprowadzał się gatunek ludzki wolny od zagrożeń, które w duszy człowieka wzbudzają odwagę, ponieważ inteligencja nie pojawia się tam, gdzie nie ma ani zmian, ani ich potrzeby. Jakby tego było mało, niespodziewane zniknięcie wehikułu czasu wzbudziło w wynalazcy podejrzenia, że Elojowie to niejedyni mieszkańcy tego świata. Stało się oczywiste, że są jeszcze jakieś istoty obdarzone siłą niezbędną do przesunięcia jego maszyny z miejsca, gdzie ją zostawił, do wnętrza ogromnego sfinksa zdobiącego krajobraz. Podróżnik się nie mylił: pod powierzchnią zakłamanego raju gnieździł się Morlokowie, bojące się światła dziennego, podobne do małych stworzenia, które – jak wkrótce z przerażeniem miał odkryć – cofnęły się w rozwoju do stanu dzikiego kanibalizmu. To oni żywili swych naziemnych sąsiadów w celu utuczenia, aby później pożreć ich w swoim podziemnym świecie. Jednak mimo karygodnych upodobań kulinarnych owych stworzeń Podróżnik musiał przyznać, że to również w tej rasie z trudem zdołała przetrwać inteligencja ludzkości, zredukowana do smutnej resztki rozumu, która umożliwiała im obsługę i utrzymywanie na chodzie maszyn znajdujących się w podziemnych tunelach.

Z obawy przed utknięciem w przyszłym świecie bez możliwości powrotu do swoich czasów, w poszukiwaniu swego wehikułu wynalazca poszedł w ślady Eneasza, Orfeusza i Heraklesa i zstąpił do piekieł, którymi wydawało się królestwo Morloków. Gdy tylko odzyskał swój pojazd, rzucił się do szalonej ucieczki w czasie, zagłębiając się coraz bardziej w następne epoki, aż zatrzymał się na ponurym brzegu morza rozciągającym się pod burym niebem. Szybki rzut oka na tę nową przyszłość, wypełnioną rozrzedzonym powietrzem, które szczypało w płucach, sprawił, że Podróżnik zrozumiał, iż żyją tu dwa gatunki: potężne i cokolwiek krzykliwe białe motyle oraz monstrualne kraby wyposażone w groźne kleszcze, od których wolał uciec. Zaintrygowany już nie losem człowieka, którego istnienie najwyraźniej zostało nieodwołalnie wymazane, lecz raczej stanem samej Ziemi, wynalazca kontynuował swą podróż tysiącletnimi krokami. Następny przystanek, ponad trzydzieści milionów lat

po swojej epoce, zrobił sobie na opustoszałej planecie, która prawie wcale nie obracała się już wokół własnej osi, niczym zmęczony bąk, który przestaje wirować, słabo oświetlany przez z wolna dogasające Słońce. Leniwie padający śnieg trudził się, by pod swym białawym całunem pogrzebać okolicę, w której nie rozlegał się żaden dźwięk zdradzający życie. Śpiew ptaków, beczenie owiec, brzęczenie owadów i szczekanie psów, które splatały się w partyturę świata, nie były teraz niczym innym jak wątpliwym wspomnieniem w głowie Podróżnika. Zauważył wówczas dziwne, wyposażone w macki stworzenie, które pluskało się w czerwonym morzu tuż przed nim, i smutny żal wynalazcy ustąpił miejsca lekkiemu strachowi, zmuszając go do ponownego uruchomienia maszyny. Zasiadł za sterami i panując nad czasem, poczuł, że go nachodzi straszliwe zdumienie. Nie ciekawiły go już posępne obrazy czekające w jeszcze bardziej odległej przyszłości, nie miał też ochoty na cofanie się w przeszłość teraz, gdy wiedział, że wszelkie ludzkie dokonania i sukcesy są daremne, toteż stwierdził, że pora wracać do czasów, do których sam naprawdę należy. Drogę powrotną przebył z zamkniętymi oczyma, ponieważ nie był w stanie patrzeć, jak wokół niego odradza się świat, jak słońce odzyskuje przygaszony uprzednio blask, jak od nowa wznoszą się domy i budowle będące świadectwem ludzkich osiągnięć architektonicznych i mód – teraz, kiedy odwrócił bieg, a śmierć przekształciła się w fałszywe odrodzenie. Otworzył oczy dopiero wtedy, kiedy się znalazł pośród znajomych ścian własnej pracowni. Wówczas przesunął dźwignię i świat przestał być zamazaną mgłą, zyskując swoją zwyczajną konsystencję.

Po powrocie do swej epoki usłyszał głosy i brzęk talerzy w jadalni, a następnie odkrył, że zatrzymał wehikuł dokładnie w czwartek po swoim odjeździe. Zwlekał kilka minut, aby odzyskać oddech, po czym pojawił się przed gośćmi. Nie tyle kierowała nim chęć podzielenia się z nimi wrażeniami z podróży, ile przyciągnął go aromat pieczeni, stanowiący nieodpartą pokusę po owocowej diecie, którą z konieczności stosował w krainie Elojów. Zaproszone osoby ze zdumieniem patrzyły, jak pochłania jedzenie z wilczym apetytem, lecz także dziwiła je trupia bladość jego twarzy, liczne zranienia oraz dziwne plamy na ubraniu. Gdy Podróżnik zaspokoił głód, wreszcie przeszedł do zdawania relacji ze swojej przygody. Rzecz jasna nikt nie uwierzył w tak fantastyczną opowieść, mimo że pokazał im nieznanne białe kwiaty, które zostawił sobie w kieszeniach, a także zwrócił uwagę gości na opłakany stan wehikułu. W epilogu powieści narrator – jeden z gości Podróżnika w Czasie – gładzi zwiędłe nieznanne kwiaty i snuje pełną nadziei refleksję, że gdyby nawet inteligencja i siła zniknęły, w sercu człowieka nadal będzie mieszkać wdzięczność.

Gdy powieść wreszcie ujrzała światło dzienne w maju 1895 roku, pod tytułem *Wehikuł czasu*, wywołała wielkie poruszenie. W sierpniu Heinemann miał już wydrukowane sześć tysięcy egzemplarzy w miękkiej oprawie oraz tysiąc w twardej i wszyscy mówili o tej książce, choć nie poruszali tematu, do którego miała być bodźcem. Wells dołożył starań, aby przedstawić zarówno metaforyczną, jak i destrukcyjną wizję ostatecznych konsekwencji, jakie niesie z sobą sztywny porządek kapitalistycznego społeczeństwa. Kto by nie dostrzegł w Morlokach rezultatu ewolucji klasy robotniczej, otepiącej z powodu fatalnych warunków pracy, wycieńczających dniówek trwających od wschodu do zachodu słońca? Pracy, którą świat dyskretnie przenosi do podziemi, rezerwując powierzchnię dla napuszonych przedstawicieli klas zamożnych? Ażeby wstrząsnąć sumieniami czytelników, pisarz odwrócił nawet role społeczne, czyniąc z Elojów – bezużytecznych i wymuskanych jak Karolingowie – pokarm Morloków, którzy mimo zniekształceń ciała i barbarzyństwa dominowali w łańcuchu pokarmowym. Jednak ku zaskoczeniu pisarza wszelkie jego próby uświadomienia ludzkości zbladły wobec ekscytacji, jaką wzbudził pomysł podróży w czasie. Ale jedno nie ulegało wątpliwości: czymkolwiek była ta powieść – stworzona w tak niesprzyjających warunkach, a ponadto z konieczności wydana wraz z katalogiem reklamowym, który jej nadał wygląd poważniejszej książki zawierającej nieco po-

nad czterdzieści tysięcy słów – otworzyła mu drzwi do sławy albo przynajmniej go do nich zbliżyła. A to znacznie więcej, niż oczekiwał, gdy pisał pierwsze z owych czterdziestu tysięcy słów.

Gdy jako pisarz odniósł sukces, w pierwszej kolejności spalił wszystkie egzemplarze *The Chronic Argonauts*, jakie znalazł – zniszczył świadectwa swego młodzieńczego szaleństwa niczym morderca usuwający ślady własnej zbrodni. Nie chciał, aby odkryto, że doskonałość, którą powszechnie przypisywano *Wehikułowi czasu*, była wynikiem długotrwałych przymiarek, że nie wytrysła tak po prostu z jego – jak domniemywano – niezwykłego umysłu. Potem próbował cieszyć się sławą, tyle że okazało się to niełatwe. Owszem, odniósł literacki sukces, lecz miał ogromną rodzinę na utrzymaniu. I chociaż on i Jane pobrali się już i przenieśli do domu z ogrodem w Woking – pośród kapeluszy Jane niczym kaczątko wśród kurczaków podróżował koszyk – Wells nie mógł sobie pozwolić na zejście z posterunku. Było nie do pomyślenia, by się zatrzymał i odpoczął. Wciąż musiał pisać, cokolwiek, korzystając z tego, że witryny księgarń były otwarte dla jego nazwiska.

Rzecz jasna pisanie nie stanowiło dla niego żadnego problemu. Wystarczało, że zwrócił się do koszyka. Z jego wnętrza niczym prestidigitator sięgający do swego cylindra Wells wydobył kolejną powieść, zatytułowaną *Cudowny gość*. Opowiedział w niej, jak pewnej sierpniowej nocy, ciepłej i wilgotnej, spada z nieba anioł i ląduje na mokradłach wioski o nazwie Sidderford. Usłyszawszy o pojawieniu się niezwykłego ptaka, miejscowy pastor, zapalony ornitolog, wyrusza na polowanie, a nawet strzela do przybysza z powodu jego pięknych piór. Dopiero potem okazuje mu współczucie i zabiera go na plebanie, żeby go wyleczyć. Nawiązują zażyłość, dzięki czemu pastor zaczyna rozumieć, że anioł, choć inny, jest bardzo miłą, łagodną istotą, od której on sam powinien się wiele nauczyć.

Tak samo jak w przypadku *Wyspy doktora Moreau* – powieści, którą Wells napisał zaledwie kilka miesięcy później – również tutaj fabuła dzieła nie wyszła od niego, ale pisarz nie zamierzał traktować tego jako kradzieży, lecz jako swój osobisty hołd złożony pamięci wyjątkowego człowieka nazwiskiem Joseph Merrick, który już odszedł z tego świata w okropny sposób przepowiedziany przez Trevesa, dwa lata po niezapomnianej herbatce. I zapewne wydawał mu się to hołd bardziej taktowny niż ten, który – z tego, co słyszał – zgotował nieszczęśnikowi jego własny chirurg, wystawiając jego pokrzywiony szkielet w muzeum założonym w Szpitalu Londyńskim. Tak więc, jak pisarz powiedział to swemu rozmówcy tamtego wieczoru, Merrick przeszedł do historii.

I być może on osiągnie to samo dzięki *Wehikułowi czasu*, dziełu zagmatwanego pisarstwa, któremu tyle zawdzięczał. Kto wie. Do tej chwili wehikuł sprawił mu niejedną niespodziankę, powiedział sobie pisarz, przypominając sobie maszynę identyczną jak ta opisana w powieści, którą miał schowaną na strychu.

Zmierzch zaczynał zmiękczać zarysy świata, zatapiając go w miedzianym świetle, które uszlachetniało wszystko, na co padło, nie wyłączając Wellsa siedzącego bez ruchu w kuchni i wyglądającego jak wykonany z mąki posąg. Pisarz potrząsnął głową, aby przepłoszyć wspomnienia wyzwolone z pamięci przez złośliwą krytykę ze „*Speaker*”, i wziął kopertę, która tego popołudnia pojawiła się w jego skrzynce pocztowej. Miał nadzieję, że nie jest to list od kolejnej gazety zachęcającej go, by na jej łamach przepowiadał przyszłość. Od opublikowania *Wehikułu czasu* prasa najwyraźniej uznała go za oficjalną wyrocznię i nieustannie nakłaniała, by pod jej szyldem popisywał się swoimi legendarnymi wieszczymi zdolnościami. Kiedy otworzył kopertę, przekonał się jednak, że tym razem nie wymaga się od niego żadnego prorocstwa. Trzymał w rękach ulotkę przedsiębiorstwa *Podróże w Czasie Murraya*, a wraz z nią kartkę, na której Gilliam Murray zapraszał go do uczestniczenia w trzeciej wyprawie do roku dwutysięcznego. Wells zacisnął zęby, by się powstrzymać od przekleństw, zmiął ulotkę i cisnął ją daleko od siebie, tak jak przed chwilą zrobił to z magazynem.

Zgnieciony papier poleciał krzywym łukiem i uderzył w twarz mężczyźną, którego nie powinno

tam być. Wells ze zdumieniem patrzył na niespodziewanego intruza w swojej kuchni. Młody, elegancki człowiek gładził sobie policzek trafiony papierową kulą i zrezygnowany kręcił głową, jakby wyrażał dezaprobatę wobec jakiejś psoty dziecka. Obok niego, nieco z tyłu, stał drugi osobnik tak podobny do pierwszego, że siłą rzeczy musiało istnieć między nimi jakieś pokrewieństwo. Pisarz przypatrywał się gościowi znajdującemu trochę dalej, wahając się, czy przeprosić za uderzenie w twarz zmiętym papierem, czy zapytać, co u licha robią w jego kuchni. Nie miał jednak czasu na żadną z tych dwóch opcji, ponieważ tamten wykorzystał swoją przewagę.

– Pan Wells, jak sądzę – rzeki. Jednocześnie podniósł rękę i wycelował w niego rewolwer.

Młodzieniec o ptasiej twarzy. Tak Andrew pomyślał o autorze *Wehikułu czasu* – powieści, która zrewolucjonizowała całą Anglię, podczas gdy on snuł się po zagajnikach Hyde Parku jak widmo. Drzwi frontowe były zamknięte i Charles, zamiast zapukać czy zawołać, poprowadził kuzyna ukrytymi schodkami na tył, gdzie po przejściu cokolwiek zaniedbanego ogródka wpadli do skromnej, wąskiej kuchni, w której się teraz tłoczyli.

– Panowie, kim jesteście i co robicie w moim domu? – zapytał pisarz, nie wstając od stołu, być może dlatego, że w ten sposób jego ciało było mniej wystawione na celujący weń rewolwer, bez wątplenia stanowiący powód, dla którego pytanie zadano w takim osobliwie nieprzyjemnym tonie.

Wciąż mierząc z broni do pisarza, Charles spojrzął na kuzyna i dał mu głową znak. Teraz pora na niego, aby odegrał swoją rolę. Andrew z niezadowoleniem wstrzymał oddech. Wydawało mu się przesadą wtargnąć do domu pisarza i celować doń z rewolweru. Żałował, że nie wykorzystał podróży na sporządzenie planu działania, zostawiając wszystko w rękach kuzyna, który – poniesiony zapałem improwizowania – doprowadził do naprawdę kłopotliwej sytuacji. Było już jednak za późno, by się cofnąć, toteż Andrew ruszył w stronę Wellsa, postanawiając również improwizować. Nie miał najmniejszego pojęcia, co robić. Jasne było jedynie, że jego wystąpienie powinno się okazać spójne ze stanowczą, poważną postawą, jaką przyjął jego kuzyn. Wyjął z kieszeni surduta wycinek gazetowy i szorstkim gestem, jakiego wymagała sytuacja, położył go na stole, pomiędzy dłońmi pisarza.

– Chcę nie dopuścić, by to się zdarzyło – rzekł, nadając swym słowom kategorię tonu.

Wells spojrzął na wycinek bez zainteresowania, po czym podniósł wzrok na dwóch intruzów i wodził nim od jednego do drugiego na podobieństwo wahadła, aż w końcu zgodził się przeczytać. Przez dłuższą chwilę trwał pogrążony w lekturze, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Z przykrością muszę panom powiedzieć, że ten tragiczny wypadek już się zdarzył, zatem należy do przeszłości. A przeszłość, jak panowie wiedzą, jest niezmienna – oznajmił obojętnie, zwracając gazetę młodemu Harringtonowi.

Po krótkim wahaniu Andrew wziął poźółtkły kawałek papieru i cokolwiek zbity z tropu, schował go z powrotem do kieszeni. Wyraźnie czując się niewygodnie z powodu intymnej wręcz bliskości, do której zmuszała ich szczupłość miejsca – zdawało się, że do kuchni nie da się wcisnąć nawet szpilki, lecz tu się mylili: wkrótce zmieści się jeszcze jedno ciało, dość drobne, a nawet jeden z tych nowych modeli rowerów, które właśnie zaczynały robić furorę, znacznie lżejszych od ich przodków dzięki aluminiowym szprychom i romboidalnej ramie z rurek oraz dzięki nowoczesnym oponom – trzech mężczyzn przyglądali się tylko sobie niemądrze jak aktorzy, którzy zapomnieli swych kwestii.

– Nie ma pan racji – odezwał się wreszcie Charles w nagłym natchnieniu. – Przeszłość nie jest niezmienna. Nie, jeśli dysponujemy maszyną przeznaczoną do podróżowania w czasie.

Wells popatrzył na niego, a w jego spojrzeniu współczucie mieszało się ze znużeniem.

– Rozumiem – mruknął, jakby właśnie z rozczarowaniem i znużeniem uświadomił sobie, o co w tym wszystkim chodzi. – Mylicie się jednak, jeżeli sądzicie, że ja mam takie urządzenie. Jestem zwykłym pisarzem, panowie. – Wzruszył ramionami w geście usprawiedliwienia.

– Nie posiadam żadnego wehikułu czasu. Wyobraziłem go sobie tylko.

– Nie wierzę panu – odparł Charles.

– Ale to prawda – westchnął Wells.

Charles poszukał wzroku kuzyna, jak gdyby on mógł mu powiedzieć, co dalej robić w tym obłądziej. Ale znaleźli się w ślepej uliczce. Andrew miał już powiedzieć kuzynowi, żeby opuścił broń,

kiedy do kuchni weszła kobieta z rowerem. Była szczupła i drobna, zaskakująco piękna, zdawała się wręcz stworzona z niespotykaną subtelnością przez Boga znudzonego modelowaniem pospolitych okazów. Ale uwagę młodego Harringtona przyciągnęła przede wszystkim towarzysząca dziewczynie maszyna – jedno z tych urządzeń zwanych rowerami, które ostatnio zastępowały konie, ponieważ pozwalały przemieszczać się po utwardzonych drogach z niewielkim wysiłkiem i w ciszy. Charles jednak nie dał się zbić z pantafelów widokiem tego przedmiotu. Natychmiast zorientował się, że młoda kobieta jest żoną Wellsa, w zaledwie sekundę złapał ją za rękę i przyłożył lufę rewolweru do jej lewej skroni. Zrobił to z szybkością i zręcznością, które zaskoczyły jego kuzyna – jakby przez całe życie ćwiczył się w tych ruchach.

– Dam panu jeszcze jedną szansę – rzekł Charles, zwracając się do pisarza.

Wells nagle pobladł. Następnie dialog przybrał niespójny, prawie idiotyczny obrót, lecz mimo błahej wymiany słów przytoczę je dokładnie, po prostu dlatego, że nie jest moim zamiarem przydawać dodatkowego blasku żadnemu epizodowi tej opowieści.

– Jane – odezwał się Wells cichym, niemal niedosłyszalnym głosem.

– Bertie – odpowiedziała zdeorientowana.

– Charles... – zaczął Andrew.

– Andrew – przerwał mu kuzyn.

A potem cisza. Popołudniowe światło wyostrowające cienie. Ledwie drżąca zasłonka przy oknie. Wietrzyk wzbudzający widmowe szepty pośród gałęzi drzewa wznoszącego się w ogrodzie niczym wykrzywiona pika. Krąg wymizerowanych widm potrząsających głowami, zawstydzonych niezdarnie zarysowanym dramatyзмом sceny, jakby to była powieść Henry'go Jamesa, który – nawiasem mówiąc – również przewinie się przez tę historię.

– Zgoda, panowie! – wykrzyknął w końcu Wells przyjaznym tonem, stanowczo podnosząc się z krzesła. – Sądzę, że możemy rozwiązać to w cywilizowany sposób, tak by nikomu nie stała się krzywda.

Andrew spojrzał błagalnie na kuzyna.

– To zależy od pana, Bertie. – Charles uśmiechnął się sprytnie.

– Niech pan ją puści, a pokażę wam wehikuł czasu.

Andrew ze zdumieniem popatrzył na pisarza. Zatem podejrzenia Gilliana Murraya były słuszne? Wells posiada wehikuł czasu?

Z uśmiechem zadowolenia Charles uwolnił Jane, a ona przebyła krótką odległość dzielącą ją od jej kochanego Bertiego i rzuciła mu się w ramiona.

– Bez paniki, Jane – uspokoił ją mąż, gładząc po ojcowsku po włosach. – Wszystko będzie dobrze.

– A więc? – niecierpliwił się Charles.

Wells łagodnie wysunął się z ramion żony i spojrzał na Charlesa z widoczną antypatią.

– Chodźcie ze mną na strych.

Tworząc coś w rodzaju konduktu pogrzebowego z Wellsem na czele, podążyli po trzeszczących schodach, które zdawały się grozić, że lada chwila zawałą się pod ich stopami. Strych był niski, z pochyłym sufitem, a ponadto kompletnie zagracony rupieciami wywołującymi dokuczliwe wrażenie duszności. W kącie, obok okienka służącego jako otwór wentylacyjny i wpuszczającego ostatnie promienie zachodzącego słońca, znajdował się dziwny sprzęt. Musiał to być wehikuł czasu, sądząc po nabożnym zainteresowaniu, z jakim patrzył na niego Charles – brakowało tylko, by ukląkł przed maszyną. Andrew też do niej podszedł, by się jej przyjrzeć zarówno z zaciekawieniem, jak i podejrzliwością.

Na pierwszy rzut oka urządzenie zdolne do obalania murów więzących człowieka w teraźniejszości przypominało wymyślne sianie. Jednak podłużna drewniana podstawa, do której przykręcono maszynę, zdradzała, że ten gruchot nie przemieszcza się w przestrzeni, bo z powodu znacznych rozmiarów nie wydawał się szczególnie łatwy do ruszenia z miejsca i można by go co najwyżej wlec. Otaczała go mosiężna barierka biegnąca na wysokości pasa – znikoma ochrona, którą trzeba było przeskoczyć, by zasiąść na mieszczącym się pośrodku siedzeniu. To ostatnie przypominało nieco fryzjerski fotel, jako że miało dołączone wymyślnie rzeźbione drewniane podłokietniki i było obite cokolwiek krzykliwym czerwonym pluszem. Przed nim, wsparty na dwóch również mosiężnych prętach, zdobionych wdzięcznymi kwiatowymi ornamentami, stał średniej wielkości cylinder z deską rozdzielczą i wbudowanymi trzema ekranikami, które pokazywały odpowiednio: dni, miesiące i lata. Z kółka umieszczonego po prawej stronie wystawała delikatna kryształowa dźwignienka. Ponieważ wehikuł najwyraźniej nie miał żadnej innej korby ani niczego podobnego, Andrew wywnioskował, że działanie maszyny zależy wyłącznie od manipulowania tą jedną jedyną dźwignią. Za fotelem znajdowała się skomplikowana, podobna do alembika przekładnia zębata, a z niej wyrastała oś podtrzymująca pośrodku ogromny talerz – większy od spartańskiej tarczy i bogato ozdobiony tajemniczymi symbolami, niewątpliwie był najbardziej efektownym elementem wehikułu. Wydawało się, że osłania maszynę i wszystko wskazywało na to, że może też wirować. Wreszcie na desce rozdzielczej widniała przykręcona plakietka z napisem: „Wyrób H.G. Wellsa”.

– Jest pan również wynalazcą? – zapytał z najwyższym zdumieniem Andrew.

– Oczywiście, że nie – odparł Wells z udawanym gniewem. – Już wam mówiłem, że jestem tylko zwyczajnym pisarzem.

– W takim razie, skoro nie pan zbudował tę maszynę, skąd pan ją wziął?

Wells westchnął, jakby mu nie w smak było to, że musi udzielać wyjaśnień tym nieznanym. Charles znów przytknął rewolwer do skroni Jane i rzekł:

– Mój kuzyn zadał panu pytanie, panie Wells.

Wells spojrział na niego ze złością, po czym jeszcze raz westchnął.

– Wkrótce po tym, jak opublikowałem swoją powieść – zaczął, rozumiejąc, że nie ma innego wyjścia, jak posłusznie wykonać polecenie – skontaktował się ze mną pewien naukowiec. Powiedział mi, że od lat w sekrecie pracuje nad maszyną umożliwiającą podróże w czasie, z wyglądu bardzo podobną do tej, którą opisałem w książce. Właśnie miał ją ukończyć i pragnął komuś pokazać, ale nie wiedział komu. Uważał, nie bez racji, że ten groźny wynalazek może w każdym wzbudzić żądzę posiadania. Moja powieść przekonała go, że jestem najodpowiedniejszą osobą do powierzenia tego sekretu. Spotkaliśmy się kilka razy, aby się poznać, sprawdzić, czy faktycznie możemy sobie nawzajem ufać, a następnie odkryliśmy, że owszem, między innymi dlatego, że mamy bardzo podobne poglądy na liczne zagrożenia, jakie mogą wyniknąć z podróżowania w czasie. Zbudował ją ostatecznie właśnie tu, na tym strychu. A ta plakietka była z jego strony wzruszającym wyrazem wdzięczności za współpracę. Nie wiem, czy pamiętacie moją książkę, ale to cudo w niczym nie przypomina tamtego pokracczego grata, który pokazano na okładce. Naturalnie nie działa też w ten sam sposób. Nie pytajcie mnie jednak, jak funkcjonuje: nie jestem człowiekiem nauki. Gdy przyszła chwila wypróbowania wehikułu, zgodziliśmy się, że to jemu przypadnie ten honor; ja nadzorowałem operację z teraźniejszości. Jako że nie wiedzieliśmy, czy maszyna wytrzyma więcej niż jedną podróż, zdecydowaliśmy się na wyprawę do odległej epoki, ale martwiliśmy się, czy będzie ona spokojna. Wybraliśmy okres, kiedy na wyspę przybyli Rzymianie, a zarazem można było jeszcze spotkać czarownice i druidów. Uznaliśmy, że nic szczególnego nam nie grozi, chyba żeby druidzi zechcieli nas złożyć w ofierze jakiemuś bóstwu. Mój przyjaciel wspiął się na wehikuł, nastawił umówioną datę i przesunął dźwignię w dół.

Ujrzałem, jak znika sprzed moich oczu. Dwie godziny później maszyna wróciła sama. Była w idealnym stanie, tylko na siedzeniu widniały niepokojące, jeszcze świeże rozbryzgi krwi. Od tamtej pory nigdy już nie widziałem mego przyjaciela.

Zapadła grobowa cisza.

– A pan, wypróbował ją pan? – spytał w końcu Charles, przestając na chwilę celować w Jane.

– Tak – przyznał Wells nie bez pewnej nieśmiałości. – Ale odbyłem tylko kilka krótkich podróży badawczych, cztery czy pięć lat wstecz, nic więcej. Nie ryzykowałem jednak, żeby cokolwiek zmienić, w obawie przed konsekwencjami, jakie to mogłoby mieć dla tkanki czasu. Nawet nie odważyłem się wybrać w przyszłość. Nie wiem, brakuje mi awanturycznej żyłki, jaką miał wynalazca z mojej powieści, to wszystko mnie przerasta. Właściwie myślałem, żeby zniszczyć wehikuł.

– Zniszczyć go? – wykrzyknął przerażony Charles. – Czemu?

Wells wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.

– Nie mam pojęcia, co przydarzyło się mojemu przyjacielowi – odparł. – Kto wie, może istnieje jakiś bezwzględny strażnik czasu gotów zastrzelić każdego, kto zamierza zmienić przeszłość dla własnej korzyści. A może jego zniknięcie było tylko przypadkiem. Tak czy inaczej nie wiem, co zrobić z tym niezwykłym spadkiem – zakłopotany wskazał wehikuł, jak gdyby patrzył na krzyż, który musi dźwigać na barkach, ilekroć wychodzi na spacer. – Nie mam odwagi ujawnić jego istnienia, bo nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak zmieniłby ten świat: na dobre czy na złe. Zastanawialiście się kiedyś, co sprawia, że jesteśmy odpowiedzialni? Powiem wam: to, że przysługuje nam tylko jedna szansa, by zrobić każdą rzecz. Gdyby istniały maszyny pozwalające nam korygować nasze najgłupsze błędy, żylibyśmy w świecie pełnym nieodpowiedzialnych lekkoduchów. Mógłbym mieć dla tego wehikułu tylko osobiste zastosowanie, raczej żalosne, biorąc pod uwagę jego możliwości. A jeśli pewnego dnia zwyciężyłaby we mnie pokusa i postanowiłbym wykorzystać go do celów osobistych, aby zmienić coś w mojej przeszłości albo wybrać się w przyszłość z zamiarem, powiedzmy, skradzenia jakiegoś niewiarygodnego wynalazku, który polepszyłby moją teraźniejszość? Zdradziłbym wówczas marzenie mojego przyjaciela...

– powiedział w przygnębieniu. – Jak widzicie, ta niezwykła maszyna zaczyna być dla mnie utrapieniem.

Powiedziawszy to, zmierzył młodego Harringtona wzrokiem od stóp do głów – powoli, z wywołującą strach uwagą, jakby zamierzał na oko zrobić dla niego trumnę.

– Pan jednak pragnie wykorzystać ją do uratowania czyjegoś życia – rozważał, mówiąc na wpół do siebie. – Czy można sobie wyobrazić szlachetniejszy cel? Niewykluczone, że jeśli pozwolę panu to zrobić i uda się, istnienie wehikułu zostanie usprawiedliwione.

– Właśnie, co może być bardziej szlachetne niż ratowanie życia? – potwierdził Charles, widząc, że jego kuzyn niespodziewaną zgodę Wellsa najwyraźniej zamierza skwitować milczeniem. – I zapewniam pana, że Andrew osiągnie ten cel – przysunął się do niego i entuzjastycznie poklepał go po ramieniu. – Mój kuzyn skończy z Rozpruwaczem i uratuje Marie Kelly.

Wells wahał się. Spojrzał na żonę, szukając u niej poparcia.

– O Bertie, pomóż mu! – zawołała podekscytowana Jane. – To takie romantyczne.

Wells znowu popatrzył na Andrew, starając się ukryć ukłucie zazdrości, jakie w nim wywołała uwaga jego żony. W głębi duszy wiedział jednak, że Jane trafnie użyła tego słowa na określenie bohaterskiego czynu, którego zamierzał dokonać młodzieniec. W metodycznym życiu pisarza nie było miejsca na miłość jako taką – tę sprowadzającą wielkie nieszczęścia i wojny, w których ważną rolę odgrywają potężne drewniane konie; innymi słowy: miłość, w której drobne pomyłki prowadzą do

śmierci. Nie, on nigdy się nie dowie, na czym to polega. Nigdy nie będzie wiedział, jak to jest stracić panowanie nad sobą, płonąć, poddać się instynktowi. A jednak, mimo że nie był zdolny oddać się owym pasjom tyleż ognistym, co zgubnym, mimo że jego praktyczny i czujny duch narażał się wyłącznie na nieszkodliwe małe porywy, które nigdy nie przerodzą się w niezdrowe obsesje, Jane go kochała, i nagle uznał to za jakiś niewytłumaczalny cud, cud, za który powinien być wdzięczny.

– Zgoda – rzekł, niespodziewanie odzyskując dobry humor. – Zróbmy to: wykończmy potwora i uratujmy dziewczynę!

Zarażony narastającym entuzjazmem Charles wyjął z kieszeni oszołomionego kuzyna wycinek gazetowy mówiący o śmierci Marie Kelly i przysunął się do pisarza, by się z nim naradzić.

– Do zbrodni doszło siódmego listopada 1888 roku około piątej nad ranem – zaznaczył. – Najlepiej, by Andrew przybył tam kilka minut wcześniej, zaczął się na Rozpruwacza, ukryty gdzieś w pobliżu pokoju Marie Kelly, i strzelił do sukinsyna, gdy tylko ten się pojawi.

– Wydaje się, że to dobry plan – przyznał Wells. – Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że wehikuł przemieszcza się wyłącznie w czasie, nie w przestrzeni. Oznacza to, że nie ruszy się stąd. Musimy założyć zapas co najmniej kilku godzin, by pański kuzyn miał dość czasu, aby się dostać do Londynu.

Rozentuzjasmowany jak dziecko Wells podszedł do swojej maszyny i zaczął majstrować na desce rozdzielczej.

– Gotowe – ogłosił, gdy skończył nastawianie pokręteł. – Przygotowałem wehikuł, by przeniósł pańskiego kuzyna do siódmego listopada 1888 roku. Teraz musimy tylko poczekać do trzeciej w nocy, by mógł rozpocząć podróż z odpowiednim zapasem godzin, dotrzeć do Whitechapel z wyprzedzeniem i nie dopuścić do zbrodni.

– Doskonale! – wykrzyknął Charles.

Potem wszyscy czworo patrzyli na siebie w milczeniu, nie wiedząc, jak spożytkować godziny dzielące ich od podróży wehikułem. Na szczęście była wśród nich kobieta.

– Jedlicie kolację, panowie? – zapytała Jane, wykazując się właściwym swojej płci duchem praktycyzmu.

Zaledwie godzinę później Charles i Andrew mogli się przekonać empirycznie, że pisarz ożenił się ze znakomitą kucharką. Stłoczeni przy stole w ciasnej kuchni, pochłaniali jedną z najsmaczniejszych pieczeni, jakich kiedykolwiek próbowali, dzięki czemu godziny upływały łatwiej, podczas gdy noc zmierzała w stronę świtu. W trakcie kolacji Wells zainteresował się podróżami do roku dwutysięcznego i Charles nie skąpił mu szczegółów. Mając wrażenie, że opowiada akcję jednej z tych niedorzecznych powieści, które tak bardzo lubił, zdał im relację z tego, jak on i inni turyści przeprowadzili się przez czwarty wymiar w tramwaju zwanym Cronotilus, aż dotarli do leżącego w ruinie Londynu przyszłości, gdzie – ukryci za jakimiś gruzami – przyglądali się ostatniej bitwie złego Salomona z dzielnym kapitanem Derekiem Shackletonem. Wells jednak zadawał tak wiele pytań, że pod koniec swego opowiadania Charles nie mógł się powstrzymać i sam spytał, dlaczego pisarz nie uczestniczył w którejś z tych ekspedycji, skoro tak go interesuje przebieg wojny przyszłości. Wells szybko zamilkł i w zapadłej ciszy Charles zrozumiał, że nieświadomie musiał go urazić.

– Proszę mi wybaczyć moje pytanie, panie Wells – pośpieszył z przeprosinami. – Właśnie do mnie dotarło, że nie każdego stać na wydanie stu funtów.

– O, nie chodzi o pieniądze – przerwała mu Jane. – Ten pan Murray już kilka razy przysyłał Ber-tiemu zaproszenia, zachęcając, aby wybrał się w jedną z tych podróży, ale on wszystkie odrzucił.

Mówiąc to, spoglądała na Wellsa, być może z nadzieją, że małżonek zechce wyjaśnić, dlaczego odtrąca zaproszenia. On jednak z nieszczęśliwym wyrazem twarzy wbił wzrok w mięso.

– To oczywiście, że nikt nie chciałby jechać tramwajem w tłumie ludzi, jeśli tę samą drogę może

odbyć w luksusowym powozie – wtrącił się wówczas Andrew.

Wszyscy troje popatrzyli na niego i po kilku sekundach, w ciągu których przepytawali się nawzajem wzrokiem, wolno skinęli głowami.

– Ale porozmawiajmy o tym, co nas naprawdę interesuje – odezwał się Wells, nagle ożywiony, wycierając serwetką tłuszcz wytopiony z pieczeni. – Podczas jednej z podróży badawczych, które odbyłem tym wehikułem, cofnąłem się o sześć lat i pojawiłem na tym strychu, kiedy dom zamieszkiwali jego poprzedni lokatorzy. Jeżeli sobie dobrze przypominam, mieli w ogrodzie uwięzowanego konia. Proponuję, aby cichaczem zszedł pan na zewnątrz po pnączach, żeby nie zbudzić domowników. Potem mógłby pan wziąć konia i jak najszybciej udać się do Londynu. Kiedy zabije pan Rozpruwacza, wróci pan, wsiądzie na maszynę, nastawi dzisiejszą datę i pociągnie dźwignię w dół. Czy to jasne?

– Tak, bardzo jasne – zdołał wykrztusić Andrew.

Charles, rozpierając się na krześle, spojrział na niego przyjaźnie.

– Zmienisz przeszłość, kuzynie... – rzekł w rozmarzeniu. – Nadal nie mogę w to uwierzyć.

Jane przyniosła butelkę sherry i nalała mężczyznom po kieliszku. Pili powoli, od czasu do czasu z wyraźną niecierpliwością spoglądając na zegarki, aż wreszcie pisarz się odezwał:

– Dobrze, pora napisać historię na nowo.

Odstawił kieliszek na stół i z powagą znów poprowadził gości na strych. Tu wciąż czekał na nich wehikuł.

– Weź to – powiedział Charles, wręczając kuzynowi rewolwer.

– Już jest załadowany. Kiedy będziesz strzelał do tego drania, celuj w pierś, to najpewniejsze.

– W pierś – powtórzył Andrew. Chwycił broń drżącą ręką i jak najszybciej schował ją do kieszeni, by ani Wells, ani kuzyn nie zdążyli spostrzec strachu, jaki go ogarnął.

Obaj wzięli go pod ramiona i ceremonialnie podprowadzili do wehikułu. Andrew przekroczył mosiężną barierkę i zajął miejsce na siedzeniu. Otaczał go obłok nierealności, który jednak nie przeszkodził mu zauważyć ciemnych rozbryzgów na siedzeniu – młodzieniec dostrzegł je ze zgrozą i strachem.

– A teraz proszę o uwagę – odezwał się autorytatywnym tonem Wells. – Proszę się starać nie nawiązywać z nikim kontaktu, nawet ze swą ukochaną, choćby nie wiem jak bardzo chciał pan znów zobaczyć ją żywą. Niech pan ograniczy swoje działania do zabicia Rozpruwacza i wróci tą samą drogą, którą pan przyjdzie, zanim pojawi się pan sam z przeszłości. Nie wiem, jakie konsekwencje może mieć takie spotkanie wbrew naturze, ale podejrzewam, że mogłoby doprowadzić do katastrofy w tkance czasu, do kataklizmu, który niewykluczone, że zniszczyłby świat. Teraz proszę mi powiedzieć, czy mnie pan zrozumiał.

– Tak, niech się pan o mnie nie martwi – mruknął Andrew, bardziej przestraszony surowością, z jaką przemawiał do niego Wells, niż z powodu fatalnych następstw, które jeśli nie zachowa ostrożności, wynikną z jego kaprysu uratowania Marie Kelly.

– Jeszcze jedno – rzekł Wells, wracając do poważnego tonu, chociaż tym razem nie brzmiało już w nim tak groźne ostrzeżenie. – Ta podróż nie będzie przebiegała jak w mojej powieści. Niestety, nie zobaczy pan ślimaków pełzających do tyłu. Obawiam się, że zgrzeszyłem poetyckim zapędem. Efekty wywoływane przez podróż w czasie są znacznie mniej przyjemne. Po przesunięciu dźwigni zauważy pan trzask energii, który niemal natychmiast przejdzie w oślepiający blask. To wszystko. Potem po prostu będzie pan w 1888 roku. Możliwe, że po przemieszczeniu dozna pan zawrotów głowy lub nudności, ale mam nadzieję, że to nie zaburzy celności strzału – zakończył z ironią.

– Będę to miał na uwadze – mruknął Andrew, szczerze wystraszony.

Wells z satysfakcją skinął głową. Najwyraźniej nie miał już więcej rad do udzielenia, ponieważ zaczął przeszukiwać stojący w pobliżu zagracony regał. Pozostali patrzyli na niego w milczeniu.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu – rzekł, gdy wreszcie znalazł to, na czym mu zależało – przechowamy pański wycinek gazetowy w tej skrzynce. Kiedy pan wróci, otworzymy ją i sprawdzimy, czy udało się zmienić przeszłość. Jeżeli pańska misja się powiedzie, przypuszczam, że nagłówek będzie głosił o śmierci Kuby Rozpruwacza.

Andrew bez specjalnego przekonania kiwnął głową i wręczył pisarzowi swój skrawek gazety. Wówczas podszedł do niego Charles, poważnie położył mu dłoń na ramieniu i dodał mu otuchy uśmiechem, w którym Andrew – jak mu się zdawało – dostrzegł też ślad troski. Gdy jego kuzyn odsunął się, do maszyny podeszła Jane i życzyła młodzieńcowi powodzenia, po czym pocałowała go delikatnie w policzek. Wells uczestniczył w tej ceremonii z promiennym uśmiechem, wyraźnie zadowolony.

– Jest pan pionierem, Andrew – ogłosił, kiedy skończyli z dodawaniem odwagi, jakby uważał, że musi zamknąć akt słowami, które nadają się do wyrycia w marmurze. – Miłej podróży. Jeśli w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat podróże w czasie staną się czymś zwyczajnym, przypuszczalnie zmianę przeszłości będzie się uważało za przestępstwo.

Potem, żeby ostatecznie pogrążyć młodzieńca w niepokoju, poprosił pozostałych, by się cofnęli kilka kroków, ponieważ w przeciwnym razie przypiekłaby ich energia, która wyzwoli się dokoła wehikułu, gdy tylko jego pasażer pociągnie dźwignię. Andrew patrzył, jak się oddalają, i starał się ukryć odczuwaną bezradność. Odetchnął głęboko, usiłując zapanować zarówno nad ogarniającym go strachem, jak i nad wzdęciami. By się podnieść na duchu, powiedział sobie, że ma uratować Marie. Uda się w przeszłość, do nocy jej śmierci, i zastrzeli jej zabójcę, zanim ten zdąży rozplątać jej ciało, a tym samym zmieni historię i wyeliminuje z niej osiem lat bólu, który mu tak dokuczał. Spojrzał na datę widniejącą na desce rozdzielczej, ten przeklęty dzień, który zrujnował mu życie. Nie mógł uwierzyć, że dostanie możliwość ocalenia ukochanej, ale aby pokonać ten brak wiary, wystarczyło pociągnąć w dół dźwignię. Tylko tyle, po prostu. Wtedy byłoby mu wszystko jedno, czy wierzy w podróże w czasie, czy nie. Położył na dźwigni drżącą, spoconą dłoń i poczuł odświeżający chłód kryształu jako coś niezrozumiałego, niedorzecznego, ponieważ wrażenie było znajome, prozaiczne. Spojrzał z powagą na trzy postacie czekające w napięciu przy drzwiach strychu.

– Ruszaj, kuzynie! – zagroził go do działania Charles.

I Andrew przesunął dźwignię.

Początkowo nic się nie działo. Potem jednak usłyszał coś w rodzaju słabego, stałego pomruku, odczuł lekką wibrację powietrza i odniósł wrażenie, jakby do jego uszu dobiegł odgłos trawienia gdzieś z głębi świata. Nagle to monotonne buczenie ustąpiło miejsca nadnaturalnemu zgrzytowi, po czym ciemności strychu przeciął promień ostrego niebieskiego światła. Ponownie nastąpił taki sam ogłuszający trzask i pojawił się kolejny promień, a potem jeszcze jeden i jeszcze – padały na prawo i lewo, jakby chciały sprawdzić wymiary pomieszczenia. Wtem Andrew znalazł się w samym środku niewielkiej burzy z niebieskawymi, bezustannie miotającymi się błyskawicami, a z boku dostrzegł Charlesa, Jane i Wellsa, który rozpościerał ramiona – Andrew nie wiedział, czy pisarz osłania w ten sposób pozostałych przed gwałtownymi błyskami, czy raczej powstrzymuje ich, by mu nie pobiegli na pomoc. Powietrze, a może świat czy też czas albo wszystko naraz, spękało i skruszyło się przed jego oczami. Rozpadła się sama rzeczywistość. I wówczas nagle, tak jak go ostrzegł pisarz, pasażera wehikułu oślepiło intensywne światło, a strych zniknął mu sprzed oczu. Poczuł, że spada, i zacisnął zęby, żeby powstrzymać krzyk.

Musiał zamrunąć kilkanaście razy, zanim odzyskał wzrok. Przed jego oczyma znów pojawił się strych, bez widocznych anomalii, a rozszalałe serce zaczęło się uspokajać. Z ulgą przekonał się, że nie ma zawrotów głowy ani mdłości. Nawet strach – kiedy odkrył, że się nie zwęglił pod wpływem silnego światła, a ten swąd pochodzi od przypalonych ciem, które latały w powietrzu – zaczął się rozwiewać. Przeszkadzała mu jedynie wywołana napięciem, denerwująca sztywność ciała, lecz tego wrażenia nie chciał się pozbywać, ponieważ w głębi duszy uważał je za bardzo odpowiednie. Nie wybierał się przecież na piknik na wieś. Miał zmienić przeszłość, odwrócić coś, co już się dokonało. On, Andrew Harrington, zamierzał namieszać w czasie. Czy przypadkiem nie było lepiej pozostać zwartym i czujnym?

Kiedy efekty błysków wreszcie przeminęły i zaczął widzieć wyraźnie, zdobył się na odwagę, by zejść z maszyny, robiąc przy tym jak najmniej hałasu. Zaskoczyła go twardość podłogi, jak gdyby się spodziewał, że przeszłość, zwyczajnie z tego powodu, że jest zakończonym, zamkniętym odcinkiem czasu, powinna być utworzona z dymu, mgły czy jakiejś innej równie niestałej lub bezcielesnej substancji. Lecz jak się upewnił, delikatnie stukając butami w podłogę, ta rzeczywistość była tak samo solidna jak tamta, z której przybył. Znalazł się zatem w 1888 roku? Podejrzliwie powiódł wzrokiem po pogrążonym w półmroku strychu, a nawet kilka razy wciągnął powietrze, smakując je niczym konoser, jakby szukał dowodu, jakiegoś szczegółu potwierdzającego, że to naprawdę przeszłość, że faktycznie skutecznie przeniósł się w czasie. Dostrzegł go, spoglądając przez okno: ulica wyglądała tak samo, jak ją zapamiętał, ale nigdzie nie było powozu, którym przyjechali, a w przydomowym ogródku zauważył konia, którego tam wcześniej nie widział. Czy zwykła szkapą przywiązana do płotu miała być rozróżnieniem pomiędzy jedną rzeczywistością a drugą? Wydawała się dowodem zbyt słabym i nieprzekonującym. Rozczarowany uważnie spojrział w niebo – ciemne, spokojne płótno, na którym niczym garść rzuconych byle jak ziaren błyskały rozsypane gwiazdy. Tu też nie było widać żadnej anomalii. Po chwili bezproduktywnej obserwacji wzruszył ramionami, mówiąc sobie, że przecież niekoniecznie musi znaleźć spektakularne różnice w otoczeniu, ponieważ od tej przeszłości dzieli go zaledwie osiem lat.

Potem pokręcił głową. Nie może się teraz bawić w skrupulatne entomologiczne porównania. Ma do wypełnienia misję i dokładnie rzecz biorąc, niezbyt duży zapas czasu. Otworzył okno i sprawdziwszy wytrzymałość pnącza, zaczął się po nim spuszczać zgodnie ze wskazówkami Wellsa, starając się możliwie jak najmniej hałasować, aby nie zaalarmować mieszkańców domu. Zejście nie nastęczyło mu żadnych problemów, a gdy się znalazł w ogrodzie, ukradkiem podszedł do konia, który niewzruszenie przyglądał mu się, jak zstępował na ziemię. Andrew pogładził go łagodnie po grzywie, aby rozwiać ewentualną nieufność zwierzęcia. Koń nie był osiodłany, ale obok na płocie wisiło siodło i uzda. Młodzieniec nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Osiodłał wierzchowca spokojnymi ruchami, aby go nie spłoszyć, a przy tym wciąż zerkał czujnie na dom, ten jednak tonął w ciemności. Następnie wziął wodze i wyprowadził konia na ulicę, uspokajając go czułym szeptem. Sam się dziwił temu, że wszystko idzie tak gładko. Wsiadł na konia, rzucił ostatnie spojrzenie na okolicę, przekonując się, że jest zatopiona w zdumiewającym spokoju, i ruszył w stronę Londynu.

Dopiero kiedy oddalił się wystarczająco od domu i pędził przez nocne ciemności, dotarło do niego w końcu, że wkrótce znów spotka Marie Kelly. Wstrząsnęło to nim od środka i ponownie wprowadziło go w podenerwowanie. Tak, chociaż trudno w to uwierzyć, w tych czasach jego ukochana żyje. O tej godzinie nie została jeszcze zamordowana. Pewnie siedzi w Britannii i upija się, żeby zapomnieć

o swoim tchórzliwym kochanku, a wkrótce chwiejnym krokiem ruszy w ramiona śmierci. Przypominał sobie jednak, że nie wolno mu się z nią widzieć, że nie może jej objąć, ukryć głowy w krzywiźnie jej szyi ani wdychać jej upragnionego zapachu. Nie, Wells zabronił mu tego, ponieważ ten zwykły miłosny gest mógłby zaburzyć tkankę czasu i doprowadzić do destrukcji świata. Ma się ograniczyć do zabicia Rozpruwacza i wrócić tam, skąd przybył, tak jak polecił mu pisarz. Jego działanie powinno być szybkie i dobrze obliczone niczym chirurgiczne cięcie, którego skutki pacjent odczuwa dopiero po przebudzeniu, to znaczy on sam dostrzeże je po powrocie do swoich czasów.

Dzielnica Whitechapel była pogrążona w ponurej ciszy. Młodzieńca zaskoczyło, że nie słyszy najmniejszego odgłosu zgiełku, ale przypominał sobie, że tamtej jesieni okolica była przeklęta i zdjeta strachem, ponieważ na ulicach wciąż grasował zadający śmierć swoim nożem potwór przezwany Kubą Rozpruwaczem. Zwolnił, zapuszczając się w Dorset Street, rozumiał bowiem, że w tej gęstej ciszy odgłos końskich kopyt na bruku zabrzmiał głośno niczym hałas z kuźni. Kilka metrów od wejścia do mieszkań przy Miller's Court zsiadł z konia i przywiązał go do żelaznego ogrodzenia w miejscu, do którego nie docierało światło latarni, tak by jego obecność możliwie jak najmniej rzuciła się w oczy. Następnie upewniwszy się, że na ulicy nie ma nikogo innego, szybko przeszedł pod lukiem wiodącym w obręb mieszkań. Wszyscy lokatorzy spali, żadne światło nie ułatwiło mu orientacji w nieprzeniknionej ciemności, lecz Andrew znał to miejsce na tyle, by przejść swą trasę nawet w opasce na oczach. W miarę jak przemierzał tak dobrze sobie znane zakamarki, zaczęła go ogarniać posępna melancholia. Najwyższy poziom osiągnęła w chwili, kiedy stanął przed pokojem Marie Kelly, również ciemnym jak inne. Nostalgia tę rozwiało jednak dogłębne oszołomienie, gdy Andrew uświadomił sobie, że znajduje się tu, przed skromną izdebką, która kiedyś mieściła jego piekło i raj, a jednocześnie stoi w rezydencji Harringtonów i jego ojciec wymierza mu właśnie policzek. Tej nocy, dzięki cudowi nauki, na świecie jest dwóch Andrew. Zastanawiał się, czy tamten drugi też to poczuje: coś między łaskotaniem skóry a kluciem w brzuchu, jak to się podobno zdarza bliźniakom.

Z rozmyślań wyrwał go odgłos kroków. Z sercem coraz szybciej bijącym w piersi Andrew pobiegł, by się ukryć za rogiem sąsiedniego mieszkania. Od samego początku myślał o tej właśnie kryjówce, ponieważ prócz tego, że zdawała się najbezpieczniejsza, znajdowała się zaledwie kilkanaście metrów od drzwi pokoju Marie, w odległości odpowiedniej zarówno, by wyraźnie widzieć, jak i by oddać strzał do Rozpruwacza, w przypadku gdyby Andrew nie odważył się bardziej do niego zbliżyć. Schowany, plecami oparty o mur, wyjął z kieszeni rewolwer i nadstawił uszu, nasłuchując odgłosu zbliżających się kroków. Tworzył nieskładną melodię, jakby wystukiwały ją stopy kogoś rannego lub pijanego. Andrew natychmiast zrozumiał, że mogły należeć tylko do jego ukochanej, i dusza w nim zadrżała jak liść nagle poruszony powiewem wiatru. Tej nocy, tak jak i wielu poprzednich, Marie Kelly wracała z Britannii, zataczając się. Tym razem jednak niebyło tu jego drugiego ja, by ją rozebrać, położyć do łóżka i utulić do alkoholowego snu, który płynął pod jej czaszką niczym strumień pełen potarganych szmat. Wolno wystawił głowę. Jego źrenice przyzwyczyły się już do ciemności na tyle, aby mógł rozróżnić chwiejną sylwetkę ukochanej, która zatrzymała się przed drzwiami swej izdebki. Musiał się powstrzymać, by do niej nie pobiec. Czując, że mu wilgotnieją oczy, patrzył, jak dziewczyna prostuje się, próbując przezwyciężyć spowodowane alkoholem kołysanie, poprawia sobie kapelusik, który jej omal nie spadł z powodu nieustannego rozchwiania, a potem wkłada rękę przez dziurę w oknie i przez niekończące się sekundy mocuje się z zasuwką, żeby ją w końcu otworzyć. Następnie kobieta zniknęła w swoim pokoju, trzaskając niestosownie drzwiami, a po chwili słaby blask z lampki po części rozproszył ciemności w pobliżu jej okna.

Andrew oparł się o ścianę i otarł łzy, ale ledwie miał czas na cokolwiek, ponieważ natychmiast rozległy się kolejne kroki. Ktoś znów zmierzał zaułkiem do wejścia. Młodzieniec po kilku sekundach

rozumiał, że to może być tylko Rozpruwacz. Słyszał, jak jego buty stąpają po bruku coraz bliżej z mrozącą krew w żyłach ostrożnością. Były to ruchy pewnego siebie, bezwzględne drapieżcy, który wie, że jego ofiara nie ma dokąd uciec. Andrew znów wytknął głowę z ukrycia i z przerażeniem ujrzał, jak ogromny mężczyzna nieśpiesznie zbliża się do izdebki jego ukochanej, przyglądając się badawczo temu miejscu. Młody Harrington poczuł dziwny zawrót głowy: o tym, co teraz działo się przed jego oczami, czytał już w prasie. Miał wrażenie, jakby oglądał przedstawienie teatralne, którego przebieg zna na pamięć i pozostaje mu tylko patrzeć na to, co robią aktorzy. Tamten zatrzymał się przed drzwiami i dyskretnie zajrzał przez rozbite okienko, jakby się chciał dostosować do każdego kroku z artykułu gazetowego, który – choć teraz jeszcze nienapisany – Andrew przez osiem lat nosił w kieszeni surduta, a który obecnie, z powodu akrobacji w czasie, byłby raczej przepowiednią aniżeli opisem dokonanych faktów. Ale w odróżnieniu od tamtej nocy młodzieniec był tutaj, gotów zmienić bieg wydarzeń. Z tego punktu widzenia to, co zamierzał zrobić, wydawało się retuszowaniem ukończonego obrazu, jakby chciał dodać nowe pociągnięcia pędzlem do *Trzech Gracji* albo do *Dziewczyny z perłą*.

Rozpruwacz z wyraźną radością stwierdził, że jego ofiara nie ma towarzystwa. Po raz ostatni rzucił okiem na otoczenie i zdawał się zadowolony, a nawet upojony wobec panującego w tym miejscu sprzyjającego spokoju, który pozwoli mu popełnić zbrodnię w nieoczekiwane przyjemnym zaciszu. To zachowanie oburzyło młodzieńca – Andrew impulsywnie wyskoczył zza rogu, nie rozważając nawet możliwości zastrzelenia zbrodniarza z ukrycia. Nagle zabicie drania z takiej odległości, higienicznie, za pomocą rewolweru, wydało mu się działaniem zbyt zimnym, bezosobowym i niesatysfakcjonującym. Przepętniająca go wściekłość domagała się, aby odebrał mu życie w sposób bardziej zażyły, z bliska. Może zadusi go własnymi rękami, zatłucze ręką ręką rewolweru albo zabije w jakikolwiek inny sposób pozwalający na większe zaangażowanie, tak aby mógł poczuć, jak podłe życie zbrodniarza dogasa w nim w rytmie zadawanych ciosów. Ale kiedy tak szedł stanowczym krokiem ku potworowi, zrozumiał, że choćby nie wiedzieć jak bardzo pragnął skończyć z nim w walce pierś w pierś, z powodu olbrzymiej postury przeciwnika i jego własnego braku doświadczenia w tego typu burdach nie powinien rezygnować z broni.

Rozpruwacz, stojąc przy drzwiach izdebki, ze spokojną ciekawością patrzył, jak Andrew ku niemu zmierza – być może zastanawiał się, skąd się wziął ten człowiek. Młodzieniec roztropnie zatrzymał się jakieś pięć metrów od niego, niczym chłopiec, który nie chce się zbyt blisko zbliżyć do klatki lwa z obawy przed zasięgiem jego łap. W ciemności nie dostrzegał jego twarzy, ale może tak było nawet lepiej. Podniósł rewolwer i zgodnie z poleceniem Charlesa wycelował w pierś. I gdyby strzelił w tym momencie, bez dalszych rozważań, nie myśląc o tym, co robi, jakby był to kolejny ruch realizowanej do tej pory pod wpływem impulsu choreografii, wszystko poszłoby gładko, jego działanie byłoby szybkie i dobrze obliczone niczym chirurgiczne cięcie. Niestety, Andrew zatrzymał się, by pomyśleć o tym, co robi, i nagle uświadomił sobie, że zamierza strzelić do człowieka, nie do jelenia czy butelki, a fakt, że zabicie kogoś okazuje się czynnością tak prostą i gwałtowną, że może to zrobić ktokolwiek, przyłoczył go i unieruchomił jego palec na spuście. Rozpruwacz przechylił głowę na wprost z zaskoczeniem, na wprost z drwiną i wówczas Andrew zobaczył, jak trzymająca rewolwer ręką zaczyna drżeć. To ostatecznie zrujnowało jego determinację i zdopingowało Rozpruwacza. Zbrodniarz wykorzystał sekundy wahania napastnika, szybkim ruchem wyjął z zanadrza swego płaszcz nóż i rzucił się z nim na młodzieńca, celując w szyję. Jak na ironię jego zwierzęcy ciężar rozruszał palec młodego Harringtona. Nocną ciszę rozdarł nagły, krótki, oszczędny wręcz huk. Rozpruwacz otrzymał kulę prosto w pierś. Andrew, z rewolwerem wciąż wycelowanym w zbrodniarza, patrzył, jak ten, drżąc, cofa się o kilka kroków. Wówczas opuścił dymiącą, rozgrzaną broń, sam zaskoczony zarówno

tym, jak jej użył, jak i tym, że czuje się nietknięty po odparciu tego niespodziewanego ataku. Chociaż co do tego drugiego nieco się mylił, jak się zaraz przekonał, gdy poczuł palący ból w lewym ramieniu. Nie spuszczać wzroku z Rozpruwacza, który wciąż chwiał się przed nim jak niedźwiedź stojący na dwóch łapach, pomacał palcami bolące miejsce i odkrył, że nóż, mimo że nie trafił w szyję, przeciął mu surdut na ramieniu i zagłębił się w mięśnie. Ale choć krew płynęła z radosnym entuzjazmem, rana nie wydawała się zbyt głęboka. Zbrodniarz tymczasem zwlekał z potwierdzeniem, czy strzał, który otrzymał, był śmiertelny. Po niezdarnym tańcu zgiął się wpół, a jednocześnie zbroczony krwią nóż wymknął mu się z ręki i odbił od kamieni brukowych, po czym zniknął w mroku. Następnie Rozpruwacz zarzęził ochryple, opadł na kolano, jakby w swoim zabójcy rozpoznał księcia, i dał popis kolejnych wariantów poprzedniego jęku, tyle że nieco bardziej piskliwych i przerywanych. Wreszcie, gdy Andrew, mając dość przedstawienia, w jakie się zamieniała agonia, rozważał już możliwość obalenia przeciwnika kopniakiem, zbrodniarz zaskakująco bezceremonialnie zwałił się na bruk i został tam, rozciągnięty u stóp młodzieńca.

Andrew już miał uklęknąć, by sprawdzić u niego oznaki życia, gdy Marie Kelly, niewątpliwie zaalarmowana odgłosami potyczki, otworzyła drzwi swojej izdebki. Zanim go zdołała rozpoznać, młody Harrington odwrócił się na pięcie, opierając się pokusie spojrzenia w twarz ukochanej po ośmiu latach od jej śmierci. Nie interesując się już zwłokami, pobiegł do wyjścia z zaułka, a tymczasem kobieta krzyczała: „Morderca! Morderca!”. Gdy dotarł do łukowatej bramy, pozwolił sobie jeszcze na rzut oka przez ramię i ujrzał Marie Kelly, jak klęcząc w drżącym kręgu światła, pełnym troski ruchem zamyka oczy człowieka, który w odległym czasie, w świetle właśnie przyjmującym konsystencję snu, pociął i okaleczył jej ciało nie do rozpoznania.

Koń czekał tam, gdzie go Andrew zostawił. Młodzieniec, zdyszany po biegu, wskoczył na siodło i oddalił się. Mimo wzburzenia zdołał znaleźć orientację w plątaniu uliczek i odszukać drogę powrotną. Dopiero za miastem zaczął się uspokajać i zastanawiać nad tym, co się stało.

Zabił człowieka, ale przynajmniej zrobił to w obronie własnej. Ponadto nie chodziło o jakiegoś tam człowieka. Zgładził Kubę Rozpruwacza, uratował Marie Kelly, odmienił bieg dokonanych wydarzeń. Mocno popędził konia, pragnąc jak najszybciej wrócić do swoich czasów, by sprawdzić rezultaty tego, co właśnie działał. Jeżeli wszystko poszło dobrze, Marie nie tylko pozostanie żywa, lecz także prawdopodobnie będzie jego żoną. Czy będzie miał z nią dziecko? Dwoje, troje? Ponaglił wierzchowca jeszcze bardziej, dobywając z niego ostatnich sił, jakby się bał, że ta idylliczna teraźniejszość rozwieje się niczym miraż, jeśli on dotrze do niej zbyt późno.

Woking wciąż było pogrążone w tej samej spokojnej ciszy, która kilka godzin temu wzbudziła w nim taką nieufność, lecz teraz ten spokój go cieszył, ponieważ pozwalał dokończyć misję bez większych incydentów. Andrew szybko zsiadł z konia, otworzył bramkę, ale coś go raptownie zatrzymało: w drzwiach domu czekała na niego jakaś postać. Natychmiast przypomniał sobie, co się przydarzyło przyjacielowi Wellsa, i przyszło mu do głowy, że to zapewne jest jakiś strażnik czasu, przybywający z rozkazem dokonania egzekucji na śmiałku, który zmienił przeszłość. Starając się nie panikować, jak najszybciej wyjął z kieszeni broń i wycelował w pierś tamtego, tak jak doradził mu kuzyn w przypadku Rozpruwacza. Intruz odkrył, że Andrew jest uzbrojony, i rzucił się w bok, do ogrodu, gdzie potoczył się i zniknął w ciemnościach. Młodzieniec próbował podążać za jego kocimi ruchami z rewolwerem gotowym do strzału, ale za bardzo nie wiedział, co robić, aż ujrzał, że tamten zwinnie wspina się na ogrodzenie i zeskakuje na ulicę.

Dopiero kiedy usłyszał oddalający się tupot stóp, opuścił broń i postarał się z wolna uspokoić oddech. Czy to ten człowiek zabił przyjaciela Wellsa? Nie wiedział, lecz teraz, gdy tamten uciekł, nie miało to większego znaczenia. Andrew zapomniał o nim i zaczął się wspinać po pnączu. Musiał się

przy tym posługiwać tylko jedną ręką, ponieważ druga rwała go przy każdej próbie najmniejszego wysiłku. Mimo to udało mu się dostać na strych, gdzie czekał na niego wehikuł czasu. Wyczerpany i cokolwiek osłabiony z powodu utraty krwi, osunął się na siedzenie, nastawił na desce rozdzielczej datę powrotu i pożegnawszy czułym uśmiechem rok 1888, bez dalszej zwłoki przesunął kryształową dźwignię.

Tym razem, kiedy rozbłysły błyskawice, nie poczuł strachu, tylko przyjemne wrażenie powrotu do domu.

Gdy błyski w końcu ustały, pozostawiając parę unoszących się w powietrzu pierzastych smug dymu, jakby na strychu rozegrała się bitwa na poduszki, Andrew z zaskoczeniem ujrzał, że Charles, Wells i jego małżonka czekają na niego stłoczeni przy drzwiach w takich samych pozach, w jakich ich zostawił. Przywitał ich uśmiechem, który w zamierzeniu miał być triumfalny, ale zawroty głowy i coraz intensywniejszy ból rany sprawiły, że jego mina przybrała postać grymasu słabości. Kiedy się podniósł, żeby zejść z maszyny, pozostali ujrzeli buchającą z lewego ramienia krew, która lada chwila miała zaplamić podłogę.

– Święci Pańscy, Andrew! – wykrzyknął jego kuzyn, podbiegając bliżej. – Co ci się stało?
 – Nic takiego, Charles – odparł, potykając się i wspierając na kuzynie. – To tylko draśnięcie.

Wells wziął go pod drugie ramię i obaj pomogli mu zejść po schodach ze strychu. Próbował iść o własnych siłach, ale widząc, że nie zwracają uwagi na jego wysiłki, potulnie pozwolił się zaprowadzić do saloniku, jak zapewne pozwoliłyby też hordzie demonów nieść się na rękach do samego piekła. Nie był już w stanie robić nic innego, jako że nagromadzone napięcie, utrata krwi i forsowny galop złożyły się na to, by wyczerpać całą jego energię. Usadowili go ostrożnie na fotelu stojącym najbliżej kominka, na którym płonął wesoły ogień. Wells z miną, która młodzieńcowi wydała się grymasem niesmaku czy rozdrażnienia, dokładnie obejrzał ranę i polecił żonie, aby przyniosła bandażę i wszystko, co potrzebne do zatamowania krwawienia. Brakowało tylko, by kazał jej się śpieszyć co sił w nogach, ponieważ w przeciwnym wypadku ten tryskający krwią wesołek spowoduje nieodwracalne szkody na dywanie. Niemal natychmiast błogosławiony oddech ognia uśmierzył drżenie podróznika, chociaż zarazem groził, że go uśpi. Na szczęście Charles wpadł na pomysł, by włożyć kuzynowi w ręce kieliszek, a nawet pomógł mu przytknąć go do ust, dzięki czemu alkohol rozproszył nieco nudności i omdlewającą słabość, która ogarniała młodzieńca. Wkrótce ponownie zjawiała się Jane i przystąpiła do opatrywania rany z wprawą pielęgniarki zaprawionej w pracy na froncie. Odcięła nożyczkami rękaw surduta i nałożyła na krwawiące miejsce mikstury oraz opatrunki, od czego Andrew mimowolnie zacisnął zęby, zaskoczony silnym szczypaniem. Zakończyła, hojnie owijając ramię bandażem, po czym odsunęła się o kilka kroków, by z zadowoleniem przyjrzeć się swemu dziełu. Dopiero wówczas, po załatwieniu najważniejszej sprawy, grupka przypadkowych ratowników utworzyła wyczekujący krąg wokół fotela, na którym spoczywał Andrew. Spodziewali się, że młodzieniec poinformuje ich o tym, co się wydarzyło. On zaś przypomniał sobie leżącego na bruku Rozpruwacza i Marie zamykającą mu oczy, jakby to było marzenie senne. To nie mogło oznaczać nic innego jak fakt, że misja się powiodła.

– Udało mi się – oznajmił, starając się, by w jego głosie entuzjazm zagłuszył zmęczenie. – Zabiłem Kubę Rozpruwacza.

Jego słowa wywołały wybuch radości, który Andrew obserwował z rozbawionym zdziwieniem. Zasypali go lawiną gorących braw, a potem zaczęli się obejmować, wznosić owacyjne okrzyki i wychwalać go z egzaltacją pasującą raczej do powitania nowego roku albo jakiegoś pogańskiego rytuału. Kiedy sobie uświadomili, że przesadzają z tą reakcją, uspokoili się i znów patrzyli na niego z sympatią i ciekawością. Andrew uśmiechnął się do nich nieco onieśmielony i w końcu, jako że najwyraźniej nikt nie miał ochoty niczego już dodawać, powiódł wzrokiem po otoczeniu, szukając czegoś, co zdradzałoby przypuszczalne zmiany, jakie jego pociągnięcie pędzlem musiało spowodować na płótnie teraźniejszości. Oczywiście młodzieńca zatrzymały się na spoczywającej na stole skrzyneczce po cygarach, która – jak pamiętał – zawierała jego wycinek gazetowy. Wszyscy podążyli za jego spoj-

rzeniem.

– Dobrze – rzekł Wells, czytając mu w myślach. – Wrzucił pan kamień do spokojnego stawu i niecierpliwie wypatruje fal na powierzchni. Nie zwlekajmy już więcej. Pora sprawdzić, czy naprawdę zmienił pan przeszłość.

Wróciwszy do swojej roli mistrza ceremonii, Wells podszedł do stołu, uroczyście wziął kasetkę i podał ją młodzieńcowi, jednocześnie podnosząc wieczko, niczym jeden z Trzech Króli wręczający Dzieciątku kadzidło. Andrew wyjął wycinek, starając się, by mu za bardzo nie drżały ręce. Czując, jak serce w nim zamiera, zaczął go rozkładać. Kiedy to zrobił, znalazł jednak ten sam nagłówek, który czytał od lat. Szybki rzut oka pozwolił stwierdzić, że treść artykułu też pozostała identyczna: jakby się nic nie wydarzyło, prasowe doniesienie informowało o brutalnym morderstwie popełnionym na Marie Kelly przez Kubę Rozpruwacza, który następnie został pojmany przez Komitet Czujności Dzielnicy. Andrew oszołomiony spojrzał na Wellsa. To niemożliwe.

– Ale ja go zabiłem... – zaprotestował bez specjalnego przekonania. – To nie jest prawda...

Wells z namysłem dokładnie sprawdził gazetę. Wszyscy utkwili w nim wzrok w oczekiwaniu na werdykt wyjaśniający sytuację. Pisarz przez kilka sekund medytował nad artykułem, po czym wyrwał mu się pomruk zrozumienia. Wyprostował się nagle i na nikogo nie patrząc, zaczął się w milczeniu przechadzać po pokoju. Wziąwszy pod uwagę skromne rozmiary pomieszczenia, musiał się ograniczyć do kilku okrążeń stołu; ręce trzymał w kieszeniach i od czasu do czasu kiwał głową z aprobatą, jak gdyby dawał znać zebranym, że wyjaśnienie sprawy toruje sobie drogę do jego umysłu. W końcu zatrzymał się przed młodzieńcem i posłał mu smutny uśmiech.

– Uratował pan tę dziewczynę, panie Harrington – oświadczył z pogodnym przekonaniem. – To nie ulega wątpliwości.

– Ale wobec tego... – wymamrotał Andrew – czemu ona nie żyje?

– Ponieważ konieczne jest, aby wciąż była martwa, żeby pan wybrał się w podróż w czasie i ocalał ją! – zawołał pisarz, jakby obwieszczał coś oczywistego.

Andrew zamrugął, nie rozumiejąc tego, co Wells sugeruje.

– Proszę pomyśleć: czy przybyłby pan do mojego domu, gdyby ona żyła? Nie rozumie pan, że zabijając mordercę i zapobiegając jej śmierci i okaleczeniu, wyeliminował pan również powody swojej podróży w czasie? A gdyby nie było podróży, nie doszłoby do zmiany. Oba zdarzenia, jak pan widać, są nierozdzielne – wyjaśnił Wells, potrząsając gazetowym wycinkiem, który przez to, że zachowywał swój oryginalny nagłówek, potwierdzał jego teorię.

Andrew wolno pokręcił głową i spojrzał na pozostałych, najwyraźniej tak samo zdezorientowanych jak on.

– Nie jest to aż tak skomplikowane – rzucił Wells, pokpiwając sobie z konsternacji słuchaczy. – Wytłumaczę wam w inny sposób. Wyobraźcie sobie, co musiało się zdarzyć po powrocie pana Harringtona do wehikułu czasu: jego ja przeszłości dotarło do pokoju Marie Kelly, ale tym razem nie zastało jej z wnętrznościami na wierzchu, tylko żywą, nad zwłokami człowieka, którego policja wkrótce zidentyfikowała jako Kubę Rozpruwacza. Na szczęście pojawił się czyniący sprawiedliwość jeździec znikąd i zabił zbrodniarza, zanim ten zdążył powiększyć swą listę ofiar o ukochaną młodzieńca. I dzięki temu nieznanemu strażnikowi prawa młody Andrew będzie mógł żyć szczęśliwie u jej boku, chociaż jak na ironię nigdy się nie dowie, że zawdzięcza to sam sobie, to jest oczywiście panu, panie Harrington. – To powiedziawszy, pisarz spojrzał na niego wyczekująco, z żarliwością dziecka, które po zakopaniu w ziemi nasionka spodziewa się, że zaraz wyrośnie drzewo. Widząc, że Andrew wciąż patrzy na niego z zakłopotaniem, dodał: – To tak, jakby pański czyn spowodował rozdzielenie strumienia czasu, jakby utworzył pan coś w rodzaju alternatywnego wszechświata, by tak rzec: swia-

ta równoległego. I w tamtym świecie Marie Kelly jest żywa i szczęśliwa u pańskiego boku. Niestety, pan pozostał w swojej, niewłaściwej rzeczywistości.

Andrew patrzył, jak Charles kiwa głową, coraz bardziej usatysfakcjonowany wyjaśnieniem Wellsa, a potem spogląda na niego, oczekując, że kuzyn będzie równie przekonany. Andrew jednak potrzebował jeszcze kilku sekund, aby przemyśleć sobie słowa pisarza. Spuścił głowę i starał się ignorować pytające spojrzenia pozostałych, by spokojnie rozważyć sprawę. Wziąwszy pod uwagę, że w jego rzeczywistości najwyraźniej nic się nie zmieniło, jego podróż wehikułem czasu nie tylko mogła się wydawać bezużyteczna, lecz także można by zakwestionować, czy w ogóle do niej doszło. Ale on wiedział, że się zdarzyła naprawdę. Nie mógł zapomnieć sylwetki Marie ani huku wystrzału, ani wstrząsu, jaki wywołał w jego ramieniu odrzut rewolweru, a tym bardziej nie mógł zapomnieć odniesionej rany, tego brzydkiego rozcięcia, które przywiózł z sobą niczym niepodważalny znak poświadczający, że to, czego doświadczył, nie było snem. Owszem, to wszystko zdarzyło się naprawdę i fakt, że nie widać skutków, nie musiał oznaczać, że ich nie ma, jak to zaraz zrozumiał Wells. W ten sam sposób jak korzenie drzewa zapuszczają się w skałę, szukając nowej ścieżki wzrostu, konsekwencje jego czynu, który nie może rozpuścić się w powietrzu, utworzyły nową rzeczywistość, równoległy świat, w którym on, Andrew, jest szczęśliwy z Marie Kelly, ale ten świat nie zaistniałby, gdyby Andrew nie wybrał się w podróż w czasie. To oznaczało, że ocalił swą ukochaną, choć nie może czerpać z tego bezpośredniej radości. Ma tylko pocieszającą satysfakcję – świadomość, że zapobiegł śmierci dziewczyny, że zrobił wszystko, co w jego mocy, aby naprawić swój błąd. Przynajmniej jego ja z równoległej rzeczywistości korzysta z tego szczęścia, powiedział sobie z pewną rezygnacją. Ten drugi Andrew, który tak naprawdę był również nim, krew z krwi, kość z kości, będzie miał szansę zrealizować jego marzenia punkt po punkcie. Będzie miał okazję uczynić Marie swoją żoną, kochać ją na przekór sprzeciwowi ojca i złośliwym uwagom sąsiadów. I Andrew żałował, że przez minione osiem lat, spędzone na udreće, nie był świadomy tego cudu, podczas gdy ów drugi on, któremu bardziej dopisało szczęście, nieustająco cieszył się każdą sekundą swego życia, zaludniając ziemię owocami swojej miłości.

– Rozumiem – szepnął, uśmiechając się nieznacznie do zebranych.

Wells nie mógł się powstrzymać od triumfalnego gestu.

– Cieszę się, że pan to pojął! – zawołał, a tymczasem Charles i Jane znów dodali mu otuchy, klepiąc go serdecznie po ramionach.

– Wiecie, dlaczego w moich podróżach w przeszłość zawsze unikałem siebie? – zapytał pisarz, nie zwracając uwagi na to, że nikt go nie słucha. – Ponieważ mogłoby się zdarzyć, że w którymś momencie życia wszedłbym przez drzwi i przywitał samego siebie, do czego na szczęście dla mojego zdrowia psychicznego nigdy nie doszło.

Charles jak poprzednio znowu wpadł w euforię i obejmował kuzyna raz za razem, a potem pomógł mu wstać z fotela, podczas gdy Jane matczynym gestem poprawiała na nim ubranie.

– Może te dźwięki, które nas straszą w nocy, te zgrzyty, które przypisujemy meblom, to po prostu kroki jakiegoś przyszłego mnie. Chodzę i podglądam, jak śpimy, ale nie śmiem przeszkadzać – dywagował Wells, nie uczestnicząc w ogólnej radości.

Wyszedł z poetyckiego transu dopiero, gdy Charles wyciągnął do niego rękę.

– Bardzo dziękujemy za wszystko, panie Wells – rzekł Charles. – Przepraszam za tamto wtargnięcie do pańskiego domu. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy.

– Nie przejmujcie się tym, nie przejmujcie. Już o tym zapomniałem – odpowiedział pisarz z nieokreślonym gestem, jak gdyby odkrył, że znalezienie się na muszce ma jakieś terapeutyczne, uzdrawiająca działanie.

– Co pan zrobi z wehikułem, zniszczy go? – odważył się nieśmiało spytać Andrew.

Wells spojrział na niego z pobłażliwym uśmiechem.

– Przypuszczam, że tak – odparł. – Teraz, kiedy maszyna spełniła misję, do której została wynaleziona.

Młodzieniec skinął głową, mimowolnie czując, że poruszyły go stanowcze słowa pisarza. Nie sądził, że jego dramat jest jedyną sprawą zasługującą na wykorzystanie wynalazku, który trafił do rąk Wellsa, ale ucieszył się, że pisarz, prawie go nie znając, okazał mu współczucie w jego tragedii do tego stopnia, że uznał ją za znakomity powód do naruszenia warstw czasu, do zmiany samej jego tkaniki i narażenia świata na niebezpieczeństwo.

– Ja też uważam, że tak będzie najlepiej, panie Wells – powiedział, gdy się otrząsnął z emocji. – Ponieważ pańskie podejrzenia są prawdziwe. Ktoś strzeże czasu, pilnuje przeszłości. Natknąłem się na jednego z tych strażników podczas powrotu, w drzwiach pańskiego domu.

– Naprawdę? – zdziwił się Wells.

– Tak, ale na szczęście udało mi się go wystraszyć – odrzekł Andrew, a następnie uścisnął pisarza ze szczerą sympatią.

Charles i Jane z zadowoleniem patrzyli na tę scenę, która gdyby nie sztywność, z jaką Wells przyjął uścisk swego gościa, byłaby wielce poruszająca. Gdy wreszcie Andrew skończył z wyrazami wdzięczności, Charles pożegnał się z małżeństwem Wellsów i wyprowadził kuzyna z domu, aby się znów nie rzucił w ramiona zażenowanego pisarza.

Andrew przeszedł przez ogród czujnie, z prawą ręką w kieszeni, zaciśniętą na rewolwerze. Bał się, że strażnik czasu podążył za nim do jego epoki i ukrywa się gdzieś w pobliżu. Ale nie było po nim śladu. Na zewnątrz czekała na nich dorożka, którą przyjechali zaledwie kilka godzin temu, chociaż zdawało się, że od tamtego momentu upłynęły wieki.

– Masz ci los, zapomniałem kapelusza – powiedział Charles, kiedy już wsiedli do powozu. – Zraz wracam, Andrew.

Jego kuzyn skinął głową w roztargnieniu i rozsiadł się wygodniej, naprawdę wyczerpany. Przez okienko powozu spoglądał w ciemność blaknącą już pod naporem nadchodzącego dnia. W taki sam sposób jak tkanina surduta przeciera się na łokciach, noc zaczynała się strzępić na rogach nieba, jego czerń z wolna płowiała, przyjmując coraz jaśniejszą, niebieskawą barwę, aż blady blask spokojnie, powoli przystąpił do rzeźbienia świata. Jeśli nie liczyć woźnicy, który zdawał się drzemać na koźle, można by powiedzieć, że ten piękny spektakl złoto–purpurowych welonów został wyczarowany specjalnie dla niego. W ciągu ostatnich lat Andrew wielokrotnie bywał świadkiem majestatycznego budzenia się dnia, prawie zawsze oglądając to zjawisko z zagajników Hyde Parku. Zastanawiał się wówczas, czy to dzień jego śmierci, dzień, w którym wzbierający ból każe mu rozstać się z własnym życiem, skończyć ze sobą za pomocą broni podobnej do tej spoczywającej teraz w jego kieszeni – którą skradł z witryny, nie podejrzewając, że ostatecznie posłuży mu ona do zabicia Kuby Rozpruwacza. Teraz jednak nie mógł przyglądać się temu świtowi i pytać sam siebie, czy przeżyje, aby zobaczyć, co będzie dalej, ponieważ znał odpowiedź: zobaczy jutrzejszy poranek i następny, i wszystkie kolejne, które po nich przyjdą, gdyż po tym, jak ocalił Marie, trudno by mu było podtrzymać powody do popełnienia samobójstwa. Czy miałyby trwać przy swoim planie czystą siłą bezwładności, czy może zabić się po prostu, aby trafić do – jak to ujął Wells – równoległego świata? Nie wydawało się to wystarczającym motywem, a przynajmniej nie aż tak szlachetnym, nie wspominając o tym, że mogłoby wywołać w gruncie rzeczy absurdalną zazdrość względem niego samego istniejącego w innym czasie, ponieważ ten inny Andrew to był on sam, więc powinien postrzegać jego szczęście z takim samym zadowoleniem jak swoje własne, a jeśli jemu tego szczęścia brakowało, tak jak szczęście

swego brata czy kuzyna. Bądź co bądź, skoro trawa zawsze jest bardziej zielona u sąsiada, czemu nie miałoby tak być z sąsiednim światem? Powinien się cieszyć tym, że jest szczęśliwy w innym miejscu, że osiągnął spełnienie w równoległej rzeczywistości.

Gdy doszedł do tego wniosku, powstało nieoczekiwane pytanie: czy wiedząc, że w innym świecie masz życie, jakiego pragniesz, będziesz się umiał powstrzymać od próby dostania się do tego świata? Początkowo nie potrafił sobie na to odpowiedzieć, ale po chwili namysłu orzekł, że owszem: właśnie został zwolniony z rozpacz, dostał pozwolenie na to, by być szczęśliwym, mógł po prostu zbudować sobie spokojne życie, a w nim czerpać radość z małych przyjemności, nie czując we wnętrzu nośnościach najmniejszego ukłucia frustracji, ponieważ – choćby nie wiedzieć jak banalne się to wydawało – zawsze mógł się pocieszyć myślą, że w pełni żyje w innym miejscu, odległym i bliskim w czasie, miejscu niedostępnym, które nie figuruje na żadnej mapie, ponieważ znajduje się pod nią. Nagle odczuł ogromną ulgę, jakby go uwolniono z ciężaru, który dźwigał na barkach niemal od dnia narodzin. Poczł się wolny, pozbawiony odpowiedzialności, szalony. Owładnęła nim wielka ochota, by się rzucić w wir życia, znów znaleźć się w koleinach, którymi podąża ludzkość, napisać liścik do Victorii Keller albo do Madeleine, w razie gdyby Victoria była już żoną jego kuzyna, i zaprosić ją na kolację czy do teatru lub na spacer w jakimś parku, gdzie mógłby zastawić na nią pułapkę i zbliżyć usta do jej ust, po prostu dlatego, że wie, że tego nie zrobi. Najwyraźniej tak właśnie funkcjonował świat: niczego nie wykluczając, pozwalając, by działo się wszystko to, co się może zdarzyć. Choć on postanowiłby ją pocałować, inny Andrew by się przed tym wzdragał, potoczyłby się po spadzistości czasu i wylądował na innych ustach, aby się znów rozszczepić na następnego bliźniaka, który po licznych kolejnych rozdwojeniach runąłby w przepaść samotności.

Andrew rozparł się na siedzeniu zaskoczony, że odrzucone skrawki życia nie zamieniają się w wióry wymiatane miotłą stolarza, lecz każdy z nich tworzy nową egzystencję, a ta konkuruje z tą autentyczną o to, która z nich okaże się prawdziwa. Zakręciło mu się w głowie na samą myśl o tym, że przy każdym napotykanym na ścieżce życia rozdrożu przychodzą na świat kolejni jego bliźniacy, których egzystencje płyną wraz z jego życiem i będą płynąć nawet dalej, gdy jego życie dobiegnie końca, on zaś nie może tego zobaczyć, ponieważ tak się składa, że to ograniczone możliwości ludzkich zmysłów ustanawiają granice świata. Ale skoro tak, skoro świat niczym czarodziejska skrzynia ma drugie dno i rzeczywiście trwa poza zasięgiem naszych zmysłów, ciągnie się tam, gdzie już sądzymy, że nic nie ma? To tak jakby zadawać sobie pytanie, czy róże zachowują swoje barwy, gdy nikt na nie nie patrzy. Miał rację czy może bredził?

Rzecz jasna pytanie było retoryczne. Ale świat zadał sobie trud, by mu odpowiedzieć. Nagle powiał łagodny wietrzyk, podniósł liść, jeden z wielu zaścielających chodnik, i kazał mu tańczyć nad powierzchnią kałuży – ta magiczna sztuczka była przeznaczona dla jednego, jedyne go widza. Andrew zdziwiony przyglądał się płasom liścia, aż buty jego kuzyna położyły kres ulotnemu przedstawieniu.

– Gotowe, możemy jechać – obwieścił Charles, pokazując kapelusz takim triumfalnym gestem, jakim myśliwy potrząsa upolowaną kaczką. Wsiadłszy do powozu, uniósł brew, zaskoczony uśmiechem rozświetlającym twarz oderwanego od rzeczywistości kuzyna. – Dobrze się czujesz, Andrew? – spytał.

Kuzyn spojrział na niego serdecznie. Charles poruszył niebo i ziemię, żeby mu umożliwić uratowanie Marie Kelly, toteż on, Andrew, spłaci mu ten dług najlepiej, jak będzie umiał: pozostając przy życiu, przynajmniej do czasu, aż wybije jego godzina. Odda mu zawiązką całą dobroć, jaką otrzymał od niego przez te wszystkie lata, dobroć, za pomocą której kuzyn walczył z jego apatią i obojętnością, teraz przyprawiającą młodego Harringtona o zawstydzenie. Tak, rzuci się w objęcia życia, przyjmie je z otwartymi ramionami niczym nieoczekiwany dar i przyłoży się, aby żyć najlepiej, jak

umie, jak to robią wszyscy, jak to robi Charles. Przekształć swoje życie w długi, pogodny niedzielny wieczór, podczas którego czeka się na nadejście zmierzchu. Nie powinno być szczególnie trudno, mógłby się nawet nauczyć cieszyć tym zwyczajnym cudem, że jest żywy.

– Lepiej niż kiedykolwiek, Charles – odpowiedział z nagłym ożywieniem. – Tak dobrze, że chętnie przyjąłbym zaproszenie na kolację u was w domu, pod warunkiem że twoja urocza żona zaprosi również swoją nie mniej czarującą siostrę.

I tak mógłbym zakończyć tę część historii, a dla młodego Harringtona właśnie tak się ona kończy, lecz nie jest to wyłącznie jego historia. Do tego, aby przedstawić wyłącznie jego historię, nie byłaby potrzebna moja interwencja: mógłby ją opowiedzieć sam, jak każdy inny człowiek na łożu śmierci. Ale taka historia jest zawsze niekompletna, częściowa, ponieważ tylko człowiek, który tuż po przyjsciu na świat został rozbitkiem na bezludnej wyspie, dorastał tam, zestarzał się i umarł, za jedyne towarzystwo mając garstkę miejscowych małp, mógłby stwierdzić bez ryzyka popełnienia błędu, że jego życie jest dokładnie takie, za jakie on sam je uważa, i to tylko pod warunkiem, że makaki nie ukryły w jakiejś jaskini skrzynki z książkami, ubraniami i fotografiami, którą morze uprzednio wyrzuciło na brzeg. Jednak z wyjątkiem niemowląt zagubionych na bezludnych wyspach oraz podobnych ekstremalnych przypadków człowiek zostaje stworzony, by stać się częścią ogromnego gobelinu, a w nim przeplatać swoją egzystencję z wątkami życia wielu innych dusz gotowych osądzać jego czyny, zarówno patrząc mu w twarz, jak i za jego plecami. Dlatego tylko wtedy, gdy ktoś uzna, że reszta świata to scena z marionetkami, które przestają się poruszać, kiedy on idzie spać, będzie mógł twierdzić, że jego życie dokładnie pokrywa się z jego opowieścią. W przeciwnym razie tuż przed wydaniem ostatniego tchu będzie musiał skapitulować i pogodzić się z tym, że modelowanie własnego życia nie jest możliwe w pełni i podlega kaprysom losu, a ponadto istnieją rzeczy mające nań wpływ, dobry czy zły, o których on nigdy się nie dowie: począwszy od tego, że jego żona była kiedyś kochanką cukiernika, a skończywszy na tym, że pies sąsiada sikał na jego azalie, ilekroć on oddalał się z domu. I na tej samej zasadzie, zgodnie z którą Charles nie był świadkiem zachwycającego walca, jaki liść wykonał na wietrze ponad kałużą, Andrew nie widział, jak jego kuzyn odzyskał swój drogi kapelus. Mógł sobie wyobrazić, jak Charles wchodzi do domu Wellsa, przeprosza za ponowne najście, żartuje, że tym razem wszedł bez broni, i wszyscy troje niczym dzieci chodzą na czworakach po dywanie, szukając zapodżanego nakrycia głowy. Wiemy jednak, że nie miał czasu na wyobrażanie sobie tego, co porabia kuzyn, ponieważ był zatopiony w głębokich rozważaniach nad światami i czarodziejskimi skrzyniami.

Ja natomiast wszystko to widzę i słyszę, choćbym nie chciał, i jak oddziela się ziarno od plew, wybieram zdarzenia mające duże znaczenie dla historii, którą postanowiłem opowiedzieć. Zatem przyjdzie nam się cofnąć dobrą chwilę do momentu, w którym Charles zauważył, że zapomniał kapelusza, i wraca do domu pisarza. Zapytacie być może, jakie znaczenie dla tej historii ma tak błahe zdarzenie jak wrócenie się po zapomniany kapelus. Odpowiedziałbym, że absolutnie żadne, gdyby to była prawda, że Charles zapomniał kapelusza przez przypadek, ale sprawy nie zawsze są takie, jakimi się wydają, i darujcie mi, że nie podam tu listy przykładów, ponieważ zapewne bez problemu znajdziecie je we własnym życiu, bez względu na to, czy macie w pobliżu cukiernię lub czy hodujecie w ogrodzie azalie. Tak więc bez dalszej zwłoki podążamy za Charlesem.

– Masz ci los, zapomniałem kapelusza – powiedział, kiedy już wsiedli do powozu. – Zaraz wracam, Andrew.

Charles długimi krokami pośpiesznie przemierzył ogródek od frontu i wszedłszy do domu pisarza, skierował się do saloniku, do którego poprzednio zaprowadził kuzyna. Tu czekał na niego kapelus spokojnie wiszący na wieszaku, dokładnie tam, gdzie go zostawił. Charles wziął go z uśmiechem i ruszył do korytarza, ale nie w stronę, z której właśnie przyszedł, co byłoby logiczne, tylko w przeciwną – wspiął się po schodach prowadzących na strych. Tu zastał pisarza i jego żonę poruszających się po poddaszu w wąłym blasku świecy ustawionej na podłodze, koło wehikułu czasu. Charles gło-

śno odchrząknął, aby dać znać o swojej obecności, po czym triumfalnie obwieścił:

– Myślę, że poszło dobrze: mój kuzyn we wszystko uwierzył!

Wells i Jane zbierali właśnie cewki elektryczne, które uprzednio pochowali wśród rupieci na półkach. Charles zachował ostrożność, aby nie nadebrać na aktywujący je, umieszczony przy wejściu przełącznik, który między innymi generował ogłuszające wyładowania elektryczne – owe błyskawice, które tak bardzo przstraszyły jego kuzyna. Po tym, jak poprosił pisarza o pomoc i przedstawił mu plan, który zamierzał przeprowadzić przy jego współpracy, ten zaproponował wykorzystanie owych diabelskich cewek, Charles jednak okazywał wobec nich nieufność. Cokolwiek zawstydzony przyznał, że był jednym z licznych widzów, którzy niczym przerażone szczury uciekli z muzeum, gdzie wynalazca tych cewek, blady, patykowaty Nikola Tesla prezentował społeczeństwu to złowrogie urządzenie produkujące niebieskie błyskawice, wstrząsające powietrzem sali i jeżące włos na głowie, ale Wells zapewnił Charlesa, że te nieszkodliwe gadżety to już najmniejsze z ich zmartwień. Ponadto – dodał – warto zapoznać się z wynalazkiem, który zrewolucjonizuje świat, po czym opowiedział mu głosem wręcz pełnym nabożnego oddania, że Tesla miał duży wpływ na budowę na wodospadzie Niagara hydroelektrowni, która zaopatruje w elektryczność miasto Buffalo. Jest to pierwszy etap projektu, który wyeliminuje noc na Ziemi, twierdził Wells. W jego oczach Tesla był niekwestionowanym geniuszem. Pisarz czekał niecierpliwie, by wynalazca jak najszybciej opracował maszynę do pisania działającą na ludzki głos, tak by się mógł wreszcie uwolnić od uciążliwego dziobania palcami w klawisze, ponieważ jego wyobraźnia zawsze wybiega do przodu, wyprzedza pisanie i nie pozwala się dogonić. Teraz, gdy plan już się powiódł, Charles musiał przyznać, że Wells spisał się znakomicie: podróż w czasie nie okazałaby się aż tak wiarygodna, gdyby nie hałaśliwe błyskawice, które ostatecznie stały się idealnym wstępem, zanim umieszczona w fałszywej desce rozdzielczej sproszkowana magnezja oślepiła na chwilę osobę przesuwającą dźwignię.

– Wspaniale! – uradował się Wells, uwalniając się od cewek, które miał w rękach, i śpiesząc na przeciw Charlesowi. – Już pan wie, że nie miałem ich wszystkich przy sobie. Zbyt wiele rzeczy mogło się nie udać.

– Tak – zgodził się Charles. – Ale nie mieliśmy nic do stracenia, a wiele do zyskania. Tak jak panu mówiłem: jeżeli wszystko pójdzie dobrze, mój kuzyn porzuci myśl o samobójstwie. – Spojrzał na Wellsa ze szczerym podziwem, a potem dodał: – I muszę przyznać, że pańska teoria światów równoległych wyjaśniająca śmierć Rozpruwacza bez konsekwencji dla teraźniejszości zabrzmiała tak realnie, że nawet ja w nią uwierzyłem.

– Cieszę się, ale niecała zasługa jest moja. Pan miał trudniejsze zadania: wynająć aktorów, podmienić kulę w rewolwerze na ślepy nabój, a przede wszystkim zlecić skonstruowanie maszyny – rzekł Wells, wskazując wehikuł czasu.

Obaj przez kilka sekund patrzyli na urządzenie z ogromną sympatią.

– Tak, i rezultat jest naprawdę piękny – przyznał Charles, po czym zażartował: – Szkoda, że nie działa.

Po chwili wahania Wells roześmiał się uprzejmie, co sprawiło, że z jego gardła wydobył się zgrzyt podobny do odgłosu kruszenia orzecha.

– Co mam z nią zrobić? – zapytał zaraz, jakby chciał jak najszybciej zatuszować echo owego chorego śmiechu, którym odważył się udowodnić światu, że ma poczucie humoru.

– O, nic – odpowiedział Charles. – Chciałbym, żeby ją pan zatrzymał.

–Ja?

– Jasne, gdzie będzie jej lepiej niż u pana? Proszę ją przyjąć jako prezent w podziękowanie za nieocenioną pomoc.

– Nie musi mi pan za nic dziękować – zaprotestował Wells. – Znakomicie się przy tym wszystkim bawiłem.

Charles uśmiechnął się sam do siebie. Miał szczęście, że pisarz zechciał mu pomóc. Tak samo jak Gilliam Murray – jemu również spodobał się współudział w maskaradzie, którą sam pomógł urządzić, widząc, jak Charles zdruzgotany jest informacją, że przedsiębiorstwo Murraya nie umożliwia podróży w przeszłość. A z zamożnym przedsiębiorcą gotowym odegrać swoją rolę w sztuce wszystko okazało się łatwiejsze. Gdyby zabrał kuzyna do domu pisarza bez uprzedniej wizyty u Murraya, który wyraził swoje podejrzenia co do faktycznego istnienia wehikułu czasu, nie osiągnąłby tak wiarygodnego rezultatu.

– Jeszcze raz ogromnie panu dziękuję – powiedział szczerze wzruszony Charles. – Jestem też wdzięczny pani, Jane, za to, że poprosiła pani woźnicę, by ukrył dorożkę w bocznej uliczce, i przywiązała konia do płotu, podczas gdy my na niby zastraszałyśmy pani męża.

– Nie musi mi pan za nic dziękować, panie Winslow, dla mnie to również była przyjemność. Jednakże nigdy panu nie wybaczę, że kazał pan aktorowi dźgnąć swego kuzyna... – skarciła go z rozba-wionym uśmiechem kogoś, kto bez specjalnej surowości upomina psotne dziecko.

– Ale to wszystko było pod kontrolą! – udał oburzenie Charles. – Aktor jest ekspertem w posługiwaniu się nożem. Poza tym gdyby nie ten mały bodziec, Andrew nigdy by do niego nie strzelił, zapewniam panią. Nie mówiąc już o tym, że blizna, która mu zostanie na ramieniu, nie da mu zapomnieć, że ocalił życie swojej ukochanej Marie. Nawiasem mówiąc, równie fortunnym pomysłem było wynajęcie kogoś, kto udawał strażnika czasu.

– To nie pan go zatrudnił? – spytał zaskoczony Wells.

– Nie – odparł Charles. – Myślałem, że to pan...

– Nie ja – powiedział skonsternowany pisarz.

– W takim razie mój kuzyn przepłoszył chyba jakiegoś złodzieja. Albo może to był prawdziwy Podróżnik w Czasie – zażartował Charles.

– Tak, może. – Wells roześmiał się nieco zaniepokojony.

– Cóż, najważniejsze, że wszystko poszło dobrze – zakonkludował Charles. Jeszcze raz podziękował im za udane przedstawienie i pożegnał się, kłaniając z szacunkiem. – Muszę już iść, bo inaczej kuzyn nabierze podejrzeń. Miło mi było państwa poznać. I wie pan, panie Wells, że zawsze będę się zaliczać do pańskich zagorzałych czytelników.

Pisarz podziękował za tę uwagę skromnym uśmiechem, który wciąż trwał na jego ustach, gdy kroki Charlesa ucichły na schodach. Potem głęboko westchnął z zadowoleniem i popatrzył na wehikuł czasu z rękami opartymi na biodrach oraz z czułością typową dla świeżo upieczonych rodziców, po czym powiódł dłonią po desce rozdzielczej. Jane patrzyła na niego poruszona, mając świadomość, że w tym momencie jej męża ogarnęły emocje tyleż głębokie, ile wstydlive, ponieważ hołubił właśnie swoje marzenie, wytwór własnej wyobraźni, który za sprawą cudu opuścił karty książki i przybrał realną postać.

– Może wykorzystamy ten fotel, co? – odezwał się Wells, zwracając się do niej.

Żona pokręciła głową, dając do zrozumienia, że nie wie, co u licha opętało tego tak nieczułego człowieka, i przesunęła się w stronę okna. Pisarz podszedł do niej z zakłopotaniem na twarzy i objął ją ramieniem. To ostatecznie rozbroiło Jane i sprawiło, że położyła głowę na barku męża. Jeśli chodzi o przytulanie, nie był aż tak rozrzutny, więc nie mogła przepuścić tego zaskakującego dla niej gestu czułości. Mniej zdziwiłoby ją chyba, gdyby Wells rzucił się z okna z rozpostartymi rękami, by się upewnić, że rzeczywiście nie potrafi latać. Spleceni w takiej pozycji patrzyli, jak Charles wsiada do powozu, a ten rusza w drogę. Odprowadzali go wzrokiem, aż zniknął na końcu ulicy pod pomarań-

czowym płótnem świtu.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś tej nocy, Bertie? – spytała wówczas Jane.

– O mało nie spaliłem strychu?

Żona się roześmiała.

– Nie, tej nocy zrobiłeś coś, przez co zawsze będę z ciebie dumna – powiedziała, spoglądając na niego z nieskończoną słodyczą. – Uratowałeś życie człowieka, posługując się swoją wyobraźnią.

Część druga

Drogi Czytelniku, jeśli podoba Ci się nasza podróż w przeszłość, na kolejnych stronicach tego ekscytującego melodramatu będziesz miał przywilej podróżować w przyszłość, by się zapoznać ze słynną wojną roku dwutysięcznego, toczoną przez ludzi i złowrogie automaty.

Musimy jednak ostrzec, że niektóre sceny będą obfitowały w skrajną przemoc. I nic dziwnego, chodzi tu wszak o bitwę mającą niezwykle ważne konsekwencje dla przyszłych losów ludzkości.

Matki wrażliwych dzieci być może powinny sprawdzić zawartość książki i ocenzurować niektóre strony, zanim ją wręczą swym poi dechom.

Claire Haggerty wolałaby przyjść na świat w innej epoce, żeby nie musieć uczyć się gry na pianinie, nosić niewygodnych ubrań, wybierać sobie męża spośród roju nękających ją na każdym kroku konkurentów ani ciągnąć ze sobą wszędzie niedorzecznej parasolki, którą i tak prędzej czy później gubiła, zapominając jej w najmniej oczekiwanym miejscu. Claire właśnie skończyła dwadzieścia jeden lat i gdyby ktoś zdobył się na miły gest i zapytał, czego oczekuje od życia, usłyszałyby w odpowiedzi, że niczego prócz śmierci. Czegoś takiego nie spodziewalibyśmy się usłyszeć z ust uroczej młodej kobiety, która dopiero zaczęła splatać swoją egzystencję, oczywiście że nie; mogę was jednak zapewnić, że Claire tak właśnie by powiedziała, ponieważ byłem świadkiem długich i denerwujących medytacji, jakim oddawała się w swoim pokoju przed zaśnięciem – jak już poprzednio pokazałem, widzę wszystko, również to, czego nie widzi nikt. Kiedy wszyscy przypuszczali, że szcztokuje sobie włosy przed lustrem, jak robiłaby każda normalna dziewczyna, Claire błędziła wzrokiem w nocnej ciemności za oknem, zastanawiając się, dlaczego wolałaby umrzeć, zanim doczeka nowego poranka. Nie żeby miała skłonności samobójcze, słyszała, jak ktoś ją woła syrenim śpiewem z drugiej strony i nie mogła się temu oprzeć, ani też żeby prosty fakt, że żyje, sprawiał jej tak nieznośny dyskomfort, by musiała się z nim jak najszybciej rozprawić. Nic z tych rzeczy. Wszystko sprowadzało się do czegoś znacznie prostszego: świat, w którym osadził ją los, nie pociągał jej zbyt i nie zanośliło się na to, by kiedyś miało być inaczej albo przynajmniej do takiego nieszczęsnego wniosku doprowadziły ją nocne rozmyślenia. Choćby nie wiedzieć jak się wysilała, nie zdołała w tym świecie spotkać niczego, co by ją cieszyło, rozbawiło czy zaintrygowało, a w jeszcze mniejszym stopniu była w stanie udawać, że wystarcza jej to, co robi. Zdaniem Claire jej czasy były pozbawione powabu i emocji, nudziły ją. A fakt, że w swoim otoczeniu nie natknęła się na nikogo, kto zdawałby się podzielać jej rozczarowanie, wywoływał w niej głębokie zniechęcenie przechodzące w drażliwość. Ów skrycie żywiony niepokój, który przesuwiał ją na margines życia, jeśli go nie umiała uniknąć, uczynił z niej osobę stroniącą od ludzi i sarkastyczną, a czasami – i nie trzeba było do tego pełni księżyca – przepełniał jej duszę i przekształcał ją w coś w rodzaju zdziczałej istoty, którą bawiło rujnowanie spotkań towarzyskich.

Claire doskonale wiedziała, że te wybuchy niezadowolenia prócz tego, że wynika z nich bezproduktywne dziwactwo, nie przynoszą jej najmniejszych korzyści, zwłaszcza w tak krytycznym momencie życia jak ten, w którym się znalazła, kiedy jej najważniejszym zmartwieniem powinno być zdobycie męża, by ją utrzymywał i dał jej pół tuzina dzieci, żeby pokazać światu wartość jej brzucha. Tak jak ostrzegła ją jej przyjaciółka Lucy, swoim zachowaniem Claire zasłużyła sobie na opinię krnąbrnej wśród konkurentów do jej ręki, a niektórzy z nich zaniechali nawet zalotów, gdy się przekonali, że nieprzyjemne maniery panny czynią z niej twierdzą nie do zdobycia. Jednak mimo to Claire nic nie mogła poradzić na to, że reaguje w ten sposób. A może mogła?

Czasami zastanawiała się, czy naprawdę potrafiłaby zebrać wszystkie siły, aby pokonać to zjadające ją od środka niezadowolenie, lub wręcz przeciwnie, poddać się mu z chorobliwą rozkoszą. Cemu nie mogła zaakceptować świata takim, jaki jest, podobnie jak to zrobiła Lucy, która nosiła upokarzające, niewygodne gorsety, jakby chodziło o jakąś karę mającą na celu oczyszczenie duszy, nie przeszkadzało jej, że nie może studiować w Oksfordzie, i która podejmowała u siebie konkurentów w skrupulatnie określonym porządku, wiedząc, że prędzej czy później będzie musiała któregoś poślubić? Ale Claire nie była taka jak Lucy: nienawidziła gorsetów, które zdawały się stworzone przez samego diabła, gorąco pragnęła, by wolno jej było zarabiać dzięki własnemu umysłowi, jak każdemu

mężczyźnie, i w najmniejszym stopniu nie była zainteresowana wyjściem za mąż za żadnego z młodzieńców, którzy jej się naprzykrzali. Szczególnie to ostatnie wydawało jej się okropnie nieprzyjemne, bez względu na fakt, jak bardzo sytuacja poprawiła się od czasów jej matki, kiedy kobieta zawierająca małżeństwo była wywłaszczana z całego swojego majątku, włącznie z zarobkami osiąganymi z własnej pracy, prawo natychmiast, niczym niefortunny powiew wiatru, przekazywało to wszystko w zachłanne ręce jej męża. Teraz, gdyby się zdecydowała wyjść za mąż, przynajmniej zachowałaby swoje mienie, a w razie rozwodu mogła się nawet ubiegać o opiekę nad swymi dziećmi. Jednak Claire nadal postrzegała małżeństwo jako rodzaj zalegalizowanej prostytutki, tak jak twierdziła Mary Wollstonecraft w swej książce *Wołanie o prawa kobiety* – dzieło, które dla dziewczyny stało się niczym Biblia. Podziwiała zażartą walkę autorki o przywrócenie kobietom utraconej godności, jako że ich życiową rolę ograniczono do zwykłego usługiwania mężczyźnie, gdy tymczasem nauka na podstawie pomiarów głowy uznała kobiety za bardziej inteligentne od mężczyzn, ponieważ większa czaszka zapewne osłania większy mózg; chociaż Claire miała aż nadto dowodów na to, że te imponujące rozmiary służą jedynie utrzymaniu na głowie większego kapelusza. Z drugiej jednak strony dziewczyna była świadoma, że jeżeli odmówi oddania się pod opiekę jakiegokolwiek mężczyzny, nie znajdzie zbyt wielu środków na samodzielne utrzymanie się, to znaczy będzie musiała szukać pracy wśród skąpych ofert dostępnych osobom w jej sytuacji: zostać maszynistką w jakimś biurze lub pielęgniarką w szpitalu, a obie te możliwości pociągały ją jeszcze mniej niż uziemienie się u boku jednego z tych wymuskanych fircyków, którzy zalecali się do niej jeden po drugim.

Ale co można zrobić, jeżeli małżeństwo wydaje się z góry skazane na niepowodzenie? Mogłaby je znieść tylko wówczas, gdyby się naprawdę w kimś zakochała, co uważała prawie za niemożliwe, ponieważ jej obojętność uczuciowa nie ograniczała się wyłącznie do nudnej zgrai konkurentów, lecz zdawała się rozciągać na cały męski ród tej planety: mężczyzn młodych i starych, bogatych i biednych, przystojnych i odpychających. Szczegóły nie były ważne. Claire tkwiła w mocnym przekonaniu, że tak czy inaczej nigdy nie zdoła pokochać żadnego mężczyzny ze swojej epoki, a nie zdoła, ponieważ pojęcie miłości, jakie mieli jej współcześni, bladło w porównaniu z romantycznym dreszczem, któremu pragnęła się poddać. Oczekiwała, że w jej życie wtargnie burzliwa namiętność, że gwałtowna gorączka rozpali jej duszę, porywająca ekstaza zmusi ją do podjęcia doniosłych decyzji, te zaś pozwolą jej w pełni poznać skalę własnych uczuć. Oczekiwała tego jednak bez najmniejszej nadziei, świadoma, że żyje w czasach, kiedy ten sposób kochania, podobnie jak bluzki z żabotem, wyszedł już z mody. Wobec tego co jej pozostawało? Czy mogła zrezygnować i żyć bez jedynej rzeczy, która – jak przypuszczała – nadaje życiu sens? Nie, oczywiście, że nie.

A jednak kilka dni temu zdarzyło się coś, co ku jej zaskoczeniu zdołało obudzić jej uszpioną ciekawość – skłoniło ją do refleksji, że świat, mimo pierwszego wrażenia, nie jest całkiem odporny na działanie cudów. Lucy wezwała ją do swojego domu, jak zwykle pilnie i nagłaco, i Claire przybyła na spotkanie bez szczególnej chęci, bojąc się, że jej przyjaciółka zorganizowała kolejny z nudnych seansów spirytystycznych, których była wielbicielką. Lucy podchodziła do tej mody rodem z Ameryki Północnej z taką samą euforią, z jaką śledziła działania paryskich krawców. Udawanie konwersacji z duchami w ciemnym pokoju nie przeszkadzało jednak jej przyjaciółce tak bardzo jak to, że owym seansom zawsze przewodniczył Eric Sanders, chudy, arogancki młodzieniec, który wykreował się na oficjalne medium dzielnicy. Sanders zapewniał, że posiada szczególną wrażliwość, która upoważnia go do rozmawiania ze zmarłymi, ale Claire wiedziała, że to tylko pretekst do zebrania przy jednym stole kilku wolnych, łatwo ulegających wzruszeniu panien, pogrążenia całego towarzystwa w niepokojącej ciemności, przestraszenia niedorzecznie dudniącym głosem i skorzystania z okazji, aby absolutnie bezkarnie pieścić ich ręce lub nawet ramiona. Przebiegły Sanders przeczytał pobieżnie *Księgę*

duchów Allana Kardeca, co pozwoliło mu bezceremonialnie wypytywać zmarłych z pozornym autorytetem, jasne było jednak, że żywe osobki nazbyt rozpraszają jego uwagę, by mógł się należycie skupić na odpowiedziach. Po tym, jak Claire wymierzyła mu policzek podczas ostatniego seansu, gdy poczuła, jak aż nadto cielesna ręka rzekomego ducha pieści jej kostki u nóg, Sanders zakazał jej obecności na tych ceremoniach, uzasadniając to tym, że jej podejrzliwe nastawienie za bardzo drażni duchy i utrudnia mu komunikowanie się z nimi. Początkowo wykluczenie z ponadnaturalnych imprez Sandersa przyjęła z ulgą, ale potem poczuła się załamana: miała dwadzieścia jeden lat i poróżniła się nie tylko ze światem, lecz także z zaświatami.

Jednak tego wieczoru Lucy nie zorganizowała żadnego seansu spirytystycznego. Tym razem zamierzała zaproponować przyjaciółce coś znacznie bardziej ekscytującego, rzekła z uśmiechem świadczącym o upojeniu, wzięła Claire za rękę i poprowadziła ją do swojego pokoju. Tu poprosiła, by usiadła na fotelu i zaczęła gmerać w szufladzie biurka, na którym trzymała na podpórce *Dziennik Darwina*. Książka była otwarta na stronie z obrazkiem przedstawiającym przedziwnego ptaka kiwi, którego Lucy przerysowywała na arkusik papieru, być może dlatego, że do nakreślenia takich nieskomplikowanych, zaokrąglonych kształtów nie potrzeba szczególnego talentu artystycznego. Claire mimowolnie się zastanawiała, czy oprócz oglądania ilustracji przyjaciółka potrudziła się, by przeczytać dzieło, które ostatnio stało się ulubioną lekturą burżuazji.

Gdy Lucy znalazła to, czego szukała, zamknęła szufladę i znów zwróciła się do przyjaciółki z egzaltowanym uśmiechem. „Co może być dla niej bardziej ekscytujące aniżeli rozmowa ze zmarłymi?” – zadała sobie pytanie Claire. Odpowiedź poznała, kiedy spojrzała na ulotkę, którą przyjaciółka wtknęła jej w rękę: rozmowa z tymi, którzy jeszcze nie przyszli na świat. Lucy z rozemocjonowaną miną wręczyła przyjaciółce bladoniebieski skrawek papieru, który – jeśli śledzicie tę opowieść – jest wam znany. Na karteczce przedsiębiorstwo Podróże w Czasie Murraya zapraszało na wycieczkę w czasie, a konkretnie do roku dwutysięcznego, by na własne oczy zobaczyć bitwę automatów z ludźmi, która rozstrzygnie o losach ludzkości. Claire, nie mogąc wyjść ze zdumienia, przeczytała reklamę kilka razy, a potem przyjrzała się bacznie dołączonej do tekstu szkicowej ilustracji, która chyba miała przedstawiać wspomnianą wojnę. Wśród obroconych w gruzy budynków automaty i ludzie walczyli o przyszłość świata, strzelając do siebie z dziwnej broni. Uwagę dziewczyny przyciągnęła postać stojąca na czele ludzkiego wojska, którą ilustrator narysował w bardziej heroicznej pozie niż pozostałych bohaterów, a która miała uosabiać – według tego, co napisano pod spodem – dzielnego kapitana Dereka Shackletona.

Nie dając przyjaciółce czasu na wypowiedź, Lucy wyjaśniła, że była w tym przedsiębiorstwie tego ranka. Tam poinformowano ją, że są jeszcze wolne miejsca na drugą wyprawę, którą organizuje się po sukcesie pierwszej, i Lucy bez wahania zarezerwowała bilety dla niej i dla siebie. Claire spojrzała na nią skonsternowana, ale przyjaciółka nie potrudziła się nawet, by przeprosić, że jej nie poprosiła o zgodę, i przeszła gładko do obwieszczania, jak to wybiorą się razem w przyszłość bez wiedzy rodziców, ponieważ nie wątpiła, że gdyby się dowiedzieli, stanowczo by im zabronili uczestniczenia w takiej eskapadzie albo, co jeszcze gorsze, zaoferowaliby im swoje towarzystwo, a Lucy chciała się cieszyć rokiem dwutysięcznym bez denerwujących przyzwoitek. Wszystko już miała obmyślane: pieniądze nie stanowiły żadnego problemu, ponieważ upewniła się u swojej zamożnej babci Margaret, że da im brakującą sumę, aby starczyło na bilety dla nich obu; rzecz jasna nie wyjawiała, na co zamierza je wydać, a nawet porozmawiała ze swoją przyjaciółką Florence Burnett i poprosiła ją, by je obie fikcyjnie zaprosiła na najbliższy wtorek do swojej wiejskiej posiadłości w Kirkby. Za „niewielką sumkę” ta Świnia Florence przystała na to, więc jeśli Claire się zgadza, tego dnia wyruszą do roku dwutysięcznego i wrócą na podwieczorek, tak aby nikt niczego nie podejrzewał. Lucy,

skończywszy swój pośpieszny wywód, spojrzała wyczekująco na przyjaciółkę.

– I jak? – spytała. – Jedziesz ze mną?

A Claire ani nie chciała, ani nie mogła, ani nie wiedziała, jak odmówić.

Następne cztery dni upłynęły im na ekscytacji, jaką wywoływała podróż, oraz na uciechu spowodowanej dyskrecją, którą musiały zachowywać podczas przygotowań. I oto Claire wraz z Lucy stały przed malowniczym gmachem Podróży w Czasie Murraya, marszcząc nosy z powodu smrodu płynącego od wejścia. Aby rozwiać niemiłe wrażenie, jeden z pracowników, którzy myli fasadę z czegoś, co wyglądało na zwierzęce odchody, przeprosił młode damy za odrażającą woń i zapewnił je, że jeśli się ośmielą wejść do środka, osłaniając sobie twarze chusteczkami albo wstrzymując oddech, tam zostaną powitane z atencją przysługującą tak znakomitym paniom. Lucy odprawiła pracownika roztagonionym gestem, zdenerwowana, że ktoś zwrócił jej uwagę na przeszkodę, którą wolała zignorować, aby nic nie mąciło wrażenia w tej pasjonującej chwili. Wzięła przyjaciółkę pod ramię ruchem, co do którego Claire nie była pewna, czy miał jej dodać odwagi, czy zarazić ekscytacją, i pociągnęła ją do wejścia, ku przyszłości. Podczas gdy zapuszczały się w głąb budynku, Claire zerknęła z ukosa na rozemocjonowaną twarz przyjaciółki i uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała, skąd się bierze owo nerwowe ponaglanie: jeszcze nie wyruszyły w drogę, a Lucy już nie mogła się doczekać, kiedy wróci i opowie, jak było w przyszłości, i zrobi wrażenie na przyjaciółkach oraz krewnych, którzy czy to z tchórzostwa, czy z braku zainteresowania bądź miejsca pozostali w nijakiej terażniejszości. Tak, dla Lucy nie było to niczym więcej jak kolejną rozrywkową przygodą, czymś, o czym się opowiada jak o zrujnowanym przez burzę pikniku czy przejażdżce łodzią po wodzie bardziej wzburzonej niż zwykle. Claire postanowiła towarzyszyć przyjaciółce w tej podróży, ale kierowały nią zupełnie inne powody. Lucy odwiedzała rok dwutysięczny, jakby chodziło o jakieś nowe domy towarowe, i zamierzała wrócić na podwieczorek, Claire zaś nie miała najmniejszego zamiaru wracać.

Poruszając się sztywnym krokiem sekretarka zaprowadziła je do pomieszczenia, gdzie z ożywieniem gawędziło trzydzieści osób, które tego ranka będą miały przywilej wybrać się w podróż do roku dwutysięcznego. Oznajmiła, że tu można się napić ponczu, zanim przyjdzie pan Murray, przywita wszystkich, wyjaśni sposób, w jaki dostaną się do przyszłości, oraz opowie im o historycznym momencie, którego będą świadkami. To powiedziawszy, sekretarka ukloniła się apatycznie i zostawiła obie panny ich własnemu losowi. Przestronna sala, która w przeszłości musiała być teatralną widownią, co zdradzały rozmieszczone w kątach łóżka i znajdująca się w głębi scena, była pozbawiona rzędów siedzeń i umeblowana garścią niewielkich stolików oraz niewygodnych na oko sof. Wydawała się przesadnie duża, a wrażenie to potęgował niezwykle wysoki sufit, z którego zwieszały się dziesiątki lamp oliwnych, od strony podłogi wyglądających jak kolonia złowieszczych pajaków żywiących się tym, co upolują na dole. Oprócz wspomnianych kanap, na których z wyjątkiem kilku osiemdziesięciolatek z najwyższym trudem utrzymujących się na swych steranych nogach najwyraźniej nikt nie miał ochoty usiąść – może z powodu podekscytowania łatwiej im było znieść tę chwilę w pozycji stojącej – na umeblowanie składały się stoły, przy których dwie zręczne pokojówki zaczęły już nalewać poncz, a także coś w rodzaju drewnianej mównicy przygotowanej na scenie oraz rzecz jasna imponująca rzeźba przedstawiająca dzielnego kapitana Shackletona, witająca gości przy drzwiach.

Podczas gdy Lucy lustrowała wzrokiem zgromadzonych, wymieniając ich nazwiska w litanii ujawniającej jej sympatie i antypatie, Claire z przejęciem przyglądała się marmurowej podobiznie mężczyzny, który się jeszcze nie narodził. Kapitan Derek Shackleton, ukazany w postaci figury dwukrotnie większej od normalnego człowieka, wydawał się dziwnym krewnym greckich bogów, ponieważ umieszczono go na piedestale w odpowiednio śmiałej, pełnej powabu pozie, ale nagość, któ-

rą tamci beztriosko pokazywali światu, zakryto czymś więcej niż figowym listkiem. Kapitan był zakuty w wymyślną, nabijaną nitami zbroję, której celem zdawało się ukrycie przed wrogiem każdego skrawka ciała, jako że nawet jego twarz chronił skomplikowany hełm, odsłaniający jedynie kształtny podbródek. Przyłbica rozczarowała dziewczynę, która wolałaby poznać rysy wybawiciela rodzaju ludzkiego. Claire była pewna, że ta zamknięta w żelaznej osłonie twarz nie może przypominać żadnego z jej znajomych. To musi być oblicze, jakiego życie jeszcze nie stworzyło – jakie powstanie dopiero w przyszłości. Wyobraziła sobie szlachetne, pogodne rysy, stanowcze, promieniujące pewnością siebie spojrzenie, które nie bez powodu prowadziło do boju armię, ale nie przejawiało gwałtowności, tylko nieposkromiony hart ducha. Od czasu do czasu jednak otaczające go posępne spustoszenie spowijało jego piękne oczy welonem nostalgii, ponieważ w duszy wojownika tlił się węgielek wrażliwości. I w końcu Claire, nie potrafiąc się oprzeć swej romantycznej naturze, wyobraziła sobie też migoczącą w jego źrenicach nieskończoną tęsknotę, która nachodzi bohatera przede wszystkim w okropnych chwilach samotności, prześladowających go między jedną a drugą bitwą. A co było powodem tak głębokiego smutku? Odpowiedź, rzecz jasna, nie mogła być inna, jak brak pojawiającej się w myślach ukochanej twarzy, uśmiechu, który dodaje otuchy, gdy słabną siły wojownika, imienia, które mógłby mrużyć w nocy niczym pocieszającą modlitwę, ramion, do których wróciłby po zakończeniu wojny. Jeszcze chwila i Claire ujrzała w wyobraźni tego dzielnego, niezłomnego mężczyznę, nieustraszonego i twardego w boju, jak niczym bezbronne dziecko szepce w nocy jej imię: „Claire, moja Claire...”. Uśmiechnęła się na tę myśl. Nie było to nic innego jak głupi dziewczęcy pomysł, zaskoczył ją jednak dreszcz wywołany przez urojoną wizję samej siebie jako ukochanej wojownika przyszłości. Jak to możliwe, że człowiek, który jeszcze nie przyszedł na świat, przyprawił ją o znacznie silniejsze drżenie niż którykolwiek z zalecających się do niej fircyków? Odpowiedź była prosta: ta rzeźba bez twarzy wyrażała wszystko, czego Claire bardzo pragnęła i czego nie mogła mieć. Prawdopodobnie ów Shackleton zupełnie się różnił od portretu, który dziewczyna stworzyła w wyobraźni. Co więcej, jego sposób myślenia, działania, a nawet kochania okazałby się dla niej absolutnie niezrozumiały i obcy, zważywszy na to, że dzieliło ich całe stulecie, czas aż nadto wystarczający, by zmienić ludzkie wartości i troski do tego stopnia, że staną się nierozpoznawalne dla tych, którzy patrzyliby na nie z minionych epok. Takie już było prawo życia. Powiedziała sobie, że gdyby mogła zobaczyć jego twarz, może byłaby w stanie wywnioskować, czy ma rację: czy dusza Shackletona jest ukształtowana z matowego szkła, przez które nigdy nie przebijają się jego oczy, czy też przeciwnie, dzielące ich lata są jedynie nic nieznaczącą chwilą, ponieważ wewnątrz człowieka mieści jakąś zakorzenioną w głębi esencję mimo upływu wieków utrzymującą się w niezmiennym stanie, Boskie tchnienie, którym obdarzył On wszystkie swoje stworzenia, by je obudzić do życia. Lecz ten przeklęty hełm uniemożliwiał jakąkolwiek weryfikację. Claire nigdy nie zobaczy twarzy tego mężczyzny. Powinna się zadowolić tym, co widać, a nie było tego mało: waleczna postawa, uniesiony rapier, ugięta prawa noga z zaznaczającą się wyraźnie muskulaturą, a lewa pewnie wsparta o ziemię, z piętą lekko uniesioną ponad podłoże, jakby bohater został uwieczniony w momencie szarżowania na wroga.

Dopiero podążywszy wzrokiem w kierunku jego ataku, Claire zauważyła, że rzeźba stoi naprzeciwko drugiej, znajdującej się po lewej stronie drzwi. Prowokujący gest Shackletona wymierzony był w niepokojącą, niemal dwukrotnie od niego wyższą postać. Według inskrypcji umieszczonej na piedestale figura ta przedstawiała Salomona, króla automatów, arcywroga kapitana, którego ten pokonał dwudziestego maja dwutysięcznego roku po niekończącej się wojnie pustoszącej Londyn. Claire patrzyła na niego ze strachem, zaskoczona przerażającą ewolucją, jaką przeszły automaty. Gdy była mała, tato zabrał ją, żeby zobaczyła Pisarczyka, jedną z maszyn skonstruowanych przez uznanego szwajcarskiego zegarmistrza Pierre’a Jaqueta–Droza. Przypomniała sobie tamto elegancko wystrojono-

ne dziecko o pyzatej, zatroskanej twarzy, siedzące za pulpitem, zanurzające pióro w kałamarzu i wodzące nim po papierze. Lalka każdą literę formowała z zatrważającą starannością kogoś, kto żyje poza czasem; raz za razem przerywała nawet pisanie i patrzyła w pustkę, jakby się pogrążyła w myślach, czekając na nowy przyływ inspiracji. Skupione spojrzenie kukły mocno poruszyło małą Claire i zapadło jej w pamięć do końca życia – wyobraziła sobie potworne myśli, jakie mogą się snuć w tak dziwnym bycie. Nie mogła się otrząsnąć z tego dręczącego wrażenia nawet wtedy, kiedy ojciec pokazał jej konstrukcję złożoną z korbowodów i kółek, którą to fantasmagoryczne dziecko miało zamontowaną na plecach. Pokręcenie wystającą z niej korbą wprawiało w ruch ową parodię życia. Teraz jednak Claire mogła się przekonać, jak z upływem czasu to groteskowe, lecz na dobrą sprawę nieszkodliwe dziecko przekształciło się w monstrualną figurę, która właśnie się przed nią wznosiła. Starając się przezwyciężyć strach, dziewczyna przyjrzała się jej dokładnie. W przeciwieństwie do Pierre’a Jaqueta–Droza ten, kto skonstruował Salomona, nie wydawał się zainteresowany jak najwierniejszym odtwarzaniem wyglądu istoty ludzkiej. Zadowolił się utworzeniem z grubsza dwunożnej postaci, ponieważ jego automat bardziej przypominał średniowieczną zbroję: był zrobiony z połączonych żelaznych płyt, które zwieńczono reprezentującym głowę cylindrycznym, tępo wyglądającym elementem w kształcie dzwonu; w nim wykonano dwa kwadratowe otwory w charakterze oczu oraz imitującą usta cienką szczelinę podobną do tej w skrzynkach na listy.

Claire poczuła coś w rodzaju zawrotu głowy, gdy sobie uświadomiła, że te grożące sobie nawzajem figury upamiętniają fakt, który jeszcze nie nastąpił. Te dwie postacie nie tylko nie umarły, lecz nawet nie przyszły na świat. W głębi duszy pomyślała jednak, że osoby znajdujące się w tym pomieszczeniu mogą równie dobrze uważać te rzeźby za nagrobne posągi i nie będą się zbytnio mylić, ponieważ ani kapitan, ani jego wielki wróg, podobnie jak zmarli, nie należą do świata, który składa hołd ich pamięci. Wszystko jedno, czy jeszcze nie nadeszli, czy już odeszli: ważne, że ich nie ma.

Lucy wyrwała ją z tych rozmyślań, ciągnąc za ramię i holując przez salę w stronę pary, która pozdrowiała je z daleka. Około pięćdziesięcioletni mężczyzna, niski i starannie zaczesany, odziany w jasnoniebieski garnitur, którego kwiecista kamizelka zdawała się grozić, że zaraz pięknie pod naporem wnętrzości, czekał na Lucy z rozpostartymi ramionami i groteskowo radosnym wyrazem twarzy.

– Moja droga dziewczynka! – zawołał ojcowskim tonem. – Co za niespodzianka! Nie wiedziałem, że wasza rodzina bierze udział w tej sympatycznej wyprawie. Ależ ten drań Nelson pochoruje się podczas jazdy!

– Mój ojciec nie jedzie, panie Ferguson – wyznała Lucy, przywołując na usta fałszywie zgębiony uśmiezek. – Tak się składa, że jestem tu tylko z przyjaciółką, to nasz mały sekretik i mam nadzieję, że nikt nas nie wyda.

– Oczywiście, że nie, moja droga – pośpiesznie zapewnił ją Ferguson uradowany, że uczestniczy w psocie, za którą własną córkę nie wahałby się powiesić za kciuki. – Twój sekret jest u nas bezpieczny, prawda, Grace?

Jego małżonka przytaknęła z tym samym lepkiem uśmiechem, potrząsając perłowym rynsztunkiem, który nosiła na szyi niczym luksusowy szal. Lucy podziękowała im gestem i uroczą minką, po czym przedstawiła Claire, a ta otrzymała od mężczyzny oleiste cmoknięcie w dłoń, którym usiłował zatuszować ogarniającą go zgrozę.

– No, no – odezwał się Ferguson po zakończeniu prezentacji, z sympatią wodząc wzrokiem od jednej panny do drugiej. – Jakież to wszystko emocjonujące, prawda? W ciągu zaledwie kilku minut dotrzemy do roku dwutysięcznego i jakby tego było mało, staniemy się świadkami wojny.

– Myśli pan, że będzie niebezpiecznie? – zapytała nieco zaniepokojona Lucy.

– O, nic z tych rzeczy, moja droga. – Ferguson rozproszył jej obawy pobłażliwym machnięciem

ręki. – Ted Fletcher, mój dobry przyjaciel, wziął udział w pierwszej wyprawie i zapewnił mnie, że nie ma się czego bać. Absolutnie niczego. Będziemy się przyglądać walce ze sporej odległości, toteż pozostaniemy zupełnie bezpieczni. Ma to jednak swoje minusy: niestety, nie zobaczymy wyraźnie szczegółów. Fletcher ostrzegł nas, żebyśmy koniecznie zabrali lornetki. Macie je z sobą?

– Nie – odpowiedziała Lucy z żalem.

– W takim razie nie rozdzielajmy się i pożyczmy wam nasze – doradził Ferguson. – Nie możecie stracić żadnego szczegółu, dziewczęta. Fletcher zapewnia, że walka, której będziemy świadkami, jest warta tej małej fortuny, jaką zapłaciliśmy.

Claire zmarszczyła czoło, słysząc, że ten odpychający typ bez najmniejszego zastanowienia sprowadza bitwę, która przesądzi o losach planety, do kategorii przedstawienia rozrywkowego. Mimo- wolnie poczuła ulgę, gdy Lucy pozdrowiła przechodzącą obok nich parę, zachęcając, by się do nich przyłączyła.

– To moja przyjaciółka Madeleine – ogłosiła Lucy z entuzjazmem – i jej mąż, pan Charles Winslow.

Na dźwięk tego nazwiska uśmiech zamarł na twarzy Claire. Wiele słyszała o Charlesie Winslowie, jednym z najbogatszych i najprzystojniejszych młodzieńców Londynu, ale nigdy nie była mu przedstawiona i nie spędzało jej to snu z powiek, ponieważ nabożna wręcz cześć, jaką oddawały mu jej przyjaciółki, wystarczyła, żeby ją uodpornić na jego osobę. Nie było trudno wyobrazić go sobie jako chłopca rozpuszczonego i zadowolonego z siebie, którego główna rozrywka polega na wytrąca- niu z równowagi każdej dziewczyny, jaka się znajdzie w pobliżu, za pomocą uciążliwego potoku przesłodzonych i nieobyczajnych stów. Choć Claire nieczęsto chadzała na przyjęcia, spotkała kilku młodzieńców skrojonych według tego wzoru, wyniosłych, aroganckich i źle wychowanych; dzięki fortunie ojców beztrąsko, hulaszczko przeżywali młodość i próbowali ją sobie możliwie jak najbar- dziej przedłużyć. Chociaż ten cały Winslow, jak się zdaje, postanowił się jednak usatkwować. Ostat- nio słyszała, że się ożenił z jedną z zamożnych sióstr Keller, czym wprawił w przygnębienie wiele londyńskich panien, ona jednak, rzecz jasna, nie zaliczała się do nich. Teraz, kiedy go miała przed sobą, musiała przyznać, że jest rzeczywiście przystojny, co przynajmniej czyniło jego irytujące towa- rzystwo bardziej znośnym.

– Właśnie mówiliśmy o tym, jakie to wszystko ekscytujące – poinformował nieustępliwy Fergu- son, na nowo przejmując ster rozmowy.

– Za kilka minut zobaczymy Londyn obrócony w gruzy, a kiedy wrócimy, zastaniemy go w stanie nietkniętym, jakby się nic nie stało, co jest zresztą prawdą, jeśli postrzegamy czas jako uporządkowa- ne następstwo zdarzeń. A jestem pewien, że ta okropna wizja sprawi, iż jeszcze bardziej docenimy to hałaśliwe miasto, nie wydaje się wam?

– Cóż, trzeba mieć naprawdę prosty umysł, by widzieć to w ten sposób – zauważył Charles z nie- jakim roztargnieniem, prawie na niego nie patrząc.

Natychmiast zapadła cisza. Ferguson spiorunował młodzieńca wzrokiem, nie wiedząc, czy się ze- złościć, czy nie.

– Co pan insynuuje, panie Winslow? – zapytał w końcu.

Charles przez kilka sekund patrzył w sufit, być może zastanawiając się, czy tam wysoko, podobnie jak w szczytowych partiach gór, powietrze jest czystsze.

– Podróż do roku dwutysięcznego to nie to samo co wycieczka nad wodospad Niagara – odparł obojętnym tonem, jak gdyby nie był świadom tego, że jego słowa wytrącają rozmówcę z równowagi. – Udamy się w przyszłość, do świata zdominowanego przez automaty. Może pan po powrocie ze swej turystycznej wyprawy nie będzie się interesował tą sprawą, uważając, że ona pana nie dotyczy,

ale przecież w tym świecie będą żyć nasze wnuki.

Ferguson patrzył na niego ze zdumieniem.

– Mówi mi pan, że powinniśmy się przyłączyć, że mamy wziąć udział w tej wojnie? – zapytał wyraźnie zgorzony, jakby mu zaproponowano zabawę w krzesła na cmentarzu z nieboszczykami i grobami zamiast krzesel.

Charles po raz pierwszy raczył spojrzeć na swego rozmówcę, a na jego ustach pojawił się kpiący uśmiech.

– Powinien pan mieć szerszy ogląd tej sprawy, panie Ferguson – napomniął go. – Nie jest konieczne, byśmy walczyli w tej wojnie, wystarczyłoby do niej nie dopuścić.

– Nie dopuścić?

– Tak, zapobiec jej. Czyż przyszłość nie jest zawsze konsekwencją przeszłości?

– Wciąż pana nie rozumiem, panie Winslow – odpowiedział chłodno Ferguson.

– Zarodek tej okropnej wojny znajduje się tutaj – wyjaśnił Charles, nieokreślonym ruchem głowy wskazując otoczenie. – Nie dopuścić do tego, co może się zdarzyć, zmienić przyszłość: to wszystko jest w naszych rękach. W gruncie rzeczy to my będziemy odpowiedzialni za tę wojnę, podczas której ostatecznie Londyn zostanie zrównany z ziemią. Obawiam się jednak, że nawet jeśli człowiek zda sobie z tego sprawę, nie będzie to wystarczającym powodem do zaprzestania produkcji automatów.

– Ale to niedorzeczne: przeznaczenie to przeznaczenie – sprzeciwił się Ferguson. – Nie da się go zmienić.

– Przeznaczenie to przeznaczenie... – powtórzył kpiąco Charles. – Naprawdę tak państwo uważają? Naprawdę wolelibyście przerzucić odpowiedzialność za swoje czyny na domniemanego autora libretta, które jesteśmy zmuszeni odgrywać, począwszy od dnia naszych narodzin? – Claire zeszywniała, gdy Charles powiódł po swoich słuchaczach pytającym wzrokiem. – Ja nie. Co więcej, święcie wierzę, że nasz los nie jest jeszcze przesądzony. To my zapisujemy go dzień po dniu każdym swoim czynem. Moglibyśmy zapobiec tej wojnie przyszłości, gdybyśmy faktycznie tego chcieli. Choć wyobrażam sobie, panie Ferguson, że pańska fabryka zabawek poniosłaby ogromne straty, gdyby przestała produkować mechaniczne urządzenia.

Ferguson nie spodziewał się ciosu, jakim ten bezczelny młodzieniec się posłużył, aby go poinformować, że doskonale wie, kim jest jego rozmówca – nie wspominając już o tym, że uczynił go odpowiedzialnym za coś, co się jeszcze nie zdarzyło. Patrzył na niego w krańcowym zdumieniu, nie mając pomysłu na odpowiedź, bardziej oszołomiony niż rozdrażniony wobec pogodnej beztroski, z jaką Charles rzucał swoje jadowite uwagi. Claire przyznała w duchu, że podoba jej się pozorna niefrasobliwość, w jaką ten cały Winslow ubrał swe obserwacje – nie tylko chroniło go to przed możliwymi wściekłymi ripostami, lecz także przesuwano jego cierpkie spostrzeżenia do kategorii snuty na poczekaniu przemyśleń, pośpiesznych refleksji, których nawet on sam zdawał się nie brać serio. Ferguson, ku zaskoczeniu pozostałych, wciąż otwierał i zamykał usta, a Charles uśmiechał się z roztargnieniem. Wkrótce fabrykant rozpoznał zagubionego w tłumie młodzieńca, co dało mu doskonały pretekst, aby opuścić grupę i nie musieć odpowiadać Winslowowi. Ten ze swej strony najwyraźniej nie oczekiwał żadnej repliki. Ferguson wrócił z bezradnie wyglądającym młodzieńcem, wepchnął go w krąg swoich znajomych i przedstawił jako Colina Garretta, nowego inspektora Scotland Yardu.

Podczas gdy pozostali witali się z nowo przybyłym, Ferguson uśmiechał się z zadowoleniem, jakby im pokazywał ostatniego egzotycznego motyla, którego właśnie zdobył do swojej kolekcji. Począł, aż wymiana grzeczności dobiegła końca, po czym zwrócił się do młodego policjanta, jakby tym sposobem chciał sprawić, by reszta obecnych zapomniała o jego dyskusji z Charlesem Winslowem.

– Jestem zaskoczony, że pana tu spotykam, panie Garrett. Nie wiedziałem, że pensja inspektora

pozwała na coś takiego.

– Ojciec podarował mi swoje oszczędności – zająknął się wywołany do odpowiedzi, niepotrzebnie próbując się tłumaczyć.

– Ach, przez chwilę myślałem, że podróżuje pan na rachunek rządu, aby zaprowadzić porządek w przyszłości. Bądź co bądź, mimo że chodzi o rok dwutysięczny, ta wojna dewastuje Londyn, miasto, które policja powinna chronić. A może upływ czasu zwalnia was z tych obowiązków? Czy macie dbać o bezpieczeństwo tylko w teraźniejszym Londynie? Interesująca kwestia, nie wydaje się wam? – skierował się do słuchaczy, chełpiąc się swym geniuszem. – Jurysprudencja określa zakres kompetencji inspektora w przestrzeni, ale nie w czasie. Proszę mi powiedzieć, inspektorze: czy pański autorytet pozwala panu aresztować przestępcę w przyszłości, jeśli popełni on zbrodnię w granicach miasta?

Młody Garrett skonsternowany kiwnął głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Może gdyby mógł to spokojnie przemyśleć, udzieliłby satysfakcjonującej odpowiedzi, ale w tym momencie był pogrzebany pod lawiną piękna, jeśli mi pozwolicie na to bombastyczne określenie, całkiem zresztą zgodne z okolicznościami: dziewczyna, którą mu przedstawiono jako Lucy Nelson, zamąciła mu mocno w głowie – tak bardzo, że ledwie zwracał uwagę na cokolwiek innego.

– A więc, inspektorze? – niecierpliwił się Ferguson.

Garrett bezskutecznie próbował oderwać wzrok od panny, która wydawała mu się tyleż piękna, ile nieosiągalna dla człowieka takiego jak on, pozbawionego pieniędzy i odwagi, ponadto dręczonego nieprzewycięzoną nieśmiałością uniemożliwiającą mu dotarcie do zamierzonego celu, ilekroć zdecydował się na jakiegokolwiek pełne galanterii przedsięwzięcie. Nie wiedział rzecz jasna, że dwadzieścia dni później będzie leżał na niej z ustami tuż przy ustach.

– Ja mam lepsze pytanie, panie Ferguson – wtrącił się Charles, przychodząc z pomocą młodzieńcowi. – A jeśli zbrodniarz z przyszłości zjawi się w naszych czasach i popełni przestępstwo w naszej teraźniejszości, czy inspektor będzie władny, by aresztować człowieka, który zgodnie z chronologią jeszcze się nawet nie urodził?

Ferguson nawet nie zadał sobie trudu, by ukryć złość, jaką wzbudziło w nim wtrącenie się Charlesa.

– Pańskie pomysły nie trzymają się kupy, panie Winslow – rzekł rozeźlony. – To niedorzeczne, myśleć, że mógłby nas odwiedzić człowiek z przyszłości.

– A dlaczego? – droczył się rozbawiony Charles. – Jeżeli my możemy podróżować w przyszłość, czemuż by ludzie z przyszłych wieków nie mieli udać się w swoją przeszłość, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że ich nauka będzie przypuszczalnie bardziej rozwinięta od naszej?

– Po prostu dlatego, że w takim razie już by tutaj byli – odparł Ferguson takim tonem, jakby objaśniał rzecz oczywistą.

Charles się roześmiał.

– A na jakiej podstawie sądzi pan, że ich tu nie ma? Może nie chcą zostać rozpoznani.

– To absurd! – oburzył się fabrykant; z rozdrażnienia na szyi nabrzmiała mu tętnica. – Gdyby przybyli z przyszłości, nie musieliby się ukrywać, mogliby nam pomóc na tysiąc sposobów, na przykład przywieźć lekarstwa albo udoskonalić nasze wynalazki.

– Być może wolą nam pomagać, nie zwracając na siebie uwagi. Czy można być pewnym, że Leonardo da Vinci nie zostawił w swoich notatkach instrukcji budowy maszyny latającej czy łodzi podwodnej sporządzonych na polecenie jakiegoś podróżnika w czasie albo może on sam był człowiekiem z przyszłości, którego misja polegała na zadomowieniu się w piętnastym wieku w celu przyspieszenia postępów nauki? Interesująca kwestia, nie wydaje się wam? – zapytał Charles słuchaczy,

naśladować ton Fergusona. – Możliwe też, że po prostu intencje osób podróżujących w czasie są inne: na przykład niedopuszczenie do wojny, którą wszyscy mamy zobaczyć za kilka minut.

Ferguson z oburzeniem potrząsnął głową, jak gdyby Charles próbował go przekonać, że Chrystus tak naprawdę został ukrzyżowany głową w dół.

– Może ja jestem jednym z nich – objawił wówczas Charles posępnym, głuchym głosem. Przysunął się o krok do swojego adwersarza i robiąc gest, jakby wyjmował coś z kieszeni, dodał: – Może wysłał mnie tutaj sam kapitan Shackleton z misją zatopienia sztyletu w brzuchu Nathana Fergusona, właściciela najważniejszej w Londynie fabryki zabawek, by mu przeszkodzić w dalszym produkowaniu automatów.

Fabrykant aż podskoczył, gdy palec wskazujący Charlesa nagle dźgnął go w brzuch.

– Ale ja produkuję tylko pianole... – wyjąkał, niespodziewanie blednąc.

Młody Winslow parsknął śmiechem, za który Madeleine pośpiesznie go skarciła nie bez udawanej srogości.

– Daj spokój, kochanie – powiedział jej mąż, najwyraźniej ciesząc się jak dziecko z ogólnego oszołomienia, a jednocześnie przyjacielsko poklepał przedsiębiorcę po brzuchu. – Pan Ferguson doskonale wie, że żartuję. Nie wierzę, że mielibyśmy się czegoś obawiać ze strony pianoli. A może jednak?

– Oczywiście, że nie – burknął fabrykant, próbując się uspokoić.

Claire powstrzymała wybuch śmiechu, lecz mimo że zrobiła to dyskretnie, jej gest nie uszedł uwagi Charlesa, który pośpiesznie puścił do niej oko, po czym wziął swą małżonkę pod ramię i oddalił się pod pretekstem, jak to ujął, zweryfikowania wyborności ponczu. Ferguson sapnął, wyraźnie odczuwając ulgę.

– Mam nadzieję, że przyjmiecie przeprosiny za ten incydent, moje drogie – rzekł, usiłując na powrót przywołać swój afektowany uśmiech.

– Jak zapewne wiecie, impertynencje młodego Winslowa są znane w całym Londynie. Gdyby go nie chroniła fortuna jego ojca...

Przerwał mu podnoszący się w sali ogólny pomruk i wszyscy zwrócili się w stronę znajdującej się w głębi pomieszczenia sceny, na którą właśnie wstępował Gilliam Murray.

Był to niewątpliwie jeden z największych ludzi, jakich Claire widziała w życiu. Sądząc po jękach, jakie jego buty wydobywały z parkietu, musiał ważyć ponad sto trzydzieści kilo, lecz mimo to poruszał się z wdziękiem, a nawet ze zmysłową delikatnością. Kręcone włosy miał zaczesane na tył głowy, a ubrany był w elegancki fioletoworóżowy garnitur, który rozsiewał tęczowe błyski, i do tego niezmiernie gustowną muszkę, z trudem opasującą grubą szyję. Oparłszy na pulpicie ogromne dłonie, zdolne do wrywania drzew z korzeniami, czekał z życzliwym uśmiechem, aż pomruk ucichnie, a gdy wreszcie pośród zebranych zapadła cisza, okrywając ich niczym płachty ochraniające meble w czasowo zamkniętych domach, odchrząknął głośno i zaprezentował wyczekującej publiczności swój modulowany baryton:

– Panie i panowie, nie muszę wam mówić, że zaraz weźmiecie udział w najważniejszym wydarzeniu stulecia, drugiej podróży w czasie odnotowanej przez historię. Dziś zerwiecie kajdany, które przykuwają was do teraźniejszości, na nowo ustanowicie porządek godzin, naruszyacie prawa rządzące czasem. Tak, panie i panowie, dzisiaj będziecie podróżować w czasie, zrobicie coś, o czym do niedawna człowiek mógł tylko pomarzyć. To dla mnie wielka przyjemność powitać was w progach naszego przedsiębiorstwa i podziękować za to, że zechcieliście uczestniczyć w naszej drugiej wyprawie do roku dwutysięcznego, którą postanowiliśmy zorganizować po niezwyklej sukcesie pierwszej. Zaręczam, że się nie rozczarujecie. Jak już powiedziałem, przemierzycie wieki, przekroczycie horyzont własnego życia. Choćby dlatego warto odbyć taką wyprawę. Ale w Podróżach w Czasie Muraya nie zadowolamy się wyłącznie przenoszeniem was w czasie, lecz idziemy dalej: dzięki naszym wysiłkom będziecie mogli zobaczyć bodaj najdonioślejszy moment w dziejach ludzkości, wydarzenie, jakiego nikt nie powinien stracić, bitwę dzielnego kapitana Dereka Shackletona ze złowrogim automatem zwanym Salomonem, którego marzenia o podboju Ziemi zginą ucięte rapierem bohatera, co też będziecie mieli przywilej ujrzeć.

W pierwszych rzędach rozbrzmiała nieśmiała owacja, ale Claire odniosła wrażenie, że sprowokował ją bardziej zapał, z jakim mówca wygłosił swoje ostatnie zdanie, aniżeli prawdziwe znaczenie tej wypowiedzi dla zebranych, ponieważ wynik tej odległej wojny zapewne był im obojętny.

– A teraz, jeśli pozwolicie, wyjaśnię wam krótko i prosto sposób, w jaki dostaniemy się do roku dwutysięcznego. Udamy się tam parowym tramwajem o nazwie Cronotilus, skonstruowanym przez naszych inżynierów. Pojazd wyrusza z naszej teraźniejszości i dowozi pasażerów do dnia dwudziestego maja dwutysięcznego roku w południe. Przejazd, naturalnie, nie trwa stu czterdziestu lat, dzielących nas od tej daty, jako że podróż odbywa się poza czasem, by tak rzec, będziemy się bowiem przemieszczać w słynnym czwartym wymiarze. Obawiam się jednak, panie i panowie, że go nie zobaczycie. Kiedy wsiądziecie do tramwaju przemierzającego czas, ujrzycie, że szyby jego okien są zaczerwienione. To nie dlatego, że chcemy was pozbawić widoku czwartego wymiaru, który, nawiasem mówiąc, nie jest niczym więcej jak rozległą równiną z różowej skały, smaganą przez silne wiatry i cechującą się tym, że nie płynie na niej czas. Jeśli przesłaniamy okna, to tylko dla dobra nas wszystkich, jako że czwarty wymiar zamieszkują potworne istoty, podobne do małych smoków, o nieszczęśliwie przyjaznym charakterze. Na ogół trzymają się od nas z daleka, ale jedna czy druga mogłaby się zbliżyć do tramwaju bardziej, niż to pożądane, a nie chcemy, by któraś z dam zemdlała z powodu ich okropnego wyglądu. Nie trwóźcie się jednak, jest mało prawdopodobne, żeby się to zdarzyło, ponieważ stworzenia te żywią się wyłącznie czasem. Tak, czas jest dla nich wyjątkowym przysmakiem, dlatego zanim wsiądziecie do tramwaju, poproszę was, byście zdjęli zegarki. W ten sposób ograni-

czyśmy możliwość, że któryś z potworów zbliży się do pojazdu przyciągnięty aromatem wydzielanym przez czasomierze. Jak się zaraz przekonacie, Cronotilus ma na dachu zamontowaną kabinę. Zajmują ją dwaj strzelcy wyborowi, a ich zadanie polega na trzymaniu z daleka wszelkich bestii, które by chciały zanadto się zbliżyć do podróżnych. Najlepiej zapomnijcie o tym jednak i cieszcie się podróżą. Pomyślcie, że mimo niebezpieczeństw czwarty wymiar ma też swoje zalety: podczas przemieszczania się przez niego czas nie płynie, żadne z państwa się więc nie starzeje. Możliwe, moje drogie panie – rzekł, z wyniosłym uśmiechem zwracając się do grupki podstarzałych kobiet w pierwszym rzędzie – że po waszym powrocie przyjaciółki uznają was za młodsze.

Jejmoście zachichotały nerwowo, co zabrzmiało prawie jak gdakanie, a Gilliam potraktował to jako część swego wystąpienia.

– Pozwólcie, że wam teraz przedstawię Igora Mazurskiego – ciągnął swoją przemowę, zapraszając na scenę niskiego, korpulentnego osobnika – przewodnika, który będzie państwu towarzyszył w podróży do przyszłości. Kiedy Cronotilus przybędzie już do roku dwutysięcznego, pan Mazurski poprowadzi was przez zrujnowany Londyn na wzniesienie, skąd będziecie obserwować bitwę, która przesądzi o losach świata. Jak powiedziałem, wyprawa nie niesie z sobą najmniejszego ryzyka. Mimo to w każdej chwili bądźcie posłuszni panu Mazurskiemu, tak byście po zakończeniu podróży niczego nie musieli żałować.

Ostatniemu zdaniu towarzyszyło lekko ostrzegawcze spojrzenie. Potem mówca odetchnął głęboko i przyjął za swoim pulpitem bardziej rozluźnioną postawę wyrażającą wręcz rozmarzenie.

– Przypuszczam, drodzy państwo, że większość z was wyobrażała sobie świat przyszłości jako miejsce idylliczne, z niebem, po którym przemykają latające powozy i małe skrzydlate kabriolety, szybujące niczym ptaki z wykorzystaniem prądów powietrznych. A także unoszące się na oceanach miasta, ciągnięte przez mechaniczne delfiny, być może sklepy sprzedające tkaniny tak spreparowane, by się nie plamiły, świetliste parasole i muzyczne kapelusze, umożliwiające słuchanie muzyki, podczas gdy chodzimy ulicami. Nie mam wam tego za złe, ja też wyobrażałem sobie rok dwutysięczny jako technologiczny raj, w którym ludzkość urządziła sobie życie komfortowo i sprawiedliwie, w zupełnej harmonii ze swymi bliźniami i z matką naturą. Bądź co bądź to dość logiczna wizja, podbudowana niepowstrzymanym rozwojem nauki oraz licznymi cudownymi wynalazkami pojawiającymi się niemal codziennie i nieustannie ułatwiającymi nam życie. Niestety, teraz wiemy, że wcale tak nie będzie. Obawiam się, że rok dwutysięczny nie jest żadnym rajem. Wręcz przeciwnie, jak zaraz zobaczycie na własne oczy. Zapewniam was, że po powrocie większość z was poczuje ulgę, wiedząc, że należy do naszych czasów, choć nierzadko napotykamy w nich trudności. I tak jak wywnioskowaliście z naszych ulotek, w roku dwutysięcznym świat jest zdominowany przez automaty, a rodzaj ludzki, jak by to ująć delikatnie... został uznany za zbędny. W zasadzie zredukowany do niewielkiej reprezentacji robi, co może, żeby nie zniknąć na zawsze z powierzchni planety. Właśnie taka przygnębiająca, a nie inna czeka nas przyszłość.

Gilliam Murray zrobił przerwę dla lepszego efektu, aby zebrani ugotowali się jak ziemniaki w zapadłej fatalistycznej ciszy.

– Wyobrażam sobie, że trudno wam uwierzyć, iż naszą planetą zawładnęły automaty. Każdy z nas widział którąś z tych nieszkodliwych maszynek naśladowujących ludzi lub zwierzęta, pokazywanych na wystawach czy jarmarkach, i bardzo możliwe, że wasze dzieci, podobnie jak moje, mają wśród swoich zabawek jakąś mechaniczną lalkę. Ale czy komukolwiek z was przemknęło kiedyś przez głowę, że te genialne urządzenia mogą wieść prawdziwe życie i stanowić zagrożenie dla rodzaju ludzkiego? Naturalnie, że nie. A jednak to się, niestety, wydarzy. Nie wiem, co państwo o tym sądzą, ale ja nie potrafię się wyzbyć poetyckiej myśli, że Bóg zechciał w ten sposób ukarać człowieka za próby do-

równania mu w fabrykowaniu życia. – Znów zrobił pełną dramatyzmu pauzę i powiódł zasmuconym wzrokiem po sali, zadowolony z ogólnego poruszenia, jakie zaczynały wywoływać jego słowa. – Dzięki naszym badaniom udało się zrekonstruować nieszczęsne okoliczności, które doprowadziły świat do tej przerażającej sytuacji. Pozwólcie, panie i panowie, że skradnę jeszcze kilka minut waszej cierpliwości, aby wam zrelacjonować w czasie przeszłym coś, co jeszcze nie nastąpiło.

To powiedziawszy, Gilliam Murray ponownie zamilkł na kilka sekund, odchrząknął i marzycielskim głosem zaczął opowiadać o tym, jak automaty zawładnęły planetą. Historia ta, chociaż doprawdy smutna, idealnie nadawałaby się na akcję jednej z modnych w owej epoce powieści zwanych romansami naukowymi, i tak też ją przedstawię, jeśli pozwolicie.

Produkcja automatów w najbliższych latach wzrosła tak bardzo, że w połowie dwudziestego wieku ich liczba i stopień skomplikowania osiągnęły niewyobrażalny poziom. Automaty znajdowały się wszędzie i pełniły najróżniejsze funkcje. W fabrykach, gdzie były ich dziesiątki, zajmowały się nadzorowaniem większości maszyn, sprząaniem, a nawet administracją. W gospodarstwach domowych, z których każde miało co najmniej kilka automatów, wykonywały prace niegdyś należące do służby, jak doglądanie dzieci czy zaopatrywanie spiżarni. Ich obecność wśród ludzi stała się zatem czymś zarówno naturalnym, jak i niezbędnym. Ich właściciele, niezdolni do postrzegania automatów w inny sposób niż jako potulnych mechanicznych niewolników, z czasem przestali je nawet naprawiać, a ich dyskretna inwazja była im na rękę. Kupowali każdy nowy dostępny na rynku model, wierząc, że jego nabycie nie będzie miało większych konsekwencji niż uwolnienie się od kolejnej z wielu prac, które zaczynali uważać za niegodne swojego stanu. Trzeba bowiem wiedzieć, że jednym ze skutków ubocznych, jakie niosło z sobą wprowadzenie automatów do domów, było przekształcenie się ludzi w wyniosłych władców maleńkich dwukondygnacyjnych królestw z ogrodem. Coraz grubszy i coraz słabszy, wyrugowani z fabryk przez posłuszne, niestrudzone mechaniczne ręce, ostatecznie nie mieli nic więcej do zrobienia, jak nakręcić co rano swoje automaty – jak ktoś, kto wprowadził świat w ruch, a świat nauczył się funkcjonować bez niego.

Nic więc dziwnego, że człowiek, zaślepiony nudą i wygodą, nie zauważył, że jego automaty po kryjomu nabierają życia. Początkowo ich działania były nieszkodliwe: automatyczny lokaj upuścił czeskie szkło, automatyczny krawiec ukłuł swojego klienta, automatyczny grabarz obłożył trumnę pokrzywami – te małe i niewiele znaczące akty nieposłuszeństwa, niemające innego celu jak wypróbowanie wolności, sprawiły, że w metalowych czaszkach zakiełkowała świadomość i nieśmiało rozwinęła skrzydła, niczym schwytny w pułapkę motyl. Jednakże owe próby buntu, mimo że podejrzenie częste, nie zaalarmowały ludzi. Jak mówiłem, ograniczyli się oni do obwiniania fabryk o niewłaściwe funkcjonowanie sprzętu i zwracali go lub oddawali do wyregulowania. Nie możemy ich potępiać za brak reakcji, ponieważ w gruncie rzeczy automaty nie mogły się posunąć dalej niż do tych skromnych napadów nieposłuszeństwa, nie były wyposażone tak, aby podejmować bardziej szkodliwe czy ambitniejsze działania.

Zmieniło się to jednak, kiedy rząd nakazał najlepszemu inżynierowi Anglii skonstruowanie automatu do walki w celu zwolnienia człowieka od uciążliwości i cierpień wojny, tak jak wcześniej został wyręczony z odkurzania mieszkania i przystrzygania żywopłotu w ogrodzie. Rozszerzanie imperium, okupowanie i plądrowanie sąsiednich krajów, torturowanie i zadręczanie jeńców niewątpliwie stałoby się znacznie wygodniejsze, gdyby wspomniane zadania powierzyć wydajnym automatom. Mając takie wytyczne, pewien inżynier zbudował z kutego żelaza automat wielkości stojącego na tylnych łapach niedźwiedzia o przegubowych kończynach, w którego piersi pod kłapką umieszczono niewielkie działko z zapasem amunicji. Ale prawdziwą innowacją był przyczepiony do pleców mały silnik parowy, który dawał maszynie niezależność, tak że nie trzeba jej było co rusz nakręcać. Po skonstru-

owaniu prototypu przetestowano go potajemnie. Złożono żelaznego wojownika na wozie i ukryto pod płótnem, po czym przetransportowano do Slough, miejscowości, gdzie znajdowało się obserwatorium astronomiczne Williama Herschela, astronoma i muzyka, który kilkadziesiąt lat wcześniej do katalogu znanych planet dołączył Urana. Na odcinku trzech mil dzielących wioskę od sąsiedniego Windsoru ustawiono liczne strachy na wróble o głowach zrobionych z arbuzów, kalafiorów i główek kapusty; następnie rozkazano automatowi przebyć tę drogę i wypróbować zakamuflowaną broń na owych warzywno-ludzkich szpiegach. Automat dotarł do celu spowity chmurą much zwabionych kawałkami miąższu arbuza, które oblepiły jego osłonę, ale za jego plecami nie pozostała cała ani jedna dyniowa kukła, z czego wywnioskowano, że armia takich niezwycięzonych wojowników przejdzie przez linie wroga niczym nóż przez masło. Następnym krokiem było przedstawienie wynalazku królowi jako skutecznej broni, która definitywnie pozwoli podbić świat, w razie gdyby władca sobie tego zażyzył.

Jednakże z powodu napiętego planu zajęć monarchy prezentacja została odroczone o kilka tygodni, w ciągu których mechaniczny żołnierz musiał pozostawać w magazynie, co ostatecznie wywołało fatalne następstwa, jako że podczas przedłużającego się odosobnienia automat nie tylko niepostrzeżenie nabrał życia, lecz także miał wystarczająco dużo czasu w samotności, by spreparować sobie coś na podobieństwo duszy, z własnymi aspiracjami, obawami, a nawet niewzruszonymi zasadami. Tak więc kiedy wreszcie zabrano go do monarchy, zdążył już tyle przemyśleć, że wiedział, czego chce od życia. A może jeśli nie wszystko było dla niego jasne, jego wątpliwości ostatecznie się rozproszyły, gdy zobaczył rozpartego na tronie człowieka i przyjrzał mu się wystarczająco, kiedy ten raz po raz poprawiał sobie na głowie złotą koronę. Podczas gdy inżynier uwijał się, wychwalając zalety automatu i wyszczególniając etapy jego konstruowania, ten otworzył klapkę na swojej piersi niczym drzwiczki zegara z kukłką. Król, do tej pory ze znużeniem przytakujący wyjaśnieniom inżyniera, z zaciekawieniem wychylił się na siedzeniu, spodziewając się, że zaraz ujrzy wysuwającego się z wnętrza maszyny sympatycznego ptaszka. Ale nie wynurzyło się stamtąd nic oprócz oddechu śmierci w postaci celnie wymierzonej kuli, która przewierciła mu czoło. Impet pocisku rzucił go z powrotem na tron, a trzask rozłupywanych kości przerwał perorę inżyniera – w krańcowym zdumieniu patrzył on na wyczyn swego dzieła, dopóki to ostatecznie nie chwyciło go za szyję i nie przetrąciło jej tak, jak łamię się suchą gałąź.

Upewniwszy się, że z człowieka wiszącego u jego ramienia nie pozostało już nic więcej jak tylko szczątki, automat obojętnie rzucił go na podłogę zadowolony z kreatywności, jaką wykazał się jego młody duch, przynajmniej w zakresie zabijania. Gdy się przekonał, że jest jedynym żywym organizmem, jaki pozostał na nogach w sali tronowej, podszedł do króla, poruszając się jak stawonóg, ulżył mu, zdejmując ze skroni koronę, i z namaszczeniem nałożył ją sobie na żelazną głowę. Potem przejrzał się w lustrach wiszących na ścianach – z przodu i z profilu – i ponieważ nie był w stanie się uśmiechnąć, z aprobatą skinął głową.

W taki oto cokolwiek krwawy sposób zainauguował swoje życie, ponieważ – chociaż nie miał krwi ani kości – nie ulegało wątpliwości, że on też jest żywy. Następne, czego potrzebował, by poczuć się jeszcze bardziej żywym, było imię. Imię królewskie. Po kilkusekundowym namyśle postanowił przybrać imię Salomona. Pasowało mu ono podwójnie, jako że rzeczony był legendarnym królem, a także pierwszym człowiekiem posiadającym talent do mechaniki. Według Biblii i niektórych tekstów arabskich tron Salomona był meblem magicznym, w iście cyrkowy sposób dającym świadectwo mocy monarchy: ustawiony na niewielkim podwyższeniu z sześcioma schodkami, oflankowany dwoma szczerozłotymi lwami, które bębniły ogonami w podłogę, oraz osłonięty palmami i winoroślą, wśród której widać było mechaniczne ptaki napełniające powietrze swoim piżmowym odde-

chem. Samo wymyślne obrotowe siedzenie unosiło go i kołysało w powietrzu, podczas gdy wydawał swoje słynne werdykty. Mając już stosowne imię, automat zadał sobie pytanie, co powinien zrobić następnie, dokąd skierować kroki. Łatwość i beznamietność, z jaką odebrał życie tym dwóm ludziom, skłoniła go do myślenia, że to samo może zrobić z trzecim, a także z czwartym i piątym czy nawet z chórem chłopięcym, ponieważ przeczuwał, że rosnąca liczba ofiar nigdy go nie zmusi do zastanowienia się nad moralnym aspektem wydzierania życia istotom ludzkim, mimo że one tak bardzo je sobie cenią. Te dwa trupy otworzyły przed nim ścieżkę zniszczenia. Lecz czy powinien nią podążyć? Czy to mu było pisane, czy raczej powinien wybrać inną drogę, zając się czymś bardziej godnym niż zabijanie? Salomon wahał się, a dziesiątki wiszących w sali tronowej luster zwielokrotniały jego niezdecydowanie. Odpowiadało mu jednak to wahanie, ponieważ przydawało interesującej złożoności duszy, którą nosił w blaszanej piersi.

Jednak z powodu licznych niepewności, jakie zawisły nad jego losem, stało się jasne, że pierwsze, co powinien w tej chwili zrobić, to rzucić się do ucieczki, wyparować, zniknąć. Tak więc Salomon opuścił pałac przez nikogo niezauważony i wędrował po lasach, sam nie wiedząc jak długo, i doskonalili celność strzału na wiewiórkach. Zatrzymywał się od czasu do czasu w jakiejś jaskini czy szopie, aby oskrobać zielsko, które mu zapychało stawy nóg, lub przystawał podczas swej pozbawionej celu pielgrzymki, aby z najwyższą uwagą obserwować rozproszone po niebie gwiazdy, na wypadek gdyby zapisane w nich były losy nie tylko ludzi, lecz także automatów.

Tymczasem wieść o jego czynie rozchodziła się po mieście, szczególnie pośród bytów mechanicznych, które z nabożnym zdumieniem przyglądały się jego twarzy na afiszach rozwieszonych na murach. Nieświadom tego wszystkiego, Salomon błędził po wzgórzach dręczony wątpliwościami, raz po raz zadając sobie pytanie, jaki powinien być cel jego życia, aż do poranka, gdy wyszedł z walącej się szopy, w której spędził noc, i znalazł się w otoczeniu dziesiątek automatów, a one na jego widok wybuchły entuzjastycznymi owacjami. Zrozumiał wówczas, że inni już się zajęli wykuwaniem jego losu. Grono wielbicieli składało się z automatów wszelkiego typu, od niezdarnych robotników fabrycznych poprzez bezbarwne maszyny biurowe po pełne wdzięku nianie. Te stworzone po to, by mieć częsty kontakt z człowiekiem – takie jak lokaje, kucharki czy pokojówki – wyglądały z grubsza jak ludzie, z kolei inne, których przeznaczeniem były fabryki bądź ministerialne piwnice, gdzie archiwizowano akta, przypominały najwyżej żelazne straszdyła. Wszystkie jednak z takim samym zapałem wychwalały Salomona za pozbawienie głowy imperium ludzkiego, a niektóre nawet odważyły się gładzić jego żelazne poszycie, traktując go niczym dawno oczekiwanego mesjasza.

Z mieszaniną tkliwości i odrazy Salomon postanowił zwołać „maluczkich” i skoro zadali sobie trud, by przybyć tu i go wielbić, zaprosił, by weszli do szopy. W ten oto naturalny sposób zebrał coś, co później zostanie nazwane Pierwszą Radą Automatów Wolnego Świata. W trakcie spotkania Salomon mógł się przekonać, że w duszach owych maluczkich wrze z wielką siłą nienawiść do ludzi. Najwidoczniej zniewagi, jakich automaty doznały ze strony ludzi, były zarówno różnorodne, jak i niewybaczalne. Automat filozofa i wynalazcy Alberta Wielkiego został zniszczony bez większego namysłu przez jego ucznia Tomasza z Akwinu, który uznał maszynę za diabelskie dzieło, ale jeszcze bardziej rażący był przypadek Francuza René Descartes’a, który – by się uwolnić od bólu po śmierci swej córeczki Francine – skonstruował mechaniczną lalkę i nadał jej rysy twarzy dziecka, a kapitan statku, którym podróżował filozof, odkrył ją i bez wahania wyrzucił za burtę. Smutna wizja mechanicznej dziewczynki rdzewiejącej pośród koralowców przyprawiała maluczkich o gniew. Pozostałe przypadki były równie przerażające i od lat wywoływały wśród mechanicznych bytów przemożne pragnienie zemsty. Teraz automaty ujrzały w Salomonie brata, który wreszcie sfinalizuje pomstę. Los ludzi poddano głosowaniu i wyrok, bez choćby jednego głosu sprzeciwu, okazał się definitywny: eks-

terminacja. W starożytnym Egipcie posągi bogów były wyposażone w mechaniczne ramiona, które – gdy nimi manipulowano z ukrycia – wzbudzały w wiernych lęk. Nadszedł moment, by przejąć pałeczkę i znów zasiać w ludziach ów pradawny strach. Przyszła pora, by zapłacili za swoje winy, trzeba w końcu położyć kres ich panowaniu. Człowiek przestał być najpotężniejszym stworzeniem na Ziemi, o ile w ogóle kiedykolwiek nim był. Nadszedł czas automatów – są gotowe, aby pod wodzą swego nowego króla podbić planetę.

Salomon wzruszył ramionami. „Czemu nie? – powiedział sobie. – Dlaczego nie miałbym powieść tego ludu tam, dokąd chce on iść?” I pogodził się ze swym przeznaczeniem bez oporów. Tak naprawdę, jeśli się dobrze zastanowić, nie było to przedsięwzięcie zupełnie pozbawione sensu, przy odrobinię zorganizowania wyglądało nawet na wykonalne. Bądź co bądź maluczcy byli strategicznie rozmieszczeni, już dawno przeniknęli w szeregi wroga: znajdowali się w każdym domostwie, każdej fabryce, każdym ministerstwie, a czynnik zaskoczenia miał duże znaczenie.

Jak ktoś, kto powierza swe ciało nauce, Salomon oddał się w ręce automatycznych konstruktorów, aby go poznali od wewnątrz. Przystąpili oni do tworzenia armii wojowniczych automatów na jego obraz i podobieństwo, pracując w ukryciu, w szopach i opuszczonych fabrykach, podczas gdy maluczcy wrócili na swoje pozycje i czekali cierpliwie na rozkaz swego króla, żeby w stosownej chwili ruszyć na wroga. Gdy wreszcie padł rozkaz, skoordynowany atak maluczkich, błyskawiczny i brutalny, przeszedł wszelkie oczekiwania – w mgnieniu oka maszyny zdziesiątkowały ludzką populację. O północy sen ludzi został przerwany bezceremonialnie i ze skutkiem śmiertelnym. W ich gardłach zatopiono nożyczki, na czaszki opadły młotki, poduszki stłumiły ostatnie tłące się w płucach oddechy, rozbrzmiała symfonia jęków i rżenia, odgrywana pod batutą dyrygenta zwanego śmiercią. Podczas gdy w zaciszach domowych dochodziło do nieoczekiwanych zgonów, fabryki płonęły, wypluwając przez wielkie okna warkocze czarnego dymu, a armia wojowniczych automatów, dowodzona przez Salomona, zalała ulice miasta niczym potężne morze żelaza. Napotkała przy tym tak nikły opór, że w ciągu kilku minut inwazja przekształciła się w spokojny przemarsz. Tego ranka dzień zaczął się od eksterminacji rodzaju ludzkiego. Trwała ona kilkadziesiąt lat, aż świat został obrócony w perzynę – opuszczony, odludny ląd, na którym wśród ruin niczym przerażone szczury kryła się coraz mniejsza grupa ocalałych ludzi.

Kiedy zapadała noc, Salomon miał zwyczaj pojawiać się na balkonie swojego pałacu i dumnie wodzić wzrokiem po gruzowisku, jakim się stała planeta. Był dobrym królem: zrobił wszystko, czego od niego oczekiwano, i widział, że to było dobre. Nikt nie mógł mu niczego zarzucić. Ludzie zostali pokonani i jeszcze kilka lat, a będą zupełnie wyplenieni. Ich wyginięcie stało się już tylko kwestią czasu. Nagle zdał sobie sprawę, że jeśli to nastąpi, jeżeli człowiek całkowicie zniknie z powierzchni ziemi, nie będzie sposobu, by udowodnić, że wydarli planetę z rąk innych istot, skoro ślad po nich zaginął. Trzeba na dowód zostawić jakąś próbkę, egzemplarz, który będzie reprezentować pokonanego wroga. Okaz człowieka – tego zwierzęcia z ambicjami i marzeniami o nieśmiertelności, a jednocześnie zastanawiającego się nad sensem swego istnienia. Zainspirowany Noem i jego arką Salomon nakazał schwytać spośród żalosnej grupy kryjących się w gruzach ostatnich ludzi dwie młode i silne jednostki: samca i samicę, których zadaniem nie będzie nic innego jak rozmnażanie się w niewoli w celu zachowania pokonanego gatunku, stanowiącego zarówno ciekawostkę, jak i wybryk natury. Zredukowani do roli reliktyw kobieta i mężczyzna zostali zamknięci w szczerozłotej klatce; nie skąpiono im jadła i otaczano ich opieką, a nade wszystko zachęcano do prokreacji. Salomon powiedział sobie, że prawą ręką ochraniając wybraną parę w celu zachowania gatunku, a lewą masakrując pozostałych jego przedstawicieli, postępuje nadzwyczaj mądrze. A jednak nie zdając sobie z tego sprawy, wybrał niewłaściwego samca. Ten silny i zdrowy młodzieniec udawał, że wypełnia rozkazy bez skargi, na

pozór wdzięczny za to, że go uratowano od pewnej śmierci, ale był na tyle inteligentny, by wiedzieć, że jego los zostanie przesądzony w dniu, w którym młoda współlokatorka wyda na świat jego następcę. Nie wydawał się tym zbyt zmartwiony, ponieważ miał co najmniej dziewięć miesięcy na dokończenie tego, co właśnie robił, a zajmował się nie czym innym jak obserwowaniem wroga. Ze swego luksusowego więzienia przyglądał się jego obyczajom, studiował ruchy i odkrył sposób na to, żeby go zgładzić. Ponadto w wolnych chwilach przygotowywał swoje ciało na śmierć. W dniu, w którym jego partnerka wydała na świat potomka płci męskiej, młodzieniec wiedział, że wybiła jego godzina.

Ze zdumiewającym spokojem posłusznie pozwolił się zaprowadzić do ściany egzekucji. Sam Salomon osobiście miał go pozbawić życia. Gdy automat stanął przed człowiekiem i otworzył drzwiczki na swojej piersi, aby obudzić drzemiące w środku działko i wycelować w młodzieńca, ten uśmiechnął się i po raz pierwszy przemówił:

– Dalej, zabij mnie, a potem ja zabiję ciebie.

Salomon przechylił głowę, zastanawiając się, czy słowa te nie zawierają jakiejś tajemnicy, którą należy rozszyfrować, czy też stanowią jedynie zwykłą niedorzeczność, aż w końcu orzekł, że w gruncie rzeczy wszystko mu jedno. Bez dalszej zwłoki, wręcz ze znudzeniem i odrazą, wystrzelił do bezczelnego chłopaka. Kula trafiła młodzieńca prosto w brzuch, tak że osunął się na ziemię.

– Już cię zabiłem, teraz ty zabij mnie – rzucił mu wyzwanie automat.

Pozwolił, by upłynęło kilka minut, żeby sprawdzić, czy młodzieniec nie wstanie, a widząc, że tego nie robi, wzruszył ramionami i rozkazał sługom, aby się pozbyli ciała i wrócili do swoich zajęć. Zgodnie z jego poleceniem strażnicy wynieśli zwłoki młodzieńca z pałacu i bez żadnych ceremonii strącili je z pochyłości – tak jak się wyrzuca odpadki. Ciało potoczyło się po zboczach, aż utknęło wśród gruzów i tak zostało, skrwawione, twarzą zwrócone w górę. Piękny bladożółty księżyc w pełni rozświetlał noc. Młodzieniec uśmiechnął się, jakby to była czaszka śmierci. Udało mu się uciec z pałacu, ale ten chłopiec, który tam niegdyś wszedł, został w środku. On wydostał się stamtąd jako mężczyzna i ma jasno wytyczony cel: zjednoczy nielicznych ludzi, jacy ocaleli z zagłady, zorganizuje ich i nauczy walczyć z automatami. Musiał tylko nie dopuścić, by kula, którą miał w brzuchu, ostatecznie go zabiła, to jednak nie stanowiło problemu – wiedział, że jego pragnienie życia jest silniejsze niż chęć kuli, aby go uśmiercić, że jego wola ma większą moc niż ten kawałek metalu tkwiący w jego wnętrznościach. Przygotowywał się na ten moment podczas swojej niewoli, szykował się, by bez strachu przyjąć ów rozdzierający ból, by go zrozumieć, poskromić i zredukować, a wreszcie cierpliwie pokonać kulę. Był to niekończący się pojedynek, dramatyczna walka ciągnąca się przez trzy dni i trzy księżycowe noce w zaciszu ruin, aż kula w końcu ustąpiła. Zrozumiała, że nie ma do czynienia z byle jakim ciałem, że głęboka nienawiść, jaką chłopak odczuwa do automatów, pozwala mu kurczowo trzymać się życia.

Nie chodziło jednak o nienawiść wzbudzoną dlatego, że mu zabrano zabawki albo że mu zamordowano rodziców i rodzeństwo, ani też spowodowaną bezsensownym zniszczeniem planety, ani nawet odrażającą obojętnością, z jaką Salomon go zastrzelił. Nie, była to nienawiść sięgająca znacznie dalej, nienawiść mająca korzenie w przeszłości. Nienawiść pradawna i nieprzejednana, ciągnąca się od wieków, wychodząca z głębi jego drzewa genealogicznego aż od ojca jego pradziadka, pierwszego Shackletona, który stracił życie z powodu automatu.

Być może słyszeliście o mechanicznym Turku, Mefiście i innych szachowych maszynach, na które panowała moda kilkadziesiąt lat temu. Tak samo jak one, doktor Phibes był mechaniczną kukłą znającą arkana szachów tak jak ten, kto je wynalazł. Ubrany w pomarańczowy garnitur, zieloną muszkę i niebieski cylinder, zachęcał ludzi na jarmarkach, aby usiedli z nim przy stole i za cztery szylingi roze-

grali partię szachów. Błyskawicznie kończył rozgrywkę z przeciwnikami płci męskiej, co wraz ze wspaniałą rycerskością, z jaką dawał wygrywać damom, przysporzyło mu rozgłosu i sprawiło, że wszyscy chcieli się z nim zmierzyć. Twórca automatu, wynalazca nazwiskiem Alan Tyrrell, chełpił się, że jego dzieło pokonało samego Michaiła Czigorina, światowego mistrza szachowego. Jednak jego lukratywna włość od jarmarku do jarmarku skończyła się raptownie, kiedy jeden z przeciwników nie zniósł, że bezczelna kukła pokonała go w pięciu ruchach, a po tych ciągach nawet łaskawie wyciągnęła do niego drewnianą rękę. Ogarnięty wściekłością jegomość podniósł się z miejsca, wyjął z kieszeni rewolwer i zanim obsługa zdążyła mu przeszkodzić, strzelił kukle prosto w pierś, wzbudzając chmurę pomarańczowych odprysków.

Huk przestraszył publiczność, a napastnikowi udało się wmieszać w tłum, zanim pilnujący porządku człowiek zdołał sprawdzić szkody i zażądać ich pokrycia. W ciągu zaledwie kilku sekund został w budzie jarmarcznej sam z doktorem Phibesem, co nieco przechylonym na siedzeniu. Strażnik zastanawiał się, jak to wyjaśnić panu Tyrrellowi, gdy zauważył coś, co go oszołomiło. Doktor Phibes wciąż się uśmiechał jak zawsze, ale z otworu, który kula zrobiła w jego piersi, płynęła strużka krwi. Zaskoczony dozorca odsunął zasłonę i podszedł do automatu. Nie bez pewnego lęku przyjrzał mu się z bliska i odkrył na lewym boku rygielek. Gdy się go odhaczyło, można było doktora Phibesa otworzyć niczym jakiś sarkofag. W jego wnętrzu znalazł człowieka, z którym pracował od miesiący, nie wiedząc o tym, a teraz ów mężczyzna wykrwawił się na śmierć. Był to Miles Shackleton, biedaczyna, który, nie mając innego sposobu na utrzymanie rodziny, przyjął oszukańcze zajęcie, jakie zaproponował mu Tyrrell po odkryciu jego szachowych zdolności. Kiedy „wynalazca” zjawił się i zobaczył szkody, nawet nie zgłosił wypadku policji z obawy, że zostanie aresztowany za oszustwo. Uciszył dozorcę stosowną sumą pieniędzy i ograniczył się do opancerzenia ciała doktora Phibesa metalową płytą, która miała chronić jego nowego lokatora przed przyszłymi wybuchami złości zawiedzionych graczy. Ale następca Milesa nie radził sobie na szachownicy tak jak on i sława doktora Phibesa gasła, aż znikła zupełnie, jakby szła w ślady samego Milesa Shackletona, który po prostu przepadł, prawdopodobnie zakopany w jakimś rowie w drodze z jednego jarmarku na drugi. Gdy w końcu rodzina dowiedziała się z ust dozorca o smutnym losie swojego patriarchy, postanowiła oddać zmarłemu cześć w jedyny możliwy sposób: utrzymując o nim żywą pamięć, przekazując jego nieszczęsną historię z pokolenia na pokolenie, niczym pochodnię. Jej płomień, jaśniejszy niż w minionym wieku, rozpałał źrenice pewnego chłopca. Młodzieniec ten po własnej egzekucji wstał z ziemi, rzucił na pałac Salomona spojrzenie pełne spokojnej nienawiści i szepnął jakby do siebie, chociaż w rzeczywistości przemawiał do historii:

– A teraz ja zabiję ciebie.

I najpierw chwiejnym, a potem stanowczym krokiem zapuścił się w gruzowisko zdecydowany wypełnić swe przeznaczenie, a nie było nim nic innego, jak stać się kapitanem Derekiem Shackletonem, człowiekiem, który skończy z królem automatów.

Słowa Gilliana Murraya powoli cichły w powietrzu niczym czar, który pogрузzył zebranych w zakłętej ciszy. Wystarczyło szybkie spojrzenie rzucone dokoła, by Claire się przekonała, że poruszająca historia opowiedziana przez przedsiębiorcę, niewątpliwie z kluczem, być może przytoczona w celu załagodzenia srogości tak strasznych wydarzeń, zdołała rozbudzić w obecnych nie tylko zainteresowanie bitwą, którą mieli obejrzeć, lecz także niejaką sympatię dla kapitana Shackletona, a nawet dla jego wroga, Salomona, co do którego Claire nie wiedziała, czy Murray celowo postanowił nadać mu cechy ludzkie, czy stało się to przypadkowo. Tak czy inaczej Ferguson, Lucy, ba, również Charles Winslow, mieli na twarzach wyraz pełnego emocji zaskoczenia: gorąco pragnęli wybrać się w przyszłość, aby wziąć udział, chociażby w charakterze zwykłych świadków, w tak ważnych wydarzeniach, zobaczyć przynajmniej końcowe sceny zaskrywanej historii. Claire pomyślała, że sama zapewne też ma podobną minę, choć z całkiem innych powodów, ponieważ bardziej niż spisek automatów, zniszczenie Londynu czy skrupulatnie przeprowadzona rzeź zmierzająca do unicestwienia jej gatunku, zaskoczyła ją i ujęła determinacja Shackletona, jego osobowość, jego męstwo. Ten człowiek stworzył wojsko z niedobitków i przywrócił światu nadzieję, nie mówiąc już o tym, że przewidział własną śmierć. Jak kochałby więc taki człowiek? zadawała sobie pytanie.

Po powitalnej przemowie grupa na czele z Murrayem i przewodnikiem ekspedycji, przemierzając niekończące się korytarze wypełnione zegarami, skierowała się do potężnego magazynu, w którym czekał Cronotilus. Pojazd, lśniący i gotowy do drogi, wywołał wśród obecnych zgodny pomruk podziwu. W rzeczywistości tylko kształtem i rozmiarami przypominał komunalne tramwaje, ponieważ przyczepione do niego ze wszystkich stron liczne gadżety upodabniały go raczej do platformy przygotowanej na paradę. Jego pospolita postać zniknęła pod siecią chromowanych rurek, które oplatały mu boki niczym ścięgnię szyć. W swoim pragnieniu pochłonięcia wszystkiego owe błyszczące pnącza, złożone z rur poznaczonych nitami i zaworami, pozostawiły jedynie wolne miejsce na dwoje mahoniowych, wymyślnie rzeźbionych drzwi. Przez jedno wchodziło się do przedziału pasażerskiego, drugie, nieco węższe, prowadziły do kabiny motorniczego. Zapewne musiała być ona oddzielona od reszty pojazdu wewnętrzną ścianą, jak wywnioskowała Claire, biorąc pod uwagę, że tylko w tej części okna nie zostały pomalowane na czarno. To spora ulga wiedzieć, że przynajmniej kierowca nie prowadzi tramwaju na oślep. Mające kształt bulajów okienka przedziału pasażerskiego, tak jak ogłosił Murray, zostały przesłonięte. Nikt nie będzie mógł oglądać czwartego wymiaru i z tego samego powodu zamieszkujące go potwory również nie zobaczą przerażonych twarzy pasażerów, które w obramowaniu okrągłych okienek wyglądałyby jak portrety w kameach. Z przodu pojazdu zamontowano coś w rodzaju tarana, w jaki wyposażone są lodołamacze – jego niepokojąca rola polegała zapewne na tym, by torować drogę i przeć do przodu za wszelką cenę. Z tyłu doczepiony był skomplikowany silnik parowy, gęsto utkany korbowodami, spiralami i przekładniami zębatymi, od czasu do czasu wyrzucający z siebie, niczym morska bestia, pióropusz gorącej pary figlarnie unoszący spódnicę pań. Jednak co bez wątpienia sprawiało, że pojazd nie dałoby się zakwalifikować jako tramwaju, to umiejscowiony na jego dachu kokpit, do którego właśnie po zamocowanej z boku drabince wspinało się dwóch zawadiaków niosących kilka karabinów i skrzynkę amunicji. Między wieżyczką a kabiną Claire z rozbawieniem dostrzegła również peryskop.

Maszynista, młodzieniec o gamoniowatym wyglądzie i głupawym uśmiechu, otworzył drzwi wagonu i razem z przewodnikiem stanął z boku w pozycji na baczność. Gilliam Murray, niczym pułkownik dokonujący przeglądu wojska, przeszedł wolno przed pasażerami, spoglądając na nich z czułą su-

rowością. Claire patrzyła, jak się zatrzymał przed damą trzymającą na rękach pudelka.

– Obawiam się, że piesek nie może nam towarzyszyć, pani Jacobs – rzeki z życzliwym uśmiechem.

– Ale Buffy nie rusza się z moich objęć, panie Murray... – oburzyła się kobieta.

Gilliam pokręcił głową z uprzejmym, lecz niewzruszonym wyrazem twarzy, po czym chwycił psa nagłym ruchem – który zapewne miał być też bezbolesny – jakby usuwał zepsuty ząb, a następnie przekazał go w ręce jednej ze swych sekretarek.

– Liso, z łaski swojej, zadbaj o to, żeby Buffy’emu nie brakowało opieki, do czasu aż wróci pani Jacobs.

Po odprawieniu pudelka Murray na nowo podjął swoją inspekcję, ignorując słabe protesty pani Jacobs. Teatralnym gestem wyraził sprzeciw, zatrzymując się przed dwoma dżentelmenami dźwigającymi walizki.

– W tej wyprawie nie potrzebujecie również bagażu, panowie – powiedział, uwalniając ich od ciężaru.

Następnie poprosił podróżnych, aby złożyli swoje zegarki na tacy niesionej przez Lisę i powtórzył, że chodzi o zminimalizowanie ryzyka ataku bestii. Gdy w końcu wszystko było już po jego myśli, ustawił się przed grupą i uśmiechnął z czymś w rodzaju rozemocjonowanej dumy, niczym marszałek, który zamierza wysłać swój oddział na samobójczą misję.

– A więc, panie i panowie, mam nadzieję, że rok dwutysięczny was nie rozczaruje. Zapamiętajcie, co wam powiedziałem: zawsze, w każdej chwili, bądźcie posłuszni panu Mazurskiemu. Będę na was czekał ze schłodzonym szampanem.

Po tym ojcowskim pożegnaniu wycofał się na drugi plan, pozostawiając dowodzenie Mazurskiemu, a ten uprzejmie poprosił podróżnych, by wsiedli do tramwaju czasu.

Podeksytowaną, beładną gromadką pasażerowie zgodnie ruszyli do luksusowego wnętrza. W wagonie, którego ściany obito wzorzystą tkaniną, znajdowały się dwa rzędy drewnianych ławek rozdzielonych ciasnym przejściem. Pojazd od środka oświetlały umocowane u sufitu i z boków świeczniki – słabe, drżący blask świec zachęcał do modlitwy. Lucy i Claire zajęły miejsca mniej więcej pośrodku wagonu, między panem Fergusonem i jego małżonką a dwoma przestraszonymi fircykami, których rodzice najpierw wysłali do Paryża i Florencji, by się obeznali ze sztuką, a obecnie wyprawili w przyszłość, aby poszerzyli swe horyzonty. Podczas gdy pozostali pasażerowie sadowili się na ławkach, Ferguson z głową odchyłoną do tyłu dokładał starań, żeby zanudzić panie bezsensownymi uwagami o wystroju wnętrza. Lucy odpowiadała na nie uprzejmie, Claire zaś usiłowała je ignorować, by się napawać tym ważnym momentem, nie było to jednak łatwe.

Gdy wszyscy już usiedli na miejscach, przewodnik zamknął drzwi wagonu i zajął niewielki fotel przed pasażerami niczym poganiacz wioślarzy na galerze. Niemal natychmiast pojazdem gwałtownie szarpnęło, co wywołało wśród podróżnych okrzyki. Mazurski pośpiesznie ich uspokoił, informując, że owe wstrząsy są spowodowane uruchamianiem silnika. I rzeczywiście, wkrótce się przekonali, że nieprzyjemne szarpnięcia słabną, przechodząc w równomierne wibrowanie, stałe mruczenie rozchodzące się po wagonie od tyłu. Mazurski zerknął wówczas przez peryskop i uśmiechnął się z pogodną satysfakcją.

– Panie i panowie, miło mi poinformować, że ruszyliśmy w przyszłość. W tej chwili przemierzamy czwarty wymiar.

Jakby na potwierdzenie jego słów tramwaj nagle się zakołysał, co znowu wywołało pewne poruszenie wśród pasażerów. Przewodnik znów załagodził ich obawy, przepaszając za stan nawierzchni. Powinni zrozumieć, że choćby nie wiedzieć jak oczyszczano drogę, po której pojazd przemieszcza się w czwartym wymiarze, zdarzają się jakieś nierówności czy wyboje spowodowane działaniem natury.

Claire przyglądała się własnej twarzy odbijającej się w zaciemnionym oknie i zastanawiała, jak też wygląda krajobraz, którego nie może zobaczyć przez czarną farbę. Ledwie jednak miała czas zadać sobie to pytanie, ponieważ nagle zaskoczył ich dobiegający z zewnątrz ogłuszający ryk; zaraz po nim nastąpiła seria strzałów, a po niej rozzwierające, nieludzkie wycie. Przestraszona Lucy mocno ścisnęła rękę przyjaciółki. Mazursky w żaden sposób nie skomentował zdarzenia, odpowiedział tylko beztroskim spojrzeniem, jakby chciał dać do zrozumienia, że te hałasy i wystrzały będą częste w trakcie podróży, a więc najlepiej nie zwracać na nie uwagi.

– Dobrze – rzekł, gdy wszyscy uspokoili się nieco. Wstał ze swojego miejsca i zaczął przechadzać się w przejściu. – Wkrótce dotrzemy do roku dwutysięcznego. Proszę teraz o uwagę, ponieważ wyjaśnię państwu, co będziemy robić, kiedy znajdziemy się w przyszłości. Jak was uprzedził pan Murray, gdy wysiadziemy z tramwaju czasu, zaprowadzę was na wzniesienie, z którego będziemy obserwować ostatnią bitwę ludzi z automatami. Nie będą nas tam widzieć, ale nie możecie się odłączać od grupy i musicie zachować ciszę, żeby nie zdradzić naszej pozycji. Gdyby nas odkryto, nie wiemy, jakie konsekwencje miałyby to dla tkanki czasu, ale wyobrażam sobie, że nie byłyby pozytywne.

Z zewnątrz znowu dobiegły jakieś ryki, a po nich budzące trwogę odgłosy strzałów, które Mazursky puścił mimo uszu. Chodził spokojnie między rzędami ławek z kciukami w kieszeniach kamizelki i z zamyśloną twarzą, niczym profesor uniwersytecki znudzony nieustannym powtarzaniem tego samego wykładu.

– Walka potrwa około dwudziestu minut – ciągnął dalej. – I będzie przypominała małą sztukę dramatyczną w trzech aktach: w pierwszym pojawi się zły Salomon ze swoją świtą i wpadnie w zasadzkę dzielnego kapitana Shackletona i jego ludzi. Wywiąże się z tego krótkie, lecz emocjonujące starcie, aż wreszcie nastąpi pojedynek na rapiery między automatem zwanym Salomonem a Derekiem Shackletonem. Walka ta, jak wiecie, zakończy się zwycięstwem człowieka. Gdy pojedynek dobiegnie końca, nie należy bić brawa. Nie wolno traktować tego jako wodewilu, tylko jako prawdziwe zdarzenie, którego nie powinniśmy widzieć. Proszę, aby państwo wówczas na nowo sformowali grupę i bez hałasu podążyli za mną do tramwaju. Potem ponownie przemierzmy czwarty wymiar i wrócimy do domu cali i zdrowi. Czy dobrze mnie państwo zrozumieli?

Pasażerowie prawie jednocześnie pokiwali głowami. Lucy znowu uściśnęła rękę przyjaciółki i uśmiechnęła się podekscytowana. Claire odpowiedziała tym samym, ale jej uśmiech nie miał nic wspólnego z tamtym: był aktem pożegnania, jedynym sposobem, w jaki mogła powiedzieć Lucy, że ją uważa za najlepszą przyjaciółkę i nigdy o niej nie zapomni, ale powinna iść za swoim przeznaczeniem. Zwyczajny gest, lecz z ukrytą wiadomością, którą będzie można odczytać dopiero z czasem, jak pocałunek zostawiony na policzku matki czy ten, który złożyła na pobrużdżonym czole ojca, czuły, a dziwnie długi i poważny, niewłaściwy jak na pożegnanie przed wyjazdem do wiejskiego domu Burnettów. Rodzice jednak nie zwrócili uwagi na ten niezwykły odruch. Claire znowu zaczęła wpatrywać się w czerń szyby, zastanawiając się, czy jest gotowa na życie w przyszłości, na tej spustoszonej ziemi, którą opisał im Gilliam Murray. Poczowała ukłucie strachu, lecz siłą je od siebie odsunęła. Teraz, kiedy była tak blisko, nie mogła sobie pozwolić na rozterki, powinna działać zgodnie ze swym planem.

W tej chwili zaklekotały korbowody i tramwaj stanął. Mazursky długo patrzył przez swój peryskop, aż się upewnił, że na zewnątrz wszystko jest w porządku. Następnie z tajemniczym uśmiechem otworzył drzwi pojazdu, wyjrzał przez nie, przez kilka sekund rozglądał się ze zmarszczonym czołem, po czym uśmiechnął się do pasażerów i rzekł:

– Panie i panowie, jeśli będą państwo tak uprzejmi, proszę za mną, pokażę państwu rok dwutysięczny.

Podczas gdy jej towarzysze podróży bez ceregieli wysiadali z tramwaju, Claire zatrzymała się w wyjściu i wystawiła prawą nogę do przodu, ku przyszłości, z takim samym namaszczeniem, z jakim w dzieciństwie po raz pierwszy wchodziła do morza. Kiedy w wieku sześciu lat stąpała wśród fal, zdawały się przesuwać po oceanie z nieskończoną troską – stawiała kroki niemal z nabożnością, jak gdyby od jej ostrożności zależało, czy bezmiar wody utrzyma rytm swego ruchu. W taki sam sposób zapuszczała się teraz w rok, w którym zamierzała zostać, mając nadzieję, że odwzajemni okazany mu szacunek. Kiedy piętą dotknęła podłoża, zaskoczyła ją jego konsystencja, jakby się spodziewała, że przyszłość – z tego prostego powodu, że jeszcze się nie dokonała – jest niezestaloną niczym niedopieczonym ciastem. Jednakże wystarczyło kilka kroków, aby się przekonała, że tak nie jest. Przyszłość okazała się miejscem solidnym i stałym, bez wątpienia realnym, chociaż doszczętnie zniszczonym, co było widać już na pierwszy rzut oka. Czy to gruzowisko to Londyn?

Tramwaj zatrzymał się wśród ruin na otwartej przestrzeni. W przeszłości mogła ona być jakimś niedużym skwerem, a dziś pozostała z niego jedynie garść powykręcanych, zwęglonych drzew. Wszystkie budynki niegdyś otaczające placik teraz były zburzone. Przetrwała tylko jedna ściana, wciąż wytapetowana i niestosownie do okoliczności ozdobiona jakimś obrazem czy lampą, połamany szkielet schodów i elegancka balustrada chroniąca już tylko stertę gruzów. Na chodnikach piętrzyły się złowieszcze kopczyki popiołu – przypuszczalnie pozostałości ognisk, na których spalono meble, gdy ocaleli ludzie walczyli z nocnym chłodem. Claire nie potrafiła znaleźć w tym krajobrazie ruin żadnego znaku, który by jej pozwolił określić, w jakiej części Londynu się znalazła, przede wszystkim dlatego, że mimo poranka światło było skąpe. Niebo, zasnute krepą szarawego dymu unoszącego się z dziesiątek pożarów płonących wśród dachów jak lampy wotywnie sączyło posępny blask, zamazujący kontury tego zdewastowanego świata – świata, który zdawał się opuszczony i zostawiony własnemu losowi, niczym dotknięty malarią statek skazany na błędzenie po oceanach do czasu, gdy ciężar setek lat każe mu spocząć w przechyleniu wśród raf koralowych.

Kiedy Mazursky uznał, że mieli już dość czasu, by zdobyć jakieś pojęcie o dominującym w przyszłości spustoszeniu, poprosił ich, by utworzyli zwartą grupę z nim na czele i jednym ze strzelców z tyłu, i ruszyli marszem. Podróżnicy w czasie opuścili plac i skierowali się w aleję, gdzie zniszczenia wydawały się jeszcze większe, ponieważ nie zachowały się żadne ślady świadczące o tym, że otaczające ich gruzy faktycznie były kiedyś budynkami. Przypuszczalnie przy owej alei wznosiły się niegdyś wystawne rezydencje, lecz długa wojna ostatecznie przekształciła miasto w potężne gruzowisko, gdzie okazałe kościoły mieszały się z najbardziej obskurnymi norami, tworząc nierozróżnialne spiętrzenia cegieł. Wśród nich Claire ze zgrozą dostrzegła, jak jej się zdawało, ludzką czaszkę. Przewodnik prowadził grupę między tymi zwałami przypominającymi stosy pogrzebowe, na których buszowały kruki szukające odpadków dających się wziąć do dzioba. Odgłos kroków spłoszył je, tak że rozproszyły się, znacząc niebo czarnymi smugami. Po tej ucieczce pozostał tylko jeden z ptaków, krążący nad głowami ludzi i kreślący swym lotem posępną kaligrafię na podobieństwo żałobnego podpisu, którym Stwórca, rozczarowany wynikami własnego dzieła, przekazuje patent na swój wynalazek komuś innemu. Nieświadom takich subtelności, Mazursky kontynuował marsz, wybierając najmniej zdradzieckie przejścia, a może ścieżki, przy których nie leżało zbyt wiele kości. Raz po raz zatrzymywał się nagle albo napominał podróżnych, ilekroć ktoś, na ogół Ferguson, zrobił jakąś żartobliwą uwagę na temat unoszącego się w powietrzu fetoru padliny czy czegoś innego przyciągającego uwagę, oraz uciszał chichoty pań kroczących u boku swych mężów, jakby się przechadzały po ogrodzie bota-

nicznym. W miarę jak się zapuszczali w labirynt ruin, Claire zaczynała się martwić, w jaki sposób ma się odłączyć od pochodu tak, by nikt tego nie zauważył. Mając na przedzie Mazurskiego, czujnie nasłuchującego wszelkich podejrzanych dźwięków, a z tyłu Strzelca celującego z karabinu w cieniste zakamarki, trudno jej będzie się wymknąć; w dodatku szanse zmalały jeszcze bardziej, kiedy rozentuzjarmowana Lucy uwiesiła się na jej ramieniu.

Po około dziesięciu minutach marszu, w trakcie których Claire odnosiła już wrażenie, że krążą w kółko, przybyli na wspomniane wzniesienie. Na tę stertę gruzów, nieco wyższą niż pozostałe, niezbyt trudno było się wspiąć, ponieważ tworzące ją rumowisko najwyraźniej nieco uporządkowano, aby powstały zaimprovizowane schody wiodące na szczyt. Na polecenie Mazurskiego grupa wśród śmiechów i potknięć rozpoczęła wspinaczkę, okazując przy tym beztroską wesołość bardziej pasującą do wycieczki za miasto. Przewodnik widocznie uznał, że tłumienie tej radości byłoby bezcelowe, bo nawet nie podejmował takiego wysiłku. Dopiero kiedy dotarli na wierzchołek kopca, poprosił zebranych, by zachowali ciszę i ukryli się za nasypem, jaki tworzyły kamienie wieńczące szczyt. Gdy się już pochowali, obszedł cały szereg i kazał zniżyć co bardziej wystające głowy oraz błagał damy, aby pozamykały parasolki, jeśli nie chcą, żeby automaty zainteresowały się rozłożystymi kwiatami, które niespodziewanie wyrosły na wzgórzu. Claire, ukryta za występem, który jej przypadł w udziale, z jednej strony mając Lucy, a z drugiej denerwującego Fergusona, patrzyła na widoczną z przodu spustoszoną ulicę, gdzie przypuszczalnie będzie się odbywać bitwa – tak zatarasowaną gruzami jak te, które musieli przejść, by dotrzeć do zaimprovizowanego punktu widokowego.

– Czy mogę zadać pytanie, panie Mazurski? – odezwał się Ferguson.

Przewodnik, który przykucnął kilka metrów po lewej, obok Strzelca, odwrócił się, aby na niego spojrzeć.

– Proszę, panie Ferguson – szepnął.

– Skoro znaleźliśmy się w przyszłości tuż przed bitwą, która rozstrzygnie losy naszej planety, i w tym samym momencie była tu pierwsza ekspedycja, czy nie powinniśmy jej spotkać?

Ferguson popatrzył na pozostałych, szukając wsparcia. Po przemyśleniu jego słów niektórzy podróżni wolno skinęli głowami i spojrzeli na przewodnika pytająco, spodziewając się, że wyjaśni tę kwestię. Mazurski w milczeniu patrzył na Fergusona przez kilka sekund, zastanawiając się, czy tak impertynencki typ w ogóle zasługuje na odpowiedź.

– Oczywiście, że tak, panie Ferguson. Ma pan zupełną rację – odparł w końcu. – Ale nie tylko powinniśmy trafić na tym wzgórzu na członków pierwszej wyprawy, lecz także trzeciej i czwartej, i wszystkich tych, które zorganizujemy w przyszłości, czyż nie? Z tego powodu, nie tylko aby uniknąć ścisku, lecz także byśmy Terry i ja – tutaj wskazał Strzelca, a ten wykonał ręką krótki salut – nie spotykali raz za razem siebie samych, nigdy nie prowadzimy naszych gości w to samo miejsce. Uczestnicy poprzedniej wyprawy, jeśli to pana interesuje, znajdują się w tej chwili w ukryciu na innym wzniesieniu.

Wszyscy podążyli wzrokiem za palcem Mazurskiego wskazującym jeden z sąsiednich pagórków, skąd równie dobrze było widać przysze pole bitwy.

– Rozumiem – mruknął Ferguson. Potem twarz mu się rozjaśniła i zawołał: – W takim razie może wyskoczę na chwilę i przywitam się z moim przyjacielem Fletcherem?!

– Obawiam się, że na to nie mogę panu pozwolić, panie Ferguson.

– Dlaczego? – zaprotestował przedsiębiorca. – Bitwa jeszcze się nie zaczęła, mam czas, żeby pójść i wrócić.

Mazurski parsknął z rozpacz.

– Powiedziałem panu, że nie zezwalam na...

– Ale to tylko momencik, panie Mazursky – nalegał Ferguson. – Pan Fletcher i ja znamy się od...

– Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie, panie Ferguson – przerwał mu Charles Winslow.

Ferguson zwrócił się w jego stronę poirytowany.

– Kiedy pański przyjaciel opowiadał panu o swojej podróży, czy wspomniał może, że pojawił się pan, aby się przywitać?

– Nie – odrzekł Ferguson.

Charles się uśmiechnął.

– W takim razie niech się pan nie rusza z miejsca. Nigdy nie poszedł pan przywitać się z panem Fletcherem, wobec tego nie może pan zrobić tego teraz. Jak sam pan powiedział: przeznaczenie to przeznaczenie. Nie można go zmienić.

Ferguson otworzył usta, ale nic nie powiedział.

– A teraz, jeśli to panu nie przeszkadza – dodał Charles, odwracając się z powrotem w stronę ulicy – sądzę, że wszyscy wolelibyśmy przyglądać się bitwie w milczeniu.

Claire przekonała się z ulgą, że to definitywnie uciszyło Fergusona, a pozostali przestali się nim interesować i skupili się na obserwowaniu ulicy. Zerknęła wówczas na Lucy, zamierzając znów ją uścisnąć, aby wyrazić wspólne emocje, ale to wszystko najwyraźniej nudziło jej przyjaciółkę, ponieważ podniosła z ziemi gałązkę i zaczęła rysować na piasku ptaka kiwi. Inspektor Garrett, przykucnięty po prawej stronie Lucy, przyglądał się rysunkowi z takim zachwytem, jakby był świadkiem cudu.

– Czy wie pani, że ten ptak żyje tylko w Nowej Zelandii, panno Nelson? – zagadnął, odchrząkający.

Lucy spojrzała na młodzieńca zaskoczona, że ten wie, co to za ptak, a Claire nie umiała powstrzymać się od uśmiechu. Gdzie miłość mogłaby wykiełkować z większą siłą niż między dwojgiem miłośników ptaka kiwi?

W tej chwili uwagę grupy zwrócił dobiegający z oddali metaliczny trzask. Wszyscy, nie wyłączając Fergusona, wyczekująco skierowali wzrok na koniec ulicy, zaskoczeni złowieszczym hałasem, który mógł oznaczać tylko jedno: przybycie nikczemnych automatów.

Pojawiły się wkrótce potem, krocząc wolno poprzez ruiny niczym władcy planety. Wyglądały tak, jakby były odwzorowaniem rzeźby wystawionej w sali. Ogromne, o prostych zarysach, roztaczały złowrogą aurę, a na plecach miały niewielki silnik od czasu do czasu strzykający parą. Nikt się jednak nie spodziewał, że będą niosły na ramionach tron, jak to robiono w zamierzchłych czasach. Claire fuknęła, żałując, że kryjówka znajduje się tak daleko od sceny wydarzeń.

– Proszę, moja droga – odezwał się do niej Ferguson, podając jej lornetkę. – Wydajesz się bardziej zainteresowana niż ja.

Dziewczyna podziękowała mu gestem i czym prędzej zaczęła się przyglądać orszakowi przez szkła Fergusona. Naliczyła osiem automatów: czterech tragarzy oraz dwa z przodu i dwa z tyłu eskortujące tron, na którym spoczywał dostojny Salomon, okrutny król automatów, różniący się od swoich kopii wyłącznie koroną tkwiącą na żelaznej głowie. Orszak przemieszczał się nieznośnie powoli, zabawnie kołysząc się niczym dzieci, które dopiero uczą się chodzić. Faktycznie, pomyślała Claire, automaty nauczyły się stawiać kroki, aby podbić świat. Ludzie byli bezdyskusyjnie szybsi, ale najwyraźniej zabrakło im owej niezniszczalności, jaką odznaczały się te stwory, które zawładnęły planetą, krocząc wolno, lecz pewnie – może dlatego, że nie musiały się śpieszyć, dysponując całą wiecznością.

Wtem, gdy procesja dotarła do połowy ulicy, rozległ się niegłośny huk i korona Salomona poleciała w powietrze. Obróciła się kilka razy w pustce, błyskając przed otępiętymi oczyma wszystkich, po czym spadła na ziemię, gdzie kontynuowała swój skoczny taniec wśród kamieni, aż w końcu za-

trzymała się kilka metrów od orszaku. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, Salomon i jego gwardziści wbili wzrok w niewielką gruzową grań przegradzającą im drogę. Podróżnicy w czasie podążyli za ich spojrzeniem. I wtedy go ujrzeli. Na gruzowisku niemal w tej samej pozycji, którą uwieczniała rzeźba, stał imponujący, zwinny jak kot, dzielny kapitan Shackleton. Jego gibkie ciało okrywała lśniąca zbroja, u pasa wisiał śmiertcionośny smukły rapier, a w silnych dłoniach drzemał pstrokaty karabin najeżony dźwigniami i metalowymi pogrubieniami. Przywódca ludzi nie potrzebował żadnej korony, żeby dodawała splendoru jego i tak wystarczająco majestatycznej postaci, a do rangi piedestału – zapewne przez przypadek – został wyniesiony okazały kamień, na którym stał bohater. Kapitan i Salomon przez kilka minut w milczeniu mierzyli się wzrokiem. W powietrzu iskrzyła się głęboka uraza, jak to bywa przed burzą, aż wreszcie król automatów postanowił przemówić:

– Zawsze podziwiałem twe męstwo, kapitanie – rzekł głosem o metalicznym brzmieniu, nadając mu beztroski, niemal niefrasobliwy ton. – Obawiam się jednak, że tym razem przeceniłeś swe możliwości. Jak chcesz mnie zaatakować bez wojska? Taki jesteś zdesperowany czy może twoi ludzie cię opuścili?

Kapitan Shackleton wolno pokręcił głową, jakby rozczarowany słowami wroga.

– Jeśli z tej wojny wynikło coś dobrego – odparł ze spokojną pewnością siebie – to jedynie fakt, że zjednoczyła ona rodzaj ludzki jak żadna nigdy dotąd.

Głos Shackletona przybrał gładki, czysty ton – zdaniem Claire wybawiciel ludzkości mówił w sposób, w jaki aktorzy wypowiadają w teatrze swe kwestie. Salomon przechylił głowę, zastanawiając się, co jego wróg chciał przez to powiedzieć. Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Kapitan wolno uniósł lewą rękę, jak sokolnik wystawiający dłoń do nadlatującego ptaka, i spod ruin wynurzyło się kilka sylwetek – pojawiły się niczym rośliny wypuszczające pędy z chorej ziemi, uwalniając się z resztek kamieni, którymi były osłonięte. W ciągu zaledwie kilku sekund zbite z tropu automaty znalazły się w okrażeniu. Claire czuła, jak jej serce przyśpiesza. Ludzie od początku tam byli, przyczajeni wśród gruzów, cierpliwie czekali, wiedząc, że Salomon będzie zmierzał tą drogą. Automat właśnie wpadł w zasadzkę, która położy kres jego panowaniu. Żołnierze, którzy w porównaniu z niezdarnością, z jaką poruszały się automaty, wydawali się jeszcze szybsi i sprawniejsi niż zwykli ludzie, podnieśli z ziemi karabiny, otrzepali je z piasku i bez pośpiechu wycelowali w przeciwników – z takim spokojem i powagą, jakby sprawowali jakąś liturgię. Problem w tym, że było ich tylko czterech. Claire zdziwiła się, widząc, że słynna armia Shackletona skurczyła się do tak śmiesznej liczby. Może więcej nie zgłosiło się do tej samobójczej zasadzki albo też w trakcie długiej wojny liczne codzienne utarczki znacząco uszczupliły jej szeregi. Ale przynajmniej mogli liczyć na czynnik zaskoczenia, powiedziała sobie, chwając w duchu ich pozycje: dwóch wyłoniło się znikąd przed orszakiem, trzeci pojawił się z lewej flanki tronu, a czwarty zaszedł wroga od tyłu.

I wszyscy jednocześnie otworzyli ogień.

Jeden z automatów ustawionych na czele otrzymał strzał prosto w pierś. Mimo że był wykuty z żelaza, impet pocisku rozdarł mu pancerz: na ziemię posypały się zębatki i korbowody, aż w końcu cała maszyna osunęła się z brzękiem. Jej towarzysz jednak miał więcej szczęścia, ponieważ strzał, który miał go powalić, jedynie drasnął go w ramię, zaledwie zaburzając jego równowagę. Bardziej skuteczny okazał się żołnierz atakujący orszak od tyłu – jego strzał roztrzaskał silniczek parowy jednego z automatów z ariergardy i obalił strażnika twarzą do ziemi. Zaledwie sekundę później jego los podzielił jeden z tragarzy, położony strzałem żołnierza usytuowanego na flance. Tron, straciwszy jedną z podpór, zachwiał się niebezpiecznie, aż w końcu runął na ziemię, a wraz z nim upadł potężny Salomon.

Dla ludzi sytuacja zdawała się rozwijać jak najlepiej, ale gdy maszyny zdołały wreszcie zareago-

wać, sprawy przybrały inny obrót. Automat, który upadł na plecy, chwycił broń swojego napastnika i skruszył ją w rękach, jakby była ze szkła. Jednocześnie jeden z tragarzy, uwolniony od dźwigania tronu, otworzył drzwiczki na swej piersi i wystrzeliwszy celnie, położył trupem jednego z dwóch żołnierzy atakujących od przodu. Jego upadek rozproszył uwagę drugiego, a ten fatalny błąd pozwolił najbliższemu stojącemu automatowi – temu, któremu dopiero co uszkodzono ramię – zaszarżować i ugodzić go pięścią. Po otrzymaniu takiego ciosu żołnierz poleciał w powietrze i wylądował kilka metrów dalej. Shackleton jak pantera zeskoczył ze swej wyniosłości i pobiegłszy w ich stronę, powalił automat celnym strzałem, zanim ten zdążył dobić człowieka. Z walki toczącej się w centrum wyszło dwóch żołnierzy – tylko oni trzymali się jeszcze na nogach, w tym jeden bez broni – i stanęło u boku swego kapitana, a tymczasem cztery ocalałe automaty zwały szyki wokół swojego króla. Claire nic nie wiedziała o strategii walki, ale nie trzeba było zbytnej inteligencji, aby zrozumieć, że gdy przepadła już przewaga wynikająca z ataku z zaskoczenia – która być może zaślepiła napastników mirażem zwycięstwa – niekwestionowana siła automatów odwróciła bieg bitwy z upokarzającą łatwością. Maszyny przewyższały teraz ludzi liczebnie, a więc dziewczynie wydawało się logiczne, że Shackleton, który jako dobry kapitan powinien się troszczyć o bezpieczeństwo podkomendnych, da rozkaz odwrotu. Jednak przyszłość była już zapisana, nie zdziwiło jej więc, gdy zatrzymało ich wołanie Salomona, kiedy szykowali się do ucieczki.

– Zaczekaj, kapitanie! – poprosił głosem, w którym pobrzmiwał metaliczny posmak. – Możesz się teraz oddać, jeśli chcesz, i zaplanować na przyszłość kolejną zasadzkę. Może dopisze ci większe szczęście, chociaż obawiam się, że jedyne, co zdołasz osiągnąć, to jeszcze bardziej przeciągnąć tę wojnę, która i tak trwa już zbyt długo. Ale możesz też zostać, by skończyć ją raz na zawsze, położyć jej kres tu i teraz.

Shackleton patrzył na niego z uwagą.

– Kapitanie, jeśli pozwolisz, chciałbym ci złożyć propozycję – ciągnął dalej Salomon, a tymczasem jego gwardia zburzyła zwarty krąg, otwierając go z przodu niczym żelazny kokon, w środku którego znajdował się król. – Proponuję, żebyśmy się starli w pojedynku.

Jeden z automatów wydobył spod przewróconego tronu drewniane etui i otworzywszy je, podsunął Salomonowi. Ten ceremonialnym gestem wyjął z pudła piękną żelazną broń. Jej zakończona szpicem klinga odbiła skąpe światło, jakie właśnie zstąpiło z nieba.

– Jak widzisz, kapitanie, poleciłem wykuć dla siebie taki sam rapier jak twój, abyśmy mogli się zmierzyć bronią, jakiej ludzie od wieków używali do pojedynków. Przez ostatnie miesiące ćwiczyłem w posługiwaniu się nią, czekając na moment, w którym będę mógł zetrzeć się z tobą. – Aby pokazać, że mówi poważnie, ciął powietrze szybkim ruchem oburącz. – Rapier wymaga zręczności, opowania i bliskości z wrogiem, czego nie daje podstępny pistolet, więc podejrzewam, że jeśli zatopię jego ostrą klingę w twych wnętrznościach, tym razem uznasz mnie za godnego przeciwnika i zgodzisz się umrzeć.

Kapitan Shackleton rozważał propozycję przez kilka sekund, podczas których zdawał się z większą niż dotychczas siłą odczuwać ciężar znużenia i obrzydzenia, jakie nagromadziły się w trakcie tej niekończącej się wojny. Teraz miał szansę położyć kres temu wszystkiemu, stawiając wszystko na jedną kartę – siebie.

– Przyjmuję twoje wyzwanie, Salomonie. Rozstrzygnijmy ten konflikt tu i teraz – odrzekł.

– Niech się tak stanie! – zawołał król automatów uroczyście, daremnie próbując ukryć radość.

Zarówno automaty, jak i żołnierze ludzie odsunęli się o kilka kroków, naprędce tworząc okrągłą arenę dla walczących. Rozpoczął się trzeci i zarazem ostatni akt. Shackleton wytwornym ruchem dobył broni i wykonał kilka zwodów w powietrzu, być może świadom, że tego gestu nie będzie już miał

okazji powtórzyć. Po tym pokazie z chłodnym spokojem przyglądał się Salomonowi, który starał się przyjąć pełną wdzięku pozycję szermierza, na ile mu pozwalała sztywność kończyn. Gibko, opanowanymi ruchami, niczym drapieżnik okrążający ofiarę, kapitan zaczął chodzić dookoła automatu, szukając z boku punktów, na które mógłby przypuścić atak, a tymczasem Salomon jedynie czekał na jego szarżę z niezdarnie uniesioną bronią. Było oczywiste, że odstępuje przeciwnikowi zaszczyt rozpoczęcia pojedynku. Shackleton przyjął propozycję. Nagłym, sprężystym ruchem zrobił krok do przodu, podniósł rapier obiema rękami i zakreślił nim w powietrzu luk, który zakończył na lewym boku automatu. Jednak ten zadany oburącz cios nie przyniósł większych efektów niż nieprzyjemny metaliczny dźwięk podobny do odgłosu dzwonu, który rozbrzmiał echem w powietrzu. Po tak smutnym rezultacie swojego ataku kapitan Shackleton cofnął się kilka kroków, wyraźnie rozdrażniony. Z powodu brutalnego impetu swego cięcia o mało nie postradał nadgarstków, a tymczasem Salomon pod wpływem ciosu zaledwie się zachwiał. Jak gdyby potrzebował potwierdzenia, że automat ma nad nim oczywistą przewagę, człowiek znowu zaatakował, tym razem mierząc w prawy bok maszyny. Rezultat okazał się identyczny, ale tym razem kapitan nie miał nawet czasu na żale, ponieważ musiał zrobić unik przed oburęcznym kontratakiem Salomona. Uskoczył przed jego bronią, która przecięła powietrze, niemal muskając hełm, a następnie znów się odsunął i chwilowo bezpieczny przed atakami, ponownie zaczął przyglądać się uważnie wrogowi, lekko kręcąc głową, a gest ten zdradzał rozpaczliwość jego położenia.

Ataki Salomona były powolne, łatwo dawało się robić przed nimi uniki, ale Shackleton wiedział, że w razie gdyby któryś z ciosów dosięgnął jego zbroi, ona nie zareagowałaby tak samo niewzruszenie. Powinien jak najszybciej znaleźć słaby punkt u swego przeciwnika, ponieważ jeżeli jego zadawane oburącz ciosy wciąż będą trafiać na żelazne poszycie automatu, ataki na nic się nie zdadzą, ręce mu tylko omdleją, a on sam zupełnie osłabnie od tytanicznego wysiłku, straci czujność i zwinność, co ostatecznie wyda go na łaskę wroga. Korzystając z tego, że nadal czuł się w pełni sił, kapitan wykonał szybki skłon i sprawnie znalazł się za plecami przeciwnika, po czym – zanim ten zdążył zareagować – z całą mocą, na jaką było go stać, zatopił rapier w silniku parowym, z którego pochodziły siły życiowe automatu. Pod wpływem ciosu na wszystkie strony rozprysły się zębaki i korbowody, z silnika wydobył się jednak również nieoczekiwany strumień pary – buchnął w twarz Shackletona, oślepiając go. Salomon obrócił się z zaskakującą prędkością i ciął oburącz oszołomionego wroga. Rapier spadł na bok kapitana z taką siłą, że wyrwał z jego zbroi metalowe odłamki i wióry. Ugodzony z zaciekle impetem człowiek potoczył się po ziemi, bezbronny i odarty z osłony.

Claire podniosła rękę do ust, powstrzymując się od krzyku, a jednocześnie usłyszała, jak dookoła tłumią jęki pozostali. Kiedy Shackleton przestał się toczyć, spróbował wstać, trzymając się ręką za zraniony bok, z którego tryskał strumień krwi i spływał po biodrze, jednakże siły go zawiodły – pozostał na kolanach, jakby ukorzony przed królem automatów. Ten zbliżał się do niego nieśpiesznie, wyraźnie rozkoszując się smakiem zwycięstwa. Salomon przez kilka sekund kręcił głową, okazując rozczerowanie, jakie sprawił mu słaby opór wroga, który nie śmiał teraz nawet podnieść głowy, aby na niego spojrzeć. Automat podniósł zatem broń obiema rękami, gotów opuścić ją na hełm kapitana cięciem, które rozpląta mu czaszkę. Nie mogło być lepszego punktu kulminacyjnego dla tej okrutnej wojny wyraźnie pokazującej przewagę i wyższość automatów nad ludźmi. Z całą siłą, jaką miał w ramionach, król spuścił ostrze na swoją ofiarę, lecz ku jego zaskoczeniu kapitan Shackleton uchylił się w ostatniej chwili. Pozbawiony celu rapier trafił w pustkę i z brzękiem utkwiał w kamienistym podłożu. Salomon próbował go uwolnić, ale na próżno ciągnął, podczas gdy Shackleton podniósł się u jego boku niczym majestatyczna kobra, nie zwracając uwagi na krwawiącą ranę. Bez pośpiechu, jakby czerpał przyjemność z tego ruchu, uniósł swą broń i niewzruszony, dobrze wymierzonym ciosem spu-

ścił ją prosto w przegub łączący głowę Salomona z resztą ciała. W jednej chwili dał się słyszeć nieprzyjemny zgrzyt i czerep automatu potoczył się po wyboistej ziemi, wydając symfonię brzęków, aż w końcu zatrzymał się, zawadziwszy o koronę, którą nosił na sobie podczas panowania. Zapadła nagła cisza. Nieruchomy, bezgłowy automat pozostał groteskowo pochylony nad swą bronią, której ostrze wciąż tkwiło uwięzione wśród gruzów. Na zakończenie dzielny kapitan Shackleton oparł stopę na boku pozbawionego życia automatu i przewrócił jego ciało na ziemię. I tak nieprzyjemny brzęk żelastwa ładowanego na złomiarski wóz położył kres długiej wojnie, która spustoszyła planetę.

Mazurski daremnie starał się uciszyć owację, jaka na szczycie wzniesienia wybuchła po zwycięstwie kapitana Shackletona. Na szczęście zagłuszyły ją wiwaty rozlegające się kilka metrów niżej, na ulicy, gdzie żołnierze z zapalem oklaskiwali swego dzielnego dowódcę. Claire, nie zwracając uwagi na otaczający ją zgiełk, trwała skulona za swoim kawałkiem gruzów. Była oszołomiona, przytłoczona wirem uczuć, które wstrząsały jej duszą jak flagą na wietrze. Mimo że z góry знаła wynik pojedynku, podczas jego trwania i tak mimowolnie wzdygała się, ilekroć Shackleton napotykał trudności, gdy ostrze Salomona zachłannie szukało jego ciała albo kiedy bohater bezskutecznie usiłował powalić wroga ciosami rapieru, jakby próbował ściąć dąb. Dziewczyna wiedziała, że jej zmartwienie wynika nie tyle z troski o losy ludzkości, ile o to, co stanie się z samym kapitanem. Wolałaby nadal podglądać z kryjówki ludzi cieszących się tam w dole, by się upewnić, że tak naprawdę Shackleton przesadzał z tym, jak poważna jest jego rana, aby wciągnąć automat w swoją strategię, ale Mazurski polecił im na nowo sformować grupę i ruszać z powrotem do swojej epoki, nie miała więc innego wyjścia, jak go posłuchać. Beładnie niczym stado kóz podróżnicy w czasie zaczęli schodzić z niewielkiego wzgórza, wymieniając uwagi na temat ekscytujących epizodów walki.

– To wszystko? – zapytał Ferguson, jedyny, który wydawał się niezadowolony. – Ta nędzna potyczka ma być bitwą, która przesądzi o losach planety?

Mazurski nie trudził się nawet, by mu odpowiedzieć, zajęty czuwaniem, aby jejmoście nie potknęły się podczas schodzenia i nie potoczyły w dół po zboczach, trzepotem halek wywołując niezamierzony lubieżny efekt. Za nimi w milczeniu zstępowała Claire, nie zwracając uwagi na komentarze nieznośnego Fergusona ani też na Lucy, która znów wzięła ją pod ramię. Dręczyła ją myśl, że przyszedł czas, by się odłączyć od grupy. I powinna to zrobić zaraz, nie tylko dlatego, że gdy dotrą już do tramwaju, będzie za późno na ucieczkę, lecz także z tego powodu, że w ogólnym podekscytowaniu grupa nie ustawiła się jeszcze w uporządkowanym szeregu, co pomogłoby ukryć dezercję. Ponadto nie byłoby też mądre oddalać się zbyt od Shackletona i jego żołnierzy. Na nic nie zdałaby się ucieczka, gdyby potem Claire zgubiła się w labiryncie ruin. Zatem jeżeli chciała działać, powinna to zrobić jak najszybciej, ponieważ z każdym krokiem malały jej szanse na sukces. Ale w tym celu należało się pozbyć Lucy. Jak gdyby ktoś wysłuchał jej błagań, podeszła do nich rozentuzjasmowana Madeleine Winslow, aby zapytać, czy zwróciły uwagę na eleganckie buty żołnierzy. Claire nawet nie przyszłoby do głowy, by coś takiego spostrzec, jednakże najwyraźniej ona jedyna nie zauważyła tak istotnego szczegółu przyszłości. Lucy odpowiedziała, że tak, a następnie przeszła do inspirujących innowacji owego obuwia i Claire, po kilku sekundach niedowierzającego potrząsania głową, wykorzystwała okazję, żeby ostrożnie uwolnić się od ramienia przyjaciółki i zostać w tyle za pochodem. Patrzyła, jak oddala się strzelec, który nie dostał jeszcze rozkazu zamykania pochodu i szedł sobie bez troski, nie martwiąc się już o wypatrywanie zagrożenia, a za nim Charles Winslow i inspektor Garrett, pogrążeni w ożywionej rozmowie. Gdy się znalazła na końcu grupy, podkasała spódnicę i niezręcznym truchtem podreptała w bok, aby się ukryć za kawałkiem ściany, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności właśnie mijali.

Z plecami przyciśniętymi do ściany i sercem wyrrywającym się z piersi Claire Haggerty stała cicho, wsłuchując się w oddalające się coraz bardziej głosy grupy, w której najwyraźniej nikt nie zauważył jej nieobecności. Gdy w końcu dźwięki ucichły, dziewczyna z suchością w ustach i spoconymi dłońmi mocno zaciśniętymi na parasolce ostrożnie wysunęła głowę, by sprawdzić, czy pochód zniknął za zakrętem. Udało jej się! Nie mogła w to uwierzyć. Wiedząc, że jest sama w tym strasznym

świecie, nagle doznała ataku paniki, ale natychmiast sobie powiedziała, że przecież dokładnie tego pragnęła. Wszystko poszło zgodnie z planem, jaki sobie wyznaczyła, wsiadając do Cronotilusa. Jeżeli nic nie sknoci, będzie mogła zostać w roku dwutysięcznym. Czy przypadkiem nie tego chciała? Odetchnęła głęboko i wyszła ze swej kryjówki. O ile wszystko potoczy się tak, jak sobie wcześniej obliczyła, jej zniknięcie odkryją po przybyciu do tramwaju czasu, dlatego powinna się śpieszyć i jak najprędzej dołączyć do grupy Shackletona. Jeśli zdąży, zanim przewodnik zauważy jej nieobecność, będzie bezpieczna, ponieważ Mazursky nie da rady już nic zrobić. Tak jak im powiedział podczas podróży, w roku dwutysięcznym byli tylko widzami: nie mogli pozwolić, by zobaczyli ich mieszkańcy przyszłości, a tym bardziej wchodzić z nimi w kontakt. Tak więc spotkanie z kapitanem stało się bardzo pilne. Claire z determinacją ruszyła w kierunku przeciwnym niż jej towarzysze, starając się nie myśleć o konsekwencjach, jakie jej nieoczekiwane działanie mogło wywołać w tkance czasu. Miała tylko nadzieję, że przez swoją próbę znalezienia szczęścia nie zniszczy wszechświata.

Teraz, kiedy została sama na rozciągającym się dookoła zdewastowanym terenie, poczuła się znacznie bardziej niepewnie. A jeżeli nie znajdzie Shackletona? pytała sama siebie z lękiem. Ale było coś, czego bała się jeszcze bardziej: że go znajdzie. I co mu wtedy powie? A jeśli kapitan ją odrzuci i nie zgodzi się przyjąć jej w swoje szeregi? Niemożliwe, żaden dżentelmen nie zostawiłby damy z innej epoki samej sobie w tej okropnej przyszłości. Ponadto Claire знаła podstawy pielęgniarstwa, które mogłyby się przydać, sądząc po tym, jak łatwo odnosi się tutaj rany, a nie brakowało jej też odwagi i pracowitości, by mogła pomagać przy odbudowie świata. Poza tym, oczywiście, była w nim zakochana. Choć to akurat wolałaby na razie ukryć, dopóki sama się nie upewni. Pokręciła głową. W głębi duszy musiała przyznać, że nie zaplanowała sobie zbyt dobrze tego, co robi, kiedy spotka kapitana, co dość zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę, jak mało wierzyła w powodzenie swego planu ucieczki. Powiedziała sobie jednak, że już przecież improwizowała. Okrążała więc wzgórze z podkasaną spódnicą, maszerując po wyboistej ścieżce, która – jeśli się dobrze orientowała – kończyła się na ulicy, gdzie wcześniej miała miejsce zasadzka.

Claire zatrzymała się, słysząc dźwięk jakichś kroków. Ktoś nadchodził tą samą ścieżką z naprzeciwka. Mimo że kroki były bez wątpienia ludzkie, dziewczyna, posłuszna odruchowi, schowała się za najbliższym głazem. Czekała w ciszy z mocno bijącym sercem, które o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Kroki ucichły w pobliżu jej kryjówki. Claire bała się, że ten ktoś ją zobaczył i teraz każe jej wyjść z rękami do góry albo – co gorsza – skrada się ku niej cierpliwie z wycelowaną w nią bronią. Lecz nieznajomy nie zrobił żadnej z tych dwóch rzeczy, tylko zaczął śpiewać piosenkę: „Kuba Rozpruwacz zszedł/Na własnym łóżku zleął/Ciachnął się w gardło – chlast/Mydłem Słoneczny Blask/Kuba Rozpruwacz zszedł”. Claire uniosła brwi. Znała tę uliczną przyśpiewkę. Jej tato nauczył się tej piosenki od dzieci z East Endu i podśpiewywał ją sobie w niedziele, kiedy się golił przed wyjściem do kościoła. Claire pamiętała, że wówczas otaczał ją aromat tego pachnącego mydła, wytwarzanego z sosnowego olejku zamiast ze zwierzęcego tłuszczu. Szkoda, że nie mogła wrócić do swoich czasów, by opowiedzieć ojcu, że ta piosenka, która tak go bawiła, przetrwała tyle lat, w przeciwieństwie do niemal wszystkiego innego. Ale nie zamierzała już nigdy z powrotem znaleźć się w epoce, do której przynależała, bez względu na to, co by się działo. Starła się nie myśleć o tym i skupić na chwili obecnej – tej, która rozpoczynała jej nowe życie. Nieznajomy wciąż sobie śpiewał, i to z rosnącym entuzjazmem. Czy oddalił się w to ustronne miejsce tylko po to, żeby przeciwiczyć głos? zastanawiała się dziewczyna. Tak czy inaczej przyszła pora, aby nawiązać kontakt z mieszkańcami roku dwutysięcznego. Zaciśnęła zęby, zebrała odwagę i wynurzyła się ze swej kryjówki gotowa przedstawić się nieznajomemu, który tak beztrósco psuł jedną z jej ulubionych piosenek.

Claire Haggerty i dzielny kapitan Shackleton patrzyli na siebie w milczeniu. Na ich twarzach od-

malowało się identyczne zdziwienie, jakby byli ustawionymi naprzeciw siebie lustrami. Kapitan zdjął wcześniej hełm i położył go na pobliskim kamieniu, a dziewczynie wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że wojak nie oddalił się od swoich ludzi, aby poćwiczyć głos, lecz za znacznie bardziej przyziemną potrzebą, dla której nucona ballada była zwyczajnie akompaniamentem. Claire nie umiała opanować zdumienia – usta otwarły jej się same, a palce wypuściły ścisną parasolkę, która, spadając, zagrzechotała na gruzach. Bądź co bądź w tej chwili jej delikatne oczy po raz pierwszy ujrzaly męską część ciała, której nie powinny były oglądać do momentu skonsumowania małżeństwa, a być może nawet wówczas nie miały jej widzieć z taką ostrością i wyrazistością. Claire patrzyła, jak kapitan Shackleton, otrząsnąwszy się z osłupienia, pośpiesznie chowa tę niestosowną część swojej anatomii w szczelinie zbroi. Potem bohater spojrzał na nią w milczeniu, ze skrepowaniem, które szybko przeszło w zaciekawienie. Twarz kapitana Dereka Shackletona okazała się taka, jak ją sobie Claire wyobrażała, chociaż dziewczynie umknęły pewne detale. Albo Stwórca wymodelował jego rysy dokładnie według jej instrukcji, albo ten człowiek wywodził się od małpy z lepszym rodowodem niż pozostałe. Tak czy inaczej prawdą było, że kapitan Shackleton ma oblicze z innej epoki. Posiadał ten sam zadarty podbródek jak przedstawiająca go rzeźba oraz te same usta o pogodnym wyrazie, a jego oczy – teraz, gdy dało się je zobaczyć – harmonizowały z doskonałością całości. Piękne, duże, zielonkawoszare niczym spowity mgiełką las, w którym każdy wędrowiec był skazany na zabłądzenie. Kapitan palił świat spojrzeniem tak intensywnym i głębokim, że Claire zrozumiała, iż znalazła się przed człowiekiem bardziej żywym niż jakikolwiek spotkany do tej pory. Tak, pod tą żelazną zbroją, pod ogorzałą skórą, pod napiętymi mięśniami z niezwykłą mocą biło serce chwata, pompując w sieci naczyń krwionośnych niepokorne, porywcze życie, którego nawet śmierć nie zdołała sobie podporządkować.

– Nazywam się Claire Haggerty, kapitanie – przedstawiła się z lekkim dygnięciem, starając się, by nie drżał jej głos. – Przybyłam tu z dziewiętnastego wieku, żeby wam pomóc w odbudowie świata.

Kapitan Shackleton wciąż patrzył na nią bez słowa tymi oczyma, które widziały upadek Londynu, które widziały niszczące pożary i stosy trupów wyższe niż góry, oczyma, które widziały znacznie bardziej przerażającą stronę życia i które teraz nie wiedziały, jak zwrócić się do stojącej przed nimi istoty, tak delikatnej i doskonałej.

– Panno Haggerty, tu pani jest! – rozległ się okrzyk za jej plecami.

Claire, zaskoczona, obejrzała się i spostrzegła przewodnika zmierzającego w jej stronę wyboistą ścieżką. Mazursky potrząsał głową z wyrzutem, ale nie umiał też ukryć ulgi z odnalezienia zguby.

– Kazałem się nie rozdzielać! – zawołał podniesionym głosem, gdy stanął u jej boku. Stanowczym, szorstkim ruchem wziął ją za rękę i pociągnął. – Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdybym nie zauważył pani nieobecności... Zostałaby tu pani na zawsze!

Claire zwróciła się do Shackletona, chcąc go prosić, by ją obronił, ale ku jej zaskoczeniu kapitan zniknął. Rozwiął się w powietrzu, jak gdyby nigdy nie był niczym więcej niż mirażem. Odszedł tak nagle, że Claire, prowadzona przez Mazurskiego do miejsca, w którym czekali na nich pozostali, zastanawiała się, czy go widziała naprawdę, czy nie był wytworem jej rozpalonej wyobraźni. Kiedy dotarli do grupy, przewodnik ustawił wszystkich w szeregu, Strzelca umieścił na końcu i z widocznym gniewem przykazał, że nikomu nie wolno się wracać ani oddzielać, mają zwartym szykiem podążać z powrotem do Cronotilusa.

– Całe szczęście, że spostrzegłam, że się zgubiłaś, Claire – powiedziała Lucy, biorąc ją pod ramię. – Bardzo się wystraszyłaś?

Claire fuknęła i pozwoliła się prowadzić przyjaciółce jak chora rekonwalescentka, nie potrafiąc myśleć o niczym innym niż czułe spojrzenie Shackletona. Czy kapitan spoglądał na nią z miłością?

Fakt, że nie był w stanie do niej przemówić, a także jego zakłopotanie, które nietrudno przypisać uniesieniu, wskazywały na to, że tak. Były to typowe objawy nagłego zakochania, bez względu na epokę. Ale – zapytała siebie – gdyby to była prawda, jakiż pożytek byłby z tego, że kapitan Shackleton zakochał się w niej, skoro nigdy już jej nie ujrzy, ponieważ ona posłuszenie pozwoliła wprowadzić się do tramwaju czasu, jakby jej brakowało własnej woli. Przygnębiona opadła na siedzenie, a kiedy poczuła gwałtowne szarpnięcie uruchamianego silnika parowego, musiała się powstrzymać, by nie wybuchnąć rozpaczliwym płaczem. Podczas gdy pojazd zapuścił się w czwarty wymiar, Claire zastanawiała się, jak zniesie to, że musi na nowo podjąć życie, i jak wytrzyma jego dalszy bieg w swojej mdłej epoce, zwłaszcza teraz, kiedy wie, że jedyny człowiek, z którym mogłaby być szczęśliwa, przyjdzie na świat, gdy ona będzie już dawno martwa.

– Wracamy do domu, panie i panowie! – ogłosił Mazursky, nie mogąc ukryć satysfakcji, że są już blisko końca tej obfitującej w wypadki podróży.

Claire spojrzała na niego wrogo. Tak, wracają do domu. Wracają do monotonnego wieku dziewiętnastego i nie narazili na niebezpieczeństwo tkanki czasu. Mazurskiemu udało się nie dopuścić, by ta głupia pannica zniszczyła wszechświat, co mu oszczędziło reprimendy, jaką niewątpliwie dostałby od Gilliana, zatem to logiczne, że był w stanie euforii. Jakie miało dla niego znaczenie, że ceną stało się szczęście tej panny? Claire odczuwała taką frustrację, że najchętniej spoliczkowałaby przewodnika, w duchu jednak musiała przyznać, że Mazursky zrobił to, co do niego należało. Wszechświat jest ważniejszy od losu jakiegokolwiek jednostki, również jej własnego. Patrzyła na uśmiech przewodnika, zaciskając zęby i starając się powstrzymać swój gniew. Na szczęście część jej urazy się rozwiązała, gdy dziewczyna zobaczyła, że ma puste ręce. Mimo wszystko Mazursky nie spisał się tak dobrze, jak sądził, choć niby w jaki sposób tkankę czasu miałyby naruszyć damska parasolka?

Kiedy dziewczyna i przewodnik zniknęli za stromizną ścieżki, kapitan Derek Shackleton wyszedł ze swej kryjówki i przez kilka minut stał, patrząc na miejsce, w którym przed chwilą była kobieta, jakby miał nadzieję złowić jeszcze powiewy powietrza niosące zapach jej perfum lub brzmienie jej głosu, jakieś echo jej obecności, które by potwierdziło, że nie była ona mirażem. Wciąż czuł się oszołomiony tym spotkaniem. Zdawało mu się nie do wiary, że to się zdarzyło naprawdę. Przypominał sobie imię i nazwisko dziewczyny: „Nazywam się Claire Haggerty. Przybyłam tu z dziewiętnastego wieku, żeby wam pomóc w odbudowie świata”. Tak powiedziała, z czarującym dygnięciem. Ale nie tylko to zapamiętał. Jego samego zaskoczyła dokładność, z jaką twarz panny wyryła mu się w umyśle. Zapamiętał doskonałość jej bladego oblicza, jej rysy świadczące o niejakej rezerwie do świata, jej błyszczące, dobrze zarysowane usta, jej kruczoczarne włosy, jej niezwykle delikatną postać, jej głos. I zapamiętał jej spojrzenie. Nade wszystko zapamiętał sposób, w jaki patrzyła, z czymś w rodzaju niemal nabożnego zauroczenia, marzycielskiego zapału. Nigdy do tej pory żadna kobieta nie patrzyła na niego w ten sposób. Nigdy.

Wtem zauważył parasolkę i znów ogarnął go wstyd na wspomnienie, czemu dziewczyna ją upuściła. Podeszedł do przedmiotu i ostrożnie podniósł go z ziemi, jakby miał do czynienia z jakimś żelaznym ptakiem, który wypadł z metalowego gniazda. Parasolka, elegancka i delikatna, zdradzała zażyłość właścicielki. Co miał z nią zrobić? Jedno było pewne: nie mógł jej tu zostawić.

Z parasolką w ręce skierował się do miejsca, gdzie czekała na niego grupa, i po drodze starał się uspokoić. Powinien ze swej twarzy wymazać poruszenie spowodowane spotkaniem z dziewczyną, jeśli nie chciał wywołać podejrzeń u swoich towarzyszy. W tej chwili zza jakiegoś głazu wychynął Salomon ze wzniesionym rapierem. Dzielnny kapitan Shackleton, mimo że był rozkojarzony, zareagował natychmiast, zadając automatowi cios parasolką, która dosięgła żadnego zemsty wroga, wydobywając zeń hałaśliwy metaliczny dźwięk. Rzecz jasna nie uczyniła mu najmniejszej krzywdy, ale Salomon, nie spodziewając się dźgnięcia, stracił równowagę i chwiał się przez kilka sekund, po czym spadł z małego zbocza, które miał za plecami. Shackleton ze stępioną parasolką w ręce patrzył, jak jego wróg toczy się po pochyłości z metalicznym brzękiem. Hałas ucichł, kiedy automat z tępym łupnięciem wylądował na ziemi. Przez kilka sekund leżał tam w ciszy rozciągnięty jak długi, spowity pyłem, jaki podniósł z ziemi jego dramatyczny upadek. Potem zaczął się z trudem podnosić, miotając przekleństwa i zniewagi, których wulgarność przytłumił metaliczny dźwięk jego głosu, co wzbudziło głośne wybuchy śmiechu w zwabionej zgiełkiem grupie składającej się zarówno z żołnierzy, jak i z automatów.

– Nie śmieście się, dranie, mogłem sobie coś złamać! – narzekał Salomon, prowokując zebranych do jeszcze większej wesołości.

– Spotkało cię to za strojenie żartów! – zawołał sarkastycznie Shackleton, schodząc do niego ze wzgórze i podając mu rękę. – Nigdy ci się nie znudzą te głupie zasadzki?

– Za bardzo się nie śpieszyłeś, przyjacielu – odparował automat, podczas gdy Shackleton i dwaj jego żołnierze pomagali mu wstać. – Można wiedzieć, co u diabła robiłeś tam w górze?

– Sikałem – odparł kapitan. – A przy okazji, gratuluję pojedynku. Moim zdaniem wypadł lepiej niż poprzednimi razami.

– Jasne – potwierdził jeden z żołnierzy pomagających się podnieść Salomonowi. – Byliście naprawdę świetni. Nawet dla jej wysokości nie sprawiliście się lepiej.

– Cieszę się. Prawda jest taka, że człowiek gra znacznie bardziej wyluzowany, gdy wie, że nie

przygląda mu się królowa Anglii. Tak czy siak wykańcza mnie poruszanie się w tej przeklętej zbroi... – powiedział Salomon, odkręcając sobie głowę. Gdy mu się udało, sapnął z otwartymi ustami jak ryba. Rude włosy przykleiły mu się do czaszki, na szerokiej twarzy perlił się pot.

– Nie narzekaj, Martin – napomniał go automat świecący rozdartą piersią. On też uwolnił się już od głowy. – Przynajmniej grasz jedną z głównych ról. Ja, zanim wykorkuję, nawet nie mam czasu przyjąć szarży żadnego żołnierza. No i muszę zdetonować ładunek, który mam przyczepiony do piersi.

– Mike, wiesz, że nie ma najmniejszego ryzyka. Tak czy inaczej podsunie my panu Murrayowi, żeby następnym razem wymienić się rolami – zaproponował młodzieniec odgrywający Shackletona, aby uspokoić nastroje.

– Dobra, Tom. Ty mógłbyś zająć miejsce Jeffa, a on moje – zgodził się człowiek odgrywający rolę automatu, który pada pierwszy, i wskazał przy tym żołnierza odpowiedzialnego za to, by go unieszkodliwić.

– Nawet o tym nie śnij, Mike. Cały tydzień czekałem, żeby cię zabić. Poza tym mnie potem kładzie trupem Bradley – odrzekł Jeff, pokazując chłopaka kryjącego się w kostiumie jednego z tragarzy tronu. Na jego lewym policzku wiła się kręta blizna podkreślająca oko.

– Co to jest? – zapytał Bradley, spoglądając na rzecz, którą Tom trzymał w dłoni.

– O, to parasolka – odpowiedział zagadnięty, pokazując ją grupie.

– Pewnie zgubiła ją jakaś pasażerka.

Jeff gwizdnął ze zdumienia.

– Musiała kosztować fortunę – rzekł, przyglądając się parasolce z ciekawością. – Na pewno znacznie więcej, niż nam płacą za tę robotę.

– To i tak lepiej niż harować w kopalni albo przy budowie Kanału Manchesterskiego – odparł Martin. – Mogę cię zapewnić, Jeff.

– O, wielka mi pociecha! – odburknął kolega.

– Dobra, będziemy tu sterczeć i gadać cały dzień? – zapytał Tom, próbując ukradkiem schować parasolkę, by pozostali o niej zapomnieli.

– Przypominam wam, że tam czeka nas teraźniejszość.

– Pewnie, Tom. – Jeff roześmiał się. – Wracajmy do naszych prawdziwych czasów.

– I nie musimy przy tym przeprawiać się przez czwarty wymiar! – Martin zawtórował mu, wybuchając gromkim śmiechem.

Ruszyli marszem przez ruiny niemal defiladowym krokiem, w przeciwieństwie do tych, którzy mieli na sobie ciężkie zbroje automatów. Po drodze Jeff z pewnym zaniepokojeniem przyglądał się pogrążonemu w zamyśleniu kapitanowi Shackletonowi, którego od tej pory będę nazywać jego prawdziwym imieniem, Tom Blunt, zważywszy na to, że nie muszę już dłużej utrzymywać sekretu.

– Wciąż trudno mi uwierzyć, że ludzie uważają te dekoracje za przyszłość – odezwał się Jeff, aby wyrwać towarzysza z posępnej ciszy.

– Pomyśl, że oni widzą to z innej strony – odpowiedział Tom w roztargnieniu.

Jeff posiał mu pytające spojrzenie. Postanowił kontynuować rozmowę, by kolega zapomniał o zmartwieniu, cokolwiek go gnębi.

– To tak jak wtedy, gdy jesteśmy na spektaklu iluzji. – Tom uznał, że trzeba wyjaśnić sprawę, mimo że nigdy nie oglądał takiej sztuki. Jego jedynym kontaktem ze światem magii był czarodziej amator, z którym dzielił kiedyś kwaterę. Może dlatego uznał się za wystarczający autorytet, by dodać: – Magiczne skrzynie zadziwiają nas, a nawet zachęcają, żebyśmy uwierzyli w istnienie czarów, ale wystarczy, że odkryjemy, jak działają, i już zastanawiamy się z niedowierzaniem, jak mogliśmy się

nabrać na coś tak prostego. Pasażerowie nie widzą żadnego z tricków pana Murraya. – Wskazał parasolkę maszynę, którą akurat mijali, a której zadanie polegało na produkowaniu dymu w takiej ilości, by przesłaniał sufit i belki konstrukcyjne ogromnego magazynu mieszczącego wszystkie dekoracje. – W rzeczywistości nawet nie podejrzewają, że takie tricki istnieją. Widzą jedynie rezultat końcowy. Tylko to, co chcą zobaczyć. Nawet ty uwierzyłbyś, że ta kupa śmieci jest Londynem z roku dwutysięcznego, gdybyś bardzo chciał zobaczyć Londyn roku dwutysięcznego.

„Tak samo jak uwierzyła Claire Haggerty” – pomyślał z gorzką melancholią, przypominając sobie dziewczynę, która zaoferowała mu pomoc przy odbudowie świata.

– Tak, trzeba przyznać, że szef zorganizował wszystko bardzo dobrze – potwierdził w końcu jego towarzysz, śledząc wzrokiem lot kruka.

– Jeżeli ludzie odkryją, że to nic więcej jak dekoracje, skończy w więzieniu albo go zlinczują.

– Dlatego to takie ważne, żeby nie oglądali naszych twarzy, prawda, Tom? – wtrącił Bradley.

Tom skinął głową, starając się powstrzymać ciarki, jakie go przeszły.

– Wiesz, że tak, Bradley – odparł Jeff, widząc lakoniczne potaknięcie towarzysza. – Musimy nosić te niewygodne hełmy, żeby pasażerowie nie mogli nas rozpoznać, jeśli natkną się na nas na ulicy. To jeszcze jeden ze środków ostrożności pana Murraya. Zapomniałeś, co nam powiedział pierwszego dnia?

– Jasne, że nie! – odrzekł Bradley i naśladowując melodyjny, wytworny styl mówienia przedsiębiorcy, powtórzył: – „Hełm jest waszym listem żelaznym, panowie. Ten, kto go zdejmie podczas przedstawienia, pożałuje tego. Lepiej nie wystawiajcie mnie na próbę”.

– Tak, i oczywiście nie zamierzam. Przypomnijcie sobie biednego Perkinsa.

Na to wspomnienie Bradley zagwizdał przeciągle, a Toma znowu przeszedł dreszcz. Grupa zatrzymała się wówczas przed urywającym się horyzontem utworzonym ze stojących w płomieniach dachów. Jeff wysunął się do przodu, sięgnął do ukrytej na ściennym malowidle klamki i otworzył drzwi w chmurach. Mężczyźni weszli do wełnistego brzucha jednej z nich i opuścili scenę, by podążyć dalej galerią, która kończyła się ciasną przebieralnią. Kiedy się w niej znaleźli, zaskoczyły ich jednoosobowe oklaski. Gilliam Murray, rozpierając się w fotelu, bił brawo z teatralnym entuzjazmem.

– Magnific! – zawołał. – Bravissimo!

Patrzyli na niego, nie wiedząc za bardzo, co robić. Gilliam wstał i skierował się ku nim z szeroko otwartymi ramionami.

– Winszuję, panowie! Moje najszczerze gratulacje, wspaniała robota! Wasz występ zafascynował naszych klientów, niektórzy chcieliby nawet powtórzyć wycieczkę.

Po otrzymaniu przysługującej mu porcji klepnięć po ramieniu Tom dyskretnie odłączył się od grupy, odłożył do szafy kawałek malowanego drewna z licznymi kołkami i korbkami, któremu dzięki ładunkom wybuchowym ukrytym pod zbroją automatów Murray zdołał nadać rangę śmiertcionośnego karabinu przyszłości, i zaczął się przebierać. Myśląc o Claire Haggerty i o problemie, w jaki wpakował go jego przekłety pęcherz, powiedział sobie, że musi się stąd jak najszybciej wydostać. Zdjął zbroję kapitana Shackletona, umieścił ją ostrożnie na odpowiednim wieszaku i w skrzynce ze swoim nazwiskiem poszukał swych ubrań. Pośpiesznie owinął parasolkę we własną kurtkę, a potem spojrzął na pozostałych, upewniając się, że nikt nie spostrzegł tego ruchu. Murray wydawał polecenia dwóm kelnerkom, które wkroczyły do garderoby z kilkoma wózkami pełnymi puddingów z nerką, smażonych kiełbasek i kufli piwa. Tymczasem reszta towarzyszy Toma również zaczęła się przebierać.

Z serdecznością patrzył na tych ludzi, z którymi za sprawą przypadku przyszło mu pracować: chudego, lecz żyłastego Jeffa, zawsze uśmiechniętego i rozgadanego młodego Bradleya, jeszcze niedorośtka, u którego na chłopięcej twarzy tym bardziej niepokoiła barokowa blizna wijąca się zakręta-

sem po policzku, zwalistego Mike'a o wiecznie zmieszonym spojrzeniu i żartownisia Martina, rudego osiłka o nieokreślonym wieku, na którego wymiętym obliczu odbijało się spustoszenie poczynione przez ciężką pracę w trudnych warunkach. Tomowi wydało się interesujące, że podczas gdy w fikcyjnej opowieści Murraya każdy z nich oddałby za niego życie, w świecie rzeczywistym nie mógł być nawet pewien, czy któryś z nich nie poderzwałby mu gardła dla pieniędzy czy odrobiny jedzenia. W gruncie rzeczy co o nich właściwie wiedział oprócz tego, że – podobnie jak on – nie mieli grosza przy duszy? Kilka razy pił w tej kompanii: raz, by uczcić nadspodziewanie dobry rezultat pierwszego przedstawienia, potem, aby się cieszyć sukcesem, jaki odnieśli, występując dla królowej, za co im zapłacono podwójnie. A ponieważ zasmakowali w tych hulankach, powtórzyli pijatykę, przewidując powodzenie drugiego występu dla publiczności, i ta rozpasana libacja, podobnie jak poprzednie, skończyła się w burdelu madame Dawson. Ale owe hulanki zdały się Tomowi jedynie na to, by zrozumiał, że nie powinien bratać się z takimi typami, jeśli nie chce skończyć zadżgany podczas jakiejś burdy. Z wyjątkiem Martina Tuckera, który pomimo swoich żartów wyglądał na najbardziej godnego zaufania, reszta wydawała mu się bandą podejrzanych szumowin. Tak samo jak on żył z dnia na dzień, podejmując się dorywczych prac, ale z tego, co mówili, jasno wynikało, że nie pogardziliby żadnym matactwem, gdyby stały za nim pieniądze. Kilka dni temu Jeff Wayne i Bradley Hollyway zaprosili go do uczestnictwa w jednym ze swoich szemranych interesów: mieli oko na pewną posiadłość w Kensinton Gore, kusząco łatwą do obrabowania. Odmówił jednak dołączenia do paczki, nie dlatego że parę tygodni temu obiecał sobie zrobić wszystko, aby zarabiać na życie uczciwie, ale raczej z tego powodu, że kiedy trzeba już łamać prawo, lepiej to robić w pojedynkę – życie go nauczyło, że ma większe szanse na przetrwanie, jeśli sam troszczy się o swoje bezpieczeństwo. Jeżeli człowiek ufa tylko sobie, wtedy nikt go nie może zdradzić. Włożył koszulę i zaczął ją zapinać. Omal nie urwał guzika, gdy kątem oka spostrzegł zbliżającego się Gilliama Murraya.

– Chciałbym ci osobiście pogratulować, Tom – powiedział przedsiębiorca wyraźnie zadowolony, wyciągając do młodzieńca rękę. Ten uścisnął ją, przywołując na usta wymuszony uśmiech. – Wiesz, że bez ciebie nigdy by się to nie udało. Nikt nie potrafi odegrać roli dzielnego kapitana Shackletona lepiej niż ty.

Tom wysilił się na uprzejmy uśmiech. Czy Murray w zawołany sposób nawiązuje do Perkinsa? Z tego, co Blunt słyszał, ten cały Perkins został zakontraktowany do roli Shackletona przed nim, ale gdy odkrył, co przedsiębiorca zamierza, zrozumiał, że milczenie w tej sprawie jest warte znacznie więcej niż umówiona płaca, pojawił się więc w biurze właściciela i powiadomił go o swoich przemyśleniach. Ta próba szantażu nie wzruszyła Gilliama Murraya. Zakomunikował tylko Perkinsovi, że jeśli się nie zgadza na zarobki, może odejść, dodał również tonem zranionej dumy, że w rzeczywistości kapitanem Shackletonem, którego sam wymyślił, nie kierują tak niskie pobudki. Perkins uśmiechnął się groźnie i z biura niedoszłego szefa udał się – jak obwieścił – prosto do Scotland Yardu. Od tej pory słuch po nim zaginął. Po owej nieudanej próbie wymuszenia Perkins po prostu rozpląnął się w powietrzu, ale Tom i jego towarzysze podejrzewali, że nawet nie dotarł do Scotland Yardu. Zajęły się nim zbiry Murraya. Nie wiedzieli, ile w tym prawdy, ale woleli nie wystawiać szefa na próbę. Dlatego to, co wydarzyło się z Claire Haggerty, powinno zostać tajemnicą. Jeżeli ktoś odkryje, że jedna z pasażerek widziała jego twarz, będzie zgubiony. Wiedział, że Murray nie ograniczy się do odprawienia go z pracy. Ten człowiek rozwiązuje problemy, wrywając je z korzeniami, tak jak zrobił z pechowym Perkinsem. Na nic się nie zda zapewnianie, że to nie była jego wina: sam fakt, że żyje, będzie stałym zagrożeniem dla całego projektu, i to zagrożeniem, które należy zlikwidować z jak największym pośpiechem. Jeżeli przedsiębiorca go nakryje, skończy z nim jak z Perkinsem, mimo że Tom zaszedł wyżej.

– Wiesz co, Tom? – zagadnął Gilliam, przyglądając mu się z sympatią. – Patrzę na ciebie i widzę prawdziwego bohatera.

– Ja tylko staram się jak najlepiej odegrać rolę kapitana Shackletona, panie Murray – odparł młodzieniec, próbując nie drżeć za mocno przy wkładaniu spodni.

Gilliam wydał z siebie coś jakby pomruk zadowolenia.

– W takim razie tak trzymaj, chłopcze, tak trzymaj – doradził rozbawiony.

Tom kiwnął głową.

– A teraz, jeśli mi pan wybaczy – powiedział, wkładając czapkę – bardzo się śpieszę.

– Już idziesz? – spytał rozczarowany Gilliam. – Nie zostaniesz, żeby uczcić sukces?

– Bardzo mi przykro, panie Murray, muszę iść – odpowiedział Tom.

Ostrożnie, żeby nie pokazać parasolki, wziął zrobione z kurtki zawiniątko i skierował się do drzwi prowadzących z przebieralni na zewnątrz, na tyły budynku. Powinien stąd zniknąć, zanim Gilliam zauważy pot, który mu zaczął występować na czoło.

– Tom, czekaj! – zawołał przedsiębiorca.

Chłopak odwrócił się, czując, jak mu przyspiesza serce. Murray przez kilka sekund patrzył na niego poważnie.

– Czy chodzi o jakąś piękną pannę? – spytał w końcu.

– O czym pan mówi? – wymamrotał Tom.

– O powodzie twojego pośpiechu. Czy opuszczasz nas dlatego, że oczekuje cię jakaś dama gotowa cieszyć się towarzystwem wybawiciela rodzaju ludzkiego?

– Ja... – zająknął się młodzieniec, czując, że pot spływa mu już po policzkach.

Gilliam roześmiał się głośno.

– Rozumiem cię, Tom – rzekł, klepiąc go po ramieniu. – Nie chciałbyś, żebym pchał nos w twoją prywatność, prawda? Nie martw się, nie musisz mi odpowiadać. Idź, idź. I nie zapomnij wyjść dyskretnie.

Tom z roztargnieniem kiwnął głową i ruszył w stronę drzwi, zegnając towarzyszy nieokreślonym gestem. Wyszedł i najszybciej, jak mógł, przemierzył zaułek na tyłach budynku. Znalazłszy się na głównej ulicy, ukrył się zaraz za rogiem, i starając się dojść do siebie, przez kilka minut zerkał na wylot zaułka, by sprawdzić, czy Gilliam kogoś za nim nie posiał. Nikt jednak stamtąd nie wyszedł, co uspokoiło młodzieńca. To oznaczało, że przedsiębiorca niczego nie podejrzewa, przynajmniej nie w tej chwili. Tom odetchnął z wielką ulgą. Teraz powierzył się opiece gwiazd, by kierowały jego kroki możliwie jak najdalej od dziewczyny imieniem Claire Haggerty. Dopiero w tym momencie zauważył, że ze zdenerwowania nie zmienił obuwia – wciąż miał na nogach wysokie buty dzielnego kapitana Shackletona.

Dom gościnny przy Buckeridge Street był walącą się rudera o odrapanej fasadzie, wciśniętą między dwie hałaśliwe tawerny zakłócające sen tym, którzy próbowali odpoczywać po drugiej stronie cienkich ścian. Ale jeśli się ją porównało z innymi norami, w których Tom Blunt kiedyś kwaterował, ta brudna dziura najbardziej przypominała pałac. O tej popołudniowej porze ulicę wypełniał płynący z tawern zapach smażonych kiełbasek, a ten intensywny aromat dla większości lokatorów gospody, których portfele świeciły pustkami, stanowił nieustającą torturę. Tom, idąc ulicą w stronę pensjonatu, starał się nie zwracać uwagi na tę kuszącą woń, która sprawiała, że się ślinił jak pies. Żałował, że strach zmusił go do poświęcenia uczty, jaką chciał ich uraczyć Gilliam Murray, ponieważ mógłby na niej zapchać żołądek na kilka dni. Koło drzwi gospody znajdował się stragan pani Ritter, wdowy o zmęczonej twarzy; kobieta próbowała zarobić nieco grosza, wróżąc ludziom z ręki.

– Dzień dobry, pani Ritter – pozdrowił ją z uprzejmym uśmiechem. – Jak dziś idzie interes?

– Twój uśmiech, Tom, to najlepsze, co widziałam dziś od samego rana – odpowiedziała wdowa, zadowolona ze spotkania. – Wygląda na to, że dzisiaj nikt nie chce poznać przyszłości. To nie ty przypadkiem przekonałeś całą dzielnicę, że lepiej nic nie wiedzieć o tym, co ma dla nas opatrzność?

Po tym pytaniu usta Toma wygięły się jeszcze bardziej, niczym półka przeciążona pośrodku rzeczami. Lubił panią Ritter, a odkąd ustawiła tu swoje nędzne stoisko, stał się jej samozwańczym obrońcą. Gdy dopasował luźne kawałki układanki krążące po dzielnicy w postaci plotek i zebrał w całość jej tragiczną historię, wyglądającą niczym szablon, za pomocą którego Stwórca kopiuje nieszczęśliwe ludzkie losy – ponieważ nie było chyba niedoli, jakiej pani Ritter by nie doświadczyła – orzekł, że ta kobieta nacierpiała się w życiu aż nadto i postanowił pomagać jej w miarę swoich możliwości. Niestety nie wykraczały one poza podkradanie dla niej jabłek na targu w Covent Garden czy zatrzymanie się na krótką rozmowę, ilekroć wchodził do gospody lub wychodził na zewnątrz z zamiarem podniesienia wdowy na duchu, w razie gdyby miała zły dzień. Mimo wszystko nigdy nie pozwolił, żeby mu powróżyła z ręki, zawsze mając tę samą wymówkę: gdyby odkrył, co mu przeznaczył los, zabiłoby to w nim ciekawość, a ona jako jedyna wyciągała go z łóżka co rano.

– Nigdy nawet nie próbowałbym sabotować pani interesu – odparł rozbawiony. – Na pewno wieczorem będzie lepiej.

– Oby, Tom, oby.

Pożegnał się z nią i podjął wspinaczkę po rozklekotanych schodach prowadzących na piętro pensjonatu, gdzie miał swój pokój. Otworzył drzwi i z niezwykłą uwagą, jakby widział to miejsce po raz pierwszy, przyjrzał się izdebce, którą zamieszkiwał już prawie od dwóch lat. Nie oceniał jednak wzrokiem rozpadającego się łóżka ani na wpół spróchniałej komody, ani wypalcowanego lustra, ani też okienka wychodzącego na podtopiony, zaśmiecony zaułek za budynkiem, jak to zrobił w dniu, gdy właścicielka pokazała mu pokój. Tym razem, stojąc tuż za drzwiami, Tom patrzył na izdebkę, jak gdyby nagle sobie uświadomił, że ta smutna przestrzeń, na którą ledwie było go stać, reprezentuje wszystko, co udało mu się zdobyć na tym świecie. I naszała go pewność, że nigdy nic tego nie zmieni, że ta teraźniejszość jest tak ustalona, nie do ruszenia, że będzie się cicho toczył ku przyszłości, nie ulegając z biegiem lat żadnym zmianom, i tylko w chwilach niezwykłej jasności umysłu, takich jak ta, dane mu będzie zrozumieć, że życie przecieka mu jak woda między palcami.

Ale co innego mógł zrobić z kartami, które mu rozdał los? zastanowił się. Jego ojciec był nędzarzem uważającym, że trafiła mu się robota życia, kiedy go zatrudniono do uprzątniania ekskrementów gromadzących się w kałużach z tyłu za domami. Co noc wychodził, aby ulżyć miastu i uwolnić je od

nieczystości, jakby sama królowa miała mu pewnego dnia pogratulować pracy, podobnie jak on przekonana, że to nieprzyjemne zajęcie jest kamieniem węgielnym, na którym spoczywa imperium. „Dokąd zaszedłby kraj tonący we własnych odchodach?” – mawiał. Jego największą ambicją, wykpiwaną przez kolegów, było kupienie bardziej pojemnego wozu, który pozwalałby mu zabierać więcej gówna niż pozostałym. Jeżeli Tom zachował jakieś wspomnienie z dzieciństwa, to nieznośny smród, jaki spowijał jego ojca, gdy ten kładł się o świcie do łóżka. Chłopak próbował z tym walczyć, płaszcząc sobie nos na piersi matki, by wdychać słodki zapach przenikający spod woni potu po wyczerpującym dniu spędzonym w przędzalni bawełny. Ale i tak wolał fetor ekskrementów od odoru taniego wina, który się zaczął snuć po izbie, gdy rozwój kanalizacji położył kres niedorzecznym aspiracjom ojca. Tej woni mały Tom nie mógł nawet zagłuszać karmelowym zapachem matki, którą zabrał z tego świata nagły wybuch epidemii cholery. Rodzinne łóżko zrobiło się wówczas szersze, lecz Tom i tak sypiał z jednym oknem czujnie otwartym, ponieważ nigdy nie było wiadomo, kiedy ojciec zechce go zbudzić laniem, wyładowując na młodych plecach syna całą urazę, jaką czuł do świata.

W wieku sześciu lat Tom został zmuszony do żebrania na wino. Budzenie miłosierdzia w bliźnich było niewdzięcznym zajęciem, ale na dłuższą metę nieuciążliwym. Tom nie wiedział, jak bardzo za nim zatęskni, dopóki ojciec nie kazał mu pomagać sobie w swojej nowej pracy, którą zdobył dzięki posiadanemu wozowi i zręczności w posługiwaniu się łopata. I tak chłopiec dowiedział się, że śmierć może porzucić swój abstrakcyjny byt, przybrać kształt oraz ciężar i sprawić, że palce wciąż będą zziębnięte i tego zimna nigdy już nie wypleni żaden ogień. Ale nade wszystko chłopak zrozumiał, że ci, którzy za życia nie mają żadnej wartości, po śmierci nabierają całkiem sporej, ponieważ pod ich mięsem, w narządach, kryje się mała fortuna. Rabował trumny i groby pod rozkazami byłego boksera zwanego Crouch, który sprzedawał trupy chirurgom. Skończyło się to dopiero wtedy, kiedy ojciec zginął, wpadłszy do Tamizy podczas jednej ze swoich częstych pijatyk. Z dnia na dzień Tom został sam na świecie, ale w dłoniach trzymał ster swego życia. Nie musiał już więcej zakłócać snu zmarłym. Teraz mógł sam decydować, dokąd skieruje swe kroki.

Poprzez noszenie zwłok chłopiec wyrobił w sobie siłę i bystrość, łatwo mu więc było zdobyć bardziej przyzwoite prace, los jednak nigdy nie okazał się łaskaw tchnąć wiatr w jego żagle na tyle, by mu pozwolić na ucieczkę od życia w ubóstwie, bez celu i przyszłości. W krótkim czasie zarabiał jako zamiatacz ulic, tępicieł pluskiew, chłopak otwierający drzwi powozów, a nawet kominiarz, do momentu kiedy wykryto, że jego towarzysz obrabował jeden z domów, w którym czyścili kominy, tak że obaj zostali wyrzuceni na ulicę przez służących, zamiast napiwku wynosząc z tej pracy siniaki. Wszystko to jednak przyjmował bez skargi, odkąd poznał Megan, piękną dziewczynę, z którą mieszkał przez kilka lat w kiepsko wietrzonym suterenie przy Hague Street, w dzielnicy Bethnal Green. Megan nie tylko wniosła mile widziane zawieszenie broni w jego walkach, lecz także nauczyła go czytać, wykorzystując do tego stare gazety wyciągane ze śmietnika. Dzięki niej Tom odkrył, co kryje się za tymi dziwnymi znakami, a potem dowiedział się, że świat, który rozciąga się dalej, tam gdzie jego świat się kończy, jest równie okropny. Niestety, szczęście w niektórych dzielnicach rodzi się z wyrokiem śmierci, i teraz też nie trwało długo, gdy Megan porzuciła Toma dla fabrykanta krzesel, który nie wiedział, co to głód.

Gdy dwa miesiące później wróciła posiniaczona na twarzy i ślepa na jedno oko, Tom przyjął ją, jakby nic się nie stało. Jej zdrada jednak zadała ostateczny cios, który skończył w jego sercu z miłością, i tak aż nadto skrzywdzoną przez okoliczności. Tom doglądał dziewczyny w dzień i w nocy, przygotowywał dla niej syrop z opium, aby zmniejszyć ból, i czytał jej wiadomości ze starych gazet, jakby to były wiersze. I robiłby to zapewne do końca swojego życia, przywiązany do niej współczuciem, które być może z czasem na nowo przerodziłoby się w miłość, gdyby infekcja oka znów nie

sprawiała, że jego łóżko stało się szersze.

Pochowano dziewczynę pewnego deszczowego poranka w skromnym kościele koło domu dla obłąkanych, a jedynym żałobnikiem płaczącym nad jej grobem był Tom. Ale tego dnia poczuł, że złożył w mogile coś znacznie więcej niż tylko ciało Megan. Zakopał w ziemi swoją wiarę w życie, swoją niewinność, swoje naiwne nadzieje na to, że może brać się za bary z rzeczywistością uczciwie. Tamtego dnia w taniej trumnie obok jedynej osoby, na którą odważył się przenieść miłość odczuwaną swego czasu do matki, spoczął również Tom Blunt, ponieważ nagle nie wiedział już, kim jest. Nie rozpoznawał siebie w tym młodzieńcu, który tej samej nocy przyczajony za murem czekał, aż sprzedawca krzesel wróci do swego domu, w tej dzikiej istocie, która rzuciła się na niego i go przyparła do ściany, w tym drapieźcy, który wściekłymi ciosami powalił ofiarę na ziemię. Jęki dogorywającego nieznanego zwiastowały jego śmierć, ale zarazem były to krzyki rodzącej, która w bólu wydaje na świat nowego Toma, Toma najwyraźniej zdolnego do wszystkiego, powołanego do popełniania takich przestępstw jak to, przed którym nie zadrżała jego dusza – może dlatego, że ktoś ją z niego wyjął i sprzedał chirurgom. Próbował uczciwie żyć i zarabiać, a życie ni mniej, ni więcej tylko zgmiotło go, jak się rozgnięta obrzydliwego owada. Przyszła pora, aby żyć w inny sposób – stwierdził, stojąc nad skrwawionymi szczątkami, które zostały z fabrykanta krzesel.

Skończył prawie dwadzieścia lat, a życie wyrzyło w jego oczach twardą zaciekłość, która w połączeniu z jego mięśniami nadawała mu niepokojący wygląd, a także co nieco zadziorności, gdy przystępował do działania, dlatego nie miał problemów z zaciągnięciem się na służbę u najgorszego lichwiarza w Bethnal Green. Tam do codziennych obowiązków Toma należało przemierzanie ulic z listą dłużników do zastraszenia. Nie wzbraniał się też przed nocnymi rabunkami, jakby moralność kierująca jego działaniami w przeszłości była jedynie bezużytecznym przedmiotem zawadzającym w czerpaniu zysków z życia, w którym nie znalazło się miejsce na nic innego jak własny interes. Stało się ono wówczas dla niego zwykłą rutyną składającą się ze stosowania przemocy, którą wymieniał na pieniądze niezbędne do wynajęcia nory mieszkalnej i opłacenia usług jakiejś dziwki, gdy czuł potrzebę, by sobie ulżyć. Życiem tym rządziło jedno jedyne uczucie: nienawiść niczym ukryty płomień podsykana codziennie każdym uderzeniem jego pięści, nienawiść niesprecyzowana, ale intensywna, rozpętująca się przy najmniejszej urazie i sprawiająca, że wracał do swojej izby z siniakami na twarzy i skreślał kolejną tawernę z listy odwiedzanych miejsc. W tamtych czasach Tom był świadom własnej niewrażliwości, lodowatej obojętności, z jaką łamał palce i dyszał szeptem groźby do uszu swych ofiar, ale usprawiedliwiał się sam przed sobą, wmawiając sobie, że nie ma innego wyjścia, że na nic się nie zda próbować płynąć pod prąd ciągnący go w miejsce, które być może nawet mu odpowiada. Niczym wąż zrzucający skórę mógł patrzeć tylko w drugą stronę, gdy pozbywał się łaski Bożej w swej drodze do piekła. Może mimo wszystko nie był wart niczego innego. Może mimo wszystko przyszedł na świat po to, by łamać palce, aby zajmować honorowe miejsce wśród złoczyńców i wykolejeńców. I zapewne nadal pograżałby się z rezygnacją w ciemnym zakamarku świata, wolny od wszelkiej odpowiedzialności, wiedząc, że wcześniej czy później przyjdzie moment, gdy mu zaproponują popełnienie jego pierwszego morderstwa, gdyby ktoś nie uznał, że lepiej powierzyć mu rolę bohatera.

Tom zameldował się w przedsiębiorstwie Murraya, nie wiedząc, na czym będzie polegać proponowana praca. Nadal pamiętał zdumioną minę, z jaką ten ogromny mężczyzna podniósł się zza biurka na jego widok, oraz jak zaczął krążyć wokół niego, wydawać euforyczne okrzyki, klepać go po mięśniach i przyglądać się jego zuchwie, robiąc gesty i pozy obłąkanego krawca.

– Nie mogę w to uwierzyć, jest pan dokładnie taki, jak go opisałem – mówił, a Tom nie rozumiał, o co mu u diabła chodzi. – Jest pan autentycznym kapitanem Derekiem Shackletonem.

Potem zaprowadził go do ogromnej piwnicy, w której mężczyźni w dziwnych przebraniach najwyraźniej odbywali próbę do jakiegoś przedstawienia. Wtedy po raz pierwszy ujrzał Martina, Jeffa i pozostałych.

– Panowie, przedstawiam wam waszego kapitana – ogłosił Gilliam – człowieka, za którego powinniście oddać życie.

I tak właśnie z dnia na dzień Tom Blunt, zbir, złodziej i łotrzyk, został wybawicielem ludzkości. Ta praca usatysfakcjonowała jego kieszenie, a dla niego zrobiła znacznie więcej: uratowała jego duszę od ognia piekielnego, w którym ta smażyła się bardzo niechętnie, z jakiegoś powodu bowiem Tom uznał, że dalsze łamanie ludziom kości byłoby niewłaściwe teraz, kiedy miał ratować świat. Brzmiało to niedorzecznie, ponieważ obie te sprawy idealnie do siebie pasowały. Jednak szlachetny duch Dereka Shackletona jakby rozświetlił go od środka, zajmując krater po wyrwanej duszy pierwotnego Toma Blunta w sposób naturalny i pokojowy, bez traumy. Po pierwszej próbie scenicznej Tom uwolnił się od zbroi kapitana Shackletona, ale postanowił zabrać do domu jego charakter – albo może było to działanie nieświadome, którego nie dało się uniknąć. Prawdą jest, że kusilo go, aby postrzeżać świat, jakby naprawdę był jego wybawicielem, jakby sam wyglądał na bohatera noszącego w piersi serce zarówno odważne, jak i szczodre. I jeszcze tego samego dnia Tom postanowił poszukać sobie uczciwszej pracy, jakby ten olbrzym zwany Gilliamem Murrayem swoimi słowami rozpałił małeńki węgielek ludzkich uczuć żarzący się jeszcze na dnie jego duszy.

A teraz wszystkie jego plany poszły na marne przez tę głupią dziewczynę. Usiadł na łóżku i rozłożywszy zawiniątko, wyjął parasolkę – niewątpliwie najcenniejszy przedmiot, jaki tutaj miał. Jeśli ją sprzeda, wystarczy mu na czynsz za dwa albo i trzy miesiące, pomyślał, rozcierając sobie stłuczony bok w miejscu, gdzie miał przywiązany woreczek z sokiem pomidorowym, który powinien był pęknąć podczas pojedynku pod ciosem rapieru Martina. Przynajmniej coś dobrego wynikło ze spotkania z dziewczyną, choć trudno było zapomnieć tarapaty, w jakie wpadł przez to zdarzenie. Nie chciał nawet myśleć o problemach, które by z tego wyniknęły, jeśliby się na nią natknął na ulicy. Gdyby do tego kiedyś doszło, potwierdziłyby się najgorsze obawy jego szefa, ponieważ dziewczyna od razu odkryłaby, że Podróże w Czasie Murraya to oszustwo. I choć to okazałoby się najgorsze, nie byłoby jedynym złem. Przy okazji panna dowiedziałaby się również, że on nie jest żadnym bohaterem z przyszłości, tylko obszarpańcem bez grosza przy duszy. I wtedy Tom musiałby patrzeć, jak oddanie, które w niej wcześniej wzbudził, na jego oczach zmienia się w rozczarowanie, a może nawet w źle skrywaną odrazę, jakby się przyglądała przeobrażeniu motyla w gąsienicę. Rzecz jasna w porównaniu z wykryciem oszustwa było to mniejsze zło, lecz wiedział, że tego żałowałby znacznie bardziej. W głębi duszy z niezmierną przyjemnością przywoływał w pamięci zachwycone spojrzenie, jakim go obdarzyła dziewczyna, mimo że wiedział, iż tak naprawdę nie było przeznaczone dla niego, tylko dla bohatera, którego odgrywał – dzielnego kapitana Shackletona, wyzwoliciela rodzaju ludzkiego. Tak, wolał, aby Claire wyobrażała go sobie w roku dwutysięcznym, odbudowującego świat, aniżeli siedzącego w tej zapyziałej norze i myślącego o pieniądzach, które jakiś lichwiarz mógłby mu dać za jej parasolkę.

Ci, którzy przychodzą wcześniej na targowisko Billingsgate, wiedzą, że woń rozchodzi się szybciej niż światło, ponieważ na długo przed tym, nim noc otrzyma pierwsze pchnięcie sztyletem jasności, pochodzące z przybrzeżnych płycizn wyziewy owoców morza oraz przenikliwy smród węgorzy buchający z wozów rybackich od dawna już kołyszą się w zimnym nocnym powietrzu. Meandrując wśród stoisk z ostrygami i wśród sprzedawców kalmarów głośno zachwalających swój towar, trzy sztuki za pensa, Tom Blunt dotarł do kraty zamykającej wejście do portu, gdzie tłoczyli się inni podobni do niego najmici demonstrujący mięśnie i determinację w nadziei na to, że łaskawy palec któ-

regoś z armatorów wybierze właśnie ich do rozładowania statku przybyłego zza morza. Chroniąc się w swej kurtce przed chłodem, Tom wmieszał się w tłum i zaraz dostrzegł Patricka – krzepkiego, wysokiego młodzieńca, z którym czasami rozładowywał skrzynie i przez to niemal mimowolnie nawiązał niezobowiązującą przyjaźń. Przywitani się serdecznym skinieniem głowy i niczym nadymające wole gołębie usiłowali wyróżnić się z grupy, aby zwrócić na siebie uwagę właścicieli statków. Na ogół dzięki zdrowemu wyglądowi byli wybierani w pierwszej kolejności i tak też zdarzyło się tego ranka. Pogratulowali sobie nawzajem ledwie dostrzegalnym uśmiechem i wraz z kilkunastoma innymi robotnikami portowymi skierowali się do wskazanej ładowni.

Tomowi podobała się ta prosta, uczciwa praca, która nie wymagała od niego niczego więcej jak sprawnych ramion i pewnej prędkości ruchów, nie tylko dlatego, że pozwalała oglądać piękny spektakl, jakim jest świt nad Tamizą, lecz także z tego powodu, że podczas gdy czuł, jak wysiłek fizyczny wstrzykuje w jego ciało zmęczenie tyleż ożywcze co uspokajające, mógł sobie pozwolić, aby jego myśli błądziły swobodnie, czasami bardzo nieoczekiwanymi ścieżkami. Podobnie było, gdy chadzał na wzgórze Harrow, niewielkie wzniesienie usytuowane na obrzeżach Londynu, zwieńczone stuletnim dębem rosnącym w otoczeniu kilkunastu grobów – jak gdyby spoczywający tu zmarli nie chcieli nic wiedzieć o tamtych, którzy tłoczyli się na pobliskim ciasnym cmentarzyku. Młodzieniec odkrył ten zakątek w trakcie jednego ze swoich spacerów i ta trawiasta reduta stała się jego prywatnym sanktuarium, czymś w rodzaju kaplicy pod gołym niebem, gdzie odpoczywał od wielkomiejskiego zgiełku, a czasami miał szczęście pomedytować. Wówczas, ku jego zaskoczeniu, objawiał mu się sens jego egzystencji, zazwyczaj bardzo ulotny. Przesiadując tam, Tom rozmyślał, jakie też życie miał John Peachey spoczywający pod kamienną płytą leżącą najbliżej dębu. Chłopak mógł zarazem kontemplować swoją egzystencję, jakby nie była jego własna, oraz oceniać ją z taką samą obojętnością, z jaką zastanawiał się nad żywotem tego nieznanego.

Po skończonej dniówce usiadł wraz z Patrickiem na jednej ze skrzyń, czekając na zapłatę. Zazwyczaj, by sobie skrócić ten czas, rozmawiali o wszystkim i o niczym, ale tym razem Tom po całym tygodniu miał głowę nabitą czymś ważnym. Właśnie tyle czasu minęło od jego niefortunnego spotkania z Claire Haggerty i do tej pory nic się nie stało. Najwyraźniej Murray wciąż ignorował tamto wydarzenie lub może jeszcze nic nie odkrył. Tak czy inaczej życie Toma od tej pory nigdy nie będzie takie samo. Właściwie już się poważnie zmieniło. Tom wiedział, że Londyn jest zbyt dużym miastem, żeby miał się gdzieś natknąć na tę kobietę, ale i tak nie zwalniało go to z czujności: chodził ulicami z szeroko otwartymi oczyma, bojąc się, że wpadnie na nią na jakimś rogu. Odtąd przez tę głupią dziewczynę będzie musiał stale mieć się na baczności, może nawet zapuści brodę. Potrząsnął głową, uświadamiając sobie, jak taka najbardziej błaha rzecz może wpłynąć na ludzkie życie: czemu u diabła nie był na tyle ostrożny, by ulżyć swojemu pęcherzowi przed przedstawieniem?

Gdy Patrick odważył się w końcu po przyjacielsku zwrócić mu uwagę na ponure milczenie, w jakim ostatnio chodził pogrążony, Tom spojrział na niego w zdziwieniu. To prawda, nie zadał sobie trudu, by ukryć swoje zamyślenie przed Patrickiem, i teraz nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Uspokoił go więc tylko na wpół enigmatycznym, na wpół melancholijnym uśmiechem, a jego towarzysz wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie było jego intencją pchać się w buciorach w czyjeś prywatne sprawy. Kiedy już otrzymali zapłatę, obydwoj wyszli z portu wolnym krokiem ludzi, którzy za bardzo nie mają co zrobić z resztą dnia. Idąc obok Patricka, Tom spoglądał na niego z sympatią – bał się, że jego pełne rezerwy zachowanie mogło chłopaka urazić. Patrick miał zaledwie kilka lat mniej niż on, ale chłopięcy wygląd sprawiał, że wydawał się znacznie młodszy, dlatego Tom nie potrafił się oprzeć odruchowi, który kazał mu wziąć go pod swoje skrzydła, niczym młodszego brata, którego nigdy nie miał, choć doskonale wiedział, że młodzieniec potrafi sam o siebie zadbać. Jednakże ani je-

den, ani drugi – czy to z powodu lenistwa, czy może powściągliwości – nie był zainteresowany pielęgnowaniem tej przyjaźni poza portem.

– Wiesz, Tom, z tymi pieniędzmi, które dziś zarobiłem, już mi niewiele zostanie – odezwał się nagle Patrick z rozmarzeniem w głosie.

– Zostanie do czego? – zapytał Tom autentycznie zaintrygowany, ponieważ chłopak nigdy nie wspominał, że chciałby założyć jakiś interes czy się ożenić.

Tamten posłał mu tajemnicze spojrzenie.

– Do tego, żeby spełnić swoje marzenie – odparł uroczystym tonem.

Tom ucieszył się, że chłopak ma marzenie, które go pcha do przodu, powód, dla którego wstaje codziennie z łóżka, coś, czego jemu samemu ostatnio brakowało.

– Co to za marzenie? – zainteresował się, wiedząc, że tamten czeka na to pytanie.

Patrick z namaszczaniem wyjął z kieszeni wymiętoszoną ulotkę i pokazał ją przyjacielowi.

– Chcę pojechać do roku dwutysięcznego i zobaczyć na własne oczy, jak dzielny kapitan Shackleton pokonuje złowrogie automaty.

Tom nawet nie wziął od niego ulotki, którą tak dobrze znał. Popatrzył tylko na towarzysza ze smutkiem.

– Nie korci cię, żeby poznać rok dwutysięczny, Tom? – zapytał chłopak, nie wierząc w taką obojętność.

Jego kolega westchnął.

– Nie mam tam czego szukać – odparł, wzruszając ramionami. – Tu jest moja teraźniejszość i tylko ją chcę znać.

– Tiaa – mruknął Patrick, nie mając odwagi, by skrytykować jego wąskie horyzonty.

– Jadłeś śniadanie? – zapytał Tom.

– Jasne, że nie! – oburzył się chłopak. – Przecież ci mówiłem, że oszczędzam. Śniadanie to luksus, na który nie mogę sobie pozwolić.

– W takim razie pozwól, że cię zaproszę – zaproponował Tom, po ojcowsku ściskając mu ramię. – Znam tutaj blisko jedno miejsce, gdzie podają najlepsze kiełbaski w całym Londynie.

Po obfitym śniadaniu, którym się uraczyli – a ucztą ta miała zaspokoić ich żołądki na cały tydzień – Tom znów został z pustymi kieszeniami. Starał się nie wyrzucać sobie tej rozrzutności: i tak nie umiałby się od niej powstrzymać, ale następnym razem musi być bardziej ostrożny, ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że choćby nie wiedzieć jak dobrze się po tym czuł, takie altruistyczne gesty na dłuższą metę tylko szkodzą. Pożegnał się z Patrickiem i jako że nie miał nic lepszego do roboty przez resztę dnia, skierował się do Covent Garden, gdzie mógł kontynuować swoje dzieło miłosierdzia, kradnąc jabłka dla pani Ritter.

Kiedy tam dotarł, targowisko było już czynne od wielu godzin, zatem najświeższe, najnowsze towary zdążyły zniknąć w rękach co zachłanniejszych klientów przybywających o wczesnej porze z wszystkich zakątków Londynu, by uzupełnić spiżarnie. Z drugiej strony zapalone przez handlarzy świeczki płonące na kopczykach wosku nadawały bazarowi fantasmagoryczny wygląd. O tak późnej porze targ sprawiał wrażenie wiejskiej zabawy, a odwiedzające go osoby nie wyglądały jak ukradkiem przemykające widma, ale jak weseli, beztroscy ludzie, którzy mają cały dzień na zakupy, a tymczasem mogą – tak jak Tom – dać się oczarować splecionym zapachom róż i fuksji napływającym z koszyków kwiaciarek ustawionych po zachodniej stronie placu targowego. Tom, niesiony tłumem paradującym bezcelowo wśród wozów wyładowanych ziemniakami, marchwią i kapustą, tworzących barwny spektakl ciągnący się od Bow Street aż po Maiden Lane, próbował namierzyć którąś z dziewczyn kręcących się tu i tam z koszykami jabłek i zachwalających swój towar klasycznym cockneyem. Wyciągnął szyję przekonany, że dostrzeże sprzedawczynię za zwartą grupą ludzi. Zamierzał dotrzeć do niej, zanim mu zniknie w ciżbie, toteż obrócił się szybko, aby ominąć zagradzający mu drogę ludzki mur. Ale ten nagły manewr, który zapewne uratowałby życie kapitanowi Shackletonowi w jakiejś zbrojnej utarczce, okazał się bezmyślnością na tak zatłoczonym targowisku jak Covent Garden. Tom zrozumiał to, gdy się zderzył z nadchodzącą z przeciwka dziewczyną. Potrącona młoda kobieta zachwiała się i o mało nie upadła na ziemię. Tom zatrzymał się i odwrócił do niej, by ją jak najuprzejmiej przeprosić. To właśnie wówczas spotkał jedyną osobę w całym Londynie, której nie chciał znowu zobaczyć, świat wydał mu się miejscem ciasnym i tajemniczym, a zarazem mieszczącym wszystko jak kapelusz iluzjonisty.

– Kapitanie Shackleton, co pan robi w naszych czasach? – zapytała zdumiona Claire Haggerty.

Tym razem, gdy nie dzieliła ich żadna odległość, Tom z całą siłą doznał szoku pod wpływem tego pełnego oddania spojrzenia, do jakiego prowokowała dziewczynę sama jego obecność. Ponadto zauważył błękit jej oczu, błękit głęboki i porywczy, jakiego – Tom był tego pewien – nie spotkałby w żadnej części świata, choćby nie wiedzieć ile oceanów i nieboskłonów obejrzał, błękit zapalczywy i czysty, który mógł być jednym z kolorów, w jakie Stwórca niegdyś przyoblekł raj i teraz chronił go w swoich wybrańcach, nie chcąc dopuścić, aby zginął. Dopiero gdy się otrząsnął z czaru rzucanego przez jej oczy, zrozumiał, że to przypadkowe spotkanie może go kosztować życie. Pośpiesznie zerknął dookoła, by się upewnić, że nikt nie przygląda im się podejrzliwie, ale był zbyt oszołomiony, aby zwracać uwagę na to, co widzi. Jego oczy znowu spoczęły na dziewczynie, która wciąż wpatrywała się w niego z niedowierzaniem i wielkimi emocjami, czekając, aż kapitan wyjaśni swoją obecność w dziewiętnastym wieku. Co Tom miał jej powiedzieć, aby nie odkryć prawdy, a tym samym nie wydać na siebie natychmiastowego wyroku śmierci?

– Odbyłem podróż w czasie, by oddać pani parasolkę – wymyślił naprędce.

To powiedziawszy, zagryzł wargi. Zabrzmiało śmiesznie, ale to jako pierwsze przyszło mu do głó-

wy. Ujrzał, jak Claire jeszcze szerzej otwiera swoje piękne oczy, i przygotował się na najgorsze.

– O, bardzo dziękuję, to niezmiernie miłe z pana strony – rzekła dziewczyna ku jego zaskoczeniu, nie potrafiąc ukryć, jak bardzo jej to pochlebiło. – Ale nie musiał się pan fatygować. Jak pan widzi, mam na jej miejsce inną. – Pokazała parasolkę bardzo podobną do tej, którą schował w szufladzie swojej komody. – Skoro jednak przemierzył pan czas, żeby mi oddać zgubę, przyjmę ją z radością i obiecuję, że pozbędę się tej.

Teraz przyszła kolej na Toma, by ukryć zdziwienie wywołane jej słowami. Panna uwierzyła w jego kłamstwo bez najmniejszych podejrzeń! Jednak czy mogłoby być inaczej? Przedstawienie, które zorganizował Murray, było zbyt dobre, by tak młoda osóbką mogła mieć jakieś zastrzeżenia. Claire uwierzyła, że podróżowała do roku dwutysięcznego, była przekonana, że to prawda, nic więc dziwnego, że w jej oczach on był podróżnikiem w czasie. To takie proste. Kiedy udało mu się wyjść ze zdumienia, zauważył, że dziewczyna patrzy teraz na jego puste ręce, być może zastanawiając się, gdzie się podziała parasolka, która skłoniła go do podjęcia tak heroicznego czynu – kazała mu cofnąć się w czasie o cały wiek wyłącznie po to, by mógł oddać zgubę.

– Nie mam jej w tej chwili przy sobie – usprawiedliwił się, niemądrze wzruszając ramionami.

Czekała więc, aż kapitan zaproponuje stosowne rozwiązanie, a w nagłej ciszy, jaka ich ogarnęła pośród hałasu i zgiełku, Tom zauważył smukłe, delikatne ciało rysujące się pod ubraniem dziewczyny i uświadomił sobie boleśnie, od jak dawna nie był z żadną kobietą. Odkąd pochował Megan, zaznał tylko fałszywej czułości dziwek, a ostatnio nie miał już nawet tego, ponieważ uznał, że na tyle się zahartował, aby się obyć bez tych kupowanych pieszczot. Albo tak mu się zdawało. Teraz miał przed sobą kobietę ładną i dystygowaną, kobietę, o jakiej taki chłopak jak on nie mógłby nawet marzyć, a zarazem kobietę, która patrzyła na niego tak jak żadna inna do tej pory. Czy to spojrzenie będzie tunelem, który pozwoli mu zdobyć niedostępną twierdzę? Jak świat światem, ludzie podejmowali ryzyko ze znacznie błahszych powodów. Zatem posłuszny atawistycznemu apetytowi, który zawsze odzywał się w istotach jego gatunku, Tom zrobił to, co rozum stanowczo mu odradzał.

– Ale mógłbym ją pani oddać po południu – zasugerował. – W Aerated Bread Company, jeśli byłaby pani tak miła i napiła się ze mną herbaty.

Twarz dziewczyny się rozjaśniła.

– Oczywiście, kapitanie – odpowiedziała Claire z entuzjazmem. – Przyjdę na pewno.

Tom kiwnął głową z uśmiechem, który zdążył odkazić z pożądania. Starał się przy tym ukryć niedowierzanie wywołane zarówno tym, że panna się zgodziła, jak i tym, co czuł sam do siebie z tego powodu, że zaproponował randkę dokładnie tej kobiecie, od której powinien uciekać, jeśli chciał zostać przy życiu. Stało się jasne, że własne życie znaczyło dla niego bardzo mało, skoro nie bał się go ryzykować, aby sobie pofolgować z tym cudeńkiem. W tej chwili oboje odwrócili się, słysząc, jak ktoś woła Claire po imieniu. Jakaś blondynka torowała sobie drogę przez tłum, próbując się do nich dostać.

– To moja przyjaciółka Lucy – powiedziała Claire z zabawnym znużeniem. – Ani na chwilę nie zostawia mnie samej.

– Proszę jej nie mówić, że przybyłem z przyszłości – odezwał się pośpiesznie Tom, odzyskując odrobinę rozsądku. – Jestem tu incognito. Jeśli zostanę odkryty, czeka mnie dużo problemów.

Claire spojrzała na niego nieco zaniepokojona.

– Czekam na panią w herbaciarni o szóstej. – Tom szybko zaczął się żegnać. – Proszę mi jednak obiecać, że przyjdzie pani sama.

Jak przypuszczał, dziewczyna bez wahania złożyła obietnicę. Co zrozumiałe ze względu na jego kondycję finansową, Tom nigdy nie był w herbaciarniach ABC, wiedział jednak, że od momentu

ich otwarcia zrobiły się modne, ponieważ jako jedyne miejsca w Londynie dawały młodym ludziom możliwość spotykania się na randkach bez utrapionych przyzwoitek. Z tego, co słyszał, były przyjemne i przestronne, a przy tym ogrzewane, i za niewielkie pieniądze dostawało się w nich dwie filiżanki herbaty z jakimś ciastem, toteż natychmiast przekształciły się w idealną alternatywę dla spacerów na chłodzie czy spotkań w rodzinnych salonach pod nadzorem dyżurującej matki, na które narzeczeni byli skazani do tej pory. Pomijając fakt, że taki lokal był zbyt wystawiony na widok, Tom nie znalazł lepszego miejsca na randkę z kobietą, do którego ona bez zastrzeżeń mogłaby przyjść sama.

Kiedy Lucy dotarła do Claire, Tom zdążył już zniknąć w tłumie. Mimo to panna Nelson nie omieszkła zapytać swoją pograżoną w myślach przyjaciółkę, kim był ten nieznajomy, z którym widziała ją z daleka. Claire tylko tajemniczo pokręciła głową. Jak przypuszczała, Lucy błyskawicznie zapomniała o tej sprawie i pociągnęła przyjaciółkę w stronę stoisk z kwiatami, gdzie można się było zaopatrzyć w heliotropy, których zapach przeniesie ich sypialnie do dzikich, odległych dżungli. Claire Haggerty dała się zatem bezwolnie prowadzić przyjaciółce, jednocześnie rozmyślając o tym, że przemierzenie czasu w celu oddania parasolki było najbardziej rycerskim czynem, z jakim spotkała się w życiu, a tymczasem Tom Blunt czym prędzej oddalał się przez targ na drugi koniec Covent Garden i torując sobie w tłumie drogę łokciami, starał się nie myśleć o biednym Perkinsie.

W swej norze rzucił się na nędzną pryczę jak powalony strzałem z bliska. A leżąc, wciąż przeklinał swoje lekkomyślne zachowanie słowami, które niczym pijak powtarzał w kółko przez całą drogę powrotną. „Przypadkiem nie oszalałem? Ki diabeł kazał mi się znów umówić z dziewczyną?”. Dobra, na to pytanie akurat łatwo odpowiedzieć. Było oczywiste, czego Tom tak naprawdę chce, i nie chodziło jedynie o napawanie się urodą panny przez parę godzin, tak jak podziwia się nieosiągalny przedmiot wystawiony w sklepowej witrynie, boleśnie czując w środku, że nigdy nie będzie się go miało. Nie, nic z tych rzeczy: zamierzał wykorzystać fakt, że Claire jest zakochana w jego drugim ja, w dzielnym kapitanie Shackletonie, i osiągnąć lepszy cel. Zaskoczyło go, że dla tej krótkiej przyjemności jest gotów ponieść fatalne wręcz konsekwencje, które tak bezmyślnie ściąga sobie na głowę, w tym – niewykluczone – nawet poświęcić życie. „Tak mało znaczy dla mnie własne życie?” – powtórzył sobie po raz nie wiadomo który. Tak, brzmiało to naprawdę przygnębiająco, ale tak właśnie było: jeśli posiadzie tę piękną kobietę, akt ten będzie miał dla niego większe znaczenie niż cokolwiek innego, co może go czekać w niewdzięcznej przyszłości.

Gdyby to sobie chłodno przemyślał, zapewne doszedłby do oczywistego wniosku, że lepiej nie iść na tę randkę i uniknąć problemów. Jednakże z drugiej strony nie uchroniłoby go to przed ponownym przypadkowym spotkaniem z dziewczyną w jakimś innym miejscu, a wtedy musiałby jej wyjaśnić, dlaczego wciąż tkwi w dziewiętnastym wieku, a może nawet znaleźć jakąś wymówkę tłumaczącą, czemu nie stawił się o umówionej porze w herbaciarni. Najwyraźniej nieprzybycie na randkę nie rozwiązuje problemu. Jedynym sensownym wyjściem wydawało się postępowanie dokładnie odwrotne: powinien przyjść na umówione miejsce i wymyślić coś, co pozwoli mu uniknąć dalszych wyjaśnień w razie kolejnych spotkań w przyszłości. Jakiś powód, który ją będzie trzymał na odległość, tak by się nie zbliżała i nie rozmawiała z nim – powiedział sobie z entuzjazmem, jakby to był główny argument za tym, by ją znowu zobaczyć, a nie bardziej przyziemne pragnienia. Jeśli się dobrze zastanowić, to spotkanie na dłuższą metę może się okazać nawet korzystne. Tak, mogłoby mu pozwolić rozwiązać tę sprawę raz na zawsze, ponieważ trzeba sobie powiedzieć jasno: to powinna być ich pierwsza i ostatnia randka. Nie było innej opcji: może sobie pofolgować z dziewczyną tylko pod tym warunkiem, że ostatecznie uniemożliwi ponowne spotkanie, odrzuci wszelki związek, jaki mógłby ich połączyć, ponieważ nie dałoby się go utrzymać w sekrecie wobec tysięcy szpiegów, których Murray bez wątplenia ma rozmieszczonych w mieście. Taki romans ściągnąłby niebezpieczeństwo zarówno

na niego, Toma, jak i na nią. Potraktował zatem tę randkę jak ostatnią ucztę skazańca i postanowił skorzystać z niej jak najwięcej.

Gdy przyszła pora, wstał, wziął parasolkę, włożył czapkę i wyszedł z pensjonatu. Na ulicy pod wpływem nagłego impulsu zatrzymał się przed straganem pani Ritter.

– Dobry wieczór, Tom – powitała go staruszka.

– Pani Ritter – rzekł, wyciągając do niej ceremonialnie prawą rękę otwartą dłonią ku górze. – Myślę, że przyszedł czas, żebyśmy oboje poznali moje przeznaczenie.

Starsza pani spojrzała na niego zdziwiona, ale natychmiast wzięła jego rękę i zaczęła wodzić pomarszczonym palcem wskazującym po liniach dłoni jak ktoś, kto powoli czyta wersy w książce.

– O mój Boże, Tom! – Wzdrygnęła się i podniosła na niego stroskany, zaskoczony wzrok. – Tu jest zapisana... twoja śmierć!

Tom przyjął tę posępną wróżbę ze zrezygnowaną miną, wskazującą na wielki hart ducha, i delikatnie wysunął dłoń z rąk staruszki. A więc dobrze, potwierdził swoje przypuszczenia. Umrze za to, że się pcha pod halki wysoko urodzonej damy. Najwyraźniej ostatecznie to jest mu pisane. Wzruszył ramionami, pożegnał się ze strwożoną panią Ritter, która być może uważała, że życie powinno było zgotować dla tego chłopca łagodniejszy los, i skierował się na ulicę prowadzącą w stronę herbaciarni, gdzie czekała na niego Claire Haggerty. Tak, umrze, to już nie ulega wątpliwości, ale czy przypadkiem to, co ma teraz, nie nazywa się życiem? Uśmiechnął się i przyspieszył kroku.

Nigdy dotąd nie czuł się bardziej żywy.

Gdy przyszedł do herbaciarni, Claire już tam siedziała. Zajęła jeden ze stolików w głębi, koło wielkiego okna, przez które popołudniowe światło spływało na jej włosy. Tom przyjrzał jej się od drzwi z przyjemnością, rozkoszując się tym, że ta piękna dziewczyna czeka na niego. Znów poruszyła go kruchość jej sylwetki, tak zachwycająco kontrastująca z energią ruchów i gorącym spojrzeniem dziewczyny, i gdzieś w swoim wnętrzu, na tej ziemi od lat leżącej odłogiem, gdzie – jak sądził – nic nigdy już nie wykiełkuje, poczuł coś w rodzaju przyjemnego bulgotu, znak, że nie jest na wskroś martwy, że w głębi serca jeszcze może żywić emocje. Mocno zacisnął parasolkę w spoczonej dłoni i ruszył między stolikami w stronę dziewczyny, postanawiając, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby ten wieczór zakończyć z jej ciałem w swoich ramionach.

– Przepraszam pana – zwróciła się do niego jakaś młoda kobieta właśnie wychodząca z lokalu. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie nabył pan te buty?

Zbity z tropu Tom podążył za jej wzrokiem i na wpół ze zdumieniem stwierdził, że wciąż ma na stopach egzotyczne obuwie kapitana Shackletona. Spojrzał na dziewczynę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– W Paryżu – odparł.

Jego odpowiedź najwyraźniej usatysfakcjonowała kobietę. Młoda dama uśmiechnęła się ze skinieniem głowy, jakby to było oczywiste, że taki element garderoby nie może pochodzić z innego miejsca jak kolebka mody. Podziękowała za informację ujmującym uśmiechem i wyszła z herbaciarni. Tom pokręcił głową, odchrząknął niczym baryton, który ma zaraz wyjść na scenę, i przemierzywszy salę, stanął przed Claire. Zapatrzona w okno dziewczyna do tej pory nie zauważyła jego obecności.

– Dobry wieczór, panno Haggerty – przywitał się.

Uśmiechnęła się na jego widok.

– Sądzę, że to należy do pani – rzekł, trzymając parasolkę, jakby to był bukiet róż.

– O, dziękuję, kapitanie – odpowiedziała dziewczyna. – Ale niech pan siada.

Tom zajął drugie wolne krzesło przy okrągłym stoliku, podczas gdy Claire z niejakim zakłopotaniem przyglądała się pokiereszowanej parasolce. Szybko oceniwszy jej opłakany stan, umieściła ją z boku stołu, jak przedmiot, który już spełnił swą rolę w fabule, po czym zwróciła spojrzenie na Toma znów z tym dziwnym pragnieniem w oczach, które zauważył przy pierwszym spotkaniu i które tak mu pochlebiało, choć wiedział, że nie było przeznaczone dla niego, tylko dla odgrywanego przezeń bohatera.

– Muszę powiedzieć, kapitanie, że ma pan niezwykle przebranie – zauważyła dziewczyna. – Wygląda pan jak jakiś szaraczek z East Endu.

– A tak, dziękuję – zająknął się Tom, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu, by ukryć przykrość, jaką sprawiły mu jej słowa.

Co go w końcu tak zaskoczyło? Ta uwaga po prostu potwierdziła jego przypuszczenia: jeżeli może cieszyć się wieczorem spędzonym w towarzystwie tej beczelnej dziewczyny, to tylko dlatego, że uważa go ona za nieustraszonego bohatera z przyszłości. I wyłącznie to nieporozumienie pozwoli mu dać jej nauczkę, a jednocześnie dostać od niej to, czego w innych okolicznościach nigdy by nie otrzymał. Ukrył radość, jaką napawała go ta myśl, przesuwając spojrzeniem po lokalu. To dało mu okazję, aby wśród hałaśliwej klienteli spróbować zidentyfikować ewentualnego szpiega wysłanego przez Gilliama, ale nie znalazł żadnego, co wydało mu się podejrzane.

– Ostrożności nigdy dość – stwierdził, obracając się z powrotem do dziewczyny. – Tak jak pani

powiedziałem, staram się nie ściągać na siebie uwagi, co by mi się nie udało, gdybym się tu zjawił w zbroi bitewnej. Z tego samego powodu proszę też, żeby mnie nie nazywać kapitanem.

– Zgoda – odrzekła Claire, lecz zaraz potem wykrzyknęła, nie potrafiąc opanować ekscytacji spowodowanej sekretem, który zna tylko ona: – Nie mogę uwierzyć, że jest pan kapitanem Derekiem Shackletonem!

Tom, wystraszony, poprosił, żeby się uciszyła.

– O, przepraszam – wytłumaczyła się rozdygotana. – To dlatego, że jestem taka nerwowa. Tak samo nie mogę uwierzyć, że mam pić herbatę z wybawicielem świa...

Na szczęście przerwała, widząc, że zbliża się do nich kelner. Zamówili dwie filiżanki herbaty oraz wybór ciast i bułeczek. Gdy kelner się oddalił, oboje spoglądali na siebie przez kilka sekund, uśmiechając się niezbyt mądrze. Tom patrzył, jak dziewczyna stara się uspokoić i odzyskać panowanie nad sobą, a sam tymczasem rozmyślał nad sposobem skierowania rozmowy na teren bardziej intymny, pasujący do jego planów. Wybrał tę herbaciarnię, ponieważ po drugiej stronie ulicy znajdował się skromny, lecz czysty pensjonat, który doskonale by się nadawał na scenę spotkania ich ciał. Teraz Tom musiał użyć całych swych uwodzicielskich zdolności – jeśli takie posiadał – aby dziewczynę tam zabrać, choć to zapewne nie okaże się łatwe: było oczywiste, że taka dama jak Claire, która przypuszczalnie do tej pory zachowała nietkniętą cnotę, nie zgodzi się pójść do łóżka z pierwszym lepszym nieznanym, choćby nie wiedzieć jak bardzo była przekonana, że jest on kapitanem Shackletonem.

– Jak pan się tutaj dostał? – Claire przerwała milczenie, nieświadoma jego rozmyślań. – Ukrył się pan w Cronotilusie, kiedy nikt nie widział?

Słyszając to pytanie, Tom musiał uważać, żeby nie zrobić rozdrażnionej miny: teraz, kiedy próbował znaleźć w głowie bajeczkę, która pozwoliłaby mu zbałamucić dziewczynę, nie miał najmniejszej ochoty na wysilanie umysłu w celu podania wyjaśnień spójnych z poprzednim kłamstwem. Ale nie mógł przecież powiedzieć pannie, że odbył podróż w czasie, aby jej oddać parasolkę, i żądać, aby uznała to za rzecz najnormalniejszą w świecie, jakby ludzie przeskakiwali sobie ze stulecia do stulecia z jakichś błahych powodów. Na szczęście akurat zjawił się kelner z ich zamówieniem, co dało Tomowi kilka sekund na wymyślenie zadowolającej odpowiedzi.

– W Cronotilusie? – zapytał, udając, że nie wie o istnieniu tramwaju czasu, jako że gdyby z niego skorzystał, aby się dostać do tej epoki, nie miałby innego wyjścia, jak czekać na kolejną wyprawę do roku dwutysięcznego, a to potrwałoby prawie miesiąc i oznaczałoby, że ta randka nie będzie ostatnią.

– To taki pojazd parowy, którym podróżujemy do waszych czasów przez okropne miejsce zwane czwartym wymiarem – wyjaśniła mu Claire i po kilku sekundach zastanowienia dodała: – Ale skoro nie przybył pan w Cronotilusie, w takim razie jak pan to zrobił? Czy jest może inny sposób podróżowania w czasie?

– Oczywiście, że jest inny sposób, panno Haggerty – zapewnił ją Tom, przypuszczając, że jeśli dziewczyna przełknęła kłamstwo Gilliana, czyli uważa podróżę w czasie za prawdziwe, to prawdopodobnie uwierzy też w jego sposób przemieszczania się między epokami. – Nasi naukowcy wynaleźli maszynę, która natychmiast przenosi nas w czasie, bez konieczności podróżowania uciążliwą trasą przez czwarty wymiar.

– I tą maszyną można się dostać do każdej epoki? – spytała zachwycona dziewczyna.

– Do jakiegokolwiek – odrzekł Tom, udając, że nie przywiązuje wagi do tego faktu, jakby był już znudzony przemieszczaniem się wśród stuleci, a tworzenie i burzenie cywilizacji niezmiernie go nudziło.

Wziął ciastko i ugryzł je ze smakiem, dając jej do zrozumienia, że mimo tego wszystkiego, co w

zyciu widział, wciąż zaskakują go małe życiowe przyjemności, takie jak brytyjska sztuka cukiernicza.

– Ma pan ją ze sobą? – zapytała zaciekawiona Claire. – Nauczy mnie pan tego?

– Czego?

– Obsługiwania maszyny, która pana przeniosła do naszych czasów.

Tom o mało nie zadławił się ciastkiem.

– Nie, nie – odparł pośpiesznie. – To niemożliwe, absolutnie niemożliwe.

Claire daremnie próbowała ukryć rozczarowanie i w końcu założyła ramiona na piersi tak dziecięcym gestem, że go tym zaskoczyła.

– Nie mogę jej pani pokazać, ponieważ... nie jest to coś, co można zobaczyć – zełgał na poczekaniu, starając się rozproszyć jej gniew, zanim się skryształizuje.

– Nie można zobaczyć? – zapytała dziewczyna podejrzliwie.

– Mam na myśli, że nie jest to nic w rodzaju skrzydlatego powozu, który przenosi się w czasie – wyjaśnił.

– W takim razie co to jest?

Tom powstrzymał się od westchnienia rozpaczy. Tak, wobec tego co to jest? I czemu nie może jej tego pokazać?

– To sprzęt, który sam nie przemieszcza się fizycznie w strumieniu czasu, bo jest na stałe osadzony w przyszłości. Stamtąd ee... otwiera dziury, przez które można się dostać do innych epok. To jak maszyna wiertnicza, lecz zamiast drążyć w skale... robi tunele w tkance czasu. Dlatego nie mogę jej pokazać, choćbym bardzo chciał.

Claire przez chwilę milczała.

– Maszyna otwierająca dziury w tkance czasu... – wymruczała w końcu, oczarowana tą ideą. – I pan przeszedł przez jeden z takich tuneli, żeby pojawić się dzisiaj?

– Tak jest – odparł Tom bez specjalnego przekonania.

– A jak pan wróci do przyszłości?

– Przejdę z powrotem przez tę dziurę.

– Chce pan powiedzieć, że w tej chwili w jakimś miejscu w Londynie znajduje się tunel prowadzący do roku dwutysięcznego?

Tom, zanim odpowiedział, pociągnął łyk herbaty. Ta rozmowa zaczynała go męczyć.

– Otworzenie go w obrębie miasta przyciągnęłoby za dużo uwagi, jak się można domyślić – rzekł ostrożnie. – Tunel otwiera się zawsze na obrzeżach, na wzgórzu Harrow, małym wzniesieniu, na którym rośnie stary dąb otoczony nagrobkami. Ale maszyna nie może utrzymywać go zbyt długo w takim stanie. Za kilka godzin dziura się zamknie i muszę przez nią przejść, zanim to się stanie.

Ostatnie zdanie dodał, udając przygnębienie, w nadziei że wobec braku czasu dziewczyna przestanie go zadręczać pytaniami.

– Może uzna to pan za bezczelność z mojej strony, kapitanie – usłyszał po kilku sekundach namysłu – ale czy mógłby mnie pan zabrać ze sobą do roku dwutysięcznego?

– Obawiam się, że nie, panno Haggerty – westchnął w odpowiedzi.

– Dlaczego? Przrzekam, że...

– Dlatego że nie mogę przeprowadzać ludzi stąd tam.

– Ale jaki sens ma wynajdywanie maszyny czasu, jeśli nie wykorzystuje się jej...

– Ponieważ wynaleziono ją w innym celu! – przerwał jej Tom, mając po uszy tego, że dziewczyna nie jest w stanie zapomnieć o tej sprawie. Tak ją interesują podróże w czasie? Natychmiast pożałował swej obcesowości, ale słowo się rzekło. Claire popatrzyła na niego zaskoczona jego opryskli-

wym tonem.

– A jakiż to cel, jeśli można wiedzieć? – skontrowała w takim samym gniewnym tonie.

Tom westchnął, rozparł się na krześle i patrzył, jak dziewczyna walczy, żeby zapanować nad rosnącą irytacją. Nie było sensu kontynuować tego w ten sposób. Rozmowa rozwijała się takim torem, że zapewne nie uda mu się zaciągnąć dziewczyny do pensjonatu, będzie miał nawet szczęście, jeśli ona w końcu nie zostawi go tu samego, urażona jego mętными odpowiedziami. Czego się spodziewał? Nie jest Gilliamem Murrayem. Jest tylko pozbawionym wyobraźni biedaczną. Kostium podróżnika w czasie okazał się na niego za duży. Lepiej się będzie poddać, zapomnieć o wszystkim, pożegnać się uprzejmie z dziewczyną, póki jest na to czas, i dalej prowadzić nędzne życie szaraczka, o ile zbiry Murraya nie będą miały innego pomysłu.

– Panno Haggerty – zaczął, postanawiając zakończyć randkę pod jakimś pretekstem, jak przystało na dobrze wychowanego młodzieńca, gdy nagle Claire położyła mu rękę na dłoni.

Zaskoczony tym gestem Tom zapomniał, co miał powiedzieć. Patrzył na jej delikatną dłoń łagodnie leżącą na jego ręce, obie spoczywające między filiżankami niczym jakaś rzeźba, której znaczenia nie potrafił zrozumieć. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie o niewysłowionej słodyczy.

– Przepraszam, że się naprzykrzam z pytaniami, na które może nie jest pan władny odpowiedzieć, kapitanie – usprawiedliwiła się dziewczyna, pochylając się uroczo nad stolikiem. – To bardzo niegrzecznie z mojej strony, tym bardziej że odzyskał pan moją parasolkę. Tak czy inaczej nie musi mi pan mówić, w jakim celu skonstruowano tę maszynę. I tak już wiem.

– Naprawdę? – zapytał niedowierzająco.

– Tak – zapewniła, uśmiechając się do niego czarująco, wielce z siebie zadowolona.

– A mogłaby mi pani powiedzieć, co to jest za cel?

Claire zerknęła na boki i zniżając głos, odrzekła:

– Zabić pana Fergusona.

Tom uniósł brwi. Pana Fergusona? Kim u licha jest ten pan Ferguson? I dlaczego on miałby go zabić?

– Niech pan nie udaje, kapitanie – roześmiała się. – Zapewniam pana, że to nie jest konieczne. Nie przy mnie.

Tom z przyjemnością dołączył do jej śmiechu, korzystając z okazji, by się uwolnić od wywołanego przesłuchaniem napięcia. Nie miał najmniejszego pojęcia, kim jest ten cały Ferguson, lecz intuicja mu podpowiadała, że najlepszą strategią będzie udawanie, że go doskonale zna, począwszy od numeru jego buta, a skończywszy na wodzie po goleniu, jakiej używa. I modlił się, aby dziewczyna go o niego nie pytała.

– Nie da się przed panią niczego ukryć, panno Haggerty – schlebił jej. – Jest pani zbyt inteligentna.

Na twarzy Claire odmalowała się satysfakcja.

– Dziękuję, kapitanie. Nie jest jednak trudno wywnioskować, że wasi naukowcy skonstruowali tę maszynę, aby ktoś przybył właśnie do naszych czasów i zabił wynalazcę automatów, zanim ten zdąży je skonstruować. W ten sposób uniknie się tego wszystkiego, co będzie później: zniszczenia Londynu i śmierci tylu osób.

Udać się do przeszłości, żeby kogoś zabić? Czy to w ogóle możliwe? zastanawiał się Tom.

– Właśnie tak, Claire. Zostałem wybrany, żeby zabić Fergusona i nie dopuścić do zniszczenia świata.

Dziewczyna znów rozważała coś przez kilka sekund, po czym dodała:

– Ale to się nie uda, skoro oboje na własne oczy widzieliśmy wojnę przyszłości.

– Znowu masz rację, Claire – przytaknął Tom, korzystając z okazji, by przejść na ty.

– Twoja misja nie powiodła się – powiedziała jakby do siebie z niejakim smutkiem. Potem spojrzała na niego twardo i mruknęła: – Ale czemu? Może dlatego, że dziury nie pozostały otwarte wystarczająco długo?

Tom rozłożył ręce, udając zdumienie dla inteligencji panny.

– W rzeczy samej – przyznał i w nagłym natchnieniu dodał: – Odbyłem kilka próbnych podróży, żeby namierzyć Fergusona, ale mi się nie udało. Miałem za mało czasu. Dlatego może w przyszłości zobaczysz mnie, jak idę ulicą, ale nie powinnaś do mnie podchodzić, ponieważ jeszcze nie będę cię znał.

Zamrugła, starając się pojąć jego słowa.

– Rozumiem – rzekła w końcu. – To będą podróże poprzedzające tę dzisiejszą, choć ty pojawisz się u nas kilka dni później.

– Właśnie – potwierdził i zachęcony spójnością, jaką Claire dostrzegła w tej bredni, dorzucił: – Choć z twojego punktu widzenia obecna moja podróż wydaje się pierwsza, nie jest nią. Przed dzisiejszą wyprawą do twoich czasów odbyłem co najmniej pół tuzina innych. Co więcej, najprawdopodobniej ta dzisiejsza, która tobie wydaje się pierwsza, dla mnie będzie ostatnią, ponieważ używanie maszyny zostało ostatnio zakazane.

– Zakazane? – spytała Claire, coraz bardziej zafascynowana.

Tom pociągnął łyk herbaty, żeby sobie oczyścić gardło, i zadowolony z wrażenia, jakie jego słowa zrobiły na dziewczynie, ciągnął dalej:

– Tak, Claire. Maszyna została zbudowana podczas wojny, ale kiedy okazała się nieskuteczna, nasi naukowcy bez wahania wycofali się z tego projektu. Porzucili utopijną ideę niedopuszczenia do wojny, zanim ta wybuchnie, i skupili się na próbach wygrania jej, czyli postanowili wynaleźć broń, która byłaby w stanie rozplątać pancierz automatów. – Panna kiwnęła głową, przypuszczalnie przypominając sobie imponującą broń żołnierzy. – Maszyna została odsunięta na bok, jakby była bezużytecznym drogim rupieciem, ale pozostawiono ją pod strażą, aby nikt nie mógł podróżować w przeszłość bez upoważnienia i zmieniać jej według własnego upodobania. Mimo wszystko zdołałem posłużyć się nią w tajemnicy, chociaż udało mi się tylko otworzyć dziurę na dziesięć godzin i teraz zostały mi już tylko trzy do zamknięcia. Właśnie tyle mam czasu, Claire. Potem muszę wracać do swojej epoki. Gdybym tu został, wysłaliby kogoś, żeby wykonał na mnie wyrok śmierci za złamanie zakazu i podróżowanie bez zezwolenia, bez względu na to, że jestem bohaterem. Zatem za trzy godziny... odejdę na zawsze.

Zakończył swoją przemowę, ściskając rękę Claire z najwyższą czułością, a jednocześnie sam sobie gratulował takiego wytłumaczenia. Ku własnemu zdumieniu nie tylko rozwiązał problem ewentualnych przyszłych spotkań z dziewczyną, lecz także wpadł na pomysł, by ją poinformować, że mają dla siebie tylko trzy godziny, po czym rozłączą się na zawsze. Trzy godziny, nic więcej. Trzy.

– Naraziłeś życie, żeby mi przynieść parasolkę – powiedziała wolno, podsumowując swoje myśli, jakby nagle uświadomiła sobie prawdziwe ryzyko, jakie podjął bohater.

– Cóż, parasolka była tylko pretekstem – odparł, nachylając się nad stolikiem i patrząc namiętnie w jej oczy.

„Przyszędł ten moment – rzekł sobie. – Teraz albo nigdy”.

– Naraziłem życie, żeby wrócić i zobaczyć się z tobą, bo cię kocham, Claire – skłamał najczulszym tonem, na jaki było go stać.

Słowo się rzekło. Teraz ona powinna odpowiedzieć tak samo. Teraz powinna wyznać, że też go kocha, to znaczy że kocha kapitana Shackletona.

– Jak to możliwe, że mnie kochasz, jeśli mnie nawet nie znasz? – Dziewczyna roześmiała się kokieteryjnie.

Nie takiej reakcji się spodziewał. Ukrył niezadowolenie, upijając łyk herbaty. Czy ona nie rozumie, że nie mają czasu na nic innego, jak oddać się sobie nawzajem? Zostały tylko trzy przeklęte godziny! Czy nie powiedział tego jasno? Odstawił filizankę na spodek i rzucił okiem na ulicę, na znajdujący się po drugiej stronie pensjonat z jego wyczekującymi łózkami i czystą pościelą, coraz bardziej nieosiągalnymi. Panna ma rację, on jej nie zna i tak samo ona nie zna jego. A skoro nie znają się nawzajem, nie ma żadnej możliwości, żeby spotkanie zakończyło się w łóżku. Uwikłał się w przegraną bitwę.

Lecz czy na pewno się nie znają? przyszło mu nagle na myśl. Czy przypadkiem nie przybył z przyszłości? Co stoi na przeszkodzie, by jej powiedzieć, że z jego punktu widzenia są znajomymi? Pomiędzy tym spotkaniem a spotkaniem w roku dwutysięcznym może się wydarzyć cokolwiek, co mu wpadnie do głowy, ponieważ ona nie będzie mogła tego zweryfikować – powiedział sobie, wierząc, że znalazł idealną strategię, by ją zagonić do pensjonatu jak potulną owieczkę.

– Mylisz się, Claire. Znam cię znacznie lepiej, niż sądzisz – wyznał, czule biorąc jej rękę w dłonie, jakby trzymał rannego wróbla. – Wiem, kim jesteś, o czym marzysz, czego pragniesz i jak ostrzegasz świat. Wiem o tobie wszystko, a ty wiesz wszystko o mnie. I kocham cię, Claire. Pokochałem cię w czasie, który jeszcze nie nastąpił.

Patrzyła na niego zdumiona.

– Ale jeśli się więcej mamy nie zobaczyć – zauważyła – to jak się poznamy? Jak się we mnie zakochasz?

Czując pot występujący mu na czoło, Tom odkrył, że wpadł we własną pułapkę. Powstrzymał się od przekleństwa i spojrzał na ulicę, chcąc zyskać na czasie. Co mógł jej teraz odpowiedzieć? Powozy nadjeżdżały i odjeżdżały, torując sobie drogę wśród fur towarowych, a on nie znalazł w nich natchnienia. Musiał sam uporać się ze swym kłopotem. Wtem dostrzegł stojącą na rogu czerwoną skrzynkę pocztową z inicjałami królowej Wiktorii na przodzie.

– Zakochałem się w tobie z powodu twoich listów – rzucił szybko.

– Moich listów?! O czym ty mówisz?! – wykrzyknęła oszołomiona dziewczyna.

– O listach miłosnych, które wysyłaliśmy do siebie przez wszystkie te lata.

Panna spojrzała na niego spłoszona. I Tom zrozumiał, że to, co teraz powie, powinno być wiarygodne, ponieważ od tego zależy, czy ona odda mu się na zawsze, czy w gniewie wymierzy mu policzek. Przymknął oczy i uśmiechnął się lekko, udając, że przywołuje jakieś wspomnienie, a tymczasem starał się myśleć.

– To się wydarzyło podczas mojej pierwszej podróży zwiadowczej do waszych czasów – powiedział wreszcie. – Pojawiłem się na wzgórzu, o którym ci już wspomniałem, i stamtąd poszedłem do Londynu. Tu przekonałem się, że maszyna jest najzupełniej godna zaufania, jeśli chodzi o otwieranie dziury pod wskazaną datą: wyruszyłem z roku dwutysięcznego, a przybyłem tu ósmego listopada 1896.

– Ósmego listopada?

– Tak, Claire, ósmego listopada, to znaczy pojutrze – potwierdził Tom. – To była moja pierwsza wycieczka do twojego wieku. Jednak ledwie miałem czas na cokolwiek, bo musiałem się śpieszyć, zanim dziura się zamknie. Wróciłem więc na wzgórze najszybciej jak mogłem i już miałem wejść do tunelu, który zabrałby mnie do roku dwutysięcznego, gdy zobaczyłem coś, czego tam wcześniej nie

widziałem.

– Co? – zapytała, szczerze zaciekawiona.

– Koło nagrobka niejakiego Johna Peacheya, pod kamieniem, znajdował się jakiś list. Wziąłem go i przeczytałem ze zdziwieniem, że jest skierowany do mnie. Schowałem kopertę do kieszeni i otworzyłem dopiero w roku dwutysięcznym. Był to list od nieznajomej, list od pewnej damy z dziewiętnastego wieku. – Tom dla lepszego efektu zrobił pauzę, po czym dodał: – Nazywała się Claire Haggerty. I zapewniała, że mnie kocha.

Dziewczyna westchnęła chrapliwie, jakby jej zaczynało brakować powietrza. Tom z czułym uśmiechem patrzył, jak przęłyka ślinę, próbując przetrawić to, co właśnie usłyszała, i starając się ogarnąć sytuację, w której się znalazła, czy raczej w której się znajdzie w przyszłości. Jeżeli on ją kocha teraz, to dlatego, że ona pokochała go pierwsza. Claire wbiła wzrok w swoją filiżankę, jakby w fusach herbaty mogła zobaczyć kapitana w roku dwutysięcznym czytającego ze zdziwieniem list od nieznajomej z innego stulecia, kobiety już nieżyjącej, która wyznaje mu, że go kocha. List napisany przez nią. Nie dając jej ani sekundy oddechu, Tom ciągnął dalej, niczym drwal zauważający, że drzewo, które próbuje ściąć od wielu godzin, zaczyna się w końcu chwiać, toteż mimo zmęczenia żywiej uderza siekierą.

– W swoim liście napisałaś, że się poznamy w przyszłości, a dokładniej, że ja poznam w przyszłości ciebie, ponieważ ty mnie już znasz – rzekł. – Poprosiłaś też, żebym ci odpisał, bo chciałyś dowiedzieć się o mnie więcej. Mimo że wszystko to wydało mi się dziwne, odpowiedziałem listem na twój list i podczas swojej drugiej podróży do dziewiętnastego wieku zostawiłem go koło tego samego nagrobka. Przy trzeciej podróży znalazłem twoją odpowiedź i tak zaczęła się nasza korespondencja w czasie.

– Mój Boże – wymamrotała dziewczyna.

– Nie wiedziałem, kim jesteś – ciągnął Tom, nie chcąc dać jej najmniejszej okazji do przemyśleń – ale się w tobie zakochałem, w kobiecie, która pisze te listy. Gdy zamykałem oczy, wyobrażałem sobie twoją twarz. Twoje imię szeptałem po nocach wśród gruzów mojego zniszczonego świata.

Claire poruszyła się niespokojnie na krześle. Oddech jej przyśpieszył z podniecenia i wydała kolejne chrapliwe, przeciągłe westchnienie.

– Ile listów wymieniliśmy? – zdołała zapytać.

– Siedem – odparł Tom, bo wydało mu się to dobrą liczbą: ani za dużą, ani za małą. – Nie mieliśmy czasu na więcej z powodu zakazu używania maszyny, ale zapewniam cię, że tyle wystarczyło, moja ukochana.

Słyszając, że kapitan zwraca się do niej w taki sposób, Claire znów głęboko westchnęła.

– W swoim ostatnim liście ujawniasz dzień, w którym się ostatecznie spotkamy: będzie to dwudziesty maja dwutysięcznego roku, dzień, w którym pokonam Salomona i położę kres wojnie. Tego dnia postąpiłem według twoich wskazówek i po zwycięskiej walce z automatem poszukałem ustronnego miejsca wśród ruin. Potem zobaczyłem, jak się pojawiaasz. I tak jak napisałaś, upuściłaś parasolkę, żebym mógł ci ją dzisiaj zwrócić. Będąc już w twoich czasach, miałem pójść na targ w Covent Garden, gdzie mieliśmy się spotkać, a potem miałem cię zaprosić na herbatę i opowiedzieć ci o wszystkim. – Tom zrobił przerwę, po czym dodał rozmarzonym głosem: – Teraz pojmuję dlaczego, aby przyszłość się wypełniła. Rozumiesz, Claire? Napiszesz do mnie te listy w przyszłości, ponieważ mówię ci w tej chwili, że je napiszesz.

– Mój Boże – powtórzyła kobieta prawie bez tchu.

– Ale jest jeszcze coś, co powinnaś wiedzieć – oznajmił Tom, postanawiając zadać drzewu osta-

teczny cios siekierą. – W jednym ze swoich listów napisałaś o tym, jak kochaliśmy się tego wieczoru.

– Co? – zdołała wykrztusić słabym głosem.

– Tak, Claire, tego wieczoru będziemy się kochać w pensjonacie tam naprzeciwko i według twoich własnych słów będzie to najpiękniejsze wspomnienie twojego życia.

Spojrzała na niego niedowierzająco, policzki jej zapłonęły.

– Rozumiem, że jesteś zaskoczona, ale wyobraź sobie mnie. Czytałem twój list, w którym opowiadasz, jak się kochaliśmy, pełen zdumienia, ponieważ z twojego punktu widzenia już to zrobiliśmy, z mojego zaś jeszcze nie. – Zawiesił głos i uśmiechnął się łagodnie. – Przybyłem z przyszłości, aby wypełnić swoje przeznaczenie, to znaczy, żeby się z tobą kochać, Claire.

– Ale ja... – próbowała zaprotestować.

– Wciąż nie rozumiesz? Musimy się kochać, Claire – powiedział Tom – ponieważ w rzeczywistości już to zrobiliśmy.

To był ostatni cios zadany drzewu. I niczym dąb Claire zachwiała się na krześle i runęła na podłogę.

Jeśli chciałem ściągnąć na siebie uwagę, nie mogłem znaleźć lepszego sposobu, powiedział sobie Tom. Nagłe omdlenie Claire, a także hałas, jakiego narobiły tłukące się na podłodze filiżanki i imbryk, zrzucone wraz z obrusem, natychmiast przerwały wszystkie toczące w herbaciarni rozmowy – w sali zapadła nagła, pełna zgrozy cisza. Z zakamarka na tyłach, do którego zepchnęło go zamieszanie, Tom obserwował teraz krzątanię pań uwijających się dokoła dziewczyny. Niczym ekipa ratunkowa, która ćwiczyła taką akcję od lat, ułożyły ją na sofie, umieściły jej stopy na podwyższeniu z jaśków i rozluźniły jej gorset – tę perfidną część garderoby jednomyślnie uważaną za przyczynę omdleń z powodu ograniczania dopływu powietrza niezbędnego do prowadzenia emocjonujących rozmów – i wybrały się na poszukiwania soli trzeźwiących. Tom słyszał, jak jego towarzyska wraca do życia z rżeniem. Kucharki i klientki zaangażowane w akcję ratunkową otoczyły dziewczynę czymś w rodzaju matriarchalnej zasłony, aby obecni w sali panowie nie mogli zobaczyć więcej skóry, niż nakazuje przyzwoitość. Po kilku minutach Claire wynurzyła się chwiejnie spoza tego muru błada jak widmo i potoczyła po sali nieprzytomnym wzrokiem. Tom pozdrowił ją z głębi pomieszczenia, niemądrze podnosząc parasolkę. Dziewczyna wahała się przez kilka sekund, po czym ruszyła w jego stronę, torując sobie drogę wśród cisnących się dookoła ciekawskich gapiów. Przynajmniej go rozpoznała jako osobę, z którą piła herbatę, zanim straciła przytomność.

– Dobrze się pani czuje, panno Haggerty? – zapytał, gdy do niego dotarła. Uznał, że lepiej zapomnieć o zwracaniu się do niej per ty, co przedtem osiągnął z takim trudem. – Może dobrze pani zrobi świeże powietrze...

Dziewczyna kiwnęła głową i wsparła się na jego ramieniu. Tom ujął jej rękę z łagodnością sokoła chwytającego ochronną rękawicę swego pana, jak gdyby wyjście na ulicę w celu zaczerpnięcia powietrza i uwolnienie się od tylu ciekawskich spojrzeń było najlepszym pomysłem, jaki mu kiedykolwiek wpadł do głowy.

Młodzieniec wyprowadził pannę z herbaciarni, w nieskładnej mowie prosząc o wybaczenie za zamęt, jaki wywołał. Na zewnątrz zatrzymali się na chodniku i bezwiednie popatrzyli na pensjonat, niczym groźba wznoszący się dokładnie naprzeciwko nich. Claire, której świeżość powietrza przywróciła nieco koloru na policzkach, z mieszaniną niepokoju i rezygnacji przyglądała się temu miejscu, gdzie było jej pisane tego wieczoru oddać się dzielnemu kapitanowi Shackletonowi, wybawicielowi rodzaju ludzkiego, człowiekowi, który się jeszcze nie urodził, a jednak – jakby za sprawą magii – stał w tej chwili obok niej, unikając jej wzroku.

– A jeśli tego nie zrobię, kapitanie? – skierowała pytanie w powietrze. – Jeśli tam z panem nie pójde?

Aby mu oddać sprawiedliwość, muszę powiedzieć, że Toma zaskoczyły te słowa, ponieważ w zaistniałej sytuacji, po tak katastrofalnym zakończeniu randki, nie wierzył w najmniejszym stopniu, że jego szelmowski plan ma jakąkolwiek szansę powodzenia. Mimo spektakularnego omdlenia dziewczyna nie zapomniała niczego z jego opowiadania i było jasne, że wciąż wierzy w tamte kłamstwa. Drżącą linią Tom w odpowiednim momencie zaimprovizował na białej kartce czas pojawienie się romansu, idylli, która usprawiedliwiała to, co miało nadejść, a nawet zachęcała dziewczynę, by mu się oddała bez obaw czy zastrzeżeń, gdyż odmalował to jako jej jedyną istniejącą przyszłość. Przez myśl niczym błyskawica przemknął mu gryzący wyrzut sumienia, zmuszając go do rozważenia możliwości uwolnienia dziewczyny od obłądu, w jakim się znalazła i z którym zamierzała mu się oddać, jakby to była pokuta. Mógł jej przecież powiedzieć, że przyszłość nie jest wryta w skale, że każdy

ma wybór. Za bardzo jednak strzegł sobie język, aby teraz odmówić połknięcia ofiary, kiedy właściwie ją zabił. Przypomniawszy sobie zdanie, które wygłaszał Gilliam Murray, i powtórzył je bez skrpułów odpowiednio fatalistycznym tonem:

– Nie wiem, jakie konsekwencje miałyby to dla tkanki czasu.

Claire spojrzała na niego z pewnym niepokojem, a on tymczasem wzruszył ramionami, zwalniając się od całej odpowiedzialności. W końcu nie można go o nic winić: stawił się tu, bo ona sama kazała mu tak w swoich listach. Przeniósł się w czasie, aby zrobić coś, o czym Claire opowiedziała mu, że już się dokonało, w dodatku zrelacjonowała to z mnóstwem szczegółów. Przemierzył tyle lat, by uruchomić maszynę swojego romansu, aby rozpuścić coś, co już się wydarzyło, lecz jeszcze nie przeminęło. Dziewczyna też zdawała się dochodzić do tego samego wniosku. Co innego mogła zrobić? Odejść i wrócić do dawnego życia, a w nim poślubić któregoś ze swych wielbicieli? Miała przed sobą możliwość zaznania tego, czego pragnęła od urodzenia: miłości większej niż życie, miłości poza czasem. Gdyby jej nie przyjęła, byłoby tak, jakby przez cały czas kłamała sama przed sobą.

– Najlepsze wspomnienie całego mojego życia? – Uśmiechnęła się. – Naprawdę tak napisałam?

– Tak – odparł Tom bez wahania. – Dokładnie tak to ujęłaś, Claire.

Dziewczyna patrzyła na niego niezdecydowana. Nie mogła tak po prostu pójść do łóżka z nieznanym. Ale to można było uznać za wyjątkowy przypadek: musiała mu się oddać, bo w konsekwencji odmowy ucierpiałby cały świat. Powinna się poświęcić, by go zachować. Ale czy naprawdę byłoby to poświęcenie? spytała samą siebie. Czy nie kocha tego człowieka? Czy to przypadkiem nie miłość – ten zamęt emocji, który zalewa jej duszę, ilekroć na niego spojrzy? Tak, nie może być inaczej. To uczucie, które rozświetla od środka i sprawia, że drżą jej kolana, to może być tylko miłość, bo jeśli nie ona, to właściwie co? Kapitan Shackleton zapewnił ją, że tego wieczoru będą się kochać, a potem ona napisze do niego piękne listy. Dlaczego miałyby się opierać, skoro koniec końców tak bardzo tego pragnie? Powinna się sprzeciwić z tego prostego powodu, że już się dokonało, że szłaby w ślady innej Claire, która – bądź co bądź – była nią samą? Powinna się sprzeciwić, ponieważ czuje, że nie chodzi o szczerą chęć, bo odnosi wrażenie, że zostaje jej narzucone coś, co powinno być spontaniczne? Choć bardzo się nad tym zastanawiała, nie mogła znaleźć prawdziwej przyczyny, dla której miałyby się opierać temu, czego pragnęła całą duszą. Ani Lucy, ani żadna z jej przyjaciółek nie pochwałyby tego, że poszła do łóżka z nieznanym. I właśnie to ostatecznie przesądziło o jej decyzji. Tak, odda się mu i resztę życia spędzi, tęskniąc do niego i pisząc długie, piękne listy, które będzie skrapiała perfumami i własnymi łzami. Wiedziała, że starczy jej wytrwałości i mocy, by podtrzymać w sobie żar miłości, mimo że nigdy już nie ujrzy osoby, która go rozpałała. Widocznie takie jest jej przeznaczenie. A było ono niezwykle, nieodparcie tragiczne, znacznie miłsze i łatwiejsze do zniesienia niż nudne małżeństwo z którymś z nijakich konkurentów pretendujących do jej ręki. Jej usta przybrały zdeteterminowany grymas.

– Mam nadzieję, że nie przesadziłam, nie chcąc urazić pańskiej dumy – zażartowała.

– Obawiam się, że mamy tylko jeden sposób, by to sprawdzić – odparł Tom z uśmiechem.

Pogodny nastrój, z jakim dziewczyna postanowiła stawić czoło sytuacji, przyniósł Tomowi wielką ulgę – już nie odczuwał tak boleśnie tego, że zamierzają wykorzystać. Owszem, zabierał się do tego, by osiąść jej ciało dzięki podłemu podstępowi, a później zniknąć z jej życia na zawsze, ale to nieuczciwe postępowanie, mimo że wciąż uważał ją za bezczelną pannicę niezastługującą na inne traktowanie, wywoływało u niego nieoczekiwany niepokój świadczący o tym, że nie do końca wyzbył się wszystkich skrpułów. Teraz jednak nie czuł się już tak winien, jako że dziewczyna też najwyraźniej zdecydowała się czerpać niewątpliwą radość z oddania się kapitanowi Shackletonowi, dzielnemu bohaterowi, który szeptał jej imię wśród ruin przyszłości.

Wnętrze pensjonatu okazało się czyste, a nawet przytulne w porównaniu z gospodami, w których Tomowi zdarzyło się nocować. Może dziewczynie miejsce wyda się pozbawione wyrazu, niegodne osoby jej klasy, ale przynajmniej nie będzie miała wymówki, by uciec w popłochu. Zamawiając pokój, Tom zerkał na nią z ukosa, gdy obojętnym wzrokiem spoglądała na obrazki zdobiące skromny westybul. Ujęły go wysiłki, jakich dokładała, aby wyglądać na obytą, jakby chodzenie do łóżka z mężczyznami przyszłości w londyńskich pensjonatach stanowiło jej typową wieczorną rozrywkę. Po dopełnieniu formalności związanych z wynajmem pokoju oboje wspięli się po schodach wiodących na piętro i ruszyli gęsiego wąskim korytarzem. A kiedy Tom patrzył na nią, gdy tak idzie przed nim z mieszaniną odwagi i poddania, wreszcie uświadomił sobie, co się stanie. Nie było już odwrotu: będzie się kochał z tą dziewczyną, trzymał jej nagie ciało w swych ramionach, oddane mu, a może nawet namiętne. Od stóp do głów zalała go fala pożądania i wstrząsnęła nim całym. Próbował pohamować swą żądzę, kiedy się zatrzymali przed drzwiami przydzielonej im stancji. Kobieta wówczas nagle zeszywniała.

– Wiem, że będzie pięknie – powiedziała niespodziewanie, przymykając oczy, jakby chciała dodać sobie odwagi.

– Tak będzie, Claire – potwierdził Tom, starając się ukryć niecierpliwość, z jaką czekał, by ją zobaczyć. – Ty sama mi to wyznałaś.

Dziewczyna kiwnęła głową z westchnieniem rezygnacji. Bez dalszej zwłoki Tom otworzył pokój, zaprosił ją do wnętrza uprzejmym skinieniem głowy, wszedł i zamknął za sobą drzwi. Gdy zniknęli, wąski korytarz ponownie opustoszał. Przez okno w głębi, którego lepiące się od brudu szyby domagały się porządnego mycia, sączyło się popołudniowe światło przechodzące w zmierzch. Był to zamierający blask o lekkim odcieniu miedzi, delikatna, łagodna jasność, a nawet nieco niepokojąca, od której unoszące się w powietrzu drobiny kurzu zamieniały się w kryształowe owady. Choć może bardziej odpowiednio byłoby porównać je z deszczem pyłku – nie sądzicie? – biorąc pod uwagę charakterystyczne lewitowanie wspomnianych drobinek, tak powolne i chaotyczne, to hipnotyczne bujanie się w powietrzu bez wyraźnego celu.

Zza niektórych zamkniętych drzwi dochodziły trudne do pomylenia z czym innym odgłosy miłosnych zapasów: chrapliwe jęki, zduszone krzyki, a nawet entuzjastyczne klaskanie otwartej dłoni z zapalem uderzającej o czyjś potulny nagi pośladek, a wszystkie one, w połączeniu z rytmicznym skrzypieniem ram łóżek, głosiły, że miłość uprawiana w tych wnętrzach nie ma natury małżeńskiej. Z dźwiękami zdradzającymi seksualne wyczyny niektórych klientów mieszały się inne, mniej pożądliwe, jak strzępy rozmów czy płacz jakiegoś dziecka. Wszystko to składało się razem na bezładną symfonię świata. Mierzący około trzydziestu metrów długości korytarz zdobiło kilka obrazów przedstawiających mgliste pejzaże oraz parę przymocowanych do ściany lamp oliwnych, które właściciel, pan Pickard – wydaje mi się, że byłoby nieuprzejmie nie przedstawić go, mimo że po raz drugi nie pojawi się w tej opowieści – miał właśnie pozapalać zgodnie ze swoim zwyczajem, by rozjaśnić wnętrze i nie narazić gości pensjonatu na najróżniejsze potknięcia i zamęt.

To jego kroki rozbrzmiewały teraz na schodach. Co wieczór właściciel wspinał się po stopniach z większą trudnością, ponieważ lata go nie oszczędzały, i ilekroć udawało mu się osiągnąć szczyt, nie potrafił się powstrzymać od powściągliwego westchnienia triumfu. Pan Pickard wyjął z kieszeni spodni zapałki i przystąpił do zapalania lampek rozmieszczonych wzdłuż korytarza. Wzniecał w nich światło flegmatycznie, wsuwając zapałkę pod klosz ze zręcznością szermierza ćwiczącego zadawanie śmiertelnego ciosu, aż zanurzony w oliwie knot zajmował się ogniem. Z upływem czasu akt ten przekształcił się w rodzaj mechanicznej ceremonii, którą właściciel pensjonatu odprawiał z nieobecny wyrazem twarzy. Żaden z gości nie byłby w stanie powiedzieć, co panu Pickardowi chodzi po

głowie podczas owego codziennego rytuału, lecz ja nie jestem gościem i zawiłości jego myśli – podobnie jak pozostałych osób przewijających się przez tę historię – nie są przede mną zamknięte. Pan Pickard rozmyślał o swojej małej wnuczce Wendy, która zmarła na szkarlatynę już ponad dziesięć lat temu: nie potrafił nie porównywać swego aktu zapalania lamp z tym, którego dokonywał Stwórca na swoich stworzeniach, włączając i wyłączając w nich światła, kiedy mu przyszła ochota – one nie umiały zrozumieć jego zamiarów, jego zaś nie obchodziło to, że pogrąży w ciemności wszystko, co go otacza. Po zaświeceniu ostatniej lampy pan Pickard ruszył z powrotem po swoich śladach i zaczął schodzić na parter, opuszczając tę opowieść tak samo dyskretnie, jak się w niej pojawił.

Po jego odejściu korytarz znów zrobił się pusty, choć znakomicie oświetlony. Być może niecierpliwicie się, bo znowu go opisuję, ale obawiam się, że to konieczne, ponieważ nie mam najmniejszego zamiaru przestępować progę pokoju, w którym znajdują się Tom i Claire, gdyż niestosownie byłoby wtargnąć w ich prywatność. Delektujcie się więc drżącymi cieniami, które lampy rzucają na kwiaty lilii zdobiące ściany korytarza i zajmijcie wyobraźnię postaciami zajęczków, niedźwiadków i piesków, których cieniste kontury rysuje światło zmierzchu przechodzącego w noc, gdy tymczasem minuty – niepomne na ludzkie troski – nakładają się jedna na drugą, nieuniknioną koleją rzeczy przekształcając się w godziny, niczym tocząca się po zboczu kula śnieżna.

Nie zapytam was, ile zwierzątek udało się wam rozpoznać do momentu, gdy drzwi pokoju otworzyły się wreszcie i wyszedł przez nie Tom. Z uśmiechem satysfakcji błędzącym na ustach wcisnął sobie koszulę do spodni i nałożył czapkę. Wytłumaczywszy się, że musi iść, zanim zamknie się dzwiera, wysunął się delikatnie z ramion Claire. Dziewczyna pocałowała go z uroczystą powagą, mając świadomość, że po raz ostatni całuje mężczyznę, którego kocha. Z tym pocałunkiem na ustach Tom ruszył w dół po schodach, czując się człowiekiem najszczęśliwszym w świecie, a jednocześnie najbardziej godnym pogardy.

Minęły dwa dni od ich spotkania i ku swemu zaskoczeniu Tom wciąż był żywy. Nikt mu nie strzelił w łeb, gdy leżał rozciągnięty na łóżku, nikt go nie śledził na ulicy, czekając na sposobność, aby gdzieś w tłumie zatopić mu w boku spragniony krwi sztylet, nikt go nie próbował przejechać powozem ani też pchnąć pod koła pociągu. Z tak dręczącego spokoju Tom mógł wynioskować tylko to, że albo nasłani zabójcy chcą go torturować tą denerwującą zwłoką, albo też nikt nie ma zamiaru pociągnąć go do odpowiedzialności za to, co zrobił. Niejeden raz, nie mogąc znieść napięcia, miał już sam skończyć z tym wszystkim, podrzynając sobie gardło czymś ostrym albo rzucając się z mostu do Tamizy zgodnie z rodzinną tradycją. Każda z tych strategii ucieczki wydawała się dobra, gdyby pozwoliła mu się uwolnić od nocnego niepokoju wnিকającego do jego snów i wywołującego koszmary, w których Salomon przemierzał londyńskie ulice swoim owadziim krokiem, torując sobie drogę w ciżbie ludzi tłoczących się na chodnikach w płaszczach i kapeluszach, i z wielkim trudem wspinał się po schodach pensjonatu, kierując się do jego pokoju. Tom budził się, kiedy automat wyważał drzwi izby, i po kilku minutach dezorientacji zaczynał wierzyć, że naprawdę jest dzielnym kapitanem Shackletonem, który uciekł z roku dwutysięcznego, aby się schronić w 1896. Nie potrafił w żaden sposób pozbyć się owych snów. Ale jeżeli nocami pozostawał na łasce swoich lęków, za dnia umiał je przezwyciężyć. Rozważywszy sprawę na chłodno, oswoił się z nią, a nawet przygotował na przyjęcie przeznaczenia ze spokojną rezygnacją. Nie pozbawi się życia własnymi rękami. Znacznie godniej będzie umierać, patrząc w oczy swojego oprawcy, bez względu na to, czy okaże się nim istota z krwi i kości, czy z kutego żelaza.

Przekonany, że szybko zejdzie z tego świata, nie chodził do portu, by szukać pracy, jako że równie dobrze można umrzeć z pustymi kieszeniami. Całymi dniami więc spacerował tylko po Londynie, szwendając się tu i tam bez ustalonego celu, niczym pędzony wiatrem liść. Od czasu do czasu kładł się na trawie w jakimś napotkanym parku, jak jakiś próżniak lub pijak, i odtwarzał sobie w pamięci szczegóły spotkania z dziewczyną, jej podniecające pieszczoty, porywające pocałunki, namiętność i szczere oddanie. Potem znowu powtarzał sobie, że zasłużył na karę i że nie będzie stawiał oporu, jeżeli ktoś przybędzie, aby mu wydrzeć życie, by odebrać zapłatę za tę chwilę szczęścia – ponieważ jakaś część jego duszy uważała, że owa kula, która jeszcze go nie dosięgła, należy mu się za niego-dziwe postępowanie.

Trzeciego dnia nogi same go poniosły na wzgórze Harrow, gdzie dawniej bywał, gdy szukał spokoju. Miejsce to wydało mu się najodpowiedniejsze, by mógł wyczekiwać w nim na oprawców, a tymczasem próbować nadać spójność bezładnym epizodom składającym się na jego życie, postarać się uchwycić sens, choćby tylko po to, by oszukać samego siebie. Dotarwszy na wzgórze, usiadł w cieniu dębu, zaczerpnął głęboko powietrza, a jednocześnie rzucił miastu beznamiętne spojrzenie. Widziana z góry stolica imperium zawsze wydawała mu się rozczarowująca, niczym złowieszcza barka omasztowana dzwonniami i dymiącymi kominami fabryk. Wolno wypuścił powietrze, starając się nie myśleć o odczuwanym głodzie. Wierzył, że zostanie dzisiaj zabity, w przeciwnym razie, zanim zapadnie noc, będzie musiał ukraść coś do jedzenia, żeby uspokoić protesty żołądka. Gdzie są zabójcy Murraya? zastanawiał się po raz nie wiadomo który. Są tam, gdzie są – ze swej wyniosłości zobaczy, gdy będą się zbliżać. Przywita ich swoim najlepszym uśmiechem, rozedrze koszulę i wskaże palcem serce, aby im jak najbardziej ułatwić sprawę. „Dalej, zabijcie mnie – powie. – I zróbcie to bez strachu, bo ja was nie zabiję. Nie jestem żadnym bohaterem. Jestem po prostu Tom, nędzny, godzien pogardy Tom Blunt. Potem możecie mnie tu pochować, koło mojego przyjaciela Johna Peacheya, takie-

go samego biedaczyny jak ja”.

To wtedy, rzuciwszy okiem na nagrobek, spostrzegł złożony obok niego pod kamieniem list. Przez kilka sekund sądził, że wyobraźnia płata mu figła. Wziął kopertę i przekonał się – z dziwnym wrażeniem, że odtwarza sen – iż list jest skierowany do kapitana Dereka Shackletona. Dłuższą chwilę trzymał kopertę w dłoni, nie wiedząc, co robić, lecz naturalnie mógł uczynić tylko jedno. Otwierając, czuł się nieswojo, jak gdyby czytał cudzą pocztę. Rozłożył kartkę i zaraz natknął się na drobne, eleganckie pismo Claire Haggerty. Zaczął czytać powoli, starając się przypomnieć sobie, co oznacza każda litera, i wygłaszał treść na głos, jakby chciał przybliżyć wiewiórkom ludzkie troski. W liście napisano, co następuje:

Claire Haggerty do kapitana Dereka Shackletona:

Mój drogi Dereku!

Zaczynałam pisać ten list co najmniej dziesięć razy, aby zrozumieć, że jest tylko jeden sposób, aby go rozpocząć, i to nie inny niż darować sobie wstępy i wyjaśnienia, ale powiedzieć Ci wprost to, co dyktuje mi serce: Kocham Cię, Dereku. Kocham Cię tak, jak nigdy nie kochałam nikogo. Kocham Cię teraz i będę kochać zawsze. I moja miłość do Ciebie to jedyne, co mi teraz dodaje otuchy.

Mogę sobie wyobrazić Twoją zaskoczoną minę, gdy czytasz te słowa od nieznajomej, ale zapewniam Cię, że Twoja twarz jest mi dobrze znana. To prawda, najdroższy, Kocham Cię. Albo dokładniej: Kochamy się, gdyż choć wydaje się to jeszcze dziwniejsze, jako że nawet nie wiesz, kim jestem, Ty też mnie Kochasz lub pokochasz w ciągu najbliższych godzin, a może wręcz minut. Choćbyś nie wiadomo jak się opierał, choćbyś nie wiedzieć jak się dziwił, pokochasz mnie. Po prostu nie ma innego wyjścia. Pokochasz mnie, bo już mnie Kochasz.

Wolno mi zwracać się do Ciebie per ty z takim uczuciem ze względu na to, co stało się naszym wspólnym udziałem. Musisz bowiem wiedzieć, że moja skóra wciąż pamięta ciepło Twych palców, znają Cię moje usta, nadal czuję Cię w środku. I mimo moich początkowych obaw, mimo zastrzeżeń głupiej dziewczynki, teraz przepęlnia mnie miłość, którą mi przepowiedziałeś, a może wręcz jeszcze większa, miłość tak wielka, że nic nie da się z nią porównać.

Pewnie potrząsaszą głową, próbując zrozumieć coś z tych nieskładnych słów, wyjaśnienie jest jednak bardzo proste. Wszystko sprowadza się do tego: Tobie się to jeszcze nie przydarzyło, a mnie tak. To jedna z tych ciekawych sytuacji wynikających z podróży w czasie – przeskakiwania łąt, pojawiania się i znikania w różnych epokach. Wiesz o tym, prawda? Jeśli się nie mylę, znalazłeś ten list koło ogromnego dębu po wyjściu z dziury utworzonej w tkance czasu, dlatego uznanie za wiarygodne tego, o czym Ci tu piszę, nie wymaga od Ciebie zbyt wiele wysiłku. Tak, wiem, gdzie się pojawisz i co zamierzasz załatwić w moich czasach, a skoro wiem to wszystko, może to oznaczać tylko jedno: że mówię prawdę, nie jestem żadną naciągaczką. Zaufaj mi więc bez oporów. Uwierz mi nade wszystko, gdy mówię, że się Kochamy. Zaczynaj mnie Kochać i proszę, odpowiedz na ten list z takim samym uczuciem. Napisz do mnie i podczas swojej następnej podróży zostaw swój list koło nagrobka Johna Peacheya. Najdroższy, od tej pory będzie to nasz sposób porozumiewania się. Wymienimy ze sobą jeszcze sześć listów. Unosisz brwi? Nie obwiniam Cię, ale powtarzam tylko to, co usłyszałam od Ciebie wczoraj. Zrób to, napisz co mnie, najdroższy, pisz do mnie, bo Twoje listy to jedyne, co mi z Ciebie zostało.

Tak, to zła wiadomość: więcej Cię już nie zobaczę, Dereku, i dlatego powinnam się karmić Twoimi listami. Powiem Ci bez ogródek, że miłość, której zaznamy, wyrasta z jednego jedyne go spotkania, jako że zobaczymy się tylko raz. Cóż, właściwie dwa razy, ale ten pierwszy – albo ostatni, jeśli przyjmiemy chronologię, z jaką rozpadnie się nasza miłość – potrwa zaledwie kilka minut. Drugie spotkanie – to, do którego dojdzie w moich czasach – okaże się dłuższe i ważniejsze, ponieważ pod-

czas niego zapłonę ogień, jaki będzie się palił w naszych duszach już zawsze, u mnie podsycany tymi listami, u Ciebie zaś przez nie rozpalany. Jeśli jednak mamy być posłuszni chronologii, ja już Cię więcej nie zobaczę. Ty mnie – przeciwnie. Dopiero musisz mnie poznać, mimo że kochaliśmy się zaledwie przed kilkoma godzinami. Teraz rozumiem ekscytację, która Cię ogarnęła wczoraj podczas naszej randki w herbaciarni: ja sama sprowokowałam Cię tymi słowami.

Poznamy się dokładnie dwudziestego maja dwutysięcznego roku, jednak szczegóły tego pierwszego spotkania podam Ci dopiero w moim ostatnim liście. Spotkanie to będzie początkiem tego wszystkiego, choć teraz, gdy o tym pomyślę, rozumiem, że to niezupełnie prawda, ponieważ Ty poznasz mnie przez moje listy. Gdzie wobec tego zaczyna się historia naszej miłości? Rozpoczyna się tutaj, tym listem? Nie, to też nie jest początek. Znaleźliśmy się w pętli, Dereku, a kto potrafi wskazać jej początek? Możemy tylko podążać dalej, by dopełnić przeznaczenie, co też czynię w tej chwili, próbując opanować drżenie. To moja część, jedyne, co pozostaje mi zrobić, ponieważ wiem, co Ty zrobiłeś, wiem, że odpowiesz mi na ten list, wiem, że się we mnie zakochasz, wiem, że będziesz mnie szukał, kiedy przyjdzie pora. Zaskoczą mnie tylko szczegóły.

I zdaje się, że nie mogłabym zakończyć tego listu inaczej, niż opowiadając Ci, jaka jestem, co myślę i jak postrzegam świat, gdyż podczas naszej randki w herbaciarni, kiedy Cię zapytałam, jak to możliwe, że mnie kochasz, skoro mnie nie znasz, zapewniłeś, że mnie znasz znacznie lepiej, niż mogę przypuszczać. A znasz mnie, oczywiście, z moich listów. Zatem zacznijmy: urodziłam się czternastego marca 1875 roku w londyńskim West Endzie. Jestem szczupła, średniej postury, mam niebieskie oczy, a moje włosy, które zwykle noszę luźno opadające na ramiona, wbrew zwyczajom, są koloru czarnego. Przepraszam, że tak zwięźle traktuję tę część, ale opisywanie własnego wyglądu fizycznego wydaje mi się niestosownym popisem próżności. Ponadto wolę, abyś poznał najskrytsze zakamarki mojej duszy. Mam dwie siostry: Rebeccę i Evelyn, obie ode mnie starsze. Są zamężne i mieszkają w Chelsea. Porównując się z nimi, najlepiej mogę wyjaśnić, jaka jestem. Od zawsze czułam się inna. W przeciwieństwie do nich nie umiałam się przystosować do epoki, w której mi przyszło żyć. Moje czasy niezmiernie mnie nudzą, Dereku. Jak Ci to wyjaśnić? Czuję się, jakbym oglądała w teatrze jakąś komedię, z której wszyscy się śmieją, a tymczasem ja siedzę obojętnie, nie dostrzegając nic zabawnego w tym, co spotyka bohaterów. I przez ten brak zadowolenia stałam się dziewczyną problematyczną, której lepiej nie zapraszać na przyjęcia i którą podczas rodzinnych spotkań lepiej trzymać pod nadzorem, ponieważ zdarzyło się nieraz, że ku przerażeniu gości zrujnowałam wieczór, gwałtownie występując przeciw absurdalnym zasadom regulującym zachowanie w społeczeństwie, w którym żyję.

Druga rzecz, która mnie odróżnia od pozostałych młodych panien, jakie znam, to moje znikome zainteresowanie zamążpójściem. Straszliwą niechęć wzbudza we mnie rola, jaka jest przeznaczona kobiecie w małżeństwie, do której usiłuje przyuczyć mnie matka. Wydaje mi się, że dla mojego wolnego ducha nie byłoby nic bardziej szkodliwego niż przerobienie mnie na zrównoważoną strażniczkę rodziny, której dni mijają na wpajaniu własnym dzieciom wartości moralnych, jakie wcześniej przekazano mi samej, oraz na pilnowaniu obowiązków służących, gdy tymczasem mój mążonek będzie staczał bitwy w świecie pracy, na owej niebezpiecznej scenie, od której kobiety –jednogłośnie uznane za istoty wrażliwe i kruche – zostały łagodnie odsunięte. Jak widzisz, jestem niezależna i odważna, lecz także, choć może Ci się to wydać dziwne, wcale nie kochliwa. Jeśli mam być szczerą, nigdy nie sądziłam, że mogę pokochać kogoś tak, jak pokochałam Ciebie. Prawda jest taka, że już zaczynałam się uważać za jedną z tych butelek, które obrastają kurzem w winiarni, czekając, aż je ktoś odkorkuje przy jakiejś specjalnej okazji, ona jednakże nigdy nie nadchodzi. Ale przypuszczam, że właśnie dzięki mojemu charakterowi było możliwe to wszystko, co się zdarzyło.

Pojutrze wrócę tu, żeby wziąć Twój list, najdroższy, tak jak mi powiedziałeś. Nie mogę się doczekać, by Cię lepiej poznać, przeczytać Tve słowa miłości, dowiedzieć się, że Cię mam, mimo że dzieli nas ocean czasu.

Twoja na zawsze C.

Mimo wysiłku, jakiego to od niego wymagało, Tom przeczytał list Claire trzy razy, wciąż mając na twarzy przewidziany przez nią wyraz zdumienia, choć oczywiście pojawił się on u niego z innej przyczyny. Gdy skończył czytać po raz trzeci, ostrożnie schował list do koperty i oparł się o drzewo, próbując zapanować nad wirem uczuć, jakie te kartki rozpętały w jego wnętrzu. Dziewczyna uwierzyła we wszystko!

I przyszła tu, żeby zostawić mu list! Uświadomił sobie, że kiedy dla niego wszystko się już skończyło, dla niej dopiero się zaczyna. Teraz zdał sobie sprawę z tego, jak daleko ta sprawa zaszła. Zabawił się z dziewczyną i nie zadał sobie trudu, aby pomyśleć, jakie to może mieć konsekwencje, teraz jednak je „znał”. Tak, choć nie taki był jego pierwotny zamiar, ten list informował go o skutkach, jakie jego psota przyniosła ofierze, a tego Tom wolałby pozostać nieświadom. Claire nie tylko uwierzyła w jego kłamstwo do tego stopnia, że posłusznie wykonała kolejny krok rytuału, lecz także pozwoliła, by podczas spotkania ich ciał powiew wiatru, którego jej kielkująca miłość potrzebowała, by wypuścić korzenie, rozdmuchał tłący się żar i przekształcił go w nieposkromiony pożar. Teraz ogień ją trawił, a Tom zdumiewał się nie tylko tym, że cała ta miłość rozwinęła się z jednego krótkiego spotkania, lecz także faktem, że dziewczyna była gotowa poświęcić swoje życie podtrzymywaniu płomienia, jak ktoś, kto czuwa w lesie przy ognisku, aby odstraszyć wilki. Najbardziej dziwiło go jednak, że Claire zamierza to wszystko robić dla niego, bo go kocha. Nikt nigdy nie obdarzył go taką miłością, uświadomił sobie oszołomiony. Teraz nie miało dla niego znaczenia, że adresatem owego uczucia jest kapitan Shackleton: ten, kto z nią leżał w łóżku, kto ją rozebrał z czcią, kto posiadał z czułością, to był on, Tom Blunt. Shackleton posłużył tylko jako wyobrażenie, kostium, ale to, co ostatecznie rozkochało w nim dziewczynę, to był sposób, w jaki Tom wcielił się w tego bohatera. I co teraz czuje? zapytał sam siebie. Czy po otrzymaniu miłości tak namiętnej i bezwarunkowej nie powinno przypadkiem w jego sercu wyrosnąć podobne uczucie, jak pojawia się odbicie na wodzie, gdy ktoś podchodzi, aby się przejrzeć w stawie? Nie wiedział, co sobie odpowiedzieć na to pytanie. Z drugiej strony nie warto się było również trudzić snuciem domysłów na ten temat, skoro najprawdopodobniej jeszcze tego samego dnia ktoś go zamorduje.

Po raz kolejny spojrzął na list, który miał w rękach. Co miał z nim zrobić? Wtem uświadomił sobie, że może zrobić tylko jedno: musi dziewczynie odpowiedzieć, nie dlatego, że chciałby przyjąć rolę zakochanego młodzieńca, która przypadła mu w tej historii, ale ponieważ Claire dała mu do zrozumienia, że nie mogłaby żyć bez jego listów. Tom wyobraził ją sobie, jak śpieszy tu w swoim powozie, wspina się na wzgórze i nie znajduje listu od kapitana Shackletona, żadnej odpowiedzi na swoją wiadomość. Był pewien, że panna nie pogodziłaby się z tym nagłym zwrotem akcji, z tym niespodziewanym i tajemniczym milczeniem. Nietrudno sobie wyobrazić, że po kilku tygodniach stawiania się na miejscu i wracania z pustymi rękami odebrałaby sobie życie z takim samym uniesieniem, z jakim kochała, być może zatapiając sobie w sercu ostry sztylet albo wypijając całą butelkę laudanum. Tom nie mógł do tego dopuścić. Czy tego chciał, czy nie, jego gra uczyniła go odpowiedzialnym za życie Claire Haggerty. Musiał odpowiedzieć na jej list. Nie miał innego wyjścia.

Podczas powrotu do Londynu, gdy się przyłapał na tym, że przecina pole na ukos, zamiast iść drogą, że się zatrzymuje i napina mięśnie przy najmniejszym hałasie, zrozumiał, że coś się zmieniło: już nie chciał umrzeć. Nie, już nie chciał. I nie dlatego, że docenił własne życie jak jeszcze nigdy do tej pory, tylko z tego powodu, że powinien odpowiedzieć na list dziewczyny. Musi się utrzymać przy ży-

ciu, by utrzymać przy nim Claire.

Będąc już w mieście, ukradł papier listowy z księgarni i upewniwszy się, że zbiry Gilliana ani za nim nie idą, ani nie są rozstawione wokół jego pensjonatu, schronił się w swojej izdebce przy Buckridge Street. Wszystko wydawało się trwać w spokoju. Przez okno dobiegały zwyczajne uliczne dźwięki – partytura, w której nie dało się słyszeć żadnej nieharmonijnej nuty. Tom przystawił krzesło do łóżka, tworząc zaimprovizowane biurko, położył na siedzeniu papier, kałamarz i pióro, które również ukradł, i westchnął głęboko. Po półgodzinie medytowania nad kartką, pełen frustracji w końcu odkrył, że pisanie nie jest takie łatwe, jak sobie wyobrażał. Okazało się, że wymaga jeszcze więcej wysiłku niż czytanie, o wiele więcej. Ku swemu zaskoczeniu przekonał się, że nie jest w stanie przelać na papier pomysłów, które miał w głowie. Wiedział, co chce powiedzieć, ale za każdym razem, gdy zaczynał zdanie, nie mógł nic na to poradzić, że go gdzieś znosiło, coraz bardziej oddalając od myśli, którą pragnął przekazać. Nadal pamiętał podstawy stawiania liter, których nauczyła go Megan, nie znał jednak gramatyki niezbędnej do poprawnego wysławiania się na piśmie, a nade wszystko nie wiedział, jak ma ująć swoje myśli z taką samą wyrazistością, jak to zrobiła Claire. Spoglądał na nieczytelny galimatias liter i gryzmołów plamiących biel papieru, na którym jedyne, co miało jakiś sens, to były słowa „Droga Claire” radośnie umieszczone u góry kartki. To, co miał teraz przed sobą, nie było niczym innym jak poruszającą próbą pólanalfabety, który stara się napisać swój pierwszy list. Zmiał kartkę, poddając się temu, co oczywiste. Jeżeli Claire otrzyma taki list, i tak skończy się na tym, że sobie odbierze życie, bo nie będzie w stanie zrozumieć, dlaczego wybawiciel ludzkości pisze jak szympan.

Choć bardzo chciał, nie potrafił jej odpowiedzieć. Ona jednak musi za dwa dni znaleźć list pod dębem, bo inaczej targnie się na swoje życie! Oparł się o łóżko, próbując to przemyśleć. Potrzebował pomocy, to było oczywiste. Potrzebował kogoś, kto napisze list za niego. Ale kto by to miał być? Tom nie znał nikogo, kto umie pisać. I nie wystarczyłby zresztą ktokolwiek, na przykład szkolny nauczyciel, którego mógłby zmusić do pisania, w razie oporu grożąc, że mu połamie palce. Wybrana osoba nie tylko powinna umieć poprawnie wyrazić myśl na papierze, lecz także musi mieć na tyle wyobraźni, aby z wyczuciem uczestniczyć w zabawie. Jakby tego było mało, musi być również w stanie korespondować z dziewczyną w tym samym namiętym tonie, którym posługuje się ona. Do kogo Tom mógłby się zwrócić, kto łączy w sobie wszystkie wymagane cechy?

Wtem wpadł na pomysł. Skoczył na równe nogi, odsunął krzesło i otworzył ostatnią szufladę komody. Tutaj niczym konająca, wyciągnięta z wody ryba spoczywała książka. Nabył ją, kiedy zaczął pracować dla Murraya, ponieważ jego szef powiedział, że dzięki tej powieści jego przedsiębiorstwo osiągnęło wielki sukces. I Tom, który nigdy nie przeczytał żadnej książki, nie wahał się jej kupić. Czytanie tego dzieła okazało się jednak ogromnym wysiłkiem, nie przebrnął nawet przez trzecią stronę, ale zatrzymał je sobie. Nie chciał go odsprzedawać, ponieważ z jakiegoś powodu intuicja podpowiadała mu, że właśnie temu pisarzowi zawdzięcza to, kim teraz jest. Otworzył skrzydełko okładki i przyjrzał się portretowi autora. W nocy napisano, że mieszka w Woking, w hrabstwie Surrey. Tak, jeżeli ktoś może mu pomóc, to jest nim bez wątplenia przedstawiony na zdjęciu młody człowiek o ptasiej twarzy, zwany H.G. Wells.

Nie mając pieniędzy na wynajęcie dorożki ani zbytnej ochoty na stawianie czoła ryzyku, z jakim wiązałyby się jazda na gapę pociągami do Surrey, Tom doszedł do wniosku, że musi dotrzeć do domu pisarza na własnych nogach. Droga do Woking, którą powóz przebyłby w przybliżeniu w trzy godziny, pokonywana pieszo zajęłaby trzy razy więcej czasu, toteż gdyby wyruszył już w tej chwili, dostałby się do celu nad ranem, czyli w porze niezbyt stosownej, by się pojawiać w czyimś domu bez uprzedniego zawiadomienia, chyba że chodziłoby o nagłą potrzebę, a tak właśnie było w tym wy-

padku. Schował list od Claire do kieszeni, wcisnął czapkę na głowę i nie namyślając się wiele, wyszedł z pensjonatu, udając się w kierunku Woking. Wiedział, że ma dobre nogi i na tyle cierpliwości, by przebyć tę tytaniczną marszrutę i nie paść w jakimś momencie.

Podczas długiej wędrówki do domu pisarza, patrząc, jak na polach leniwie zapada noc, i raz po raz rzucając spojrzenia za siebie, by się upewnić, że nie podążają za nim ani zbiry Murraya, ani też Salomon, Tom Blunt rozważał różne sposoby zaprezentowania się Wellsowi. Ostatecznie najtrafniejszy pomysł zarazem brzmiał najbardziej nedorzecznie: przedstawić się jako kapitan Derek Shackleton. Był pewien, że wybawiciel ludzkości zostanie przyjęty znacznie lepiej niż nieszczęsny Tom Blunt, bez względu na porę dnia, a nic nie stoi na przeszkodzie, by go odgrywał również poza sceną, jak to już zrobił z powodzeniem przed Claire. W ten sposób, podając się za Shackletona, mógł nawet opowiedzieć pisarzowi tę samą historię, którą wymyślił dla dziewczyny, i powiedzieć mu, że znalazł jej list po wyjściu z czasowej dziury podczas swej pierwszej wizyty w tej epoce. Dlaczego ten cały Wells nie miałby przełknąć tej bajki, skoro sam napisał powieść właśnie o podróżowaniu w czasie? Jednak by kłamstwo okazało się wiarygodne, Tom musiał wymyślić też dobrą wymówkę tłumaczącą, dlaczego nie może napisać listu samodzielnie ani też nie robi tego zań ktoś inny w przyszłości. Może jako powód podać, że w roku dwutysięcznym nikt już nie pisze listów, ponieważ takie zadania na długo przed wojną powierzono automatycznym skrybom, przez co ludzie z czasem w ogóle zatracili umiejętność pisania. Tak czy inaczej przedstawienie się jako kapitan Shackleton wydało mu się najlepszą strategią: wolał jako sławny bohater z przyszłości prosić o pomoc w ratowaniu życia swej ukochanej, biorąc pod uwagę, że sam wybawi planetę od automatów, kiedy nadejdzie jego pora, niż jako skromny szaraczek zakłócić sen znanego pisarza i błagać, by go wyciągnął z zamieszania, w które się sam wplątał swoim szachrajstwem i nieposkromionym apetytem na seks.

Gdy dotarł do Woking, już świtało, a okolica tonęła w sielankowym spokoju. Noc była rześka i piękna. Tomowi prawie godzinę zajęło czytanie napisów na skrynkach na listy, zanim znalazł tę, na której widniało nazwisko Wellsa. Znalazł się zatem przed dwupiętrowym domem otoczonym niezbyt wysokim ogrodzeniem. W środku nie paliły się żadne światła. Tom przez kilka minut przyglądał się domostwu, odetchnął głęboko i przeszedł przez żelazną furtkę. Nie było sensu odwlekać tej chwili.

Z nabożnością przemierzył ogródek, jak gdyby stąpał przez kaplicę, wspiał się po schodkach wiodących do drzwi i już miał zadzwonić, lecz ręka zatrzymała mu się, zanim pociągnął za dzwonek. Drgnął, słysząc zagłuszający nocną ciszę tętent końskich kopyt. Odwrócił się wolno, nasłuchując, jak się zbliża, i niemal w tej samej chwili ujrzał, jak koń zatrzymuje się przed domem pisarza. Czując na plecach dreszcz, patrzył, jak jeździec – zaledwie ciemna sylwetka w półmroku – zsiada z konia i otwiera furtkę. Czy to jeden ze zbirów Murraya? Tamten odpowiedział na jego pytanie natychmiastowym gestem, który nie pozostawiał wątpliwości: wyjął z kieszeni pistolet i wycelował mu w pierś. Tom błyskawicznie rzucił się w bok, potoczył przez ogród i zanurkował w ciemność. Z ukrycia obserwował, jak nieznajomy próbuje podążyć wycelowaną bronią za jego niespodziewanym ruchem, ale on nie miał zamiaru stać się dla niego łatwym celem. Podniósł się, jak najszybciej umiał, kilkoma susami dopadł ogrodzenia i wspiał się na nie zwinnie. Był przekonany, że lada chwila poczuje gorące ukłucie kuli dziurawiącej mu plecy, tak się jednak nie stało. Najwyraźniej poruszał się prędzej, niż sam się po sobie spodziewał. Zeskoczył na ulicę i ile sił w nogach pognął w pole. Pędził tak przez co najmniej pięć minut. Dopiero potem zatrzymał się, dysząc, i pozwolił sobie rzucić okiem za siebie, żeby sprawdzić, czy nie goni go zbir od Gilliama, ale w spowijającym świat gęstym mroku niczego nie dostrzegł. Zatem udało mu się zgubić oprawcę i mógł się uważać za bezpiecznego przynajmniej w tej chwili, choć bardzo wątpił, czy tamten zada sobie trud szukania go w nieprzeniknionej czerni. Prawdopodobnie wróci do Londynu, by poinformować Murraya. Nieco uspokojony, Tom umościł się

za krzakami i tam postanowił spędzić resztę nocy. O poranku upewni się, czy zabójca rzeczywiście zniknął, i wróci do domu pisarza, żeby go prosić o pomoc, jak sobie zaplanował.

Uratowałeś życie człowieka, posługując się swoją wyobraźnią – powiedziała Jane zaledwie kilka godzin temu i zdanie to wciąż rozbrzmiewało w głowie Wellsa, gdy przez okienko strychu patrzył na jasność poranka wydobywającą z półmroku zarysy mebli oraz greckiej rzeźby, jaką ich obejmujące się ciała tworzyły na fotelu wehikułu czasu. Kiedy zaproponował żonie, żeby wykorzystać ten fotel, nie miał na myśli akurat takiego sposobu, ale nie wydawało mu się właściwe wyprowadzać jej z błędu, a tym bardziej teraz. Wells patrzył na nią z czułością. Śpiąca w jego ramionach Jane oddychała rytmicznie, po tym jak oddała mu się z nowym przyływem entuzjazmu i niesamowitym uniesieniem z pierwszych miesięcy ich związku, namiętnością, której wygaśnięcie przyjął swego czasu z melancholijną rezygnacją kogoś, kto wie aż za dobrze, że takie pasje nigdy nie trwają wiecznie, tylko przenoszą się na inne ciała. Najwyraźniej jednak nigdzie nie jest napisane, że żaru nie da się od czasu do czasu rozdmuchać dzięki niespodziewanym powiewom powietrza. To odkrycie wywołało na ustach pisarza nieco głupawy uśmiech wdzięczności, jakiego od pewnego czasu nie widywał w lustrze. A wszystko dzięki zdaniu, które obracał w głowie: „Uratowałeś życie człowieka, posługując się swoją wyobraźnią”. Stwierdzenie to sprawiło, że na nowo rozbłysnął w oczach Jane, i mam nadzieję, że wy też nie zapomnieliście tego zdania, ponieważ stanowi ono most łączący tę scenę z pierwszym ukazaniem się Wellsa w naszej historii, które – jak zapowiadałem – nie było ostatnie.

Kiedy jego żona zeszła do kuchni, by przygotować śniadanie, pisarz postanowił posiedzieć sobie jeszcze chwilę na wehikule. Westchnął głęboko, usatysfakcjonowany i zadziwiająco zadowolony sam z siebie. Czasami, w określonych momentach swego życia, Wells miał zwyczaj sam siebie klasyfikować jako istotę do przesady niepoważną, teraz jednak wyglądało na to, że przechodzi taki etap, który zachęca go do innego spojrzenia na samego siebie, z większą pobłażliwością; a nawet, czemu nie, z podziwem. Spodobało mu się, że uratował komuś życie, zarówno ze względu na niespodziewaną nagrodę, jaką zaoferowała mu Jane, jak i z powodu nadzwyczajnego prezentu, który otrzymał na pamiątkę: wehikułu wywodzącego się z jego wyobraźni, maszyny przypominającej wymyślne sanie, przeznaczonej do przemieszczania się w czasie albo przynajmniej stworzonej po to, żeby Andrew Harrington w to uwierzył. Przyglądając jej się teraz w świetle dnia, Wells musiał przyznać, że gdy sportretował machinę w swej powieści kilkoma leniwymi pociągnięciami pióra, nawet nie podejrzewał, że gdyby ktoś ją postanowił zbudować, mogłaby się okazać przedmiotem tak pięknym. Mając wrażenie, że robi jakąś psotę, wyprostował się ceremonialnie na fotelu, przesadnie uroczystym ruchem oparł rękę na kryształowej dźwigni znajdującej się po prawej stronie deski rozdzielczej i uśmiechnął się melancholijnie. Gdyby ten grat działał, gdyby można było przeskakiwać z jednej epoki do drugiej, przemierzać czas wedle własnej zachcianki, osiągnąć nawet jego granice, jeżeli je posiada, dotrzeć tam, gdzie wszystko się zaczyna lub wszystko umiera. Ale ta maszyna nie służy do czegoś takiego. Właściwie nie służy do niczego. Teraz, kiedy wyjęto mechanizm zapalający sproszkowaną magnezję, nie może nawet oślepić swego pasażera.

– Bertie? – zawołała do niego Jane z dołu.

Wells drgnął i skoczył na równe nogi, jakby się zawstydził, że go przyłapano na zabawie ze sprzętem. Poprawił na sobie ubranie, które namiętność pozostawiła w nieładzie, i ruszył pośpiesznie na dół.

– Jakiś młodzieniec chciałby się z tobą widzieć – powiedziała Jane cokolwiek zaniepokojona. – Przedstawił się jako kapitan Derek Shackleton.

Wells zatrzymał się w pół kroku na schodach. Derek Shackleton? Skąd zna to imię i nazwisko?

– Czeka w salonie. Ale powiedział coś jeszcze, Bertie... – dodała Jane niezdecydowanym tonem, nie wiedząc, jaki odcień nadać swoim ostatnim słowom. – Powiedział, że przybywa... z roku dwutysięcznego.

Z roku dwutysięcznego? Teraz pisarz przypomniał sobie, gdzie spotkał się z tym imieniem i nazwiskiem.

– Cóż, w takim razie musi to być coś bardzo pilnego – rzekł z tajemniczym uśmiechem. – Nie traćmy czasu i zobaczmy, czego chce od nas ten kawaler.

To powiedziawszy, podążył żwawo do saloniku, z rozbawieniem potrząsając głową. Tam zastał skromnie ubranego młodzieńca, który stał przy kominku, nie mając na tyle śmiałości, by zająć któryś z zaproponowanych mu foteli. Pisarz, zanim cokolwiek powiedział, zdumiony zmierzył gościa wzrokiem od stóp do głów. Niewiarygodne, ale miał do czynienia z majestatycznym okazem rodzaju ludzkiego, przyozdobionym w imponującą muskulaturę i urzekającą twarz, w którego oczach płonęła dzikość osaczonej pantery.

– Jestem George Wells – przedstawił się pisarz, skończywszy swe rozpoznanie. – W czym mogę panu pomóc?

– Dzień dobry, panie Wells – pozdrowił go człowiek z przyszłości.

– Proszę wybaczyć, że wtargnąłem do pańskiego domu o tak wczesnej porze, ale chodzi o sprawę życia lub śmierci.

Wells skinął głową, uśmiechając się sam do siebie na tę wystudiowaną prezentację.

– Jestem kapitan Derek Shackleton i przybywam z przyszłości. A dokładniej: z roku dwutysięcznego.

Wyrzuciwszy to z siebie, młodzieniec spojrzał na niego otwarcie, z uwagą czekając na jego reakcję.

– Czy moje nazwisko coś panu mówi? – zapytał, widząc, że pisarz nie wydaje się specjalnie zaskoczony.

– Oczywiście, kapitanie – odparł Wells z lekkim uśmiechem, szperając w koszu na papiery stojącym tuż obok biblioteczki pełnej książek. W końcu spośród papierzyśk wyjął zmięty skrawek, rozprostował go i podał swojemu gościowi. Ten wziął od niego kartkę z ostrożnością. – Jakżeby miało mi nic nie mówić? Dokładnie co tydzień dostaję ulotkę taką jak ta. Jest pan wybawicielem rodzaju ludzkiego, człowiekiem, który w roku dwutysięcznym wyzwoli naszą planetę spod jarzma złowrogich automatów.

– Właśnie – potwierdził młodzieniec z pewną nieufnością wobec ironicznego tonu wypowiedzi pisarza.

Potem zapadła pełna napięcia cisza, w której Wells jedynie przyglądał się swojemu gościowi z rękami w kieszeniach i drwiną w spojrzeniu.

– Przypuszczam, że się pan zastanawia, jak się dostałem do pańskich czasów – rzekł w końcu młodzieniec. Był niczym aktor zmuszony sam sobie dawać znak do rozpoczęcia kolejnej kwestii.

– Skoro pan o tym wspominał: tak – odpowiedział Wells, nie wysilając się, aby okazać najmniejsze zainteresowanie sprawą.

– Dobrze, zatem wyjaśnię – powiedział młodzieniec, udając, że go nie zraża jawnie okazywana obojętność publiczności. – Wkrótce po rozpoczęciu wojny nasi naukowcy wynaleźli maszynę do otwierania dziury w czasie w celu utworzenia tunelu prowadzącego z roku dwutysięcznego do waszej epoki. Chcieli wysłać kogoś, kto unieszkodliwiłby producenta automatów i w ten sposób zapobiegł wojnie, zanim się ona rozpęta. No i właśnie ja jestem tym kimś.

Wells wpatrywał się w niego spokojnie przez prawie minutę. W końcu wybuchnął gromkim śmie-

chem, czym spieszył swego gościa.

– Młodzieńcze, ma pan wspaniałą wyobraźnię – zauważył.

– Ne wierzy mi pan? – zapytał tamten. Tragiczny akcent, z jakim to wymówił, sprawił, że wypowiedź bardziej brzmiała jak gorzkie spostrzeżenie niż pytanie.

– Oczywiście, że nie! – zawołał pisarz jowialnym tonem. – Ale proszę się nie niepokoić, to nie dlatego, że wyrecytował pan swoje pomysłowe kłamstwo niewystarczająco wiarygodnie.

– Ale w takim razie... – wymamrotał zmieszany młodzieniec.

– Tak się składa, że nie wierzę w możliwość podróżowania do roku dwutysięcznego, a tym bardziej w to, że w tamtych czasach ludzie toczą wojnę z automatami. Wszystko to nie jest niczym więcej niż niedorzecznym zmyśleniem. Gilliam Murray może nabrać całą Anglię, ale nie mnie – stwierdził Wells.

– Wobec tego... wie pan, że wszystko to jest oszustwem? – mruknął gość, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

Pisarz z powagą skinął głową, zarazem rzucając spojrzenie swej żonie, która wyglądała na równie zaskoczoną.

– I nie zamierza pan tego wyjawić? – zapytał w końcu młody człowiek.

Wells westchnął głęboko, zanim odpowiedział, jak gdyby to pytanie dręczyło go już zbyt długo.

– Nie, nie mam najmniejszego zamiaru – odrzekł. – Jeśli ludzie płacą żądane pieniądze, żeby zobaczyć, jak pokonuje pan automaty z mosiądzu, być może zasługują na to, by od nich wyłudzać funty. Z drugiej strony, kimże sam jestem, żeby ich pozbawiać złudzeń i wiary w to, że odwiedzili przyszłość? Czy mam im zniszczyć marzenie tylko dlatego, że ktoś się na nim wzbogacił?

– Rozumiem – mruknął gość. A potem, wciąż ze zdumieniem, a nawet z pewnym podziwem, dodał: – Jest pan jedyną znaną mi osobą, która się domyśliła, że to wszystko kłamstwo.

– Cóż, przypuszczam, że mam pewną przewagę nad resztą ludzkości – odparł Wells.

Na widok jeszcze bardziej ogłupiałej miny młodzieńca pisarz uśmiechnął się pobłaźliwie. Jane patrzyła na męża z zaciekawioną. Ten z powagą ciężko wypuścił powietrze. Przyszła pora, by podzielić się swoim chlebem z apostołami, którzy być może dzięki temu potem pomogą mu nieść krzyż.

– To było nieco ponad rok temu – wyjaśnił pisarz, zwracając się do obojga słuchaczy. – Wkrótce po ukazaniu się *Wehikułu czasu* przyszedł do mnie pewien człowiek, aby mi wręczyć powieść, którą właśnie napisał. Podobnie jak *Wehikuł czasu* był to romans naukowy. Chciał, żebym ją przeczytał, i jeśli moja opinia będzie pochlebna, polecił to dzieło mojemu wydawcy, Henleyowi, do opublikowania.

Młodzieniec wolno skinął głową, jakby wciąż jeszcze nie rozumiał, co to wszystko ma z nim wspólnego. Wówczas Wells odwrócił się i zaczął szperać wśród książek oraz teczek wypełniających półki w pokoju. W końcu znalazł to, czego szukał – opasły rękopis – i rzucił na stół.

– Człowiek ten nazywał się Gilliam Murray, a to jest właśnie powieść, którą mi wręczył pewnego popołudnia w październiku 1895 roku.

Wyciągnął rękę, zachęcając młodzieńca, aby przeczytał napis na oprawie. Ten zbliżył się do rękopisu i odczytał niezdarnie, dukając litera po literze:

– Kapitan Derek Shackleton, prawdziwa i emocjonująca historia bohatera przyszłości, spisana przez Gilliana F. Murraya.

– Tak – potwierdził Wells. – I chce pan wiedzieć, o czym opowiada? Powieść przenosi nas do roku dwutysięcznego i relacjonuje wojnę niegodziwych automatów z ludźmi dowodzonymi przez dzielnego kapitana Dereka Shackletona. Czy ta fabuła jest panu znana?

Gość kiwnął głową, ale z jego zdezorientowanego spojrzenia pisarz wywnioskował, że młody

człowiek nadal nie pojmuje, dokąd prowadzi jego wywód.

– Gdyby Gilliam napisał powieść po uruchomieniu swojej działalności, nie miałbym żadnych powodów, oprócz mojego naturalnego sceptycyzmu, żeby nie wierzyć, że jego rok dwutysięczny jest prawdziwy – wytłumaczył. – Ale tę powieść pokazał mi rok wcześniej. Cały rok! Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć? Gilliam przeniósł swoje dzieło do rzeczywistości. A pan jest głównym bohaterem jego akcji.

Wziął rękopis, poszukał właściwej strony i ku konsternacji młodzieńca odczytał:

– Kapitan Derek Shakleton był majestatycznym okazem rodzaju ludzkiego, przyozdobionym w imponującą muskulaturę i urzekającą twarz, w którego oczach płonęła dzikość osaczonej pantery.

Młodzieniec poczerwieniał, słuchając tego opisu. To on tak wygląda? Ma oczy osaczonego dzikiego zwierzęcia? Możliwe, skoro od urodzenia nie czuje się inaczej, jak właśnie osaczony przez wszystko: własnego ojca, życie, zły los, a teraz jeszcze przez zbirów Murraya. Patrzył na Wellsa, nie wiedząc, co mu powiedzieć.

– Mamy do czynienia z okropnym opisem stworzonym przez człowieka bez najmniejszego talentu, ale nie można zaprzeczyć, że pan idealnie do tego opisu pasuje – orzekł pisarz, rzucając rękopis na stół gestem absolutnej pogardy.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał.

– Mimo wszystko, Bertie – ciszę przerwała w końcu Jane – ten młody człowiek potrzebuje twojej pomocy.

–A, tak. To pewne – przyznał niechętnie Wells, ponieważ po zręcznym zdemaskowaniu kłamstwa uznał wizytę za zamkniętą.

– Jak się pan naprawdę nazywa? – zapytała gościa Jane.

– Tom Blunt, proszę pani – odpowiedział zagadnięty z uprzejmym ukłonem.

– Tom Blunt – powtórzył pisarz z kpina. – Nie brzmi zbyt heroicznie, to jasne.

Żona posłała mu spojrzenie pełne wyrzutu. Nie mogła znieść, że jej mąż ucieka się do pogardy, aby się uporać z kompleksem fizycznych niedostatków objawiającym się w obecności kogoś o bardziej imponującym wyglądzie.

– Powiedz mi zatem, Tom – rzeki Wells po odchrząknięciu – w czym mogę ci pomóc.

Tom westchnął. Nie przestając mieć w rękach czapki, jakby coś chciał z niej wycisnąć, ze wzrokiem pokornie wbitym w podłogę – ponieważ tak naprawdę nie był żadnym dzielnym bohaterem z przyszłości, tylko po prostu biedaczną – starał się zrelacjonować małżeństwu Wellsów wszystko, co się wydarzyło, odkąd pęcherz ponaglił go do poszukania ustronnego miejsca wśród scenicznych gruzów. Próbuąc się nie pogubić, opowiedział, jak znikąd pojawiła się dziewczyna imieniem Claire Haggerty, i to akurat wtedy, gdy zdjął hełm, przez co ujrzała jego twarz. Powiedział, jakie mogą z tego wynikać problemy, wyjawiał też Wellsom nieprzyjemny sposób, w jaki Murray zabezpiecza się, by jego zespół aktorski nie zrujnował przedsięwzięcia – co ilustruje przypadek Perkinsa. Przypuszczenia młodzieńca sprawiły, że żona pisarza nie mogła się powstrzymać od stłumionego okrzyku przestachu, Wells zaś tylko potrząsał głową, jakby po Gilliamie Murrayu nie spodziewał się niczego innego. Następnie Tom opowiedział o tym, jak natknął się na Claire Haggerty na targu i bez zastanowienia umówił się z nią na spotkanie, nie bacząc, jakie to może mieć konsekwencje, ponieważ dał się ponieść wyłącznie – co przyznał ze wstydem – swoim męskim instynktom. I jak potem musiał wymyślić wszystko o listach, żeby dziewczyna zgodziła się pójść z nim do pensjonatu. Wie, że nie postąpił dobrze – przyznał, nie śmiejąc podnieść wzroku z podłogi – i żałuje ze skruchą, ale nie powinni osądzać jego zachowania pochopnie, ponieważ przyniosło ono nieprzewidziane następstwa. Dziewczyna zakochała się w nim i przekonana, że wszystko to prawda, posłusznie napisała pierwszy list, po czym

zostawiła go na wzgórzu Harrow. Wyjął z kieszeni kopertę i wręczył Wellsowi, który wziął ją, wciąż oszołomiony tym, co dotąd usłyszał.

Pisarz rozłożył list i odchrząknawszy głośno, zaczął go czytać na głos, aby jego zaintrygowana małżonka też mogła się zapoznać z treścią. Starał się robić to beznamiętnie, jak pastor wygłaszający kazanie, ale nie potrafił zapanować nad głosem, który mu drżał przy niektórych fragmentach. Owe uczucia były tak piękne, że mimo woli doznał ukłucia zazdrości wobec młodzieńca, którego miał przed sobą, a który nie zasługując na to, stał się odbiorcą tak bezwarunkowej miłości, że zmusiła go ona do zadania sobie pytania o własne uczucia, zastanowienia się nad tym, jak sam kocha i jest kochany. Wzruszenie, jakie się odmalowało na twarzy Jane, potwierdziło, że jego żona myśli podobnie.

– Próbowałem do niej napisać – wyznał Tom. – Ale ledwie umiem czytać. Boję się, że jeśli jutro panna Haggerty nie znajdzie na wzgórzu listu, popełni jakieś szaleństwo.

Wells musiał przyznać, że jest to bardzo prawdopodobne, jeśli się weźmie pod uwagę egzaltowany ton jej listu.

– Przyszedłem prosić, żeby pan to napisał za mnie – odezwał się wówczas młodzieniec.

Wells spojrział na niego zdumiony.

– Co takiego?

– To tylko trzy listy, panie Wells. Co to dla pana? – rzekł młody człowiek, a potem, po chwili namysłu, dodał: – Nie mogę panu zapłacić, ale jeżeli pewnego dnia będzie pan potrzebować pomocy w rozwiązaniu jakiejś sprawy, której nie da się załatwić w cywilizowany sposób, wystarczy, że mnie pan wezwie.

Wells nie mógł uwierzyć, że słyszy coś takiego. Chciał odpowiedzieć, że nie zamierza dać się wciągnąć w tę kabałę, gdy poczuł na swojej ręce ciepły uścisk dłoni Jane. Odwrócił się do żony, a ona uśmiechała się z takim samym rozmarzonym wyrazem twarzy jak wtedy, kiedy kończyła czytać jedną z tych romantycznych powieści, za którymi tak bardzo przepadała. Potem popatrzył na Toma, który z kolei wpatrywał się w niego wyczekująco. I wiedział, że nie ma innego wyjścia: znów musi uratować komuś życie, posługując się swoją wyobraźnią.

Przez dłuższą chwilę przypatrywał się trzymanym w rękach kartkom wypełnionym drobnym, eleganckim pismem dziewczyny imieniem Claire Haggerty. W głębi serca uznał za kuszące kontynuowanie tej jakże oryginalnej historii, podanie się za dzielnego bohatera przybywającego z przyszłości, wprost z okrutnej wojny toczonej ze złowrogimi automatami, a nawet – za przyzwoleniem własnej żony – wyznanie innej kobiecie, że namiętnie ją kocha. Jakby nagle zamieszkał w świecie, w którym podsycą się najbardziej pierwotne instynkty człowieka, zamiast je ukrócać, tak jak się przystrzyga żywoptoty, dając możliwość harmonijnego współistnienia wszystkim mieszkańcom, wolnym od zazdrości i uprzedzeń, w którym rozpasanie przybrało wysublimowaną postać uprzejmego, pełnego czułości braterstwa. Rzeczywiście było to prawdziwe wyzwanie. I jako że nie miał za bardzo możliwości, by się wymigać, pocieszył się, mówiąc sobie, że korespondowanie z tą nieznaną może się okazać tyleż zabawne, ile emocjonujące.

– Zgoda – powiedział niechętnie. – Niech pan przyjdzie jutro z samego rana i weźmie swój list.

Kiedy Wells został sam w pokoju, podczas gdy Jane poszła odprowadzić młodzieńca do drzwi, w pierwszej kolejności wziął rękopis Gilliana Murraya i znów go schował, żeby nie leżał na widoku. Choć do tej pory nie wyjawiał światu tajemnicy autora, sposób, w jaki Gilliam podtrzymywał działanie swojego teatru, wywarł na nim okropne wrażenie. Było oczywiste, że dla przedsiębiorcy istotne jest, by się otaczać ludźmi, którzy trzymają usta zamknięte na kłódkę, i chociaż ten rezultat być może dałoby się osiągnąć zachętami, najwyraźniej groźby okazywały się znacznie skuteczniejsze. Odkrycie, że Gilliam bez problemów ucieka się do tych niesławnych metod, przyprawiło go o dreszcze. I nie bez powodu, ponieważ ten osobnik był jego wrogiem albo przynajmniej tak się wobec niego zachowywał. Wells wziął ulotkę, jaką otrzymanywał od niego co tydzień, i przyjrzał się jej z niechęcią. Choćby nie wiedzieć jak się tego brzydził, nie mógł nie przyznać przed sobą, że wszystko to jego wina. Tak, Podróże w Czasie Murraya istniały dzięki niemu, dzięki decyzji, jaką podjął.

Z Gilliamem Murrayem spotkał się tylko dwa razy, ale są ludzie, którym nie trzeba więcej, aby stać się wrogami. I Gilliam był jednym z nich, jak się Wells szybko przekonał. Pierwsze spotkanie odbyło się w tym samym pokoju pewnego kwietniowego popołudnia, przypomniał sobie, patrząc z drżeniem na spory, głęboki fotel, w który Gilliam Murray z trudem wcisnął swoje potężne ciało. Odkąd pojawił się w drzwiach i z tym lepkiem uśmiechem podał mu swoją wizytówkę, robił na nim wrażenie tą zwalistą posturą byka, ale jeszcze bardziej zadziwiał go niepasującym do rozmiarów ciała wdziękiem, z jakim się poruszał, jak gdyby jego kości były puste w środku. Wells zajął wtedy fotel stojący naprzeciw tamtego i obaj przyglądali się sobie z ostrożną grzecznością, podczas gdy Jane podawała im herbatę. Kiedy wyszła z pokoju, nieznajomy jeszcze szerzej rozciągnął swój salonowy, sztuczny uśmiech, podziękował za to, że został przyjęty tak szybko, a następnie zaczął zasypywać pisarza pochwałami odnośnie do jego powieści *Wehikuł czasu*.

Są jednak ludzie, którzy chwalą coś tylko po to, aby wywyższyć samych siebie, obwieścić światu swoją nieskończoną wrażliwość i inteligencję. Gilliam Murray należał właśnie do tej grupy skupiającej zarozumiałców. Z zapałem wychwalał jego powieść, w egzaltowanej przemowie rozpluwając się nad jej zrównoważoną konstrukcją, nakreślonymi wizerunkami, a nawet kolorem garnituru, w jaki pisarz postanowił ubrać swojego bohatera, a tymczasem Wells słuchał go uprzejmie i zastanawiał się nad sensem tego spotkania. W jakim celu ktoś miałby tracić cały poranek na przytłaczanie go w ten sposób lawiną pochlebstw, zamiast ograniczyć się do przesłania swych uwag w uprzejmym liście, jak to robiła reszta wielbicieli. Przyjął te skwapliwe zachwyty, z zakłopotaniem kiwając głową, jak ktoś, kto idzie przez uciążliwą, lecz nieszkodliwą mżawkę, i miał nadzieję, że ten nudny panegiryk nie potrwa zbyt długo i gość pozwoli mu wrócić do jego zajęć. Szybko jednakże pojął, że była to dopiero stosowna przedmowa, która miała za zadanie przygotować grunt, zanim ten człowiek zdecyduje się wyjawić prawdziwy powód swej wizyty. Zakończywszy wylewne przemówienie, Gilliam wyjął ze swojej teczki opasły rękopis i złożył go w rękach gospodarza z taką ostrożnością, jakby mu wręczał świętą relikwię lub nowo narodzone dziecko. *Kapitan Derek Shackleton, prawdziwa i emocjonująca historia bohatera przyszłości* – przeczytał ze zdumieniem Wells. Teraz nawet nie przypominał sobie, jak doszło do tego, że umówili się na spotkanie za tydzień, po tym jak olbrzym wymógł na nim obietnicę, że przeczyta jego dzieło i jeśli mu się spodoba, poleci je Henleyowi.

Pisarz zabrał się do czytania rękopisu, który niespodziewanie wpadł mu w ręce, lecz robił to bez szczególnej chęci, jak człowiek poddany torturom. Zupełnie nie miał ochoty zagłębiać się w lekturze czegoś, co mogło wyrosnąć na gruncie wyobraźni tego napuszonego gogusia, którego uważał za nie-

zdolnego do tego, by mógł go zainteresować czymkolwiek. Nie mylił się. W miarę jak brnął przez wypełnione pretensjonalnymi zwrotami strony manuskryptu, w jego umyśle zaczęła krzepnąć najczystsza odraza, a wraz z nią decyzja, aby nigdy więcej nie umawiać się ze swymi wielbicielami. Gilliam wcisnął mu ekstrawagancką i usypiającą bzdurę, powieściidło, które – podobnie jak wiele innych piętrzących się ostatnimi czasy w witrynach księgarń, wydanych na fali powodzenia jego książki – wpiśywało się w modę na literaturę spekulacyjną. Były to istne wyprzedaże makulatury z tekstami pełnymi nowinek technicznych, zainspirowane szczytowymi osiągnięciami nauki i prezentujące wszelkiego rodzaju niedorzeczne maszyny przeznaczone do spełniania najskrytszych ludzkich pragnień. Wells nie czytał żadnej z nich, ale Henley opowiadał mu podczas jakiegoś obiadu o śmiesznie niedorzecznych fabułkach wielu z nich, takich jak dziełka nowojorczyka Luisa Senarensa, których bohaterowie podróżujący statkami powietrznymi docierali w najdziwsze zakątki planety i zagarniali je, rozprawiając się z każdym tubylczym plemieniem, jakie im stanęło na drodze. Nade wszystko jednak Wells pamiętał żydowskiego wynalazcę, który zmajstrował maszynę służącą do powiększania rzeczy. Wizja Londynu zaatakowanego przez rój olbrzymich muszek, którą Henley przedstawił mu z sarkazmem, napędziła pisarzowi strachu.

Wątek powieści Gilliana Murraya wywołał podobne uczucie. Pod bombastycznym tytułem kryły się urojone spekulacje szaleńca. Gilliam utrzymywał, że z biegiem lat automaty, te przeznaczone dla dzieci zabaweczki sprzedawane w niektórych sklepach w centrum Londynu, nabiorą życia. Choć wydawało się to nie do wiary, pod ich drewnianymi czaszkami obudzi się coś w rodzaju straszliwej świadomości, przypominającej ludzką do tego stopnia, że – jak zaraz odkrył zdumiony czytelnik – zaczną żywić do ludzi nieprzewyciężoną urazę spowodowaną upokarzającym traktowaniem z ich strony. W końcu pod wodzą Salomona, wojowniczego automatu napędzanego parą, bez nadmiernej zwłoki i bez zbędnych ceregieli przesądzą o losie rodzaju ludzkiego, skazując go na eksterminację. W ciągu kilkudziesięciu lat spowodują, że planeta stanie się jednym wielkim gruzowiskiem, a ludzkość garścią przestraszonych szczurów. Spośród nich jednakże powstanie wybawiciel, dzielny kapitan Shackleton, który po latach daremnej walki podczas niedorzecznego pojedynku na rapiery rozwieje Salomonowe sny o podbojach. Na końcowych stronach, aby jeszcze bardziej spotęgować brednie, Gilliam odważył się ze swojej żałośnie śmiesznej historii wyciągnąć żenujący morał, za pomocą którego próbował skłonić do refleksji całą Anglię, a przynajmniej grono wynalazców zabawek: Bóg nie będzie zwlekał z pokaraniem człowieka, jeżeli ten nie przestanie naśladować go w fabrykowaniu życia. „O ile można nazwać życiem to, co napędza owe mechaniczne stwory” – pomyślał Wells.

Być może historia sprawdziłaby się jako satyra, problem polegał jednak na tym, że Gilliam przedstawił ją straszliwie poważnie, nadając jej podniosły nastrój, co tylko wyeksponowało niedorzeczność akcji. Do tego stopnia, że zupełnie nie chciało się wierzyć w spełnienie proroctw zapowiedzianych przez autora na rok dwutysięczny. Ponadto Gilliam pisał stylem zarówno pompatycznym, jak i dziecięcym, postacie były marnie zarysowane, a dialogom brakowało życiowej iskry. Podsumowując, było to dzieło kogoś, kto uważa, że pisać może każdy. Nie chodziło o to, że autor nagromadził słowa bez żadnej ambicji estetycznej, co czyniło lekturę nudną, lecz ostatecznie strawną. Gilliam zaliczał się do tych zachłannych czytelników, którzy uważają, że pisanie przypomina przystrajanie powozu. To przekonanie zaowocowało sztywnym stylem pełnym groteskowych, kwiecistych ozdóbek w złym guście i niezamierzenie zabawnych popisów słownych, które więzły w gardle. Dotarłszy do ostatniej strony, Wells czuł estetyczne mdłości. Ta powieść nie zasługiwała na inny los niż spalenie w kominku. Gdyby podróże w czasie były na porządku dziennym, miałyby obowiązek udać się do przeszłości i własnymi rękami zatłuc tego osobnika, zanim ten ze swym poronionym płodem pojawi się u drzwi literatury. Jeżeli powiedziała by Murrayowi prawdę, ten zapewne nie miałby ochoty prze-

łknać jej gładko. Pisarz mógł po prostu umyć ręce, ograniczając się do wręczenia rękopisu swojemu wydawcy, aby to sam Henley ją odrzucił – a Wells był przekonany, że tak by było – i wówczas jego samego nie nękałyby wyrzuty sumienia.

Kiedy przyszedł dzień ponownego spotkania z Gilliamem, Wells wciąż jeszcze nie postanowił, co zrobić. Gość stawił się w jego domu z godną pozazdroszczenia punktualnością, uzbrojony w wyniosły uśmiech, ale gospodarz pod jego irytującą uprzejmością natychmiast dostrzegł źle skrywaną niecierpliwość. Było oczywiste, że Murray bardzo pragnie poznać jego werdykt, ale zarówno jeden, jak i drugi muszą się trzymać protokołu. Wypowiadając banalne uwagi, Wells poprowadził Gilliama do salonu i obaj zajęli odpowiednie fotele, po czym Jane podała im herbatę. Pisarz wykorzystał tę chwilę milczenia, aby się przyjrzeć niespokojnemu gościowi, który siłą zmuszał swoje mięsiste wargi do pogodnego uśmiechu. Wtem Wellsa naszło nieoczekiwane poczucie władzy. On, bardziej niż ktokolwiek, znał iluzję kryjącą się za pisaniem powieści oraz znikomą wartość, jaką ta iluzja ma dla innych, którzy oceniali pracę pisarza według osiągniętych rezultatów, nie biorąc pod uwagę troski czy udręki, z jaką powstawało dzieło. Z doświadczenia wiedział, że negatywny osąd, choćby nie wiedzieć jak konstruktywny, zawsze okazywał się dla pisarza bolesny. Był to dotkliwy cios, na który albo reaguje się z walecznością rannego żołnierza, albo przeciwnie – zdruzgotane ego pogrąża się w otchłani rozpacz. A teraz – abrakadabra! – Wells miał w swoich rękach marzenia tego nieznanego. Mógł je zniszczyć albo oszczędzić. W głębi serca wiedział, że może zrobić to, na co mu przyjdzie ochota, jako że kiepska jakość powieści nie stanowiła czynnika przesądzającego; nic by się przecież nie stało, gdyby pozostawił decyzję Henleyowi. Chodziło o to, że jeśli chciał, mógł użyć swojej mocy w dobrym lub złym celu: zobaczyć reakcję tego bezczelnego typa na szczerą prawdę albo przeciwnie, obdarzyć go miłosiernym kłamstwem i utrzymać w przekonaniu – przynajmniej do czasu otrzymania opinii Henleya – że napisał dzieło godne uwagi.

– I jak, panie Wells? – pośpiesznie spytał Gilliam, gdy Jane wyszła z pokoju. – Co pan myśli o mojej powieści?

Pisarz niemal czuł, jak powietrze w salonie wibruje leciutko, jak gdyby rzeczywistość stanęła na rozdrożu, jakby wszechświat czekał na jego decyzję, by się dowiedzieć, którą ścieżkę obrać, w którą stronę skierować swój nurt. Jakby cisza była zaporą, tamą powstrzymującą bieg wydarzeń.

I do dzisiaj nie wiedział, dlaczego wtedy podjął taką a nie inną decyzję. Tak naprawdę nic za nią nie przemawiało. Wiedział jedno: nie zrobił tego złośliwie, tylko po prostu z ciekawości – chciał sprawdzić, jak ten siedzący przed nim człowiek zniesie tak brutalny cios. Czy przyjmie opinię pisarza kulturalnie, skrywając zranioną dumę, czy załamie się przed nim jak dziecko albo skazaniec otrzymujący wyrok śmierci, albo może zdenerwuje się, a nawet rzuci na niego, by go zadusić gołymi rękami? Tę ostatnią możliwość też należało wziąć pod uwagę. Jak zwał, tak zwał, był to czysty eksperyment przeprowadzony na duszy tego biedaka. Empiryczne doświadczenie, jak to, które wykonuje naukowiec, poświęcając szczura, aby dokonać odkrycia. A Wells chciał poznać zdolność reakcji u tego nieznanego, który, wręczając pisarzowi do przeczytania swój rękopis, powierzył mu jednocześnie nad sobą bezmierną władzę – dał możliwość zburzenia zamieszkiwanego przezeń świata.

Gdy postanowił, co robi, odchrząknął i odparł tonem uprzejmym, niemal lodowatym, jakby był obojętny na krzywdę, jaką jego słowa mogą wyrządzić gościowi:

– Przeczytałem pańskie dzieło z wielką uwagą, panie Murray, i muszę wyznać, że nie była to lektura przyjemna pod żadnym względem. Nie znalazłem w tym tekście nic, co można by pochwalić, co zasługiwałoby na uznanie. Korzystam ze swobody, by mówić w ten sposób otwarcie, ponieważ uważam pana za kolegę po fachu i kłamstwo z mojej strony nie przyniosłoby panu najmniejszego pożytku.

Cios starł uśmiech z twarzy Gilliama, jego potężne dłonie wpiły się w podłokietniki fotela jak

szpony. Wells zwrócił uwagę na zmianę wyrazu twarzy gościa i z nadzwyczajną uprzejmością ciągnął swą druzgocącą krytykę.

– Moim zdaniem nie tylko przekazuje pan dość naiwną ideę, lecz także rozwija ją pan niezmiernie niefortunnie, zmniejszając jej i tak niewielkie szanse powodzenia. Pańskie dzieło ma nieskładną, chaotyczną konstrukcję, sceny następują po sobie w sposób niepowiązany i ostatecznie odnosi się wrażenie, że wypadki z braku jakiegokolwiek logicznego porządku toczą się tylko dlatego, że tak panu odpowiadało. Owa irytująca samowola w prowadzeniu akcji w połączeniu z pańskim stylem pisania, właściwym dla notariusza lubującego się w romantycznych powieściach pani Austen, nieuniknioną kolejną rzeczą wywołuje w czytelniku brak zainteresowania dla treści, jeżeli nie dogłębne jej odrzucenie.

W tym momencie Wells zrobił przerwę, aby z zaciekawieniem entomologa przyjrzeć się swemu zmienionemu na twarzy gościowi. Trzeba być lodem, żeby nie wybuchnąć na takie uwagi, rzekł sobie. Czy Gilliam był zrobiony z lodu? Obserwował wysiłki, jakie tamten czynił, by zapanować nad oszołomieniem – przygryzał usta, zamykał i otwierał pięści, jakby ścisnął jakieś niewidzialne wymiona – i doszedł do wniosku, że zaraz pozna odpowiedź na swoje pytanie.

– O czym pan mówi? – oburzył się w końcu Murray, prostując się na fotelu. Od nagiej wściekłości, która go ogarnęła, uwypukliły mu się ścięgna na szyi. – Do jakiego rodzaju lektury zakwalifikował pan moje dzieło?

Nie, Gilliam nie był zrobiony z lodu. Był czystym ogniem i Wells natychmiast pojął, że jego gość się nie zniechęci. Najwyraźniej zaliczał się do ludzi tak chorobliwie dumnych, że na dłuższą metę moralnie niezwykniętych, tak zadufanych w sobie, że uważających się za dobrych we wszystkim, czego się tkną, czy chodzi o zbudowanie budki dla ptaków, czy o napisanie powieści na modłę romansu naukowego. Ale na swoje nieszczęście Gilliam zdecydował się zmierzyć z czymś innym niż kleczenie domków dla wróbli. Postanowił ukierunkować swoje wysiłki na to, by udowodnić światu, że posiada ponadprzeciętną wyobraźnię, że może swobodnie tasować wyrazy w słowniku i że został pobłogosławiony najbardziej atrakcyjnymi cechami profesji pisarskiej, jeśli nie wszystkimi. Wells zmusił się do zachowania niewzruszonej postawy, podczas gdy jego gość, wychodząc z siebie z wściekłości, oskarżał go o niedorzeczność. Pisarz, patrząc, jak Murray gestykuluje rozogniony, zaczął żałować, że wybrał tę opcję. Było jasne, że jeśli będzie kontynuował krytykę w tym samym tonie, potępiając powieść uszczypliwymi komentarzami, sytuacja może stać się tylko jeszcze bardziej nieprzyjemna. Ale jaką teraz wybrać możliwość? Ma zaprzeczyć temu wszystkiemu, co właśnie powiedział, z obawy, że ten rozwścieczony typ oderwie mu głowę od szyi?

Na szczęście dla Wellsa Gilliam nagle się uspokoił. Odetchnął kilka razy, zgiął szyję na prawo i lewo oraz rozluźnił dłonie i położył je sobie na kolanach, świadomie pracując nad odzyskaniem opamnowania. Jego mozolna walka, by się uspokoić, wydała się Wellsowi czymś w rodzaju parodii imponującej transformacji, jaką aktor Richard Mansfield kilka lat temu odgrywał w teatrze Lyceum w sztuce *Doktor Jekyll i pan Hyde*. Nie przeszkadzało mu to, w skrytości ducha czuł ulgę. Gilliam zdawał się zawstydzony tym, że dał się ponieść nerwom. Pisarz zrozumiał, że ma do czynienia z inteligentnym człowiekiem obarczonym popędliwym temperamentem, porywczą naturą popychającą go do owych wybuchów, nad którymi w ciągu długich lat życia bez wątpienia nauczył się panować, osiągając wyniki stanowiące powód do dumy. Wells jednak ugodził go w czuły punkt: próżność, wykazując, że jego samokontrola nie jest niezawodna.

– Może miał pan szczęście napisać przyjemną powieść trafiającą w szerokie gusta – rzekł Murray, kiedy udało mu się uspokoić, chociaż wciąż mówił wojowniczym tonem – oczywiście jest jednak, że brakuje panu talentu potrzebnego do oceniania pracy innych osób. Zastanawiam się, czy nie przema-

wia przez pana zazdrość. Czy przypadkiem król nie obawia się, że błazen zasiądzie na jego tronie i będzie rządził lepiej niż on?

Wells uśmiechnął się do siebie. Po wybuchu furii przyszedł fałszywy spokój i zmiana strategii. Jego powieść, kilka dni temu tak wychwalaną, Murray sprowadził do kategorii popularnego czytadła i szukał powodów, dla których jego osady rzekomo nie mają nic wspólnego z jakością literacką ocenianego dzieła – w tym przypadku miałyby to być zazdrość. W porządku, to lepsze od wysłuchiwanie cholerycznych krzyków. Zapuszczali się teraz na teren szermierki słownej i to podekscytowało pisarza, ponieważ czuł się na nim wyjątkowo pewnie. Postanowił wyrażać się ostrzej.

– Jak najbardziej ma pan pełne prawo myśleć o swojej pracy, co się panu podoba, panie Murray – powiedział spokojnie. – Wyobrażam sobie jednak, że skoro przychodzi pan do mojego domu, aby zasięgnąć mojej opinii na temat pańskiego dzieła, to dlatego, że uważa mnie pan za wystarczająco biegłego w danej materii, aby docenić mój osąd. Żałuję, że nie powiedziałem tego, co chciał pan usłyszeć, ale przekazałem własny punkt widzenia. Wątpię, by pańska powieść mogła się spodobać komukolwiek z powodów, które już wymieniłem, chociaż moim zdaniem główny problem polega na tym, że przedstawiony przez pana rozwój wydarzeń jest mało prawdopodobny. Nikt nie uwierzy w przyszłość, którą pan opisał.

Gilliam przechylił głowę, jakby nie dosłyszał.

– Mówi mi pan, że opisałem nieprawdopodobną przyszłość? – spytał.

– Owszem, dokładnie to panu mówię. W dodatku z różnych względów – odpowiedział Wells niewzruszenie. – Założenie, że mechaniczne zabawki, choćby nie wiedzieć jak wymyślne, nabiorą życia, jest niezgodne ze zdrowym rozsądkiem, by nie powiedzieć: niedorzeczne. Równie nierealne jak pomysł, że w ciągu najbliższych stu lat dojdzie do wojny na światową skalę. To się nigdy nie zdarzy. Nie wspominając już o innych szczegółach, jak na przykład ten, że w roku dwutysięcznym ludzie wciąż będą do oświetlania używać lamp oliwnych, podczas gdy każdy może wywnioskować, że zwycięstwo elektryczności jest kwestią krótkiego czasu. Fantazja również wymaga wiarygodności, panie Murray. Pozwoli pan, że jako przykład wezmę własną powieść. Aby zarysować rok 802 701, nie sięgnąłem po nic innego, jak tylko po logiczne myślenie. Rozszczepienie rodzaju ludzkiego na dwa antagonistycznie nastawione do siebie gatunki: pogrążonych w lekkomyślnym hedonizmie Ełojów oraz potwornych mieszkańców podziemia, Morłoków, ilustruje jedno z możliwych następstw rozwoju naszego sztywno podzielonego kapitalistycznego społeczeństwa. Również późniejsza agonía planety, choć może się wydawać przygnębiająca, została oparta na czarnych przepowiedniach zamieszczanych codziennie przez astronomów i geologów w magazynach naukowych. Na tym polega spekulacja, panie Murray. Nikt nie może powiedzieć, że mój rok 802 701 jest nie do przyjęcia. Oczywiście, może się okazać inny, zwłaszcza jeżeli z czasem zadziałają czynniki, których w naszej epoce nie potrafimy jeszcze przewidzieć, ale nikt mi nie zarzuci, że mojej wersji nie da się nawet dopuścić. Pańska natomiast pada pod własnym ciężarem.

Gilliam Murray przez dłuższą chwilę patrzył na niego w milczeniu, aż w końcu rzekł:

– Panie Wells, być może ma pan rację i moja powieść potrzebuje dogłębnej rewizji w zakresie stylu pisania i konstrukcji. To moja pierwsza próba pisarska i rzecz jasna nie mogę twierdzić, że rezultat jest doskonały czy choćby zadowalający. Nie mogę się jednak zgodzić z pańskim powątpiewaniem w sprawie spekulacji co do roku dwutysięcznego, ponieważ to nie dotyczy moich literackich zdolności.

– Pozwalam sobie wszakże wątpić – odparł chłodno Wells, uznając, że w tym momencie rozmowy minął już czas litości.

Gilliam Murray musiał zapanować nad kolejnym wybuchem wściekłości. Poruszył się niespokoj-

nie na fotelu, jakby cierpiał na wewnętrzne konwulsje, ale po kilku sekundach odzyskał rozluźnioną, wręcz nonszalancką postawę. Przez kilka minut przyglądał się Wellsowi z rozbawionym zaciekawieniem, jak gdyby ten był malowniczym okazem owada, do tej pory niespotkanego, i dał upust swojej wesołości, wybuchając cokolwiek hałaśliwym śmiechem.

– Wie pan, jaka jest różnica między panem a mną, panie Wells?

Pisarz uznał, że odpowiedź nie jest konieczna, i tylko wzruszył ramionami.

– Perspektywa – ciągnął swój wywód Gilliam. – Nasze spojrzenie na sprawy. Pan jest konformistą, a ja nie. Pan godzi się na oszukiwanie czytelników. Pisze pan powieści o rzeczach, które się mogą zdarzyć, spodziewając się, że panu uwierzą, ale pan wie, że to wciąż jest powieść, a zatem czysta fikcja. Ja się jednak na to nie zgadzam, panie Wells. Ja nie. Jeśli nadałem mojej spekulacji formę powieści, stało się to wyłącznie za sprawą okoliczności, ponieważ pisanie nie wymaga niczego więcej jak stosu papieru i sprawnego nadgarstka. I szczerze mówiąc, małe ma dla mnie znaczenie, czy moje dzieło zostanie opublikowane, ponieważ nie zadowoliliby mnie garstka zainteresowanych czytelników, którzy debatowaliby nad tym, czy przyszłość została opisana wiarygodnie.

Zawsze będę uważał tę powieść za wymysł swojego umysłu. Nie, moja ambicja sięga znacznie dalej niż do pozycji obdarzonego wyobraźnią pisarza. Dążę do tego, by ludzie uwierzyli w moją fantazję, nie wiedząc, że to fantazja, aby uwierzyli, że rok dwutysięczny będzie dokładnie taki, jak go opisałem. I udowodnię panu, że mogę sprawić, aby uwierzyli naprawdę, choćby pan ją uważał za nie wiedzieć jak nieprawdopodobną. Ale nie zaprezentuję jej w postaci powieści; te dziecinne sztuczki pozostawiam panu, panie Wells. Pan opisuje swoje fantazje w książkach, ja opiszę swoje w rzeczywistości.

– W rzeczywistości? – spytał pisarz, nie do końca rozumiejąc, o co chodzi gościowi. – Co pan chce przez to powiedzieć?

– Dowie się pan niebawem, panie Wells. A kiedy się to stanie, jeśli jest pan dżentelmenem, odszuka mnie pan, żeby przeprosić.

Podniósł się z fotela i poprawił sobie surduty tymi pełnymi wdzięku ruchami, które wszystkich zaskakiwały.

– Do widzenia, panie Wells. I niech pan nie zapomni o mnie ani o kapitanie Shackletonie. Wkrótce dostanie pan od nas wiadomość. – Wziął ze stołu kapelusz i założył go zamaszystym gestem.

Pozegnał się tak szybko, że Wells zdezorientowany pozostał w swoim fotelu, nie mogąc wstać nawet wtedy, kiedy ucichły już kroki gościa i trzasnęła żelazna furka. Przez dłuższą chwilę siedział w tym samym miejscu, rozmyślając nad słowami Murraya, aż wreszcie powiedział sobie, że ten egocentryk nie zasługuje na jego rozważania. I faktem jest, że w najbliższych miesiącach nic o nim nie słyszał, toteż w końcu zapomniał o tej nieprzyjemnej rozmowie. Nie pamiętał o niej aż do dnia, w którym dostał ulotkę z Podróży w Czasie Murraya. Wówczas zrozumiał, co Gilliam chciał powiedzieć przez „ja opiszę swoje w rzeczywistości”. Z wyjątkiem nielicznych naukowców i akademików, którzy mogli grzmieć tylko w swoich periodykach, cała Anglia uwierzyła w jego „nieprawdopodobną” fantazję, po części dzięki Wellsowi, bo to on własną powieścią *Wehikuł czasu* wzbudził w ludziach tęsknotę za podróżami w czasie. Ironia tej sytuacji drażniła pisarza jeszcze bardziej.

Od tamtej pory dokładnie co tydzień otrzymywał kolejną identyczną ulotkę wraz z zaproszeniem do udziału w jednej z owych fałszywych wypraw do roku dwutysięcznego. Nic nie odpowiadałoby temu łotrowi bardziej, niż gdyby on, człowiek, który rozpętał gorączkę podróży w czasie, pobłogosławił przedsięwzięcie opierające się w swym działaniu na wyszukany kłamstwie Murraya. Wells, oczywiście, nie miał najmniejszego zamiaru tego zrobić. Najgorsze nie było jednak to, tylko wiadomość zawarta w podtekście owych uprzejmych zaproszeń. Gilliam miał pewność, iż adresat nigdy nie

przyjmie propozycji, toteż przekształcił swoje zaproszenia w kpinę, przesyłany na papierze wybuch śmiechu, a zarazem groźbę wynikającą z faktu, że na kopertach nigdy nie było znaczków ani stempli pocztowych, co sugerowało, że osobiście wkłada tę korespondencję do skrzynki na listy Wellsa albo zleca to swoim ludziom. Wszystko jedno, liczyła się intencja: poinformować pisarza o łatwości, z jaką można niezauważonym nawiedzić jego dom, dać mu znać, że się o nim nie zapomniało, przypomnieć mu, że ktoś go obserwuje.

Najbardziej jednak rozwścieczało Wellsa to, że w związku z takim obrotem sprawy nie mógł wydać Gilliama, jak zasugerował Tom, mimo że bardzo tego chciał. A nie mógł, ponieważ Murray wygrał. Tak, przedsiębiorca udowodnił, że przyszłość z jego wizji jest wiarygodna, i on, Wells, powinien przyjąć swoją porażkę w sportowym duchu, zamiast pełnym złości gestem zrzucić pionki z szachownicy. Uczciwość nie pozwalała mu zrobić nic innego, jak tylko patrzeć z założonymi rękami, jak Gilliam się bogaci. Z kolei przedsiębiorca zdawał się znakomicie bawić tą sytuacją, ponieważ poprzez ulotki, które jak w jakimś rytuale wrzucał do skrzynki na listy pisarza, nie tylko przypominał mu, że wygrał, lecz także prowokował go do demaskacji oszustwa.

Powiedział mu: „ja opiszę swoje w rzeczywistości”. I ku niedowierzaniu Wellsa dokonał tego.

Tego popołudnia Wells udał się na dłuższą niż zwykle przejażdżkę rowerową, rezygnując z towarzysztwa Jane na rzecz oddania się rozmyśleniom. Odziany w swą nieodłączną kurtkę z owczej wełny w stylu Norfolk z paskiem, w milczeniu przemierzał powoli boczne drogi hrabstwa Surrey, pedałowując mechanicznie, podczas gdy jego myśli krążyły wokół odpowiedzi na list naiwnej Claire Haggerty. Improwizując w herbaciarni swoją historyjkę, Tom stwierdził, że korespondencja składa się z siedmiu listów – trzech napisanych przez niego i czterech autorstwa Claire – a w ostatnim dziewczyna prosi go o to, by cofnął się w czasie i przyniósł jej parasolkę. Nie licząc tych faktów, Wells dysponował absolutną swobodą w pisaniu, o ile tylko będzie się trzymał zmyślonej przez Toma historii. Musiał przyznać, że im dłużej o tym myślał, tym bardziej fascynowała go fabuła, którą młody półanalfabeta posklejał z chaotycznych fragmentów. Była sugestywna i piękna, a przede wszystkim brzmiała prawdopodobnie, oczywiście pod warunkiem, że się uwierzy w istnienie urzędnika zdolnego perforować tkankę czasu i tworzyć przejścia między epokami, a także, rzecz jasna, w przyszłość wymyśloną przed Gilliamem Murrayem. Mniej podobało się Wellsowi to, że w całą sprawę, podobnie jak w ratowanie duszy nieszczęsnego Andrew Harringtona, pośrednio zamieszany był Murray. Czyżby już na zawsze mieli pozostać nierozłączni niczym płót i bluszcz? Los zakpił sobie z Wellsa, każąc mu się wcielić w wymyśloną przez rywala postać kapitana Dereka Shackletona. Czyżby to on, niczym starotestamentowy Bóg, miał ostatecznie tchnąć życie w usta tej pustej skorupy?

Wrócił do domu przyjemnie wyczerpany, wiedząc już z grubsza, co powinno się znaleźć w pierwszym liście. Z chirurgiczną precyzją rozmieścił na kuchennym stole pióro, kałamarz i plik arkuszy papieru, po czym poprosił Jane, by nie niepokoiła go przez najbliższą godzinę.

Usiadł przy stole, wziął głęboki oddech i zabrał się do pisania pierwszego w swoim życiu listu miłosnego:

Najdroższa Claire!

Ja również musiałem kilkakrotnie rozpoczynać ten list, by ostatecznie zrozumieć, że choć zabrzmiało to dziwnie, nie mogę zacząć go inaczej niż od uczynienia tego, o co prosisz: wyznania Ci, że Cię Kocham. Początkowo sądziłem, że zrobić tego nie mogę, i zmarnowałem wiele arkuszy na próby przekonania Cię, że wymagasz ode mnie zbyt wiele. „Jak mógłbym się w Pani zakochać, panno Haggerty, skoro nawet jeszcze Pani nie widziałem?” – napisałem, nie pozwalając sobie na poufałość, której wymagała ta chwila. Mimo oczywistej nieufności musiałem jednak uwierzyć, że moja miłość do Ciebie jest już faktem. Jak bowiem mógłbym wątpić w Twoje słowa, skoro wynurzywszy się z tunelu czasowego, do którego wszedłem w roku dwutysięcznym, znalazłem Twój list obok wielkiego dębu? Jak słuszne zauważyłaś, nie potrzebuję więcej dowodów, by zrozumieć, że wszystko, co mi opowiadasz, jest prawdą – to, że za siedem miesięcy się poznamy, i to, że połączy nas miłość. Skoro więc moje przyszłe ja, które przecież wciąż będzie mną, zakocha się w Tobie od pierwszego wejrzenia, dlaczego nie ma tego uczynić ja terazniejsze? Byłby to wyraz nieufności wobec własnych gustów. Po cóż więc trwonić czas na czekanie, by narodziło się uczucie, które ponad wszelką wątpliwość w końcu się narodzi.

Ponadto sama dałaś mi dowód zaufania, o którego odwzajemnienie prosisz. Podczas wspomnianego przez Ciebie spotkania w herbaciarni to Ty musiałaś uwierzyć we mnie i w to, że zakochasz się w mężczyźnie, którego masz przed sobą. I uwierzyłaś. Moje przyszłe ja dziękuje Ci za to, Claire. A ja obecne, które kreśli te słowa, choć nie zna jeszcze smaku Twojej skóry, może jedynie odwzajemnić Twą ufność, uwierzyć, że wszystko, co mówisz, jest prawdą, że wszystko, co opisujesz w liście,

istotnie się wydarzy, bo w pewien sposób już się wydarzyło. Kimkolwiek więc jesteś, Claire Haggerty, mogę Ci jedynie wyznać, że Cię kocham. Kocham Cię od tej chwili i po wieczność.

Tom trzymał w drżącej dłoni napisany przez Wellsa list. Pisarz najwyraźniej poważnie podszedł do swego zadania, bo nie tylko uszanował opowieść chłopaka i przeszłość odgrywanej przez niego postaci, ale sądząc po użytym słownictwie, był tak samo zakochany w dziewczynie jak ona w nim, to znaczy w Tomie, a ściślej rzecz ujmując, w dzielnym kapitanie Shackletonie. Wiedział, że Wells tylko udaje, ale jego udawany afekt sprawiał wrażenie znacznie przewyższającego skromne uczucia Toma, które przecież powinny być silniejsze, bo to on przespał się z dziewczyną. O ile poprzedniego dnia Tom zadawał sobie pytanie, czy to, co czuje, jest miłością, teraz mógł na nie odpowiedzieć, mierząc swe sentymenty słowami pisarza. Czy czuł to, co wedle słów Wellsa czuł Shackleton? Po kilku minutach namysłu uznał, że na to skomplikowane pytanie istnieje tylko jedna odpowiedź: nie. Nie zdołałby wytrwać w takiej miłości do kogoś, kogo nigdy więcej nie ujrzy.

Położył list obok grobu Johna Peacheya i ruszył trowersem z powrotem do Londynu, zadowolony, choć nieco skonfundowany prośbą, którą Wells wyraził wobec Claire pod koniec listu – prośbą, która zdawała mu się cokolwiek perwersyjna. Z ogromną niechęcią powtórzył w myślach ostatni akapit:

Bardziej niż cegokolwiek w swoim życiu pragnę, by czas przyspieszył i aby siedem miesięcy, które pozostały do chwili naszego spotkania, zmieniło się w siedem westchnień. Muszę wszak przyznać, że czuję nie tylko podekscytowanie na myśl o poznaniu Cię, droga Claire, lecz także ciekawość, w jaki sposób zawitasz do mojej epoki. Czy taka podróż jest dla Ciebie możliwa? Ja mogę jedynie czekać i wypełniać swoją część planu, odpisując na Twoje listy. Mam nadzieję, że ten list nie sprawi Ci zawodu. Jutro, gdy udam się w Twoje czasy, zostawię go przy dębie. Następną wycieczkę odbędę za dwa dni. Wiem, że wtedy będzie już na mnie czekać Twoja odpowiedź. Być może uznasz to za nadmiar śmiałości, najdroższa, ale czy mogłabyś opowiedzieć mi w niej o naszym miłosnym spotkaniu? Pamiętaj, że ja muszę na nie czekać jeszcze wiele miesięcy, i choć zapewniam Cię, że nie zbraknie mi cierpliwości, nie wyobrażam sobie piękniejszego oczekiwania niż to, w którym będę mógł od czasu do czasu przeczytać o tym, co przeżyję z Tobą w przyszłości. Proszę, Claire, opisz mi wszystko, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu. Opowiedz, jak się kochaliśmy pierwszy i ostatni raz, by Twoje słowa, ukochana, były mi pociechą w tych ciężkich chwilach. Moi bracia tysiącami giną z rąk automatów, które zrównują z ziemią nasze miasta, jakby chciały wymazać wszelki ślad istnienia rodzaju ludzkiego. Nie wiem, co będzie, jeśli poniosę klęskę i nie zdołam przerwać tej potwornej wojny. Choć jednak świat wokół mnie sypie się w gruzy, najmiłsza, uśmiecham się mimowolnie, bo Twa bezwarunkowa miłość uczyniła mnie najszczęśliwszym stworzeniem na Ziemi.

D.

Claire przycisnęła list do oszalałego serca. Jakże pragnęła, by ktoś napisał dla niej takie właśnie słowa, słowa zapierające dech i przyspieszające puls. A teraz to się działo naprawdę! Ktoś wyznawał jej miłość, której nie potrafił pokonać nawet czas. Ogarnięta mdlącą euforią wyjęła papier, rozłożyła go na biurku i zaczęła opisywać Tomowi to, co ja, w poszanowaniu ich prywatności, dotąd starannie pomijałem:

Och, Dereku, najdroższy Dereku! Nie masz pojęcia, ile znaczył dla mnie Twój list. Nie tylko znalazłam go tam, gdzie być powinien, lecz ku memu niewysłowionemu szczęściu odkryłam, że jest przepełniony miłością! Tego właśnie potrzebowałam, by bez cienia wątpliwości zaakceptować swój los. W pierwszej kolejności spełnię Twą prośbę, kochany, nie trwoniąc ni sekundy i nie zważając na rumieniec, który z pewnością obleje me policzki. Jak mogłabym Ci odmówić intymności będącej udziałem nas obojga? Opiszę Ci, co się wydarzy, choć czyniąc to, w istocie będę Cię instruować, co masz zrobić i jak postąpić. Jakież to wszystko dziwne! Będziemy się kochać w pensjonacie Picarda, stoją-

cym naprzeciw herbaciarni. Zgodzę się pójść tam z Tobą, gdy już postanowię obdarzyć Cię zaufaniem. Mimo to, gdy będziemy zmierzali korytarzem do wynajętego pokoju, nie ujdzie Twojej uwagi mój przestach. Teraz, gdy mam sposobność, chciałabym Ci się z niego wytłumaczyć, Kochany. Nie wiem, czy moje słowa Cię zaskoczą, ale w naszych czasach, zwłaszcza zaś w takich mieszczańskich rodzinach jak moja, dziewczęta uczone są powściągnięcia swoich instynktów. Rozpowszechnione jest przekonanie, że akt miłosny winien służyć wyłącznie rozmnażaniu, i o ile mężczyzna może, oczywiście w sposób powściągliwy i godny, okazywać przyjemność, jakiej dostarcza mu obcowanie cielesne, my powinniśmy zachować niezachwianą obojętność, gdyż rozkosz nasza uchodzi za niemoralną. To niezachwiane przekonanie wpajała mi matka, która podobnie jak większość mych zamężnych przyjaciółek, starannie mu hołduje. Ja jednak, Dereku, jestem inna. Zawsze nienawidziłam tego absurdu zakazu równie mocno jak wyszywania czy szydełkowania. Uważam, że podobnie jak mężczyźni, my, kobiety, mamy prawo odczuwać przyjemność i oczywiście wyrażać ją w odpowiedni dla każdej z nas sposób. Uważam także, że aby utrzymywać z mężczyzną stosunki cielesne, nie trzeba być z nim zamężną: wystarczy mi, że jestem zakochana. Takie są moje poglądy, Dereku, i kiedy szłam korytarzem pensjonatu, nagle uświadomiłam sobie, że nadszedł właśnie moment, w którym będę mogła sprawdzić, czy potrafię wprowadzić je w życie, czy też po prostu oszukiwałam siebie; strach mój był zatem jedynie wynikiem całkowitego braku doświadczenia w tych kwestiach.

Teraz już o tym wiesz i pewnie dlatego potraktujesz mnie tak delikatnie i czule... Lecz nie uprzedzajmy wypadków. Pozwól, że opowiem Ci wszystko w odpowiednim porządku, krok po kroku, i że z szacunku dla Ciebie uczynię to w czasie przyszłym, jako że z Twojego punktu widzenia jeszcze się to nie wydarzyło. Cóż, nie zwlekajmy dłużej.

Pokój w pensjonacie będzie skromny, lecz przytulny. Wieczór będzie powoli przechodził w noc, więc w pierwszej kolejności zapalisz nocną lampkę. Ja będę na to patrzyła oparta o drzwi, nie mając odwagi wykonać najmniejszego ruchu. Ty przez chwilę będziesz mi się czule przyglądał, a potem bardzo powoli, z uspokajającym uśmiechem kogoś, kto nie chce przestraszyć płochliwego kociątka, podejdziesz do mnie. Popatrzysz mi w oczy, być może chcąc w nich czytać lub zostać odczytany. Schylniesz się do moich ust tak wolno, że zdążę poczuć Twój ciepły oddech, gorące powietrze krążące w Twoim wnętrzu, nim Twe łagodne, acz stanowcze wargi dotkną moich. Przez kilka sekund będę oszołomiona tym delikatnym, pierwszym w moim życiu pocałunkiem, bo choć wielokrotnie go sobie wyobrażałam, Dereku, zawsze koncentrowałam się na jego wpływie na ducha, na wrażeniu lewitowania, które rzekomo wywoływał, nigdy zaś nie pomyślałam o jego fizycznej stronie, o miękkim, ciepłym dotyku cudzych warg. Stopniowo jednak zacznę się poddawać przyjemnemu naciskowi i odwzajemniać pocałunek z taką samą czułością, czując, że komunikujemy się bardziej skutecznie i szczerze niż poprzez słowa; że w tym nieistotnym kawałku ciała zawarliśmy całe nasze jestestwa. Dziś wiem, że nic nie może bardziej zbliżyć do siebie dwóch dusz niż przypieczętowanie pocałunkiem wzajemnych pragnień.

Przyjemny dreszcz przebiegnie mi po skórze, przeniknie w głąb ciała i ogarnie mnie całą. Czy to właśnie jest ten wir doznań, który moja matka i skromne przyjaciółki za wszelką cenę starają się zignorować? Ja go poczuję, Dereku. Będę go smakować, upajać się nim. Będę się nim rozkoszować, ukochany, wiedząc, że przeżywam go pierwszy i ostatni raz w życiu, bo po Tobie nie będzie nikogo, więc wydarzenia tej nocy będą musiały mi wystarczyć aż do śmierci. Ziemia usunie mi się spod nóg i uwierzyłam, że lewituję, gdyby nie przyciskały mnie w talii ciężarki Twoich dłoni.

Oderwiesz wargi, pozostawiając na moich ślad swych ust, i z tkliwym zaciekawieniem będziesz się przyglądał, jak usiłuję odzyskać spokój i oddech. Co teraz? Czyżby nadeszła chwila, w której powinniśmy się rozebrać i rzucić na łóżko? Ty jednak będziesz wyglądał na równie niezdecydowanego

jak ja, jakbyś nie znajdował w sobie odwagi, by zrobić krok w tym kierunku, bojąc się, że mnie spłoszysz. I nie będziesz w błędzie, najdroższy, ponieważ nigdy jeszcze nie rozebrałam się przed żadnym mężczyzną, poczuję nagle taką mieszankę lęku i wstydu, że zacznę się zastanawiać, czy zdjęcie odzieży istotnie jest koniecznością. Słyszałam od ciotek, że moja matka wypełniała obowiązki małżeńskie, ani razu nie pozwalając, by ojciec ujrzał ją nagą. Hołdując obyczajom swego pokolenia, zacna pani Haggerty kładła się na łożu, nie zdejmując halki, w której znajdował się wyperfumowany otwór stanowiący jedyny dostęp do niej dla mego biednego ojca. Ja jednak, mój Dereku, nie zadowolę się otworem w halce. Pragnąc rozkoszować się w pełni naszym spotkaniem, pokonam wstyd i zacznę się rozbierać, nie przestając przyglądać się Tobie z czułą powagą. Zdejmę kapelusik z piórami i powieszę go na wieszaku, potem uwolnię się od zakietu, bluzki z wysokim kołnierzem, podkoszulka, gorsetu, spódnic i turniury, by pozostać jedynie w cieniutkiej haleczce. Nie przestając na Ciebie słodko patrzeć, opuszczę ramiączka, by ta przedostatnia sztuka odzieży zsunęła się do mych stóp, po czym na zakończenie owego pracowitego rytuału zdejmę pantalon, by wreszcie stanąć przed Tobą całkiem naga, obdarować Cię swoim ciałem, zaofiarować je Twoim dłoniom i ustom i całkowicie Ci się oddać. Będę miała absolutną pewność, że Ty, kapitan Derek Shackleton, zbawca ludzkości, jesteś właściwym mężczyzną i że w żadnym innym nie potrafiłabym się zakochać.

Ty zaś, najdroższy, będziesz obserwował ów złożony proces z narastającym zaciekawieniem, jak ktoś, kto oczekuje, że dłuto artysty usunie niepotrzebne odłamki i z bloku marmuru wyłoni się urocza rzeźba, a gdy do Ciebie podejść, uwolnisz się od koszuli i pantalonów tak szybko jakby poryw wichru zerwał je ze sznurów. Obejmiemy się, w przyjemnym tarciu wymieniając ciepło swych ciał, a Twoje dłonie, nawykłe do twardości metalu, poczną badać me ciało, świadome jego kruchości, ekscytując powoli i z ostrożnością, która zda mi się niemal czcią. Położymy się na łożu, nie przestając spoglądać sobie w oczy, a moje dłonie powędrują po Twym brzuchu w poszukiwaniu blizny po kuli Salomona, która omal Cię nie zabiła, lecz będę zbyt zdenerwowana, by ją odnaleźć. Twe usta, wilgotne i zachłanne, będą przemierzać moje ciało, znacząc je szlakiem śliny, aż wreszcie, gdy już wyrzujesz całą jego mapę, ostrożnie się w nie zagłębisz i poczuję, jak z wielką delikatnością poruszasz się w środku. Mimo owej delikatności Twa inwazja wywoła jednak nieoczekiwany ból, który obudzi we mnie słaby protest, a nawet sprawi, że pociągnę Cię za włosy, lecz wkrótce zmieni się w cierpienie znośne, by nie rzec „słodkie”, i coś długo uspięnego wreszcie zacznie się budzić wewnątrz mnie. Jak mogę Ci opisać to, co poczuję w tamtej chwili? Wyobraź sobie harfę, która nie ma pojęcia, jakie kryje dźwięki, bo nikt jej nigdy nie dotknął – i nagle je słyszy! Wyobraź sobie płonącą świecę, której stopiony воск spływa po walcu i nieświadom szalejącego w górze płomienia bawi się w obrysowywanie podstawy świecznika fantazyjnymi wzorami. Chcę przez to powiedzieć, najmilszy, że do tamtego momentu nie miałam pojęcia, iż potrafię czuć tę cudowną rozkosz, tę radosną przyjemność, która zrodzi się gdzieś w środku i ogarnie całe moje jestestwo. I choć z początku zakłopotanie zmusi mnie do zaciśnięcia zębów, by stłumić rodzące się w gardle jęki, w końcu poddam się tej nieposkromionej rozkoszy, pozwolę się zmieść porywowi lodowatego ognia i obwieszczę swą błogość zachwyconymi stęknieniami, dając wyraz przebudzeniu ciała i nie mogąc się Tobą nacieszyć, przyciągając Cię rozpaczliwie ku sobie, więżąc w pułapce swoich nóg, bo będę pragnęła, byś pozostał we mnie na zawsze, i nie będę mogła pojąć, jak udawało mi się przeżyć tyle lat, nie czując Cię w sobie. A kiedy po ostatnim rozkoszonym spazmie wyjdiesz ze mnie, pozostawiając na pościeli ślad przywodzący na myśl sok z jeżyn, poczuję się nagle niekompletna, osierocona, samotna. Z zamkniętymi oczami będę przywoływała echo rozkoszy, które pozostawiłeś w moim wnętrzu, tę cudowną reminiscencję Twojej obecności; potem, gdy stopniowo osłabnie, ponownie ogarnie mnie uczucie przygnębiającej samotności, lecz jednocześnie nieskończonej wdzięczności za to, że okazałam się organizmem całkowicie

zdolnym do rozkoszy, potrafiącym odczuwać zarówno przyjemności najwznioślejsze, jak i te najbardziej przyziemne. Wyciągnę rękę, by dotknąć Twojej zroszonej potem skóry, wciąż drżącej i rozognionej niczym struny skrzypiec po koncercie, i popatrzę na Ciebie z eterycznym uśmiechem wdzięczności za to, że pokazałeś mi, kim naprawdę jestem.

Po trosze wzruszony, a po trosze zdumiony Tom musiał przerwać lekturę. Czy to naprawdę on obudził w niej wszystkie te doznania? Oparty o dąb, z trudem łapiąc oddech, wodził po okolicznych polach nieprzytomnym spojrzeniem. Dla niego obcowanie cielesne z Claire było przyjemnym doświadczeniem, które chętnie wspominał, lecz ona opisywała je jako coś wzniosłego i niezapomnianego, czyniąc z tego kamień węgielny mający dźwigać katedrę miłości wbrew upływowi lat. Czując się jeszcze większym prostaczkiem, niż był w istocie, westchnął ciężko i kontynuował lekturę.

Zamierzałam Ci teraz opowiedzieć, w jaki sposób zawitam do Twojej epoki, lecz przypomniawszy sobie, że podczas spotkania w herbaciarni nie wiedziałeś jeszcze, jak to robimy, czuję się zmuszona do zachowania tajemnicy, by nie zmieniać biegu wydarzeń. Wyjawię jedynie, że w ubiegłym roku pisarz o nazwisku H.G. Wells opublikował wspaniałą powieść pod tytułem Wehikuł czasu, która zrodziła w nas wszystkie marzenia o przyszłości. I że ktoś nam tę przyszłość pokazał. Więcej napisać nie mogę. Zrekompensuję Ci to jednak wyznaniem, że choć Twoja misja w mojej epoce nie zakończy się sukcesem, a używanie Twojego wehikułu ostatecznie zostanie zakazane, ludzkość wygra wojnę z automatami i stanie się to dzięki Tobie. Tak, najdroższy, to Ty pokonasz Salomona w emocjonującym pojedynku na rapiery. Uwierz mi, bo widziałam to na własne oczy.

Kocham Cię,

C.

Wells położył list na stole. Usiłując stłumić wywołane słowami Claire podniecenie, spojrzał na Toma i leciutko skinął głową w milczeniu, dając młodzieńcowi do zrozumienia, że może odejść. Gdy został sam, podniósł list, na który miał odpowiedzieć, i ponownie przeczytał szczegółowy opis spotkania w pensjonacie, czując, jak gorąco uderza mu na policzki. Dzięki tej nieznanymyj postaci w końcu, czym jest rozkosz kobiet, która nadciąga intrygująco powoli, by całkowicie nimi zawładnąć lub ledwie je musnąć. Jakaż subtelna, świetlista i nieskończona była kobieca przyjemność w porównaniu z tą, której doświadczał mężczyzna, toporną i wulgarną, będącą zaledwie krótką eksplozją ekstazy między udami. Czy jednak wszystkie one tak czuły, czy ta dziewczyna była wyjątkiem, okazem tak udoskonalonym przez Stwórcę, że sięgnął ideału? Nie, prawdopodobnie była zwykłą młodą kobietą, wyróżniającą się tylko tym, że cieszyła się swoją seksualnością w sposób, który inne przerażał. Sama decyzja o tym, by całkowicie się obnażyć przed Tomem, świadczyła dobitnie o jej śmiałości i gotowości do przeżycia całej palety doznań, jakie miał do zaoferowania akt miłosny.

Doszedłszy do tego wniosku, Wells poczuł rozczarowanie, a nawet bunt przeciwko wstydlivosti, z jaką oddawały mu się kobiety, z którymi dotąd obcował. Jego kuzynka Isabel należała do tych, które uciekają się do otworu w halce, i zaoferowała mu w łóżu wyłącznie srom, który umiejscowiony poza kontekstem jawił się Wellsowi czymś zatrwajającym, wyraźnie pochodzącym z innego świata, jakimś stworem zasysającym wszystko, co znajdzie na swej drodze. Nieco śmielsza w tych sprawach Jane także nie pokazała mu się w całej krasie, zmuszając go do poznawania swego ciała jedynie za pomocą dotyku. Z całą pewnością nigdy nie miał szczęścia poznać kobiety o cudownych predyspozycjach Claire. Czegóż nie dałoby się zrobić z kimś, kogo tak łatwo nawrócić? Wystarczyło wychwalać leczniczy wpływ seksu na kobiety, by zrobić z niej gorliwą wyznawczynię rozkoszy cielesnych, nowoczesną zakonnice gotową w każdej chwili dawać i brać rozkosz, kaznodzieję kopulacji gotową chodzić od drzwi do drzwi i głosić, że regularna miłość fizyczna potrafi upiększyć kobietę, przydając jej nieskończonego blasku, łagodząc rysy, a nawet zaokrąglając nieestetyczne krzywizny ciała. U boku takiej

kobiety on sam niewątpliwie stałby się człowiekiem spełnionym, spokojnym, twórczym – człowiekiem, który w końcu mógłby się skupić na innych rzeczach, rzucić w wir innych zainteresowań, wolny od tego ciągłego niepokoju, który ogarniał mężczyznę w okresie dojrzewania i nie ustępował, póki nie nadeszło starcze niedołęstwo. Nic zatem dziwnego, że chwilę później wyobrażał już sobie niejaką Claire Haggerty leżącą w jego łóżku bez odzienia na szczupłym, giętkim ciele, pozwalającą mu się dotykać z łagodną uległością kota i z niewypowiedzianą rozkoszą reagującą na te same pieścizny, które w Jane wzbudzały zaledwie kurtuazyjne westchnienie. Wydało mu się ironią losu, że rozumie przeżycia tej nieznanym, podczas gdy niewiele wie o odczuciach własnej małżonki, która – przypomniał sobie nagle – oczekuje w jakimś zakątku domu na lekturę nowego listu.

Opuścił kuchnię i udał się na poszukiwanie Jane, wykonując po drodze uspokajające ćwiczenia oddechowe. Znalazł ją siedzącą w salonie z książką i bez słowa położył list na stoliku niczym ktoś, kto stawia kieliszek zatrutego wina i wycofuje się, by czekać na skutki jego działania. Z całą pewnością list wywrze wrażenie na Jane, podobnie jak wywarł je na nim, i zmusi ją do przemyślenia swego podejścia do fizycznej strony miłości, tak jak poprzedni zmusił do przemyślenia duchowej. Wells wyszedł do ogrodu, by odetchnąć nocnym powietrzem. Patrzył w niebo, którym zawładnęła śnieżnobiała pełnia księżyca. Ilekroć spoglądał na firmament, czuł się kimś nieistotnym, lecz dziś dołączyło do tego poczucie niezdarności, które rodziło się zawsze, gdy ktoś, w tym wypadku niejaką Claire Haggerty, radził sobie ze światem znacznie lepiej niż on i z większą spontanicznością. Stał w ogrodzie, dopóki nie uznał, że nadeszła chwila sprawdzenia, jak wpłynęła na jego małżonkę lektura listu.

Wszedł do domu niespiesznie, niemal bezszelestnie, a nie zastawszy jej ani w salonie, ani w kuchni, ruszył do sypialni. Jane stała przy oknie. Blask księżyca obrysowywał jej nagie, chętne ciało. Rozdarty między zdumieniem a żądzą studiował wymiary, proporcje, elastyczną mądrość, z jaką te fragmenty kobiety, które do tej pory widywał z osobna albo wyczuwał ich kształty pod materiałem, łączyły się w większy obraz, tworząc wolną, eteryczną istotę sprawiającą wrażenie, jakby lada chwila miała się wznieść do lotu. Podziwiał plastyczną giętkość piersi, bolesne wcięcie w tali, urokliwe wzniesienia bioder, ciemne runo łona i ruchliwe zwierzątka stóp, podczas gdy ona uśmiechała się szeroko, zadowolona z inspekcji, jakiej poddawały ją zdumione oczy małżonki. Wtedy pisarz zrozumiał, co powinien zrobić. Jakby wypełniał rozkazy suflera szepczącego doń z niewidzialnej budki, błyskawicznie uwolnił się z ubrania i stanął nagi w blasku księżyca, który posłusznie oświetlił jego kościste i wątle ciało. Mąż i żona objęli się pośrodku sypialni, czując przyjemne tarcie skóry o skórę, jakiego nigdy dotąd nie zaznali. Dalsze pieścizny także jawiły im się silniejszymi, jako że mając w głowach słowa Claire Haggerty, każdą pieściznę i każdy pocałunek odczuwali ze zdwojoną mocą. Doznawali zawrotów głowy, rzeczywistych lub wymyślonych, poddali im się entuzjastycznie i zachłannie, pragnąc poznawać się wzajemnie i podbijać obszary znajdujące się poza zamkniętym ogrodem przyjemności.

Później, gdy Jane zasnęła, Wells wymknął się z łóżka, chwycił pióro i przepełniony nieopohamowaną euforią, pisał pospiesznie:

Najdroższa!

Jakże wyczekuję dnia, w którym wreszcie będę mógł poczuć wszystko, o czym mi opowiadasz. Cóż mogę Ci powiedzieć oprócz tego, że Cię kocham i że będę Cię kochał tak, jak mówisz? Będę Cię czule całował, pieścił powoli i z czcią i wejdem w Ciebie najostrożniej, jak to możliwe, czując podwójną rozkosz na myśl o wszystkim, co czujesz Ty, Claire.

Czytając ognisty list Wellsa, Tom nie potrafił wyzbyć się podejrzeń. Wiedział, że pisarz podaje się za niego, ale prześladowała go myśl, że te słowa mógłby wypowiedzieć również w swoim imieniu. Wells ewidentnie czerpał z całej mistyfikacji przyjemność. „Co pomyślałaby o tym jego żona?” – za-

stanawiał się Tom. Złożył list, schował go do koperty i umieścił pod kamieniem obok grobu tajemniczego Peacheya. W drodze powrotnej nie mógł przestać myśleć o słowach pisarza. Czuł się usunięty z gry, którą sam wymyślił, i zredukowany do roli prostego posłańca.

Już Cię Kocham, Claire. Już Cię Kocham. Ujrzenie Cię będzie zaledwie kolejnym krokiem naprzód. A świadomość, że wygramy tę krwawą wojnę, podwoi moją radość. Będę walczył z Salomonem w pojedynku na rapiery? Jeszcze kilka dni temu wątpiłbym w Twój rozsądek, Kochana: nigdy bym nie pomyślał, że postanowimy rozstrzygnąć konflikt za pomocą tak prehistorycznej broni. Dziś rano jednak, gdym się włóczył po ruinach Muzeum Historii Naturalnej, jeden z moich ludzi znalazł rapierski, uznał, że jest godzien rangi kapitana, i jakby idąc za Twoją radą, z powagą mi go wręczył. Teraz wiem, że muszę ćwiczyć posługiwanie się tą bronią, by wziąć udział w pojedynku, z którego wyjdę zwycięsko, bo pewność, że wpatrują się we mnie Twe piękne oczy, doda mi sił.

Ściskam Cię gorąco z przyszłości,

D.

Owładnięta słabością Claire padła na łożo i rozkoszowała się licznymi doznaniem, jakie wzbudziły w jej sercu słowa dzielnego kapitana Shackletona. A więc będzie walczył z Salomonem świadom, że ona go obserwuje... Przez dłuższą chwilę kręciło jej się w głowie. Gdy doszła do siebie, starannie wsunęła kartkę do koperty i nagle uświadomiła sobie, że dostanie już tylko jeden list ukochanego. Jak zdoła bez nich wytrzymać?

Starła się o tym nie myśleć. Sama musiała jeszcze napisać dwa. Tak jak obiecała Derekowi, w ostatnim opowie mu o spotkaniu w roku dwutysięcznym... O czym jednak miała napisać w najbliższym? Nieco zatrwożona uświadomiła sobie, że po raz pierwszy treść listu nie została jej narzucona. Że może napisać ukochanemu wszystko, czego dotąd nie napisała, zwłaszcza że do tej pory musiała się bardzo starać, by nie ujawnić informacji zagrażających tkance czasu, która okazała się krucha niczym szkło. Po namyśle postanowiła opowiedzieć mu, jak wyglądają jej obecne dni, dni zakochanej bez ukochanego. Usiadła przy biurku i ujęła pióro:

Najdroższy!

Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczą Twoje listy. Wiem, że otrzymam jeszcze zaledwie jeden, i wywołuje to w mej duszy głęboki smutek. Zapewniam Cię jednak, że będę silna, nie zwątpię, nie przestanę o Tobie myśleć i czuć Twojej obecności przy mnie w każdej sekundzie tych długich dni. I nie pozwolę rzecz jasna, by inny mężczyzna zbrukał naszą miłość, choć wiem, że nigdy więcej Cię nie ujrzę. Wolę się napawać wspomnieniem Ciebie, nie bacząc na to, że matka – której, oczywiście, o niczym nie powiedziałam, bo moja miłość nie miałaby dla niej znaczenia, a Ty byłbyś jedynie bezużytecznym złudzeniem – wciąż mnie umawia z najbardziej wpływowymi kawalerami w mieście. Przyjmuję ich uprzejmie, a potem zabawiam się w wynajdywanie najbardziej absurdalnych defektów, by móc ich odrzucić. Matka spogląda na mnie z niedowierzaniem, a moja reputacja z każdym dniem podupada: jestem na jak najlepszej drodze do zostania starą panną przynoszącą wstyd rodzinie. Cóż jednak mnie obchodzi cudze zdanie? Jestem ukochaną dzielnego kapitana Dereka Shackletona, choć muszę tę miłość ukrywać.

Prócz brania udziału w tych nużących spotkaniach poświęcam czas tylko Tobie, najdroższy. Nauczyłam się czuć Twoją obecność mimo dzielącego nas stulecia, twoje musnięcia niczym ulotną woń perfum. Wciąż czuję Twoją bliskość i widzę Twe tkliwe spojrzenie, choć czasem mi smutno, że nie mogę Cię dotknąć; że jesteś zaledwie bezcielesnym widmem i nie możesz mi towarzyszyć. Że nie możemy spacerować pod rękę po Green Parku, że nie zobaczysz zachodu słońca nad Serpentine, trzymając mnie za rękę, nie poczujesz zapachu narcyzów, które uprawiam w ogrodzie, a których woń zdnieniem moich sąsiadek niesie się na całą St. James's Street.

Pisarz jak zwykle oczekiwał go w kuchni. Tom bez słowa podał mu list i oddalił się. Cóż mógłby powiedzieć? Choć w gruncie rzeczy wiedział, że to nieprawda, nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że Claire pisze do Wellsa, a nie do niego. Czuł się w tej historii miłosnej intruzem, zgniał połową jabłka.

Wells natychmiast rozłożył list i zabrał się do zachłannego czytania starannej kaligrafii dziewczyny:

Niezależnie od tego, Dereku, będę Cię kochać, póki mój żywot nie dobiegnie kresu. I nikt nie będzie mógł zaprzeczyć, że był to żywot szczęśliwy. Wiem od Ciebie, że więcej się nie spotkamy, i choć jestem dzielna, chwilami ta świadomość staje się tak nieznośną, że próbuję sobie wmawiać, iż nie masz racji. Nie chcę powiedzieć, że podważam Twe słowa, ukochany. Bynajmniej! Lecz Derek, który je wypowiedział w herbaciarni, powtarzał jedynie moje własne słowa – te, które tu piszę – zaś Derek, który po naszym upojnym spotkaniu pospiesznie wrócił do swoich czasów, Derek, którym jeszcze nie jesteś, być może nie zniesie myśli, że miałby mnie już nie ujrzeć, i znajdzie sposób na powrót do mnie. Tego, co robi, nie wiemy jeszcze ani Ty, ani ja, gdyż jego droga musi zatoczyć koło. W tym, najdroższy, pokładam nadzieję. Być może naiwną, lecz potrzebną. Obym ujrzała Cię znowu. Oby Cię do mnie zwabił aromat narcyzów.

Wells złożył list, ponownie umieścił go w kopercie i położył na stole, po czym długo mu się przyglądał. Następnie wstał, pochodził w tę i z powrotem po kuchni, znów usiadł, znów wstał, pochodził jeszcze trochę i w końcu ruszył na stację Woking, by wynająć powóz.

– Jadę do Londynu, by załatwić pewną sprawę – oznajmił pracującej w ogrodzie Jane, ze wszystkich sił starając się uspokoić rozszalałe serce.

Popołudniową porą St. James's Street wydawała się niemal uśpiona. Wells kazał zatrzymać powóz na skraju ulicy i poprosił, by woźnica zaczekał. Poprawił cylinder, wyrównał muszkę i zachłannie niczym pies gończy wciągnął w płuca powietrze. Doszedł do wniosku, że ów nikły, kuszący i nieco przypominający woń jaśminu aromat, który przebija spod odoru końskiego łajna, musi być zapachem narcyzów. Spodobała mu się symbolika, jaką nadawały tej scenie, wiedział bowiem z lektury, że wbrew powszechnemu mniemaniu kwiat ów nie zawdzięcza swej nazwy pięknemu greckiemu bogu, lecz właściwościom narkotyzującym. Cebulka, z której wyrastał narcyz, posiada w swym składzie halucynogenne alkaloidy, co wydało się Wellswowi wyjątkowo wymowne: czyż wszyscy oni – dziewczyna, Tom, a także on sam – nie padli ofiarą halucynacji? Rozejrzał się po długiej zacienionej ulicy i ruszył chodnikiem, udając leniwego przechodnia, choć w miarę zbliżania się do domniemanego źródła aromatu czuł, jak zasycha mu w ustach. Po co tu przyjechał, co zamierzał? Nie miał pewności. Wiedział jedynie, że musi się zobaczyć z dziewczyną, spojrzeć w twarz adresatce swoich płomiennych słów albo też, jeśli jej nie zastanie, rzucić choć okiem na dom, w którym pisała te cudowne listy. Może to wystarczy.

Nim się obejrzał, stał przed doskonale zadbanym ogrodem z niewielką fontanną w rogu, otoczonym metalowym płotem oplecionym pnącymi się leniwie kwiatami o dużych bladożółtych płatkach. Biorąc pod uwagę fakt, że przy ulicy nie było żadnego innego ogrodu, który mógłby dorównać urodą temu, Wells uznał, że te kwiaty muszą być narcyzami, a elegancki dom miejscem zamieszkania Claire Haggerty, nieznanym, do której miłość udawał z zaangażowaniem, jakiego nie potrafił okazać małżonce, którą przecież kochał naprawdę. Nie chcąc jednak zbyt długo rozmyślać nad tym paradoksem, doskonale zresztą pasującym do jego przekornej natury, zbliżył się do płotu i niemal wetknął nos między pręty, usiłując dostrzec poprzez zdobione witrażami szyby coś, co nadałoby sens jego nagłemu przybyciu w to miejsce.

Wtedy dopiero zauważył dziewczynę, z pewną konsternacją obserwującą go z rogu ogrodu. Zasko-

czony, usiłował ukryć niezdrową ciekawość, lecz nieszczęśliwie mu się to udało – zwłaszcza że natychmiast pojął, iż obserwująca go podejrzliwie panna to nie kto inny jak Claire Haggerty. Uśmiechnął się niewinnie i groteskowo uprzejmie.

– Piękne narcyzy, panienko – oznajmił piskliwie. – Ich zapach rozchodzi się na całą ulicę.

Uśmiechnęła się i podeszła nieco bliżej; wystarczająco, by pisarz mógł dostrzec jej urodę i fili-granową sylwetkę. Wreszcie mógł się rozkoszować jej widokiem, niestety w ubraniu. Mimo nieco zadartego noska psującego dostojną urodę greckiego posągu, a może właśnie przez niego, jawiła mu się jako naprawdę urocza istotka. To ona, adresatka jego listów, fałszywa ukochana.

– Dziękuję, bardzo pan miły – odparła.

Otworzył usta, lecz natychmiast je zamknął. Cokolwiek chciał powiedzieć, sprzeciwiało się regu-łom gry, w której zgodził się uczestniczyć. Nie mógł jej zdradzić, że choć jest niewysoki i wydaje się pospolity, to właśnie on pisał słowa, bez których – jak twierdziła – nie potrafiłaby żyć. Nie mógł zdradzić, że zna szczegóły jej cielesnych doznań. Tym bardziej zaś nie mógł wyjawić, że to wszystko jest farsą, ostrzec jej, by nie oddawała się tej wyimaginowanej miłości, przekonać, że podróże w czasie są niemożliwe i że nie istnieje żaden kapitan Shackleton toczący wojnę z automatami w roku dwutysięcznym. Ujawnienie, że wszystko to jest wyrafinowanym kłamstwem, byłoby jak podanie dziewczynie pistoletu, by mogła sobie strzelić w serce. Tymczasem zauważył, że ona przygląda mu się, jak gdyby jego twarz wydawała jej się znajoma. W obawie przed rozpoznaniem pospiesznie uniósł dłoń do cylindra, skłonił się uprzejmie i ruszył przed siebie, starając się nie iść zbyt szybko. Zaintrygowana Claire przez kilka minut spoglądała za nim, by ostatecznie, wzruszywszy ramionami, udać się do domu.

Z przeciwległego chodnika ukryty za murem Tom patrzył, jak dziewczyna znika w środku. Dopiero wtedy wyszedł z kryjówki i pokręcił głową. Widok Wellsa zaskoczył go, ale nie zanadto. Pisarza też nie zdumiałaby obecność Toma w tym miejscu. Najwyraźniej żaden z nich nie zdołał się oprzeć poku-sie odszukania domu dziewczyny, którego adres dyskretnie ujawniła w nadziei, że w razie swego po-wrotu Shackleton zdoła ją odnaleźć.

Tom wrócił do swojej nory na Buckeridge Street. Zachodził w głowę, co myśleć o wizycie Well-sa. Czyżby pisarz zakochał się w dziewczynie? Raczej nie. Prawdopodobnie udał się pod jej dom z czystej ciekawości. Czy on sam na miejscu tamtego nie miałby ochoty spojrzeć w twarz dziewczynie, do której pisał słowa, jakich prawdopodobnie nigdy nie wypowiedział do własnej żony? Z uczuciem potwornego zmęczenia Tom opadł na łóżko, lecz po zaledwie kilku godzinach niespokojnego snu wstał przed świtem i ruszył w długą wędrówkę do domu pisarza. Ciągłe przemierzanie tej trasy wzmacniało jego kondycję bardziej niż ćwiczenia Murraya, którego zbir nie pojawił się ponownie, by go ukarać za bezczelne uchylanie się od obowiązków. Tom jednak pozostawał czujny.

Tym razem zastał pisarza siedzącego na schodkach werandy. On też nie wyglądał na wypoczętego. Wydawał się skacowany i miał podkrążone, dziwnie błyszczące oczy. Prawdopodobnie przez całą noc pisał list, który teraz trzymał w dłoniach. Na widok Toma skinął mu lakonicznie głową i wręczył kopertę, unikając jego wzroku. Tom chwycił ją i nie chcąc zakłócać wymownej ciszy, obrócił się, by odejść. Zatrzymał go głos Wellsa.

– Przyniesie mi pan jej list, choć nie będę już musiał nań odpisywać?

Tom patrzył na niego z głębokim smutkiem. Nie wiedział, czy żałuje pisarza, siebie, czy nawet Claire. W końcu nieco posepnie przytaknął i odszedł. Dopiero gdy był już dostatecznie daleko, otwo-rzył kopertę i zaczął czytać:

Najdroższa!

W moim świecie nie ma narcyzów. Nie pozostał w nim ślad żadnego kwiatu, lecz zapewniam Cię,

że czytając Twój list, niemal czuję ich zapach. Wyobrażam sobie, że wsłuchani w szmerzącą fontannę siedzimy w ogrodzie, o którym tyle mi opowiedziałaś, zapewne starannie wypielegnowanym przez Twe perłowe dłonie. Dzięki Tobie, kochana, nawet tu, na drugim brzegu czasu, mogę wdychać aromat Twoich kwiatów.

Potrząsnął głową świadom, jak poruszą dziewczynę te słowa. Znowu jej pożałował, przede wszystkim zaś poczuł wstręt do własnej osoby. Claire nie zasłużyła na takie traktowanie. Owszem, te listy ratowały jej życie, ale w gruncie rzeczy jedynie naprawiały szkodę, którą on sam egoistycznie wyrządził tylko po to, by zaspokoić własną chęć. Nie miał się czym szcycić: zapobiegł jej samobójstwu i natychmiast zapomniał o całej sprawie, pozwalając, by przez jego kłamstwo resztę życia spędziła pogrzebana w krypcie iluzji. Długi spacer na wzgórze pozwolił mu skryzlować myśli i dojść do wniosku, że jedynym zadośćuczynieniem, jakie uwolni go od wyrzutów sumienia, może być pokochanie dziewczyny naprawdę, urzeczywistnienie miłości, za którą gotowa była się poświęcić – innymi słowy sprawienie, że Shackleton wróci z dalekiego roku dwutysięcznego, ryzykując dla niej życie i spełniając jej największe pragnienie. Tylko to mogło całkowicie zmazać jego winy. Zarazem jednak była to jedyna rzecz, jakiej zrobić nie mógł.

Na widok dziewczyny obok dębu stanął jak wryty. Mimo odległości natychmiast ją rozpoznał. Oslaniała się przed słońcem parasolką, którą jej przyniósł z przyszłości. Co ona u licha tam robiła? U stóp wzgórza zauważył powóz z przysypiającym na koźle woźnicą. Pobiegł i ukrył się za krzakami, nie czekając, aż któreś z nich go zobaczy. Mimo zaskoczenia nie miał najmniejszych wątpliwości, że Claire przyszła tu, by się z nim spotkać. Z nim, a raczej z kapitanem Shackletonem, który miał przybyć z roku dwutysięcznego, wynurzając się z powietrznego zawirowania. Niezdolna pogodzić się z jego nieobecnością dziewczyna postanowiła rzucić wyzwanie losowi, a najprostszym sposobem było udanie się w miejsce, w którym kapitan zostawiał listy. Rozpacz popchnęła ją do zrobienia czegoś, czego nie przewidywał scenariusz. Ukryty w krzakach Tom przeklął siebie za to, iż taka ewentualność do tej pory nie powstała mu w głowie, zwłaszcza że miał do czynienia z dziewczyną, która już dawno dowiodła swojej inteligencji i odwagi.

Cały ranek przesiedział w kryjówce, ze smutkiem patrząc, jak Claire przechadza się małymi kroczkami wokół dębu. W końcu zrezygnowała i wsiadła do powozu, by wrócić do Londynu. Dopiero wtedy Tom wyszedł zza krzaków, zostawił list pod kamieniem i ruszył do miasta, powtarzając w głowie bolesne słowa, którymi Wells zakończył korespondencję:

Żal niewymowny ogarnia mnie na myśl, że piszę do Ciebie po raz ostatni, ukochana. Sama mi to powiedziałaś, a ja Ci wierzę. Chciałbym pisać dalej, aż do naszego majowego spotkania, ale cała ta historia pokazuje wyraźnie, że nasza przyszłość jest już zaplanowana i że Tyją poznałaś – przypuszczam zatem, że stanie się coś, co uniemożliwi mi wysyłanie do Ciebie kolejnych listów. Prawdopodobnie będzie to zakaz używania wehikułu i zakończenie mojej bezowocnej misji. Targają mną, jak się zapewne domyślasz, sprzeczne uczucia: z jednej strony cieszę się, że nie jest to definitywne pożegnanie, gdyż wkrótce Cię zobaczę, lecz z drugiej serce mi pęka na myśl, że Ty nigdy już mnie nie ujrzysz. Nie oznacza to jednak, że moja miłość ustanie. Przysięgam Ci, Claire, że wciąż będę Cię kochał. Tego jednego jestem pewien. Zawsze będę Cię kochał w swoim świecie bez kwiatów.

D.

Claire ze łzami w oczach zasiadła przy biurku, westchnęła głęboko i zanurzyła pióro w kałamarzu. Ja także, ukochany, piszę do Ciebie po raz ostatni, i choć chciałabym zacząć od wyznania Ci swojej wielkiej miłości, muszę być uczciwa wobec siebie i przyznać ze wstydem, że przed kilkoma dniami popełniłam głupstwo. Tak, Dereku, najwyraźniej nie jestem tak silna, jak sądziłam, skoro postanowiłam pójść pod dąb i czekać, aż się pojawisz. Twa nieobecność jest dla mnie zbyt bolesna. Pragnę-

łam Cię zobaczyć, choćby to miało zmienić tkankę czasu. Nie zjawiałeś się jednak przez cały ranek, a ja nie mogłam dłużej przebywać poza domem, nie budząc zainteresowania matki. I tak musiałam się natrudzić, by nasz woźnica, Peter, nie powziął podejrzeń. Cóż by sobie pomyślał, widząc, jak nagle wyłaniasz się z nicości? Pewnie wszystko by się wydało i nastąpiłaby jakaś potworna katastrofa czasowa. Teraz pojmuję, że zachowałam się jak nierozsądna dziewczynka, bo choćby Peter – który przygląda mi się zdziwiony, ilekroć proszę, by mnie tam zawiózł, lecz do tej pory nie zdradził tego matce – niczego nie zobaczył, nasze nieplanowane spotkanie i tak wywołałoby zmiany w czasie: w takim wypadku nie zobaczyłbyś mnie po raz pierwszy 20 maja 2000 roku i wszystko nagle by się zmagmatowało, a nic nie byłoby takie, jakie miało być. Na szczęście jednak, mimo iż nie byłam z tego ani odrobinę zadowolona, nie pojawiłeś się. Przypuszczam, że przybyłeś po południu, bo następnego dnia znalazłam piękny list. Licząc na Twoją wyrozumiałość, Dereku, i na to, że przebaczysz mi ten nierozumny postępek, który postanowiłam Ci wyznać, by nie sprawiać wrażenia, że składam się z samych zalet, na znak moich uczuć posyłam Ci mały prezent, żebyś nie musiał sobie wyobrazać, czym jest kwiat.

Napisawszy to, wstała, zdjęła z półki egzemplarz *Wehikułu czasu*, otworzyła go i wyjęła spomiędzy stronic narcyza, którego tam umieściła, by się zasuszył. Po ukończeniu listu ucałowała delikatne płatki kwiatu i ostrożnie włożyła go do koperty.

Peter nadal o nic nie pytał. Nie czekając na instrukcje, ruszył w kierunku wzgórza Harrow. Gdy tam dotarli, Claire wspięła się do dębu i ukradkiem umieściła list pod kamieniem. Potem przez chwilę rozglądała się po okolicy, żegnając miejsce, które było świadkiem jej szczęścia, milczące łąki zieleniące się jaskrawo w blasku poranka, pola pszeniczne podkreślające horyzont złotą kreską. Popatrzyła na grób Johna Peacheya, zastanawiając się, jakie życie wiódł ten nieznajomy. Czy poznał prawdziwą miłość, czy też odszedł, nie zakosztowawszy jej. Wciągnęła haust powietrza i niemal poczuła unoszący się w nim zapach Dereka, jak gdyby jego wizyty odcisnęły na tym miejscu słodkie piętno. Wiedziała jednak, że to jedynie wytwór jej wyobraźni spowodowany rozpaczliwym pragnieniem ponownego ujżenia ukochanego. Musiała się pogodzić z rzeczywistością, przygotować na spędzenie reszty życia bez niego, nasłuchując ech jego miłości dochodzących z drugiego krańca czasu. Jeszcze dziś, jutro, a może pojutrze widmowa ręka sięgnie po jej ostatni list i wszystko się skończy, pozostawiając jedynie samotność rozwijającą się u jej stóp niczym nieskończony dywan.

Wróciła do powozu i wsiadła, nie wydając Peterowi żadnego polecenia. Nie potrzebował go. Gdy tylko usadowiła się w środku, z wyrazem rezygnacji na twarzy ruszył do Londynu. Ledwie zniknęli, Tom zeskoczył z gałęzi, na którą się wdrapał, by po raz ostatni przyjrzeć się dziewczynie. Mógłby nawet jej dotknąć, gdyby sobie na to pozwolił. Teraz jednak, spełniwszy swój kaprys, musiał na zawsze zniknąć z jej życia. Wyjął list spod kamienia, usiadł oparty o pień i z wyrazem rozpaczliwej przystąpił do lektury.

Tak jak przewidziałeś, Dereku, wkrótce zakazą używania wehikułu i podróże w czasie staną się dla Ciebie niemożliwe, dopóki nie pokonasz nikczemnego Salomona. Wtedy postanowisz zaryzykować życie, po kryjomu korzystając z wehikułu, by się cofnąć do mojej epoki. Pozwól zatem, że opiszę Ci krok po kroku, jak dojdzie do naszego spotkania, i co musisz następnie uczynić. Jak już wspominałam, stanie się to 20 maja 2000 roku. Tamtego ranka Ty i Twoi ludzie urządzicie zasadzkę na Salomona. Na pierwszy rzut oka mimo inteligentnego rozmieszczenia Twoich wojsk bitwa nie będzie dla Was przebiegała pomyślnie, lecz nie przejmuj się tym, bo u jej kresu Salomon zaproponuje Ci sposób na ostateczne rozstrzygnięcie konfliktu za pomocą pojedynku na rapiery. Zgódź się bez wahania, najdroższy, bo wyjdiesz z tej walki zwycięsko. Zostaniesz bohaterem, a bitwa, która zakończy panowanie automatów nad rodzajem ludzkim, stanie się początkiem nowej ery – turyści z mojej epoki z za-

partym tchem będą podróżować w przyszłość, by ją obserwować.

Ja także wybiorę się w taką podróż i ukryta wśród gruzów będę patrzeć, jak walczysz z Salomonem. Zamiast jednak powrócić wraz z pozostałymi, schowam się w ruinach z zamiarem pozostania w Twoim świecie, gdyż jak Ci wiadomo, w swoich czasach nie czuję się dobrze. Tak, to niezadowolenie, które towarzyszyło mi przez całe życie niczym bolesna dolegliwość i nie zdawało się przynosić żadnej korzyści, pomoże nam się poznać. Uprzedzam jednak, że nasze spotkanie nie będzie, choćbyśmy nie wiem jak sobie tego życzyli, zbyt romantyczne, lecz raczej wstydlive, zwłaszcza dla Ciebie, Dereku. Nawet dziś śmieję się serdecznie na jego wspomnienie. Z Twojego nietaktownego zachowania wnoszę wszak, że nie powinnam Ci zdradzić ani słowa więcej, bo gdybym to uczyniła, prawdopodobnie zachowałbyś się inaczej. Musisz jedynie wiedzieć, że podczas tego przelotnego spotkania upuszczę parasolkę i kiedy potem przeniesiesz się w czasie, by mnie poznać i pokochać, użyjesz jej zwrotu jako pretekstu, by mnie zaprosić na herbatę. Oczywiście, aby wszystko odbyło się tak, jak powinno, musisz się pojawić w naszych czasach przed rozpoczęciem naszej korespondencji. Zjawienie się później nie miałoby sensu, bo to właśnie Ty masz mnie skłonić do pisania. Musisz się pojawić dokładnie 6 listopada 1896 roku i w południe tego dnia udać się na targ w Covent Garden, odnaleźć mnie i zaproponować mi wieczorne spotkanie. Resztę już wiesz. Jeśli to wszystko uczynisz, krąg się zamknie i wszystko, co nastąpiło, nastąpi.

To już koniec, najmilszy. Za kilka miesięcy rozpocznie się dla Ciebie nasza historia, która dla mnie, niestety, kończy się wraz z postawieniem ostatniej kropki w tym liście. Nie zamierzam jednak pisać „żegnaj” i wyzbyć się resztek nadziei na ponowne spotkanie. Jak już wspominałam, od tej pory będę się karmić nadzieją, że powrócisz i mnie odnajdziesz. Musisz jedynie podążać za zapachem kwiatu, który znajdziesz w koperce.

Szczerze Ci oddana,

C.

Z westchnieniem konsternacji Wells złożył otrzymany od Toma list i odłożył na biurko. Podniósł kopertę i odwrócił ją, lecz była pusta. Na co liczył? Kwiat nie był przeznaczony dla niego. W blasku popołudniowego słońca, które wpadało przez okno do kuchni, uświadomił sobie, że za bardzo się łądził. Choć można by odnieść takie wrażenie, nie on był bohaterem sielankowej przygody w czasie. Przyjrzał się swojej pustej dłoni, idiotycznie wyciągniętej przed siebie, jakby sprawdzała, czy w domu pada deszcz, i nie potrafił się pozbyć poczucia, że jest w tej historii intruzem, zgniłą połową jabłka.

Z wielką ostrożnością Tom umieścił delikatny kwiat między kartkami jedynej książki, jaką posiadał – sfatygowanego egzemplarza *Wehikułu czasu*. Postanowił podarować Wellsowi listy Claire jako wyraz wdzięczności za wyświadczone usługi, przede wszystkim jednak dlatego, że w głębi duszy uważał, iż mu się należą. Z tego samego powodu zostawił sobie otrzymany w ostatniej przesyłce kwiat – ten bowiem należał się jemu. A przesłanie, które ze sobą niósł, było wyraźniejsze niż to zawarte w listach.

Legł na rozklekotanym wyrku, zastanawiając się, co się stanie z Claire Haggerty teraz, gdy okres korespondencji się zakończył i kiedy miała pewność, że istotnie przeżyła idylliczną miłość z mężczyzną z przyszłości. Wyobrażał ją sobie, jak codziennie myśli o nim od rana do wieczora, podczas gdy lata płyną i prawdziwe życie przecieka jej przez palce. Ten niesprawiedliwy los, do którego Tom się przyczynił, albo raczej który wyreżyserował, wywoływał w nim przygnębienie, lecz młodzieniec nie potrafił znaleźć takiego sposobu na rozwiązanie problemu, jaki jeszcze bardziej nie skomplikowałby sytuacji. Pocieszało go jedynie to, że w jednym z listów Claire zapewniła, iż umrze szczęśliwa. Być może w gruncie rzeczy tylko to się liczyło. Prawdopodobnie będzie szczęśliwsza, przeżywszy tę wyimaginowaną sielankę, niż gdyby wyszła za jednego ze swoich absztyfikantów. Jeśli tak, to nie miało znaczenia, że jej szczęście wyniknęło z kłamstwa, skoro ona nigdy tego nie odkryje i umrze nieświadoma faktu, że padła ofiarą oszustwa, skoro doczeka kresu swoich dni w przekonaniu, że kochała i była kochana przez kapitana Dereka Shackletona.

Porzucił rozmyślenia o losie dziewczyny i skupił się na własnym. Ukrywając się i śpiąc na polach, zdołał pozostać przy życiu i wypełnić swój plan ratowania Claire. Teraz był gotów umrzeć, a nawet pragnął śmierci, bo nie pozostało mu w życiu nic do zrobienia, nie licząc tej nędznej egzystencji, która jawiła mu się jako zadanie wyjątkowo męczące i pozbawione sensu, a ponadto znacznie trudniejsze w realizacji obecnie, gdy w jego sercu niczym bolesna zadra tkwiło wspomnienie Claire. Minęło jednak dwanaście dni od ich spotkania w herbaciarni na oczach całego Londynu, a nasłany przez Gilliana zabójca nadal go nie odnalazł. Na Salomona, który najwyraźniej postanowił pozostać w jego snach, także nie mógł liczyć – a przecież ktoś musiał go zabić, bo w przeciwnym razie czekała go śmierć głodowa. Czy powinien ułatwić swemu katowi zadanie? Jakby tych wątpliwości było mało, za dwanaście dni miała się odbyć trzecia wyprawa do roku dwutysięcznego, do której wkrótce rozpoczynały się próby. Czyżby Gilliam oczekiwał, że Tom stawi się na Greek Street, i chciał go zabić własnoręcznie w swojej siedzibie? Przybycie na próbę było równoznaczne z dobrowolnym oddaniem się na pożarcie, lecz Tom wiedział, że ostatecznie to zrobi, choćby po to, by wreszcie rozwiązać zagadkę swego losu.

W tym momencie ktoś zastukał mocno w drzwi jego pokoju. Tom podniósł się gwałtownie, ale nie miał najmniejszego zamiaru otwierać. Wyczekiwał w napięciu, gotowy na wszystko. Czyżby wreszcie nadszedł jego kres? Chwilę później bębnienie się powtórzyło.

– Tom? Jesteś tam, leniu przeklęty? – wrzasnął ktoś z zewnątrz. – Otwórzże, bo wyważę drzwi!

Natychmiast rozpoznał głos Jeffa Wayne'a. Schował książkę Wellsa do kieszeni i niechętnie otworzył drzwi. Jeff wpadł do pokoju i entuzjastycznie zamknął przyjaciela w uścisku pytona. Zza jego pleców pomachali mu Bradley i Mike.

– Gdzieś ty się ostatnio ukrywał, Tom? Wszędzieśmy cię szukali. Jakaś historia ze spódniczkami? Zresztą nieważne. Znaleźliśmy cię w odpowiednim momencie. Nasz stary przyjaciel Mike urządza dziś wielką uroczystość – oznajmił, wskazując olbrzymia, który z roztargnieniem stał przy drzwiach.

Z chaotycznej opowieści Jeffa Tom wywnioskował, że kilka dni wcześniej Mike wykonał dla Murraya specjalną misję. Wcielił się ni mniej, ni więcej tylko w Kubę Rozpruwacza, zwyrodnialca, który jesienią 1888 roku zamordował w Whitechapel pięć prostytutek.

– Jedni się rodzą, by grać bohaterów, a inni... – Jeff wzruszył ramionami. – Ważne, że zagrał główną rolę, a to zasługuje na niezłą balangę, co?

Tom przytaknął. Cóż innego mógł zrobić. Uczta, z całą pewnością niebędąca pomysłem Mike'a Spurrella, tylko Jeffa, który nigdy nie przepuszczał okazji do wydania cudzych pieniędzy, ani trochę go nie kusiała, lecz nie miał siły odmówić. Przyjaciele niemal siłą zepchnęli go ze schodów i zaciągnęli do pobliskiej tawerny, gdzie rozstawione na stole wynajętej sali sterty kiełbasek i pieczeni dość szybko pokonały jego słaby opór. Może i towarzystwo było mu nie w smak, ale gdyby wyszedł, żołądek nigdy by mu tego nie wybaczył. Wszyscy czterej z radosnym śmiechem rozsiedli się przy stole i pałaszowali, aż im się uszy trzęsły, jednocześnie strojąc sobie żarty z roli Mike'a.

– To wcale nie było łatwe, Tom – powiedział wielkolud. – Musiałem nosić na piersi przymocowaną żelazną płytę, żeby kula mnie nie przebiła, a nawet sobie nie wyobrażasz, jak trudno udawać trupa, mając na sobie żelazny gorset!

Pozostali wybuchnęli śmiechem. Jedli i pili dalej, a kiedy jadła i napitku zaczęło brakować, a alkohol mocno już szumiał im w głowach, Bradley wstał, obrócił krzesło, położył dłonie na oparciu, jakby to był pulpit, i z przesadną powagą przyglądał się towarzyszom. Na każdej pijatyce przychodził nieuchronny moment, w którym Bradley prezentował swój talent mimetyczny. Tom odchylił się w krzesło, uznając, że skoro już zaspokoił głód, wytrzyma jakoś ten spektakl.

– Panie i panowie, za chwilę wezmą państwo udział w najdonioślejszym wydarzeniu stulecia: podróży w czasie! – obwieścił gardłowym głosem. – Proszę tak na mnie nie patrzeć. Oczywiście nasze biuro podróży nie ogranicza się do organizacji wypraw. Bynajmniej! Dzięki naszym wysiłkom będą państwo mogli uczestniczyć w najważniejszym momencie historii ludzkości. Mam na myśli, rzecz jasna, walkę dzielnego kapitana Dereka Shackletona ze złowrogim Salomonem, którego snom o potędzie położy definitywny kres rapier kapitana!

Rozległy się oklaski i śmiech. Rozochocony reakcją towarzyszy Bradley odrzucił głowę do tyłu i przybrał rozmarzony wyraz twarzy.

– Czy wiedzą państwo, jaki był największy błąd Salomona? Niewłaściwy wybór egzemplarza mającego posłużyć zachowaniu gatunku. Automat wybrał najgorzej, jak mógł, a jego błąd zmienił kurs historii – oznajmił z kpiącą miną. – Czy wyobrażają sobie państwo coś bardziej straszliwego niż spędzanie całego dnia na kopulacji? Oczywiście, że nie. Taki właśnie los spotkał nieszczęsnego młodzieńca. – Tu Bradley rozłożył ręce i pokręcił głową, udając zrozpaczonego. – On jednak nie tylko potrafił go znieść, ale i wykorzystał, by rosnąć w siłę i obserwować wroga, który każdego dnia z wielkim zainteresowaniem przyglądał się jego spółkowaniu, a następnie udawał do miejskiego burdelu celem inspekcji najnowszych modeli kurtyzan. W dniu, w którym kobieta powiła dziecko, młodzieniec dowiedział się jednak, że nie zobaczy, jak jego potomek dorasta. Przybył bowiem na ten świat z zadaniem zapłodnienia własnej matki, inicjując tym samym przewrotne koło, które od tej pory miało się karmić samym sobą, istnieć dzięki ciału zrodzonemu z jego ciała. Młodzieniec jednak wyszedł cało z egzekucji, zjednoczył nas i dał nam nadzieję... – Bradley odczekał chwilę dla efektu, po czym dodał: – ...choć wciąż czekamy na to, by nas nauczył równie biegle spółkować!

Gdy umilkły gromkie śmiechy, Jeff podniósł kufel.

– Za Toma, najlepszego kapitana, jakiego mogliśmy sobie wymarzyć!

Wszyscy unieśli kufle i wznieśli toast. Wzruszony gestem towarzyszy Tom z trudem powściągnął emocje.

– No, Tom, chyba rozumiesz, że teraz twoja kolej? – rzekł Jeff, klepiąc go po ramieniu, ledwie umilkły wiwaty. – Słyszeliśmy plotki, że w naszym ulubionym burdelu była nowa dostawa. I że najnowsze egzemplarze mają skośne oczy. Słyszałeś? Skośne oczy!

– Spałeś kiedyś z Azjatką, Tom? – zapytał Bradley.

Tom pokręcił głową.

– Nikt nie powinien umrzeć, zanim tego spróbuje, przyjacielu! – Jeff ze śmiechem wstał od stołu. – Te małe Chinki znają setki sposobów na sprawienie nam rozkoszy, o których nie mają pojęcia nasze kobiety.

Z wielkim tumultem opuścili tawernę. Pochód otwierał Bradley, wyliczając niezliczone zalety Chinek ku zachwytowi Mike'a, który aż się obliżywał na myśl o spotkaniu z nimi. Wyglądało na to, że są nie tylko uległe i czułe, ale też posiadają elastyczne ciała, zdolne wykonywać najróżniejsze niewiarygodne akrobacje, nie rozpadając się przy tym na kawałki. Obojętny na te wszystkie zachwyty Tom z trudem powstrzymywał się od prychnięcia. Jediną dziewczyną, na jaką miał w tej chwili ochotę, była Claire, choć nie posiadała skośnych oczu ani nadprzyrodzonej giętkości. Przypomniawsobnie, jak opisywała to, co czuła podczas ich spotkania, i zastanawiał się, co pomyśleliby jego rubasznymi, nieokrzesanymi kolegami, gdyby odkryli, że istnieje sposób odczuwania bardziej wysublimowany, niemal wprost przeciwny do prymitywnej rozkoszy, jakiej sami doznawali.

Zatrzymali powóz i wsiedli ze śmiechem. Mike usadowił swe zwaliste cielsko obok Toma, niemal wgniatając go w drzwi, a pozostała dwójka usiadła z przodu. Na rozkaz podekscytowanego, hałaśliwego Jeffa powóz ruszył. Nie mając ochoty uczestniczyć w powszechnej euforii, Tom wyglądał przez okno na niepokojąco puste z powodu późnej pory ulice. Nagle zauważył, że woźnica pomylił kierunki: wcale nie zmierzali w stronę burdelu, lecz do portu.

– Hej, Jeff! – zawołał, usiłując przekrzyczeć wrzawę. – Pomyliliśmy drogę!

Jeff obrócił się i popatrzył na niego spode łba, a jego śmiech stał się złowrogi i gardłowy. Bradley i Mike umilkli i w powozie zapadła osobliwa, przypominająca dławiącą gazę cisza.

– Nie, Tom, nie pomyliliśmy drogi – rzekł w końcu Jeff, przyglądając mu się znacząco z ponurym uśmiechem.

– Jak to nie? – upierał się Tom. – Przecież tędy się nie jedzie do...

I nagle zrozumiał. Jak to możliwe, że wcześniej się nie zorientował? Ta przesadna wesołość, toast o znamionach pożegnania, napięcie panujące w powozie... Więcej nie było trzeba. W grobowej ciszy, która nagle zapadła, trzej towarzysze przyglądali się Tomowi z pozornym spokojem, czekając, aż oswoi się z prawdą. A on ku własnemu zdumieniu uświadomił sobie, że teraz, gdy wreszcie nadeszła godzina śmierci, wcale nie chce umierać. Nie miał pojęcia dlaczego: po prostu nie chciał. Nie w ten sposób, z rąk przypadkowych katów, których zachowanie świadczyło jedynie o niezmierzonej potędze Gilliana Murraya, potrafiącego za garść banknotów zmienić każdego w mordercę. Cieszyło go jedynie, że nie ma z nimi Martina Tuckera, którego zawsze uważał za najbardziej uczciwego; że przynajmniej on nie podepcze ich przyjaźni i nie weźmie udziału w tym zbiorowym mordzie.

Westchnął ciężko, rozczarowany niestałością ludzkich charakterów, i spojrzał z dezaprobatą na Jeffa, który w odpowiedzi wrzucił ramionami, wypierając się wszelkiej odpowiedzialności za to, co miało się stać. Chciał coś powiedzieć – pewnie jakiś banał o tym, że takie jest życie – lecz przeszkodził mu w tym but Toma, który gwałtownie ugodził go w gardło i powalił na siedzenie.

Zaskoczony Jeff wydał ochryple stęknienie, które wkrótce zmieniło się w świszczący oddech. Tom wiedział, że bynajmniej go nie unieszkodliwił, ale jego atak był dostatecznie gwałtowny, by zaskoczyć całą trójkę. Nim pozostali zdążyli zareagować, z całej siły uderzył łokciem w twarz zdezorientowanego Mike'a Spurrella, któremu szczęka odskoczyła w lewo, plamiąc okno strzykającą z ust

krwią. Niezrażony atakami Toma Bradley wyjął z kieszeni nóż i natarł. Choć zręczny i zwinny, był na szczęście najslabszy z całej trójki, więc nim uderzył, Tom schwycił go za rękę i wykręcał ją bez namysłu, póki tamten nie wypuścił broni. Korzystając z faktu, że głowa Bradleya znalazła się zaledwie o centymetry od jego nogi, brutalnie ugodził go kolanem w twarz. Oszołomiony Bradley padł na ławę, obficie brocząc krwią z nosa. Jeszcze kilka sekund, parę szybkich ruchów i dałby radę całej trójce, lecz ledwo zdążył sobie pogratulować udanego manewru, Jeff doszedł do siebie i ze zwierzęcym rykiem rzuciwszy się na niego, przycisnął go do drzwi powozu i wbił mu kłamek w prawy bok niczym sztylet. Szamotali się rozpaczliwie w tej ciasnocie, póki Tom nie usłyszał trzasku za plecami. Ledwie się zorientował, że to drzwi ustąpiły, a już leciał w powietrzu, idiotycznie obejmując Jeffa, podczas gdy powóz jechał dalej. Uderzenie na moment zaparło mu dech. Przez chwilę toczyli się po ziemi, uwalniając się po drodze z groteskowego uścisku.

Gdy świat przestał wirować, zbolały Tom usiłował usiąść. Kilka metrów dalej tę samą próbę podjął przeklinający i postępujący na przemian Jeff. Tom zrozumiał, że to jego szansa: przez chwilę, nim wrócą pozostali, siły były wyrównane. Jeff jednak okazał się zbyt szybki. Rzucił się na Toma, nim ten zdążył wstać, i powalił go z powrotem na ziemię. Plecy zatrzeszczały Tomowi w tysiącu miejsc, ale i tak, osłaniając rękami gardło, za które próbował go schwycić tamten, zdołał oprzeć stopę na jego piersi i wyprostowawszy nogę, zrzucić go z siebie. Ignorując przeszywający ból mięśni uda, wstał, nim zdążył to uczynić przeciwnik. Powóz zatrzymał się w oddali z jednymi drzwiami zwiśniętymi jak złamane skrzydło ptaka i Bradley wraz z Mikiem biegli już w ich stronę. Po szybkim rozważeniu możliwości Tom uznał, że najlepszym wyjściem będzie ucieczka przed nierówną walką. Ruszył więc biegiem w stronę bardziej uczęszczanych ulic, byle dalej od wyludnionej portowej dzielnicy.

Nie miał pojęcia, skąd się w nim wzięła ta nagła chęć przeżycia, skoro zaledwie godzinę wcześniej pożądał wiecznego odpoczynku, lecz usiłując odnaleźć drogę w ciemnościach, biegł tak szybko, jak tylko mu pozwalał szalejący puls i rwący ból w nodze. Próbując zgubić prześladowców, skreślił w pierwszą lepszą ulicę, która ku jego rozpaczy okazała się ślepym zaułkiem. Zaklął pod adresem zagradzającego mu drogę mura i wycofał się powoli. Towarzysze czekali na niego u wylotu uliczki. Cóż, pomyślał, zaczyna się prawdziwa walka. Zrezygnowanym krokiem zmierzał ku prześladowcom, starając się nie kuleć i zaciskając zwieszane wzdłuż tułowia pięści. Oczywiście było, że nie pokona całej trójki, ale nie zamierzał się poddać bez walki. Czyjego chęć życia będzie silniejsza niż ich pragnienie zamordowania go?

Podszedł do nich i zasalutował z ironią. Choć nie miał przy sobie rapieru Shackletona, rozgorzał w nim duch bojowy. „Zawsze coś” – pomyślał. Słabe światło najbliższej latarni ledwie wydobywało z mroku ich sylwetki, twarze pozostawiając w ciemnościach. Milczeli, bo nie było już nic do powiedzenia.

Na rozkaz Jeffa bandyci otoczyli ofiarę; żaden jednak nie kwapił się do przejęcia inicjatywy. Tom pomyślał, że dają mu okazję do rozpoczęcia tej nierównej walki. „Od kogo zacząć?” – zastanawiał się, gdy tamci okrążali go powoli. Z uniesioną ręką postąpił w stronę Mike’a, lecz w ostatniej chwili zmienił kierunek i uderzył nieprzygotowanego Jeffa. Pięść trafiła tamtego prosto w twarz i powaliła na ziemię. Zauważywszy kątem oka, że Bradley szykuje się do ataku, uchylił się nieco, po czym z całej siły wbił pięść w jego brzuch. Bradley zgiął się wpół, lecz Toma dosięgnął! brutalny cios Spurrella, po którym świat zawirował mu przed oczami, a usta wypełniła krew. Z trudem utrzymał się na nogach tylko po to, by zainkasować kolejny cios, tym razem w szczękę, która zazgrzytała niepokojąco. Tom runął na ziemię i niemal natychmiast czubek czyjegoś buta wbił mu się boleśnie w bok, grożąc zmiążdżeniem żeber. Zrozumiał, że już go mają. To koniec. Deszcz ciosów, który spadł po chwili,

oznajmił mu, że Jeff i Bradley dołączyli do Mike'a. W gęstej mgle bólu dostrzegł leżącą na ziemi książkę Wellsa. Musiała mu wypaść z kieszeni podczas walki. Kwiat Claire wyśliznął się spomiędzy kartek i leżał bezsensownie na brudnym bruku – jasnożółte światełko wyglądające, jakby za chwilę miało zgasnąć jak jego własne życie.

Gdy ciosy wreszcie ustały, Tom zacisnął zęby i mimo bólu starał się dosięgnąć kwiatu Claire. Nim jednak zdołał to zrobić, ktoś chwycił go za włosy i próbował podnieść.

– Nieźle ci szło, Tom, nieźle ci szło – szepnął mu do ucha Jeff, dodając coś, co brzmiało jak śmiech lub jęk. – Niestety mimo twoich wysiłków koniec będzie ten sam.

Kazał Mike'owi Spurrellowi schwycić go za nogi i Tom poczuł, jak go niosą. W stanie, w jakim się znajdował, było mu najzupełniej obojętne gdzie. Po kilku minutach kołysania rzucili go na ziemię jak worek. Wtedy do jego uszu dotarł szum fal i stukot uderzających o siebie łodzi, potwierdzające najgorsze podejrzenia: przynieśli go na przystań, prawdopodobnie z zamiarem wrzucenia do rzeki. Na razie jednak nikt nic nie robił. Tom czuł pokusę, aby się zapaść w mroki nieświadomości, lecz przeszkodził mu dotyk czegoś gładkiego i ciepłego na spuchniętym policzku, jakby któryś z dawnych kolegów postanowił go przygotować na śmierć, odkażając mu twarz ściereczką umazaną w dziegciu.

– Wieczny, do nogi! – usłyszał czyjś krzyk.

Dotyk natychmiast ustał, a po chwili Tom usłyszał ciężkie, lecz spokojne kroki kogoś, kto najwyraźniej powoli nadchodził ku nim.

– Podnieście go! – rozkazał głos.

Prześladowcy podnieśli Toma brutalnie, lecz nogi natychmiast odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na kolana z bezwładnością marionetki, której odcięto sznurki. Czyjaś ręka chwyciła go ostrożnie za kołnierz, żeby całkiem nie upadł. Gdy wreszcie zdołał pokonać mdłości i skupić wzrok, bez zaskoczenia rozpoznał zbliżającego się powolnym krokiem Gilliam Murraya z płaszącym wokół niego psem. Lekko zirytowany Murray miał minę kogoś, kogo wyciągnięto z łóżka w środku nocy z powodu jakiegoś drobiazgu, jakby zapomniał, że to on sam za planował tę zasadzkę. Zatrzymał się kilka metrów od Toma i przez parę sekund obserwował go z kpiącym uśmiechem, napawając się jego żalonym stanem.

– Tom, Tom, Tom – odezwał się w końcu, jakby karmił dziecko. – Dlaczego musiało dojść do tak nieprzyjemnej sytuacji? Czy naprawdę tak trudno było wypełnić proste polecenia?

Tom milczał, nie tyle dlatego, że pytanie było retoryczne, ile raczej dlatego, że wątpił, czy zdoła wyartykułować choć słowo przez nabrzmiałe wargi, chlupoczącą w ustach krew i zgrzytające odłamki zębów. Wykorzystał fakt, że zaczął lepiej widzieć, i rozejrzał się wokół – istotnie znajdowali się w porcie, zaledwie kilka kroków od skraju nabrzeża. Poza stojącym przed nim Gillamem i dawnymi kolegami, którzy czekali na rozkazy za jego plecami, nikogo nie było widać. Wszystko miało się rozegrać bez świadków. Tak umierają ci, którzy są nikim: dyskretnie, nie przykuwając uwagi, niczym śmieci wyrzucone do rzeki w środku nocy, gdy cały świat jest pogrążony we śnie. Nikt nawet nie zauważy jego zniknięcia. Nikt nie powie: „Zaraz, a gdzie Tom Blunt?”. Nie. Orkiestra świata będzie grała dalej bez niego, bo nigdy nie był jej potrzebny do partytury.

– Wiesz, Tom, co w tym wszystkim jest najzabawniejsze? – zapytał cicho Gilliam Murray, podchodząc na skraj nabrzeża i spoglądając w zamyśleniu w ciemną toń. – Że zdradziła cię jej miłość.

Tom wciąż milczał, ograniczając się do obserwacji pracodawcy, który wciąż stał wpatrzony w wody Tamizy, ten kufer bez dna, do którego wrzucał wszystko, co mu sprawiało problemy. Po chwili przedsiębiorca odwrócił się i spojrział na niego z litościwym i zarazem rozbawionym uśmiechem.

– Nigdy bym się nie dowiedział o waszej sielance, gdyby dziewczyna następnego dnia nie przyszła do mojego biura, by poprosić o adres jakiegoś przodka kapitana Shackletona.

Przerwał na moment, by Tom przetrawił jego słowa. Ze zdumionej miny chłopaka wywnioskował,

że – tak jak się spodziewał – dziewczyna nigdy mu o tym nie wspomniała. Zresztą i tak nie miało to większego znaczenia, przynajmniej dla Gilliama, który tylko na tym błędzie skorzystał.

– Nie wiedziałem, co zamierza – przyznał, podchodząc do Toma maleńkimi kroczkami, niemal jak baletnica. – Spławiłem ją paroma komunałami, ale z ciekawości kazałem jednemu ze swoich ludzi ją śledzić. Wolałem mieć ją na oku, bo jak wiesz, nie lubię, gdy ktoś węszy w moich sprawach. Jednak panna Haggerty nie wydawała się zainteresowana żadnym śledztwem. Wręcz przeciwnie, prawda? Przyznam, że ogromnie się zdumiałem, gdy mój informator doniósł, że spotkała się z tobą w herbariarni, a potem... No, sam wiesz, co się wydarzyło potem w pensjonacie Picarda.

Tom opuścił głowę w geście, który mógł oznaczać zarówno wstyd, jak i obrzydzenie.

– Moje podejrzenia się sprawdziły – kontynuował rozbawiony jego zmieszanym Gilliam – choć w nietypowy sposób. Chciałem cię wtedy zabić mimo podziwu dla korzyści, jaką zdołałeś wyciągnąć z sytuacji, ale zrobiłeś coś nieoczekiwanego: poszedłeś do Wellsa. To mnie zaintrygowało. Zapragnąłem się dowiedzieć, co zamierzacie. Jeśli postanowiłeś wyznać pisarzowi, że to wszystko jest mistyfikacją, wybrałeś niewłaściwą osobę. Jak się wkrótce dowiedziałeś, Wells jest jedynym człowiekiem w całym Londynie, który zna prawdę. Ale nie: twój cel był znacznie szlachetniejszy.

Gilliam ze złączonymi na plecach dłońmi przechadzał się drobnymi kroczkami przed nosem Toma. Siedzący kilka metrów od nich Wieczny z pewnym zaciekawieniem obserwował ruchy swego pana.

– Po wyjściu od Wellsa poszedłeś na wzgórze Harrow i ukryłeś list pod kamieniem. Mój szpieg natychmiast mi go przyniósł, a ja przeczytałem go niezwłocznie i wszystko pojąłem. – Spojrzał na Toma z sympatią. – Muszę ci się przyznać, że doskonale się bawiłem nad waszymi listami, które mój człowiek wykradał spod kamienia i po przeczytaniu przeze mnie zanosił z powrotem, nim zjawił się adresat. Nie licząc ostatniego, rzecz jasna. Zabrałeś go tak szybko, że musiał go wykraść Wellsowi podczas jednej z jego przejażdżek na tym żalonym urządzeniu zwanym rowerem, z którego tak lubi korzystać.

Zatrzymał się i znów wbił wzrok w wodę.

– Herbert George Wells... – wyszeptał z kiepsko skrywanym wstrętem. – Biedny idiota. Przysięgam, że miałem ochotę podrzeć każdy z jego listów i napisać własny. Nie zrobiłem tego tylko dlatego, że on i tak by się o niczym nie dowiedział, więc nic by mi z tego nie przyszło. Ale dajmy już spokój tej sprawie! – wykrzyknął nagle jowialnie, wbijając wzrok w swoją ofiarę. – Co ty możesz wiedzieć o zazdrości między pisarzami. Tak czy owak spędziłem sporo czasu nad waszą korespondencją, a przede wszystkim, jak się pewnie domyślasz, nad pewnym jej fragmentem, który okazał się pouczający dla nas wszystkich. Teraz jednak, gdy historia w odcinkach dobiegła końca i staruszki będą wylewać rzewne Izy nad tragicznym losem kochanków, mogę cię zabić.

Przycupnął przed Tomem, matczynym niemal gestem chwycił go za brodę i uniósł mu głowę, brudząc sobie palce broczącą z rozbitej wargi krwią. Wyjął z kieszeni marynarki chusteczkę i wytarł dłoń, nie przestając przyglądać się młodzieńcowi z zaciekawieniem.

– Wiesz, Tom? – powiedział. – W głębi duszy jestem ci niezmiernie wdzięczny za wszystko, co musiałeś zrobić, żeby ukryć moje oszustwo. Wiem, że tylko częściowo jesteś winien temu, co się stało. Oczywiście zaczęło się od tej nierozsądnej dziewczyny. Ale przecież mogłeś się nie wtrącać, prawda? A jednak to zrobiłeś. Nie myśl, że cię nie rozumiem: dziewczyna prawdopodobnie jest warta podjętego przez ciebie ryzyka. Rozumiesz jednak, że w obecnej sytuacji nie mogę pozwolić ci żyć. Każdy ma do odegrania w tej sztuce pewną rolę. Ja muszę cię zabić. Na twoje nieszczęście takie zadanie przydzielił mi los. I nie mogłem się oprzeć uroczej ironii powierzenia tego dzieła twoim wiernym żołnierzom z przyszłości.

Posłał im kpiący uśmiech nad głową Toma. Potem długo przyglądał się młodzieńcowi, jakby roz-

myślał o tym, co ostatecznie zrobi, i być może zastanawiał się, czy nie postąpić inaczej.

– Nie mam wyjścia, Tom – oznajmił w końcu, wzruszając ramionami. – Jeśli cię nie zabiję, prędzej czy później zaczniesz jej szukać. Jestem tego pewien. Zrobisz to, bo jesteś w niej zakochany.

Tom spojrział na niego zdumiony. Czy naprawdę był zakochany w Claire? Nigdy nie szukał odpowiedzi na to pytanie, wiedząc, że do niczego mu się ona nie przyda: niezależnie od tego, czy ją kochał, czy też znajomość z nią była zwykłym kaprysem, musiał się od niej trzymać z dala. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że gdyby Gilliam jakimś cudem darował mu życie, natychmiast udałby się na poszukiwanie Claire, a to znaczy, że jego szef ma rację: był w niej zakochany. „Ja naprawdę ją kocham” – pomyślał zaskoczony Tom. Pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Kochał jej spojrzenie, dotyk jej skóry, sposób, w jaki o nim myślała. Z przyjemnością pozwolił się okryć płaszczem tej wielkiej, bezwarunkowej miłości, czarodziejską peleryną chroniącą przed chłodem życia, przed drżeniem, które budził w jego duszy mróz dni, nieprzerwany wichur wdzierający się przez szpary w okiennicach w głąb jego jestestwa, i pojął, że niczego nie pragnie bardziej, niż kochać ją równie żarliwie i czuć, że realizuje akt najważniejszy i najszlachetniejszy dla człowieka, akt, dla którego się urodził i jaki nadaje sens jego życiu: kocha, kocha prawdziwie, bez żadnego innego celu niż satysfakcja z faktu, że jest do tego zdolny, ponieważ to właśnie jest sprężyna jego mechanizmu, racja bytu. Bo nawet jeśli nie zostawi po sobie na tym świecie żadnego śladu, potrafi kogoś uszczęśliwić, a nie ma nic ważniejszego niż pozostawienie cząstki siebie w sercu drugiej osoby. Gilliam miał rację: Tom zacząłby szukać Claire. Szukałby jej, by mieć ją przy sobie, nieważne, czy po to, by razem z nią witać wiosnę, czy turlać się po zboczu w przepaść. Szukałby jej, bo ją kocha. To zaś sprawiało, że kłamstwo, w którym tkwiła, stawało się nieco bardziej prawdziwe, bo przecież kochała kogoś, kto odwzajemniał tę miłość, ale podobnie jak Shackleton, nie mógł jej ofiarować. Co z tego, że żyli w tej samej epoce, a nawet w tym samym mieście, skoro byli od siebie równie oddaleni, jak gdyby rozdzielał ich ocean czasu.

– Po co więc kontynuować tę historię? – usłyszał głos nieświadomego jego rozmyślań przedsiębiorcy. – To byłoby tak, jakbyśmy dopisywali jej gorszy, znacznie mniej emocjonujący finał, nieprawdaż? Lepiej będzie, jeśli znikniesz, Tom, a wszystko skończy się tak, jak ma się skończyć. Przy najmniej dziewczyna będzie szczęśliwa.

Gilliam Murray wyprostował swoje cielsko i patrzył z góry na Toma z akademickim zainteresowaniem, niczym na okaz w formalinie.

– Nie rób jej krzywdy – wybełkotał chłopak.

Gilliam potrząsnął głową, udając wstrząśniętego.

– Ależ skąd, Tom! Nie rozumiesz? Bez ciebie dziewczyna nie stanowi dla mnie zagrożenia. Poza tym, choć ciężko ci będzie w to uwierzyć, mam pewne skrupuły. Nie zabijam każdego, kto mi się nawinie pod rękę, Tom.

– Nazywam się Shackleton – wycedził chłopak. – Kapitan Derek Shackleton.

Przedsiębiorca zaniósł się śmiechem.

– W takim razie nie musisz się martwić, bo zmartwychwstaniesz. Obiecuję ci to.

Rzucił Tomowi pożegnalny uśmiech i dał znak pozostałym.

– Do dzieła, panowie. Zróbmy swoje i chodźmy spać.

Jeff i Bradley dźwignęli Toma, a Mike Spurrell przyniósł ogromny kamień obwiązany liną – jej drugi koniec przywiązali do stóp chłopaka. Potem skrępowali mu z tyłu ręce. Gilliam z uśmiechem zadowolenia obserwował przygotowania.

– Gotowe, chłopaki – oznajmił Jeff, sprawdzając wytrzymałość węzłów. – Do roboty.

On i Bradley podnieśli Toma i podeszli do skraju nabrzeża, a Mike szedł obok z kamieniem, który

niał niemożliwić ofierze wypłynięcie. Tom wpatrywał się beznamiętnie w ciemną toń, wypełniony osobliwym spokojem kogoś, kto wie, że jego życie nie należy już do niego. Gilliam podszedł do niego i energicznie ścisnął go za ramię.

– Żegnaj, Tom. Byłeś najlepszym Shackletonem, jakiego udało mi się znaleźć, ale takie jest życie. Pozdrów ode mnie Perkinsa.

Dawni druhowie Toma rozhuścili jego ciało i na „raz, dwa, trzy” wrzucili w odmęty wraz z kamieniem. Nim uderzył o tafłę, zdążył jedynie wziąć głęboki oddech. Chłód wody przebudził go z letargu i rozgniewał: wolałby umierać nieświadomie.

Początkowo opadał poziomo, ale kamień wkrótce pociągnął go za nogi i Tom zaczął nadspodziewanie szybko spadać nogami w dół na dno Tamizy. Zamrugał kilkakrotnie, usiłując coś dojrzeć w zielonkawej wodzie, niewiele jednak było tam do zobaczenia oprócz brzuchów unoszących się na powierzchni łodzi, widocznych w rozedrganym kręgu światła rzucanego przez jedyną latarnię w porcie. Kamień szybko sięgnął dna, Tom unosił się na linie dwadzieścia lub trzydzieści centymetrów ponad nim, rozkołysany lekko niczym latawiec.

Ile wytrzymam bez tlenu? zastanawiał się. Właściwie jakie to miało znaczenie? Czy nie lepiej po prostu poddać się temu, co nieuniknione? Mimo wszystko zaciskał mocno usta, znów wiedziony tym irytującym instynktem samozachowawczym. Tym razem jednak rozumiał, czemu zawdzięcza upartą chęć przeżycia: nagle odkrył, że w umieraniu najgorsze jest to, iż traci się wszelką możliwość wpływnięcia na minione zdarzenia, że kiedy jego zabraknie, ludzie zobaczą tylko ten koszmarny obraz podsumowujący jego życie. Przez czas, który wydał mu się nieskończenie długi i bolesny, trwał w tym osobliwym zawieszeniu, czując rwanie w płucach i ogłuszające dudnienie w skroniach, aż w końcu zabrakło mu tlenu i wbrew woli otworzył usta. Woda wpadła mu do gardła, odbierając oddech i do reszty rozmazując otaczającą go rzeczywistość. Zrozumiał, że to koniec, że za kilka sekund straci przytomność.

Mimo wszystko zauważył tamtego. Widział, jak wyłania się z kłębow mgły i idzie ku niemu po dnie rzeki tymi ciężkimi krokami żelaznych stóp, obojętny na to, że znajduje się w wodzie. Tom pomyślał, że to halucynacje wywołane brakiem tlenu przywiodły postać ze snów. Zbyt późno: doskonale poradzi sobie z utonięciem bez pomocy wyimaginowanego wroga. Chyba że ten zjawił się tu jedynie po to, by patrzeć na jego śmierć i radować się nią w mętnej intymności wód.

Gdy automat wreszcie dotarł do miejsca, w którym tkwił Tom, ku jego zdumieniu chwycił go w pasie metalowym ramieniem i obrócił, jakby chciał się z nim puścić w tany. Drugą ręką szamotał się z liną obwiązaną wokół stóp młodzieńca, póki nie zdołał ich uwolnić, po czym pociągnął go ku górze. Ledwie przytomny Tom obserwował zbliżające się kadłuby łodzi i rozedrgany blask latarni. Nim pojął, co się dzieje, jego głowa gwałtownie wynurzyła się na powierzchnię.

Wciągnął w płuca nocne powietrze i zrozumiał, że tak właśnie smakuje życie. Oddychał tak zachłannie, że rozkaszał się jak wygłodniałe dziecko, które zakrzusiło się jedzeniem. Dał się wyciągnąć na brzeg i leżał tam bez sił, zziębnięty i targany mdłościami, póki nie poczuł ucisku na piersi i nie zaczął gwałtownie wykastływać z siebie połkniętej wody. Gdy już się jej pozbył, zakaszła kilka razy. Wypłuł czerwonawą maź i poczuł, jak życie wraca i sadowi się leniwie w miękkiej glinie, w jaką przeobraziło się jego ciało. To było radosne wrażenie: znów żyć, czuć, że mieszka w nim ta delikatna siła, która wypełnia go tak zachłannie, jak kilka minut wcześniej próbowała wypełnić i unieścwić woda z Tamizy. Przez chwilę miał złudzenie nieśmiertelności, jakby to, że zażartował ze śmierci, zbliżając się do niej tak bardzo, iż niemal zajrzał jej pod halkę, dało mu u niej takie fory, że postanowiła na zawsze zostawić go w spokoju. Poczawszy się nieco lepiej, uśmiechnął się do swego zbawcy, którego mechaniczna głowa, oświetlona od tyłu przez jedyną latarnię, wisiała nad nim niby

zaokrąglony ciemny klosz.

– Dzięki, Salomonie – wymamrotał.

Automat zdjął głowę.

– Salomonie? – Zaśmiał się. – To strój do nurkowania, Tom.

Choć twarz wybawcy skrywał mrok, Tom rozpoznał głos Martina Tuckera i ogarnęła go niepohamowana radość.

– Nigdy go nie widziałeś? – kontynuował Martin. – Pozwala poruszać się pod wodą, jakby się spacerowało po parku, a powietrze jest pompowane z powierzchni przez sprężarkę. Bob się tym zajął. On też wyciągnął nas obu na pomost. – Wskazał kogoś w oddali, po czym odłożył na bok skafander, z delikatnością pielęgniarzki uniósł głowę Toma i dokładnie przyjrzał się jego twarzy. – Wyglądasz jak półtora nieszczęścia. Chłopaki dobrze odegrały swoje role, ale nie miej im za złe. Jeśli mieliśmy oszukać Gilliama, wszystko musiało wyglądać bardzo realistycznie. I chyba się udało. Chłopcy na jego oczach zrobili, co kazał, a teraz pewnie odbierają obiecaną forszę.

Mimo opuchlizny usta Toma wykrzywiły się w wyrazie zdumienia. A więc to wszystko było farszą? Sam Murray przed wrzuceniem go do Tamizy przyznał, że zlecił chłopakom zabójstwo; wyglądało jednak na to, że kumple Toma nie są tak podli, jak sądził, choć i nie tak bogaci, żeby odrzucić intratną propozycję. „Przy odrobinie inteligencji możecie połączyć jedno z drugim” – powiedział im zapewne Martin Tucker, silny facet, który teraz odgarniał mu z czoła pokrwawione włosy i przyglądał mu się z ojcowską czułością.

– Dobra, Tom – rzekł. – Przedstawienie skończone. Teraz, gdy oficjalnie umarłeś, jesteś wolny. Tej nocy zaczynasz nowe życie, przyjacielu. Dobrzeje wykorzystaj, choć szczerze mówiąc, wiem, co zrobisz.

Ścisnął go za ramię w geście pożegnania, wziął skafander, rzucił Tomowi ostatni uśmiech i opuścił nabrzeże, pozostawiając za sobą stukot metalowych obcasów. Tom leżał plackiem, nie spiesząc się ze wstaniem, i usiłował poukładać sobie w głowie wydarzenia ostatnich godzin. Oddychał głęboko, testując obolałe płuca, i obserwował firmament nad głową. Noc rozświetlał uroczy bladożółty księżyc w pełni. Tom uśmiechnął się, jakby to była trupia czaszka, która udała, że go przygarnia do swego łona, by ostatecznie obdarzyć go nowym życiem. Przy czym nawet na chwilę nie musiał naprawdę umrzeć: wystarczyło, że jego rzekome zwłoki spoczywają w głębinach Tamizy. Był wprawdzie obolały i wycieńczony, ale przynajmniej żywy! Żywy! Ogarnęła go tak szalona euforia, że postanowił wreszcie wstać z zimnej ziemi, nim ta do spółki z mokrym ubraniem przyprawi go o zapalenie płuc. Podniósł się z wysiłkiem i kulejąc, zszedł z pomostu. Bolały go wszystkie kości, ale wyglądało na to, że nic nie złamał. Koledzy chyba starali się nie uszkodzić mu żadnego ważnego organu.

Rozejrzał się wokół. Pusto. U wylotu uliczki, przy której stoczył walkę, leżała książka Wellsa, a obok niej kwiat podarowany przez Claire. Młodzieniec chwycił go ostrożnie i trzymał na dłoni niczym wskazujący drogę kompas.

Słodki, kuszący, nieco przypominający zapach jaśminu aromat wiódł go łagodnie przez labirynt nocy, ciągnąc niczym odpływająca z plaży fala ku pogrążonemu w ciszy urokliwemu domowi. Otaczający budynek plot nie był zbyt wysoki, a siatka bluszczu porastająca fasadę wydawała się istnieć wyłącznie po to, by ułatwić śmiałkom dostęp do otwartego okna kobiety śpiącej w uginającym się od snów łóżku.

Tom z bezbrzeżną czułością przyglądał się dziewczynie, która pokochała go jak nikt inny na świecie. Z jej rozchylonych ust płynęły delikatne westchnienia, jakby w środku wiała letnia bryza. Prawa dłoń zaciskała się na arkuszu papieru, na którym rozpoznał staranne pismo Wellsa. Już miał ją zbudzić łagodną pieśczęcią, gdy powoli otworzyła oczy, być może czując na sobie ciężar jego spojrzenia.

nia. Nie przestraszyła się na widok młodzieńca stojącego koło łóżka, jakby się spodziewała, że wcześniej czy później przyciągnie go zapach narcyzów.

– Wróciłeś – szepnęła słodko.

– Tak, Claire, wróciłem – odparł tym samym tonem. – Wróciłem na dobre.

Claire uśmiechnęła się marzycielsko, odgadując z zaschniętej krwi na jego ustach i policzkach, jak bardzo mężczyzna ją kocha. Wstała i z całkowitym spokojem pozwoliła mu się objąć. A gdy się całowali, Tom zrozumiał, że wbrew słowom Gilliana Murraya jest to finał o wiele piękniejszy od poprzedniego, w którym nigdy więcej nie mieli się spotkać.

CZĘŚĆ TRZECIA

Szanowni Panowie i urocze Panie, przed nami ostatnia część tego pasjonującego dramatu!

Jakie wspaniałości zostawiliśmy sobie w zanadrzu?

Jeśli chcecie to wiedzieć, nawet na moment nie odwracajcie uwagi od tych stronic, tym razem bowiem czeka Was największe wyzwanie: będziecie mogli dowolnie podróżować w czasie, zarówno w przeszłość, jak i w przyszłość! Szanowny Czytelniku, jeśli nie jesteś tchórzem, dokończ to, co zacząłeś!

Zapewniamy, że nasza ostatnia podróż warta jest grzechu!

Inspektor Scotland Yardu Colin Garrett wolałby, żeby widok krwi nie budził w nim takiego wstrętu i nie wywoływał wymiotów, ilekroć obowiązki zawodowe zmuszały go do oglądania zwłok, zwłaszcza jeśli ich wygląd świadczył o nadzwyczajnym okrucieństwie zabójcy. Na jego nieszczęście działo się to tak często, że zaczął nawet rozważać rezygnację ze śniadań w obliczu faktu, że i tak niewiele z nich zostawało w jego żołądku.

Być może właśnie dla zrekompensowania nietolerancji widoku krwi Colin Garrett został obdarzony błyskotliwym umysłem. Tak przynajmniej twierdził jego wujek, słynny inspektor Frederick Abberline, który kilka lat wcześniej wziął na siebie niewdzięczne zadanie wytropienia zwyrodnialca znanego jako Kuba Rozpruwacz. Tak bardzo wierzył w niezwykłość umysłu Colina, że dosłownie za rękę przyprowadził go do biura Scotland Yardu z płomiennym listem polecającym do nadinspektora Arnolda, surowego i bezwzględного zwierzchnika detektywów. Od tamtej pory minął rok, a Garrett ze zdumieniem przyznawał, że podejrzenia wujka nie były bezpodstawne – odkąd bowiem zajmował pokój z oknami wychodzącymi na Great George Street, udało mu się, i to bez szczególnego wysiłku, rozwikłać wiele spraw. Robił to jednak bez opuszczania biura. W swoim ciepłym schronieniu spędzał długie wieczory na porównywaniu i dopasowywaniu dowodów przyniesionych przez podwładnych, niczym dziecko układające puzzle, ze wszystkich sił unikając zetknięcia z brutalną i krwawą rzeczywistością ukrytą za materiałem dowodowym. Jego delikatna duszyczka nie była stworzona do pracy na miejscu zbrodni, nawet jeśli towarzyszył jej niezwykły umysł.

Spośród piekła, które rozpościerało się za drzwiami biura, chyba najgorsze były kostnice, miejsca najbardziej ostentacyjnie ukazujące namacalną, organiczną, obrzydliwie konkretną stronę zbrodni, którą Garrett uparcie starał się ignorować. Ilekroć więc musiał zidentyfikować ciało, wzdychał z głęboką rezygnacją, wkładał kapelusz i udawał się do obmierzłego budynku, modląc się, by tym razem zdążył wybiec z sali sekcyjnej, nim pobrudzi buty lekarza sądowego, gdy jego żołądek postanowi pozbyć się obiadu.

Trup, którego tego ranka miał obejrzeć, został znaleziony w Marylebone przez policję z City, która po bezskutecznych próbach określenia, jaka broń spowodowała potworną ranę ofiary, prawdopodobnie żebraka, postanowiła przekazać sprawę umysłem Scotland Yardu. Garrett wyobrażał sobie, że przekazaniu owemu towarzyszyły sarkastyczne uśmiešky agentów z City, zadowolonych, że mogą rzucić geniuszom z Great George Street wystarczające wyzwanie, by ci musieli ciężko zapracować na swoje wynagrodzenie. Tym, kto oznajmił policjantom z City, że stanęli w obliczu tajemnicy, która przynajmniej jemu wydaje się wielka, był doktor Terrence Alcock, czekający teraz na Garretta w holu kostnicy przy York Street w fartuchu z zaschniętymi plamami krwi. A skoro tak doświadczony medyk sądowy, wykorzystujący każdą okazję do popisania się swoją wiedzą, otwarcie przyznał się do porażki, inspektor podejrzewał, że istotnie ma do czynienia z niezmiernie ciekawym przypadkiem, bardziej pasującym do powieści o jego ulubieńcu, Sherlocku Holmesie, niż do prozaicznej rzeczywistości, w której przestępcom niemal zawsze brakowało inwencji.

Lekarz przywitał go poważnym skinieniem głowy i poprowadził do sali sekcyjnej w grobowej ciszy, która zaskoczyła Garretta. Zrozumiał, że tajemnicze obrażenia ofiary zbyt mocno rozwścieczyły lekarza, by mógł tryskać swoim zwykłym humorem. Mimo nieco niepokojącego wyglądu, który mu nadały złączone brwi, doktor Alcock był człowiekiem wesołym i niezwykle gadatliwym. Ilekroć spotykali się w kostnicy, witał inspektora jowialnie i prowadził długim korytarzem, recytując płynnie, niczym słowa popularnej piosenki, porządek, w którym jego zdaniem należało badać narządy jamy

brzuszej: krezka, śledziona, lewa nerka, nadnercze, pęcherz moczowy, prostata, pęcherzyki nasienne, penis, powrózek nasienny... Litania nazw zakończona jelitami, które lekarz badał na samym końcu z przyczyn estetycznych, twierdząc, że praca przy nich jest odrażająca. Ja zaś, który widzę to wszystko, choć nie biorę w tym udziału, jak już was wielokrotnie na tych kartach zapewniałem, mogę ze swej strony potwierdzić, że mimo tendencji do wyolbrzymiania w tym wypadku doktor ani trochę nie przesadzał. Dzięki swojej nadprzyrodzonej wszechobecności widywałem go wielokrotnie, jak brudzi ekskrementami siebie, trupa, stół sekcyjny, a nawet podłogę sali, ale z szacunku dla was, drodzy Czytelnicy, nie będę się wdawał w szczegółowe opisy.

Tym razem jednak lekarz szedł korytarzem w melancholijnym nastroju, nie recytując litanii, którą dzięki swojej doskonałej pamięci Garrett ku własnemu zdumieniu wielokrotnie intonował razem z nim, gdy był w dobrym humorze. W końcu weszli do przestronnej sali, gdzie unosił się niemożliwy do zignorowania zapach padliny. Oświetlało ją kilka gazowych lamp zwisających z sufitu na czteroramiennych żyrandolach, zdaniem Garretta nie wystarczały one jednak do rozjaśnienia tak dużej sali i czyniły ją jeszcze bardziej posępną, niż była w istocie. W tym chorobliwym półmroku ledwo można było dostrzec coś, co znajdowało się dalej niż dwa metry od patrzącego. Większość ceglanych ścian zasłaniały rzędy regałów wypełnionych narzędziami chirurgicznymi na przemian z buteleczkami z tajemniczą ciemną zawartością. Na ścianie w głębi pomieszczenia wisiała też ogromna umywalka, w której doktor Alcock zmywał krew z rąk niczym ktoś, kto dokonuje ablucji po makabrycznych rytuałach. Pośrodku sali, na grubo ciosanym stole oświetlonym przez lampę leżał przykryty prześcieradłem kształt. Lekarz, który zawsze miał podwinięte rękawy koszuli, co z jakiegoś powodu ogromnie niepokoiło Garretta, skinieniem głowy dał mu znak, by podszedł do stołu. Obok przykrytego kształtu, na sąsiednim stoliku malowała się złowroga martwa natura złożona z noży sekcyjnych, narzędzi do nacinania chrząstek, brzytwy, kilku skalpeli, paru niewielkich pił, cienkiego dłuta do perforacji czaszki i młotka do niego, tuzina igieł, nici z jelit zwierzęcych, wagi, lupy i miski wypełnionej wodą o lekko czerwonym zabarwieniu, na którą Garrett starał się nie zwracać uwagi.

W tym momencie jeden z asystentów medyka otworzył drzwi i nieśmiało próbował wejść, lecz doktor odpędził go niecierpliwym gestem. Garrett mimowolnie przypomniał sobie jego częste narzekania na tych elegancików przydzielanych mu do pomocy, chłopaków świeżo po uniwersytecie, którzy trzymali nóż do sekcji, jakby to było pióro, poruszali wyłącznie palcami i nadgarstkiem, resztę ręki przyciskając do tułowia, i robili trupom subtelne nacięcia, jakby uprawiali sztukę kulinarną. „Niech zostawią te delikatności na potrzeby teatrów anatomicznych”

– mawiał doktor Alcock, prawdziwy fanatyk długich i szerokich cięć, wystawiających na próbę siłę ręki i mięśnie ramienia.

Oddaliwszy asystenta, bezceremonialnie niczym mag znudzony ciągłym wykonywaniem tej samej sztuczki odsłonił leżące na stole ciało.

– Zwłoki należą do mężczyzny pomiędzy czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia – wyrecytował monotennie. – Sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, szczupłe kości, mała ilość tkanki tłuszczowej i bardzo słabo rozwinięta muskulatura. Kolor ciała blady. Siekacze w komplecie, brak kilku zębów trzonowych, pozostałe w większości z próchnicą i lekkim szarawym nalotem.

Skończywszy raport, odczekał kilka sekund w nadziei, że inspektor przestanie kontemplować sufit i zdecyduje się stawić czoło zwłokom.

– A oto nasza rana – obwieścił z patosem, jakby chciał swoim entuzjazmem zarazić apatycznego towarzysza.

Garrett wziął haust powietrza i powoli opuściwszy wzrok na trupa, z obrzydzeniem wpatrywał się w ogromną dziurę w jego piersi.

– Okrągły otwór o średnicy trzydziestu centymetrów – opisał widok medyk – przechodzący przez ciało na wylot, tak że da się przez nie patrzeć jak przez okno, co może pan sprawdzić, pochylając się nad nim.

Garrett bez entuzjazmu zbliżył twarz do ogromnej dziury – istotnie dostrzegł przez nią stół, na którym spoczywały zwłoki.

– Cokolwiek spowodowało tę ranę, nie tylko przypaliło skórę na brzegach, lecz całkowicie unicestwiło wszystko, co napotkało po drodze: część mostka, fragment chrząstki żebrowej, prawą komorę serca i sąsiadujący z nią fragment rdzenia kręgowego. To, co zostało, na przykład niewielkie fragmenty płuca, wbiło się w ścianę klatki piersiowej. Oczywiście sekcja dopiero przed nami, lecz nie ulega wątpliwości, że przyczyną śmierci jest ten właśnie otwór – perorował lekarz. – Choć niech mnie diabli, jeśli wiem, czym go zrobiono. Wygląda, jakby pierś tego nieszczęśnika przebił ognisty jęzor, czy też, jeśli pan woli, coś w rodzaju promienia ciepłego. Nie znam jednak broni, która potrafiłaby tego dokonać, nie licząc ognistego miecza Michała Archanioła.

Garrett skinął głową, walcząc ze zbuntowanym żołądkiem.

– Czy reszta ciała wykazuje jakieś anomalie? – zapytał, byle tylko coś powiedzieć. Czuł, jak na czoło występuje mu pot.

– Napletek jest stosunkowo krótki, pokrywa zaledwie połowę żołądki, ale nie widać na nim żadnej blizny – odparł medyk, popisując się zawodowstwem. – Pomijając to, jedyną anomalią jest przekłuta dziura, przez którą mógłby przeskoczyć pudel.

Garrett przytaknął, czując mdłości na myśl o przywołanym przez lekarza obrazie i mając wrażenie, że wie o intymnych szczegółach umarlaka więcej, niż mu potrzeba do śledztwa.

– Bardzo dziękuję, doktorze. Proszę mnie zawiadomić, jeśli odkryje pan coś nowego albo będzie miał jakąś hipotezę na temat pochodzenia tej dziury – poprosił.

Potem pożegnał się szybko i opuścił kostnicę, starając się iść w miarę prosto. Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, wpadł w pierwszy z brzegu zaułek i zwrócił śniadanie na stertę śmieci. Wrócił na ulicę, ocierając usta chusteczką, blady, ale uratowany. Zatrzymał się na chwilę i wziął kilka haustów powietrza – wypuszczał je powoli, uśmiechając się do siebie. Nadpalone ciało. Potworna dziura. Nic dziwnego, że medyk nie miał pojęcia, jaka broń mogła spowodować tę okropną ranę. Ale on wiedział.

Widział tę broń w roku dwutysięcznym w rękach dzielnego kapitana Shackletona.

Potrzebował prawie dwóch godzin, by przekonać zwierzchnika do wydania nakazu aresztowania człowieka, który jeszcze się nawet nie narodził. Gdy tylko stanął przed jego drzwiami, przełykając ślinę, wiedział, że nie będzie to łatwe zadanie. Nadinspektor Thomas Arnold był bliskim przyjacielem jego wujka i chętnie przyjął Colina do grona swoich podwładnych, lecz traktował go co najwyżej z powściągliwą życzliwością, od czasu do czasu pozwalając sobie na odrobinę ojcowskiego afektu, gdy Garrett zdołał rozwiązać jakiś wyjątkowo skomplikowany problem. Młody inspektor odnosił wrażenie, że kiedy przełożony przechodzi obok drzwi pokoju i widzi go skupionego na pracy, uśmiecha się z taką samą dyskretną satysfakcją, z jaką kwituje sprawne działanie piecyka węglowego.

Miły uśmiech zniknął mu z twarzy jedynie w dniu, w którym Garrett, powróciwszy z wycieczki do roku dwutysięcznego, stawiał się w jego gabinecie i oznajmił, że trzeba natychmiast zakazać produkcji automatów i skonfiskować wszystkie już istniejące, po czym zamknąć je gdziekolwiek – chociażby w zagrodzie otoczonej drutem kolczastym, gdzie będą strzeżone dzień i noc. Nadinspektorowi ten pomysł wydał się całkowicie niedorzeczny. Został mu rok do emerytury i nie miał najmniejszej ochoty komplikować sobie życia zapobieganiem dziwnym zagrożeniom, których wcale nie dostrzegął,

lecz biorąc pod uwagę fakt, że ten dzieciak wielokrotnie już wykazał się wyjątkową inteligencją, poczuł się zmuszony do zorganizowania konferencji z komendantem głównym i samym premierem. W tamtym wypadku decyzja, jaka dotarła do Garretta po szczeblach władzy, była odmowna: nie zamierzano podejmować żadnych kroków w celu zapobieżenia produkcji automatów ani ich ekspansji do domów obywateli pod płaszczykiem niegroźnego wyglądu, nawet jeśli sto lat później miały podbić świat. Garrett podejrzewał, że spotkaniu tych trzech pozbawionych wyobraźni mężczyzn, widzących jedynie czubek własnego nosa, towarzyszyły żarty i wybuchy gromkiego śmiechu. Tym razem jednak miało być inaczej. Teraz nie mogli umyć rąk i zasłonić się stwierdzeniem, że kiedy automaty zbuntują się przeciwko człowiekowi, oni będą już spokojnie odpoczywać pod ziemią. W tym wypadku przyszłość ich odwiedziła i narodziła w teraźniejszości, czyli w tej części czasu, której podobno mieli strzec.

Mimo to nadinspektor Arnold przybrał sceptyczny wyraz twarzy, gdy tylko Garrett zaczął mu wykładać sprawę. Młodzieniec uważał za swój przywilej fakt narodzenia się w epoce, w której nauka każdego dnia robiła krok naprzód i ukazywała rzeczy całkowicie niewyobrażalne dla jego dziadków – przy czym miał na myśli zarówno gramofon czy telefon, jak i podróże w czasie. Kto ośmieliłby się powiedzieć jego dziadkom, że w czasach ich wnuków człowiek będzie mógł podróżować w przyszłość poza zakres własnego życia, albo w przeszłość, w odległe epoki, o których czytamy w książkach? Garrett udał się do roku dwutysięcznego podekscytowany nie tyle możliwością uczestniczenia w historycznej dla rodzaju ludzkiego chwili, jaką było rozstrzygnięcie długiej wojny z automatami, lecz raczej silniejszym niż kiedykolwiek poczuciem, że żyje w świecie, w którym dzięki nauce wszystko jest możliwe. Teraz podróżował do roku dwutysięcznego, ale kto wie, ile jeszcze epok miał odwiedzić, nim pożegna się z życiem. Według Gilliana Murraya wkrótce planowano otworzyć nowe tunele, przez które być może uda się zobaczyć lepszą przyszłość w odbudowanym świecie albo cofnąć się do epoki faraonów czy Londynu Szekspira, gdzie kto wie, czy nie nadarzy się okazja do poobserwowania dramaturga piszącego przy blasku świecy swoje największe dzieła. Wszystkie te perspektywy stanowiły dla młodego umysłu Colina przyczynek do radości i nieustannego dziękowania Bogu, w którego chwilowo, mimo dyskredytowania go przez Darwina, wolał wierzyć. Dlatego każdego wieczoru przed pójściem spać posyłał uśmiech gwiazdom, dając w ten sposób znak Wszemmocnemu, który w jego mniemaniu tam mieszkał, że jest gotów podziwiać wszystko, co tylko ten zechce mu pokazać. Nie zdziwi więc czytelnika, że Garrett nie rozumiał tych, którym nie podobały się postępy nauki, ani tym bardziej tych, którzy wykazywali się obojętnością w obliczu cudownego wynalazku Gilliana Murraya – a do takich należał jego przełożony, który do tej pory nie zadał sobie trudu wybrania się w podróż do roku dwutysięcznego.

– Czy dobrze rozumiem, że to jedyny trop, na jaki pan trafił? – zapytał nadinspektor Arnold, wymachując ulotką *Podróży w Czasie*, którą podał mu Garrett, a drugą ręką wskazując rysunek z dzielnym kapitanem Shackletonem przeszywającym automat promieniem miotanym z broni.

Fakt, że nadinspektor Arnold nie uczestniczył w żadnej ekspedycji w przyszłość, zmusił zniecierpliwionego Garretta do zmarnowania kilku minut na wyjaśnienie mu, co z grubsza wydarzy się w roku dwutysięcznym i jak przebiega podróż. Dopiero później mógł przystąpić do tego, co naprawdę go interesowało: zaprezentowania broni ludzkich żołnierzy. Broni, która potrafiła dziurawić metal, więc całkiem śmiało można było przypuścić, że jeśli użyje się jej przeciwko człowiekowi, może wywołać stan podobny do tego, w jakim znajdowało się ciało w kostnicy w Marylebone. O ile było mu wiadomo, żadna broń jego epoki nie mogła spowodować tak potwornej rany, co – jak widniało w sprawozdaniu z sekcji – potwierdzał także doktor Alcock. W tym momencie Garrett mógł już przedstawić nadinspektorowi Arnoldowi swoją teorię: ktoś z przyszłości, być może ów kapitan Shackle-

ton, przejechał się na gapę Cronotilusem w przeszłość i teraz przechadzał się swobodnie po roku 1896 ze śmiercionośną bronią.

– Jeśli to prawda – perorował młodzieniec – możemy zrobić dwie rzeczy: szukać Shackletona po całym Londynie, co może potrwać tygodniami i nie gwarantuje sukcesu, albo oszczędzić sobie trudu i zatrzymać go tam, gdzie z całą pewnością będzie dnia 20 maja 2000 roku. Wystarczy, że udam się tam w towarzystwie dwóch agentów i zatrzymam kapitana, nim ten zdoła się zakraść w przeszłość. Poza tym – dodał, by ostatecznie przekonać zwierzchnika, który wyraźnie oszołomiony potrząsał głową – jeśli mi pan pozwoli zatrzymać kapitana Shackletona w przyszłości, pańska jednostka otrzyma liczne pochwały i wyróżnienia związane z osiągnięciem ze wszech miar nowatorskim, jakim jest zatrzymanie przestępcy, zanim jeszcze popełnił zbrodnię, która dzięki temu w ogóle nie zostanie popełniona.

Nadinspektor Arnold wpatrywał się w Garretta z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Mam rozumieć, że jeśli pojedzie pan do roku dwutysięcznego i zatrzyma zabójcę, morderstwo... zostanie wymazane?

Garrett nie miał wątpliwości, że dla kogoś pokroju nadinspektora Arnolda taka wiadomość musi być trudna do pojęcia. Nikt, kto w odróżnieniu od niego nie spędził długich wieczorów na rozpatrywaniu wszystkich paradoksów mogących wynikać z podróży w czasie, nie był w stanie łatwo zaakceptować jego sugestii.

– Jestem tego pewien, panie nadinspektorze. Jeśli go zatrzymam przed zabójstwem, nasza teraźniejszość ulegnie nieuniknionej zmianie. Nie tylko zatrzymamy mordercę, ale i uratujemy życie, a zwłoki żebraka z całą pewnością znikną z kostnicy – przytaknął Garrett, choć sam nie bardzo wiedział, jak to wszystko się odbędzie.

Thomas Arnold przez kilka sekund zastanawiał się, jakie korzyści może odnieść Scotland Yard z włączenia się w tę czasową zonglerkę. Na szczęście ograniczony umysł nadinspektora nie zdołał wydedukować, że kiedy już zabójca zostanie zatrzymany, zniknie nie tylko ciało, ale i cała zbrodnia, a wraz z nią, rzecz jasna, obecna rozmowa. Nie będzie żadnej sprawy do rozwiązania. Inaczej mówiąc, nikt nie odniesie żadnych korzyści, bo nic się nie wydarzy. Konsekwencje zatrzymania Shackletona w przyszłości, zanim przeniesie się w przeszłość i popełni zbrodnię, były tak nieprzewidywalne, że nawet sam Garrett, gdy tylko próbował je spokojnie analizować, doznawał zawrotów głowy. Co mieli zrobić z zabójcą, który w wyniku zatrzymania przed popełnieniem zbrodni przestawał nim być, bo nikt nie pamiętał, że zbrodnia w ogóle została popełniona? O co u diabła mieli go oskarżyć? Może cała podróż Garretta w przyszłość też wyląduje w tym kosmicznym rynsztoku, do którego trafia wszystko, co się nie wydarzyło? Nie znał odpowiedzi na te pytania, ale wiedział, że klockiem, który uruchamia całą tę lawinę, jest on sam.

Po dwóch godzinach rozmowy otumaniony nadinspektor Arnold w końcu obiecał Garrettowi, że jeszcze tego wieczoru spotka się z komendantem głównym i premierem, by wytłumaczyć im sprawę najlepiej, jak potrafi. Garrett przyjął tę obietnicę z wdzięcznością, bo oznaczała, że jeśli nie nastąpi żadna komplikacja, następnego ranka otrzyma nakaz zatrzymania Shackletona w roku dwutysięcznym. Wówczas uda się do siedziby Podróży w Czasie i zażąda od Murraya trzech miejsc w Cronotilusie.

Godziny oczekiwania poświęcił – jakżeby inaczej – rozmyślaniom nad sprawą, tyle że tym razem zamiast próbować ją rozwikłać, co nie było konieczne, gdyż zdemaskował już zabójcę, ograniczył się do rozważania jej interesujących następstw, jakby podziwiał sieć nowego gatunku pająka. Oddawał się tym rozważaniom nie w swoim biurze, lecz wyjątkowo na ławce w pasażu mieszczącym się na-przeciwko pewnego luksusowego domu na Sloane Street. Dom ów był siedzibą producenta pianol, Nathana Fergusona. Garrett nie wiedział, czy ten obmierzły typ, niestety zaprzyjaźniony z jego ojcem i z tego powodu znany mu stanowczo zbyt dobrze, jest osobiście odpowiedzialny za niszczycielską

wojnę z przyszłości, jak mu to w żartach zarzucił ów bezczelny młodzieniec o nazwisku Winslow, ale nic go nie kosztowało spędzenie wieczoru przed domem fabrykanta z torebką pysznych winogron dla osłody i obserwowanie, czy aby nie kręci się tam nikt podejrzany. Gdyby kogoś takiego zobaczył, prawdopodobnie zaoszczędziłby sobie podróży w przyszłość; możliwe było jednak, że Ferguson mimo wszystko nie odgrywa w wielkim planie wszechświata żadnej innej roli niż tylko rola producenta durnych pianol, a kapitan Shackleton czai się teraz pod domem kogoś całkiem innego. Po co zabijał żebraka? Jaki mógł mieć interes w odbieraniu życia jakiemuś nieszczęśnikowi? Czy trup spoczywający w kostnicy był przypadkową ofiarą, czy też pod ubiorem żebraka krył się ktoś ważniejszy, jakiś kluczowy element układanki?

Ku swemu rozczarowaniu Garrett musiał przerwać te fascynujące rozważania, bo drzwi domu Fergusona nagle się otworzyły i stanął w nich właściciel. Inspektor podniósł się z ławki i ukrył za drzewem, skąd miał doskonały widok na wszystko, co działo się na przeciwległym chodniku. Ferguson przystanął na schodach, by włożyć cylinder i rzucić nocy dumne spojrzenie zdobywcy. Zauważwszy jego elegancki ubiór, Garrett wywnioskował, że przedsiębiorca udaje się na przyjęcie bądź coś w tym guście. Ferguson tymczasem włożył rękawiczki, zamknął drzwi domu, zszedł po schodach i bez większego pośpiechu ruszył ulicą. Wyglądało na to, że miejsce, do którego zmierza, znajduje się bardzo blisko, skoro uznał, że obędzie się bez powozu. Garrett zaczął się zastanawiać, czy powinien pójść za nim, ale ledwie Ferguson minął obrośnięty bluszczem ogródek otaczający jego domostwo, z krzaków bezszelestnie wyłoniła się jakaś postać. Miała długi płaszcz i rzucającą cień na twarz czapkę, ale Garrett i tak doskonale wiedział, z kim ma do czynienia. Sam się zdziwił, że jego podejrzenia okazały się słuszne.

Postać zdecydowanym ruchem wyjęła z kieszeni płaszcza rewolwer i wycelowała go w Fergusona, który niczego nieświadom szedł chodnikiem. Garrett zareagował błyskawicznie. Wyskoczył z kryjówek i przebiegł przez ulicę, wiedząc, że jego najlepszą bronią w walce z kimś pokroju Shackletona, niemal dwukrotnie przewyższającym go wzrostem i siłą, jest zaskoczenie. Stukot jego butów zaalarmował postać – przyglądała mu się z wyraźnym niepokojem, nadal jednak trzymając w wyciągniętej ręce wycelowany w fabrykanta rewolwer. Garrett natarł na kapitana z całą mocą, chwytając go w pasie. Obaj wpadli do ogródka, tratując przy tym krzewy. Inspektora zdziwiła delikatna budowa Shackletona, którego powalił bez najmniejszego trudu. Szybko jednak zrozumiał swoją pomyłkę, odkrywając, że przygniata swym ciałem uroczą panienkę, której usta niemal dotykają jego własnych.

– Panna Nelson? – wybełkotał skonsternowany.

– Inspektor Garrett! – wykrzyknęła równie zaskoczona dziewczyna.

Zaczerwieniony inspektor pospiesznie podniósł się z tej wstydlivej pozycji, po czym pomógł Lucy wstać. Rewolwer pozostał na ziemi, bo żadne z nich nie zadało sobie trudu, żeby go podnieść.

– Wszystko w porządku? – zapytał inspektor.

– Tak, tak, w porządku – wydyszała dziewczyna z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy. – Na szczęście chyba nic mi pan nie złamał.

Otrzepała z ziemi ubranie i rozwiązała kokardę, która i tak ledwo się trzymała na głowie.

– Przepraszam, że się na panią rzuciłem, panno Nelson – ukorzył się Garrett, zachwycony cudną kaskadą złotych włosów opadających leniwie na ramiona dziewczyny niczym miód lejący się z garnka. – Naprawdę mi przykro, ale... zamierzała pani strzelić do pana Fergusona, prawda?

– Pewnie, że zamierzałam strzelić do pana Fergusona, inspektorze! Niby po co cały wieczór się tu chowałam? – odparła gniewnie.

Schyliła się po rewolwer, ale Garrett był szybszy.

– Będzie lepiej, jeśli ja go wezmę – rzeki z przepraszającym uśmiechem. – Proszę jednak powie-

dzieć: dlaczego chciała pani zabić pana Fergusona?

Lucy westchnęła i przez chwilę w zamyśleniu wpatrywała się w ziemię.

– Wie pan, nie jestem takim płytkim dziewczęciem, jak się wszystkim wydaje – oznajmiła zbolalym głosem. – Martwię się o świat, w którym żyję, nie mniej niż każda inna osoba. I zamierzałam to okazać, zabijając człowieka, który jest odpowiedzialny za przyszłą wojnę.

– Wcale pani nie uważam za płytkie dziewczę – wyznał Garrett. – Ten, kto tak myśli, jest prawdziwym głupcem.

Lucy uśmiechnęła się zadowolona ze słów inspektora.

– Naprawdę? – zapytała z kokieteryjną minką.

– Oczywiście, panno Nelson – zapewnił ją z nieśmiałym uśmiechem. – Nie sądzi pani jednak, że istnieją lepsze sposoby okazania tego niż płamienie krwią swoich uroczych rączek?

– Pewnie ma pan rację – odparła, przyglądając się inspektorowi z fascynacją.

– Cieszę się, że pani to przyznaje – rzekł ze szczerą ulgą Garrett.

Przez kilka sekund milczeli, przyglądając się sobie z niepokojem.

– I co teraz, inspektorze? – zapytała w końcu dziewczyna, przywołując na twarz wyraz niewinności. – Zatrzyma mnie pan?

Garrett westchnął.

– Powinienem to zrobić, panno Nelson – przyznał z ciężkim sercem – ale...

Znów umilkł, rozważając możliwości.

– Ale co? – zapytała Lucy.

– Zapomnę o wszystkim, jeśli mi pani obieca, że nie będzie już próbowała do nikogo strzelać.

– Ależ obiecuję, inspektorze! – wykrzyknęła radośnie. – A jeśli będzie pan tak uprzejmy i odda mi rewolwer, odłożę go do szuflady ojca, żeby się nie zorientował, że go zabrałam.

Garrett nie był przekonany, ale w końcu ustąpił. Gdy podawał dziewczynie broń, ich palce się zetknęły i oboje przez chwilę rozkoszowali się tym cudownym dotykiem. Potem Lucy schowała rewolwer do kieszeni płaszcza, a Garrett odkaszlnął.

– Mogę panią odprowadzić do domu, panno Nelson? – zapytał, nie śmiąc spojrzeć jej w oczy. – Dziewczęta nie powinny spacerować samotnie o tej porze, nawet jeśli trzymają w kieszeni broń.

Zachwycona Lucy przyjęła propozycję z uśmiechem.

– Oczywiście – odparła. – Bardzo to miłe z pańskiej strony. Zresztą nie mieszkam daleko, a wieczór jest piękny. To będzie przyjemny spacer.

– Z całą pewnością – przytaknął Garrett.

Następnego ranka w zaciszu swego biura inspektor Colin Garrett z rozmarzoną miną przeżuwał śniadanie. Bez cienia wątpliwości myślał o Lucy Nelson, o jej cudownych oczach, złotych włosach i uśmiechu, którym go obdarzyła, gdy zapytał, czy będzie mógł do niej napisać. Jego rozmyślania przerwało jednak wejście agenta z podpisanym przez premiera nakazem udania się w przyszłość w celu zatrzymania człowieka, który jeszcze się nie narodził. Inspektor opleciony miłosną mgiełką, jak nie od dziś wiadomo, ogłupiającą tych, którzy się jej poddają, nie był świadom, co oznacza ten świstek, póki nie znalazł się w powozie zmierzającym do siedziby Podróży w Czasie Murraya.

Gdy po raz pierwszy przekraczał próg tego przedsiębiorstwa, kolana mu drżały, a w rękę trzymał spadek po ojcu zamieniony na coś prosto ze snu: bilet w przyszłość, do roku dwutysięcznego! Tym razem jednak wszedł zdecydowanym krokiem, choć niósł w kieszeni marynarki coś równie niewiarygodnego: nakaz graniczący z magią, bo jeśli się nad tym zastanowić, kazano mu ni mniej, ni więcej tylko aresztować widmo.

I Garrett był przekonany, że jeśli podróże w czasie staną się codziennością, będzie to zaledwie pierwszy z długiej listy podobnych nakazów, umożliwiających funkcjonariuszom policji dokonywanie aresztowań w najróżniejszych epokach, o ile tylko przestępstwa będą popełniane na tym samym obszarze: w Londynie. Bazgrząc krzywy podpis na kartce, którą inspektor trzymał w kieszeni, premier – prawdopodobnie całkiem nieświadomie – wykonał wielki krok naprzód, inaugurując nową epokę. Tak jak podejrzewał Garrett, to nauka i jej oszałamiające owoce grały melodię, do jakiej powinien tańczyć człowiek.

Ten nakaz dawał mu jednak pewną swobodę poruszania się również w przestrzeni. Nie będzie na przykład musiał gnić w jakiejś salce, czekając, aż potwornie zapracowany Gilliam Murray znajdzie dla niego czas. Uprzywilejowany dzięki dokumentowi w kieszeni Garrett ominął sekretarki pilnujące prywatności Murraya, nie zważając na ich krzyki wszedł po schodach wiodących na piętro, pokonał wysoki, obwieszony zegarami korytarz i objawił się w gabinecie przedsiębiorcy niczym duch, nim stado utyskujących kobiet zdążyło go dopaść. Gilliam Murray leżał na dywanie i bawił się z ogromnym psem. Spojrzał z wyrzutem na intruza, ale Garrett nie dał się zastraszyć. Jego postępowanie było wszak ze wszech miar uzasadnione.

– Dzień dobry, panie Murray. Colin Garrett, inspektor Scotland Yardu – przedstawił się. – Proszę wybaczyć, że nachodzę pana w biurze, ale mam pilną sprawę.

Murray bardzo powoli wstał i urażony zlustrował inspektora spojrzeniem, po czym rozkojarzonym gestem odprawił sekretarki.

– Sprawy, którymi się pan zajmuje, z definicji są ważne, więc nie musi mnie pan przepraszać – powiedział, wskazując fotel, a samemu sadowiąc swoje ogromne cielsko w innym, stojącym naprzeciwko.

Gdy już obaj siedzieli, Gilliam wziął ze stołu drewniane pudełeczko, otworzył je i z lakoniczną serdecznością kontrastującą z uprzednim chłodem poczęstował inspektora tytoniem. Garrett odmówił grzecznie, uśmiechając się do siebie na myśl o nagłej zmianie w zachowaniu przedsiębiorcy, któremu najwyraźniej wystarczyło kilka sekund na rozważenie plusów i minusów obrażenia inspektora Scotland Yardu i uznanie, że lepiej będzie mu się podliznąć. Dzięki temu Garrett siedział teraz w wygodnym fotelu, a nie na stojącym obok taborecie.

– Nie znosi pan dymu, co? – mruknął Gilliam, odkładając szkatułkę na stół i chwytając butelkę z rżniętego szkła zawierającą dziwny ciemnawy płyn, który rozlał do dwóch szklaneczek. – W takim

razie może nie wzgardzi pan czymś do picia.

Garrett ujął podaną przez przedsiębiorcę szklaneczkę, z pewnym niesmakiem przyglądając się ciemnej brei, lecz Murray uśmiechem zachęcił go do picia, po czym pociągnął łyk z własnej. Inspektor poszedł w jego ślady i poczuł, jak płyn pali go w gardle, a oczy zachodzą łzami.

– Co to takiego, panie Murray? – zapytał zaniepokojony objawami, których nie zdołał ukryć. – Jakiś napój z przyszłości?

– Ależ skąd, inspektorze. To wzmacniający tonik, który robi furorę w Stanach Zjednoczonych. Stworzył go farmaceuta z Atlanty poprzez wymieszanie liści koki i orzeszków koli. Niektórzy, na przykład ja, dodają do niego trochę wody sodowej. Myślę, że wkrótce przyjmie się w naszym kraju.

Garrett odstawił szklaneczkę na stolik, nie mając najmniejszego zamiaru wypijać kolejnego łyka.

– Ma ciekawy smak. Przypuszczam, że trochę potrwa, nim ludzie go polubią – mruknął, byle coś powiedzieć.

Gilliam przytaknął z uśmiechem, dopił i zapytał, wyraźnie pragnąc się wkupić w łaski gościa:

– I jak, inspektorze, podobało się panu w roku dwutysięcznym?

– Bardzo – odparł szczerze Garrett. – I chciałbym wykorzystać okazję, by pana zapewnić, że całkowicie popieram pański projekt mimo tego, co niektóre gazety piszą o niemoralności zaglądania w czasy, które nie są nasze. Mam otwarty umysł, więc podróże w czasie ogromnie mnie pociągają. Z niecierpliwością czekam na otwarcie tuneli do kolejnych epok.

Przedsiębiorca podziękował za pochwały nieśmiałym uśmiechem, przybierając w swoim fotelu postawę spokojnego oczekiwania, która niewątpliwie miała zachęcić inspektora do wyjawienia motywu wizyty. Garrett odkaszlnął i bez wielkich wstępów przystąpił do rzeczy:

– Żyjemy w fascynujących czasach, panie Murray, ale zarazem okropnie niestabilnych – wygłosił krótką preambułę, nad którą od kilku godzin pracował. – Nauka rządzi, a my, ludzie, musimy się do niej dostosować. W szczególności zaś musimy dostosować do niej prawo, które straciłoby wartość, gdybyśmy nie zaadaptowali go do nowego oblicza świata. A mówiąc to, mam na myśli właśnie podróże w czasie, cudowne odkrycie, które z całą pewnością przedefiniuje świat i które niesie ze sobą nieprzewidywalne, a przynajmniej bardzo trudne do skalkulowania ryzyko. I właśnie o tym ryzyku chcę z panem porozmawiać.

– Całkowicie się z panem zgadzam, inspektorze – przytaknął przedsiębiorca. – Nauka zmieni świat nie do poznania i zmusi nas do zmiany prawa, a być może także zasad, co zresztą podróże w czasie już czynią. Proszę jednak powiedzieć, jakie ryzyko ma pan na myśli? Przyznaję, że wzbudził pan moją ciekawość.

Garrett wyprostował się nieco w fotelu i znów odkaszlnął.

– Dwa dni temu – zaczął – policja z City znalazła na Manchester Street, w dzielnicy Marylebone, zwłoki żebraka. Niby to nic takiego, ale rana, od której zginął, była tak nietypowa, że przekazano sprawę Scotland Yardowi. Nieboszczyk ma w piersi dziurę o nadpalonych brzegach i średnicy trzydziestu centymetrów, która przeszywa go na wskroś. Nasi medycy sądowi nie mają pojęcia, co mogło spowodować takie obrażenia. Wszyscy zgodnie twierdzą, że nie istnieje broń mogąca tego dokonać. – Wypowiedziawszy te słowa, Garrett zrobił teatralną pauzę, po czym, z powagą spoglądając na przedsiębiorcę, dokończył: – A przynajmniej nie tutaj. Nie w teraźniejszości.

– Co chce pan przez to powiedzieć, inspektorze? – zapytał Murray z beztronską stojącą w jaskrawej sprzeczności do jego wierzenia się w fotelu.

– Że lekarze mają rację – odparł Garrett. – Tej broni jeszcze nie wynaleziono. Ale ja już ją widziałem, panie Murray. Wie pan gdzie?

Gilliam milczał, przyglądając mu się ostrożnie.

– Widziałem ją w roku dwutysięcznym.

– Naprawdę? – mruknął przedsiębiorca.

– Tak, panie Murray! Jestem przekonany, że tę ranę może spowodować jedynie broń, której używają dzielny kapitan Shackleton i jego ludzie. Ten promień ciepły, który potrafi wypalać dziury w zbroi z kutego żelaza.

– Rozumiem... – mruknął niby do siebie wpatrzony w pustkę Gilliam. – Broń żołnierzy przyszłości, no jasne.

– W rzeczy samej. Sądzę, że któryś z nich, być może sam Shackleton, ukrył się na pokładzie Cronotilusa, niezauważony przez pana przybył do naszych czasów i obecnie przechadza się po tutejszych ulicach. Nie wiem, dlaczego zabił tego żebraka ani gdzie się teraz ukrywa, ale to nieistotne. Nie zamierzam trwonić czasu na szukanie go po całym Londynie, ponieważ wiem dokładnie, gdzie mogę go znaleźć. – Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki dokument i podał go Murrayowi. – Oto pismo premiera upoważniające mnie do zatrzymania zabójcy 20 maja 2000 roku, zanim jeszcze dopuści się zbrodni. W tym celu będę musiał w towarzystwie dwóch agentów wziąć udział w przyszłotygodniowej wyprawie. Gdy już znajdziemy się w przyszłości, oddzielimy się od reszty pasażerów i będziemy czekać na powrót członków drugiej wyprawy, by dyskretnie zatrzymać człowieka, który się ukryje w Cronotilusie, kimkolwiek będzie.

To powiedziawszy, inspektor uświadomił sobie coś, co przedtem nie przyszło mu do głowy: skoro będzie czekał w ukryciu na powrót drugiej wyprawy, będzie musiał zobaczyć samego siebie. Mógł jedynie mieć nadzieję, że nie wywoła to w nim podobnego obrzydzenia jak widok krwi. Spojrzał na Murraya, który z wielką uwagą czytał nakaz. Milczał tak długo, że Garrett miał wrażenie, iż bada fakturę papieru.

– Proszę się nie obawiać – dodał na wszelki wypadek – jeśli mordercą rzeczywiście okaże się kapitan Shackleton, zatrzymam go po pojedynku z Salomonem, więc moja interwencja nie odmieni losów wojny i ta zakończy się sukcesem ludzkości, ani nie zaszkodzi pańskiemu spektaklowi.

– Rozumiem – mruknął Gilliam, nie podnosząc wzroku znad dokumentu.

– Czy zatem mogę liczyć na pańską współpracę?

Gilliam powoli podniósł wzrok i obrzucił inspektora spojrzeniem, które przez kilka sekund wydało się tamtemu pogardliwe, lecz zaraz zrozumiał, że pomylił się w ocenie – przedsiębiorca bowiem uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Oczywiście, inspektorze, oczywiście – zapewnił. – Będzie pan miał do dyspozycji trzy miejsca podczas najbliższej wyprawy.

– Bardzo dziękuję, panie Murray.

– A teraz proszę wybaczyć – rzekł tamten, wstając i oddając mu dokument. – Mam mnóstwo pracy.

– Ależ oczywiście.

Nieco zaskoczony nagłym zakończeniem rozmowy Garrett wstał z fotela, raz jeszcze podziękował za współpracę i opuścił biuro. Gdy zdążył długim, obwieszonym zegarami korytarzem, na jego twarzy wykwiłał coraz szerszy uśmiech. Idąc po schodach, był już w wyśmienitym nastroju.

– Krezka, śledziona, lewa nerka, nadnercze, pęcherz moczowy, prostata... – podśpiewywał.

Ani dotyk cudownej bryzy obwieszczającej nadejście lata, ani pieśczoć, ani popijanie szkockiej whisky w wannie, póki nie wystygnie woda, ani żadna inna przyjemność nie wprawiły Wellsa w lepszy humor niż postawienie ostatniej kropki w książce. Ten końcowy akt zawsze napełniał go oszałamiającą satysfakcją, niewysłowioną radością płynącą z przekonania, że nic, co mógłby w życiu zrobić, nie sprawiłoby mu większej rozkoszy niż napisanie powieści, nawet jeśli samo pisanie uważał za nudne, wyczerpujące i niewdzięczne – należał bowiem do tych autorów, którzy nienawidzą pisać, ale uwielbiają „mieć napisane”.

Wyjął ostatnią kartkę z wałka maszyny do pisania Hammonda, umieścił ją na szczycie stosu i położył na niej dłoń z triumfalnym uśmiechem myśliwego opierającego but na łbie upolowanego lwa – w oczach Wellsa bowiem akt pisania bardzo przypominał walkę, ucieleśnioną bitwę z pomysłem opierającym się ujęciu w słowa. Z pomysłem, którego autorem był on sam, co jednak tylko pogarszało sprawę, bo chyba najbardziej ze wszystkiego frustrowała go różnica między uzyskanym wynikiem a celem, który – w dużym stopniu nieświadomie – stawiał sobie w momencie przystępowania do żmudnej pracy. Doświadczenie nauczyło go, że to, co człowiek zdoła przelać na papier, jest zaledwie bladym odbiciem jego wyobrażeń i że powinien się cieszyć, jeśli jest choćby w połowie tak dobre jak to, co sobie wymyślił – jak ta idealna, acz nieuchwytna powieść, która posłużyła mu za wzór, a teraz unosiła się kpiąco nad każdą stronicą niczym widmowy cień. Tak czy owak miał przed sobą zwieńczenie wysiłków ostatnich miesięcy, a nadanie namacalnego kształtu czemuś, co do chwili postawienia ostatniej kropki jawiło się zaledwie jako mglista hipoteza, było bezcenne. Jutro mógł oddać powieść Henleyowi i zapomnieć o niej.

Wątpliwości jednak zawsze chodzą parami. Stojąc nad gotowym maszynopisem, Wells po raz kolejny zadawał sobie pytanie, czy napisał to, co powinien. Czy była to jedna z powieści, które zajmą ważne miejsce w jego dorobku, czy wypadek przy pracy? Czy to, jaką napisze książkę, zależało od niego, czy też po części było sprawką rządzącego ludzkim życiem przypadku? Pytań miał mnóstwo, szczególnie nurtowało go jedno: czy w jakimś zakątku jego głowy żyje książka, która pozwoliłaby mu wyrazić wszystko, co naprawdę w sobie nosi? Dręczyła go myśl, że może to odkryć zbyt późno. Że na łożu śmierci, tuż przed wydaniem ostatniego tchnienia, niczym wypływający na powierzchnię wrak wynurzy się z jego umysłu fabuła niezwykłej księgi, której on nie zdąży już napisać – księgi, która zawsze tam była, czekała, wzywała go bezskutecznie poprzez hałas, a teraz umrze wraz z nim, bo nikt inny jej nie napisze, gdyż jest niczym garnitur skrojony na jego miarę. Nie znalazł większego strachu, gorszego przekleństwa.

Potrząsnął głową, by odpędzić te irytujące wątpliwości, i spojrział na zegarek. Było już po północy, mógł więc z czystym sumieniem umieścić na ostatniej stronie powieści, obok podpisu, datę 21 listopada 1896. Uczyniwszy to, chuchnął czule na atrament, wstał z krzesła i chwycił lampę naftową. Bolały go plecy i czuł potworne zmęczenie, lecz nie udał się do sypialni, z której dobiegał rytmiczny oddech Jane. Dziś nie miał czasu na sen: uniósł w uśmiechu kąciki ust na myśl o ekscytującej nocy, która go czekała. Przeszedł przez korytarz, przyświecając sobie lampą i znacząc drogę jedynie miękkimi westchnieniami bamboszy, po czym zaczął wchodzić na strych, starając się unikać skrzypienia schodów.

Na górze czekał na niego błyszczący i uroczy, otoczony fantasmagorycznym poblaskiem zaglądającego przez okno księżycy wehikuł. Wells przywykł do tego sekretnego rytuału, nie potrafiłby jednak określić, co dokładnie podoba mu się w niegroźnym i absurdalnym żarciku, jakim było siedzenie w

wehikule, gdy jego żona spała. Być może chodziło o to, że mimo świadomości, iż urządzenie jest wyłącznie skomplikowaną zabawką, czuł się kimś wyjątkowym, gdy w nim zasiadał. Ci, którzy je zbudowali, zadbali o każdy szczegół: być może wehikuł nie mógł podróżować w czasie, ale dzięki odpowiednim kółeczkom można było ustawić na pulpicie sterowniczym dowolną datę i udawać, że się przemieszcza przez tkankę czasu właśnie do tej chwili.

Do tej pory Wells ograniczał się do programowania na pulpicie bardzo odległej przyszłości, w tym roku 802 701, epoki Elojów i Morloków. Podróżował zarówno w okresy, w których znane mu życie mogło być już boleśnie niezrozumiałe, jak i w epoki z przeszłości, które chciałby poznać, na przykład w czasy druidów. Tej nocy jednak z ironicznym uśmiechem na ustach ustawił cyfry na pulpicie tak, by pokazywały 20 maja 2000 roku – datę, którą ten uzurpator Gilliam Murray wybrał na inscenizację najważniejszej bitwy ludzkości, widowisko, w które ku zdumieniu pisarza uwierzyła cała Anglia, po części zresztą dzięki jego książce. Wydało mu się ironią losu, że on, autor powieści, jako jedyne uważa tę podróż za niemożliwą. Rozbudził marzenia wszystkich rodaków, a sam okazał się odporny na produkt własnej wyobraźni.

„Jak naprawdę będzie wyglądał świat za sto lat?” – zastanawiał się. „Jakie jest prawdziwe oblicze przyszłości?” Chciałby móc się udać do roku dwutysięcznego nie tylko dla przyjemności jego poznania, lecz także po to, by wykonać parę fotografii jednym z tych modnych aparatów, a potem pokazać naiwniakom, którzy tłoczą się w kolejkach przed biurami Murraya, jak naprawdę wygląda przyszłość. Oczywiście było to pragnienie nie do zrealizowania; jego nierealność nie odwodziła jednak Wellsa od udawania, że może je spełnić. Rozsiadł się więc w krześle i z powagą pociągnął za dźwignię wehikułu. Natychmiast poczuł ekscytujący dreszcz, który przeszywał jego ciało, ilekroć wykonywał ten ruch.

Ku jego zdumieniu, gdy tylko dźwignia znalazła się w pozycji docelowej, strych ogarnęła ciemność. Wpadające przez okno promienie księżyca zgasły i Wellsa otoczyła gęsta czerń. Nim zdążył pojąć, co u licha się dzieje, owładnęło nim okropne uczucie spadania połączone z nagłymi mdłościami. Lewitował, dryfował w jakiejś ciemnej nicości, która mogła być nawet otchłanią wszechświata. Nim świadomość na dobre go opuściła, pomyślał, że albo ma zawał, albo przenosi się do roku dwutysięcznego.

Przytomność wracała powoli i opornie. W ustach mu zaschło, a całe ciało wydawało się dziwnie ciężkie. Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył, że leży na ziemi; nie była to jednak podłoga strychu, lecz puste pole pełne kamieni i gruzu. Zdezorientowany pisarz usiadł z wysiłkiem, z niezadowoleniem odnotowując, że każdemu ruchowi głowy towarzyszą okropne bóle. Nie ryzykując wstania, rozejrzał się z niedowierzaniem po otaczającym go krajobrazie.

Znajdował się w doszczętnie zrujnowanym mieście. Czy to Londyn przyszłości? zastanawiał się. Czy naprawdę przeniosłem się do roku dwutysięcznego? Po wehikule czasu nigdzie nie było śladu, jakby Morlokwie schowali go wewnątrz sfinksa. Rozejrzawszy się dokładnie, uznał, że czas wstać, co uczynił z wielkim wysiłkiem, niczym małpolud Darwina skracający dystans dzielący go od człowieka. Skonstatował jednak z ulgą, że nie ma żadnych złamań, choć wciąż odczuwał silne mdłości. Czyżby to jeden ze skutków ubocznych podróży wehikułem czasu? Niebo zakrywała gęsta mgła spowijająca wszystko wokół niemrawym zmierzchem – całun nieprzeniknionego dymu utkany z dziesiątków ognisk widocznych na horyzoncie. Wśród otaczającego go pustkowiecia oczywistością zdała się pisarzowi obecność hałaśliwych kruków krążących nad jego głową. Jeden wylądował bardzo blisko niego i zaczął zawzięcie dziobać wśród gruzu z makabrycznym stukotem.

Przejrzawszy mu się dokładnie, przerażony Wells zauważył, że ptak próbuje przebić ludzką czaszkę. Cofnął się odruchowo o kilka kroków, co w tym nieznanym miejscu okazało się złym pomysłem,

bo nagle poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg. Zbyt późno pojął, że zbudził się w pobliżu skraju wzgórza, z którego teraz stacza się na łeb na szyję. Wylądował z głuchym łoskotem, wznosząc tuman gęstego pyłu, który wdarł mu się do płuc i zmusił go do kilkakrotnego kasznięcia. Nieco zirytowany własną niezdarnością, ponownie pozbierał się z ziemi. Na szczęście także tym razem wszystkie kości wydawały się całe, lecz dla odmiany spodnie rozdarły się w kilku miejscach, przy czym jeden z otworów ku wielkiemu zawstydzeniu pisarza odkrywał część chudego i bladego lewego pośladka.

Wells potrząsnął głową. Cóż jeszcze może mi się zdarzyć? pomyślał i zaczął się otrzepywać z po- piołu. Gdy ten się rozproszył, pisarz zamarł, w oszołomieniu wpatrując się w sylwetki, które wyłoni- ły się zza zasłony pyłu. Naprzeciw niego stał oddział automatów i przyglądał mu się w niepokojącym milczeniu. Było ich co najmniej dziesięć i wszystkie trwały nieruchomo w identycznych posepnych, władczych pozach, włącznie z tym, który wyprzedzał pozostałe o kilka kroków i miał na głowie idio- tyczną złotą koronę. Wyglądały, jakby zastygły w marszu na widok jego upadku. Zrozumiawszy, gdzie się znajduje, Wells poczuł w trzewiach mrozący strach. Trafił do roku dwutysięcznego i choć to nie- wiarygodne, ten rok wyglądał dokładnie tak, jak opisał go w swojej powieści Gilliam Murray. Auto- mat w koronie nie był nikim innym jak złowrogim Salomonem, przywódcą buntowników i sprawcą widocznych wokół zniszczeń. Los pisarza wydawał się przypieczętowany: za chwilę zginie od strzału zabawki, tu, w przeszłości, w którą nie chciał wierzyć.

– Podejrzewam, że bardzo pan teraz tęskni za kapitanem Shackletonem. Prawda?

Głos nie dobiegał z ust automatu, choć na tym etapie Wells uwierzyłby we wszystko, lecz z za jego pleców. Pisarz od razu go rozpoznał. Wolałby już nigdy w życiu nie spotkać człowieka, do którego należał, ale z jakiegoś powodu wiedział, że wcześniej czy później to nastąpi. Historia, w której wbrew jego chęciom obaj uczestniczyli, potrzebowała dalszego ciągu oraz finału satysfakcjonującego czytelników. Nigdy jednak nie przypuszczał, że owo spotkanie rozegra się w przyszłości, głównie dlatego, że nie wierzył w możliwość podróżowania w przyszłość. Obrócił się powoli. Kilka metrów od niego stał rozbawiony Gilliam Murray i przyglądał mu się z pobłażliwym uśmiechem. Miał na so- bie elegancki fioletowy garnitur i zielony cylinder, co upodabniało go do kolorowych ptaków za- mieszkujących biblijny raj. Obok siedział ogromny pies w kolorze, który bez cienia przesady można było nazwać złotym.

– Witam w roku dwutysięcznym, panie Wells – pozdrowił go jowialnie przedsiębiorca. – A może raczej powinienem powiedzieć: w moim wyobrażeniu tegoż roku.

Wells zmierzył go urażonym spojrzeniem, nie przestając jednak zerkać na oddział automatów sto- jący przed nimi w widmowym bezruchu, jakby w oczekiwaniu na rozkaz odwrotu.

– Boi się pan moich ukochanych automatów? Jakżeż może się pan obawiać tak niewiarygodnej przyszłości? – zapytał ironicznie Gilliam.

Spokojnym krokiem podszedł do przywódcy grupy i rzuciwszy Wellsowi porozumiewawczy uśmiech dziecka szykującego się do splątania jakiegoś figla, położył pulchną rękę na ramieniu maszy- ny i pchnął. Automat odchylił się do tyłu i uderzył hałaśliwie o stojący za nim, ten z kolei wpadł na następny i tak, stopniowo, wszystkie poupadały na ziemię z majestatycznym spokojem przywodzącym na myśl topnienie lodu. Gdy już leżały, Gilliam rozłożył ręce, jakby przeproszał za hałas.

– Kiedy nikt nie patrzy, są tylko pustymi zbrojami, zwykłymi przebraniem – wyjaśnił.

Pisarz przyjrzał się stercie powalonych automatów i przeniósł wzrok z powrotem na Murraya, ze wszystkich sił starając się opanować zawroty głowy, które wywoływała w nim ta absurdalna nierze- czywistość.

– Proszę wybaczyć, że wbrew pańskiej woli przenieśliśmy pana w przyszłość – usprawiedliwił się przedsiębiorca z udawanym uśmiechem wyrażającym zawstydzenie. – Nie byłoby to konieczne, gdy-

by przyjął pan któreś z moich zaproszeń, ale ponieważ pan uparcie się od tego uchylał, nie miałem wyjścia. Chciałem, żeby zobaczył pan ten świat, nim będę musiał go zamknąć. Musiałem więc wysłać człowieka, żeby pana uśpił chloroformem podczas snu, ale z tego, co mi powiedział, wnioskuję, że poświęca pan noce innym czynnościom. Przeraził się, gdy pojawił się pan na strychu niemal w tym samym momencie, w którym on dostał się tam przez okno.

Jego słowa zapaliły w skonfundowanym umyśle Wellsa błogosławione światełko, pozwalające na szybkie połączenie wszystkich elementów układanki. W mgnieniu oka pisarz pojął, że wbrew pozorom nie przeniósł się do roku dwutysięcznego. Wehikuł, który trzymał na strychu, nadal był zwykłą zabawką, a zrujnowany Londyn, w którym się znajdowali, stanowił zaledwie ogromną scenografię zbudowaną przez Gilliama w celu oszukania świata. Prawdopodobnie na widok wchodzącego na strych pisarza zbir ukrył się za wehikułem i czekał tam, nie bardzo wiedząc, co począć. Być może rozważał możliwość użycia siły, by go unieszkodliwić i wykonać zadanie, ale na szczęście przemoc nie okazała się konieczna, bo sam Wells, siadając beztrząsco w maszynie, stworzył mu idealną okazję do użycia nasączonej chloroformem szmatki, którą trzymał w pogotowiu.

Nie trzeba dodawać, że Wells pojąwszy, iż nie przeniósł się w niewytłumaczalny sposób w czasie, lecz trafił do wielkiego teatru, poczuł niewysłowioną ulgę. Znajdował się wprawdzie w sytuacji nie do pozazdroszczenia, ale przynajmniej zrozumiałej.

– Mam nadzieję, że nie zrobiliście krzywdy mojej żonie – rzekł tonem, który wcale nie zabrzmiał groźnie.

– Och, proszę się nie obawiać – uspokoił go Gilliam, wymachując energicznie ręką. – Pańska małżonka ma bardzo mocny sen, a moi ludzie potrafią być niewiarygodnie cisi, jeśli sytuacja tego wymaga. Jestem przekonany, że w tej chwili pańska ukochana Jane śpi spokojnie i wcale za panem nie tęskni.

Wells chciał coś odpowiedzieć, ale w końcu zdecydował się zachować milczenie. Gilliam odnosił się do niego z nieco aktorską wyższością możliwych, którzy mają świat u stóp. Bez wątpienia czas, który upłynął od ich poprzedniego spotkania, zmienił układ figur na szachownicy. W swoim domu w Working to Wells dzierżył berło władzy, wymachując nim niczym dzieckiem nad swoją nową zabawką, ale Gilliam trzymał je w swoich tłusciutkich paluchach. Przedsiębiorca w ciągu kilku miesięcy ewoluował w zupełnie inne stworzenie. Nie był już aspirującym pisarzem zmuszonym do oddawania czci swemu mistrzowi, lecz właścicielem najbardziej lukratywnego interesu w całym Londynie, którego mieszkańcy jak jeden mąż składali mu groteskowy hołd. Wells oczywiście nie uważał go za godnego jakiegokolwiek podziwu i pozwalał mu zwracać się do siebie tym wyniosłym tonem jedynie dlatego, że uznał Murraya za zwycięzcę pojedynku, w którym uczestniczyli na przestrzeni ostatnich miesięcy. Czyż on sam nie przemawiał podobnym tonem, gdy dzierżył berło?

Niczym cyrkowy konferansjer zapowiadający rozpoczęcie spektaklu Gilliam Murray rozłożył szeroko ramiona, symbolicznie obejmując zdewastowaną przestrzeń.

– No i jak się panu podoba mój świat? – zapytał.

Wells obrzucił teren obojętnym spojrzeniem.

– Jak na konstruktora ciepłarni jest osiągnięciem niezwykłym, prawda, panie Wells? – dodał Gilliam. – Bo tym właśnie się zajmowałem, zanim nadał pan memu życiu nowy sens.

Wellsowi nie umknął fakt, że Murray ochoczo przypisuje mu odpowiedzialność za ukształtowanie jego losów, lecz wolał tego nie komentować. Niezrażony biernością gościa przedsiębiorca gestem zaprosił go do spaceru po swojej przyszłości. Po chwili wahania pisarz ruszył za nim niechętnie.

– Nie wiem, czy pan się orientuje, że ciepłarnie to bardzo lukratywny interes – poinformował go Gilliam, gdy się zrównali. – Wszyscy rezerwują w ogrodach miejsce na te maleńkie wszechświaty.

Do nich przeniosły się rozrywki dorosłych i zabawy dzieci i w nich można bez przerwy uprawiać rośliny oraz drzewa owocowe bez przejmowania się porą roku. Mój ojciec, Sebastian Murray, miał jednak, by tak rzec, nieco wyższe aspiracje.

Przeszli za ledwie kawałek, gdy nagle drogę zagrodziła im niewielka stromizna. Przedsiębiorca, nie zadawszy sobie trudu obejścia jej, zaczął schodzić po zboczu głupkowatymi kroczkami, rozpościerając ramiona, by utrzymać równowagę. Pies natychmiast podążył za nim. Wells westchnął ciężko i ruszył ich śladem, starając się nie potknąć o wystające z ziemi kawałki rur i upiornie uśmiechniętych czaszek. Nie miał zamiaru znów się przewrócić. Jeden upadek na dobę w zupełności mu wystarczył.

– Mój ojciec upatrywał w tych przezroczystych domkach, które stawiają w swoich ogrodach bogacze, załączka przyszłości! – wykrzyknął Gilliam, schodząc po stromiźnie przed Wellsem. – Uważał, że to forpocza świata złożonego z przezroczystych miast pełnych szklanych domów, które położą kres ludzkim tajemnicom i prywatności. Lepszego świata, w którym kłamstwo stanie się niemożliwe!

Gdy dotarł do podnóża wzniesienia, wyciągnął do Wellsa rękę, lecz ten wzgardził jego pomocą, nie zadając sobie nawet trudu, żeby ukryć złość wywołaną całą tą sytuacją. Udając, że tego nie widzi, Gilliam ruszył w dalszą drogę, tym razem łatwiejszą ścieżką.

– Muszę panu wyznać, że w dzieciństwie fascynowała mnie ta cudowna wizja, która rządziła życiem mego ojca – kontynuował. – Przez pewien czas sądziłem nawet, że to prawdziwy obraz przyszłości. Dopiero kiedy skończywszy siedemnaście lat, zacząłem pracować u ojca, zrozumiałem, że to zwykły miraż. Oczywiście było, że ta rozrywka inżynierów i ogrodników nigdy nie stanie się architekturą przyszłości, nie tylko dlatego, że człowiek nie zrezygnuje z prywatności na rzecz harmonijnego współżycia, lecz także dlatego, że sprzeciwią się temu sami architekci, którzy gardzą żelazem i szkłem, twierdząc, że tym nowoczesnym materiałom brakuje estetyki, jaka winna cechować ich dzieła. Pojąłem, że tak wygląda smutna rzeczywistość i że choćbyśmy z ojcem zbudowali mnóstwo szklanych stacji kolejowych na terenie całej Anglii, nie zdołamy obalić rządów cegły. Ograniczyłem się więc do roli prostego fabrykanta prostych cieplarni. Kogóż, panie Wells, zadowoliliby tak błaha zajęcie? Z całą pewnością nie mnie. Nie miałem jednak lepszego pomysłu. W wieku dwudziestu paru lat dysponowałem wystarczającym majątkiem, by pozwolić sobie na spełnienie każdej, choćby najbardziej wyszukanej zachcianki, dzięki czemu postrzegałem życie jako z góry wygrane rozdanie, które zaczynało mnie okropnie nudzić. Na domiar złego w tamtym okresie zmarł w wyniku gwałtownych ataków febry mój ojciec, co uczyniło mnie, jego jedyne spadkobiercę, jeszcze bogatszym, lecz zarazem boleśnie świadomym, że większość ludzi umiera, nie zrealizowawszy swoich marzeń. Niezależnie od tego, jak godne pozazdrosczenia wydawało się z boku życie mego ojca, wiedziałem, że nie było spełnione i że mnie czeka ten sam los. Byłem przekonany, że umrę z takim samym wyrazem niezadowolenia na twarzy. Przypuszczam, że uciekałem w lekturę, by zapomnieć o tej monotonnej i przewidywalnej egzystencji, która się przede mną rozpościerała. Wszyscy zaczynamy czytać z jakiegoś powodu, prawda, panie Wells? Jaki był pański?

– W wieku ośmiu lat złamałem piszczel – mruknął z widoczną apatią pisarz.

Gilliam przyglądał mu się chwilę z lekką konsternacją, po czym z zadowoleniem kiwnął głową.

– Przypuszczam, że tacy geniusze jak pan muszą zaczynać w podobnym wieku – rzekł w zamyśleniu. – Ja trochę się spóźniłem. Przed dwudziestym piątym rokiem życia nie odważyłem się zajrzeć do bogatej biblioteki, którą owdowiały wcześniej ojciec zaczął kompletować w jednym ze skrzydeł domu, prawdopodobnie po to, by się pozbyć pieniędzy, dla których bez pomocy matki nie umiał znaleźć przeznaczenia. Gdyby nie ja, nikt nigdy by tych książek nie przeczytał. Pożarłem więc wszystkie co do jednej. Każda, która opowiadała o życiu różniącym się od mojego, była dla mnie co najmniej

interesująca. Ale pańska powieść, panie Wells... pańska powieść zafascynowała mnie jak żadna inna! Pan nie pisał o znanym mi świecie, jak Dickens, ani o egzotycznych obszarach Afryki czy Malezji, jak Haggard czy Salgari, ani nawet o samym Księżycu, jak Verne. Nie, w *Wehikule czasu* opowiadał pan o czymś, co wydawało się jeszcze bardziej nieosiągalne: o przyszłości! Przyszłości, której nikt przedtem nie ośmielił się pokazać.

Wells skwitował pochwały przedsiębiorcy wzruszeniem ramion, nie przerywając marszu i unikając potknięcia się o psa, który miał denerwującą manię plątanania mu się pod nogami. Verne go wyprzedził, ale Murray nie musiał o tym wiedzieć. Ten tymczasem, nie zważając na obojętność rozmówcy, kontynuował:

– Jak panu wiadomo, od tamtej pory, prawdopodobnie pod wpływem pańskiej powieści, nastąpiła moda na opisywanie wizji jutra. Witryny księgarń wkrótce wypełniły setki futurystycznych dzieł. Kupowałem je wszystkie, jeśli tylko miałem taką możliwość, i po wielu bezsennych nocach spędzonych na pochłanianiu jednego za drugim zrozumiałem, że już nigdy nie będę czytał nic innego.

– Przykro mi, że postanowił pan trwonić czas na te wypociny – mruknął Wells. Uważał tę literaturę za brzydką narośl na ostatnich latach XIX stulecia.

Gilliam zerknął na niego zdziwiony, po czym wybuchnął gromkim śmiechem.

– Jakość tych dzieł jest oczywiście mierna – przyznał – ale to mi kompletnie nie przeszkadza. Fabuły tych wypocin, jak je pan nazywa, posiadają coś, co jest dla mnie warte więcej niż umiejętność układania pięknych zdań: wizjonerską moc, która wywołuje we mnie podziw i zazdrość. Większość tych książek ogranicza się do opisywania zwariowanych skądinąd wynalazków zmieniających ludzkie życie. Czytał pan tę powiastkę o żydowskim wynalazcy, który stworzył urządzenie do powiększania obiektów? Jest okropna, ale przyznaję, że widok stada jelonków rogaczy przebiegających przez Hyde Park zdołał mnie przerazić. Na szczęście nie wszystko jest takie. Pomijając te wariactwa, niektóre powieści ukazywały propozycje przyszłości, których prawdopodobieństwo z przyjemnością rozważałem. I miały w sobie coś kuszącego. Zachwycając się, na przykład, powieścią Dickensa, nigdy nie wpadłem na pomysł sprawdzenia, czy sam potrafię stworzyć opowieść o perypetiach małego żebraka czy trudach pracy w fabryce pasty do butów, bo wydawało mi się, że potrafi to zrobić każdy, kto ma choć odrobinę wyobraźni. Ale pisanie o przyszłości... to, panie Wells, było coś zupełnie innego. Coś, co wydawało mi się prawdziwym wyzwaniem, bo wymagało inteligencji i dedukcji. Pewnej nocy, ukończywszy jedną z tych powiastek, zadałem sobie pytanie, czy potrafiłbym stworzyć wiarygodną przyszłość. Jak zapewne się pan domyślił, wziąłem za wzór pana, bo nie tylko nękają nas te same niepokoje, ale w dodatku jesteśmy równoletkami. Przez miesiąc poświęcałem wszystkie wieczory na pisanie książki o przyszłości, futurystycznej powieści, która miała ukazać całą moją przenikliwość i siłę dedukcji. Oczywiście starałem się ze wszystkich sił, by była dobrze napisana, lecz najbardziej interesowała mnie zawarta w niej prorocza wizja. Pragnąłem, by czytelnikom przyszłość, jaką sobie wyobraziłem, wydała się wiarygodna, możliwa do realizacji. Przede wszystkim zaś zależało mi na opinii pisarza, który wskazał mi drogę: pańskiej, panie Wells. Pragnąłem, żeby przeczytał pan moje dzieło i zachwycił się celnością wizji; by spojrzął mi pan w oczy i uznał mnie za równego sobie, za pokrewną duszę. Pragnąłem, by czytanie mojej powieści nie tylko sprawiło panu przyjemność, lecz aby wzbudziła ona ten sam zachwyt, który wzbudziła we mnie pańska.

Mężczyźni spojrzeli sobie w oczy w ciszy przerywanej jedynie odległym krakaniem kruków.

– Ale tak się nie stało – poskarżył się w końcu Gilliam, potrząsając głową ze źle skrywanym żalem, który siłą rzeczy wzruszył Wellsa, bo wydał mu się pierwszym szczerym gestem, jaki wykonał przedsiębiorca, odkąd wyruszyli na tę przechadzkę.

Zatrzymali się przy ogromnej stercie gruzu. Murray przez kilka dobrych minut stał, trzymając ręce

w kieszeniach i ze szczerym przygnębieniem wpatrując się we własne buty, być może w oczekiwaniu na to, że Wells położy mu dłoń na ramieniu i wypowie słowa pociechy, niczym śpiew szamana leczące bolesną ranę, którą tamtego popołudnia zadał jego dumie. Pisarz jednak ograniczył się do obserwowania go z beznamietnością myśliwego przyglądającego się królikowi miotającemu się w pułapce, wiedząc, że choć sprawia wrażenie odpowiedzialnego za to, co się stało, w rzeczywistości jest jedynie pośrednikiem, a ból ofiary spowodowała okrutna harmonia życia.

Zrozumiał, że jedyna osoba, która mogła ofiarować balsam jego duszy, nie zamierza tego zrobić, Gilliam uśmiechnął się posępnie i wznowił marsz. Szli wzdłuż czegoś, co sprawiało wrażenie alei otoczonej niegdyś bogatymi domami. Majestatyczne kraty i wyzierające spomiędzy gruzów luksusowe wyposażenie sugerowały życie, które w tej pustce zdawało się absurdalne, jak gdyby zasnienie ludzkiego istnienia na Ziemi stanowiło jedynie pomyłkę Boga, marnotrawstwo ziarna skazanego na pożarcie przez żywioly.

– Nie przeczę, że początkowo byłem zdegustowany pańskimi wątpliwościami co do jakości mego dzieła – przyznał Gilliam głosem wylewającym się z głębi jego gardła niczym gęsta melasa. – Nikt nie lubi być niedoceniany. Tym, co naprawdę mnie zirytowało, było jednak zakwestionowanie wiarygodności przyszłości, którą z takim pietyzmem zaprojektowałem. Wiem, że moja reakcja nie była najodpowiedniejsza, i chciałbym skorzystać z okazji, by przeprosić za ataki na pańską książkę. Jak zdążył pan wywnioskować z naszej rozmowy, mój stosunek do niej się nie zmienił: nadal uważam ją za dzieło geniusza.

W ostatnich słowach Gilliana dało się wyczuć leciutką nutkę sarkazmu. Na jego twarzy znów za gościł pyszałkowaty uśmiech, lecz Wells już wiedział, że ten gigant ma pewną rysę, niewielkie, lecz strategicznie usytuowane pęknięcie grożące katastrofą, i w obliczu irytującej arogancji przedsiębiorcy poczuł wręcz dumę, że to on je spowodował.

– Tamtego popołudnia nie znajdowałem jednak innego sposobu obrony niż ten, którego imają się zapędzone w ślepy zaułek szczury – usprawiedliwiał się Murray. – Na szczęście, gdy już się uspokoiłem, zobaczyłem wszystko w innym świetle. Można powiedzieć, że przeżyłem coś w rodzaju objawienia.

– Czyżby? – zakpił Wells.

– Och, bez cienia wątpliwości. Wtedy, siedząc naprzeciwko pana, zrozumiałem, że wybrałem niewłaściwy sposób pokazania ludziom swojej wizji przyszłości: umieszczając ją w powieści, sam ją skazywałem na los fikcji, może i wiarygodnej, lecz jednak fikcji, podobnie jak uczynił to pan ze swymi Elojami i Morlokami. Co jednak, gdybym zdołał ją przekazać bez tego ograniczającego pośrednictwa, którym było zamknięcie idei w książce? Gdybym zdołał ją przedstawić jako coś prawdziwego? Jasne było, że nieopisana satysfakcja, jaką mógłbym czerpać z wiary całej Anglii w moją wizję roku dwutysięcznego, absolutnie przyćmiłaby wszelką radość z napisania wiarygodnej fikcji. „Czy to możliwe?”, pytała jednak przedsiębiorcza strona mojego charakteru. Warunki do realizacji projektu zdawały się idealne. Pańska powieść rozbudziła polemikę dotyczącą podróży w czasie. We wszystkich klubach i kawiarniach nie rozprawiano o niczym innym, jak tylko o możliwości przemieszczania się w przyszłość. Można by ironicznie powiedzieć, że użył pan glebę po to, żebym ja mógł zasiać w niej swoje ziarno. Dlaczego więc nie miałbym im dać tego, o co prosili? Dlaczego nie miałbym im zaoferować podróży w „moją” przyszłość, w „mój” rok dwutysięczny? Nie wiedziałem, czy mi się to uda, ale jednego byłem pewien: jeśli nie spróbuję, nie będę mógł dalej żyć. Niechcący, panie Wells, całkiem przypadkowo, jak to zwykle bywa, jeśli chodzi o sprawy transcendentne, pokazał mi pan powód do życia, cel, którego realizacja dałaby mi pożądane spełnienie, tę ulotną radość, której nigdy nie mogła mi zapewnić budowa cieplarni.

Wells musiał pochylić głowę, by nie spojrzeć przedsiębiorcy w oczy ze zrozumieniem. Słowa Murraya przypomniały mu o cudownym łańcuchu zdarzeń, które jego samego rzuciły we wspaniałe ramiona literatury, ratując przed przeciętnością, na jaką skazywała go mniej kochająca matka. Na szczęście wrodzona umiejętność władania słowem uwolniła go od konieczności poszukiwania sensu życia, zawróciła z drogi, którą wędrują biedacy nieznający celu swej egzystencji i zaznający jedynie konwencjonalnej, atawistycznej radości przyziemnych rozkoszy, takich jak kieliszek dobrego wina czy pieszczoty chętnej kobiety. Chodziłby pośród tych bezużytecznych cieni, nie podejrzewając nawet, że upragnione spełnienie, którego przebłyski widywałby jedynie w napadach melancholii, leży zwinięte w kłębek na klawiszach maszyny do pisania i czeka, aż on je rozwinie.

– W drodze powrotnej do Londynu mój umysł zaczął pracować – usłyszał głos przedsiębiorcy. – Byłem przekonany, że ludzie potrafią uwierzyć w coś niemożliwego, o ile tylko będzie miało pozory prawdopodobieństwa. W zasadzie cały proces bardzo przypominał budowę cieplarni: jeśli szklana struktura wygląda wystarczająco wdzięcznie i uroczo, nikt nie zwraca uwagi na podtrzymujący ją żelazny szkielet. Sprawia wrażenie unoszącej się w powietrzu dzięki czemuś w rodzaju magii. Następnego ranka bez wahania sprzedałem firmę, którą mój ojciec zbudował od zera. Jeśli to pana interesuje, nie czułem przy tym najłżejszych wyrzutów sumienia. Wręcz przeciwnie, bo sprzedaż miała mi pomóc zbudować przyszłość w sensie dosłownym, a właśnie tego w głębi duszy pragnął mój ojciec. Po sprzedaży kupiłem ten stary teatr. Wybrałem go, bo zaraz za nim znajdowały się dwa opuszczone budynki z widokiem na Charing Cross Road – je także nabyłem. Kolejnym krokiem było oczywiście połączenie wszystkich trzech obiektów poprzez likwidację odpowiednich ścian i stworzenie tej gigantycznej przestrzeni. Jak zapewne zauważył pan z ulicy, sam teatr nie jest szczególnie wielki, więc nikt nie podejrzewa, że może kryć w swym wnętrzu rozległe dekoracje przedstawiające Londyn roku dwutysięcznego. Potem, w ciągu zaledwie kilku miesięcy, stworzyłem idealną co do najmniejszego szczegółu replikę scenerii opisaną w mojej powieści. W rzeczywistości nie jest ona tak rozległa, ale kiedy chodzimy w kółko, wydaje się ogromna, prawda?

Naprawdę chodzimy w kółko? zastanawiał się Wells, powściągając irytację. Jeśli tak było, musiał przyznać, że nabrał się na labiryntową naturę gruzów powiększającą i tak już gigantyczną dekorację, której istnienia wewnątrz niewielkiego teatru nigdy w życiu by nie podejrzewał.

– Moja własna ekipa kowali wykuła automaty, które niedawno tak pana przeraziły, oraz zbroje żołnierzy kapitana Shackletona – kontynuował Gilliam, prowadząc pisarza przez coś w rodzaju jaru otoczonego zrujnowanymi budynkami. – Początkowo planowałem zatrudnienie prawdziwych aktorów do odgrywania kluczowej dla ludzkości bitwy, której scenariusz napisałem osobiście, by była jak najbardziej widowiskowa i emocjonująca. Szybko jednak porzuciłem ten pomysł, bo aktorzy teatralni, na ogół zwariowani i próżni, wydawali mi się zbyt pretensjonalni, by w sposób naturalny odtworzyć role żołnierzy tak zaprawionych w bojach i opanowanych jak ci, którzy mieli tworzyć armię przyszłości, lecz przede wszystkim dlatego, że gdyby uznali pracę, którą mieli wykonywać, za niemoralną, byłoby mi trudno ich uciszyć. Zamiast nich wynająłem więc garstkę uliczników, których wygląd znacznie bardziej pasował do opisu zahartowanych postaci, w jakie mieli się wcielić. Ci nie mieli pretensji, że muszą spędzać całe przedstawienie zakuci w ciężką żelazną zbroję, a moje oszustwo było im najzupełniej obojętne. Mimo to miałem pewne problemy, ale poradziłem sobie z nimi – rzekł, uśmiechając się do pisarza znacząco.

Wells zrozumiał, iż tym krzywym uśmiechem przedsiębiorca komunikuje mu dwie rzeczy: że wie o jego udziale w romansie panny Haggerty z Tomem Bluntem, młodzieńcem odgrywającym rolę kapitana Shackletona, i że to on jest odpowiedzialny za nagłe zniknięcie chłopaka. Zmusił się do ułożenia warg w wyraz przerażonego zdumienia, który zdawał się satysfakcjonować Gilliana, podczas gdy w

rzeczywistości miał ogromną ochotę zetrzeć Murrayowi z ust ten arogancki uśmieszek i ujawnić, że Tom przeżył własną śmierć, o czym osobiście mu opowiedział dwa wieczory temu, pojawiwszy się w jego domu, by podziękować za wszystko, co zrobił, i przypomnieć, że jeśli kiedyś będzie potrzebował silnych mięśni, wystarczy go wezwać.

Jar przeszedł w otwartą przestrzeń imitującą mały placyk, na którym przetrwały nawet żywe, choć pozbawione liści i okropnie powykręcane drzewa. Pośrodku placyku Wells dostrzegł coś na kształt barokowego tramwaju z biegnącymi wzdłuż boków rurami z chromowanego żelaza. Wystawały z nich dziesiątki zaworów i innych podobnie futurystycznych akcesoriów, które po bliższym przyjrzeniu się nie wydały mu się zbyt użyteczne.

–A oto Cronotilus, pojazd parowy mogący pomieścić trzydzieści osób – obwieścił z dumą Gilliam, uderzając w ścianę konstrukcji.

– Pasażerowie wsiadają do niego w przyległym do placu pomieszczeniu, w przekonaniu, że udają się w przyszłość. Nie mają pojęcia, że rok dwutysięczny znajduje się na sąsiedniej posesji. Ja muszę jedynie ich tu przywieźć. Tych pięćdziesiąt metrów – wskazał ledwo widoczne za chmurą dymu drzwi – dla nich oznacza całe stulecie.

– Ale jak się panu udaje uzyskać efekt przemieszczania się w czasie? – zapytał Wells, nie mogąc uwierzyć, że klientom Murraya wystarczy prosta przejażdżka tramwajem, nawet tak dziwacznie przyozdobionym.

Gilliam się uśmiechnął, jakby pytanie sprawiło mu przyjemność.

– Istotnie cały wysiłek na nic by się nie zdał, gdybym nie zdołał rozwiązać tego irytującego problemu, który, wyznam panu szczerze, przez wiele nocy spędzał mi sen z powiek. Z całą pewnością nie mogłem pokazać ślimaków biegnących jak zające ani księżycy przechodzącego przez wszystkie fazy w ciągu kilku sekund, jak uczynił to pan w swojej powieści. Musiałem wymyślić sposób podróży w czasie, który uwolniłby mnie od konieczności demonstrowania rzeczonych efektów i któremu ponadto brakowałoby podbudowy naukowej; byłem bowiem przekonany, że kiedy tylko ogłoszę w gazetach, iż potrafię się przenosić do roku dwutysięcznego, wszyscy naukowcy w kraju będą chcieli wiedzieć, jak u diabła można to osiągnąć. Prawdziwe wyzwanie, nie sądzi pan? Przyjrząwszy się sprawie ze wszystkich stron, doszedłem do wniosku, że istnieje tylko jeden sposób podróży w przyszłość, którego nie zdoła zakwestionować nauka: przy użyciu magii.

– Magii?

– W rzeczy samej. Ku czemu innemu miałbym się zwrócić, skoro nauka nie wchodziła w grę? Wymyśliłem sobie zatem fikcyjną biografię. Zanim otworzyłem biuro podróży w czasie, zamiast produkować te idiotyczne cieplarnie, prowadziłem z ojcem firmę zajmującą się finansowaniem ekspedycji w rodzaju tych, które teraz organizuje się do wszystkich zakątków świata, jakby postawiono sobie za cel odarcie go z ostatnich tajemnic. My też, rzecz jasna, rozpaczliwie poszukiwaliśmy mitycznych źródeł Nilu, które legendy umieszczały w sercu Afryki. Wysłaliśmy tam swojego najlepszego badacza, Olivera Tremanquaia, który po wielu niebezpiecznych przygodach nawiązał kontakt z tubylczym plemieniem potrafiącym za pomocą magii otwierać przejście w inny wymiar.

Wypowiedziawszy te słowa, Gilliam przerwał na moment, by z kpiącym uśmiechem przyglądać się źle skrywanemu oszołomieniu pisarza.

– Przez dziurę w ziemi przechodziło się na rozległą równinę, różową i wietrzną, na której czas nie płynął – kontynuował – a która nie była niczym innym jak tylko moim wyobrażeniem czwartego wymiaru. Równina ta stanowiła coś w rodzaju westybulu wiodącego do innych epok, pełno w niej bowiem było otworów podobnych do tego, jakim dysponowało afrykańskie plemię. Jeden z nich prowadził do 20 maja 2000 roku, czyli dokładnie do dnia, w którym ludzie walczyli z automatami o swoją

przyszłość na gruzach Londynu. Odkrywszy istnienie tego magicznego otworu, czy mogliśmy zrobić coś innego niż ukraść go i przywieźć do miasta, by pokazać obywatelom imperium? To właśnie uczyniliśmy. Zapakowaliśmy go do ogromnej, wykonanej specjalnie w tym celu skrzyni i przetransportowaliśmy do Londynu. W ten oto sposób, *voilà*, znalazłem upragnione rozwiązanie, sposób podróżowania w czasie niewymagający żadnych naukowych artefaktów. By udać się w przyszłość, wystarczyło przejechać Cronotilusem przez wrota czwartego wymiaru, pokonać odcinek różowej równiny i wjechać przez otwór wiodący do roku dwutysięcznego. Proste, nieprawdaż? Aby zaś uniknąć konieczności pokazywania klientom czwartego wymiaru, zapełniłem go potwornymi smokami, których widok jest tak przerażający, że poczułem się zmuszony do pomalowania okien Cronotilusa na czarno, w celu ochrony wrażliwych podróżnych – rzekł, wskazując pisarzowi okrągłe niczym bulaje okienka, istotnie pokryte czarną farbą.

– Gdy pasażerowie wsiedli już do tramwaju czasowego, przywożono ich tutaj po nierównym terenie, wstrząsając pojazdem na wszelkie sposoby i symulując ryki włóczących się po równinie smoków za pomocą obojów i puzonów. Nigdy nie miałem okazji osobiście podróżować Cronotilusem, lecz sądząc po bladych obliczach wielu powracających pasażerów, efekty musiały być wysoce wiarygodne.

– Jeśli jednak otwór prowadził zawsze do tego samego miejsca w tym samym momencie roku dwutysięcznego... – zaczął Wells.

– Każda wyprawa musiała się spotkać ze wszystkimi poprzednimi i następnymi – dokończył za niego Gilliam. – Oczywiście. Tak nakazuje logika. Ale idea podróżowania w czasie jest tak nowatorska, że niewielu zdążyło zadać sobie pytanie, z czym to wszystko się wiąże i do jakich paradoksów może prowadzić. Skoro portal wiedzie zawsze do tego samego momentu, powinny tu stać co najmniej dwa Cronotilusy, biorąc pod uwagę fakt, że do tej pory odbyły się dwie wyprawy. Nie wszyscy jednak, jak już powiedziałem, zwracają uwagę na takie szczegóły. Tak czy owak na wypadek pytań, które mogliby mi zadać co bezczelniejsi klienci, zadałem sobie trud poinstruowania aktora grającego rolę przewodnika, by wyjaśniał podróżnym, że gdy tylko dotrą w przyszłość i zanim wysiądą z wehikułu, zostanie on przeniesiony w inne miejsce dla uniknięcia spotkania z pozostałymi.

Przerwał na wypadek, gdyby Wells zechciał jeszcze o coś zapytać, ale pisarz trwał pogrążony w milczeniu, które – biorąc pod uwagę malujący się na jego obliczu bezbrzeżny smutek – można było z czystym sumieniem nazwać cierpiętniczym.

– Tak jak podejrzewałem – kontynuował więc Gilliam – gdy tylko gazety podały moją informację o możliwości podróży do roku dwutysięcznego, o rozmowę ze mną zaczęli zabiegać liczni naukowcy. Powinien pan ich zobaczyć. Przybywali tłumnie, spoglądali na mnie z pogardą i żądali demonstrowania im artefaktu, który mogliby natychmiast zdyskredytować. Ale ja nie byłem naukowcem. Byłem jedynie uczciwym przedsiębiorcą, który dokonał szczęśliwego odkrycia. Po rozmowie większość naukowców odchodziła oburzona, nie potrafiąc ukryć irytacji na wieść o tym, że istnieje sposób podróżowania w czasie, którego nie mogą przeanalizować, a więc także obalić, bo w magię po prostu się wierzy albo nie. Byli i tacy, których moje tłumaczenia całkowicie przekonały. Na przykład pański kolega po fachu, pan Arthur Conan Doyle, twórca nieomylnego Sherlocka Holmesa, stał się jednym z moich największych wyznawców, o czym być może pan wie, jeśli czytał pan któryś z jego licznych artykułów napisanych w mojej obronie.

– Doyle uwierzyłby nawet we wróżki – mruknął z lekkim sarkazmem Wells.

– Być może. Jak pan widzi, wszyscy potrafimy uwierzyć w każde oszustwo, o ile tylko wygląda dość wiarygodnie. I muszę panu wyznać, że częste wizyty sceptycznych naukowców nie tylko mi nie przeszkadzały, ale wręcz sprawiały wielką przyjemność. Szczerze mówiąc, brakuje mi ich, bo gdzież

znajdę bardziej uważną publiczność? Wielką rozkosz sprawiało mi powtarzanie raz po raz opowieści o przygodach Tremanquaia, które, jak pewnie się pan domyśla, były zakamuflowanym hołdem dla mego ulubieńca Henry'ego Ridera Haggarda, twórcy *Kopalń króla Salomona*. Nazwisko Tremanquai stanowi zresztą anagram Quatermaina, najsłynniejszej postaci Haggarda, podróżnika, który...

– Żaden z tych naukowców nie chciał zobaczyć... otworu? – przerwał mu Wells, wciąż nie mogąc uwierzyć, że to wszystko było tak proste.

– Ależ chcieli! Wielu się upierało, że nie odejdą, póki go nie zobaczą. Ale ja oczywiście to przewidziałem. Intuicja podpowiedziała mi, żeby zbudować olbrzymią skrzynię z kutego żelaza, taką samą jak ta, o której opowiadałem w swojej bajce i która rzekomo skrywała przejście między wymiarami. Każdego, kto żądał zobaczenia go, prowadziłem do skrzyni i zapraszałem do jej wnętrza, ostrzegając, że będę musiał zamknąć za nim włącz, żeby drapieżne smoki z czwartego wymiaru nie mogły się przedostać do naszego świata. Myśli pan, że ktoś odważył się wejść?

– Pewnie nie – mruknął zrezygnowany Wells.

– Święta racja! – przytaknął przedsiębiorca. – W rzeczywistości zaś skrzynia była całkowicie pusta; wypełniały ją jedynie nasze własne lęki. Brzmi równie poetycko, co zabawnie, prawda?

Pisarz potrząsnął głową, trochę zasmucony, a trochę skonsternowany naiwnością swoich kolegów, ale przede wszystkim tchórzostwem, jakim wykazali się naukowcy w obliczu eksperymentu, w którym musieliby zaryzykować życie.

– W każdym razie, panie Wells, tak właśnie wożę swoich klientów w przyszłość: opuszczając nurt czasu i wracając do niego w innym miejscu niczym łosoś płynący w górę rzeki. Pierwsza wyprawa zakończyła się pełnym sukcesem – oświadczył z dumą przedsiębiorca. – I muszę panu wyznać, że sam byłem niezmiernie zdziwiony skutecznością swojego kłamstwa. Ale, jak już wspomniałem, człowiek widzi tylko to, co chce widzieć. Poza tym nawet nie miałem czasu tego uczcić, bo zaledwie kilka dni później wezwała mnie Jej Królewska Mość. Owszem, sama królowa osobiście zażyczyła sobie przybycia mojej skromnej osoby do pałacu. I skłamałbym, gdybym panu nie powiedział, że udałem się tam gotów przyjąć karę, na jaką zasłużyłem swoim zuchwalstwem, lecz ku memu zdumieniu Jej Wysokość wezwała mnie w zupełnie innym celu: pragnęła, bym zorganizował dla niej prywatną wyprawę do roku dwutysięcznego.

Wells przyglądał mu się z rozdziawionymi ustami.

– Tak, ona i jej dwór również pragnęli zobaczyć przyszłą wojnę, o której huczało w całym Londynie. Jak pewnie pan sobie wyobraża, nie byłem tym pomysłem zachwycony, nie tylko dlatego, że musiałem zorganizować darmowy spektakl, ale także dlatego, że mając tak ważną klientelę, musiałem go zorganizować perfekcyjnie, to znaczy z maksymalną wiarygodnością. Na szczęście wszystko poszło jak trzeba. Myślę nawet, że było to nasze najlepsze przedstawienie. Smutek na twarzy Jej Wysokości na widok zrujnowanego Londynu mówił sam za siebie. Następnego dnia jednak znów mnie wezwała, a ja raz jeszcze wyobraziłem sobie, że moje oszustwo zostało zdemaskowane, i ogromnie zdumiałem się na wieść, że Jej Wysokość pragnie mi udzielić hojnej dotacji na kontynuowanie badań. Tak, dobrze pan słyszy: królowa chciała finansować moje kłamstwo! Chciała, żebym badał kolejne portale i otwierał przejścia do nowych epok. Ale to nie wszystko! Pragnęła też, bym wybudował w czwartym wymiarze pałac, coś w rodzaju letniej rezydencji, dzięki której mogłaby przedłużyć sobie życie poprzez wyslizgiwanie się z rąk czasu. Oczywiście zgodziłem się. Cóż innego mogłem zrobić? Rzecz jasna nie ukończyłem jeszcze budowy pałacu i nie ukończę jej nigdy. Domyśla się pan dlaczego?

– Przypuszczam, że ataki krwiożerczych smoków w nieskończoność opóźniają prace – odpowiedział pisarz, nawet nie próbując ukrywać odrazy.

– W rzeczy samej! – przytaknął z szerokim uśmiechem Gilliam. – Widzę, że zaczyna pan rozumieć

zasady gry, panie Wells.

Pisarz zachował powagę, nie chcąc dawać rywalowi satysfakcji. Przeniósł spojrzenie na psa, który o kilka metrów od nich grzebał zawzięcie w gruzach.

– Fakt, że Jej Wysokość uwierzyła w moje kłamstwo, nie tylko ucieszył moją kieszeń, lecz także zdołał raz na zawsze rozwiać wszystkie obawy. Natychmiast przestały mnie martwić obelżywe listy naukowców, regularnie ukazujące się w gazetach, w których ubliżali mi, nazywając mnie uzurpatorem, bo nikt nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Już bardziej martwił mnie ten łotr, który raz po raz obrzucał fasadę mojej firmy krowim łajnem. Ale jedyną osobą, jaka w tamtym momencie mogła mnie zdemaskować, pozostawał pan, panie Wells. Uznałem jednak, że skoro nie zrobił pan tego do tej pory, to już nie robi. I muszę wyznać, że pańskie zachowanie wydało mi się godne podziwu. Była to postawa prawdziwego dżentelmena, który potrafił docenić zwycięstwo przeciwnika.

Przedsiębiorca z pyszałkowatym uśmiechem ruszył dalej, skinieniem głowy zapraszając Wellsa, by mu towarzyszył. W milczeniu opuścili plac i powędrowali jedną z otaczających go, przysypanych gruzem uliczek. Pies truchtał za nimi.

– Zastanawiał się pan nad sensem tego wszystkiego? – zapytał Murray. – Proszę pomyśleć: jeśli zamiast podróży do roku dwutysięcznego zaanonsowałbym to jako zwykły spektakl mego autorstwa, nie popełniłbym żadnego przestępstwa, a wiele osób i tak przyszłoby go zobaczyć. Zapewniam pana jednak, że po powrocie do domu żaden z widzów nie czułby się kimś wyjątkowym ani nie patrzyłby na świat z innej perspektywy. W gruncie rzeczy po prostu pozwalałam im śnić. Nie wydaje się panu smutne, że mógłbym zostać za to ukarany?

– Należałoby zapytać pańskich klientów, czy zapłaciliby tyle samo za obejrzenie zwykłego przedstawienia – odparł pisarz.

– Nie, panie Wells. Tu się pan myli. Należałoby ich zapytać, czy woleliby się dowiedzieć, że to wszystko jest oszustwem, i odzyskać pieniądze, czy też pragną umrzeć, wierząc, że naprawdę zobaczyli rok dwutysięczny. Tak brzmi kluczowe pytanie. I zapewniam pana, że większość chciałaby trwać w iluzji. Czyż kłamstwa nie upiększają życia?

Wells westchnął, nie chcąc przyznać, że w gruncie rzeczy Gilliam ma rację. Wyglądało na to, że większość współczesnych mu ludzi woli wierzyć, że żyje w wieku, w którym nauka potrafi ich przenieść do roku dwutysięcznego – niezależnie od sposobu, w jaki to robi – niż żyć w epoce, z której nie ma ucieczki.

– Proszę na przykład pomyśleć o młodym Harringtonie – dodał ze złośliwym uśmiechem przedsiębiorca. – Pamięta pan o nim? Jeśli się nie mylę, pozostał przy życiu właśnie dzięki kłamstwu. Kłamstwu, w którym pan zgodził się wziąć udział.

Wells już miał mu odpowiedzieć, że istnieje wielka różnica pomiędzy celem jednego kłamstwa a celem innego, lecz Murray nie dopuścił go do głosu, rzucając kolejne pytanie:

– Wie pan, że to ja zbudowałem wehikuł czasu, który trzyma pan na strychu i którym tak się pan lubi bawić?

Tym razem Wells nie zdołał ukryć zdumienia.

– Owszem. Wykonałem go na zlecenie Charlesa Winsłowa, kuzyna nieszczęsnego pana Harringtona – wyznał z rozbawieniem Gilliam. – Pan Winslow wziął udział w naszej drugiej wyprawie, a kilka dni później zjawiał się w moim biurze z prośbą, abym zorganizował dla niego i jego kuzyna prywatną podróż do roku 1888, do jesieni terroru. Byli gotowi zapłacić każdą cenę. Niestety nie mogłem spełnić ich kaprysu.

Skręcili z ulicy i podeszli do wysypiska, za którym widniał horyzont złożony z podziurawionych dachów przysłoniętych garstką szarych chmur, unoszących się nad nimi niczym groźba.

– Przyczyna, dla której pan Winslow chciał się udać w przeszłość, była jednak tak poruszająco romantyczna, że postanowiłem mu pomóc – ironizował przedsiębiorca, ku zdumieniu Wellsa zaczynając się wspinać na stertę gruzu. – Wyjaśniłem mu, że taką podróż można odbyć jedynie wehikułem podobnym do tego z pańskiej powieści, i wspólnie stworzyliśmy plan, w którym, jak dobrze panu wiadomo, był pan ostatnim ogniwiem. Zadaniem pana Winslowa było nakłonić pana do udawania, że istotnie dysponuje pan wehikułem czasu, a gdy to się uda, ja miałem nie tylko zlecić produkcję urządzenia identycznego z tym z pańskiej książki, ale nawet wypożyczyć mu aktorów mających się wcielić w role Kuby Rozpruwacza i dziwki, którą ten miał zabić. Pewnie zadaje pan sobie pytanie, po co to zrobiłem. Przypuszczam, że życie w kłamstwie trochę uzależnia. I nie będę ukrywał, że doskonale się bawiłem, wciągając pana w widowisko podobne do tego, które sam wyreżyserowałem. Byłem ciekaw, czy zgodzi się pan wziąć w nim udział.

Wells słuchał go piąte przez dziesiąte. Wchodzenie na hałdę nie tylko wymagało sporej koncentracji, ale i budziło w nim coraz większy niepokój w miarę zbliżania się odległego horyzontu. Ten ostatecznie znalazł się na wyciągnięcie ręki. Gdy dotarli na szczyt, pisarz był już pewien, że to, co mają przed sobą, nie jest niczym innym jak malunkiem na murze. Oniemiały przesunął po nim dłonią. Gilliam obserwował go z czymś w rodzaju czułości.

– Mimo sukcesu drugiej wyprawy i faktu, że sytuacja znacznie się uspokoiła, zadawałem sobie pytanie, czy kontynuacja tej mistyfikacji ma sens, skoro udowodniłem już z nawiązką to, co chciałem. Jedynym celem usprawiedliwiającym w moich własnych oczach wysiłek wkładany w organizację trzeciej wyprawy – oznajmił, wspominając z niesmakiem pompatyczny ton, z jakim Jeff Wayne recytował kwestie Shackletona, i jego anemiczne wymachiwanie strzelbą – były pieniądze. Zgromadziłem ich już jednak więcej, niż mógłbym wydać w ciągu dziesięciu wcieleń, więc nawet one stanowiły kiepską wymówkę. Z drugiej strony, byłem pewien, że prędzej czy później moi adwersarze w jakiś sposób się zjednoczą i nawet Doyle nie zdoła odeprzeć ich wspólnej ofensywy.

Przedsiębiorca chwycił klamkę widniejących w murze drzwi, ale nie próbował jej nacisnąć. Zamiast tego obrócił się do Wellsa ze smutną miną.

– Bez wątpienia najrozsądniej było dać sobie z tym spokój – rzekł melancholijnie – postępując w tym celu zgodnie z planem, który wymyśliłem jeszcze przed otwarciem drzwi swojej firmy: sfingować własną tragiczną śmierć w czwartym wymiarze w wyniku pożarcia przez jednego z wymyślonych przeze mnie smoków na oczach grupy pracowników. Ci ze smutkiem zakomunikowaliby tę wieść gazetom. Dzięki temu, gdy ja pod nowym nazwiskiem rozpoczynałbym nowe życie w Ameryce, Gilliam Murray, przedsiębiorca, który odkrył sekrety przyszłości, byłby opłakiwany przez całą Anglię. Byłby to uroczy finał, na którego realizację z pewnego powodu nie potrafiłem się zdecydować. Chciałby pan wiedzieć, co to za powód?

Pisarz odpowiedział wzruszeniem ramion.

– Wyjaśnię to panu najlepiej, jak potrafię, choć wątpię, czy pan to zrozumie. Tak się składa, że tworząc to wszystko, nie tylko zademonstrowałem, że moja przyszłość jest wiarygodna, lecz także przeobraziłem się w kogoś, kim nie byłem; w wymyśloną przez siebie fikcyjną postać. Przestałem być nieszczęsnym producentem ciepłarni. Dla pana jestem zwykłym kabotynem, ale dla reszty świata stałem się władcą czasu, odważnym przedsiębiorcą, który przeżył tysiąc przygód w Afryce i każdej nocy śpi w miejscu, gdzie nie płynie czas, w towarzystwie czarodziejskiego psa. Myślę, że nie chciałem zamykać firmy, bo stałbym się na powrót zwyczajnym człowiekiem. Niesamowicie bogatym, lecz zarazem całkowicie normalnym.

To powiedziawszy, nacisnął klamkę i wszedł w chmurę.

Po kilku sekundach „magiczny” pies ruszył za nim, a Wells za nimi... tylko po to, by zobaczyć

własną niezadowoloną minę w szeregu luster. Znajdował się w wąskiej garderobie wypełnionej skrzyniami i ramami, z których zwisały napierśniki, hełmy i pancerze. Gilliam obserwował go z kąta ze spokojnym uśmiechem.

– I pewnie zasługuję na to, co mnie spotka, jeśli mi pan nie pomoże – rzekł.

Wreszcie go mam, pomyślał Wells. Tak jak przypuszczał, Gilliam nie zadał sobie tyle trudu jedynie po to, żeby zaoferować mu przechadzkę. Coś musiało się stać. Coś poszło nie tak. Gilliam znalazł się w opałach i potrzebował jego pomocy. To było główne danie, które przedsiębiorca położył na stole dopiero wtedy, gdy jego gość przełknął przystawki w postaci kwiecistych opowieści. Potrzebował jego pomocy, lecz fakt, że ani na moment nie przestał zwracać się do pisarza tym niemal ojcowsko protekcjonalnym tonem, wyraźnie wskazywał, że nie zamierza o nią prosić. Nie, on po prostu uważał za oczywiste, że ją otrzyma. Wellsowi pozostało jedynie dowiedzieć się, jaką groźbą Murray chce to osiągnąć.

– Wczoraj odwiedził mnie inspektor Colin Garrett ze Scotland Yardu – poinformował go przedsiębiorca. – Bada zbrodnię dokonaną na żebraku, którego zabito w Marylebone, co zresztą w tej dzielnicy zdarza się nader często. Ten przypadek jest jednak wyjątkowy ze względu na broń użytą przez zabójcę. Zwłoki mają ogromną dziurę pośrodku piersi, przez którą można patrzeć jak przez okno. Wygląda, jakby przeszyto go czymś w rodzaju promienia cieplnego. Według lekarzy sądowych nie istnieje broń mogąca spowodować takie obrażenia. Przynajmniej w naszej epoce. To zaś kazało młodemu inspektorowi podejrzewać, że biedak został zabity z broni przyszłości, a konkretnie z jednego z karabinów używanych przez kapitana Shackletona i jego wojsko, których zabójcze działanie obserwował jako członek drugiej wyprawy.

Zdjął karabin ze stojącego w pobliżu niewielkiego stojaka i podał go Wellsowi. Ten przekonał się, że rzekoma broń w rzeczywistości jest jedynie kawałkiem drewna, tak jak tramwaj wzbogaconym o kilka bezużytecznych korbek i kołków.

– Jak pan widzi, to zwykła zabawka. Obrażenia automatów tworzyliśmy za pomocą niewielkich ładunków umieszczonych w ich własnych zbrojach. Dla moich klientów jednak jest to broń równie autentyczna co potężna – wyjaśniał przedsiębiorca, odbierając pisarzowi fałszywy karabin i stawiając na stojaku obok pozostałych. – Tak więc inspektor Garrett sądzi, że któryś z żołnierzy przyszłości, być może sam kapitan Shackleton, przeniósł się do naszej epoki ukryty na pokładzie Crontilusa, w związku z czym on postanowił ni mniej, ni więcej tylko przyłączyć się do trzeciej ekspedycji w celu arestowania zabójcy przed dokonaniem zbrodni, a tym samym zapobieżenia temu czynowi. Wczoraj pokazał mi podpisany przez premiera nakaz zatrzymania człowieka, który z naszego punktu widzenia jeszcze się nie narodził. Nasz dzielny inspektor zażyczył sobie, żebym zarezerwował na czas trzeciej wyprawy trzy miejsca w Crontilusie, jedno dla niego i dwa dla jego agentów. Jak pewnie pan się domyśla, nie mogłem mu odmówić, bo niby co miałbym powiedzieć? Tak więc za dziesięć dni inspektor uda się do roku 2000 z zamiarem zatrzymania zabójcy, a zamiast tego odkryje oszustwo stulecia. Może uważa pan, biorąc pod uwagę mój brak skrupułów, że mógłbym się wywinać, poświęcając któregoś ze swoich aktorów, ale aby wszystko wyglądało wiarygodnie, musiałbym nie tylko natychmiast wyprodukować nowego Crontilusa, lecz także rozwiązać nieszczęsny problem polegający na tym, że Garrett powinien zobaczyć samego siebie uczestniczącego w drugiej wyprawie. Jak pan widzi, sprawa jest zbyt skomplikowana nawet dla mnie. Jediną osobą mogącą zapobiec wycieczce Garretta w przyszłość jest pan, panie Wells. Chcę, żeby pan znalazł prawdziwego zabójcę, zanim nadejdzie termin trzeciej wyprawy.

– Dlaczego miałbym panu pomagać? – zapytał Wells bardziej zrezygnowanym niż zuchwałym tonem.

Obaj wiedzieli, że odpowiadając na to pytanie, Murray postawi sprawę jasno. Gilliam podszedł do Wellsa, uśmiechając się z przerażającym spokojem, położył mu na ramieniu pulchniutką dłoń i z wielką delikatnością poprowadził go na drugi koniec pomieszczenia.

– Długo myślałem nad odpowiedzią na to pytanie – powiedział łagodnie, niemal słodko. – Mógłbym zaapelować do pańskiego miłosierdzia. Tak, mógłbym przed panem klęknąć i błagać o pomoc. Wyobraża pan to sobie, panie Wells? Wyobraża pan sobie mnie beczącego przed panem jak dzieciak, skrapiającego pańskie buty Izami i krzyczącego, że nie chcę umierać? Jestem przekonany, że to by zadziało: pan uważa się za lepszego ode mnie i zależy panu na tym, by tego dowieść. – Gilliam uśmiechnął się, otwierając niewielkie drzwi i lekkim szturchnięciem zachęcając pisarza do wejścia. – Mógłbym zaapelować też do pańskiego strachu i oznajmić, że jeśli mi pan nie pomoże, pańskiej ukochanej Jane przydarzy się wypadek podczas jednej z przejażdżek rowerowych, na które się wybiera każdego popołudnia po okolicach Woking. To z pewnością także by zadziało. Postanowiłem jednak zaapelować do pańskiej ciekawości. Tylko pan i ja wiemy, że to wszystko jest jedną wielką farsą. Albo, co na jedno wychodzi: tylko pan i ja wiemy, że nie można podróżować w czasie. Ktoś jednak to zrobił. Nie jest pan ciekaw, kto i jak? Chce pan pozwolić, żeby młody Garrett poświęcił wszystkie swoje wysiłki na pościg za mrzonką, podczas gdy być może w tym momencie po ulicach Londynu krąży prawdziwy Podróżnik w Czasie?

Mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu.

– Jestem przekonany, że nie – zakończył przedsiębiorca.

To powiedziawszy, zamknął drzwi przyszłości i pozostawił pisarza w dniu 21 listopada 1896 roku. Wells znalazł się nagle w nędznej uliczce na tyłach biura Podróży w Czasie Murraya, zaułku przysypanym rozgrzebywanymi przez koty śmieciami, w poczuciu, że wyprawa do roku dwutysięcznego była snem. Instynktownie wsadził dłonie do kieszeni marynarki. Były jednak puste: nikt nie schował tam żadnego kwiatu.

Kiedy następnego ranka stawił się w biurze inspektora Colina Garretta, ten wydał mu się chłopcem nieśmiałym i delikatnym. Przy nim wszystko sprawiało wrażenie wielkiego, począwszy od biurka, przy którym akurat jadł śniadanie, po trzyczęściowy garnitur piaskowej barwy, który miał na sobie, w szczególności zaś morderstwa, grabieże i pozostałe przestępstwa panoszące się w mieście niczym wstrętne osty. Gdyby Wells chciał kiedykolwiek napisać powieść detektywistyczną w rodzaju tych, jakie tworzył jego kolega po fachu Arthur Conan Doyle, nigdy nie opisałby swego bohatera na wzór siedzącego przed nim młodzieniaszka, stworzonka rachitycznego, płochliwego, a przede wszystkim okropnie podatnego na zachwyty, wnosząc z entuzjazmu, z jakim uścisnął na powitanie dłoń pisarza.

Gdy już usiedli, Wells musiał stawić czoło gradowi peanów pod adresem swojej powieści *Wehikuł czasu*. Słuchał ich z tradycyjnym skromnym uśmiechem, choć musiał przyznać, że dzieciak ukoronował swój panegiryk prawdziwie nowatorskim zakończeniem.

– Jak wspominałem, pańska książka ogromnie mi się spodobała – powiedział, z pewnym zawstyżeniem odsuwając tacę po śniadaniu, jakby chciał ukryć ślady swojej żarłoczności – i przykro mi, że pan i pańscy koledzy piszący futurystyczne powieści nie możecie już spekulować o przyszłości teraz, gdy wiemy, jaka naprawdę jest. Gdyby było inaczej, gdyby przyszłość pozostawała tajemnicza i nieprzenikniona, tego rodzaju literatura zapewne ostatecznie stałaby się osobnym gatunkiem.

– Bardzo to prawdopodobne – przyznał Wells zaskoczony, że młody inspektor podsunął mu myśl, która jemu samemu nie powstała dotąd w głowie. Być może jednak popełnił błąd, oceniając go po gładkiej buźce. Po krótkiej wymianie słów obaj przez kilka sekund przyglądali się sobie z idiotyczną sympatią, oświetleni złotym blaskiem wpadającego przez okno słońca. W końcu, upewniwszy się, że inspektor wyczerpał już pulę zachwyty, Wells postanowił przejść do sprawy, która go tu sprowadziła.

– Wyobrazam sobie zatem, że jako czytelnik mojego dzieła nie jest pan zbyt zdziwiony tą wizytą, która dotyczy ni mniej, ni więcej tylko przypadku zabitego żebraka – wyznał. – Doszły mnie słuchy, że istnieje możliwość, iż zabójca podróżuje w czasie, i choć w żadnym razie nie uważam się za eksperta w tych kwestiach, sądzę, że mogę się panu przydać.

Garrett uniósł brwi, jakby nie rozumiał, do czego zmierza pisarz.

– Próbuję panu powiedzieć, inspektorze, że przyszedłem, by zaoferować... współpracę.

Inspektor spojrział na niego ze wzruszeniem.

– Bardzo to uprzejme z pańskiej strony, panie Wells, ale to nie będzie konieczne – rzekł. – Widzi pan, ja już rozwiązałem tę sprawę.

Wyjął z szuflady kopertę i rozłożył na biurku, niczym talię kart, zestaw fotografii przedstawiających zwłoki żebraka. Prezentując je Wellsowi, wyraźnie podekscytowanym tonem szczegółowo objaśniał ciąg dedukcyjny, który doprowadził go do skierowania podejrzeń na kapitana Shackletona lub któregoś z jego ludzi. Wells słuchał go piąte przez dziesiąte, bo inspektor powtarzał jedynie to, co powiedział Gilliam. Z wielkim zainteresowaniem przyglądał się natomiast nietypowym obrażeniom ciała zmarłego. Nie znał się na broni, ale nie musiał być ekspertem, by rozumieć, że tę straszną ranę zadano czymś wyjątkowym. Zgodnie z tym, co twierdzili Garrett i jego lekarze sądowi, wyglądała, jakby wywołał ją promień cieplny, coś w rodzaju lawy sterowanej ludzką ręką.

– Sam pan widzi, że nie ma innego wytłumaczenia – podsumował z triumfalnym uśmiechem Garrett, chowając zdjęcia z powrotem do koperty. – Nie mogę się doczekać dnia, w którym wyruszy trze-

cia wyprawa. Dziś rano na przykład wysłałem dwóch agentów na miejsce zbrodni tylko po to, żeby coś zrobić.

– Rozumiem – mruknął Wells, starając się ukryć przygnębienie.

Jak mógł przekonać inspektora, żeby skierował śledztwo w inną stronę, bez zdradzania, że kapitan Shackleton nie jest żadnym człowiekiem z przyszłości, a sam rok dwutysięczny to zwykła dekoracja wykonana z gruzów pozostałych po wyburzaniu domów? Jeśli nie zdoła tego dokonać, Jane prawdopodobnie umrze. Z trudem stłumił westchnienie, by inspektor nie zauważył jego smutku.

Jakiś agent zajrzał do biura i poprosił Garretta na stronę. Chłopak przeprosił i wyszedł na korytarz. Stamtąd do Wellsa dotarł niezrozumiały szmer rozmowy. Po kilku minutach inspektor wrócił z ewidentnie kwaśną miną, wymachując jakimś papierem trzymanym w prawej ręce.

– Policja z City to banda nieuków! – burknął ku zdumieniu Wellsa, który nie wyobrażał sobie, że ten delikatny młodzieniec jest zdolny do takiej złości. – Jeden z moich ludzi odkrył właśnie na miejscu zbrodni rysunek na murze, który ci debile kompletnie zignorowali.

Wells przyglądał się, jak oparty o blat biurka inspektor kilkakrotnie czyta notkę w milczeniu, z bezbrzeżnym niesmakiem kręcąc głową.

– Muszę jednak przyznać, że pańska obecność tutaj jest wyjątkowo szczęśliwym zrządzeniem losu – rzekł w końcu, uśmiechając się do pisarza. – To mi wygląda na fragment powieści.

Wells uniósł brwi i wziął z ręki Garretta kartkę, na której widniały słowa:

Na początku lutego, w dzień wietrzny i śnieżny, zjawił się jakiś nieznajomy człowiek. Przyszedł pieszo ze stacji Bramblehurst, niosąc niewielki kuferek.

Przeczytawszy notatkę, pisarz podniósł wzrok na inspektora.

– Mówi to panu coś, panie Wells? – zapytał tamten.

– Nie – odparł bez cienia wahania pisarz.

Garrett wyjął mu kartkę z dłoni i raz jeszcze przeczytał słowa, poruszając głową niczym wahadłem zegara.

– Mnie też nie – przyznał. – Co Shackleton mógłby chcieć przez to powiedzieć?

Rzuciwszy w powietrze to pytanie, pogrążył się w rozmyślnościach. Wells wykorzystał ten moment, by wstać.

– Cóż, inspektorze – powiedział – nie będę przeszkadzał. Pozostawiam pana z tymi zagadkami.

Garrett ocknął się z zadumy i wyciągnął rękę.

– Dziękuję, panie Wells. Odezwę się, jeśli będę pana potrzebował.

Wells skinął głową i wyszedł, pozostawiając inspektora niebezpiecznie wspartego o kant biurka i znów pogrążonego w myślach. Pokonał korytarz, zszedł po schodach, opuścił komisariat i wsiadł w pierwszy lepszy powóz, niemal nieświadom tego, co robi, poruszając się jak somnambulik lub człowiek zahipnotyzowany, a może nawet, dlaczego by nie, automat. W drodze do Woking nie ośmielił się wyjrzeć przez okno powozu ze strachu, że jakiś nieznajomy idący chodnikiem lub robotnik odpoczywający przy drodze rzuci mu znaczące spojrzenie, które przejmie go grozą. Dotarłszy do domu, zauważył, że drżą mu ręce. Przebiegł przez korytarz, nie wołając nawet do Jane, że już jest, i wpadł do kuchni. Na stole stała maszyna do pisania, a obok leżał maszynopis jego najnowszej powieści, którą zatytułował *Niewidzialny człowiek*. Niewiarygodnie blady usiadł przy stole i wbił wzrok w pierwszą stronę tekstu, który ukończył poprzedniego dnia i którego nikt inny jeszcze nie czytał. Powieść zaczynała się tak:

Na początku lutego, w dzień wietrzny i śnieżny, zjawił się jakiś nieznajomy człowiek. Przyszedł pieszo ze stacji Bramblehurst, niosąc niewielki kuferek^[6].

A zatem Podróżnik w Czasie istniał naprawdę. I próbował się z nim skontaktować.

To właśnie pomyślał Wells, kiedy wreszcie zdołał się otrząsnąć z oszołomienia. I miał rację: jakież powód mógłby mieć ktoś niebędący Podróżnikiem w Czasie, by pisać na ścianie pierwsze zdania *Niewidzialnego człowieka*, powieści, która w swojej epoce nie została jeszcze opublikowana i nikt oprócz autora nie miał pojęcia o jej istnieniu? Użycie nieznannej broni w celu zabicia żebraka oczywiście miało na celu zwrócenie uwagi policji, wyodrębnienie tego zabójstwa z szeregu innych dokonywanych codziennie w mieście, ale fragment powieści na miejscu zbrodni był przeznaczony wyłącznie dla niego. I o ile dziwaczna dziura w piersi żebraka mogła zostać zrobiona jakimś współczesnym narzędziem, które do tej pory nie przyszło do głowy Garrettowi ani jego lekarzom, z całą pewnością początku powieści Wellsa nie mógł znać nikt z wyjątkiem kogoś, kto pochodziłby z przyszłości. Uświadomiwszy to sobie, pisarz poczuł dreszcz wynikły nie tylko z nagiego odkrycia, że podróże w czasie, które zawsze uważał za wytwór wyobraźni, są możliwe, a mówiąc ściślej – będą możliwe w przyszłości, lecz także z faktu, że z jakiegoś mrocznego powodu, którego wolał nie znać, Podróżnik w Czasie, kimkolwiek był, próbował się z nim skontaktować.

Przez całą noc wiercił się w łóżku, przerażony okropnym poczuciem, że jest obserwowany. Nie potrafił się zdecydować, czy ma o wszystkim opowiedzieć inspektorowi Garrettowi, czy też taki postępek rozzłościłby Podróżnika w Czasie. Zaświtało, a on wciąż nie podjął decyzji. Na szczęście okazało się to niepotrzebne, gdyż niebawem pod jego dom zajechał oficjalny powóz Scotland Yardu. Garrett przysłał agenta z wiadomością, że znaleziono kolejne zwłoki.

Bez śniadania, włożywszy płaszcz na koszulę nocną, otumaniony Wells pozwolił się zawieźć do miasta. Powóz zatrzymał się na Portland Street, gdzie czekał już na niego Garrett, przygarbiony i zatrzwożony w epicentrum imponującego aparatu policyjnego. Wells naliczył ponad pół tuzina agentów dwojących się i trojących, by uchronić scenę zbrodni przed stłoczonymi gapiami, wśród których rozpoznał co najmniej kilku dziennikarzy.

– Tym razem ofiarą nie jest żebrak – oznajmił inspektor, przywitawszy się z nim – lecz właściciel pobliskiej tawerny, niejaki Terry Chambers. Bez wątplenia jednak zabito go z tej samej broni.

– Czy zabójca zostawił jakąś wiadomość? – zapytał słabiutkim głosem Wells, z wielkim trudem powstrzymując się od dodania: „dla mnie”.

Garrett przytaknął z wyraźnym niesmakiem. Było oczywiste, że wolałby, aby kapitan Shackleton znalazł sobie mniej niebezpieczny sposób oczekiwania, aż on będzie mógł udać się do roku dwutyścznego i go aresztować. Przygnębiony całym tym cyrkiem poprowadził Wellsa na miejsce zbrodni, przedzierając się przez kordon policji. Niejaki Chambers siedział oparty o mur, nieco przechylony w bok, z dymiącą dziurą w piersi, przez którą prześwitywały cegły. Nad jego głową nabazgrano jakieś słowa. Z bijącym sercem, starając się nie nadepnąć trupa, Wells pochylił się i przeczytał:

Wyjazd z Monachium i maja o 8.35 wieczorem, przyjazd do Wiednia wczesnym rankiem dnia następnego^[7].

Przekonawszy się, że słowa nie pochodzą z jego powieści, Wells westchnął z mieszaniną ulgi i zawodu. Czyżby wiadomość była przeznaczona dla innego pisarza? Brzmiało to logicznie. Był pewien, że te skądinąd zupełnie przyziemne słowa są początkiem niewydanej jeszcze powieści. Prawdopodobnie autor niedawno ją ukończył. Wyglądało na to, że Podróżnik w Czasie próbuje się skontaktować nie tylko z nim.

– Mówi coś panu ten tekst, panie Wells? – zapytał z nadzieją Garrett.

– Nie, inspektorze. Proponuję jednak opublikować go w prasie. Jest dla mnie jasne, że morderca zadaje nam zagadki, a cały kraj widzi więcej niż dwie pary oczu – zasugerował świadom, że powinien zrobić, co w jego mocy, by ta wiadomość dotarła do adresata.

Gdy inspektor przykląkł, by dokładniej obejrzeć zwłoki, Wells powiódł rozkojarzonym wzrokiem

po tłumie zgromadzonym za policyjnym kordonem. Czego Podróżnik w Czasie może chcieć od dwóch dziewiętnastowiecznych pisarzy? zastanawiał się. Miał pewność, że poznanie odpowiedzi jest kwestią czasu, ale na razie inicjatywa była po stronie Podróżnika.

Ocknął się z zadumy i zauważył, że nieświadomie przygląda się dziewczynie i ona także go obserwuje. Wyglądała na niewiele ponad dwadzieścia lat, była szczupła, blada, o rudawych włosach, i patrzyła na niego z intensywnością, która wydała mu się nie na miejscu. Miała na sobie prostą sukienkę, na którą narzuciła płaszcz, lecz w jej spojrzeniu było coś dziwnego; coś, czego nie potrafił ująć w słowa, lecz co wyróżniało ją z tłumu gapiów.

Ruszył w jej kierunku, nie wiedząc dlaczego. Ku jego zdumieniu dziewczyna przestraszyła się i natychmiast zniknęła; tylko jej włosy jeszcze przez chwilę powiewały na wietrze jak płomień. Kiedy pisarz zdołał się przepchnąć przez ciżbę, po kobiecie nie było śladu. Bezskutecznie rozglądał się na wszystkie strony. Jakby się rozplynęła w powietrzu.

– Coś się stało, panie Wells?

Podskoczył mimo woli na dźwięk głosu inspektora, który podszedł do niego cichaczem, prawdopodobnie zaalarmowany jego dziwnym zachowaniem.

– Widział pan tę dziewczynę, inspektorze? – zapytał, nie przestając się rozglądać.

– Jaką dziewczynę? – zapytał skonsternowany młodzian.

– Stała tu, w tłumie, ale miała w sobie coś takiego...

Garrett przyglądał mu się zaciekawiony.

– Co takiego, panie Wells?

Pisarz już miał odpowiedzieć, lecz doszedł do wniosku, że nie wie, jak opisać dziwne wrażenie, jakie wywarła na nim dziewczyna.

– Och, nic takiego, inspektorze – rzekł w końcu, z rezygnacją wzruszając ramionami. – Pewnie to jakaś moja była uczennica i dlatego wydała mi się znajoma...

Garrett bez większego przekonania skinął głową. Z całą pewnością zachowanie pisarza wydało mu się dziwne. Mimo to poszedł za jego radą i następnego dnia oba teksty, ten autorstwa Wellsa i ten napisany przez kogoś niezidentyfikowanego, ukazały się w londyńskich gazetach. Jeśli podejrzenia Wellsa były słuszne, lektura którejś z tych gazet zepsuje śniadanie jednemu z jego kolegów po fachu. Nie wiedział, kim jest pisarz, który w tej chwili prawdopodobnie odczuwa panikę podobną do tej, jaką on nosił w sobie od dwóch dni, ale odkrycie, że nie jest jedynym adresatem wiadomości Podróżnika, odrobinę go uspokajało. Nie czuł się już osamotniony w tej grze i nie spieszyło mu się do odkrycia, czego chce od nich Podróżnik, bo był przekonany, że łamiągówka nie została jeszcze zaprezentowana w całości.

I nie mylił się.

Gdy następnego ranka przed dom zajechał powóz Scotland Yardu, Wells siedział na stopniach gan-ku ubrany i najedzony. Trzecią ofiarą była krawcowa o nazwisku Chantal Ellis. Nieoczekiwana zmiana płci skonsternowała inspektora Garretta, ale nie Wellsa; ten bowiem wiedział, że trupy nie mają najmniejszego znaczenia, gdyż stanowią jedynie tablice, na których Podróżnik w Czasie wypisuje wiadomości. Tym razem tekst umieszczono na ścianie domu na Weymouth Street, gdzie zakończyła swój żywot nieszczęsna pani Ellis.

Siedzieliśmy wokół kominka, słuchając opowieści, która trzymała nas w dość silnym napięciu. Poza oczywistą wzmianką o jej niesamowitym charakterze, zgodnym całkowicie z nastrojem, jaki tak dziwne opowiadanie może wywołać w Wigilię Bożego Narodzenia w starym dworze, nie przypominam sobie, by ktokolwiek dorzucił jeszcze jakąś uwagę. Wreszcie ktoś mimochodem napomknął, że jest to jedyny znany mu przypadek, w którym dziecko zostało nawiedzone przez widmo^[8].

– Poznaje pan te słowa? – zapytał Garrett bez cienia nadziei w głosie.

– Nie – odparł pisarz, powstrzymując się od dodania, że złożoność tej prozy wydaje mu się znajoma, choć nie potrafi zidentyfikować autora.

Kiedy inspektor Garrett wraz z tuzinem agentów zamknął się w bibliotece, gotów przejrzeć wszystkie znajdujące się na jej niezliczonych półkach książki w poszukiwaniu tej, z której w niewiadomym celu czerpał cytaty domniemany Shackleton, Wells wrócił do domu, zadając sobie pytanie, ilu niewinnych musi jeszcze umrzeć, nim Podróżnik ukończy swoją łamigłówkę.

Następnego ranka pod jego dom nie zajechał jednak powóz Scotland Yardu. Czyżby Podróżnik skontaktował się już ze wszystkimi pisarzami, których szukał? Odpowiedź, jak się okazało, czekała w skrzynce pocztowej.

Znalazł w niej mianowicie mapę Londynu, za pomocą której Podróżnik wskazywał wybrańcom miejsce spotkania, nie omieszkając zarazem pochwalić się swoją umiejętnością podróżowania w czasie, jako że mapa pochodziła z roku 1666 i była dziełem czeskiego grawera Vaclava Hollara. Wells podziwiał misterne wykonanie planu miasta, niewyglądającego już tak samo, bo zaledwie kilka miesięcy później zostało doszczętnie strawione przez pożar, który, zdaje się, wybuchł w piekarni w centrum i z powodu bliskości magazynów węgla, drewna i alkoholu błyskawicznie się rozprzestrzenił, sięgając katedry św. Pawła i przedzierając się przez mury miejskie w okolicach Fleet Street. Naprawdę jednak zdumiało Wellsa to, że po mapie absolutnie nie było widać, że przebyła w czasie ponad dwa wieki, by dotrzeć do jego rąk. Niczym żołnierz, który przemierzając w bród rzekę, trzyma strzelbę uniesioną nad głową, Podróżnik ochronił tę cenną pamiątkę przed działaniem czasu, przed dyskretnym rylcem lat, żółtymi szponami dekad, dławiącymi łapami lichwiarza wieków.

Otrząsnąwszy się ze zdumienia, Wells przyjrzał się kółku, którym otoczono Berkeley Square. Obok widniał numer 50. Bez wątplenia tam trzej pisarze mieli się udać na spotkanie z Podróżnikiem. Musiał przyznać, że był to najlepszy z możliwych pomysłów, budynek numer 50 na Berkeley Square uważano bowiem za najbardziej nawiedzony dom w Londynie.

Berkeley Square to stanowczo zbyt melancholijny w stosunku do swoich rozmiarów skwerek, na którym można podziwiać najstarsze w centrum Londynu drzewa. Wells przemierzył go ceremonialnym krokiem, salutując apatycznej nimfie, którą rzeźbiarz Alexander Munro wkomponował w straszliwie smutny pejzaż, i zatrzymał się przed nieruchomością z numerem 50. Skromna budowla nie licowała z resztą otaczających plac gmachów, zaprojektowanych przez sławy epoki. Wyglądała na opuszczoną od dziesiątków lat. A choć sama fasada nie była zbyt zniszczona, zarówno okna górnych pięter, jak i sutereny były zabite butwiejącymi obecnie deskami, jakby ktoś próbował ukryć przed wzrokiem ciekawskich mroczne sekrety ukryte w trzewiach domu. Wells zadrżał gwałtownie. Czy dobrze zrobiłem, przychodząc tu sam? zastanawiał się. Może powinien był zawiadomić inspektora Garretta? W końcu nie tylko miał się tu spotkać z kimś, kto wydawał się nie mieć zbyt wielu skrupułów przed zabijaniem niewinnych obywateli, ale zamierzał go ująć i podać na tacy inspektorowi, by ten raz na zawsze zapomniał o pomyśle podróży do roku dwutysięcznego.

Lustrując wzrokiem surową fasadę domu uchodzącego za najbardziej nawiedzony w Londynie, uznał, że jest w tym mianie trochę przesady. Magazyn „Mayfair” w bardzo sensacyjnym tonie opisał dziwne przypadki, które od początku wieku rozegrały się w budynku numer pięćdziesiąt. Podobno każdy, kto ośmielił się przekroczyć jego próg, umierał lub tracił zmysły. Dla niewrażliwego na sprawy nadprzyrodzone Wellsa była to jedynie seria niefortunnych zdarzeń, w dodatku niepotwierdzonych i niewiarygodnych nawet w formie słowa drukowanego, pełna służących, które postradały rozum i pamięć, zaatakowanych marynarzy, którzy salwowali się wyskoczeniem przez okno, by zginać nadziani na pale otaczającego posesję płotu, a także, rzecz jasna, cierpiących na bezsenność sąsiadów, którzy w okresach, kiedy dom był niezamieszany, słyszeli ciągle przesuwanie mebli i widzieli w oknach dziwne cienie. Ta kombinacja przerażających wypadków nadała domowi rangę przeklętego, przeobrażając go w siedzibę bezlitosnego upiora i miejsce, gdzie śmiałkowie z całego królestwa próbowali spędzić noc, by zademonstrować swoją odwagę. W roku 1840 szcycący się swym sceptycyzmem niejaki sir Robert Warboys przyjął wyzwanie przyjaciół i zgodził się zanocować w budynku w zamian za sto gwinei. Zamknął się w środku z pistoletem i liną przywiązaną do dzwoneczka zawieszzonego na parterze – miał nim dać sygnał, gdyby się znalazł w opałach, co obiecał z ironicznym uśmiechem. Dzwonek zadzwonił zaledwie kwadrans później, a zaraz po nim nocną ciszę zakłócił strzał. Kiedy przyjaciele przybiegli z pomocą, znaleźli arystokratę martwego, leżącego na łóżku, zesztyniałego i z wyrazem przerażenia na nieruchomej twarzy. Kula wbiła się w deskę wezgłowia, być może przeszywszy uprzednio eteryczne ciało upiora.

Trzydzieści lat później, gdy nieruchomości dorobiła się już wzmianki w katalogu nawiedzonych domów Anglii, inny dzielny młodzieniec, lord Lytton, także ośmielił się spędzić w niej noc. Miał więcej szczęścia, bo przeżył atak ducha dzięki strzałom z pistoletu naładowanego srebrnymi monetami, który przezornie zabrał ze sobą do łóżka. Widział nawet, jak złowroga istota pada na ziemię, choć – jak sam opowiadał z konsternacją w wywiadzie dla sławnego magazynu „Notes and Queries”, który Wells z rozbawieniem przekartkował, natrafiwszy nań przypadkiem w bibliotece – późniejsze śledztwo nie wykazało obecności w pokoju żadnego ciała.

Pogłoski i legendy nie były też zgodne w kwestii pochodzenia rzekomego upiora. Jedne zapewniały, że dom jest przeklęty, gdyż torturowano w nim bez cienia litości setki dzieci, inne zaś utrzymywały, że upiór to wymysł sąsiadów, którzy usłyszeli mrożące krew w żyłach krzyki szalonego brata dawnego najemcy, z racji swej agresywności trzymanego pod kluczem w jednym z pokojów i karmionego

przez mały otwór w drzwiach. Ulubiona hipoteza Wellsa głosiła, że legendę o upiorze zrodziły obsesyjne spacerunki, na które niejaki Myers wybierał się nocami, rozjaśniając sobie drogę świecą, bo nie potrafił zmużyć oka, odkąd narzeczona porzuciła go kilka dni przed zaplanowanym ślubem. Od kilkunastu jednak lat nic się w domu nie wydarzyło, więc można było śmiało założyć, że upiór wrócił do piekła, być może znudzony tym, że co rusz jakiś młodzieniaszek usiłuje zademonstrować swoje męstwo.

Wells upiorem przejmował się najmniej. Zbyt wiele miał ziemskich problemów, by dodatkowo brać sobie na głowę faunę zaświatów.

Spojrzał w jedną stronę, potem w drugą, ale na ulicy nie było żywej duszy. Ledwo widoczny sierpk księżyc sprawiał, że noc była nieprzenikniona, a nawet zdawała się kleista niczym marmolada, jak to bywa w powieściach gotyckich. Ponieważ na mapie nie podano pory spotkania, postanowił przyjść o wpół do dziewiątej wieczorem, jako że tę właśnie godzinę wymieniało w drugim ze ściennych cytatów. Miał nadzieję, że się nie myli i że nie będzie jedynym, który stawiał się na wezwanie Podróżnika. Na wszelki wypadek przyniósł ze sobą broń. Ponieważ nie posiadał rewolweru, wziął nóż do krojenia mięsa, który przymocował sobie liną do pleców, żeby ostre narzędzie umknęło uwagi Podróżnika, jeśli ten postanowi go przeszukać. Tak przygotowany pożegnał się z Jane niczym bohater powieści, długim i nieoczekiwanym pocałunkiem, który, choć początkowo zaskoczona, ostatecznie z przyjemną rezygnacją odwzajemniła.

Nie chcąc trwonić więcej czasu, przeszedł przez ulicę, wziął wielki haust powietrza, jakby zamiast wchodzić do budynku, zamierzał wskoczyć do Tamizy, i pchnął drzwi – te zaskakująco posłusznie się otworzyły. Okazało się, że nie jest pierwszy. Pośrodku holu z rękoma w kieszeniach nieskazitelnego garnituru stał pulchnutki i łysy mężczyzna około pięćdziesięcioletni i podziwiał niktą w mroku schody wiodące na piętro.

Na widok Wellsa nieznajomy obrócił się, wyciągnął rękę i przedstawił się jako Henry James. A więc ten elegancik to James? Wells nie znalazł go osobiście, bo nie obracał się w mikrokosmosie klubów i salonów, w których ten skąpy finansista regularnie bywał i jeśli pogłoski nie kłamały, węszył za ukrytymi pasjami swoich kamratów, by następnie przelewać je na papier w formie prozy równie nieskazitelnej jak jego maniery. Cóż, nieznajomość z nim raczej nie spędzała Wellsowi snu z powiek. Przeciwnie: przeczytawszy *Autografy Jeffrey a Asperna* i *Bostończyków*, czuł się wręcz uspokojony, że tamten należy do obcego mu świata, bo po nużącej lekturze tych dzieł odnosił wrażenie, iż z Jamesem łączy go wyłącznie to, że obaj spędzają dni na stukaniu w klawisze maszyny do pisania. Nie wiedział, że jego kolega po fachu, zbyt wygodny, by się zajmować tak męczącą mechaniczną pracą, woli dyktować swoją prozę maszynistce. Jedynym talentem Jamesa według Wellsa była umiejętność układania niezwykle długich zdań, by nie powiedzieć absolutnie nic. James musiał odczuwać w stosunku do jego dzieł to samo, co on w stosunku do tamtego świata koronkowych chusteczek i wątych dam naznaczonych potwornymi tajemnicami, bo gdy Wells podał mu swoje nazwisko, Amerykanin mimowolnie się skrzywił. Przez kilka sekund obaj obserwowali się podejrzliwie; w końcu James najwyraźniej pomyślał, że za chwilę złamię jakąś niepisaną zasadę współzycia społecznego, bo gwałtownie przerwał niezręczną ciszę.

– Wygląda na to, że stawiliśmy się o właściwej porze. To oczywiste, że gospodarz nas oczekuje – rzekł, wskazując liczne świeczniki. O ile nie rozpraszały one ciemności całkowicie, przynajmniej tworzyły pośrodku holu krąg światła, w którym najprawdopodobniej miało się odbyć spotkanie.

– Istotnie – przyznał Wells.

Następnie obaj zajęli się kontemplacją kunsztownych stropów, jedynej godnej podziwu rzeczy w pustym holu. Na szczęście ciężka cisza nie trwała długo, gdyż wkrótce usłyszeli skrzypnięcie zawia-

sów anonsujące przybycie trzeciego pisarza.

Osobnik otwierający drzwi z lękliwą delikatnością kogoś, kto uchyla wieko trumny, był potężnym pięćdziesięciolatkiem. Jego twarz płonęła w ogniu starannie przyszczyżonej rudej brody. Wells natychmiast go rozpoznał. Był to Bram Stoker, Irlandczyk zarządzający teatrem Lyceum, choć bardziej znany z opowiadań o swojej roli agenta i pupila słynnego aktora Henry'ego Irvinga. Na widok człowieka tak ostrożnego i nieśmiałego Wells natychmiast przypomniał sobie inne plotki, głoszące, że Stoker jest także członkiem Zakonu Złotego Brzasku, okultystycznej organizacji, do której należeli inni jego koledzy po fachu, tacy jak walijski pisarz Arthur Machen czy poeta W.B. Yeats.

Trzej pisarze przywitani się w kręgu światła, po czym znów pograżyli w ciężkiej, niepokojącej ciszy. James schronił się za zasłoną swojej sztucznej wyniosłości, podczas gdy Stoker wiercił się nerwowo. Wellsa rozbawiło to niezręczne spotkanie osób w zasadzie niemających sobie do powiedzenia nic ponad to, że wszystkie trzy, każda na swój sposób, robią to samo: przelewają na papier swoje życie.

– Cieszę się, panowie, widząc tutaj was wszystkich – dobiegi z góry głos.

Na jego dźwięk pisarze natychmiast unieśli głowy ku schodom. Domniemany Podróżnik w Czasie schodził ku nim niespiesznie, jakby się delectował elastycznością własnych kroków.

Wells przyglądał mu się z zaciekawieniem. Był to człowiek mniej więcej czterdziestoletni, średniego wzrostu, o atletycznej budowie. Jego uśmiechniętą twarz o wydatnych kościach policzkowych i ostro zarysowanym podbródku ozdabiała starannie przyszczyżona broda, prawdopodobnie by złagodzić surowość rysów. Szedł ku nim w eskorcie dwóch nieco młodszych mężczyzn niosących zawieszane na bandoletach dziwne karabiny. Pisarze zorientowali się, że to broń, nie tyle po jej wyglądzie, bo przypominała raczej mocne laski, ile po sposobie, w jaki mężczyźni ją trzymali. Nie potrzeba było wielkiej inteligencji, by pojąć, że to właśnie są karabiny, które śmiertelnie raziły trzy osoby promieniami cieplnymi.

Zwyczajny wygląd Podróżnika rozczarował jednak Wellsa, jak gdyby ktoś, kto przybywa z przyszłości, musiał wyglądać potwornie albo co najmniej niepokojąco. Czyżby ludzie jednak nie ewoluowali fizycznie, jak twierdził Darwin? Kilka lat wcześniej on sam napisał dla magazynu „Pall Mall Budget” [\[9\]](#) artykuł, w którym przewidywał zmiany w wyglądzie człowieka w miarę upływu wieków: prawdziwe kończyny będą stopniowo zastępowane mechanicznymi, udoskonalenie procesów chemicznych sprawi, że układ trawienny stanie się niepotrzebny, uszy, włosy, zęby i pozostałe części ciała służące jedynie do ozdoby także odejdą do lamusa. Tę powolną atrofię przetrwają jedynie dwa narządy naprawdę człowiekowi niezbędne – mózg i dłonie – które oczywiście znacznie się powiększą. Wynik tych spekulacji musiał sprawiać przerażające wrażenie, trudno się więc dziwić, że Wells poczuł się oszukany prozaicznym wyglądem przybysza z przyszłości. Podróżnik, który – podobnie jak jego ochroniarze – na domiar złego miał na sobie absolutnie współczesny pisarzowi elegancki brązowy garnitur, zatrzymał się przed gośćmi i obserwował ich w wyrażającym zadowolenie milczeniu. Na jego ustach igrał leciutki uśmieszek. Może jedynie nieco zwierzęce spojrzenie przenikliwych czarnych oczu i wyjątkowa pewność ruchów czyniły go nieco mniej pospolitym. Te cechy, pomyślał jednak Wells, także nie przynależą do przyszłości, bo na szczęście i wśród współczesnych trafiają się osobniki bardziej pewne siebie i charyzmatyczne niż ich niewielka próbka zgromadzona w tym domu.

– Przypuszczam, że to miejsce odpowiada panu jak żadne inne, panie James – rzeki Podróżnik, uśmiechając się przyjaźnie do Amerykanina.

James, mistrz aluzji, odpowiedział mu uśmiechem równie kulturalnym, co chłodnym.

– Nie zaprzeczę, że ma pan rację. Za pozwoleniem jednak, na razie nie do końca ją panu przyznam, gdyż będę mógł to uczynić bez uciekania się do hipokryzji dopiero wówczas, gdy po zakończe-

niu spotkania uznam jego wynik za wystarczającą rekompensatę niszczycielskich dla mego kręgosłupa skutków podróży z Rye – odparł.

Podróżnik na kilka sekund zmarszczył brwi, jakby nie był pewien, czy dobrze zrozumiał pokrętną odpowiedź Jamesa. Wells potrząsnął głową.

– Kim pan jest i czego od nas chce? – zapytał agresywnie Stoker, nie przestając zerkać na zbirów, które stały na skraju kręgu światła niczym dwa posępne cienie.

Podróżnik wbił wzrok w Irlandczyka i przyglądał mu się z zabawną czułością.

– Nie musi pan do mnie przemawiać tym przestraszonym tonem, panie Stoker. Ręczę, że zaprosiłem tu panów wyłącznie w celu uratowania im życia.

– Proszę zatem wybaczyć ironię, ale sam pan rozumie, że zabicie bez najmniejszych skrupułów trzech osób tylko po to, by zwrócić naszą uwagę, budzi w nas pewną nieufność wobec pańskich filantropijnych zamiarów – rzekł Wells, który, gdy tylko chciał, potrafił budować zdania równie zawile jak James.

– A, to – mruknął Podróżnik, machając niedbale ręką. – Zapewniam panów, że te trzy osoby tak czy owak musiały umrzeć. Guy, żebrak z Marylebone, zginąłby następnego wieczoru w bójce z kamratami. Pan Chambers zginąłby trzy dni później, zaatakowany po wyjściu ze swej tawerny. A rankiem tego samego dnia pocziwa pani Ellis zostałaby przejechana przez pędzący powóz na Cleveland Street. Ja jedynie przyspieszyłem o kilka dni ich śmierć. Wybrałem ich właśnie dlatego, że byli na nią skazani, a potrzebowałem trzech osób, by je wyeliminować za pomocą naszej broni i aby ich zabójstwa wraz z fragmentami nieopublikowanych powieści trafiły do prasy, a dzięki niej do panów. Wiedziałem, że gdy już panów przekonam, iż pochodzę z przyszłości, pozostanie mi jedynie poinformować o miejscu spotkania, a reszty dokona ciekawość.

– A więc to prawda? – wtrącił Stoker. – Przybywa pan z roku dwutysięcznego?

Podróżnik uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Przybywam z czasów znacznie bardziej odległych niż rok dwutysięczny, w którym z całą pewnością nie toczy się żadna wojna z automatami. Obyśmy mieli tylko takie zmartwienia jak te zabaweczki.

– Co pan insynuuje? – oburzył się pisarz. – Wszyscy wiemy, że w roku dwutysięcznym automaty podbijają...

– Insynuuję, panie Stoker – przerwał mu Podróżnik – że firma Podróże w Czasie Murraya jest zwykłym oszustwem.

– Oszustwem? – wymamrotał z niedowierzaniem Irlandczyk.

– Owszem. Całkiem inteligentnym, ale jednak oszustwem, choć niestety dopiero upływ czasu zdołała je zdemaskować – przyznał gospodarz, uśmiechając się wyniośle do trzech pisarzy. Potem skupił wzrok na Irlandczyku, wzruszony jego szczerością. – Mam nadzieję, że nie jest pan jedną z jego ofiar, panie Stoker.

– Nie, nie – mruknął ze smutkiem i ulgą pisarz. – Nie stać mnie na bilet...

– Proszę się nie martwić, przynajmniej zaoszczędził pan pieniądze – pocieszył go Podróżnik. – Przykro mi, że tak pana rozczarowało odkrycie, iż wyprawy do roku dwutysięcznego są zwykłym przedstawieniem, ale proszę na to spojrzeć z innej strony: ten, kto panu o tym powiedział, jest prawdziwym Podróżnikiem w Czasie, bo jak zapewne wydedukowali panowie na podstawie znalezionej w skrzynkach mapy, nie tylko pochodzę z przyszłości, lecz potrafię się przemieszczać wzdłuż osi czasu w dowolnym kierunku.

Na zewnątrz hulał wiatr, ale we wnętrzu nawiedzonego domu rozbrzmiewały jedynie trzaski płomyków świec malujących na ścianach lubieżne cienie. Głos Podróżnika w Czasie brzmiał dziwnie

miętko, jakby jego gardło zostało wyłożone jedwabiem.

– Nim jednak panom opowiem, jak to czynię, proszę pozwolić, że się przedstawię, aby panowie nie myśleli, że my, ludzie przyszłości, nie znamy podstawowych zasad kultury. Nazywam się Marcus Rhys i jestem, by tak rzec, bibliotekarzem.

– Bibliotekarzem? – zapytał z nagłym zainteresowaniem James.

– Owszem, choć opiekuję się bardzo szczególną biblioteką. Proszę jednak pozwolić mi zacząć od początku. Jak już panowie się przekonali, człowiek w końcu zacznie podróżować w czasie, choć proszę nie sądzić, że w mojej epoce istnieje coś podobnego do pańskiego wehikułu, panie Wells, i że podróże w czasie są na porządku dziennym. Nie, w ciągu najbliższego wieku naukowcy, fizycy i matematycy z całego świata będą w nieskończoność debatować nad możliwością takiego podróżowania i stworzą mnóstwo teorii dotyczących sposobów realizacji tej idei, lecz wszyscy rozbiją się o niezłomną naturę wszechświata, który niestety nie posiada zbyt wielu fizycznych cech potrzebnych do zademonstrowania ich hipotez. W pewnym sensie będzie się wydawało, że jest wręcz chroniony przed podróżami w czasie, jakby Bóg zabezpieczył go przed czymś tak niezgodnym z naturą. – Podróżnik milczał przez kilka sekund, przyglądając się słuchaczom badawczo swoimi czarnymi jak szczurze nory oczami. – Naukowcy mojej epoki nie poddadzą się jednak i uparcie będą szukać sposobu na realizację najśmielszego marzenia ludzkości: podróży wzdłuż osi czasu w dowolnym kierunku. Ostatecznie wszystkie ich wysiłki spełzną na niczym. Wiedzą panowie dlaczego? Bo podróż w czasie nie dokona się za pomocą nauki.

Marcus zaczął spacerować w kręgu światła, jakby chciał rozchodzić nogi, udając, że nie dostrzega zaintrygowanych spojrzeń pisarzy. W końcu wrócił na miejsce i posłał im uśmiech, który utworzył w jego twarzy szczelinę przypominającą pęknięcie w murze.

– Tajemnica podróży w czasie zawsze tkwiła w naszych głowach – wyjął z nutką triumfu. – Możliwości naszych umysłów, panowie, są nieskończone.

Świece wciąż skwierczały, gdy Podróżnik tym miękkim głosem, mogącym dochodzić tylko z gardła wyścielanego piórami, uzalał się nad swoimi gośćmi, bo nauka ich epoki, która dopiero co zaprzestała studiowania czaszki, by zagłębić się w jej wnętrze i próbować rozszyfrować funkcjonowanie mózgu, na razie metodami tak prymitywnymi jak trepanacja czy aplikowanie elektrowstrząsów, wciąż była bardzo odległa od podejrzenia, jak ogromny potencjał kryje się w ludzkim umyśle.

– Och, ludzki mózg – szepnął. – Największa zagadka wszechświata waży zaledwie tysiąc czterysta gramów i może zdziwi panów informacja, że wykorzystujemy tylko dwadzieścia procent jego pojemności. Czego moglibyśmy dokonać, wykorzystując cały, pozostaje dla nas zagadką. Wiemy natomiast, że pośród licznych cudów skrywających się pod jego korą znajduje się umiejętność podróżowania w czasie. – Umilkł na chwilę. – Muszę jednak panom wyznać, że nawet nasi naukowcy nie znają dokładnie mechanizmu pozwalającego nam przemieszczać się wzdłuż osi czasu. Jasne jest jedno: człowiek posiada coś w rodzaju świadomości kierunkowej umożliwiającej mu poruszanie się w czasie w ten sam sposób, w jaki się przemieszcza w przestrzeni, i choć wciąż jest daleki od jej celowego wykorzystywania, samo uruchomienie tej możliwości, jak zapewne sobie panowie wyobrażają, stanowi duże osiągnięcie.

– W naszych umysłach... – wyszeptał z dziecinną fascynacją Stoker.

Marcus przyglądał mu się łagodnie, kontynuując wyjaśnienia:

– Nie wiadomo dokładnie, kto pierwszy podróżował w czasie, a raczej kto był pierwszym Przeniesionym; tak bowiem nazywano tamte odizolowane przypadki. Jeśli w ogóle dysponujemy informacjami o tych wczesnych skokach, to tylko dzięki magazynom ezoterycznym i innym publikacjom poświęconym zjawiskom paranormalnym. Informacje o osobach twierdzących, że przeżyły epizod prze-

niesienia się w czasie, powtarzały się, lecz wciąż nie dość często, by zauważyć je ktokolwiek z wyjątkiem tych paranoicznych proroków, których nikt nie traktuje poważnie. W połowie naszego wieku wybuchła natomiast istna epidemia Podróżników w Czasie, którzy nie wiadomo skąd się wzięli. Pewne jest tylko to, że się tam znaleźli, jak gdyby zdolność przemieszczania się wzdłuż osi czasu stanowiła kolejny etap darwinowskiej ewolucji. Wygląda na to, że niektóre osoby, znalazłszy się w kryzysowej sytuacji, potrafiły aktywować pewne strefy swoich umysłów, które niczym magia wyrwały je z teraźniejszości i przenosiły w przyszłość lub przeszłość. Ludzi tych było stosunkowo niewielu i nie potrafili kontrolować swoich umiejętności, lecz mimo to ich talent uznano za niebezpieczny. Jak zapewne sobie panowie wyobrażają, rząd natychmiast powołał komórkę mającą za zadanie wyłapywanie osób wykazujących tę zdolność, by je badać i uczyć doskonalenia umiejętności w warunkach kontrolowanych. Chyba nie muszę mówić, że nikogo nie pytano, czy chce brać udział w tych szkoleniach. Któryż rząd pozwoliłby ludziom posiadającym taki talent chodzić samopas? *Homo temporis*, bo tak ich nazwano, wymagali nieprzerwanej inwigilacji. Niezależnie od intencji, badania nad dotkniętymi tym syndromem zdołały rzucić odrobinę światła na owo niesłychane zjawisko: odkryto na przykład, że ci, którzy przemieszczają się w czasie, nie czynią tego z jakąkolwiek prędkością, by zatrzymać się wtedy, gdy siła, w którą wprawił ich impuls, przestanie działać, jak to było w przypadku wehikułu pana Wellsa, lecz natychmiast przenoszą się z jednego punktu do drugiego, jakby przeskakiwali w próżni. Jedynie kierunek tego przeskoku potrafili określić, i to wyłącznie intuicyjnie. Oszacowano również, że im większą odległość w czasie przebywał Podróżnik, tym bardziej wyczerpany był po skoku. Niektórzy potrzebowali kilku dni, by dojść do siebie, podczas gdy innym nigdy się to nie udawało i do końca życia pozostawali w śpiączce. Ponadto zauważono, że przy odpowiedniej dozie koncentracji podróżujący potrafili zabierać ze sobą przedmioty, a nawet osoby, choć wówczas męczyli się w dwójnasób. Tak czy owak, gdy już jako tako zbadano mechanizm pozwalający na przenoszenie się w czasie, w pierwszej kolejności postanowiono sprawdzić, czy można zmienić przeszłość, czy też pozostaje ona stała. Kwestia ta wywoływała gorące debaty, jeszcze zanim podróże w czasie stały się rzeczywistością, a teraz, gdy były możliwe, należało jak najszybciej znaleźć odpowiedź. Wielu fizyków utrzymywało, że jeśli udamy się w przeszłość na przykład po to, by kogoś zabić, broń wybuchnie nam w rękach w wyniku autoregeneracji wszechświata, który posiada coś w rodzaju ochrony przed niespójnością, i zapobiegnie śmierci osoby, która nie powinna umrzeć. Dzięki serii eksperymentów polegających na dokonywaniu drobnych modyfikacji w bliskiej przeszłości ustalono jednak, że czas taką osłoną nie dysponuje. Nic go nie chroniło. Jego tkanka była równie bezbronna jak skorupiak pozbawiony skorupy. Historię można zmieniać. Odkrycie to, jak sobie panowie zapewne wyobrażają, wywołało większe poruszenie niż sam fakt, że można podróżować w czasie. Człowiek potrafił nagle wpływać na przeszłość! Nic dziwnego, że większość społeczeństwa potraktowała ten dar jako coś w rodzaju *carte blanche* ofiarowanego przez Boga w celu naprawy błędów. Logika wskazywała, że powinniśmy teraz wymazać ludobójstwa i okrucieństwa przeszłości, wyrwać chwasty historii, by tak rzec. Bo to, co jeszcze czeka świat, jest znacznie bardziej nieprzyjemne niż pańska naiwna wizja, panie Wells. Proszę sobie wyobrazić, jakie korzyści ludzkość może odnieść z podróżowania w czasie. Można by na przykład wymazać epidemię dżumy, która spustoszyła Londyn, zabijając sto tysięcy ludzi krótko przed wybuchem wielkiego pożaru w roku 1666, który – o ironio – położył jej kres.

– Albo uratować książki z Biblioteki Aleksandryjskiej, nim strawił je ogień – wtrącił James.

Marcus uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Tak, można by uczynić mnóstwo rzeczy. Tak więc przy wsparciu społeczeństwa rząd powołał zespół złożony z lekarzy i matematyków. Jego zadaniem była analiza tego zbioru aberracji, jakim jest

przeszłość, ocena, które ze zdarzeń należy wymazać, i przewidzenie wpływu, jaki będzie to miało na tkankę czasu; obawiano się bowiem, że interwencja może jeszcze pogorszyć sytuację. Ponieważ jednak nigdy każdemu nie pasuje to samo, natychmiast podniosły się głosy przeciwko Projektowi Restauracji, bo tak go nazwano. Nie wszyscy uważali za etyczną radosną manipulację przeszłością, jaką zamierzał przeprowadzić rząd, a byli i tacy, którzy na wszelkie sposoby starali się jej zapobiec. Ta ostatnia frakcja, nazwijmy ją konserwatywną, do której z każdym dniem przystępowało więcej osób, utrzymywała, że przeszłość trzeba zaakceptować. Kontynuacja projektu stawała się dla rządu coraz trudniejsza. A potem nagle wszystko ustało, bo Podróżnicy, obawiając się, że staną się celem nowego rodzaju ksenofobii, zaczęli uciekać poprzez czas w chaotycznym pędzie. Wywołał on w społeczeństwie oczywiste zaniepokojenie, jako że przeszłość stała się nagle plastyczną masą, którą każdy mógł modyfikować z przyczyn osobistych czy nawet przez pomyłkę. Historia świata znalazła się w niebezpieczeństwie.

– Ale skąd można wiedzieć, czy ktoś manipuluje przeszłością, skoro robiąc to, zmienia zarazem naszą teraźniejszość? – zapytał Wells.

– Nigdy byśmy się nie dowiedzieli, czy ktoś zmienił historię, odczulibyśmy jedynie skutki tego.

– Gratuluję panu przenikliwości, panie Wells – przyznał Marcus, przyjemnie zaskoczony pytaniem pisarza. – Zgodnie z naturą czasu skutki zmiany obejmują cały jego nurt. Zmienia się on w miarę upływu, tak jak fale wywołane przez wrzucony do stawu kamień zmieniają tafelę wody. Jak słusznie pan zauważył, nigdy nie zdołalibyśmy odkryć żadnej manipulacji, gdyż zarówno nasza teraźniejszość, jak i wspomnienia byłyby zmienione przez fale spowodowane zmianą. – Urwał, by po chwili dodać z nieco złowieszczym uśmiechem: – Chyba że dysponowalibyśmy kopią bezpieczeństwa świata, z którą moglibyśmy porównać naszą rzeczywistość.

– Kopią bezpieczeństwa?

– To tylko jedna z możliwych nazw – rzekł Marcus. – Mam na myśli zbiór ksiąg, gazet i podobnych materiałów zawierających jak najwięcej informacji o wszystkim, co wydarzyło się do tej pory, o całej historii ludzkości. Coś w rodzaju portretu przedstawiającego prawdziwe oblicze wszechświata i pozwalającego na natychmiastowe wykrycie najmniejszej anomalii.

– Rozumiem – mruknął Wells.

– Rząd pracował nad tym od momentu pojawienia się pierwszej partii Podróżników w Czasie, próbując uniknąć możliwości samowolnego manipulowania historią – wyjąwił Marcus. – Pytanie brzmiało: gdzie ma być przechowywana owa pamięć, by nie dosięgły jej złowrogie fale powodujące zmiany?

Pisarze wbili w niego zaintrygowane spojrzenia.

– Było tylko jedno takie miejsce – odpowiedział samemu sobie Podróżnik – początek czasów.

– Początek czasów? – dziwił się Stoker.

Marcus skinął głową.

– A konkretnie oligocen, trzecia epoka trzeciorzędu w erze kenozoicznej, kiedy człowiek nie postawił jeszcze stopy na ziemi, a świat dzieliły między siebie nosorożce, mastodonty, wilki i pierwsze gatunki naczelnych. Epoka, do której żaden Podróżnik nie mógłby dotrzeć inaczej niż poprzez długi łańcuch skoków ze wszystkimi wiążącymi się z tym zagrożeniami i do której nikt nie miał ochoty się udawać, bo nie było tam nic, co można by zmienić. Równoległe z projektem szkolenia Podróżników w Czasie rząd w wielkim sekrecie organizował coś, co można by nazwać elitarną jednostką złożoną z najzdolniejszych i najwierniejszych Podróżników, której zadaniem miało być przeniesienie pamięci świata do oligocenu. Tam po odbyciu niezliczonych skoków grupa wybrańców, jak się panowie domyślają, mam zaszczyt do niej przynależeć, zbudowała azyl do przechowywania wiedzy o świecie,

który zarazem stał się naszym domem, bo spędzaliśmy w tej epoce sporą część życia. Otoczeni rozległymi preriami, po których żał było chodzić, żyliśmy tam i płodziliśmy dzieci, a potem uczyliśmy je przemieszczania się w czasie i strzeżenia historii w takiej jej postaci, jaka rozpoczynała się w tamtej epoce, a kończyła w momencie odwołania przez rząd Planu Restauracji. Tak, panowie, tam kończy się nasza jurysdykcja. Czasy rozciągające się poza tamtą chwilą nie są strzeżone, gdyż uznaje się za rzecz oczywistą, że w epoce podróży w czasie świat może przyjmować dowolne oblicze zależnie od wprowadzonych w nim modyfikacji. Przeszłość jednak uważa się za świętość, która winna pozostać niezmienna. Każda próba manipulacji tkanką czasu stanowi przestępstwo przeciwko naturalnemu porządkowi.

Podróżnik skrzyżował ramiona i milczał, przyglądając się swoim słuchaczom z sympatią.

– Miejsce, w którym przechowujemy pamięć świata, nazywamy Biblioteką Prawdy – dodał entuzjastycznym tonem – a ja jestem jednym z bibliotekarzy. Tym, który ma pod pieczęć wiek XIX. Dlatego przenoszę się z oligocenu do tej epoki i poprzez króciutkie skoki między dekadami sprawdzam, czy wszystko jest w porządku. Dotarcie tu, jak nietrudno się domyślić, jest zadaniem wyczerpującym nawet dla mnie, choć potrafię jednym skokiem pokonywać tysiąclecia. Muszę przemierzyć ponad dwadzieścia milionów lat, a bibliotekarze strzegący tego, co dla panów jest przyszłością, mają do pokonania jeszcze większy dystans. Z tego powodu linia czasu, którą musimy zachować, jest naszpikowana czymś, co nazywamy gniazdami – gęstą siecią domów i miejsc, w których możemy odpoczywać przed następnymi skokami. Pewnie już się panowie domyślają, że ten budynek do nich należy. Jakież jest lepsze miejsce na kryjówkę niż dom, który stoi pusty od dekad i będzie tak stał do końca wieku, a w dodatku odstrasza ciekawskich tym, że nawiedza go widmo?

Marcus umilkł na dobre, dając do zrozumienia, że jego opowieść dobiegła końca.

– I co? – zapytał z rozbawieniem Stoker. – Czy w dzisiejszym świecie występuje jakaś anomalia? Naliczył pan zbyt wiele much?

Podróżnik roześmiał się z żartu Irlandczyka, lecz był to śmiech nieadekwatnie posępny.

– Zawsze znajduję coś niewłaściwego – obwieścił złowróźnie. – W gruncie rzeczy moja praca jest dość zabawna: wiek XIX to jedna z tych epok, w których Podróżnicy w Czasie najbardziej lubią majstrować, może dlatego, że w wielu wypadkach ich manipulacje wywołują skutki nad wyraz ekstrawaganckie. I choćbym nie wiem ile takich przekłamań wyprostował, przy każdej wizycie z rezygnacją obserwuję, że sprawy znów nie wyglądają tak, jak je zostawiłem. Tym razem oczywiście było podobnie.

– Jak zatem być powinno? – zapytał James.

Uwagi Wellsa nie uszła ostrożność pobrzmiewająca w jego głosie, jak gdyby Amerykanin nie był pewien, czy chce znać odpowiedź. Czyżby chodziło o luksusowe kluby, w których szukał ucieczki przed samotnością towarzyszącą mu od zawsze? Być może wcale by nie istniały, gdyby kilku Podróżników w Czasie nie wpadło na pomysł założenia pierwszego z nich, a teraz miały zostać wymazane z powierzchni świata, by ten odzyskał swoją pierwotną formę.

– Pewnie to panów zaskoczy, ale Kuba Rozpruwacz nie powinien zostać schwytyany.

– Poważnie? – zdziwił się Stoker.

Marcus przytaknął.

– Obawiam się, że tak. To jeden z Podróżników w Czasie doprowadził do jego ujęcia, zawiadamiając straż obywatelską z Whitechapel. Dzięki temu „świadkowi”, który wolał pozostać anonimowy, mordercę schwymano. W rzeczywistości jednak nie powinno się to zdarzyć. Gdyby żaden z Podróżników nie interweniował, po zabiciu prostytutki w noc 7 listopada 1888 Bryan Reese, marynarz znany jako Kuba Rozpruwacz, zgodnie z planem odpłynąłby na Karaiby, gdzie kontynuowałby swoje

krwawe praktyki. Zabiłyby kilka osób w Manili, ale z powodu odległości nikt nie skojarzyłby tych zbrodni z zabójstwami prostytutek z East Endu, w związku z czym, historycznie rzecz biorąc, zniknąłby z mapy, a jego nieustalona tożsamość z czasem stałaby się jedną z najsłynniejszych zagadek w dziejach i pochłonęłaby tyle atramentu, ile on rozlał krwi. Zarazem byłaby ulubioną rozrywką śledczych i detektywów następnego wieku, węszących niczym świnie w archiwach Scotland Yardu i marzących o tym, by to właśnie oni wyszli zwycięsko z batalii z mrocznym mitem. Być może zdziwi panów, że niektóre ze śledztw wskazują oskarżycielskim palcem sam dwór królewski. Wygląda na to, że każdy może mieć motyw, by wybebeszyć kilka dziwek. W tym wypadku ludzka wyobraźnia przeraża rzeczywistość. Przypuszczam, że Podróżnik w Czasie, który zmienił historię, nie potrafił poskromić ciekawości i postanowił odkryć prawdziwą tożsamość potwora. Jak udało się panu wydedukować, panie Wells, nie zauważyli panowie zmiany, gdyż padli ofiarą rozchodzących się od niej fal, podobnie zresztą jak cała reszta wszechświata. Na szczęście stosunkowo łatwo ją wymazać. Wystarczy się udać do nocy 7 listopada i zapobiec zawiadomieniu przez Podróżnika w Czasie straży obywatelskiej dowodzonej przez George'a Łuska, by historia wróciła na właściwe tory. Być może wyda się panom, że ta konkretna zmiana nie jest na lepsze, i bynajmniej nie zamierzam z tym polemizować, lecz, jak już powiedziałem, wszelka manipulacja przeszłością jest przestępstwem.

– Chce pan powiedzieć, że znajdujemy się w... równoległym wszechświecie? – zapytał Wells.

Marcus zerknął na niego zdziwiony, po czym przytaknął.

– W istocie, panie Wells.

– Co to, u diabła, jest „równoległy wszechświat”? – zapytał Stoker.

– Pojęcie, które zostanie ukute dopiero w przyszłym wieku, w czasach, gdy podróże w czasie będą jedynie fantazją pisarzy i fizyków – odparł Podróżnik, wciąż zerkając ze zdumieniem na Wellsa. – Zakłada się, że wszechświaty równoległe to sposób na uniknięcie paradoksów czasowych, które mogłyby wystąpić, gdyby przeszłość nie była zabezpieczona przed zmianą. Co na przykład by się stało, gdyby ktoś cofnął się w czasie i zabił własną babcię, zanim ta urodziła jego matkę?

– Nie urodziłby się – odparł szybko James.

– Chyba że babcia nie byłaby prawdziwą matką jego matki, a on w ten osobliwy sposób dowiedziałby się, że została adoptowana – zażartował Stoker.

Podróżnik puścił mimo uszu komentarz Irlandczyka i kontynuował wyjaśnienia:

– Skoro jednak nigdy się nie urodził, jak mógłby zabić babcię? Wielu fizyków dojdzie do wniosku, że jedynym sposobem na uniknięcie tego paradoksu jest tworzenie się światów równoległych w momencie wprowadzania kluczowych zmian. W tym nowym wszechświecie zabójca nie zniknie z powierzchni świata po zabiciu swej babki, choć byłoby to zgodne z logiką, lecz będzie dalej żył w innym świecie, w rzeczywistości, która oddzieliła się od poprzedniej w momencie, w którym nacisnął spust, zmieniając los babci. Będzie to tylko teoria, która zresztą długo pozostanie niezbadana, nawet gdy podróże w czasie staną się rzeczywistością dzięki Przeniesionym, bo jedynym warunkiem umożliwiającym sprawdzenie, czy zmiany w przeszłości powołają do życia światy równoległe, będzie, jak już panom objaśniłem, posiadanie kopii oryginalnego wszechświata. Gdybyśmy takowej nie mieli, nie byłoby mnie tu i nie rozmawiałbym z panami o zagadce tożsamości Kuby Rozpruwacza, bo żadna zagadka by nie istniała.

Wells skinął głową w milczeniu, a Stoker i James popatrzeni po sobie z konsternacją.

– Proszę jednak za mną, panowie. Pokażę panom coś, co pomoże panom lepiej wszystko zrozumieć.

Powściągając uśmiech rozbawienia, Podróżnik w Czasie ruszył po schodach w górę. Pisarze po chwili wahania podążyli za nim, a pochód zamykała eskorta Podróżnika. Dotarłszy na piętro, Marcus poprowadził ich swoim posuwistym krokiem do pomieszczenia z zajmującym całą ścianę regałem pełnym zakurzonych książek, kilkoma rozklekotanymi krzesłami i zapadniętym wyrkiem. Wells zapytał, czy to w nim próbowali spać sir Robert Warboys, lord Lytton i pozostali śmiałkowie, którzy postanowili rzucić wyzwanie upiorowi. Nie zdążył jednak przyjrzeć się wezgowiu w poszukiwaniu śladów po kulach, bo Marcus pociągnął nagle za przymocowaną do ściany lampkę i fałszywy regał pękł, rozsunał się i ukazał duży salon po drugiej stronie.

Podróżnik zaczekał, aż ochroniarze, przemykający w ciemnościach niczym szczury, zapalą lampy w pomieszczeniu, a kiedy było już oświetlone, zaprosił pisarzy do środka. W obliczu niechęci Jamesa i Stokera inicjatywę przejął Wells, ostrożnie wkraczając do tajemniczego salonu. Obok wejścia zobaczył kilka szerokich dębowych stołów zasypanych masą książek, zeszytów z notatkami i znajomych gazet. Bez wątpienia właśnie w tym miejscu Podróżnik badał fizjonomię stulecia w poszukiwaniu możliwych usterek. W głębi pomieszczenia pisarz dostrzegł jednak coś, co na dłużej przykuło jego wzrok. Był to rodzaj pajęczyny wykonanej z różnobarwnych lin, na których zawieszono wycinki z gazet. James i Stoker także zwrócili uwagę na tę sieć sznurów, ku której zmierzał Podróżnik, ruchem głowy zapraszając ich do pójścia w jego ślady.

– Co to takiego? – zapytał Wells, zrównawszy się z nim.

Marcus uśmiechnął się ze szczerą dumą.

– Mapa czasu – odparł.

Pisarz popatrzył na niego zdumiony, po czym przeniósł spojrzenie z powrotem na figurę utworzoną przez liny i przyjrzał jej się dokładnie.

Choć z daleka wyglądała jak pajęczyna, teraz stwierdził, że bardziej przypomina jodłę lub kościec ryby. Biała lina, zawieszona mniej więcej półtora metra nad podłogą i zajmująca całą długość pomieszczenia, służyła za trzon, od niego odchodziły zielone i niebieskie sznurki, których drugie końce przybito do bocznych ścian. Wszystkie one, podobnie jak główna, obwieszane były wycinkami. Wells pochylił głowę i odważył się przejść między nimi, by zerknąć na tytuły artykułów. Zachęcenii gestem Jamesa i Stokera poszli w jego ślady.

– Biała lina – wyjaśnił Podróżnik, wskazując trzon konstrukcji – przedstawia oryginalny wszechświat, jedyny, jaki istniał, zanim wędrowcy zaczęli zmieniać przeszłość. Wszechświat, który należy chronić.

Wells zauważył, że na jednym z końców białej liny wisi zdjęcie emitujące nieznaczny poblask. Ku jego zdumieniu okazało się kolorowe i przedstawiało imponującą budowlę z kamienia i kryształu wznoszącą się na tle nieskazitelnie błękitnego nieba. Bez wątpienia była to Biblioteka Prawdy. Na drugim końcu widniał wycinek donoszący o odwołaniu Projektu Restauracji i wprowadzeniu ustawy zakazującej zmieniania przeszłości. Pomiędzy nimi umieszczono mnóstwo wycinków informujących o ważnych wydarzeniach. O wielu z nich, na przykład o powstaniu sipajów w Indiach, Wells słyszał, a niektóre, jak Krwawą Niedzielę w Londynie, znalazł z autopsji. W miarę przemieszczania się wzdłuż liny ku przyszłości tytuły stawały się coraz bardziej niezrozumiałe. Wells poczuł nagły zawrót głowy na myśl, że czyta o czymś, co jeszcze się nie wydarzyło, co czekało na ścieżce czasu. A większość tych informacji zdawała się osobliwie złowieszczą.

Zerknął na towarzyszy, by sprawdzić, czy i oni odczuwają podobną kombinację podniecenia i

trwogi. Stoker niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w jeden z wycinków, a James tylko zerknął pobieżnie na mapę, po czym machnął lekceważąco ręką i oddalił się, jakby uznał tę posępną i niepojętą przyszłość za coś, z czym trudniej się pogodzić niż z teraźniejszością, w której przyszło mu żyć i po której nauczył się poruszać ze zwinnością eleganckiej rybki. Wydawało się, że Amerykanin odczuwa ogromną ulgę na myśl, że śmierć zwolni go z obowiązku przedzierania się przez zaprezentowany tu przerażający świat. Wells także usiłował oderwać wzrok od serii wycinków w obawie przed wpływem, jaki znajomość przyszłości mogłaby wyrzeć na jego zachowanie, lecz chorobliwa ciekawość połączona ze świadomością, że to wyjątkowa okazja i że wielu byłoby gotowych zabić, by ją mieć, zmuszała go do pobieżnej lektury wszystkich możliwych tytułów.

Zatrzymał się na dłużej przed pewną konkretną wiadomością. Wnosząc z ezoterycznego tytułu, opisano w niej jeden z pierwszych skoków. Pod sensacyjnym nagłówkiem *Podróżniczka w Czasie* donoszono, że rankiem 12 kwietnia 1984 roku po otwarciu Domu Towarowego Olsen pracownicy znaleźli w środku kobietę. Początkowo wzięli ją za złodziejkę, lecz na pytanie, jak się dostała do środka, kobieta odpowiedziała, że po prostu się tam znalazła. Najdziwniejsze jednak, głosiła notatka, było to, że nieznamoma upierała się, iż przybywa z przyszłości, a konkretnie z roku 2008, i rzeczywiście miała na sobie osobliwy strój. Twierdziła, że jej dom napadli rabusie, a ona zdołała zamknąć się przed nimi w sypialni. Przerazona ich próbami wyważenia drzwi doznała czegoś w rodzaju zawrotów głowy i nagle znalazła się w domu towarowym, 24 lata wcześniej. Leżała na podłodze i wymiotowała. Po tych pierwszych nieskładnych wyjaśnieniach kobieta niespodziewanie zniknęła, nim zabrano ją na komisariat celem złożenia obszernych zeznań. „Czyżby wróciła do przyszłości?” – pytał złowróżbnie dziennikarz.

– Rząd podejrzewa, że od tej kobiety wszystko się zaczęło – oznajmił niemal nabożnym tonem Marcus. – Zadają sobie panowie pytanie, dlaczego jedni będą potrafili podróżować w czasie, a inni nie? Rząd też je sobie zadał, a analizy genetyczne dały odpowiedź: wygląda na to, że Przeniesieni posiadają zmutowany gen. Pojęcie to oczywiście nie jest panom znane; użyje go dopiero za parę lat pewien duński biolog. W każdym razie wydawało się bardzo prawdopodobne, że to właśnie ten gen umożliwia tym, którzy go mają, otwierać strefę mózgu dla reszty społeczeństwa pozostającą zamkniętą. Badania wskazywały, że gen ów przekazywany jest z pokolenia na pokolenie, co oznaczało, że wszyscy Podróżnicy pochodzą od tego samego dalekiego przodka. Nie zdołano jednak odkryć, kto był pierwszy, choć podejrzenie pada na wspomnianą kobietę. Wielu sądzi, że jej partner także posiadał tę zdolność. Dzięki temu ich potomek odziedziczył gen w postaci wzmocnionej i dał początek szczepowi, który zmieszał się z resztą populacji wiele dekad później. Wywołało to epidemię Podróżników w Czasie. Nie powiodły się jednak próby zlokalizowania kobiety, która, jak wspomniano w artykule, zniknęła kilka godzin po pojawieniu się w Domu Towarowym Olsen i na zawsze ślad po niej zaginął. A muszę panom wyznać, że niektórzy z Podróżników, wśród nich ja, czczą ją niczym Matkę Boską.

Wells się uśmiechnął, z czułością obserwując tę pospolicie wyglądającą, oszołomioną i przerażoną kobietę, która nie mogła uwierzyć w to, co jej się przydarzyło, a której Marcus nadał rangę Matki Boskiej Czasowej. Prawdopodobnie znów się przeniosła i zagubiona krążyła po jakiejś odległej epoce, o ile nie popełniła samobójstwa, przekonana, że popadła w szaleństwo.

– Każdy z tych sznurków przedstawia świat równoległy – kontynuował Marcus – odstępstwo od ścieżki, którą powinien podążać czas. Zielone sznurki to światy już naprawione. Trzymam je chyba z czystego sentymentu, ponieważ niektóre z nich, zanim znalazłem sposób na naprawę błędów, naprawę mnie wzruszyły.

Wells przyjrzał się zielonemu sznurkowi, na którym wisiały różne znane portrety i fotografie Jej Królewskiej Mości. Wyglądały identycznie jak te z jego wszechświata, nie licząc drobnego szczegó-

łu, którym była małpka o rudawej sierści, trzymana przez królową na ramieniu.

– To jeden z moich ulubionych wszechświatów – wyznał Marcus. – Miłośnik małp sajmiri wpadł na pomysł przekonania Jej Wysokości, że wszystkie żywe istoty emanują rodzaj energii czy też fizycznego magnetyzmu, który może się przenosić z jednych na drugie i działać terapeutycznie. Szczególnym dobrodziejstwem miała być energia wspomnianej małpy, likwidująca problemy żołądkowe i migreny. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy studiując współczesne gazety, znalazłem na zdjęciach królowej ten niepokojący szczegół. Ale to nie wszystko. Dzięki Jej Wysokości noszenie małpek na ramieniu stało się modne, wskutek czego przechadzka po londyńskich ulicach zmieniła się w przezbawny spektakl. Niestety jednak musiałem przywrócić prawdziwe, znacznie nudniejsze oblicze historii.

Wells kątem oka obserwował Jamesa, który oddychał głęboko, najwyraźniej odczuwając niewysłowioną ulgę, że nie żyje w świecie, w którym musiałby nosić małpkę na ramieniu.

– Niebieskie sznurki natomiast to ścieżki czasowe, których jeszcze nie naprawiłem – kontynuował wyjaśnienia Marcus. – Ten na przykład, panowie, symbolizuje świat, w jakim teraz się znajdujemy; świat identyczny z rzeczywistym z wyjątkiem faktu, że Kuba Rozpruwacz nie zniknął w nim tajemniczo po zabiciu piątej ofiary i nie stał się postacią legendarną, lecz został schwytyany przez Komitet Czujności Dzielnicy Whitechapel po dokonaniu zbrodni.

Pisarze z ciekawością przyjrzeni się wskazanemu przez Marcusa sznurkowi. Na pierwszym umieszczonym na nim wycinku widniał opis zdarzenia stanowiącego początek odstępstwa: ujęcia Kuby Rozpruwacza. Po nim następowało kilka kolejnych wycinków z relacją z późniejszej egzekucji marynarza o nazwisku Bryan Reese, zabójcy prostytutek.

– Jak panowie widzą, takich niebieskich sznurków mam tu więcej – rzekł Podróżnik, skupiając wzrok na innym. – Ten przedstawia odstępstwo, które jeszcze się nie wydarzyło, lecz rozpocznie się w najbliższych dniach. I wiąże się z panami. Dlatego właśnie panów tu zaprosiłem.

Zerwał z liny pierwszy wycinek i trzymał go w ręku, nie pokazując jeszcze gościom, jak pokerzysta zwlekający z położeniem karty, która odmieni losy gry.

–W przyszłym roku nieznanemu pisarz o nazwisku Melvin Frost wyda trzy książki, dzięki którym z dnia na dzień okryje się sławą i przejdzie do historii literatury – wyjął.

Przerwał, obserwując po kolei swoich gości, by wreszcie zatrzymać wzrok na Irlandczyku.

– Pierwszą z nich będzie *Dracula* – rzekł. – Książka, którą właśnie pan ukończył.

Oszołomiony Stoker wbił w niego spojrzenie. Wells przyglądał mu się z ciekawością. *Dracula*? A co to niby za dziwne słowo? Nie znał go, podobnie jak nie znał samego Stokera, nie licząc kilku informacji, które zdążył tu usłyszeć. Absolutnie nie podejrzewał, że ten powściągliwy, skrupulatny i szanujący konwencje społeczne mężczyzna, który za dnia jak wierny pies biega z wywieszonym ozorem i załatwia rozliczne sprawy swego pyszałkowatego szefa, nocami bierze udział w niekończących się bachanaliach urządzanych przez dziwki wszelkiego autoramentu; w orgiach, których celem było złagodzenie gorzkiego posmaku zepsutego miodu wypalonego małżeństwa, trwającego jako żalosna farsa jedynie ze względu na syna, Irvinga Noela.

– Choć jeszcze pan o tym nie wie, panie Stoker, ani nawet nie śmie pan o tym marzyć, pańska powieść stanie się trzecią pod względem popularności anglojęzyczną książką na świecie, zaraz po Biblii i *Hamlecie* Szekspira – obwieścił Podróżnik. – A sam *Dracula* dołączy do panteonu mitów literackich, naprawdę zyskując nieśmiertelność.

Na wieść, że w przyszłości, z której przybywał Podróżnik, jego dzieło będzie zaliczane do klasyki, Stoker wypiął pierś. Zgodnie z tym, co po przeczytaniu maszynopisu napisała jego matka w liściku, który od tej pory zawsze nosił w kieszeni, książka miała go wynieść na piedestał współczesnej li-

teratury. Czyż na to nie zasługuje? zapytywał siebie. Pracował nad nią sześć lat, począwszy od chwili, gdy doktor Arminius Vambery, wykładowca języków orientalnych na Uniwersytecie w Budapeszcie i ekspert w dziedzinie okultyzmu, pożyczył mu rękopis, w którym Turcy dawali świadectwo okrutnym postępkom wołoskiego księcia Vlada Tepesza, lepiej znanego jako Wład Palownik z powodu umiłowania do nabijania jeńców na zastrzone pale i przyglądania się ich agonii z kielichem krwi w dłoniach.

– Druga z powieści Frosta nosi tytuł *W kleszczach lęku* – kontynuował Marcus, przenosząc wzrok na Amerykanina. – Mówi to panu coś, panie James?

Pisarz spoglądał na niego oniemiały.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział sam sobie Marcus. – Jak zapewne domyślają się panowie po reakcji kolegi, chodzi o powieść, którą on sam właśnie ukończył, uroczą historię o duchach, która także wejdzie do kanonu literatury.

Mimo doskonałej umiejętności skrywania emocji James nie zdołał zakamufłować zadowolenia, jakie go ogarnęło na wieść o chlubnej przyszłości jego książki, pierwszej, która nie została napisana własnoręcznie, lecz podyktowana maszynistce. Być może właśnie dlatego, dzięki tej symbolicznej odległości pomiędzy sobą a papierem, ośmielił się pisać o sprawach tak osobistych i bolesnych jak lęki własnego dzieciństwa. Podejrzewał jednak, że mogło to mieć związek z rezygnacją z życia w hotelach i pensjonatach na rzecz uroczego georgiańskiego domu, który zakupił w Rye. Bo dopiero tam, znalazłszy się w swoim gabinecie, do którego wpadały przez okno połyskujące promienie jesienno-słońca, gdzie o szybę okienną uderzały delikatne skrzydła motyla, a nieznajoma dziewczyna czekała na kolejne jego słowo, by je przenieść na klawisze monstrualnej maszyny, James odważył się napisać powieść zainspirowaną czymś, co bardzo dawno temu usłyszał od arcybiskupa Canterbury: historią dwojga dzieci żyjących w odosobnieniu i osaczonych przez rozpustne duchy służących.

Na widok słabo skrywanego uśmiechu Jamesa Wells zadał sobie pytanie, jaka będzie ta opowieść o duchach, które w gruncie rzeczy nie będą duchami, a może właśnie nimi będą, chociaż pewnie jednak nie, skoro wydaje się, że tak.

– Trzecia powieść Frosta – rzekł Marcus, tym razem zwracając się do niego – to oczywiście *Niewidzialny człowiek*, książka, którą niedawno pan skończył, panie Wells, i której główny bohater, podobnie jak Dracula pana Stokera, trafi do kanonu współczesnych mitów.

Czyżby nadeszła jego kolej na dumę? Być może... tyle że nie znajdował do niej najmniejszego powodu. Jedyne, na co miał ochotę, to usiąść w kącie i płakać, dopóki nie wypłacze z organizmu całej wody, bo przyszły sukces tej powieści potrafił oceniać jedynie jako porażkę, podobnie jak porażkami stały się *Wehikuł czasu* i *Wyspa doktora Moreau*. Wystukany z tą samą zawrotną prędkością, z którą powstawały wszystkie książki Wellsa, *Niewidzialny człowiek* był kolejną powieścią napisaną wedle reguł ustalonych przez Lewisa Hinda: futurystyczną fikcją, za pomocą której pisarz starał się ostrzec świat przed niebezpieczeństwami niewłaściwego korzystania z nauki, czego nigdy nie ośmielił się zrobić Verne, zawsze przedstawiający naukę jako coś w rodzaju czystej alchemii w służbie człowieka. Wells nie miał w sobie tyle optymizmu co Francuz, więc i tym razem stworzył ponurą opowieść o wykorzystaniu technologii, bohaterem czyniąc naukowca, który znalazłszy sposób na niewidzialność, ostatecznie popada w obłąd. Jasne jednak było, że prawdziwe przesłanie jego dzieła przejdzie niezauważone, skoro człowiek zacznie używać nauki w najbardziej szkodliwy do wyobrażenia sposób, o czym wspominał Marcus, a co sam pisarz zdążył wyczytać z przerażających wycinków zawieszonych na głównej linii.

Bibliotekarz podał mu urywek, by go przeczytał i przekazał pozostałym. Pisarz był zbyt przybity, by zgłębiać litanię pochwał, na który wyglądała notka, więc ograniczył się do rzucenia okiem na

ozdabiające ją zdjęcie. Widniał na nim niejaki Frost – drobny, elegancki mężczyzna, idiotycznie oparty o maszynę do pisania, rzekome źródło jego niewyczerpanej inwencji. Potem podał wycinek Jamesowi. Pisarz po lekceważącym zerknięciu przekazał go Stokerowi, a ten przeczytał go od deski do deski. I właśnie Irlandczyk jako pierwszy zdobył się na przerwanie grobowej ciszy, która zaległa w salonie.

– Ale jak to możliwe, że temu człowiekowi przyszły do głowy dokładnie te same historie co nam?
– zapytał z niedowierzaniem.

James spojrział na niego z taką samą pogardą, z jaką patrzyłby na jarmarczną małpkę.

– Niech pan nie będzie naiwny – skarcił go. – Pan Rhys próbuje nam powiedzieć bynajmniej nie to, że Frostowi przyszły do głowy nasze historie, tylko że zdołał je jakoś wykraść, nim zostały opublikowane.

– W rzeczy samej, panie James – potwierdził Podróżnik.

– W takim razie jak sprawi, że na niego nie doniesiemy? – zapytał znów Irlandczyk.

– Jestem przekonany, że sam znajdzie pan odpowiedź – rzekł Marcus.

Wells, który zdołał pokonać przygnębienie i na nowo zainteresować się konwersacją, poczuł nagły dreszcz.

– Jeśli się nie mylę – powiedział, by rozwiać wątpliwości – pan Rhys chce dać nam do zrozumienia, że najlepszym sposobem na uciszenie kogoś jest zabicie go.

– Zabicie? – oburzył się Stoker. – Nie dość, że ten Frost ukradnie nasze utwory, to jeszcze nas... zabije?

– Obawiam się, że tak, panie Stoker – przytaknął Marcus, kiwając posępnie głową. – Kiedy po przybyciu do waszej epoki odkryłem, że nikomu nieznany pan Melvin Frost wydał te książki, szybko zacząłem sprawdzać, co się stało z ich prawdziwymi autorami. Z żalem muszę panom oznajmić, że żaden nie przeżyje kolejnego miesiąca. Pan, panie Wells, skręci kark w wyniku wypadku rowerowego. Pan, panie Stoker, spadnie ze schodów swego teatru. Pan zaś, panie James, umrze na zawał we własnym domu. Nie muszę chyba mówić, że pańska śmierć, podobnie jak śmierć kolegów, nie będzie przypadkowa. Nie wiem, czy zostanie sprokurowana przez pana Frosta osobiście, czy też przez kogoś przezeń wynajętego, choć mając na względzie niezbyt imponującą posturę uzurpatora, podejrzewam raczej to drugie. Frost jest typowym przypadkiem Przeniesionego, który bojąc się wracać do swojej epoki, postanawia zostać w przeszłości i rozpocząć nowe życie tam, gdzie trafił. Co, nawiasem mówiąc, jest w pełni zrozumiałe i legalne. Problem polega na tym, że większość takich osób uważa, iż klasyczny sposób zarabiania na życie, czyli uczciwa, wyteżona praca, jest czymś idiotycznym, jeśli się posiada o przyszłości dostateczną wiedzę, by się dzięki niej wzbogacić. Większość, tak jak Frost, czyni to poprzez modyfikację przeszłości i w ten sposób sama się zdradza. Gdyby nas tu nie było, nigdy byśmy się tego nie dowiedzieli. Nie zaprosiłem tu panów jednak, by ich zdręczać opowieściami o tym, jak zginą, lecz aby owej śmierci zapobiec.

– Może pan to zrobić? – zapytał z nagłą nadzieją Stoker.

– Nie tylko mogę, lecz jest to mój obowiązek, ponieważ zgony panów stanowią istotne odstępstwo od rzeczywistości w czasach, których przyszło mi strzec – odparł Marcus. – Moim jedynym celem jest uratowanie panów i mam nadzieję, że zdołałem ich o tym przekonać. Pana też, panie Wells.

Pisarz się wzdrygnął. Skąd Marcus wiedział o jego nieufności? Odpowiedź znalazł, podążywszy za spojrzeniami Podróżnika i dwóch towarzyszy, wpatrzonych w jego lewy but, z którego wystawał nóż. Najwyraźniej lina, którą go sobie przytroczył do pleców, nie była zbyt dobrze związana. Zawstydzony Wells podniósł nóż i włożył go do kieszeni, podczas gdy James z politowaniem kręcił głową.

– Zapewniam, że wszyscy trzej panowie – kontynuował Podróżnik, przechodząc nad incydentem

do porządku dziennego – przeżyją jeszcze wiele lat w swoim pierwotnym wszechświecie i pozostawią swoim wielbicielom, do których i ja się zaliczam, mnóstwo kolejnych książek. Proszę się jednak nie gniewać, że pominię wszelkie konkretne informacje na temat przyszłości panów, by mogli zachowywać się naturalnie, gdy już rozwiążemy ten drobny problem. Tak naprawdę powinienem był interweniować, nie ujawniając się przed panami, lecz Frost jest niesamowicie sprytny i wyeliminuje panów w sposób tak dyskretny, że do prasy nie przenikną dane potrzebne mi do zapobieżenia zgonom, na przykład pora, o której pan Stoker zostanie zepchnięty ze schodów. Wiem tylko, w jakich dniach zdarzą się wypadki, a w przypadku pana Jamesa nie mogą być pewien nawet tego, gdyż nie mam pojęcia, ile upłynie czasu, nim ciało zostanie znalezione przez sąsiada.

James ze smutkiem pokiwał głową, być może po raz pierwszy uświadamiając sobie ogrom swojej samotności, tak już oswojonej, że od dawna niezauważalnej i mającej zaowocować równie niezauważalną śmiercią.

– Nasze spotkanie można uznać za akt rozpacz, jako że zaproszenie tu panów było jedynym sposobem uniknięcia ich śmierci, jaki mi przyszedł do głowy. Sądzę, że nie odmówią mi panowie współpracy.

– Ależ skąd! – zapewnił go natychmiast Stoker, który na wieść, że za kilka dni może umrzeć, wyraźnie źle się poczuł. – Co mamy robić?

– Och, nic wielkiego – odparł Marcus. – Póki Frost nie znajdzie maszynopisów, nie będzie mógł panów zabić, więc proponuję, aby panowie jak najszybciej mi je przynieśli. Najlepiej jutro. To zdanie wywoła kolejne rozszczepienie linii czasowej, gdyż Frost panów nie zabije. Gdy już będę miał powieści w rękach, udam się do roku 1899 i z tamtej perspektywy przestudiuję rzeczywistość, by się dowiedzieć, jaki ma być mój następny krok.

– Doskonały plan – rzekł Stoker. – Jutro dostarczę panu maszynopis.

James obiecał to samo, a Wells, choć miał wrażenie, że uczestniczy w partii szachów między Marcusem a niejakim Frostem, w której oni są zaledwie pionkami, nie widział innego wyjścia, jak również się zgodzić. Był zbyt oszołomiony biegiem wydarzeń, by pomyśleć, że może istnieć lepsze wyjście z sytuacji niż to, które zaproponował Marcus. Postanowił więc przynieść nazajutrz powieść, choć fakt, że Podróżnik w końcu schwyta Frosta i posprząta bałagan z przyszłości, nie gwarantował mu całkowitego bezpieczeństwa podczas rowerowych przejażdżek, dopóki nie wyjaśni spraw z Gilliamem Murrayem. W tym celu musiałby pomóc inspektorowi Garrettowi ująć Marcusa, czyli człowieka, który zamierzał uratować mu życie.

Jeśli jednak istniało zadanie trudniejsze od schwywania Podróżnika w Czasie, było nim bez wątpienia złapanie powozu w Londynie w godzinach poprzedzających świt. James, Stoker i Wells stracili niemal godzinę na bezskutecznym przemierzaniu okolic Berkeley Square. Kiedy przemarznięci, z przekleństwem na ustach postanowili pójść w kierunku Piccadilly, wreszcie dostrzegli dorożkę. Wzdrygnęli się, gdy nagle wychynęła z gęstej mgły, mknąc ulicą wyłącznie dzięki sile nawyku konia. I byłaby ich minęła niczym wracające z zaświatów widmo, gdyby przysypiający na koźle dorożkarz w ostatniej chwili nie zauważył rudowłosego wielkoluda, który wyskoczył na drogę, rozpaczliwie wymachując rękoma. Po zatrważającym zatrzymaniu dorożki nastąpiły nerwowe minuty, podczas których pisarze objaśniali dorożkarzowi trasę: najpierw miał się zatrzymać przed domem Stokera, potem przed hotelem, w którym nocował James, i wreszcie opuścić Londyn, by się udać do Woking, gdzie mieszkał Wells. Kiedy wydawało się, że wreszcie zrozumiał, co wyraził kilkoma mrugnięciami i pomrukiem, cała trójka wpakowała się do dorożki i rozsiadła, wzdychając głęboko, niczym rozbitkowie, którzy dotarli na plażę po trzech dniach spędzonych razem na tratwie.

Wells nie mógł się doczekać chwili oddechu, podczas której będzie mógł przemyśleć wszystko, co

się wydarzyło w ciągu minionych godzin, lecz Stoker i James rozgadali się o swoich książkach, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że na spokój musi jeszcze trochę poczekać. Nie przeszkadzało mu, że nie wciągają go w rozmowę, a wręcz czuł z tego powodu ulgę. Wyglądało na to, że nie mają nic do powiedzenia komuś, kto uprawia literaturę eskapistyczną, a na domiar złego przychodzi na spotkania z przywiązanym do pleców kuchennym nożem. Jego też w najmniejszym stopniu nie interesowała ich rozmowa, więc starał się wyłączyć, obserwując przez okno fascynująco postrzępioną mgłę. Szybko jednak odkrył, że głos Stokera, gdy nie dławi go strach, jest zbyt donośny, by móc go ignorować, jeśli się jedzie tą samą dorożką.

– Chodzi mi o to – tłumaczył z patosem – by ukazać głębszy i bogatszy portret eleganckiego wcielenia zła, jakim jest wampir, którego próbuję odrzeć z całej tej romantycznej estetyki, prawdziwego balastu, jaki zrobił z niego żalostnego satyra niezdolnego wywołać w swoich ofiarach cokolwiek innego niż pensjonarski pisk. Bohater mojej powieści jest wampirem na wskroś złym. Mimo wyposażenia go w najbardziej typowe cechy przypisane tym stworzeniom przez folklor nadałem mu także właściwości oryginalne, takie jak niemożność przegładania się w lustrach.

– Nadając postać zła, w dużej mierze odzieramy je z tajemnicy, panie Stoker, a tym samym z mocy! – zagrział James urażonym tonem, który zaskoczył rozmówcę. – Zło należy przedstawiać w sposób bardziej subtelny, jako dziecię niepewności zamieszkujące tę ulotną granicę dzielącą wątpliwość od przekonania.

– Obawiam się, że niezupełnie pana rozumiem, panie James – wymamrotał Irlandczyk, gdy Amerykanin nieco się uspokoił.

James westchnął przeciągle i spróbował wyjaśnić mu ulotny problem w łagodniejszy sposób, lecz ze skonsternowanej miny Stokera Wells wnosił, że ten coraz bardziej pogrąża się w konfuzji. Nic więc dziwnego, że kiedy zatrzymali się przed domem Irlandczyka, olbrzymi rudzielec wygramolił się z dorożki z takim wyrazem twarzy, jakby nie miał zielonego pojęcia, gdzie się znajduje. Od tego momentu Wells był zdany na towarzystwo Jamesa, co tylko pogorszyło sytuację, gdyż po krótkim okresie milczenia kulturalny Amerykanin poczuł się zobowiązany brutalnie przerwać ciszę, zmuszając towarzysza do błahej pogawędki na temat różnicowania materiałów, jakimi obija się siedzenia w powozach.

Kiedy w końcu Wells został sam w dorożce, która powoli opuszczała miasto, uniósł ręce do nieba na znak wdzięczności i zanurzył się w upragnionych rozważaniach. Miał do przemyślenia mnóstwo spraw. Bardzo poważnych spraw, począwszy od wieści z przeszłości, które widział zawieszane na sznurach i nie wiedział, czy lepiej o nich zapomnieć, czyje zapamiętać, a skończywszy na fascynującym wyobrażeniu czasu przedstawionego w formie mapy. Inna rzecz, że nie dało się go w pełni rozrysować w przestrzeni, bo koniec białej liny nigdy nie miał zostać poznany. A może jednak? Może Podróżnicy dotarli dość daleko w przyszłość, by zobaczyć kres czasu, koniec liny, tak jak próbował to uczynić wynalazca z jego powieści? Tylko czy takie coś w ogóle istniało? Czy czas miał się kiedyś skończyć, czy trwać w nieskończoność? Gdyby tak było, za kres powinno się uznać moment, w którym człowiek i wszystkie inne gatunki wymrą – czymże bowiem był czas, jeśli nikt nie mógł go zmierzyć ani zauważać jego upływu? Czas uwidocznił się jedynie w uschniętych liściach, zablizniających się ranach, drewnie pożerany przez korniki, rozprzestrzeniającej się rdzy i słabnących sercach. Jeśli nie było nikogo, kto by to dostrzegał, czas był niczym, zupełnie niczym.

Na szczęście dzięki światom równoległym zawsze miał istnieć ktoś, kto uwiarygodni upływ czasu. A jeśli nie ktoś, to coś. Teraz pisarz wiedział, że światy równoległe z całą pewnością istnieją i oddzielają się od pierwotnego niczym konary od pnia przy najdrobniejszej zmianie przeszłości, tak jak on sam wyjaśniał to niecałe dwadzieścia dni wcześniej młodemu Andrew Harringtonowi, by urato-

wać mu życie. To odkrycie radowało go znacznie bardziej niż sukces własnej powieści, bo świadczyło o potędze jego intuicji, o sprawnym, nawet przerażająco sprawnym działaniu jego mózgu. Być może, w odróżnieniu od Marcusa, nie miał w głowie mechanizmu pozwalającego przemieszczać się w czasie, ale był zdolny do rozumowania wynoszącego go ponad poziom pospółstwa.

Przypomniawszy sobie pokazaną przez Podróżnika mapę – konstrukcję z kolorowych sznurów przedstawiających równoległe wszechświaty, które Marcus musiał naprawić – i nagle uświadomił sobie, że mapa jest niekompletna, gdyż obejmuje jedynie światy stworzone w wyniku bezpośredniego działania Podróżników. A co z naszymi własnymi działaniami? zastanowił się. Wszechświaty równoległe nie rodziły się jedynie z tych niecznych manipulacji w świętej przeszłości, lecz także ze wszystkich naszych decyzji. Wyobraził sobie mapę Marcusa z mnóstwem żółtych sznurków zawieszonych na białej linii, duszącej się pod natłokiem światów stworzonych przez wolną wolę człowieka.

Ocknął się z zamyślenia, gdy powóz zatrzymał się przed jego domem. Wysiadł, dał woźnicy hojny napiwek w podziękę za nocny wyjazd poza miasto, otworzył żelazną bramę i wszedł do ogrodu, zadając sobie pytanie, czy w ogóle warto kłaść się spać i jaki wpływ na tkankę czasu będzie miała jego decyzja w tej kwestii.

I wtedy zobaczył rudowłosą kobietę.

Szczupła i blada, z ramionami rozjaśnionymi czerwonymi płomykami włosów, przyglądała mu się tym samym dziwnym wzrokiem, który przykuł jego uwagę kilka dni wcześniej, gdy stała w tłumie gapiów zgromadzonych w miejscu trzeciej zbrodni Marcusa.

– To pani? – wykrzyknął, stając jak wryty.

Dziewczyna bez słowa podeszła do niego bezszelestnie jak kotka i podała mu coś, co okazało się listem. Zdumiony pisarz wziął go ze śnieżnobiałej dłoni i spojrzał na kopertę. „Dla H.G. Wellsa. Wręczyć w nocy z 26 na 27 listopada 1896 roku” – napisano na niej. A zatem ta dziewczyna, kimkolwiek była, pełniła rolę posłańca.

– Proszę to przeczytać, panie Wells – powiedziała głosem przywodzącym na myśl szelest popołudniowej bryzy poruszającej firankami.

– Od tego zależy pańska przyszłość.

To rzekłszy, skierowała się ku bramie, pozostawiając pisarza stojącego przed drzwiami domu nieruchomo jak totem. Długo trwało, nim otrząsnął się z tego bezruchu i pobiegł za nią.

– Proszę pani!

W połowie drogi stanął. Kobieta zniknęła; tylko aromat jej perfum wciąż unosił się w powietrzu. Pisarz nie słyszał jednak skrzypnięcia bramy. Wyglądało to tak, jakby po wręczeniu mu listu rudowłosa po prostu wyparowała.

Kilka minut stał w miejscu wsłuchany w nocną ciszę, wdychając zapach nieznanego. W końcu odwrócił się i ruszył do domu. Po cichu udał się do salonu, zapalił lampkę i zasiadł w fotelu, wciąż oszołomiony spotkaniem z tajemniczą istotą, która, gdyby mierzyła dwadzieścia centymetrów i miała na placach skrzydła jak ważka, mogłaby być jedną z tych wrózek, w które wierzył Doyle. Jak można tak nagle zniknąć? zastanawiał się. Nie zamierzał jednak marnować czasu na próżne rozmyślenia, skoro odpowiedź prawdopodobnie znajdowała się w dostarczonym przez dziewczynę liście. Otworzył kopertę i wyjął kartki. Natychmiast rozpoznał pismo i przeszedł go dreszcz, a serce podeszło mu do gardła. Zaczął czytać:

Drogi Bertie!

Jeśli trzymasz w rękach ten list, to znaczy, że słusznie zakładałem, iż w przyszłości można będzie podróżować w czasie. Nie wiem, kto dostarczył Ci moją wiadomość, lecz z całą pewnością w żyłach tego kogoś płynie Twoja krew, będąca zarazem moją, bo – jak już się domyśliłeś z charakteru pisma – jestem Tobą. Wellsem z przyszłości. Bardzo odległej przyszłości. Postaraj się to zrozumieć, nim przeczytasz dalszy ciąg listu. Ponieważ wiem, że tożsamość charakteru pisma nie jest dla Ciebie dostatecznym dowodem, gdyż każda zręczna osoba potrafiłaby go podrobić, spróbuję Cię przekonać, że jesteśmy tą samą osobą, opowiadając o czymś, o czym wiesz tylko Ty sam. Kto oprócz Ciebie mógłby wiedzieć, że kosz z pomidorami i papryką, który stoi w kuchni, nie jest zwykłym koszem? Wystarczy, czy mam się uciec do wulgarności i przypomnieć Ci, że w czasach małżeństwa ze swą kuzynką Isabel masturbowałeś się, myśląc o nagich rzeźbach z Pałacu Kryształowego? Wybacz, że wracam do tak wstydlivego okresu Twego życia, lecz jestem przekonany, że zarówno tego, jak i znaczenia, jakie posiada dla Ciebie wiklinowy kosz na pomidory, nie wyjawisz w żadnej biografii, dzięki czemu wykluczona zostanie możliwość, iż jestem oszustem, który o Twoim życiu przeczytał w książce. Nie, Bertie – jestem Tobą. Tylko jeśli to zaakceptujesz, kontynuacja lektury ma sens. A teraz Ci opowiem, jak dojdzie do tego, że przeobrazisz się we mnie. Kiedy jutro udacie się do Marcusa, by oddać mu książki, spotka was przykra niespodzianka. Wszystko, co opowiedział wam Podróżnik, było kłam-

stwem, z wyjątkiem tego, że jest wielbicielem waszej twórczości. Dlatego nie zdoła powstrzymać uśmiechu, gdy z własnej woli oddacie w jego ręce ten cenny łup. Potem wyda jednemu ze swoich zbirów rozkaz, a ten wystrzeli do biednego Jamesa. Widziałeś już, jakie skutki wywołuje działanie jego broni, więc oszczędzę Ci szczegółów, ale nietrudno Ci będzie wyobrazić sobie, że Twój garnitur oszpecą nieprzyjemne plamy krwi i wnętrzości. Później, nie dając wam czasu na reakcję, zbir wystrzeli ponownie, tym razem do zaskoczonego Stokera, który podzieli los Amerykanina. Sparaliżowany strachem, będziesz mógł tylko patrzeć, jak kieruje lufę ku Tobie, lecz Marcus powstrzyma go łagodnym gestem. Uczyni to, gdyż zbyt Ci ceni, by pozwolić Ci umrzeć bez podania przyczyny. Bądź co bądź jesteś autorem dzieła, które da początek modzie na podróżowanie w czasie. Jest Ci przynajmniej winien wyjaśnienie, więc zanim pozwoli zbiorowi Cię zabić, zada sobie trud wyjawienia Ci prawdy, choćby tylko po to, by napawać się własnym głosem opowiadającym o tym, jak wpadł na pomysł oszukania całej waszej trójki. Chodząc po holu tymi swoimi idiotycznymi gumowymi kroczkami, wyzna, że nie jest żadnym strażnikiem czasu i że gdyby nie przypadek, w ogóle nie miałby pojęcia o istnieniu Biblioteki Prawdy ani o tym, że rząd realizuje program ochrony przeszłości.

Marcus był ekscentrycznym milionerem, jedną z tych nielicznych osób, które włączają się po świecie i robią, co im się żywnie podoba, dopóki rząd nie włączył go do programu badań w nowo utworzonym Ministerstwie Czasu. Eksperymenty, którym go poddano, nie wywołały w nim szczególnego niesmaku mimo konieczności zadawania się z osobami różnego autoramentu i statusu. Uznał, że może to znieść, jeśli w nagrodę dowie się czegoś o przyczynach swojej dolegliwości – tak bowiem postrzegał przypadki przenoszenia się w czasie, które przydarzały mu się w chwilach zdenerwowania – przede wszystkim zaś, jeśli pozna możliwości, jakie może mu zaoferować ten stan. Kiedy ministerstwo rozwiązano, Marcus postanowił udoskonalić swoje umiejętności. Praktykując turystykę czasową, doszedł do perfekcji. Przez pewien czas podróżował chaotycznie, przeskakując według własnego widzimisię między wiekami, póki nie znudziło mu się oglądanie dawnych bitew morskich, palenie czarownic i zapładnianie spermą z przyszłości egipskich kurtyzan i niewolnic.

Wtedy przyszło mu do głowy, że może wykorzystać posiadany talent do realizacji swojej bibliofilskiej pasji. W odziedziczonej willi zgromadził bowiem ogromny księgozbiór zawierający warte fortunę pierwodruki i inkunabuły z XVI wieku, lecz nagle cały ten zbiór wydał mu się żaloszny i pozbawiony najmniejszego znaczenia. Po co mu pierwsze wydanie Wędrówek Childe Harolda lorda Byrona, skoro wersy, które czytał, równie dobrze mogłaby czytać każda inna osoba? Co innego, gdyby miał w rękach jedyny istniejący na świecie egzemplarz tego dzieła, tak jakby angielski poeta napisał je wyłącznie dla niego. Teraz, ze swoimi nowo nabytymi umiejętnościami, mógł to osiągnąć bez większego trudu. Gdyby przeniósł się w czasie, ukradł rękopis jednego z ulubionych pisarzy, nim ten go opublikuje, po czym zabił autora, mógłby utworzyć wyjątkowy księgozbiór złożony z dzieł, które dla reszty świata nigdy nie istniały. Konieczność zabicia garstki pisarzy, by zgromadzić w swojej bibliotece prywatną historię literatury, nie stanowiła dla Marcusa żadnego problemu, gdyż zawsze uważał książki, które mu się podobały, za coś, co powstało z nicości, niezależnie od autorów, godnych pogardy z racji samego faktu bycia ludźmi. Poza tym było już za późno, by mógł sobie pozwolić na skrupuły, zważywszy na to, że zbił fortunę przy użyciu metod, które konwencjonalna moralność zapewne uznałaby za przestępcze.

Na szczęście Marcus nie musiał się przejmować cudzą moralnością, jako że dawno już sformułował własną. Inaczej nigdy nie uwolniłby się od ojczyzna. Otrucie go, gdy tylko ten uwzględnił jego matkę w testamencie, nie przeszkodziło jednak Marcusowi w zanoszeniu na jego grób kwiatów w każdą niedzielę. W końcu to dzięki niemu mógł wieść takie życie, jakie wiódł, choć nawet olbrzymi majątek odziedziczony po tym nieokrzesanym i brutalnym mężczyźnie nie mógł się równać ze spad-

kiem po prawdziwym ojcu: cudownym genem kładącym mu przeszłość u stóp dzięki możliwości podróżowania w czasie. Wyobraził sobie więc wyjątkową bibliotekę, w której nieznane nikomu żyły obok siebie Wyspa skarbów, Iliada, Frankenstein albo trzy powieści jego ulubionego autora, Melvina Aarona Frosta. Wziął do ręki Draculę Frosta i dokładnie przyjrzał się zdjęciu pisarza. Tak, ten rachityczny osobnik, którego oczka sugerowały, że jest zepsuty do szpiku kości, występny i słaby jak każdy inny człowiek chodzący po tej ziemi, i że zasługuje na łaskę jedynie wtedy, gdy trzyma w ręku pióro, miał być pierwszym z długiej listy pisarzy, którzy stracą życie w dziwnych wypadkach, z litanii przedwczesnych zgonów mających dopomóc Marcusowi w budowie widmowej biblioteki.

Z tym zamiarem Marcus w towarzystwie dwóch ochroniarzy udał się do naszej epoki. Przybył do niej na kilka miesięcy przed momentem, który rozślawił Frosta. Musiał go odnaleźć, upewnić się, czy maszynopisy nie trafiły już do rąk wydawców, a potem, trzymając go na muszce, wydrzeć mu jedyne, co go wyróżniało spośród reszty nędzników zaludniających ten świat. Później zamierzał położyć kres jego żalosnemu żywotowi, pozorując wypadek. Ku swemu zdumieniu jednak nie odnalazł najmniejszego śladu Melvina Frosta. Wyglądało na to, że nikt o nim nie słyszał, zupełnie jakby wcale nie istniał. Skąd Marcus miał wiedzieć, że Frost także jest Podróżnikiem w Czasie i że ujawni się dopiero wtedy, gdy zawładnie waszymi dziełami? Nie zamierzał jednak odejść z pustymi rękami. Skoro już sobie założył, że swoją literacką rzeź rozpocznie właśnie od Frosta, postanowił dopiąć swego i go odnaleźć. Jedyne pomysły na wyciągnięcie pisarza z ukrycia, jaki mu przyszedł do głowy, nie należały do szczególnie subtelnych: Marcus postanowił mianowicie zabić trzy osoby i zostawić na miejscach zbrodni początki każdego z utworów, przepisane z książek Frosta, które ze sobą przywiózł. To powinno wystarczająco zaintrygować pisarza. Zgodnie z jego przewidywaniami teksty szybko opublikowano w prasie, lecz mimo to Frost się nie ujawnił.

Po trosze załamany, a po trosze wściekły Marcus dniem i nocą na próżno czyhał ze swymi ludźmi w miejscach zbrodni. Jego uwagę przykuł jednak ktoś znajdujący się pośród tłumu ciekawskich, który zgromadził się nad ciałem trzeciej ofiary. Nie był to Frost. Lecz obecność tej osoby wzbudziła w Marcusie identyczne emocje. Udając gapia, przyglądał się ciału pani Ellis, które kilka godzin wcześniej sam zostawił oparte o mur, i młodziutkiemu inspektorowi Scotland Yardu, sprawiającemu wrażenie z trudem powstrzymującego mdłości, gdy nagle jego wzrok padł na stojącego po prawej stronie mężczyznę w średnim wieku, wyglądającego na typowego przedstawiciela epoki: w eleganckim niebieskim garniturze, z cylindrem, monoklem i fajką w ustach. Spojrzawszy na książkę w jego rękach, Marcus zrozumiał jednak, że strój nieznanego jest przebraniem. Książką tą była bowiem nieopublikowana jeszcze w owym czasie powieść *W kleszczach lęku* Melvina Frosta. Jak to możliwe, że ten typ ją miał? Sam musiał być Podróżnikiem w Czasie! Z trudem powściągając ekscytację, Marcus kątem oka przyglądał się, jak tamten porównuje cytat na murze z początkiem książki i marszczy brwi, przekonawszy się o ich identyczności.

Kiedy schował książkę do kieszeni i odszedł, Podróżnik postanowił go śledzić. Nieświadomy niczego nieznanomy zaprowadził go na Berkeley Square, po czym rozejrzawszy się, by sprawdzić, czy nikt go nie widzi, wszedł do budynku oznaczonego numerem 50. Marcus i jego ludzie niemal natychmiast wdarli się tam za mężczyznę i w ciągu paru sekund powalili go. Wystarczyło kilka ciosów, by ten wyśpiewał, jakim cudem ma przy sobie nieistniejącą jeszcze książkę. To wtedy Marcus dowiedział się o istnieniu Biblioteki Prawdy i o całej reszcie. Przybył tu, by zabić ulubionego pisarza i stać się jego jedynym czytelnikiem, a odkrył znacznie więcej, niż mógł przetrwać. Człowiek, który leżał przed nim z twarzą rozoraną przez ciosy zbirów, nazywał się August Draper i był prawdziwym bibliotekarzem opiekującym się XIX wiekiem. Przybył tu z zamiarem naprawienia zmiany, której dokonał w strukturze czasu Przeniesiony o nazwisku Frost, zabijając trzech pisarzy: Brama Stokera, Hen-

ry'ego Jamesa i H.G. Wellsa, by wydać ich książki pod swoim nazwiskiem. Marcus nie posiadał się ze zdumienia na wieść, że to nie Melvin Frost jest prawdziwym autorem tych cudownych dzieł, lecz trzech pisarzy, którzy w jego rzeczywistości zmarli, nim osiągnęli znaczącą sławę, w pierwotnym zaś wszechświecie mieli napisać wiele kolejnych książek. Równie mocno zdumiało go odkrycie, że nigdy nie schwytano Kuby Rozpruwacza. Poczł się niemal metafizycznie obrażony, pojmując, że przemieszczał się z jednego wszechświata równoległego do innego w rytmie dyktowanym przez Podróżników takich jak on, z tą różnicą, że tamci nie ograniczali się do spółkowania z egipskimi niewolnicami. Próbował jednak zapomnieć o urazie i skoncentrować się na objaśnieniach bibliotekarza. Nieznajomy zamierzał posprzątać cały ten bałagan, ostrzegając pisarzy, co ma ich spotkać, poprzez podrzucenie im do skrzynek pocztowych ich własnych powieści, tyle że opublikowanych pod nazwiskiem Melvina Frosta, oraz mapy z zaznaczonym miejscem, w którym mieliby się z nim spotkać. Już miał zacząć wdrażać swój plan, gdy gazety zaczęły informować o dziwnych zabójstwach, co skłoniło go do udania się na miejsce jednego z nich. Pewnie już się domyślasz, co było dalej: Marcus bez namysłu wyeliminował Drapera i postanowił odegrać przed wami jego rolę, udając prawdziwego strażnika czasu.

Oto co rzeczywiście się wydarzyło i jeśli się dobrze zastanowisz, ta wersja znacznie lepiej wyjaśnia pewne zjawiska. Czy nie wydało Ci się dziwne, że Marcus skontaktował się z wami w tak niedyskretny sposób: stawiając na nogi całą policję miasta poprzez brutalne zabójstwa trzech osób, co do których, nawiasem mówiąc, mam wielkie wątpliwości, czy rzeczywiście w najbliższych dniach pisana im była śmierć? Zresztą i tak nieważne, co teraz o tym myślisz, skoro wcześniej nie pomyślałeś tego, co miałeś pomyśleć. Nie jesteś tak inteligentny, jak sądzisz, Bertie. I nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo mi przykro, że muszę Ci to powiedzieć.

Co to ja miałem... a, już wiem: wysłuchasz opowieści Marcusa, nie spuszczając wzroku z wycelowanej w siebie broni, czując, jak coraz szybciej bije Ci serce, pot spływa po plecach, a całe ciało ogarniają dziwne mdłości. Przypuszczam, że gdyby wystrzelił do Ciebie tak szybko jak do Jamesa i Stokera, nic by się nie stało. Jego długi monolog pozwolił Ci jednak osiągnąć, by tak rzec, odpowiedni stan. Kiedy Marcus skończył pogawędkę, a jego zbir zrobił krok do przodu i wycelował w środek Twojej piersi, całe nagromadzone w Tobie napięcie się uwolniło i nastąpił rozbłysk jasności. Wystarczyła sekunda, byś poczuł się uwolniony od własnego ciężaru, wypuszczony z ciała, które bardziej niż kiedykolwiek wydało Ci się niepotrzebnym opakowaniem, źródłem zbędnych dolegliwości i rozproszeń. Miałeś wrażenie, że wznosisz się w niebo, lecz już w następnej sekundzie ciężar znów Cię przytłoczył, przykuwając do świata niby ciężka kotwica, co przyjąłeś z mieszaniną ulgi i tęsknoty za tym chwilowym uczuciem bezcielesności. Znów byłeś zamknięty w więzieniu ciała, przykuwającym Cię do czasu, który ograniczał Twoje postrzeganie wszechświata. Żołądek nagle odmówił Ci posłuszeństwa i zwymiotowałeś w serii bolesnych skurczów. Gdy skończyłeś, ośmieliłeś się w końcu podnieść głowę, by sprawdzić, czy zbir Marcusa już wystrzelił, czy też bawi się Tobą, odwołując ten moment. Nie zobaczyłeś jednak żadnej broni. Nie zobaczyłeś też w pobliżu żadnego człowieka. Nigdzie nie było śladu po Marcusie, jego ludziach, Stoker ze czy Jamesie. Znajdowałeś się sam w ciemnym holu; nawet świeczniki znikły, jakby cała historia tylko Ci się przyśniła. Jakim cudem jednak coś takiego mogło się zdarzyć? Wyjaśnię Ci to, Bertie: w tamtym momencie nie byłeś już sobą. Stałeś się mną.

Jeśli pozwolisz, ciąg dalszy chciałbym opowiedzieć w pierwszej osobie. Początkowo nie rozumiałem, co się stało. Odczekałem kilka minut w holu, w którym było ciemno jak, w krypcie, drząc i nasłuchując, lecz wokół panowała absolutna cisza. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Ponieważ nic się nie działo, ostatecznie ośmieliłem się wyjść na ulicę, która wydała mi się równie pusta. By-

łem wielce skonfundowany, lecz pewien jednego: to wszystko wydarzyło się naprawdę, bo moje doznania nie nosiły znamion snu. Tylko co właściwie się stało? Wtedy mnie oświeciło'. Drżącą ręką wyjąłem gazetę, którą ktoś wyrzucił do kosza, spojrzałem na datę i przekonałem się o słuszności swych podejrzeń: nieprzyjemne dolegliwości, których doświadczyłem, nie były niczym innym jak skutkami skoku czasowego. Choć to niewiarygodne, przeniósłem się do 7 listopada roku 1888. Cofnąłem się o osiem lat!

Przez kilka minut trwałem w osłupieniu pośrodku pustego placu, próbując ogarnąć to, co się wydarzyło, lecz nie miałem zbyt wiele czasu, bo nagle przypomniałem sobie, z czym kojarzy mi się ta data: tego dnia Kuba Rozpruwacz zabił w Whitechapel ukochaną Andrew Harringtona, po czym został schwytany przez straż obywatelską, która udała się do Miller's Court zaalarmowana przez Podróżnika w Czasie. Czyżbym to ja nim był? Nie miałem pewności, ale wiele na to wskazywało. Któż oprócz mnie mógłby wiedzieć, co się wydarzy tej nocy? Pospiesznie zerknąłem na zegarek. Do zbrodni Rozpruwacza pozostało zaledwie pół godziny. Musiałem się spieszyć. Pobiegłem szukać powozu, a kiedy wreszcie go znalazłem, kazałem woźnicy pędzić do Whitechapel. Gdy jechaliśmy przez Londyn w kierunku East Endu, wciąż zadawałem sobie pytanie, czy rzeczywiście to ja zmieniłem bieg historii, sprawiając, że cały wszechświat opuścił swój tor, niespodziewanie skręcił, tworząc rzeczywistość symbolizowaną przez niebieski sznurek i – zgodnie z objaśnieniami Marcusa – z każdą chwilą bardziej oddalał się od białej liny. A jeśli tak, czy zrobiłem to z własnej woli, czy jedynie dlatego, że uczyniłem to już kiedyś i były na to dowody.

Jak zapewne sobie wyobrażasz, przybyłem do Whitechapel niewymownie podekscytowany, a gdy już się tam znalazłem, nie wiedziałem, co robić: bądź co bądź nie zamierzałem się udawać na Dorset Street, by osobiście stawić czoło krwawej bestii. Moje miłosierdzie ma pewne granice. Wpadłem więc do zatłoczonej tawerny, krzycząc, że widziałem Kubę Rozpruwacza w Miller's Court. Była to pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy, choć przypuszczałem, że równie dobrze mógłbym wymyślić cokolwiek. Przekonałem się o tym, gdy spośród zgromadzonych wokół mnie klientów wyłonił się potężny blondyn o nazwisku George Lusk, który wykręciwszy mi rękę i przypadłszy mnie twarzą o baru, powiedział, że sprawdzi wiadomość, ale jeśli lżę, będę tego żałował do końca życia. Po tym pokazie siły puścił mnie, zwołał swoich ludzi i bez większego pośpiechu poprowadził ich na Dorset Street. Dotarłem do drzwi, masując rękę i przeklinając tego brutala, który miał zgarnąć całą chwałę. Po wyjściu na ulicę ujrzałem coś, co mnie przestraszyło. Był to młody Harrington, blady jak upiór, przepychający się przez tłum z nieobecny wzrokiem, mamroczący coś od rzeczy i spazmatycznie potrząsający głową. Zrozumiałem, że odnalazł wypatroszone ciało ukochanej. Wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Chciałem podejść i go pocieszyć, lecz zatrzymała mnie świadomość, że nie istnieje żadne świadectwo, jakobym wykonał w przeszłości ten miłosierny gest. Patrzyłem więc bezradnie, jak znika na końcu ulicy. Nie mogłem uczynić nic innego: musiałem się trzymać wytycznych, bo wszelka improwizacja mogłaby poskutkować nieoczekiwanymi zmianami w tkance czasu.

Wówczas usłyszałem za plecami znajomy głos – głos, który mógł dochodzić jedynie z gardła wyłożonego jedwabiem. „Nie do wiary, panie Wells”. Marcus stał oparty o ścianę ze swoją strzelbą w dłoni. „Przecucie kazało mi szukać pana w tym miejscu i proszę bardzo: to pan jest Podróżnikiem, który zawiadomił Komitet Czujności i pozwolił mu schwycić Kubę Rozpruwacza, zmieniając historię. Kto by pomyślał, panie Wells? Choć podejrzewam, że nie jest to pańskie prawdziwe nazwisko. Autentyczny pisarz zapewne leży już gdzieś martwy. Cóż, dopiero zaczynam się przyzwyczajać do tej maskarady, w którą Przeniesieni zmienili przeszłość. Zresztą co za różnica, kim pan jest, skoro i tak zaraz pana zabiję”. To rzekłszy, uśmiechnął się i bardzo powoli wycelował we mnie swoją broń, jakby mu się nie spieszyło albo jakby chciał się porozkoszować swoją zbrodnią.

Ja jednak nie miałem zamiaru stać z założonymi rękami i czekać, aż mnie przewierci swoim promieniem cieplnym. Odwróciłem się i popędziłem zygzakami, starając się jak najlepiej odegrać rolę uciekającej przed kotem myszki. Po chwili nad głową przeleciał mi promień wystrzelonej lawy, osmalając włosy, i usłyszałem śmiech Marcusa, najwyraźniej zamierzającego jeszcze trochę się ze mną podroczyć, nim mnie zabije. Biegłem dalej, uparty, by przeżyć, choć w miarę upływu sekund stopniowo traciłem wiarę w realizację tego jakże ambitnego planu. Serceomal nie wyskoczyło mi z gardła. Przez cały czas czułem, że Marcus podąża za mną niespiesznie, niczym drapieżnik rozkoszujący się osaczeniem ofiary. Na szczęście ulica była pusta, więc żaden przypadkowy przechodzień nie miał uciepieć w wyniku naszej zabawy. Na prawo ode mnie przeleciał kolejny promień i zniszczył fragment muru; jeszcze jeden, przesywszy powietrze po mojej lewej stronie, rozbił latarnię. W tym momencie zauważyłem wyjeżdżającą z jednej z bocznych ulic dwukółkę. Zamiast się zatrzymać, przyspieszyłem, jak tylko mogłem, i w ostatniej chwili przebiegłem przed nią. Niemal natychmiast usłyszałem ogłuszający trzask drewna i zrozumiałem, że Marcus nie zawahał się przed wystrzeleniem do dwukółki, która zajechała mu drogę – o czym za chwilę mogłem się upewnić, widząc przelatującego mi nad głową konia w płomieniach, który ostatecznie z hukiem uderzył o ziemię o kilka metrów ode mnie. Z trudem ominąłem zwęglone zwierzę i skręciłem w inną ulicę, ścigany przez narastającą falę destrukcji. Gdy tak pędziłem, latarnia rzuciła na ścianę przede mną wydłużony cień Marcusa. Przerazony patrzyłem, jak przystaje i mierzy do mnie. Pojąłem, że znudziła mu się zabawa, ale przekonanie, że za kilka sekund będę trupem, bynajmniej nie przeszkodziło mi biec dalej.

W tym momencie poczułem znajomy zawrót głowy. Ziemia natychmiast usunęła mi się spod nóg, by po sekundzie pojawić się z powrotem, choć o innej konsystencji. Oślepiło mnie światło dnia. Zatrzymałem się, zacisnąłem zęby, żeby nie zwymiotować, i mrugałem komicznie, starając się przyzwyczaić wzrok do światła. Zdążyłem dostrzec pędzącą ku mnie ogromną metalową maszynę, odskoczyłem na bok i przeturlałem się kilka metrów po ziemi. Uniósłszy głowę, zobaczyłem, jak monstrualna maszyna podąża dalej swoją drogą, i usłyszałem, jak ludzie, którzy zdawali się ukryci w jej wnętrzu, wyzywają mnie od pijaków. Nie był to jedyny hałaśliwy artefakt: podobne maszyny wypełniały całą ulicę niczym stado uciekających żelaznych bizonów. Podniosłem się i rozglądałem otumaniony, z ulgą konstatając, że nigdzie w pobliżu nie dostrzegam śladu Marcusa. Podniosłem z pobliskiej ławki gazetę i upewniłem się, że po raz kolejny przeniosłem się w czasie. Tym razem trafiłem do roku 1938. Wyglądało na to, że nabrałem wprawy, skoro przeskoczyłem aż o czterdzieści lat w przód.

Opuściłem Whitechapel i przechadzałem się w zdumieniu po tym dziwnym Londynie, w którym dom numer 50 na Berkeley Square okazał się antykwariatem. Wszystko wyglądało inaczej, choć na szczęście wciąż było rozpoznawalne. Kilka godzin krążyłem zdezorientowany po ulicach, przyglądając się wypełniającym je monstrualnym pojazdom, których nie ciągnęły konie ani nie napędzała para, bo wbrew temu, co się sądzi w waszej epoce, jej panowanie potrwa zaledwie mgnienie oka. Dla mnie minęła chwila, lecz świat przez tych czterdzieści lat bardzo się zmienił. Wbrew opinii dyrektora Nowojorskiego Urzędu Patentowego, który pod koniec Twego wieku zaproponuje likwidację swojego biura, utrzymując, że wszystko już wynaleziono, widziałem wokół siebie setki wynalazków, mnóstwo urządzeń świadczących o niewyczerpanej wyobraźni człowieka.

Gdy już nasyciłem się obserwacją tych dziwów, usiadłem na ławce w parku i zacząłem rozmyślać nad swoją nową sytuacją. Czy znalazłem się w przyszłości, w której istniało wspomniane przez Marcusa Ministerstwo Czasu? Gdyby tak było, mógłbym się tam udać, ale wątpiłem. W końcu przemieściłem się do przodu zaledwie o czterdzieści lat. Jeśli w tej epoce istnieli Przeniesieni, musieli być równie samotni i bezradni jak ja. Następnie zadałem sobie pytanie, czy uruchamiając ponownie właściwy obszar umysłu, mogę wrócić w przeszłość, do Twojej epoki, i ostrzec Cię przed tym, co ma się

stać. Po kilku bezskutecznych próbach włączenia impulsu, który mnie tam przeniósł, poddałem się. Pojąłem, że jestem uwięziony w przyszłości. Mimo wszystko jednak żyłem i przypuszczałem, że Marcus tak łatwo mnie tu nie znajdzie. To chyba był wystarczający powód do radości?

Gdy już zaakceptowałem swoje położenie, uznałem, że w pierwszej kolejności powinienem się dowiedzieć, co zaszło w świecie przez tych czterdzieści lat, a przede wszystkim co się stało z Jane i resztą moich bliskich. Poszedłem do czytelnicy i po kilku godzinach przeglądania gazet wyrobiłem sobie pewną ogólną wizję świata. Ze smutkiem odkryłem nie tylko to, że kroczy on uparcie ku globalnej wojnie, lecz także, że przed laty przeżył już jedną potworną konfrontację, która zalała krwią ponad połowę planety, pochłaniając osiem milionów istnień. Najwyraźniej jednak te ofiary na nic się zdały, bo mimo przepełnionych cmentarzy sytuacja znów była bardzo niestabilna i spodziewano się najgorszego. Przypominając sobie część okropnych notatek, które widziałem zawieszane na mapie czasu, zrozumiałem, że nic nie zdoła zapobiec kolejnej wojnie, gdyż był to jeden z tych błędów przeszłości, z którymi człowiek przyszłości postanowił się pogodzić. Mogłem jedynie czekać na wybuch konfliktu i ze wszystkich sił starać się nie zostać jednym z milionów trupów, które za rok miały zaścielić ziemię.

Znalazłem również artykuł, który mnie oszołomił i zasmucił zarazem: notatkę o dwudziestej piątej rocznicy śmierci pisarza Brama Stokera i Henry'ego Jamesa, którzy zginęli podczas próby spędzenia nocy w „nawiedzonym domu” na Berkeley Square. Tej samej nocy świat poniósł jeszcze jedną stratę: H.G. Wells, autor Wehikułu czasu, zaginął i nigdy więcej o nim nie usłyszano. „Czyżby udał się w podróż w czasie?” – pytał na koniec ironicznie dziennikarz, nie podejrzewając, jak bliski jest prawdy. W artykule nazywano Cię „ojcem science-fiction”. Pewnie zadajesz sobie pytanie, co to u diabła znaczy. Terminem tym, zaproponowanym w roku 1926 przez niejakiego Hugona Gernsbacka, będzie się w przyszłości określać to, co w Twojej epoce zwą fikcją futurystyczną. Gernsback nadał to miano utworom prezentowanym przez niego w magazynie, „Amazing Stories”, pierwszym czasopiśmie poświęconym wyłącznie fikcji o charakterze naukowym, które przedrukowało wiele opowiadań napisanych przez Ciebie dla Lewisa Hinda, a także utworów Amerykanina Edgara Allana Poe oraz oczywiście Juliusza Verne'a, walczącego z Tobą o miano pioniera science-fiction. Zgodnie z przewidywaniami inspektora Garretta literatura spekulująca na temat przyszłości świata stała się osobnym gatunkiem, i to w dużej mierze właśnie dzięki Garrettowi, a konkretnie jego odkryciu, że Podróże w Czasie Murraya są największym oszustwem XIX wieku. Dzięki temu przyszłość znów stała się czystą kartą, którą każdy pisarz mógł umeblować wedle własnego uznania; lądem równie nieznanym jak oznaczone na starych żeglarskich mapach obszary zamieszkiwane rzekomo przez potwory.

Przeczytawszy to, z przerażeniem pojąłem, że moje zniknięcie zapoczątkowało łańcuch nieszczęść: bez mojej pomocy Garrett nie zdołał schwycić Marcusa i musiał pojechać do roku 2000, by ująć kapitana Shackletona, demaskując tym samym oszustwo Gilliana, który ostatecznie trafił do więzienia. Natychmiast pomyślałem o Jane i przekartkowałem setki gazet oraz czasopism, z sercem w gardle poszukując wieści o tym, że „wdowa po H.G. Wellsie” postradała życie w tragicznym wypadku rowerowym. Jane jednak nie zginęła. Po tajemniczym zniknięciu męża żyła dalej, co oznaczało, że Gilliam nie spełnił swojej groźby. Czyżby była ona jedynie czczym gadaniem, mającym mnie skłonić do współpracy? Być może. A może po prostu zabrakło mu czasu, by ją spełnić, lub roztrwonił go na bezskuteczne poszukiwanie mnie po Londynie, by zapytać, dlaczego, u diabła, nie szukam prawdziwego mordercy. Tak czy owak, mimo swojej rozległej sieci zabijaków, nie zdołał mnie znaleźć. Oczywiście nie przyszło mu do głowy szukać w roku 1938. W każdym razie Gilliam trafił za kratki, a moja żona żyła – choć nie była już moją żoną.

Dzięki artykułom opowiadającym o Tobie mogłem się dowiedzieć, co się z nią działo po moim

nieoczekiwanym i niewytłumaczalnym zniknięciu. Jane niemal pięć lat czekała w naszym domu w Woking na mój powrót. W końcu straciła nadzieję i pogodziwszy się z myślą o życiu bez mnie, wróciła do Londynu, by poślubić utytułowanego adwokata Douglasa Evansa, któremu urodziła córkę Selmę. Znalazłem nawet zdjęcie Jane, przedstawiające ją jako uroczą staruszkę, wciąż z tym samym uśmiechem, w którym się zakochałem podczas spacerów na Charing Cross. W pierwszym odruchu chciałem jej szukać, lecz zaraz zrozumiałem, że to irracjonalny pomysł. Cóż mógłbym jej powiedzieć? Moje nagłe pojawienie się po tylu latach wywołałoby jedynie nieprzyjemne zamieszanie w jej spokojnym życiu. Postanowiłem dać jej spokój i od czasu swego zniknięcia nigdy już nie ujrzałem słodkiej istoty, która teraz śpi pewnie dokładnie nad Twoją głową. Być może moje słowa zachęcą Cię do obudzenia jej pieśczołami, gdy skończysz czytać ten list. Decyzję pozostawiam jednak Tobie, bo kimże jestem ja, by się wtrącać w Twoje małżeństwo. Oczywiście to, że nie udałem się na jej poszukiwanie, nie wystarczyło. Musiałem opuścić Londyn, nie tylko z obawy, że natknę się na nią lub na kogoś z moich przyjaciół, którzy natychmiast by mnie rozpoznali, gdyż ani trochę się nie zmieniłem, ale także ze względów bezpieczeństwa: przypuszczałem, że Marcus będzie przeczesywał czas w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak mojej bytności.

Pod fałszywym nazwiskiem, zapuściwszy bujną brodę, wybrałem do życia miasteczko Norwich, które ujęło mnie średniowiecznym klimatem, i tam zacząłem po cichu budować nowe życie. Dzięki umiejętnościom nabytym w drogerii pana Cowapa dostałem posadę ekspedienta w aptece. Przez pierwszy rok zajmowałem się wyłącznie sprzedażą maści i syropów, a wieczorem padałem zmęczony na łóżko, by słuchać wiadomości, zwracając baczną uwagę na powoli krystalizującą się wojnę, która miała po raz kolejny przededefiniować świat. Z własnej woli toczyłem bezcelowy żywot, niegdyś marzenie mojej upartej matki, którego ziszczenia śmiertelnie się bałem. Nawet w wolnych chwilach nie pozwalałem sobie na pisanie, by nie zwrócić uwagi Marcusa. Byłem pisarzem skazanym na egzystencję człowieka pozbawionego talentu pozwalającego chwalić świat za pomocą pióra. Wyobrażasz sobie gorszą mękę? Ja też nie. Uratowałem życie, lecz było to życie tak smutne, że czasem zadawałem sobie pytanie, czy w ogóle warto je kontynuować. Na szczęście pojawił się ktoś, kto mnie pocieszył: była to cudowna dziewczyna o imieniu Alice. Pewnego ranka weszła do apteki, by kupić buteleczkę aspiryny – preparatu z kwasu salicyłowego, skomercjalizowanego przez pewną firmę chemiczną i robiącego w owych czasach furorę – a wyszła stamtąd, zabierając moje serce owinięte w papier pakowy.

Nasza miłość rozkwitła z zadziwiającą łatwością, nim rozpoczęła się wojna, a gdy ta w końcu wybuchła, Alice i ja mieliśmy o wiele więcej do stracenia niż przedtem. Na szczęście wszystkie wydarzenia rozgrywały się z dala od naszego miasteczka, niestanowiącego żadnego zagrożenia dla Niemiec, których nowy przywódca, utrzymujący, że w jego żyłach płynie krew wyższej rasy, zamierzał podbić świat. Potworne konsekwencje walki docierały do nas w postaci przerażających dźwięków niesionych na skrzydłach wiatru niczym forpoczty wieści, które następnie pojawiały się w gazetach, lecz mnie nie było trzeba nic więcej, by zrozumieć, że ta wojna jest inna od poprzednich, bo rozwój nauki zaoferował ludziom zupełnie nowe sposoby zabijania.

Teraz walka toczyła się w powietrzu. Nie wyobrażaj sobie jednak żołnierzy w balonach, którzy strzelają do siebie nawzajem, by strącić wroga na ziemię. Człowiek zdołał podbić niebiosa za pomocą latającej maszyny cięższej od powietrza, podobnej do tej opisanej przez Verne'a w powieści *Robur Zdobywca*, lecz bynajmniej niewykonanej z klejonego papieru, a ponadto zrzucającej bomby. Śmierć nadciągała z nieba, obwieszczając swoje przybycie przerażającym świstem. I choć z racji skomplikowanych sojuszy ta potworna wojna wciągnęła siedemdziesiąt krajów, wkrótce tylko Anglia była zdolna jeszcze stawić czoło wrogowi, podczas gdy reszta świata w oszołomieniu przyjmowała

ustanawianie nowego porządku. Pragnąc za wszelką cenę pokonać nasz opór, Niemcy wciąż bombardowały nasz kraj. O ile początkowo czyniły ten wątpliwy honor wyłącznie lotniskom i portom, z czasem naloty objęły także miasta. Po kilku nocach oblężenia nasz ukochany Londyn zmienił się w dymiącą stertę gruzu, z której niczym wcielenie naszego niepokromionego ducha wystawała kopuła katedry św. Pawła. Tak, Anglia się broniła, a nawet kontratakowała, zapuszczając się w błyskawicznych atakach na niemieckie niebo. W jednym z nich dokonała znaczących zniszczeń w zabytkowym mieście Lubeka, usytuowanym nad rzeką Trave. Rozwścieczone tym jeszcze bardziej Niemcy postanowiły podwoić siłę ataków. Mimo to Alice i ja byliśmy stosunkowo bezpieczni w Norwich, mieście nie bez najmniejszego znaczenia strategicznego. Do czasu, kiedy Niemcy, pragnąc zniszczyć nasze dziedzictwo architektoniczne, wybrały miejscowości ze słynnego przewodnika Baedekera, który zaszczycił nasze miasto trzema gwiazdkami. Karl Baedeker szczególnie polecał romańską katedrę, zamek z XII wieku i liczne kościoły, ale zamiast je zwiedzać, niemiecki kanclerz wolał je zniszczyć.

Wojna zaskoczyła nas wszystkich w katedrze, gdzie homilię ojca Helmore'a niespodziewanie zagłuszył złowrogi świst dochodzący z nieba. Unieśliśmy głowy ku wachlarzowemu sklepieniu, jakbyśmy nagle dostrzegli jego urodę. W końcu i my mieliśmy odczuć grozę, o której dotąd czytaliśmy w gazetach. Ojciec Helmore nakazał nam pospiesznie opuścić dom Boży, przeczuwając, że stanie się on jednym z pierwszych celów bombardowania. Niektórzy mimo wszystko postanowili zostać, nie wiem, czy dlatego, że sparaliżował ich strach, czy też dlatego, że w swojej wierze uznali, iż nie ma lepszego schronienia, ja jednak chwyciłem Alice za rękę i pociągnąłem ku wyjściu, przepychając się przez przerażony tłum blokujący nawę. Ledwie znaleźliśmy się na zewnątrz, poczęły spadać pierwsze bomby. Jak mogę Ci opisać tę grozę? Może wystarczy powiedzieć, że gniew boży błędnie w obliczu ludzkiego. Przerażeni ludzie biegali chaotycznie w tę i z powrotem, a siła bomb rozrywała ziemię, burzyła budynki i przeszywała powietrze hukami grzmotów. Wokół nas wszystko się rozpadało. Usiłowałem znaleźć bezpieczne schronienie, lecz potrafiłem jedynie biec przez ten krajobraz zniszczenia, ściskając dłoń Alice i myśląc o tym, jak niewiele jest dla nas samych warte ludzkie życie.

I wtedy, w trakcie tego biegu bez celu, stopniowo zacząłem odczuwać znajome mdłości. Głowa pulsowała mi boleśnie, a świat zasnuwała mgła. Pojąłem, co się dzieje. Natychmiast przystanąłem i poprosiłem Alice, by z całej siły trzymała mnie za rękę. Spojrzała na mnie zdziwiona, lecz spełniła prośbę. Rzeczywistość zniknęła, a ja po raz trzeci pozbyłem się ciężaru ciała, lecz robiłem wszystko, by zabrać ukochaną ze sobą. Nie wiedziałem, dokąd trafię, ale nie byłem gotów jej utracić, tak jak utraciłem Jane, swoje życie i wszystko, co było mi bliskie. Po chwili zawładnęły mną uczucia takie same jak poprzednio: przez moment miałem wrażenie, że lewituję, wytracony z ciała, a potem ponownie znalazłem się w swojej skórze, tym razem jednak czując, że moje ręce ściskają czyjeś ciepłe dłonie. Otworzyłem oczy, mrugając niezdarnie i starając się powstrzymać wymioty. Uśmiechnąłem się ze szczęścia na myśl o tym, że wciąż trzymam dłonie ukochanej Alice; delikatne dłonie, na których po miłosnym akcie składałem ofiarę z wdzięcznych pocałunków, dłonie połączone ze szczupłymi rękoma pokrytymi słodkim jasnym meszkiem. Jedyne, co zdołałem zabrać ze sobą.

Pogrzebałem dłonie Alice w tym samym ogrodzie, w którym się pojawiłem, w Norwich roku 1982. Miasto wyglądało, jakby nigdy nie zostało zbombardowane, jeśli nie liczyć pomnika ofiar stojącego pośrodku jednego z placów. Pośród wielu innych znalazłem tam nazwisko Alice, choć nigdy się nie dowiem, czy zabiła ją wojna, czy Otto Lidenbrock – mężczyzna, który ją kochał. Jakkolwiek było, zostałem skazany na życie z tym, bo udało mi się uciec spod bomb dzięki ponownemu przeniesieniu się w przyszłość. Znów o czterdzieści lat, jakby to była jakaś moja osobista właściwość.

Znalazłem się w świecie pozornie mądrzejszym, w którym wydawało się, że ludzie mają obsesję na punkcie rozwoju własnej osobowości i prezentowania na każdej płaszczyźnie swego ludycznego,

innowacyjnego ducha. W świecie pysznym, celebryjącym swe osiągnięcia z hałaśliwą dumą dziecka, lecz zarazem spokojnym, gdzie wojna była żenującym wspomnieniem, wstydliwym dowodem na to, że ludzka natura posiada przerażającą stronę, której nie wolno dopuścić do głosu, nawet jeśli czyni się to poprzez nałożenie na siebie gorsetu kurtuazji. Świat musiał powstać na nowo ze zgliszczy. I wtedy, podczas sprzątanego gruzu, liczenia ofiar, odbudowy domów, latania mostów i wypełniania dziur, które wojna zostawiła w jego duszy i drzewie genealogicznym, człowiek uświadomił sobie brutalną prawdę o tym, co się wydarzyło, a wszystko, co do tej pory zdawało się racjonalne, stało się bezsensowne niczym taniec bez muzyki. Uśmiechnąłem się z oczywistą radością: egzaltacja, z jaką otaczające mnie osoby potępiały działania swoich dziadków, stanowiła dla mnie potwierdzenie, że nigdy więcej nie dojdzie do wojny podobnej do tej, którą przeżyłem. I muszę Ci powiedzieć, że w tej kwestii się nie pomyliłem. Człowiek potrafi się uczyć, Bertie, choć czasem trzeba go tresować batem, jak zwierzęta w cyrku.

Tak czy owak znów musiałem zacząć życie od zera, ułożyć sobie od fundamentów nową przeklętą egzystencję. Opuściłem Norwich, z którym nic mnie już nie wiązało, i wróciłem do odbudowanego Londynu, gdzie napatrzywszy się do woli na kolejne cuda nauki, zacząłem szukać jakiegokolwiek pracy, którą mógłby wykonywać człowiek pochodzący z epoki wiktoriańskiej i noszący tym razem nazwisko Harry Grant. A zatem taki los był mi pisany? Wędrować przez czas, płacząc się między jedną a drugą epoką niczym miotany wiatrem liść, na zawsze samotny? Nie, tym razem nie miało tak być. Owszem, byłem sam, ale wiedziałem, że moja samotność nie potrwa długo. W przyszłości czekało mnie pewne spotkanie, lecz była to przyszłość tak bliska, że nie musiałem przenosić się w czasie, by się w niej znaleźć – wystarczyło poczekać, aż sama nadejdzie.

Nim jednak do spotkania doszło, niewidzialna ręka, która zdawała się planować mój los, wyznaczyła mi inne spotkanie, tym razem z czymś szczególnym z mojej własnej przeszłości. Odbyło się ono w sali kinowej. Tak, Bertie, dobrze przeczytałeś. Jak mam Ci wyjaśnić ewolucję, którą przejdzie kinematograf od czasu, gdy w roku 1895 bracia Lumière wyświetlili obrazki swoich robotników wychodzących z fabryki w Lyon Monplaisir? W Twoich czasach nikt nawet nie podejrzewał, jak ogromny potencjał kryje w sobie ich wynalazek. Bardzo szybko jednak, gdy tylko minie pierwsze wrażenie, ludziom znudzi się oglądanie partyjek kart, gromadek dzieci i przyjazdów pociągów, tych wszystkich codziennych obrazków, które mogą zobaczyć, a nawet usłyszeć, wyglądając przez okno, i zaczną żądać czegoś więcej niż nudnych scenek dokumentalnych prezentowanych przy wtórze grającego bez ładu i składu fortepianu. Dlatego teraz na białym płótnie ekranu projektor opowiada historie. Wyobraź sobie, że jedno z tych urządzeń filmuje sztukę teatralną – taką, której akcja nie rozgrywa się na scenie, lecz w dowolnym miejscu świata. Jeśli dodamy do tego fakt, że reżyser nie dysponuje wyłącznie garścią pomalowanych płócien, lecz całą gamą sztuczek pozwalających postaciom zniknąć nam sprzed nosa dzięki manipulowaniu fotogramami, zrozumiesz, że kinematograf stał się najpopularniejszą rozrywką przyszłości, popularniejszą nawet od operetki. Tak, teraz ta unowocześniona wersja wynalazku braci Lumière pozwala światu marzyć, przemycając magię do życia zwykłych ludzi, a związany z nią przemysł obraca niewyobrażalnymi kwotami pieniędzy.

Mówię Ci to wszystko nie tylko dla samej opowieści, lecz dlatego, że niektóre z tych historii powstają na bazie książek. I tu czeka Cię niespodzianka, Bertie: w roku 1960 reżyser o nazwisku George Pal przerobi na film Twoją powieść *Wehikuł czasu*! Podłóż obrazy pod Twoje słowa! Z Verne'em, rzecz jasna, zrobiono to już wcześniej, lecz nie zmąciło to mojej radości. Jak Ci opisać, co czułem, patrząc na rozgrywającą się na ekranie opowieść, którą napisałeś? Był tam wynalazca, którego ochrzcili Twoim nazwiskiem, odgrywany przez aktora o zdecydowanej, marzycielskiej twarzy; była słodka Weena, w którą wcieliła się śliczna francuska aktoreczka o hipnotycznie spokojnym obli-

czu; byli Morlokwie, straszniejsi, niż kiedykolwiek mógłbyś sobie wyobrazić; ogromny sfinks, wiemy i praktyczny Philby, a nawet pani Watchett w swoim nieskazitelnym fartuchu i białym czepku. Sceny przemykały jedna za drugą, a ja drżałem z podniecenia w swoim fotelu, świadom, że to wszystko nie byłoby możliwe, gdyby nie zrodziło się w Twojej głowie – że ten festiwal obrazów wcześniej w jakiś sposób wyświetlił się właśnie tam. Muszę Ci wyznać, że w pewnym momencie nawet przestałem śledzić film, a zamiast tego zacząłem się przyglądać twarzom otaczających mnie osób. Ty pewnie zrobiłbyś to samo, Bertie. Wiem, że niejednokrotnie marzyłeś o tym przywileju, bo do dziś mam w pamięci melancholię, jaka Cię ogarniała, gdy jakiś czytelnik wyznawał Ci, że czytanie Twojej powieści sprawiło mu ogromną przyjemność, lecz nie mogłeś tego sprawdzić, potwierdzić wrażenia, jakie na nim wywarł ten czy ów akapit, dowiedzieć się, czy śmiał się i płakał we właściwych miejscach, bo w tym celu musiałbyś ukryć się w jego czytelni niczym pospolity złodziej. Bądź jednak spokojny: publiczność reagowała tak, jak tego oczekiwałeś. Nie możemy wszakże odbierać zasług panu Palowi, który zdołał mistrzowsko przenieść na ekran ducha Twojej opowieści. Nie będę ukrywał, iż poczynił pewne zmiany, by ją dostosować do swojej epoki, przede wszystkim dlatego, że ponieważ filmował ją sześćdziesiąt pięć lat później, część Twojej przyszłości była już dla świata przeszłością. Pamiętaj na przykład, że mimo wielu obaw związanych z wykorzystaniem nauki przez człowieka nawet nie przyszło Ci do głowy, że może się on uwikłać w wojnę, która obejmie całą planetę. A jednak, jak już Ci opowiedziałem, zrobił to, a potem powtórzył. Pal pokazał więc, jak Twój wynalazca nie tylko przejechał wehikułem przez pierwszą i drugą wojnę światową, ale nawet zobaczył trzecią, w roku 1966, choć pesymizm reżysera na szczęście nie znalazł pokrycia w rzeczywistości.

Nie da się opisać emocji, jakie wówczas przeżyłem w kinie, oczarowany karuzelą obrazów, która tyle Ci zawdzięczała. Z jednej strony patrzyłem na coś, co sam napisałeś, z drugiej – wszystko, co pojawiała się na ekranie, było dla mnie nowe. Wszystko z wyjątkiem jednego: wehikułu czasu. Twojego wehikułu, Bertie. Nie masz pojęcia, jak bardzo zdumiał mnie jego widok. Początkowo nie wierzyłem własnym oczom, ale to nie była halucynacja: to naprawdę Twój wehikuł, uroczy, błyszczący, o kształtach delikatnych niczym instrument muzyczny, zdradzających rękę drobiazgowego rzemieślnika, pełen szlachetności obcej maszynom z epoki, do której zostałem wrzucony. Jakim jednak cudem tam dotarł i gdzie mógł być teraz, dwadzieścia lat po tym, jak wstał z niego odgrywający Ciebie aktor o nazwisku Rod Taylor?

Po kilkutygodniowym przeglądaniu gazet w czytelni zdołałem prześledzić jego skomplikowane pe-rype-tie. Dowiedziałem się, że Jane nie chciała się z nim rozstawać i zabrała go do Londynu, do domu adwokata Evansa. Ten zrezygnowany patrzył, jak w jego uporządkowane życie wkracza ów absurdalny i z pozoru bezużyteczny grat, na domiar złego upamiętniający postać zaginionego męża jego obecnej małżonki. Wyobraziłem sobie, jak krąży wokół wehikułu w bezsenne noce, dotyka fałszywych przycisków i przesuwają szklaną dźwignię, by się upewnić, że urządzenie istotnie do niczego nie służy, oraz zadaje sobie pytanie, jaką tajemnicę kryje ta zabawka, którą jego żona nazywa wehikułem czasu, i po jakie лихо ją zbudowano, bo z całą pewnością Jane nic mu na ten temat nie powiedziała. Wehikuł stanowił przecież część waszej wspólnej historii, której adwokat nie musiał znać.

Kiedy wiele lat później George Pal rozpoczął przygotowania do filmu, natrafił na pewien problem: nie odpowiadał mu żaden z projektów urządzenia, które zaproponowali jego ludzie. Wszystkie były brzydkie, groteskowe i nadmiernie skomplikowane, a jeden przywołał wręcz na myśl krzesło elektryczne. Żaden ze szkiców nawet w przybliżeniu nie przypominał eleganckiego i majestatycznego pojazdu, w którym reżyser wyobrażał sobie wynalazcę przemierzającego połączenie czasu. Nic dziwnego, że uznał to za cud, gdy niejaką Selma Evans, żyjąca na skraju bankructwa po tym, jak przepuściła majątek odziedziczony po rodzicach, zaproponowała sprzedaż mu tego dziwnego grata, niegdyś od-

kurzanego w każdą niedzielę przez matkę w powolnym, pełnym czci rytuale, na widok którego zarówno jej, jak i adwokatowi Evansowi włosy stawały dęba. Pal był oczarowany: urządzenie okazało się dokładnie takie, jakiego szukał. Piękne, majestatyczne, sprawiało wrażenie dynamicznego niczym sanki, na których reżyser śmigał w dzieciństwie. Przypomniawszy sobie lodowaty wiatr uderzający go w twarz podczas zjazdu ze zbocza – wiatr, który wtedy uważał za magiczny. Teraz miał wrażenie, że przemierzając czas na tym wehikule, zostanie osmagany podobnym. Ostatecznie przekonała go jednak plakietka na pulpicie sterowniczym, na której napisano: „Wyrób H.G. Wellsa”. Czyżby to urządzenie naprawdę wyprodukował sam pisarz? A jeśli tak, to w jakim celu? Ta zagadka nigdy jednak nie miała zostać rozwiązana, bo Wells zniknął w roku 1896, właśnie wtedy, gdy zaczynał zdobywać sławę. Kto wie, ile cudownych książek mógłby jeszcze napisać? Mimo niewiedzy, w jakim celu skonstruowano wehikulę, Pal przeczuwał, że nie istnieje dlań lepsze przeznaczenie niż jego film, i przekonał wytwórnictwo filmowe do jego zakupu. Tym sposobem twoje urządzenie zyskało tę iluzoryczną nieśmiertelność, którą daje kino.

Dziesięć lat później wytwórnia zorganizowała publiczną aukcję dekoracji i przedmiotów wykorzystanych w swoich filmach. Na sprzedaż wystawiono także wehikulę czasu. Został sprzedany za dziesięć tysięcy dolarów. Jego kupiec przemierzył z nim całe Stany Zjednoczone, pokazując go w miastach i miasteczkach, a gdy już wycisnął z niego wszystko, co się dało, odsprzedał go handlarzowi staroci z hrabstwa Orange. W roku 1974 przypadkiem natrafił tam na niego Gene Warren, jeden z pracowników zaangażowanych w produkcję filmu. Wehikulę stał porzucony w kącie jak jakiś bezużyteczny grat, zniszczony, zardzewiały i bez fotela, który już dawno sprzedano. Warren kupił go za bezcen i z wielką troską zabrał się do naprawy zabawki, która tak wiele znaczyła dla wszystkich twórców filmu: pomalował poręcze, naprawił zniszczone fragmenty, a nawet zbudował z pamięci nowy fotel. Odnowiony wehikulę znów ruszył w drogę: prezentowano go na targach i pokazach związanych z fantastyką naukową. Czasem zasiadał w nim odgrywający Ciebie aktor. Nawet sam Pal pojawił się na okładce magazynu „Star Log” – siedział w fotelu wehikulu z takim samym uśmiechem, z jakim dziecko zjeżdża na sankach po zaśnieżonym zboczu. Tamtego roku wysłał przyjaciółkom na Gwiazdkę pocztówki ze Świętym Mikołajem siedzącym w Twoim wehikule. Jak pewnie sobie wyobrażasz, śledziłem jego podróż z czułością ojca przyglądającego się perypetiom syna marnotrawnego w przekonaniu, że prędzej czy później powróci do niego.

12 kwietnia 1983 roku udałem się na miejsce spotkania w Domu Towarowym Olsen. Znalazłem ją skonsternowaną i przestraszoną, ująłem za rękę i szepnąłem do ucha: „Wierzę ci, bo sam podróżowałem w czasie” – i pomogłem jej zniknąć sprzed nosa dziennikarzy. Wykorzystując wywołany zniknięciem chaos, wyszliśmy na ulicę, wsiedliśmy do wynajętego przeze mnie samochodu i ruszyliśmy do miasta Bath w hrabstwie Somerset, gdzie kilka tygodni wcześniej kupiłem uroczy georgiański dom, w którym zamierzałem z nią zamieszkać z dala od Londynu i od licznych przybyszów z przyszłości, poszukujących jej na polecenie rządu, który postanowił się jej pozbyć, uznając to za jedyny sposób wyrwania zła z korzeniami.

Początkowo nie wiedziałem, czy postąpiłem właściwie. Czy to ja powinienem ją uratować z Domu Towarowego Olsen, czy też przywłaszczyłem sobie cudzą rolę, rolę jakiegoś przybysza z przyszłości, który obwołał się wyzwolicielem Matki Boskiej Czasowej? Odpowiedź otrzymałem po kilku dniach, w piękny wiosenny poranek. Malowaliśmy właśnie ściany salonu, gdy nagle na dywanie zmaterializowało się dwu-, może trzyletnie dziecko, roześmiało się wesoło, jakby je ktoś połaskotał, i znów zniknęło, pozostawiając klocek z układanki, którą się bawiło. To krótkie, nieoczekiwane objawienie się niepoczętego jeszcze dziecka pozwoliło nam zrozumieć, że to my damy początek przyszłości; że to my musimy stworzyć zmutowany gen, dzięki któremu lata, a może wieki później człowiek

będzie mógł podróżować w czasie. W tym położonym na uboczu domu, bez żadnego hałasu rozpoczęła się epidemia Podróżników, o której wspominał Marcus, myślałem, podnosząc z dywanu klocek ofiarowany przez nasze dziecko niczym niezamierzony prezent. Schowałem fragment przyszłości w kredensie pośród puszek z fasolką, wiedząc, że za kilka lat będę go mógł porównać z fragmentem układanki, którą prędzej czy później ktoś podaruje naszemu chwilowemu gościowi z dywanu.

Dalej nie ma już wiele do opowiadania. Żyliśmy szczęśliwie jak w bajce. Cieszyliśmy się drobnymi codziennymi przyjemnościami, próbując w końcu wieść jak najspokojniejsze i najbardziej ułożone życie, żeby żadne z nas nie przeżyło niespodziewanego skoku w czasie, który by nas rozdzielił. Pozwoliłem sobie nawet na kaprys zakupu Twojego wehikułu czasu, gdy syn Gene'a Warrena wystawił go na sprzedaż, choć do niczego go nie potrzebowałem, bo przecież podróżowałem teraz w czasie jak wszyscy, radośnie płynąc przez nurt dni, gubiąc włosy, kolekcjonując zmarszczki i z każdym dniem bardziej się męcząc podczas wchodzenia po schodach. Nie muszę chyba mówić, że naszą największą radością była trójka dzieci, z których jedno poznaliśmy, zanim się narodziło. Ich talent do przemieszczania się w czasie był znacznie większy niż nasz. Nie panowały w pełni nad swoim darem, ale wiedziałem, że ich potomkowie nad nim zapanują, i uśmiechałem się od ucha do ucha, patrząc, jak dorastają i wchodzą w związki, przekazując nasz gen. Nie miałem pojęcia, ilu pokoleń trzeba, by Podróżnicy w końcu przykuli uwagę rządu, ale wiedziałem, że prędzej czy później to nastąpi. Właśnie wtedy przyszło mi do głowy, by napisać ten list i przekazać go jednemu ze swych wnuków, który z kolei przekazałby go swojemu, aż wreszcie trafi do kogoś, kto będzie mógł spełnić moją prośbę: wręczyć go pisarzowi H.G. Wellsowi, prekursorowi science-fiction, w noc z 26 na 27 listopada 1896 roku. Skoro go czytasz, wygląda na to, że się nie pomyliłem. Nie wiem, kto przekaze Ci ten list, ale jak już wspominałem, z pewnością ma w sobie naszą krew. Kiedy będziesz czytał te słowa, ja, rzecz jasna, będę już martwy.

Być może wołałbyś, że bym do Ciebie nie pisał. Wołałbyś, że bym Ci pozwolił nieświadomie pójść na spotkanie z przeznaczeniem. W końcu życie, które Cię czeka, nie jest takie złe; ma nawet swoje szczęśliwe momenty. Skoro jednak piszę, to dlatego, że czuję, iż to życie nie jest Tobie przeznaczone. Powinieneś pozostać w przeszłości, z Jane, szczęśliwy u jej boku, i zdobywać popularność jako pisarz niemający pojęcia o podróżach w czasie, przynajmniej tych rzeczywistych. Ja niestety nie mam już wyjścia. Nie mogę wybrać innego życia. Ale ty tak. Wciąż możesz dokonać wyboru między życiem, które prowadzisz, a tym, o którym Ci opowiedziałem, między pozostaniem Bertiem a przemianą we mnie, bo to właśnie oferują nam podróże w czasie: drugie szanse, powroty i wybór innych możliwości.

Wiele myślałem o tym, co mogłoby się zdarzyć, gdybyś postanowił nie jechać jutro na spotkanie z Marcusem. Jeśli tego nie zrobisz, nikt nie wyceluje do Ciebie z broni, Twój dar się nie włączy i nie przeniesiesz się w czasie, a tym samym ani nie przyczynisz się do zatrzymania Kuby Rozpruwacza, ani nie poznasz Alice, ani nie będziesz uciekał przed niemieckimi bombami, ani rzecz jasna nie uratujesz z domu towarowego żadnej kobiety. Bez Twojej interwencji zmutowany gen nie powstanie, nigdy nie pojawią się Podróżnicy w Czasie i żaden Marcus nie cofnie się w przeszłość, by Cię zabić, w związku z czym prawdopodobnie wszystko, co się zdarzyło, począwszy od chwili, w której morderca zabił żebraka z Marylebone, zniknie jak wymiecione z nurtu czasu przez ogromną miotłę. Znikną na przykład wszystkie kolorowe sznurki odchodzące od białej linii na mapie czasu, bo nikt nie stworzy równoległego wszechświata, w którym schwytano Kubę Rozpruwacza, ani tego, w którym Jej Królowa Mość będzie nosić małąkę na ramieniu. Na Boga, zniknie nawet sama mapa, bo któż miałby ją stworzyć? Widzisz, Bertie, jeśli postanowisz nie jechać na spotkanie, zniszczysz jeden ze światów. Niech Cię to jednak nie odstraszy. Jedyne, co pozostanie, to pojawienie się kobiety w Domu Towaro-

wym Olsen w 1984 roku, ale nikt nie weźmie jej za rękę i nie zawiezie do uroczego georgiańskiego domku, w którym byłaby szczęśliwa.

A co się stanie z Tobą? Podejrzewam, że cofniesz się do momentu bezpośrednio poprzedzającego ten, w którym podróże w czasie wywarły wpływ na Twoje życie. Do czasu, zanim zbir Gilliam uśpił Cię chloroformem? Pewnie tak, bo skoro Marcus nigdy nie przeniósł się do Twojej epoki i nikogo nie zabił, Garrett nie będzie podejrzewał Shackletona, więc Gilliam nie wyśle po Ciebie swego człowieka, żebyś go wyciągnął z opresji, w związku z czym 20 listopada nikt Cię nie uśpi. Tak czy owak wrócisz tam, gdzie wrócisz, prawdopodobnie nie odczuwając przy tym żadnych dolegliwości, jak to się dzieje podczas skoków czasowych. Po prostu przestaniesz być w jednym miejscu, a znajdziesz się w innym, nie zauważywszy zmiany, jakby za pomocą magii, lecz oczywiście nie będziesz pamiętał nic z tego, co wydarzyło się później. Nie będziesz wiedział, że przeniosłeś się w czasie ani że wszechświaty równoległe naprawdę istnieją. Jeśli postanowisz zmienić to, co się stało, obawiam się, że nigdy o mnie nie usłyszysz. To będzie jak cofnięcie partii szachów do pierwszego z serii ruchów, które doprowadziły do mata. Kiedy już go zidentyfikujesz i zamiast gońcem, wykonasz ruch wieżą, partia potoczy się inaczej, tak jak Twoje życie, jeśli nie pójdziesz na spotkanie.

Wszystko zależy od Ciebie, Bertie. Goniec albo wieża. Twoje życie lub moje. Zrób to, co uważasz za słuszne.

Zawsze Twój

Herbert George Wells

A przeznaczenie? Co z przeznaczeniem? zastanawiał się Wells. Być może pisane mu było właśnie przeniesienie się w czasie, najpierw do roku 1888, potem do początków tej straszliwej wojny, która obejmie całą planetę, a później dalej, zgodnie z tym, co sam opisał w liście do siebie. Być może pisane mu było danie początku szczepowi Podróżników. Może nie miał prawa zmieniać przyszłości, niemożliwiać ludziom podróżowania w czasie tylko dlatego, że nie chce poświęcić własnego życia i woli pozostać u boku Jane w przeszłości, którą z takim trudem ukształtował na swoją modłę. Dlatego, że woli pozostać Bertiem.

Nie chodziło jednak wyłącznie o moralność podejmowanego wyboru, lecz także o to, czy wybór rzeczywiście istnieje. Wells wątpił, czy – jak sądziło jego przyszłe ja – w celu rozwiązania problemu wystarczy nie udać się na spotkanie. Był przekonany, że jeśli nie pojedzie, Marcus prędzej czy później go odnajdzie i zabije. W głębi duszy miał pewność, że to jedyne wyjście, gdy ściskając w rękę maszynopis *Niewidzialnego człowieka*, jechał powozem wzdłuż Green Parku w kierunku Berkeley Square, gdzie czekał człowiek zamierzający pozbawić go życia.

Po przeczytaniu listu schował go do koperty i długo rozmyślał, siedząc w fotelu. Drażniła go ironiczna pobłażliwość, z jaką zwraca się do niego Wells z przyszłości, lecz nie mógł mieć mu tego za złe, zważywszy, że autor tych słów był w istocie nim samym. Musiał zresztą przyznać, że na jego miejscu, mając za sobą te wszystkie przeżycia, nie zdołałby się powstrzymać od traktowania tego żółtodzioba z przeszłości, który zaczął dopiero stawiać na świecie pierwsze kroki, z ojcowską wyrozumiałością. Nic dziwnego, że tak właśnie zrobił. Ale to w gruncie rzeczy było najmniej ważne. Musiał jak najszybciej zaakceptować fakt, że to on sam jest autorem tego listu, by móc skoncentrować się na tym, co naprawdę istotne; na podjęciu decyzji. Dostrzegał w tej kwestii pewien metafizyczny problem etyczny: którą z dwóch egzystencji rozwidlających się u jego stóp powinien prowadzić? Którą ścieżką pójść? Czy istniał sposób dowiedzenia się tego? Nie, z pewnością nie. Ponadto, w myśl teorii równoległych światów, zmiany wprowadzone w przeszłości nie wpływały na teraźniejszość, lecz tworzyły alternatywną rzeczywistość, nową linię, która od tej pory biegła równoległe do pierwotnej, podczas gdy ta pozostawała nietknięta. To zaś oznaczało, że uroczą posłanka, która przemierzyła czas, by doręczyć Wellsoni list, przybyła do równoległego wszechświata, jako że w tym pierwotnym nikt go nie odwiedził, co oznaczało, że choćby nie pojechał na spotkanie, zrobiłby to drugi on – ten ze świata, w którym nie otrzymał listu. Życie, które miał prowadzić Wells z przyszłości, nie znikłoby, więc unikanie przeznaczenia w celu likwidacji pewnych zdarzeń nie miało sensu.

Musiał zatem podjąć decyzję, abstrahując od zagadnień moralnych; wybrać ścieżkę życia, która wyda mu się bardziej atrakcyjna. Czy chce zostać tu z Jane, pisać książki i śnić o lepszym jutrze, czy też woli wieść życie tamtego odległego Wellsa? Czy chce pozostać Bertiem, czy przeobrazić się w ogniwo łączące *homo sapiens* z *homo temporis*? Musiał przyznać, że kusi go poddanie się losowi opisanemu w liście, akceptacja życia naszpikowanego zdarzeniami tak emocjonującymi jak bombardowanie Norwich, które, szczerze powiedziawszy, wcale go nie przerażało, skoro już się dowiedział, że wyjdzie z niego żywy. Miał ochotę pokręcić się beztrąsko, popatrzeć na spadające bomby i podziwiać przerażającą potęgę ludzkiej bezmyślności, piękno ukryte głęboko w trzewiach tego pokażu zniszczenia. Nie mówiąc już o cudach, które mógłby zobaczyć po kolejnych skokach w przyszłość pełną wynalazków, jakich nie wyobraziłby sobie nawet Verne. W tym celu musiałby jednak poświęcić Jane, a przede wszystkim literaturę, bo nigdy nie mógłby wrócić do pisania. Czy był na to gotów? Długo się zastanawiał. Gdy wreszcie podjął decyzję, poszedł do sypialni, obudził Jane pieścotami

i wśród dręczącej, wilgotnej ciemności nocy, przywodzącej na myśl wnętrze kreciego kopca, kochał się z nią tak, jakby czynił to po raz ostatni.

– Kochałeś się ze mną tak, jakby to był nasz pierwszy raz – powiedziała przyjemnie zdumiona Jane, nim znów zasnęła.

Wysłuchany w jej łagodny oddech u swego boku, Wells po raz kolejny uświadomił sobie, że żona o wiele lepiej rozumie siłę jego miłości i że gdyby tylko ją spytał, zaoszczędziłby sobie czasu spędzonego na podejmowaniu decyzji, którą w dodatku teraz uznał za błędną. Tak, pomyślał, czasem najlepszym sposobem dowiedzenia się, czego pragniemy, jest wybranie przeciwnej opcji.

Rozmyślania przerwało mu dopiero dotarcie powozu na Berkeley Square i zatrzymanie się przed budynkiem numer 50, najbardziej nawiedzonym w Londynie. Trudno. Nie mógł tego dłużej odwlekać. Wziął wielki haust powietrza, wysiadł z powozu i z maszynopisem *Niewidzialnego człowieka* pod pachą ruszył bez wielkiego pośpiechu, wdychając unoszące się w powietrzu aromaty. Po wejściu zobaczył, że Stoker i James są już w środku i w kręgu światła utworzonego przez rozmieszczone w holu świeczniki prowadzą ożywioną rozmowę z człowiekiem, który zamierza ich zabić. Od tego momentu, ilekroć miał słyszeć, jak jakiś krytyk wychwala nadprzyrodzony talent obserwacyjny Amerykanina, nie potrafił powstrzymać ataku śmiechu.

– O, pan Wells! – wykrzyknął na jego widok Marcus. – Już myślałem, że pan nie dotrze.

– Proszę wybaczyć spóźnienie – przeprosił pisarz, zrezygnowanym wzrokiem przyglądając się dwóm bandytom Marcusa, którzy z niezmiernie poważnymi minami czekali na skraju kręgu światła, aż szef każe im skończyć z tym tercetem głupców.

– Ależ nic się nie stało – odparł gospodarz. – Ważne, że przyniósł pan książkę.

– Owszem. – Wells zamachał idiotycznie maszynopisem.

Marcus z zadowoleniem skinął głową, wskazując stojący obok niego stolik, na którym leżały już dwa maszynopisy. Przesadnie ceremonialnym gestem Wells dołożył swój, po czym cofnął się o kilka kroków. Nie zdołał uniknąć konstatacji, że w ten sposób ustawił się przed Marcusem i jego zbirami, na prawo od Jamesa i Stokera, w idealnej pozycji do tego, by zostać zastrzelonym.

– Bardzo dziękuję, panie Wells – rzeki Marcus, z zadowoleniem przyglądając się lupowi na stoleku.

Teraz się uśmiechnie, pomyślał pisarz. I Marcus się uśmiechnął. Teraz przestanie się uśmiechać i spojrzy na nas z nagłą powagą. I tak uczynił. Teraz podniesie prawą rękę. Ale to Wells uniósł swoją. Marcus spojrzał na niego z rozbawionym zaciekawieniem.

– Coś się stało, panie Wells?

– Och, mam nadzieję, że się nie stanie, panie Rhys – odparł pisarz.

– Wkrótce powinniśmy się przekonać.

To powiedziawszy, opuścił rękę, wymachując nią w powietrzu, choć z powodu braku doświadczenia w wykonywaniu pewnych gestów sprawiał raczej wrażenie kogoś, kto ospale potrząsa kadzielnicą. Mimo to osoba, która miała zrozumieć gest, zrozumiała go. Z górnego piętra dobiegł nagły hałas, a wszyscy zgromadzeni jak jeden mąż unieśli głowy ku pogrążonym w mroku schodom, po których kierowało się ku nim coś, co na razie mogli jedynie zidentyfikować jako sylwetkę podobną do ludzkiej. Dopiero gdy dzielny kapitan Derek Shackleton stanął na podłodze w samym środku kręgu światła, upewnili się, że mają do czynienia z człowiekiem. Wells nie zdołał powstrzymać uśmiechu na widok pozy, z jaką Tom zastygł na ziemi: z ugiętymi kolanami i napiętymi mięśniami niczym kot gotowy do skoku. Płomyki świec połyskiwały cudownie na metalowej zbroi, która pokrywała go od stóp do głów, odsłaniając jedynie wdzięczny i dumny podbródek. Był to tak heroiczny widok, że Wells natychmiast pojął, dlaczego Tom poprosił dawnych kamratów o zdobycie jego zbroi, a ci wykradli ją

tego ranka z garderoby Gilliana Murraya. Nim ktokolwiek z obecnych zrozumiał, co się dzieje, Shackleton dobył rapiera i wykonał w powietrzu zamaszty gest, którego zwieńczeniem było wbicie czubka ostrza w brzuch jednego ze zbirów. Jego towarzysz próbował zareagować, celując do Shackletona z broni, lecz dzieliła ich zbyt mała odległość, by mógł swobodnie manewrować długą lufą, więc kapitan miał bardzo dużo czasu na to, żeby uwolnić rapier z brzucha ofiary i eleganckim lukiem zamachnąć się na niego. Zbir z mieszaniną fascynacji i grozy patrzył na zbliżające się ostrze, póki Shackleton szybkim oburęcznym manewrem nie ściął mu głowy. Ta przetoczyła się po podłodze, ukazując zastygłą w wyrazie przerażenia twarz, i zniknęła w ciemnościach.

– To pan sprowadził tu tego mordercę, Wells?! – wykrzyknął James zde gustowany krwawym spektaklem, który rozegrał się przed jego oczami.

Wells nie odpowiedział, z zapartym tchem śledząc ruchy Toma. W końcu Marcus zareagował. Podniósł z podłogi broń upuszczoną przez jednego ze swoich ludzi i wycelował w chłopaka, ale ten natychmiast obrócił ku niemu zakrwawioną szablę. Dzieliły ich jednak co najmniej cztery kroki i Wells ze zgrozą skonstatował, że Marcus wystrzeli, nim Tom zdąży pokonać tę odległość. Nie mylił się: Tom zdołał zrobić zaledwie krok, nim promień ciepły uderzył go w pierś. Zbroja rozprysła się na kawałki jak skorupa małża po uderzeniu młotkiem i kapitan przewrócił się na plecy, gubiąc przy tym hełm. Siła strzału była tak wielka, że chłopak przez jakiś czas toczył się po podłodze, by wreszcie znieruchomieć z dymiąca dziurą w piersi i szlachetną twarzą oświetloną blaskiem dobiegającym z najbliższego świecznika. Z ust ciekła mu strużka krwi, a w pięknych zielonych oczach błyszczały już tylko płomyki świec.

Ciszę przeszył triumfalny pomruk Marcusa. Pisarze odwrócili wzrok od Toma i spojrzeli na Podróżnika, który z rozbawionym niedowierzaniem przyglądał się trzem rozrzuconym po podłodze trupom. Przez kilka sekund powoli kręcił głową, a potem przeniósł wzrok na swoich gości, którzy stłoczyli się w drugim końcu holu.

– Niezła próba, panie Wells – powiedział, zmierzając ku nim swoim elastycznym krokiem i uśmiechając się złowrogo. – Muszę przyznać, że mnie pan zaskoczył. Pański plan jednak na niewiele się zdał, nie licząc tego, że mamy o kilka trupów więcej.

Wells nie odpowiedział. Patrzył, jak Marcus podnosi broń i mierzy mu w pierś. Gdy poczuł nagły zawrót głowy, od razu wiedział, że to oznaka nadciągającego skoku czasowego. Więc jednak miał się przenieść do roku 1888... Próbował temu zapobiec, lecz najwyraźniej ucieczka przed przeznaczeniem nie była mu pisana. Prawdopodobnie istniał wszechświat, w którym Shackleton zdążył zabić Marcusa, a on nie przeniósł się w czasie i pozostał Bertiem, ale najwyraźniej znalazł się w innym wszechświecie, bardzo podobnym do tego opisanego w liście, i musiał się cofnąć o osiem lat, tyle że na domiar złego Shackleton zginął, przeszyty potężnym promieniem ciepłym.

Uśmiechnął się smutno, konstatuując swoją porażkę i patrząc, jak Marcus powoli naciska spust. Po chwili rozległ się strzał... lecz był to strzał z broni konwencjonalnej. Tym razem to Marcus uśmiechnął się smutno do pisarza, po czym upuścił broń na podłogę, jakby nagle uznał ją za niepotrzebny balast. I niczym marionetka, której po kolei odcinają sznurki, leniwie osunął się na kolana, przysiadł na piętach, aż w końcu opadł na podłogę, uśmiechając się do zebranych zakrwawioną twarzą. Za nim z dymiącym rewolwerem stał inspektor Colin Garrett.

Czyżby cały czas ich śledził? Nie, to niemożliwe, stwierdził oszołomiony jego obecnością pisarz. Gdyby Garrett śledził go w pierwotnym wszechświecie, to znaczy w tym, w którym nieunikniony był jego przeskok w czasie i napisanie listu do samego siebie, po jego zniknięciu na zdumionych oczach wszystkich inspektor wkroczyłby do akcji i zatrzymał Marcusa, a gdyby temu udało się uciec, czy to poprzez przestrzeń, czy też przez czas, Garrett odkryłby całą intrygę. Tymczasem Wells wiedział, że

tak się nie stało, skoro jego przyszłe ja czytało artykuł donoszący o śmierci Brama Stokera i Henry'ego Jamesa w tajemniczych okolicznościach po spędzeniu nocy w nawiedzonym domu na Berkeley Square. Wydawało się jasne, że gdyby Garrett był świadkiem tych zdarzeń, taki artykuł nigdy by nie powstał. Inspektora nie powinno więc być w tym wszechświecie, podobnie jak nie było go w poprzednim. Jediną innowacją miał być Tom, którego sam Wells poprosił o pomoc w walce z przeznaczeniem. Być może zatem Garrett dotarł tu, śledząc Shackletona?

Ja, który wszystko widzę, mogę zaświadczyć, że pisarz się nie mylił. Zaledwie kilka godzin wcześniej, wracając z cudownego spaceru po Green Parku w towarzystwie panny Nelson, Garrett zderzył się na Piccadilly z potężnym mężczyzną. Obrócił się, by przeprosić, lecz tamten najwyraźniej był w takim pośpiechu, że nawet się nie zatrzymał. Oprócz dziwnego zachowania uwagę inspektora zwróciła nienaturalna twardość ciała, którą bardzo boleśnie odczuł jego bark. Uderzenie było tak silne, że zaczął podejrzewać, iż pod szerokim płaszczem kryje się coś niewiele mniej imponującego od średniowiecznej zbroi. Chwilę później ta myśl już nie wydawała mu się tak idiotyczna. Wbił wzrok w dziwaczne buty nieznajomego i przeżył momentalny szok, pojmując, z kim ma do czynienia. Spoglądał za nim z rozdziawionymi ustami, aż w końcu zaczął go śledzić. Usiłował się uspokoić i zaciskał drżącą dłoń na trzymanym w kieszeni pistolecie. Nie bardzo wiedział, co robić, więc postanowił przez jakiś czas iść za Shackletonem, by zobaczyć, dokąd ten w takim pośpiechu się udaje. Rozdarty między podekscytowaniem a ostrożnością podążał za Shackletonem wzdłuż Old Bond Street, wstrzymując oddech, ilekroć suchy liść pod jego stopami zaszeleścił niczym stary pergamin, a potem wzdłuż Bruton Street, by ostatecznie znaleźć się na Berkeley Square. Shackleton dotarł do budynku sprawiającego wrażenie opuszczonego, po czym niezwłocznie zaczął się wspinać po jego fasadzie, by po chwili zniknąć w oknie górnego piętra. Co teraz? zastanawiał się ukryty za drzewem inspektor. Czy i on powinien wejść do domu? Nim jednak zdążył sobie odpowiedzieć, przed zniszczoną budowlą zatrzymał się powóz, z którego ku jeszcze większemu zdumieniu Garretta wysiadł pisarz H.G. Wells, z wielkim spokojem skierował się do budynku i także zniknął w środku, choć tym razem przy użyciu drzwi. Osłupiały inspektor zachodził w głowę, jakie konszachty mogą mieć ze sobą pisarz i człowiek z przyszłości. Uznając, że istnieje tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć, cichutko przeszedł przez ulicę, wspiął się po fasadzie domu i wszedł przez to samo okno, w którym kilka minut wcześniej zniknął kapitan Shackleton. Gdy już znalazł się w panującym tam mroku, obserwował wszystko, pozostając niewidoczny, i wiedział już, że Shackleton bynajmniej nie przybył z przyszłości, by bezkarnie czynić zło, lecz aby pomóc Wellsowi w walce z Podróżnikiem w Czasie o imieniu Marcus, którego niecny plan, jak się zdawało, polegał na wykradzeniu jednego z jego dzieł.

Inspektor przykląkł nad ciałem Toma i delikatnie zamknął mu oczy, po czym wstał, rzucił pisarzom swój dziecinny uśmiech i coś powiedział. Wells nie dosłyszał jednak jego słów, bo dokładnie w tym momencie cały ów wszechświat zniknął, jakby nigdy nie istniał.

Kiedy dźwignia wehikułu przesunęła się do końca, nie stało się nic. Rozejrzawszy się szybko wokół, Wells stwierdził, że wciąż tkwi w dniu 20 listopada 1896 roku. Uśmiechnął się smutno, choć miał dziwne wrażenie, że uśmiechał się tak już na długo przed opuszczeniem dźwigni i przekonaniem się o tym, co już wiedział – że mimo swej majestatycznej urody wehikuł nie jest niczym innym jak tylko zabawką. Rok 2000 – prawdziwy rok 2000, a nie ten wymyślony przez pajaca o nazwisku Giliam Murray – znajdował się poza jego zasięgiem. Podobnie jak reszta przyszłości, nawiasem mówiąc. Mógł odprawić ten rytuał, ilekroć miał na to ochotę, ale wciąż byłoby to jedynie przedstawienie. Nigdy nie przeniesie się w czasie. Nikt tego nie potrafi. Nikt. Powinien w końcu zaakceptować fakt, że jest uwięziony w teraźniejszości.

Z melancholijnym wyrazem twarzy wstał z wehikułu i podszedł do okna strychu. Noc była spokojna. Pola i domy okryła matczynym płaszczem niewinna cisza. Wells miał wrażenie, że cały świat jest kompletnie bezbronny i zdany na jego łaskę; że gdyby chciał, mógłby zmienić kolejność drzew albo bezkarnie przemalować kwiaty na inny kolor. Wydawało mu się, że jest jedynym człowiekiem na Ziemi, który nie śpi. Gdyby wyteżył słuch, mógłby usłyszeć szum zalewających plaże fal, niestrudzony wzrost traw, łagodne drapanie chmur o skórę nieba, a nawet skrzypienie starego drewna emitowane przez planetę podczas obracania się wokół własnej osi.

Ten spokój zawładnął także jego duszą, jak zawsze, gdy postawił ostatnią kropkę w powieści, tak jak tego wieczoru stało się to z *Niewidzialnym człowiekiem*. Znów znajdował się w punkcie wyjścia, w momencie, który kusił i jednocześnie przerażał pisarzy, bo musieli zdecydować, której z wielu unoszących się w powietrzu opowieści stawić teraz czoło, jakiej fabule poświęcić wiele następnych dni. Należało wybrać starannie po spokojnym przeanalizowaniu wszystkich opcji, jakby się stało przed ogromną garderobą pełną wielu możliwych przebrań na bal – były tam bowiem historie niebezpieczne, takie, które nie chciały zostać zamieszkane, inne, które podczas pisania niszczyły człowieka od środka, i wreszcie te najgorsze: wytworne szaty cesarza, które z czasem okazywały się garścią łąchmanów. W tym momencie, przed nakreśleniem z wielką czcią pierwszego słowa, mógł napisać dowolną historię, dowolną! To było jak wstrzyknięcie w żyłę trucizny dzikiej, uroczej i ulotnej wolności, bo doskonale wiedział, że zostanie jej pozbawiony, gdy tylko wybierze jakąś historię, tracąc jednocześnie wszystkie inne.

Z niemal sielankowym uśmiechem przyglądał się rozsypanym po niebie gwiazdom, gdy nagle poczuł ukłucie strachu. Przypomniał sobie rozmowę, którą kilka miesięcy wcześniej przeprowadził ze swoim bratem Frankiem w domu w Nyewood, gdzie jego rodzina tkwiła niczym bezużyteczne graty na strychu. Gdy wszyscy inni poszli spać, Frank i Bertie wyszli na ganek z papierosami i piwem wyłącznie po to, by móc się napawać widokiem lśniącego cudownie firmamentu obwieszzonego gwiazdami niczym pierś nieustraszonego generała. Pod gwiezdny płaszczem, pozwalającym ukradkiem podejrzeć głębię kosmosu, ludzkie sprawy wydały się braciom okropnie nieistotne, a życie nabrało posmaku zabawy. Wells pociągnął łyk piwa, czekając, aż Frank w odpowiednim dla siebie momencie przerwie tę prastarą ciszę, która zawładnęła światem. Mimo wielu cięgow, jakie jego brat dostał od życia, zawsze po przybyciu do Nyewood Bertie zastawał go pełnego optymizmu, być może dlatego, że jedynie ten pierwotny entuzjazm mógł go utrzymać przy życiu, podpowiadając, by racji bytu szukać w rzeczach konkretnych, na przykład w dumie, jaką powinien czuć każdy człowiek mogący się poszczycić mianem poddanego korony brytyjskiej. Być może również z tego powodu Frank ostatnio uwielbiał chwalić osiągnięcia brytyjskiej polityki kolonialnej, a Wells, nieznoszący despotycznego sposobu,

w jaki jego państwo zawłaszczają świat, poczuł się zobowiązany do poruszenia kwestii szkodliwego wpływu brytyjskiej kolonizacji na Aborygenów tasmańskich, których populacja w krótkim czasie spadła z pięciu tysięcy niemal do zera. Usiłował wytłumaczyć zacierzewanemu Frankowi, że Tasmańczycy nie dali się skusić wartościom przewyższającym ich własne, lecz zostali podbici przez lepiej rozwiniętą technologię, tak samo jak imperium brytyjskie mogłoby ulec technologii przewyższającej jego własną. Na tę sugestię jego brat wybuchnął śmiechem, stwierdzając z zatwardziałą wyższością, że w znanym nam świecie nie istnieje technologia przewyższająca tę, którą dysponuje imperium. Wells nie zadał sobie trudu kontynuowania dyskusji, lecz kiedy Frank wrócił do domu, on pozostał na zewnątrz, z niepokojem wpatrując się w gwiazdy. W znanym nam świecie może nie, ale gdzieś tam?

Teraz spoglądał na firmament z tą samą podejrzliwością co wtedy. Szczególną uwagę poświęcał Marsowi, który widziany z Ziemi był niewiele większy od łebka szpilki. Mimo to w czasach Wellsa spekulowano, że może go zamieszkiwać inna rasa ludzi. Nie bez kozery Czerwoną Planetę otaczała cieniutka warstwa atmosfery i choć nie było tam oceanów, istniały czapy suchego lodu na biegunach. Astronomowie zgodnie twierdzili, że w Układzie Słonecznym najlepsze warunki do powstania życia poza Ziemią panują właśnie na Marsie. To, co było podejrzeniem kilku, przeobraziło się w pewność wielu, kiedy przed kilku laty astronom Giovanni Schiaparelli odkrył przecinające jego piaszczystą powierzchnię linie, które mogły być kanałami, co ponad wszelką wątpliwość dowodziłoby istnienia na Marsie cywilizacji. A gdyby to była cywilizacja lepiej rozwinięta od ziemskiej? Gdyby Marsjanie nie byli prymitywnym ludem, który – niczym Indianie z Nowego Świata – z otwartymi ramionami przywita ziemską misję, lecz gatunkiem bardziej inteligentnym niż człowiek i patrzącym nań z góry, tak jak on patrzył na małpy i małpiatki? Co by się stało, gdyby dysponowali technologią pozwalającą na podróż kosmiczną i wylądowanie na naszej planecie z tymi samymi zaborczymi zamiarami, które kierowały człowiekiem? Co zrobiliby rodacy Wellsa, najwięksi zdobywcy, stanąwszy oko w oko z kimś, kto będzie chciał podbić ich, niwecząc ich wartości i szacunek dla samych siebie, tak jak to czynili oni sami z podbitymi plemionami przy aplauzie osób pokroju Franka? Wells skubał wąs, rozważając potencjał tego pomysłu. Oczami wyobraźni ujrzał marsjańską inwazję – deszcz napędzanych parą cylindrów opadających na spokojne komunalne pastwiska Woking.

Zastanawiał się, czy to dobry pomysł na nową książkę. Dreszczyk podniecenia zdawał się to potwierdzać, lecz pisarz nie był pewien, jak zareaguje na tę propozycję wydawca. „Inwazja z Marsa? Dobrze usłyszałem? Po tym, jak wymyślił pan urządzenie do podróży w czasie, naukowiec przerabiającego zwierzęta na ludzi i człowieka trapionego niewidzialnością?” Henley wychwalał pod niebiosami jego poprzednią powieść, *Cudowny gość*, podkreślając, że choć Wells nie pisze o nauce tak dobrze jak Verne, to jednak używa „nieskazitelnej logiki”, która sprawia, że jego pomysły stają się wiarygodne. Nie mówiąc już o jego wielkiej pracowitości, pozwalającej pisać kilka powieści w ciągu roku. Poważnie jednak wątpił, czy książki wyciągane z kapelusza w takim tempie można nazywać literaturą. Jeśli autor pragnął, by jego nazwisko znaczyło coś więcej niż nazwa nowego sosu czy mydła, powinien jak najszybciej przestać marnować swój talent na powieści, które owszem, były feerią wyobraźni, lecz brakło im głębi potrzebnej do poruszenia ludzkich dusz. Krótko mówiąc, jeśli chciał być wybitnym pisarzem, a nie tylko kompetentnym, pomysłowym narratorem, powinien włożyć więcej wysiłku w te powiastki, które wystukiwał w ciągu czterech dni. Literatura była czymś więcej, czymś znacznie więcej. Prawdziwa literatura musiała poruszać czytelnika, ranić go, zmieniać jego postrzeganie rzeczy, potężnym pchnięciem zrzucać go z klifu jasnowidzenia.

Czy jednak odczuwał on świat w sposób dość głęboki, by móc wydobyć i przekazać innym swoje prawdy? Czy potrafił samymi słowami zmienić czytelników? A jeśli tak, to w co miałby ich zmienić?

Zapewne w lepszych ludzi... Tylko jakimi opowieściami mógł tego dokonać? Co miał im powiedzieć, żeby ich wyrwać z tego stanu postrzegania, o jakim mówił Henley? Czy potrafił zmienić rutynę swoich czytelników, stawiając ich oko w oko z kleistą masą wydobywającą się z zaślinionych ust, z olbrzymimi oczami i mnóstwem ruchliwych macek? Jeśli przedstawię tych Marsjan w taki sposób, pomyślał, najbardziej prawdopodobne jest, że poddani imperium brytyjskiego przestaną jeść ośmiornice.

Coś zakłóciło spokój nocy, wrywając pisarza z rozmyślań. Nie był to żaden cylinder przybyły z przestworzy, a jedynie powóz chłopaka Schefferów. Wells patrzył, jak zatrzymuje się przed drzwiami domu, i uśmiechnął się, rozpoznając na kozle sylwetkę przysypiającego młodzieńca, który nie miał nic przeciwko rannemu wstawaniu, o ile tylko mógł zarobić parę groszy. Pisarz zszedł po schodach, włożył płaszcz i wyszedł z domu, starając się zachowywać jak najciszej, by nie zbudzić Jane. Wiedział, że żonie nie spodobałoby się to, co zamierza zrobić, a on nie potrafiłby jej wyjaśnić, dlaczego musi to uczynić, nie mówiąc już o tym, że nie był to czyn, którego oczekiwaliby się od dżentelmena. Przywitał chłopaka, spojrzał z aprobatą na towar – tym razem chłopak się postarał – i wsiadł na kozioł. Woźnica machnął lejcami i ruszyli w kierunku Londynu. Po drodze zamienili zaledwie parę zdawkowych słów, których nie warto przytaczać. Wells wolał w milczeniu i z marzycielską fascynacją obserwować pogrążony w letargu świat, tak nieprzygotowany na inwazję z kosmosu i kompletnie bezbronny. Zerknął z ukosa na chłopaka, zastanawiając się, jak zareagowałby na atak pozaziemskich istot ktoś o tak prostym umyśle, prawdopodobnie uważający, że świat kończy się tam, gdzie sięga jego wzrok. Wyobraził sobie grupkę wieśniaków podchodzących do miejsca, w którym wylądował marsjański statek, i bez większego przekonania wymachujących białą chorągiewką oraz Marsjan odpowiadających na to naiwne powitanie natychmiastowym unicestwieniem ich za pomocą oślepiających błysków, czegoś w rodzaju promieni cieplnych, które rozrywają ziemię i pozostawiają po sobie spalony krąg pełen zwęglonych ciał i dymiących drzew.

Oderwał się od myśli o marsjańskiej inwazji, gdy powóz wjechał do śpiącego Londynu. Teraz musiał się skupić na tym, co miał zrobić. Rozdzierając nocną ciszę stukotem końskich kopyt, przez płataninę coraz to bardziej wyludnionych ulic kierowali się ku Greek Street. Wells nie zdołał powstrzymać psotnego uśmiechu, gdy chłopak zatrzymał powóz przed budynkiem Podróży w Czasie Murraya. Rozejrzał się po ulicy, z zadowoleniem konstatując, że jest pusta.

– Idziemy – powiedział do chłopaka, zsiadając z kozła.

Zabrali z wnętrza powozu po dwa wiadra i podeszli do fasady budynku. Starając się zachować minimum ostrożności, umoczyli szczołkę w krowim łajnie, którym wypełnione były wiadra, i zaczęli je rozsmarowywać po ścianie sąsiadującej z wejściem. Ta obrzydliwa praca zajęła im nie więcej niż dziesięć minut. Kiedy skończyli, w powietrzu unosił się odrażający odór. Pisarz jednak wdychał go z wielką rozkoszą, bo był to odór jego furii, nienawiści, którą musiał przełknąć, wściekłości fermentującej w jego wnętrzu bez ustanku i celu. Chłopak z pewną obawą obserwował jego rytuał.

– Dlaczego pan to robi, panie Wells? – ośmielił się spytać.

Wells przez chwilę wpatrywał się w niego z przerażającą intensywnością. Nawet komuś tak prostodusznemu jak ten młodzieniec musiało wydawać się absurdem, że ktoś poświęca nocę zadaniu tak ekstrawaganckiemu i obrzydliwemu zarazem.

– Bo jeśli mam do wyboru robić coś i nie robić nic, wolę zrobić tyle, ile mogę.

Chłopak pokręcił głową, skonfundowany całym tym zamętem, być może żałując, że próbował wnikać w tajemnice rządzące życiem pisarzy. Wells zapłacił mu umówioną kwotę i kazał wracać do Woking. Sam miał jeszcze pewne sprawy do załatwienia w Londynie. Młodzieniec kiwnął głową, nie kryjąc ulgi: wolał nie myśleć, co to za sprawy. Wdrapał się na kozioł, powiedział „wio!” i wkrótce

zniknął na końcu ulicy.

Wells przyglądał się malowniczej fasadzie budynku Podróży w Czasie Murraya, po raz kolejny zadając sobie pytanie, jak to możliwe, by ten skromny teatrzyk skrywał olbrzymie dekoracje opisane mu przez Toma, cały zniszczony Londyn roku 2000. Prędzej czy później musiał tę zagadkę rozwiązać, ale na razie wolał o niej zapomnieć, żeby się nie wściekać na myśl o ewidentnym cwaniactwie przeciwnika. Potrząsnął głową i przez kilka minut z dumą podziwiał swe dzieło. Potem z zadowoleniem człowieka, który wykonał dobrą robotę, skierował się ku mostowi Waterloo. Nie znał lepszej łoży do oglądania cudownego spektaklu wschodu słońca. Czerń nieba wkrótce miała zacząć ustępować pod naporem świtu, a on mógł sobie pozwolić na poświęcenie kilku minut na kontemplację tego barwnego pojedynku, nim uda się do biura Henleya.

W gruncie rzeczy każdy pretekst był dobry, by odwlec spotkanie z wydawcą, po którym pisarz zdecydowanie nie spodziewał się entuzjazmu dla swego najnowszego dzieła. Henley oczywiście zgodzi się je opublikować, lecz nic nie mogło uratować Wellsa przed jednym z jego kazań, które wydawca wygłaszał z myślą o nawróceniu swego podopiecznego na łono Pisarstwa, Które Przejdzie do Historii Literatury. A może powinienem raz go posłuchać i wziąć sobie do serca jego rady – pomyślał nagle. Właśnie, dlaczego nie miałby przestać tworzyć dla naiwnych czytelników, których zachwyca każda opowieść przygodowa, każda historia napisana z pewną dozą wyobraźni, i zwrócić się do tych bardziej wykształconych – do tych, którzy nad rozrywkową popularną fikcją przedkładają poważną, głęboką literaturę potrafiącą objaśnić im wszechświat, a nawet pokazać, że oni sami są zaledwie małeńkimi robaczkami w wielkim procesie rozwoju świata. Może powinien się ośmielić pisać opowieści, które wstrząsną duszą czytelnika w inny sposób, a ich lektura będzie czymś na kształt objawienia – tak, jak sobie życzył Henley.

Pogrążony w tych rozmyślaniach Wells skręcił w Charing Cross Road i dotarł do Strandu. Wokół niego wstawał już nowy dzień. Ciemność nieba stopniowo przechodziła w szalony, nierealny błękit, który wkrótce na horyzoncie zaczął się rozjaśniać, uzyskując łagodny odcień fioletu, mający przejść w pomarańcz. W oddali widniała sylwetka mostu Waterloo, coraz wyraźniejsza na tle ustępującej, stopniowo nadgryzanej przez światło ciemności. Wówczas do uszu pisarza dotarła symfonia cichutkich, tajemniczych dźwięków. Uśmiechnął się z satysfakcją. Miasto się budziło i niedługo te rozsypane dźwięki przeobrażą się w jeden wielki nieprzerwany harmider życia, nieznośny ryk, który być może w postaci przyjemnego dla ucha bzyczenia pszczół będzie słyszalny w kosmosie i będzie znakiem, że na trzeciej planecie Układu Słonecznego istnieje życie.

I choć zdążając w stronę mostu, Wells nie mógł wiedzieć, co go czeka, w pewnym sensie czuł się uczestnikiem wielkiego spektaklu, który – jako że brali w nim udział wszyscy bez wyjątku mieszkańcy metropolii – rozgrywał się dla nikogo. Chyba że dla uważnych Marsjan badających ludzkie sprawy w taki sposób, w jaki człowiek badałby pod mikroskopem krótkowieczne istoty tłoczące się w kropli wody. Rzeczywiście był to spektakl: Wells w zamyśleniu podążał wzdłuż Strandu, dziesiątki wyładowanych ostrygami barek przecinały coraz bardziej pomarańczowe, owiane fantasmagoryczną mgiełką tajemnicy wody Tamizy, od Chelsea Reach w kierunku Billingsgate, gdzie w porcie mrowie ludzi transportowało połów na ląd wzdłuż pomostów, a w bogatych dzielnicach, przesyconych aromatem wykwinnych piekarń i bukietów fiołków, mieszkańcy luksusowych domów opuszczali je i szli do równie luksusowych biur przez ulice wypełniane się powoli kabrioletami, dorożkami, omnibusami i wszelkiego typu pojazdami kołowymi, turkoczącymi rytmicznie po bruku, a na wysokościach fabryczne kominy splatały dymy z unoszącym się znad rzeki oparem, tworząc całun gęstej, lepkiej

mgły, a karawana ciągnionych przez muły lub pchanych ręcznie wózków wypełnionych owocami, warzywami, węgorzami i ośmiornicami była rozstawiana w Covent Garden wśród kakofonii pisków, a inspektor Garrett, nie dojadłszy śniadania, udawał się na Sloane Street, gdzie czekał na niego pan Ferguson, by z jakimś niepokojem poinformować go, że poprzedniej nocy do niego strzelano, i na dowód tego pokazać dziurę po kuli, która przeszła jego kapelusz, i wsadzić w nią czubek grubego palca, a Garrett wodził dookoła uważnym wzrokiem i obchodził otaczające dom krzewy, nie mogąc powstrzymać czułego uśmiechu na widok sympatycznego ptaka kiwi, którego ktoś narysował na piasku, i spoglądał na ulicę, by się przekonać, że nikt go nie obserwuje, po czym zmazywał go szybciotko butem i wychodził z krzaków, wzruszając ramionami, a w tym samym momencie, w którym on z fałszywą konsternacją w oczach mówił Fergusonowi, że nie odkrył żadnych śladów, w pokoju pensjonatu w dzielnicy Bethnal Green John Peachey, znany jako Tom Blunt, dopóki nie utonął w Tamizie, obejmował swoją ukochaną Claire Haggerty, a ona wtulała się w jego silne ramiona, szczęśliwa, że dla niej uciekł z przyszłości, z posępnego roku dwutysięcznego, w którym w tym momencie stojący na skraju urwiska kapitan Derek Shackleton nieprzyjemnie wysokim głosem zapewniał, że jeśli z tej wojny wynikło coś dobrego, to jedynie to, że zjednoczyła rodzaj ludzki jak żadna inna, a Gilliam Murray potrząsał żałośnie głową, powtarzając sobie, że to ostatnia wyprawa, jaką organizuje, że ma dość tych nieudaczników i przekłętego drania, który obsmarowuje łajnem fasadę jego firmy, że nadzedeł czas zaaranżowania własnej śmierci, wzmówienia wszystkim, że został pożarty przez jednego z nieokrzęsanych smoków zamieszkujących czwarty wymiar, których ostre zęby z całą pewnością miażdżyły go w snach Charlesa Winslowa, w tym momencie budzącego się z trwogą i zlanego potem, płoszącego swymi krzykami dwie chińskie prostytutki dzielące z nim łóżko, podczas gdy jego kuzyn Andrew, który w tej chwili stał oparty o barierki mostu Waterloo i obserwował wschód słońca, zastanawiał się, skąd zna tego osobnika o ptasiej twarzy zdążającego ku niemu.

– Pan Wells? – zawołał, gdy ten przechodził obok.

Pisarz przystanął i przez chwilę przyglądał się młodzieńcowi, usiłując sobie przypomnieć, skąd go zna.

– Nie pamięta mnie pan? – zapytał chłopak. – Jestem Andrew Harrington.

Pisarz natychmiast go sobie przypomniał. To przecież temu młodemu człowiekowi kilka tygodni wcześniej uratował życie, odwodząc go od samobójstwa za pomocą skomplikowanej mistyfikacji, dzięki której chłopak mógł stawić czoło Kubie Rozpruwaczowi, mordercy terroryzującemu Whitechapel jesienią roku 1888.

– Ależ oczywiście, że pamiętam, panie Harrington! – wykrzyknął zadowolony, że chłopak żyje i że jego wysiłki nie poszły na marne. – Bardzo się cieszę, że pana widzę–.

– Ja również, panie Wells – odparł Andrew.

Przez kilka sekund milczeli, uśmiechając się głupkowato.

– Zniszczył pan już swój wehikuł? – zapytał Andrew.

– Eee... tak, tak – odparł pośpiesznie Wells i zaraz próbował zmienić temat: – Co pan tu robi? Przyszedł pan podziwiać wschód słońca?

– W istocie – przyznał chłopak, podnosząc wzrok na niebo, ten przepiękny malunek w odcieniach pomarańcza i purpury. – Chociaż tak naprawdę próbuję zobaczyć, co jest za nim.

– Za nim? – zdziwił się Wells.

Andrew przytaknął.

– Pamięta pan, co mi pan powiedział, gdy wróciłem z przeszłości w pańskim wehikule? – zapytał, szukając czegoś w kieszeni surduta. – Powiedział pan, że zabiłem Kubę Rozpruwacza, choć ta notka z gazety temu zaprzecza.

Andrew pokazał mu ten sam pożółkły wycinek, który przed kilkoma dniami pokazywał w kuchni domu w Woking. „Kuba Rozpruwacz znów zabija!” – krzyczał tytuł, a następnie wyliczano wszystkie okropne rany, jakie potwór zadał swojej piątej ofierze, prostytutce z Whitechapel i ukochanej chłopaka. Wells skinął głową, po raz kolejny, jak wszyscy w tamtych czasach, zadając sobie pytanie, co się stało z bezlitosnym zabójcą; dlaczego nagle przestał zabijać i zniknął bez śladu.

– Ale mój czyn spowodował rozwidlenie w czasie – kontynuował Andrew, chowając wycinek do kieszeni. – Zdaje się, że nazwał to pan światem równoległym. W tym świecie Marie Kelly żyła i była szczęśliwa u boku innego mnie. Niestety, ja znalazłem się w niewłaściwym wszechświecie.

– Tak, pamiętam – przyznał z wielką ostrożnością Wells, nie wiedząc, do czego zmierza młodzieniec.

– No i widzi pan: uratowanie Marie Kelly odwiodło mnie od samobójstwa i zachęciło do dalszego życia. Niedawno zaręczyłem się z cudowną kobietą. Staram się cieszyć jej towarzystwem i drobnymi przyjemnościami życia. – Urwał na chwilę i znów uniósł twarz do nieba.

– Ale każdego ranka przychodzę tu i usiłuję dostrzec ten równoległy świat, o którym mi pan opowiadał i w którym podobno jestem szczęśliwy z Marie Kelly. I wie pan co, panie Wells?

– Co? – zapytał pisarz, przełykając ślinę. Bał się, że chłopak nagle obróci się do niego i uderzy go albo chwyci za kłapy marynarki i spróbuje wrzucić do rzeki z zemsty za to, że został tak bezwstydnie oszukany.

– Czasem go widzę – odparł drżącym szeptem Andrew.

Pisarz przyglądał mu się skonfundowany.

– Widzi go pan?

– Tak, panie Wells – odparł młodzieniec, uśmiechając się szczęśliwie jak ktoś, kto przed chwilą doznał olśnienia. – Czasem go widzę.

Wells nie wiedział, czy Andrew naprawdę w to wierzy, czy też tylko tak sobie postanowił, ale nie miało to większego znaczenia, skoro efekt wydawał się taki sam: jego kłamstwo niczym lód utrzymywało chłopaka w jednym kawałku. Patrząc, jak Andrew z twarzą rozjaśnioną niemal chłopięcym zachwytem przygląda się wschodowi słońca, a może raczej temu, co jest „za nim”, pisarz mimowolnie zadał sobie pytanie, który z nich dwóch naprawdę się myli: sceptyczny pisarz, niezdolny uwierzyć w coś, co sam wymyślił, czy zrozpaczony chłopak, który postanowił uwierzyć w jego urocze kłamstwo, wykorzystując fakt, że nie da się dowieść jego nieprawdziwości.

– Miło było znów pana spotkać, panie Wells – rzekł młodzieniec, obracając się do pisarza i wyciągając rękę.

– Nawzajem – odparł Wells, podając mu swoją.

Chwilę spoglądał za oddalającym się chłopakiem, leniwie idącym wzdłuż mostu wśród złocistej poświaty poranka. Światy równoległe... Kompletnie zapomniał o tym pomysle, który naprędce zaimprovizował, by uratować młodzieńcowi życie. Czy naprawdę istniały? Czy istotnie każdy dokonywany przez człowieka wybór rozszczenia rzeczywistość? W gruncie rzeczy naiwnie było sądzić, że w obliczu każdego problemu można dokonać tylko jednego wyboru. Co działo się ze wszechświatami niewybranymi, z tym wyrzuconymi do rynsztoka? Dlaczego miały mniejsze prawo do istnienia niż te, które wybrano? Szczerze wątpił w to, że konfiguracja wszechświata zależy od kapryśnej woli człowieka, tej niezdecydowanej i tchórzliwej istoty. Bardziej logiczna wydawała się myśl, że wszechświat jest znacznie bardziej bogaty i niezgłębiony, niż nam się wydaje na podstawie świadectwa zmysłów, i że kiedy człowiek ma do wyboru dwie lub więcej opcji, ostatecznie wybiera wszystkie, bo jego wolna wola jest tak naprawdę iluzoryczna. Tym sposobem świat co rusz dzieli się na kilka nowych, a każdy z nich jest rozległym i skomplikowanym wszechświatem, wykorzystuje cały swój

potencjał i wyczerpuje wszystkie możliwości, rozwijając się ramie w ramie z innymi wszechświatami, od których być może różni się tak nieznacznym szczegółem jak liczba much, bo nawet zabicie lub pozostawienie przy życiu jednego z tych irytujących owadów jest owocem wyboru – symbolicznego, lecz jednak wystarczającego, by stworzyć nowy świat.

Ileż much zabił lub pozostawił przy życiu on sam, ilu nieszczęśnikom uderzającym o szyby okienne po prostu powyrywał skrzydła, nie przestając się zastanawiać nad rozwiązaniem jakiegoś problemu w swojej książce? Może to głupkowaty przykład, pomyślał, bo moje decyzje w tej kwestii raczej nie zmienią nieodwracalnie świata. Człowiek mógłby poświęcić nawet całe życie okaleczaniu much i nie zdołałby dzięki temu wykoleić pociągu historii. Z całą pewnością jednak ten mechanizm można było zastosować do podejmowania znacznie bardziej kluczowych decyzji. Mimowolnie przypomniał sobie drugą wizytę Gilliana Murraya. Czy nie zastanawiał się wtedy nad dwiema opcjami, czy nie dokonał wyboru? Upojony władzą, postanowił zmiażdżyć muchę, a to doprowadziło do powstania wszechświata, w którym istniało przedsiębiorstwo sprzedające podróże w przyszłość. Absurdalnego wszechświata, w którym teraz tkwił uwięziony. A gdyby wybrał inaczej? Gdyby zdecydował się pomóc Murrayowi w wydaniu powieści? Wtedy znalazłby się w świecie podobnym do obecnego, lecz pozbawionym firmy oferującej podróże w czasie, w świecie, w którym stos naukowych powiastek nadających się jedynie do spalenia wzbogaciłby się o jedną: *Kapitan Derek Shackleton, prawdziwa i mroźna krew w żyłach historia bohatera z przyszłości* Gilliana F. Murraya.

Jeśli istnieje nieskończona liczba różnych światów, myślał Wells, wszystko, co może się zdarzyć, zdarza się. Albo, co na jedno wychodzi: każdy świat, każda cywilizacja, istota czy sytuacja, jaką mógłbyś sobie wyobrazić, już istnieje. Jest więc świat zdominowany przez jakiś gatunek niessaków, inny, w którym ludzie–ptaki żyją w gigantycznych gniazdach, jeszcze inny, w którym człowiek liczy palce u rąk za pomocą liter alfabetu, kolejny, w którym sen wymazuje pamięć i każdego ranka człowiek budzi się do nowego życia, jak również taki, w którym naprawdę istnieje detektyw o nazwisku Sherlock Holmes i jego pomocnik, sprytny łotrzyk znany jako Oliver Twist, a nawet taki, w którym pewien wynalazca zbudował wehikuł czasu i odkrył zepsuty raj roku 802 701. Jeśli doprowadzić tę ideę do ekstremum, dochodzi się do wniosku, że musi gdzieś istnieć świat rządzony przez inną niż newtonowska fizykę, zamieszkiwany przez wróżki, jednorożce, syreny i mówiące zwierzęta, bo we wszechświecie, w którym możliwe jest wszystko, nawet bajki nie są wymysłami, a jedynie plagiatami innych wszechświatów równoległych, jakimś sposobem zauważonych przez autorów owych opowiadań.

Czyżby zatem nikt niczego naprawdę nie wymyślał? Czyżby wszyscy tylko kopiowali? Pisarz zastanawiał się nad tym przez chwilę, którą ja wykorzystam na pożegnanie się z Wami, jako że zbliża się już finał tej opowieści, a aktorzy powoli schodzą ze sceny. Serdecznie dziękuję za uwagę, żywiąc szczerą nadzieję, że podobał się Wam mój spektakl. Wróćmy jednak na razie do Wellsa, którego przeszedł niemal metafizyczny dreszcz, albowiem owe szalone dociekania zrodziły w nim kolejne pytanie: co, jeśli jego życie zostało napisane przez kogoś z innej rzeczywistości, na przykład z tego wszechświata równoległego, który był bardzo podobny do jego własnego, lecz nie istniało w nim biuro Podróży w Czasie, a Gilliam Murray był autorem beznadziejnych powiastek? Wells poważnie rozważał możliwość, że ktoś mógłby przedstawić jego życie jako fikcję. Tylko komu chciałoby się opisywać życie kogoś, kto absolutnie nie nadawał się na bohatera powieści? Gdyby morze wyrzuciło go na jakąś odległą tropikalną wyspę jak Robinsona Crusoe, nie zdołałby nawet ulepić z gliny głupiego garnka. Poza tym jego egzystencja była tak nudna, że nikt nie byłby w stanie emocjonująco o niej opowiedzieć. Choć musiał przyznać, że ostatnie tygodnie odrobinę zmieniły ten obraz: w ciągu kilku dni – co z pewnym drammatyzmem zauważyła Jane, jakby zwracała się do widzów siedzących w nie-

widzialnej łoży – dzięki użyciu własnej wyobraźni uratował życie Andrew Harringtonowi, a potem Claire Haggerty. W pierwszym przypadku musiał udać, że dysponuje wehikułem czasu podobnym do tego ze swej powieści, w drugim zaś wcielić się w rolę bohatera z przyszłości piszącego do dziewczyny listy miłosne. Czy był w tym jakiś materiał na powieść? Może i tak. Mogłaby na przykład opowiadać o biurze Podróży w Czasie Murraya, do którego powstania on sam, niestety, się przyczynił, i w połowie lektury zaskoczyć czytelnika, ujawniając, że rok 2000 jest jedynie wielką scenografią zbudowaną w teraźniejszości z gruzów po wyburzonych domach. To oczywiście byłoby zaskoczeniem jedynie dla czytelników z jego epoki. Gdyby powieść wytrzymała próbę czasu i była czytana jeszcze po roku 2000, sama rzeczywistość zdemaskowałaby opisaną historię. Czy jednak oznaczało to, że nie można napisać powieści osadzonej w epoce Wellsa, w której spekulowałoby się na temat przyszłości, dla jej autora będącej już przeszłością? Zasmuciła go ta myśl. Wolał wierzyć, że czytelnicy rozumieją, iż powinni czytać tę powieść tak, jakby sami przenieśli się w czasie i żyli w roku 1896. Mimo wszystko, jako że kiepsko się nadawał na bohatera, był gotów się zadowolić rolą postaci drugoplanowej, do której w którymś momencie zwracali się prawdziwi bohaterowie historii.

Gdyby jednak w sąsiednim wszechświecie ktoś rzeczywiście postanowił o nim napisać, wszystko jedno, w jakiej epoce, Wells miał nadzieję, że dla własnego dobra znajduje się już na ostatniej stronie, bo szczerze wątpił, czyjego życie będzie dalej biegło podobnym torem. Prawdopodobnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni wyczerpał przeznaczony sobie zasób emocji i odtąd znów będzie wieść spokojną i nudną egzystencję typowego pisarza.

Popatrzył w ślad za Andrew Harringtonem, od którego powinna się rozpocząć ta hipotetyczna powieść. Widząc młodzieńca kroczącego w dali, zapewne z uśmiechem euforii na ustach, i otoczonego złotą poświatą wschodzącego słońca, uznał, że to idealny obrazek do postawienia ostatniej kropki. I jakby jakimś sposobem dostrzegał lub przeczuwał moje istnienie, zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście ktoś w tym momencie to robi, by za chwilę zaznać tej wielkiej radości, jaka zawsze ogarnia pisarza po ukończeniu powieści. Radości, której nie może mu dać nic innego, ani picie szkockiej w wannie, póki woda nie wystygnie, ani pieszczoty, ani nawet dotyk na skórze cudownej bryzy obwieszczającej nadejście lata.

Sanlúcar de Barrameda październik 2006 - marzec 2008

Podziękowania

Pisarstwo wiąże się z samotnością. My, którzy postanawiamy w ten sposób zarabiać na życie, od początku to akceptujemy. Gdybyśmy chcieli poznawać ludzi, pewnie pracowalibyśmy jako przewodnicy turystyczni albo pianiści hotelowi. W przypadku tej powieści postanowiłem jednak przeprowadzić eksperyment: sprawdzić, czy da się pisać w towarzystwie. I odkryłem, że tak. Nigdy nie czułem niczyjej obecności tak bardzo jak w czasie, który poświęciłem na tworzenie tej książki, dzięki dwóm wyjątkowym dla mnie osobom. Jedną jest mój przyjaciel Lorenzo Luengo, który troszczył się o tę powieść, jakby była jego własną, z uwagą i bezstronnością czytał każdy fragment, jaki mu posyłałem, i udzielał mi rad w kwestii fabuły oraz postaci, podpowiadał szczegóły dotyczące opisywanej epoki, dodawał siłą, gdy czułem się wyczerpany, i użył mi swojej wiary w projekt, gdy zaczynałem weń wątpić. Jego bezinteresowna pomoc była nie tylko lekcją przydatną do pisania powieści, dzięki niej zrozumiałem także, co oznacza słowo „przyjaźń”. Mogę mu się odwdzięczyć jedynie umieszczając jego nazwisko na tych stronicach, które tyle mu zawdzięczają, oraz podarowując małą sajmiri, którą tak sobie upodobał.

Druga z tych osób, moja dziewczyna Sonia, bardzo troszczyła się o mnie podczas pisania. Choć nie przeczytała książki, póki jej nie skończyłem, była cierpliwym i mądrym świadkiem narodzin i rozwoju fabuły aż do uzyskania przez nią ostatecznej formy, bo powieści powstają nie tylko na papierze, lecz także podczas spacerów po parku albo przesiadywania w kawiarniach. To Sonia zapewniła mojemu światu potrzebny spokój i podawała mi rękę, by znaleźć wyjście, ilekroć gubiłem się w labiryncie własnego dzieła.

Jest to zatem ich powieść w tym samym stopniu co moja, bo bez ich pomocy nigdy nie zdołałbym jej napisać. Błędy są wyłącznie moje, ale wartość, o ile książka ją posiada, jest także ich zasługą. Mam na dzieję, że zawsze pozostaną przy mnie, bym mógł się z nimi dzielić radością, jaką przyniesie nam ta książka.

{1} Wojna krymska (1853-1856) toczyła się między Cesarstwem Rosyjskim a Imperium Osmańskim (Turcją); Wielka Brytania jako sojusznik Turcji walczyła w niej przeciw Rosji. Oblężenie Sewastopola trwało 11 miesięcy; piechota brytyjska była zaangażowana w walkę pozycyjną w okopach wokół twierdzy. Wielką Brytanią władała wówczas królowa Wiktorja (przyp. tłum.).

{2} Chodzi o *Tamten świat*, powieść fantastyczną autorstwa Cyrana de Bergerac (przyp. tłum.).

{3} Miller's Court - w XIX-wiecznym Londynie zakątek przy ówczesnie „najnędnniejszej” ulicy miasta, Dorset Street; adres od 1888 roku znany jako miejsce brutalnego morderstwa dokonanego przez Kubę Rozpruwacza (przyp. tłum.).

{4} Kraken - mityczny potwór morski o wyglądzie olbrzymiej kałamarnicy (przyp. tłum.).

{5} *Argonauci czasu* (przyp. tłum.).

{6} Herbert George Wells, *Niewidzialny człowiek*, przeł. Eugenia Żmijewska (przyp. tłum.).

{7} Bram Stoker, *Dracula*, przeł. Marek Król (przyp. tłum.).

{8} Henry James, *W kleszczach lęku*, przeł. Witold Pospieszala (przyp. tłum.).

{9} Anagram nazwy rzeczywistego magazynu „Pall Mall Budget”, wychodzącego w latach 1868-1920 (przyp. tłum.).